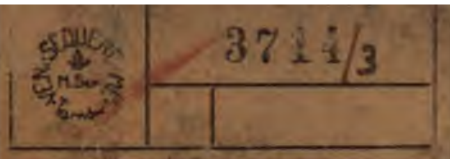


FERDYNAND HÖSICK

JULIUSZ SŁOWACKI

(1809—1849)

BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

TOM TRZECI

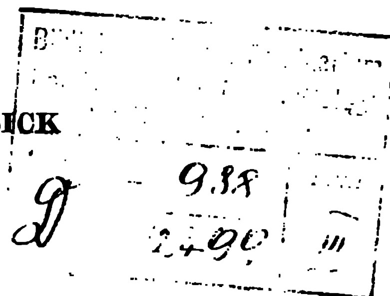
KRAKÓW I WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1897


STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES





FERDYNAND HÖSICK



JULIUSZ SŁOWACKI

(1809—1849)

BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

TOM TRZECI



KRAKÓW I WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1897

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

KSIĘGA SZÓSTA.

PEŁNIA TWÓRCZOŚCI I ŻYCIA.

1839 — 1842.

ROZDZIAŁ I.

1839 — 1840.

I. Przyjazd do Paryża. Niespokojność o matkę. Niepokojące myśli o jutrze. Zgryzota. Jakoś to będzie! List z Krakowa. List od matki. Sytuacya się poprawia. II. Otoczenie poety. Kółko przyjaciół. Klub Polski. Słowacki członkiem *Towarzystwa Historyczno-literackiego*. III. Praca twórcza Słowackiego w latach 1839—1840. Wychodzą *Trzy poematy* i *Dantyszek;* następnie *Balladyna, Mazepa* i *Lilla Weneda*. Powstaje *Beatrix Cenci. Jan Kazimierz*. Przedtem *Preliminarya Peregrynacyi J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki do Ziemi Świętej*. Krytyki poezyi Słowackiego. Dodatnie i ujemne. *Młoda Polska* i Stanisław Ropelewski. Krytyka *Trzech poematów*. Odpowiedź. Krytyka *Balladyny*. Krasiński o Słowackim. Pobudka do napisania *Beniowskiego*. IV. Mieszkanie przy *Rue Castellane*. Wiadomość o śmierci Anieli Moszczyńskiej. List od matki. Rady, żeby się żenił. Wyrzuty sumienia. Melancholia. Czczość. Samotność.

I.

»Smutno mi i bardzo smutno!« W tych słowach zamyka się cała psychologia Słowackiego, odkąd, porzuciwszy Florencyę, zawitał na stały pobyt do Paryża. Co było przyczyną tego smutku? Były różne przyczyny, ale przedewszystkiem była jedna, najważniejsza: zupełny brak jakichkolwiek wiadomości o matce. Wiedział tylko, że się znajdowała w Żytomierzu... Wobec podobnej niepewności, nic dziwnego, że nieustannie dręczony niespokojnością o los matki, nie mógł sypiać po nocach, że na twarzy pomizerniał i zżółkł, że usnąwszy, gorączkował, że »rozdrażniona imaginacya«, której okiełznać nie był zdolny, jeszcze pogorszała ten »stan udręczenia«, i że nakoniec, »pożerany«

tem uczuciem niepokoju, nietylko wyglądał złego, ale ostatecznie »przywykł swą duszę smucić i wyglądać złego«, straciwszy wszelką nadzieję, aby się wszystko mogło zakończyć pomyślnie.

Rzeczywiście, jeśli się zważy położenie, w jakiem się znajdował poeta, nie wyda się dziwnem nikomu, że mógł się troskać i niepokoić. Wszystko, co miał i z czego żył, miał od matki. Rozumiał to Słowacki, i dlatego zawczasu zaczął myśleć o tem, z czego mu żyć wypadnie, jak się wyczerpie ten skromny fundusik, który z sobą przywiózł jeszcze z Florencyi, a który wynosił zaledwie 900 franków. W tym celu zaczął pracować nad językiem włoskim, ażeby, w razie potrzeby, módz dawać lekcye języka włoskiego, bo (myślał sobie) »i ja nareszcie nie jestem bez rąk, a kiedy będzie potrzeba, to się zawezmę do pracy!« Tak, prawdopodobnie skończy się na tem, że będzie musiał zarabiać na życie, że się będzie musiał utrzymywać z własnej pracy! »Ha! jakoś to będzie!« To przysłowie, często powtarzane przez panią Becu, i on zaczął teraz raz po raz powtarzać, kiedy się zastanawiał nad swem położeniem. W każdym razie będzie się starał żyć z pracy umysłowej. Obok lekcyi języka włoskiego, co mu jakiś dochód przynosić powinno, może żyć z pióra: pisywać po francusku. Choć do tego najmniej miał ochoty! Pisywanie po francusku uważał za regeneracyę wobec literatury polskiej. A literaturze francuskiej służyć nie chciał. »Do literatury francuskiej (pisał w tej sprawie do Jana Weinberga w Krakowie), zawsze wstręt miałem; nie myślcie więc, żebym kiedy został renegatem; ale możebne jest, że jeszcze z czasem księgi jakiegoś kupca utrzymywać będę, albo przepisywał nuty, jak Rousseau, albo kule do pistoletu kupował. Ufam jednak, że mię Bóg nie opuści«. Nie znaczyło to jednak, żeby nie był zmuszony myśleć o zarabianiu na chleb powszedni. Najchętniej, gdyby to od niego zależało, przyjąłby jakie miejsce na wsi, ot np. miejsce nauczyciela domowego, podobne, jak to, które niegdyś jego ojciec zajmował w domu Poniatowskich. »Ze wszystkich przyjemności, któreby mię jeszcze ciągnęły, najpożądańsze zdają mi się wiejskie: lubiłbym polować, chodzić po lasach, mieć jakie grono młodych panienek znajomych, grać im na fortepianie, uczyć po włosku, zakochać się w której; lecz to wszystko jest dla mnie, jakby zaczarowany las, którego nigdzie znaleść nie można«. Na wsi, po za godzinami obowiązkowej pracy, miałby dość czasu i na pisanie, któreby mu z pewnością szło lepiej, aniżeli na paryskim bruku, wśród nudy miejskiego życia. Bo przedewszystkiem myślał

o poezyi, o możności pisania w dalszym ciągu, »choć mi tego nic nie wynagradza«, jak się wyraził w jednym z późniejszych listów. Tymczasem miewał chwile, w których mu Bóg dawał tę otuchę, że dusza jego »będzie policzona pomiędzy jasnemi. Bo nie byłożby to gorzko, gdybyśmy oboje z tobą, droga, weszli do kraju milczenia, zapomniani«. Nie, do tego chyba nie przyjdzie!

Tak upłynęły cztery miesiące przeszło. Nareszcie w połowie maja nadszedł z Krakowa list, od bankiera Jana Weisberga, który pierwszy doniósł poecie, że matka jego zdrowa. Wiadomość ta, tyle pożądana, zrobiła na Słowackim tak silne wrażenie, tak wstrząsnęła jego »nerwową organizacyą«, jak sam powiada, że się o mało nie rozchorował: poprostu, zbyt gwałtowne było to nagłe przejście »od udręczenia do spokojności«.

Wkrótce potem, w połowie czerwca, otrzymał Słowacki długi list od matki. Radość jednak, gdy go odebrał, równała się smutkowi, gdy go przeczytał. List był gorzki, pisany w chwili jakiegoś rozdrażnienia, pozbawiony czułości, której się spodziewał, a pełen cierpkich wyrzutów, że »zerwał stosunki z matką«, że zapomniał o niej, że mógł żyć bez niej, że przez całych 8 miesięcy potrafił nie napisać ani razu, etc. etc., list, w którym pani Becu zarzucała swemu jedynakowi, że do jego miłości dla matki »mięszało się *cokolwiek interesownego*«, czem boleśnie dotknięty Słowacki, odpisując matce, tak odpowiedział na to posądzenie: »Jeżeli tak myślisz, rzuć wszystko, przyjedź do mnie, a zobaczysz, że pracą moją będę się starał utrzymać nas oboje; wiedzę, serce moje, wypalę wszystko, co jest w mózgu moim, a dowiodę Ci mojego czystego przywiązania. Ty może powiesz z gorzkim uśmiechem, że już zapóźno! O, nie mów tak, i nie pogardzaj biednym, co z twojej łaski ma życie i spokojność... a pogardzasz mną, mówiąc mi ciągle: rób tak, jak ci do twego dobra potrzeba«. Jedyną osłodą tych gorzkich wyrzutów, których w tym liście pani Becu nie szczędziła Julkowi, było 900 franków, które mu przysłała jednocześnie, a które bardzo w porę spadły Słowackiemu, bo już gonił resztkami.

Gdyby nie ten zasiłek, kto wie, czyby nie musiał korzystać z »dowodów przyjaźni« ze strony Eglantyny Patteg, która dowiedziawszy się o jego smutnem położeniu materyalnem, chciała mu przyjść z pomocą. Podziękował jednak, bo jeszcze miał trochę pieniędzy, i był bardzo zadowolony z tego, że »nie potrzebował innej pomocy, oprócz współczucia«.

II.

W liście swym do Bohdana i Józefa Zaleskich, pisanym z Rzymu dnia 20 lipca 1838 r. donosił im ks. Semeneńko, iż O. Ryłło miał z Florencyi list od Słowackiego, który »jedzie do Paryża, bo mu już za Polakami tęskno«. Z chwilą jednak, kiedy przyjechał do Paryża, zaczął tęsknić za Florencyą: za dowód może posłużyć jego list, pisany nazajutrz po przyjeździe do stolicy Francyi, a pod którym Słowacki, kładąc datę, omylił się i przez roztargnienie, jak powiada, »zacząłem pisać *Florencya,* a powinienem (niestety!) *Paryż,* d. 21 grudnia 1838 r.« To *niestety,* wtrącone w nawiasie, zaraz drugiego dnia po zawitaniu do Paryża, jest charakterystyczne wysoce; świadczy bowiem, iż rzeczywistość znowu nie dorównała marzeniu, że na samym wstępie musiał doznać jakiegoś rozczarowania. Kim? Nie Paryżem z pewnością, lecz swymi ziomkami-emigrantami, za którymi przed kilkoma miesiącami tak mu było tęskno nad Arnem. Widocznie, że od pierwszej chwili, jak się znalazł w tem centrum emigracyi, przekonał się, że ludzie ci, których nie widział od roku 1832, niewiele się zmienili od tego czasu, a jeżeli się zmienili pod niejednym względem, to nie był to jeszcze żaden dowód, ażeby się zmienili na lepsze.

Zmuszony przestawać z ludźmi, którzy byli »pełni głupstw, zazdrości, i robili, co mogli, aby ich nienawidził«, którzy nie rozumieli go, chociażby sobie nawet drwił z nich czasami, bardzo prędko zaczął uczuwać ochotę wyjechania z Paryża, gdzieś do jakiego zapadłego kąta nad morzem, gdzieby mógł siedzieć, jak mruk, i mieć inne towarzystwo, aniżeli jego koledzy paryscy; »bo ci zepsuci są biedą i życie z nimi bardzo niemiłe. Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczem gadać nie chcą i nie umieją (tylko o polityce), ludzi, którzy się zupełnie odłączyli od towarzystwa, jak wyklęci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie«.

Taki był ogół emigracyjny. Jak zawsze jednak, tak i tym razem, nie brakło wyjątków od tej powszechnej reguły; a pomiędzy tysiącem ludzi, zepsutych biedą, znalazły się jednostki, z któremi Słowacki, pomimo, że był bardzo wymagający pod tym względem, mógł sobie mieć coś do powiedzenia, a między którymi, dzięki swojej »czystości wewnętrznej«, miał pewną powagę nawet. Nie zawsze mu to wystarczało, bo, jak się wyraził raz, »wolałby szczerą

miłość, ale tej niema pomiędzy nami, a stworzyć jej nie mogę«. Swoją drogą byli ludzie, z którymi żył na serdecznej stopie przyjaźni, o których rzetelnej życzliwości dla siebie mógł być przekonany.

Do takich należał przedewszystkiem Hipolit Błotnicki, jego »drogi nauczyciel« z lat dziecinnych.

To samo da się powiedzieć o Karolu Sienkiewiczu, sekretarzu księcia Adama Czartoryskiego, i o Janie Lomanie, także stronniku Księcia, którzy bezwarunkowo — szczególniej Loman — należeli do liczby tych, co Słowackiemu życzyli jak najlepiej.

Człowiekiem, który się mógł poszczycić prawdziwą przyjaźnią poety, a który również należał do gorących *Czartoryszczyków*, był Józef Reitzenheim, Lwowianin, ożeniony z »cudnej piękności« Angielką (wyrażenie Słowackiego), bardzo bogatą, której jednak, do pewnego czasu, wypłacano tylko 250 funtów szterlingów rocznie. Przez jakiś czas mieszkał w Anglii, potem przeniósł się do Francyi, do Paryża, gdzie zamieszkał skromny apartament na Batignolles. Na życie zarabiał, jako *directeur des pompes funebres*. Żona jego »ślicznie wykształcona«, należała do najpopularniejszych postaci niewieścich na emigracyi. »Pani Reitzenheimowa« lub »żona Reitzenheima« cieszyła się ogólną sympatyą. Najprzód podobała się wszystkim, jako »cudnej piękności« kobieta, a powtóre była niesłychanie miłą i dobrą. Jako taka posiadała swych wielbicieli nawet, z tych najsławniejszym był Słowacki. Chwile, które spędzał w domu Reitzenheimów, zaliczał do swych najprzyjemniejszych.

Innym był stosunek do Eustachego Januszkiewicza, »Taylleranda w łapciach«, jak go nazywano w emigracyi, a współwłaściciela *Księgarni polskiej*, stosunek, więcej oparty na interesie, aniżeli na przyjaźni. Tej ostatniej, jeżeli chodzi o rzetelność uczucia, było mało, a jakkolwiek Słowacki nazywał Januszkiewicza »swoim Eustachym«, jakkolwiek pisywali do siebie, kiedy poeta przebywał w Szwajcaryi i we Włoszech, to w gruncie rzeczy nie był to stosunek, oparty na szczerości uczuć. Zdaje się nawet, że w głębi duszy obaj nie lubili się wzajemnie, a chwilami nienawidzili nawet. Że Słowacki nie bardzo był rozmiłowany w Januszkiewiczu, na to dowodów dostarczają jego listy. W jednym ze swoich listów do Leonarda Niedźwieckiego nazywa Słowacki Januszkiewicza »przyjacielem fałszywym i szkodliwym« *(un ami faux et nuisible)*, przyczem wyraził się, że woli mieć otwartego nieprzyjaciela, aniżeli takiego przyjaciela, jak Eustachy; i dlatego niewiele sobie robi z jego gniewu. *Je vois qu' Eustache se fache*

contre moi; je n'en suis pas du tout chagriné: mieux d'avoir un ennemi declaré qu'un ami faux et nuisible«. Nie należy zapominać, że Januszkiewicz był księgarzem-wydawcą, który się trudnił rozprzedażą dzieł Słowackiego, co nieraz dawało sposobność do przykrych zatargów — natury finansowej. Wiadomo powszechnie, jaki stosunek łączy literatów z księgarzami. Rzadko się zdarza, aby ten stosunek był harmonijny. Stosunek, łączący Januszkiewicza ze Słowackim, nie stanowił wyjątku pod tym względem. Słowacki był przekonany, że go Januszkiewicz wyzyskuje, a czasami — oszukuje. W roku 1833, kiedy Januszkiewicz z rozkazu ministeryum francuskiego musiał opuścić Paryż, Słowacki pisał z tego powodu do matki, co następuje: »Kilkaset moich franków, które po kilkakrotnie chciał mi odesłać, a których dotąd nie potrzebowałem, teraz jemu były gwałtownie potrzebne. To *en petit* bankructwo mojego księgarza... Korn (z Wrocławia) także nie odsyła pieniędzy. Słowem, przekonywam się, że księgarze — jest to najgorsza klasa: wszyscy do Zawadzkiego podobni«. Ostatnie zdanie nie jest komplementem dla »Tayllerand w łapciach«. Niemniej niepochlebny sąd o Januszkiewiczu, jako swoim księgarzu-komisyonerze, wydaje Słowacki w innym liście do matki, wkrótce po wyjściu *Kordyana,* którego rozprzedażą także trudnił się Januszkiewicz: »Co do moich brzęczących interesów, przyznam Ci się, kochana mamo, że mi dosyć źle idzie: do druku nowych dwóch książek (*Lambro* i *Kordyan*) musiałem coś ze swojej kieszeni dopłacić, *a ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą i długo zatapiają*«. W podobnym tonie pisał o Januszkiewiczu i innych księgarzach, w liście z d. 5 lutego 1835 r.: »Zdaje mi się, że mię moi księgarze haniebnie oszukują, bo przestali przesyłać rachunki, i milczą, jak krety w norze; zapewne oczekują mojej osobistej wizyty. Prawdziwie, że nikomu zaufać nie można, a mniej, niż innym, trzeba ufać ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tem położeniu jest jegomość (Januszkiewicz), który się trudni mojemi książkami; cóż robić więc, trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie«. Wogóle przez cały czas, jak mieszkał w Genewie, nie mógł jakoś z Januszkiewiczem w żaden sposób dojść do ładu. Oto np. co pisał z tego powodu w liście z dnia 24 maja 1835 r.: »Bardzobym chciał pojechać do Paryża: nawet mam potrzebę tego: dla sprawdzenia zawiłych rachunków z księgarzami: oszukują mię; mam oczywiste dowody, że mię zbywają niczem; ale muszę ich zostawić wyrzutom sumienia, jeżeli jeszcze mają cokolwiek uczciwości. Prawdziwie, że ta klasa

ludzi jest jedną z najgorszych: drą najbiedniejszych ludzi na świecie, a mają do czynienia z ludźmi najgłupszymi do interesów: z pisarzami«. Mimo te ciągłe nieporozumienia natury literacko-księgarskiej, przez cały czas korespondowali ze sobą: Januszkiewicz, choć od czasu owej sprawy medalu *Towarzystwa litewskiego* musiał czuć pewną urazę do Słowackiego, donosił mu o wszystkiem, co się pod nieobecność jego działo w sferach literackich emigracyjnych; poeta zaś, choć w Januszkiewiczu widział przedewszystkiem swego księgarza, który go, »jak Murray Byrona«, oszukiwał, z przyjemnością odpisywał na jego listy, zawsze pełne różnych wiadomości z Paryża, a jeżeli wszystkie listy Słowackiego były tak dowcipne, jak ów list wierszem *Do księgarza*, pisany z Liworno, to możemy żałować jedynie, że Januszkiewicz nie zachował tych listów, jak zachował np. listy Mickiewicza. Od roku 1839, kiedy Słowacki przyjechał do Paryża, stosunek jego z Januszkiewiczem przez różne przechodził fazy: bywały chwile, że z sobą byli na stopie przyjacielskiej, ale zdarzały się i takie — najczęściej — że się nienawidzili. Ostatecznie Januszkiewicz należał do najżarliwszych stronników Mickiewicza, co nie było bez wpływu na pewną stronność sądu o Słowackim. Dodać należy, że Januszkiewicz był redaktorem i wydawcą *Młodej Polski*, »jezuickiego dziennika«, jak ją nazywał Słowacki, dziennika, z którego najdotkliwsze ciosy wymierzono przeciwko Słowackiemu, a który poeta napiętnuje z czasem w *Beniowskim*.

Bez porównania serdeczniejszy stosunek łączył poetę z Leonardem Niedźwieckim, sekretarzem jenerała Władysława Zamoyskiego, a który aż do roku 1839 przebywał w Londynie. Był to niepospolity umysł, a człowiek dzielny i sympatyczny. Jak w dzieciństwie, na ławie szkolnej sejneńskiej, przyjaźnił się z Kajsiewiczem i Bukatym, tak i teraz, na emigracyi, najchętniej obracał się w kołach ludzi niepospolitych i wyższych. Jako matematyk, był przyjacielem Hoene-Wrońskiego, który go uważał za swego ucznia. W filozofii celował również, hołdując, jak wszyscy podówczas, hegelianizmowi. Trentowski w swoim *Panteonie wiedzy* ludzkiej wyraża się o nim z entuzyazmem. Ale najsilniejszą była w Niedźwieckim żyłka literacka. Przez cały czas, jak mieszkał w Anglii, pisywał — po angielsku — artykuły do różnych pism naukowych. Listy jego, z Anglii pisane, zbierał skrzętnie Leonard Chodźko, utrzymując, że kiedyś będą ciekawsze od pamiętników Paska. Jako człowiek, był cichy i skromny, a oryginalny i charakterystyczny w mowie, ubraniu i wzięciu, dowcipny i sprytny,

ogromnie lubił przestawać z poetami. Z tych ogromnie wysoko podnosił Stefana Garczyńskiego, który w jego przekonaniu był największym poetą romantycznym polskim. Bardzo wysoko cenił także Słowackiego, którego polubił nadzwyczaj, jako człowieka, a który go w rozmowie nazywał stale »niedźwiedziem«

Poznali się i zaprzyjaźnili w t. zw. *Klubie polskim*, którego obaj, od roku 1839 począwszy, byli członkami, a który miał swą kwaterę przy *Rue Godot- de Mauroy* Nr. 18. Właściwie były dwa kluby polskie: jeden — *Towarzystwo polskie* — arystokratyczny, którego prezesem był kasztelan Ludwik hr. Plater, i drugi — *Cercle polski* — demokratyczny, przy ulicy *Rue Neuve St. Roche* Nr. 45, który się tem różnił od swego arystokratycznego współzawodnika, że w nim było trochę taniej i — brudniej, aniżeli w tamtym, i że na jego czele nie stał żaden hrabia, tylko niejaki Adam Kowalski, który był jego założycielem. Słowacki, który przez całe życie był fanatycznym zwolennikiem czystości, mając do wyboru pomiędzy temi dwoma klubami, wstąpił do pierwszego, do arystokratycznego; nie dlatego, żeby go szczególnie nęciło towarzystwo kilku umitrowanych paniczyków z arystokracyi litewskiej, którzy należeli do tego klubu; ale dlatego głównie, że mu chodziło o czystość zewnętrzną, o którą tamten klub, jak sobie opowiadano, dbał mniej nierównie, aniżeli ten. Zresztą, pod względem przekonań politycznych, była niesłychanie mała różnica pomiędzy temi klubami, w których »wszelkie rozprawy polityczne« były wzbronione statutem, tak samo, jak gry hazardowne. Klub ten, »pełen dymu i różnorodnych opinii«, założony w r. 1836, miał na celu »połączenie się w braterski związek jedności oraz uprzyjemnienie z oszczędnością chwil wolnych od pracy«. Członkowie jego, których liczył kilkudziesięciu, w mowie potocznej, gdy byli między sobą, nazywali go *kasynem*, albo z francuska *cercle*'m. Słowackiemu służył on »za rodzaj drugiego mieszkania«. Ile razy czuł się osamotnionym w swojem mieszkaniu — a zdarzało mu się to dosyć często — szedł »do klubu«, którego sale, otwarte od 9-ej rano do wpół do 12-ej w nocy, zawsze mogły dostarczyć jakiejś rozrywki: bądź w *Salon de lecture*, w której się znajdowały wszystkie pisma polskie, jakie wychodziły podówczas, nietylko na emigracyi, ale i w kraju; bądź w sali gry, gdzie stały bilardy i stoliki do kart; bądź w sali bufetowej i jadalnej, gdzie rej wodził pułkownik Radziszewski. O tym ostatnim pisał *Trzeci Maj* z dnia 6 listopada 1841, że jego »gorliwe zachody i wysoka zdolność, z jaką pożyteczny zakład ten

prowadzi, jednając mu serca wszystkich, ręczą za należyte i trwałe — na czas naszego pobytu zadomowego — utrzymanie tego klubu«. Słowacki ogromnie polubił ten klub. Tutaj jadał obiady, przyrządzane na polski sposób; tutaj czytywał dzienniki; tutaj spotykał się z kolegami swoimi — Cezarym i Władysławem Platerami, Stanisławem Małachowskim (przyjacielem Zygmunta Krasińskiego), Izydorem Sobańskim, Antonim Wołłowiczem, Michałem Kuszlem, Antonim Góreckim, Antonim Hłuszniewiczem, Ludwikiem Jelskim, Adamem Kołyską, Ludwikiem Nabielakiem, Konstantym Gaszyńskim, Fulgentym Rymgajłą, Romanem Załuskim, Stefanem Witwickim, Feliksem Wrotnowskim, Józefem Meyznerem, i wieloma innymi — tutaj spędzał mnóstwo wieczorów, bądź na pogadance z kolegami *de omnibus rebus,* bądź na grze w karty, w wista.

Jeżeli wieczoru nie spędzał w klubie, szedł z którym ze swoich kolegów (klubowych) do teatru, np. do *Théâtre français,* podziwiać grę genialnej Rachel (ówczesnej Sary Bernhardt), albo wychodził na bulwary, na ludną *Rue de Rivoli,* oświetloną gazem, który wtedy był taką nowością, jak dla nas światło elektryczne, i to »gawronienie po ludnych ulicach«, we dwóch lub trzech, podsycane czarną kawą, na którą wstępowali do której z bulwarowych kawiarni, bawiło go, rozrywało, a przynajmniej chroniło od siedzenia w domu, co wieczorem, dla człowieka nieżonatego, skazanego na samotność wśród czterech ścian swego pokoju, bardzo rzadko posiada urok. Nie posiadało go też i dla Słowackiego, który, przyzwyczajony do pisania w dzień, nigdy w nocy, wieczory lubił spędzać w towarzystwie, najchętniej poza domem, jeżeli nie w klubie, w teatrze, lub włócząc się po ulicach, to u którego z kolegów: u Reitzenheima np., którego »cudnej piękności« małżonka rozmarzała go cokolwiek, bądź u Niedźwieckiego lub Błotnickiego. A jeśli zdarzyło się, że oni przyszli do niego, wtedy on, uproszony z pewnością, ażeby im przeczytał który ze swych niedrukowanych jeszcze, a świeżo napisanych utworów, prawie zawsze godził się na to (bo lubił czytać swoje rzeczy), i takie wieczory musiały należeć do najprzyjemniejszych, zarówno dla gospodarza, jak i dla jego gości. W takich okolicznościach udało się Reitzenheimowi zapoznać z *Janem Kazimierzem,* którego my, niestety, znamy tylko początek, a Niedźwieckiemu — z *Beatrix Cenci,* którą my znamy tylko ze szkicu.

W odmiennem otoczeniu był czytany przez Słowackiego *Grób Agamemnona,* którego ostateczne wykończenie przypada na rok 1839, a który doznał tego zaszczytu, że

był w dniu 5 grudnia przez autora samego czytany na posiedzeniu *Towarzystwa Historyczno-literackiego.*

Towarzystwo to, będące rodzajem emigracyjnej Akademii Umiejętności założone w maju 1832 r., przez grono posłów sejmowych, było najpoważniejszem ze wszystkich *Towarzystw* na emigracyi, a choć miało charakter »historyczno-literacki« głównie, mimo to było także do pewnego stopnia instytucyą polityczną, tendencyi konserwatywnych, monarchicznych, najsilniej zabarwionych przekonaniami swego wieczystego prezesa, księcia Adama Czartoryskiego, i jego stronników, jak jen. Wł. Zamoyski, bezwzględnie posłuszny Księciu, jak J. U. Niemcewicz, jak Ludwik Plater, piastujący urząd wiceprezesa, jak Teodor Morawski, znany historyk, i wielu innych. Można powiedzieć prawie, że *Towarzystwo historyczno-literackie* było przeciwnym biegunem *Towarzystwa demokratycznego.*

Słowacki, choć go nasza demokracya uważa za swego, o ile nie myślał nigdy o wstąpieniu do *Tow. demokratycznego,* od którego zawsze stronił jaknajdalej, o tyle pragnął być członkiem »arystokratycznego« *Towarzystwa historyczno-literackiego.* Jakoż, zaproszony na członka w dniu 16 maja (1839 r.) przez Romana Załuskiego, w tydzień później, na posiedzeniu z d. 23 maja »po wysłuchaniu przychylnej opinii komitetu redakcyjnego, jednomyślnością na członka stowarzyszonego obrany został«, a po upływie tygodnia, w protokóle z posiedzenia 287-go, sekretarz *Tow. hist. liter.* zapisał co następuje: »Pierwszy raz obecny na posiedzeniu nowo obrany członek stowarzyszony, Słowacki, podaniem ręki prezydującemu (wice-prezesowi Towarzystwa, hr. Ludwikowi Platerowi) przyrzeka gorliwie dopełniać przyjętych na siebie obowiązków«. Poczem »nowo wybrany członek stowarzyszony złożył w darze Towarzystwu: 1) trzy tomy poezyi swoich (1832 — 3), 2) poemat *Kordyan,* 3) poemat *O piekle,* 4) tom poezyi, zawierający *Trzy poematy,* 5) poemat *Anhelli;* w ogóle 7 tomów poezyi swoich«. Odtąd bywał Słowacki dość regularnie na wszystkich posiedzeniach Towarzystwa, na jednych czytając swoje utwory, jeśli był uprzednio wezwany do odczytania czego, na drugich zabierając głos, na innych milcząc w roli słuchacza. W krótkim przeciągu czasu, z *Członka Stowarzyszonego* posunięty na wyższy stopień *Kollaboratora,* zaczął być uważany za jednego z czynniejszych członków Towarzystwa.

III.

Na 349-m posiedzeniu *Towarzystwa historyczno-literackiego*, które się odbyło w dniu 4 lutego 1841, wezwany, aby przeczytał który ze swoich utworów, oświadczył Słowacki, że »niema co do czytania«. Nie znaczyło to, ażeby w tych czasach pisał mniej, niż kiedykolwiek, albo nie pisał wcale; owszem, była to epoka, w której jego twórczość osiągała swój pukt kulminacyjny, epoka, w której pisał najwięcej i najświetniej, epoka uwieńczona *Beniowskim*, w której kolejno wychodziły po sobie, z poprzednio napisanych, *Dantyszek, Trzy poematy* i *Balladyna*, a na którą przypada ogłoszenie *Mazepy* i *Lilli Wenedy*, napisanych teraz, już po przyjeździe do Paryża, o tym samym czasie mniej więcej, co *Preliminarya peregrynacyi J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki do Ziemi Świętej*, skreślone pod wpływem *Pamiątek Soplicy*, a wydrukowane w *Tygodniku literackim* poznańskim, epoka wreszcie, w której powstały najznakomitsze utwory dramatyczne Słowackiego, do nas doszłe w ułamkach tylko: *Beatrix Cenci*, pisana w roku 1840, prawie równocześnie z *Lillą Wenedą; Jan Kazimierz*, pisany w roku 1839, prawie równocześnie z *Mazepą*; *Krakus*, który wraz z *Balladyną* i *Lillą Wenedą* miał być jednem z ogniw w szekspirowskim cyklu »sześciu kronik dramatycznych«; *Konrad Wallenrod* z Jagiełłą i Kiejstutem, wspaniała tragedya, która może miała tak samo współzawodniczyć z poematem Mickiewicza, jak *Kordyan* szukał porównania z *Dziadami; Walter Stadyon*, który zdaje się być częścią tej samej trylogii dramatycznej, do której miał należeć i dramat poprzedni; i *Złota czaszka* nakoniec, napisana w tym samym czasie, co *Mazepa* i *Jan Kazimierz*, a której akcya »za panowania Jana Kazimierza« miała się rozgrywać w rodzinnem mieście poety, w Krzemieńcu. Powyższe wyliczenie tytułów dzieł, których napisanie przypada na dwuletni okres czasu między początkiem roku 1839 a końcem 1840 i pierwszą połową 1841, świadczy o jednem, mianowicie, że poeta nie tracił czasu, że tworzył gorączkowo prawie, i że, napisawszy jedną rzecz, zaraz rozpoczynał drugą. Zdawałoby się wobec tego, że musiał mieć do pisania jakąś wyjątkową zachętę i podnietę, bo inaczej nie pisałby tyle. Niestety, rzecz miała się przeciwnie. Jeżeli pisał tyle, ile pisał, to dlatego tylko, że było to *plus fort que lui*, że pisać musiał, bo mu czaszkę rozsadzało tysiące pomysłów, bo miał wyobraźnię zapaloną

całym korowodem wymarzonych postaci i scen, którym ulegał poprostu, kiedy im nadawał konkretne kształty w formie dramatów lub poematów, a których przenoszenie z wyobraźni na papier było dlań bezwarunkowo największą w tych czasach przyjemnością. Najwięcej chwil spędzając w domu, w swem kawalerskiem mieszkanku — które przez cały ciąg roku 1839 zmieniał bardzo często — o ile nie czytał lub grał na fortepianie, o tyle »pisał i bazgrał różne awantury i przywidzenia«, »z czego, jak się wyraził, miał taką korzyść, że mu życie złociły i okrywały różnemi tęczami«. »Są to miłe mi okienka w chatce mojej (pisał w październiku 1839 roku), przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych. Czy życie takiemi snami zajęte życiem jest, nie wiem, ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia«. Albowiem »nie jestem podobny do lampy, która w katarynce siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków«. Dlatego, po długich rozmyślaniach na temat swojej roli na świecie, ostatecznie przyszedł do przekonania, że jego przeznaczeniem jest stanowczo: »całkiem się rzucić w świat umysłowy«, a raz rzuciwszy się, pozostać w nim. W tym celu nie ustawał w pracy, tylko pisał i pisał, a przestając na małem, i wyrzekłszy się wielu przyjemności, właściwych młodości, z szczupłych funduszów drukował swoje prace — własnym nakładem. O nakładców było trudno na emigracyi. »*Księgarnia polska* — pisał Słowacki w tym czasie — straciła kilka tysięcy franków *nawet na Tadeuszu!!!*« a to nie było okolicznością zachęcającą do wydawania dramatów Słowackiego. Dla tych samych powodów i Bohdan Zaleski, choć miał »sześć tomów religijno-politycznych«, gotowych do druku, nie mógł na nie znaleść nakładcy. Wynikało z tego, że autorowie, jak Słowacki, byli zmuszeni być swymi księgarzami, a jak wychodzili na tem, to było najlepiej wiadomem Słowackiemu.

Żeby był chociaż zachęcany przez krytykę, ale ta, niestety, obchodziła się nim — z nim specyalnie — po macoszemu, a niekiedy i gorzej jeszcze.

Dodatnich recenzyi miał bardzo mało. Najbardziej podobał się *Anhelli*, o którym wszystkie krytyki i wzmianki — a ukazały się trzy — były pochwalne, a jedna obszerna i wyczerpująca nadzwyczaj.

Pierwsza napisała o nim *Młoda Polska* Eust. Januszkiewicza, w której, w dodatku do Nr. 22 z d. 10 sierpnia 1838 r., bezimienny autor (sam Januszkiewicz najprawdopodobniej) w następujący sposób wyraził się z powodu tego poematu:

»W tych dniach wychodzi z pod prasy *Anhelli*, poemat Juliusza Słowackiego (w Księgarni Polskiej, in 18-to, Cena Fr. 3. dla Emigr. 2. z przesł. 2,25); bijący urok stylu, przy niewyraźnem odrysowaniu idei, zresztą wysokie udoskonalenie tego, co jest w piśmiennictwie nabytkiem: oto główny charakter niniejszego poematu, jak i wszystkich utworów autora. W *Anhellim* przeglądają nadto, niby przez mgłę, dążności chrześciańskie. Zapisujemy ten postęp«.

Po tych słowach, z których poeta mógł być zadowolony, ażeby nowe dzieło zalecić czytelnikom *Młodej Polski*, przedrukowano *in extenso* cały Rozdział II poematu, co świadczyło o życzliwości i dobrym smaku wybierającego, gdyż zaprzeczyć się nie da, że Rozdział II *Anhellego* należy do najpiękniejszych w poemacie.

Niemniej przychylną dla autora, a obszerniejszą znacznie, była krytyka *Anhellego*, jaką zamieściła *Kronika* w numerze z d. 15 września 1838 r.

Możnaby zarzucić temu utworowi brak wątku i jasności; sferę nadnaturalną; osoby cudowne i niepojęte, wtedy, kiedy prawda tak dostateczną być mogła; niektóre wyrażenia przesadzone; naśladowanie śmiałe, a niezawsze szczęśliwe, Biblii; wreszcie przejęcie się zbyteczne gustem dzisiejszych poetów francuskich; ale nikt nie zaprzeczy, że są miejsca poetycznej piękności, myśli wysokie i nowe, obrazy zajmujące. Zdaje nam się nawet, iż utwór ten zasługiwałby na przekład francuski, wtedy jednak, choć w przypiskach, musiałby autor wytłómaczyć wiele rzeczy. Korzystaliby z tego i rodacy.

Myśl, poruszona w tej recenzyi, a wskazująca na *Anhellego*, jako na nadający się do tłómaczenia na francuski, mogła sprawić przyjemność Słowackiemu, tem większą, że trafiła do przekonania Konstantemu Gaszyńskiemu, który niebawem *Anhellego* istotnie przełożył na francuski.

Najobszerniej, bo bardzo obszernie, w artykule, liczącym kilkaset zwięzłych wierszy *petitu*, rozpisał się o *Anhellim* aż w dwóch numerach poznańskiego *Tygodnika literackiego* J. N. Sadowski. Jego *Kilka słów o Anhellim Słowackiego*, już dzięki temu samemu, że przeprowadzały filozoficzną pararellę pomiędzy tym poematem a *Irydionem* Krasińskiego, mógł Słowacki uważać za niemały komplement dla siebie, pomimo wszystkich zastrzeżeń, jakiemi był obwarowany ten artykuł. Bądź co bądź, artykuł był napisany poważnie, z uznaniem dla autora, którego stawiał nie o wiele niżej od Mickiewicza, choć obu stawiał niżej od autora *Irydiona*. Szkoda tylko, że krytyk, chcąc prawdziwe znaczenie *Anhellego* wyjaśnić, udał się w tym celu po światło — do Hegla i jego metafizycznej historyozofii.

W tymże *Tygodniku literackim*, wydawanym przez »poczciwego« Woykowskiego, w Nr. 13 z dnia 30 marca 1840 r. ukazała się wyczerpująco i życzliwie napisana kry-

tyka *Mazepy*, skreślona piórem Libelta, co sobie Słowacki musiał poczytywać za niemały zaszczyt, że o nim sam Libelt napisać raczył. Bo Libelt w tych czasach był jedną z wielkości poznańskich! Pisząc rozbiór krytyczny *Mazepy*, zaczął od tego, że są dwa rodzaje poezyi dramatycznej: wyższy, gdzie do walki stają olbrzymie siły, gdzie od wyniku jej zawisł los narodu lub wielkiego człowieka, jak np. w *Don Karlosie* Schillera lub *Egmoncie* Goethego; i niższy, któremu, jak w *Kabale i miłości* Schillera lub *Clavigo* Goethego, tragiczności nadają jedynie gwałtowne wstrząśnienia życia domowego, rodzinnego. Słowackiego *Mazepa*, zdaniem Libelta, należy do tego niższego rodzaju. »Autor, jakby z umysłu, otrząsł się ze szczytności, jaką mu nastręczały olbrzymie w nieszczęścia wypadki za panowania Jana Kazimierza. Zamknął nas w domu wojewody przy miłostkach o piękną Amelię, i tylko się domyślamy, że w okół uganiają się Tyszowieccy Konfederaci ze Szwedami i Siedmiogrodzianami, kiedy król tymczasem, którego tu w najniedołężniejszym widzimy charakterze, awanturuje się dla pięknych oczu *kpa, durnia*, pazia swego, i odklepuje *Ave Maria*. Autor, prócz podania o Mazepie, że się kochał w wojewodzinie, nic nie wziął z historyi; faktów historycznych nie zmyślił, ani nakręcał, ale z samej walki uczuć, i z sytuacyi, znakomitym ułożonych talentem, tragiczność przedmiotu — stworzył sobie«. Po tej uwadze ogólnej, następowało obszerne streszczenie utworu, suto illustrowane wyjątkami z tragedyi, przy scenie zaś, gdzie Zbigniew, zemdlony, leży u nóg Amelii, następowała uwaga, że »wyborny jest początek tej sceny«, jak wogóle scena ta »cała należy do najpiękniejszych miejsc w tragedyi«. Streściwszy — bardzo obszernie — cały utwór, krytyk wystąpił z zarzutami, dość ciężkiemi, a cięższemi o tyle, że im niepodobna odmówić słuszności. Przedewszystkiem uważał, że w całości brak wykończenia; że fugi i wiązania są zanadto namacalne; że całość nie robi wrażenia gmachu jednowymiarowego, lecz zdaje się zbudowaną z przystawek różnych, jakby klejonka scen pojedynczych, kiedy powinna, jako dzieło sztuki, robić wrażenie gładkiego odlewu z jednej formy; że właściwa tragedya rozpoczyna się dopiero z końcem drugiego aktu; że długi raport Chmary o zgiełku szlachty na podwórzu, gdy dwaj marszałkowie uwięźli we drzwiach, jest niepotrzebny zgoła; jak niepotrzebne jest owo błaznowanie Mazepy, kiedy wchodzi przez okno, gdy mógł wejść drzwiami; jak niepotrzebną jest pani Kasztelanowa, która z końcem 10-ej sceny I-go aktu już odjeżdża, i to nie wiedzieć, dlaczego. Uważał następnie, że w akcie

II-gim, rozpoczętym żwawą utarczką między królem a wojewodą, niezmiernie słaby jest powód oddalenia wojewody, którego luzuje Amelia, przychodząca poskarzyć się przed królem na pazia za ukradziony jej — pocałunek. »Czy przyzwoitem jest podobne oskarżenie z ust wstydliwej małżonki? Wątpię. Stosowniejsze byłoby zażalenie przed Zbigniewem albo przed mężem. Lecz autorowi było potrzebne to spotkanie króla z wojewodziną, aby nastręczyć okazyę królowi do wynurzenia sam na sam Amelii swoich miłosnych sentymentów: owo zaniesienie skargi musiało posłużyć za środek ku temu«. W akcie IV-m, zdaniem krytyka, Amelia, stawiona przed króla, dlatego nie zwraca uwagi ani na jedno jego słówko, ponieważ przyszła tam — dla następnej sceny, sceny, przy której był potrzebny i Zbigniew, a w której autor począł sobie »jeszcze nieszykowniej«. Autorowi był potrzebny Zbigniew, i dlatego król *nagle i bez przyczyny* ni ztąd, ni zowąd zapytuje wojewody: »Gdzie jest syn Waszmości?« »Nie wiem«, odpowiada ojciec, gdy wtem, jakby *Deus ex machina*, wchodzi Zbigniew. »A ot! i Pan Bóg zesłał mego syna!« Na to król zaczyna mówić — zupełnie o czem innem. Tak widoczne klejenie scen powtarza się w *Mazepie*, zdaniem Libelta, niejednokrotnie. Aby zamurowanego Mazepę wydobyć z owej nieszczęśliwej alkowy, musiano urządzić kaplicę dla króla — w sypialni Amelii, ażeby w czasie nabożeństwa mógł usłyszeć jęki zamurowanego, choć niewiadomo, co królowi mogło przyjść z kaplicy — w ostatnim dniu pobytu w domu wojewody. Aby Zbigniewa mieć przytomnym przy scenie w alkowie, odbywa się pożegnanie między nim a macochą — w jej sypialnym pokoju, choć to, jak na wstydliwą Amelię, ani dość przyzwoicie, ani dość podobne do prawdy. Takie były zarzuty Libelta. Pochwały zajmowały mniej miejsca. W ogólności przyznano Słowackiemu »zdatność na pisarza tragedyi«. »Jest w nim poezya żywa, namiętna; charaktery ludzkie umie uchwycić i oddać w najdelikatniejszych odcieniach; na grze uczuć zna się; sercem włada, a samą poetyczną treścią zachwyca«. Wielkie słowo! »Bo wiersz jego, jak przytoczone próbki pokazują, jest twardy i trudny. Rzekłbym, że autorowi zbywa raczej na technicznej zręczności odlewania dzieł tragicznych, aniżeli na zdolnościach«. Takie było zakończenie tej krytyki *Mazepy*, która mogła — i musiała w wielu miejscach — nie zadowolnić Słowackiego, ale, choć surowa, była sprawiedliwą przecież.

Skoro mowa o życzliwych i sprawiedliwych ocenach poezyi Słowackiego, to nie można nie zaliczyć do tej kategoryi *Wspomnienia o piśmiennictwie polskiem w emigracyi*,

wydrukowanego w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego* na rok 1840, w którym obok rozbiorów poezyi Mickiewicza, Goszczyńskiego, Góreckiego, Niemcewicza, Zaleskiego etc., także i Słowackiemu poświęcono obszerniejszy ustęp. Więcej nawet, ustęp bowiem, w którym była mowa o Słowackim, nierównie więcej zajmował miejsca, aniżeli inne, traktujące o współzawodnikach Juliusza. To był bezwarunkowo dowód bezstronności i braku uprzedzenia, na które się nawet Mickiewicz nie potrafił zdobyć z czasem, jako profesor literatur słowiańskich w *Collège de France*. Autor niniejszego »wspomnienia« (zdaniem niektórych, był nim Feliks Wrotnowski), przystępując do oceny twórczości autora *Mazepy*, zaczyna od tego, iż uważa go za pisarza jednego »z najzasłużeńszych w Emigracyi, a pierwszego co do niezmordowanej i *niczem niezrażonej* obfitości«, poczem dodaje, że wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, obojętność czytelników była mu zachętą, a »krytyka, posunięta do niesłusznej napaści, bodźcem«.

»My nie chcemy w ten sposób dodawać bodźca Juliuszowi Słowackiemu, jakiekolwiekby dobro miało ztąd spłynąć na literaturę; mówić o nim będziemy, jako o człowieku, którego talent uznajemy, a wolę mamy za godną szacunku. Powieści J. Słowackiego były pono pierwszemi płodami poetyckiemi Emigracyi. *Żmija*, romans ukraiński, pięknie wierszowany, przypominający w lirycznych kawałkach rytm Bohdana Zaleskiego, przepełniony świetnemi — a przytem nużącemi trochę opisami, ile że Słowacki ukraińską przyrodę tylko z posłuchu zaznał, jest przewodnią tego zbioru kreacyą. Parę ustępów z niego przeszło w pamięć czytelników; szczególniej to traktowanie hetmana wobec seraju, obraz Najśw. Panny dla popa, piastry dla kozaczej drużyny, gruzy pałacu kiedyś — na mogiłę hetmańską: wszystko to jest śmiało pomyślane i wystawione, a przypada do takich charakterów *de fantaisie*, jak Lary (Byrona), jak Żmii, pod które sztukmistrz może podkładać swą poetycką indywidualność, bez obrażania prawdy względnej. Następnie idące powieści: *Jan Bielecki*, *Hugo*, mają również zasługę błyskotliwej formy; niemniejsze zwierzchnie zalety znamionowały dwie wschodnie powieści, *Araba* i *Mnicha*, zresztą bardzo podejrzanego oryentalizmu. Wogóle wszystkiemu temu brakło cokolwiek duszy, ale kształty, chociaż tu i owdzie zdradzały nieraz pożyczkę, przecież śmiałym ruchem swym, obok pełnego wykończenia, zdały się zapowiadać artystę. Było to dość świetne wystąpienie. Pogrążenie umysłów w rzeczach polityki sprawiło zapewne, że nic naówczas nie pisano o poezyach Słowackiego; jednak zajmowano się niemi, wróżono rozmaicie. Dla jednych rodzaj zalet i niedostatków poety w tem pierwszem dziele był niepomyślnym znakiem na przyszłość: czytając te poezye, mówili, co parę stronnic odbiega cię uwaga, a jeśli wpatrzysz się w robotę szczegółów, wszystko piękne, skończone, mistrzowskie; w tem ci jest złe, bo widać ten pisarz już nic nie zyska z laty, ma już wszystko, co się zdobywa pracą, a brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba. Drugie stronnictwo, optymistów, do których należymy, tłómaczyło to jakoś na lepiej. Nie przecząc licha, co ubezwładnia poezyę Słowackiego, nie pozwalaliśmy, aby to była suchość duszy. On jest w pierwszej radości (mówiliśmy), w pierwszem upojeniu tworzenia; uderzył po strunach arfy, i sam zdumiony dźwiękami, jakie wydostał, gwałtownie budzi tę harmo-

nię, niedbały o jej logikę, znaczenie, cele; ale czekajcie, niech się oswoi z własną potęgą, a ujrzycie, że ta u niego jest tylko narzędziem wielkich pomysłów. Wszyscy odwołali się do przyszłości, przyszłość nadbiegła została obecną chwilą. W tym upływie czasu autor napisał wiele: przypomnienie *Korsarza*, *Lambro*, o nieskończonem konaniu; *Kordyan*, w współzawodnictwie z trzecią częścią *Dziadów*, i *Anhelli*, na cześć *Irydiona;* dwa dziwne poematy, które chyba Bóg osądzi, bo klucza do nich poeta nie udzielił żyjącym; trzy nowe powieści, pełne romantycznych ślicznostek, naprzykład, kiedy ojciec »owdowiały po żonie i dzieciach, opowiadając swoje rozpacze, przypomina, że »mysz w xiężycu przebiegła«; lub, gdy dziewica Alpejska chroni się do szaletu, drzwi i okiennice zawierając — dla ważnych powodów: »ażeby na nią nie patrzały kwiaty«; tragedye wreszcie, jakieś dawniejsze, tuż za pierwszemi powieściami zronione, i *Balladyna*, ta *Balladyna*, o której — wspaniałomyślnie przemilczym. Co tu dzieł! Jak krople ulewy, jedno po drugiem między publiczność spadło. A jednak, gdyby nas autor zapytał, co przenosimy z jego poezyjnego życia? odrzeklibyśmy, że nadzieje młodzieńca. Pierwsze powieści, choć więcej w poezyę zewnętrzną, a może w nią tylko samą bogate, są jeszcze — w naszem przekonaniu — szczytem twórczości Słowackiego. Kiedy wyszły, mistrz doświadczony, gruntując tę poezyę, nazwał ją piękną świątynią, w której nie było Boga: od owej chwili Słowacki, wziąwszy się do reform, wpadł na trafny pomysł: złoto i emalię zastąpił warstwą wapienną, ale — nie sprowadził bóstwa do swej świątyni«.

Na tem *Wspomnieniu* kończyły się oceny prac Słowackiego, które dlań wypadły mniej lub więcej pochlebnie, a które, bądź co bądź, były napisane życzliwie, bez uprzedzenia i niechęci. Niestety, nie brakło i takich, które były wprost »kąsaniem« poety, w których, jak się wyraził autor poprzedniego *Wspomnienia*, krytyka była posunięta do niesłusznej napaści, do niemiłosiernego a złośliwego znęcania się nad poetą, który nie chcąc należeć do żadnej koteryi, wszystkie miał przeciwko sobie, a zwłaszcza tę, która, złożona z Litwinów przeważnie, za bożyszcze swe uważała Mickiewicza. Z tego obozu wychodziły owe dotkliwe pociski, któremi Słowackiego »ci jezuici bezimiennie kąsali po różnych pismach«.

Temi »różnemi pismami«, które tu Słowacki ma na myśli, były dwa: poznański *Tygodnik literacki* i Januszkiewicza *Młoda Polska*, »jezuicki dziennik«, jak go nazywał Słowacki, a w którym głównym krytykiem i sprawozdawcą literackim był młody i wiele obiecujący, jako krytyk, Stanisław Ropelewski. Kto był autorem docinków, któremi w *Tygodniku literackim* szczypano Słowackiego? nie wiadomo. W każdym razie były to odgłosy rozmów, jakie na temat Słowackiego prowadzono w pewnych kołach, w kołach, w których ton nadawali Witwicki, Zaleski, Ludwik i Cezary Platerowie, i ich najbliżsi. Słowacki nazywał to grono »jezuitami«, ze względu na ich ultra-katolicki sposób myślenia, którego głównym propagatorem był Bohdan Jański, »pierwszy pokutnik jawny na emigracyi«,

a z którego to »odrodzenia religijnego« miało się zrodzić niebawem *Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego*. Słowacki, o ile sympatyzował z ks. Hieronimem Kajsiewiczem, o tyle nie lubił paryskich przedstawicieli tego ruchu, których nazywał pogardliwie »bigotami«, »Jezuitami«, etc. Co było powodem, że ich nie lubił, on, którego katolicyzm w tych czasach był taki dumny? Prawdopodobnie, że było to grono ludzi, przeważnie złożone z jego osobistych nieprzyjaciół, że należeli do niego Józef i Bohdan Zaleski, Stefan Witwicki, Stanisław Ropelewski, i inni, którzy mu zazdrościli jego »niezmordowanej i niczem niezrażonej obfitości«, czuli bowiem, że z nim nie mogą wytrzymać współzawodnictwa. Ztąd nizka chęć dokuczenia mu, wypływająca z miłości własnej, a nie z chrześcijańskiej miłości bliźniego, o której tyle rozprawiano w tem pobożnem gronie. Na to zaś, ażeby dokuczyć komuś, zawsze znajdzie się pismo, które taki wystrzał z za płotu wydrukuje. Nieprzyjaciele Słowackiego obrali na ten cel *Tygodnik literacki*, w którym jeden z jego »najszanowniejszych korespondentów« paryskich miał za zadanie: ile razy wypadnie pisać o nowem dziele Słowackiego, pisać tak, ażeby go w oczach czytelników ośmieszyć lub obniżyć.

Tak, kiedy się w Paryżu rozeszła pogłoska, że Słowacki znowu wydrukował jakiś dramat, tym razem z dziejów włoskich, ów »najszanowniejszy korespondent« posłał do Poznania takie o tym utworze *Doniesienie literackie*:

»Słowacki wydrukował nową tragedyę *Beata Cenic* (Beatrix Cenci). »Trudno, pisze jeden z naszych najszanowniejszych korespondentów, wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość (pisania): w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwo się tytułu jednej jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi. Ztąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi; utwory jego nie absorbują mu, jak innym pisarzom, życia«.

Kiedy miała wyjść *Lilla Weneda*, nie omieszkał zaraz »jeden z szanownych literatów« napisać do *Tygodnika literackiego*, że »P. Juliusza Słowackiego tragedya *Lilla Weneda* wkrótce wyjdzie z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie, jak i pierwsze płody tego autora, mało zrozumiała dla czytającego«. Łaskawiej obszedł się ten »szanowny korespondent« z *Balladyną*, o której, zanim się jeszcze ukazała na półkach księgarskich, pisał do *Tygodnika literackiego*, co następuje: *Balladyny*, tragedyi Słowackiego, druk ukończony. W przedmowie oświadcza autor, iż *Balladyna* jest tylko epizodem

wielkiego poematu w rodzaju Aryostą, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych«. I w tem »doniesieniu« można się dopatrzeć złośliwej ironii na temat owej łatwości pisania Słowackiego, o której była mowa w doniesieniu o *Beatrix Cenci*.

Wczytawszy się w te doniesienia owego »najszanowniejszego korespondenta«, mimowoli chce się zapytać: kto był tym »szanownym literatem«, tak dobrze poinformowanym o wszystkiem, co dotyczyło Słowackiego, iż pisał do *Tygodnika* o jego dramatach zanim się ukazały w druku, nie wyłączając takich, które się w druku nie ukazały nigdy, jak *Beatrix Cenci*, z czego wynika, że je musiał znać z manuskryptu. Bo w zastanowienie wprawiają te wyjątkowe informacye, które ten »najszanowniejszy korespondent« posiada o wszystkiem, co pisał lub drukował Słowacki. Albowiem trzeba nacisk położyć na to, że wszystkie przytoczone doniesienia uprzedzały wyjście pomienionych utworów Juliusza: o *Beatrix Cenci* pisał, że już została wydrukowaną, kiedy jej Słowacki nie wydrukował wcale (nad czem my tylko ubolewać możemy); o *Lille Wenedzie* pisał, że »wyjdzie wkrótce«: o *Balladynie* zaś, że jej »druk ukończony«. Znaczy to, że tym »najszanowniejszym korespondentem« był ktoś, co stał bardzo blizko Słowackiego, któryś z jego zaufanych »przyjaciół«, który musiał być świadkiem, jak się drukowały utwory Słowackiego, a któremu ten ostatni musiał niektóre z nich, jak *Beatrix Cenci* np., czytać w rękopisie: inaczej nie znałby tak dobrze jej treści, jak tego dał dowód w swem złośliwem doniesieniu. Musiał to być ktoś, co był bardzo *au courant* całej twórczości Słowackiego, ktoś, przed którym się Słowacki musiał zwierzać ze swych projektów poetyckich, ktoś, któremu musiał pokazywać korekty swoich tragedyi, albo ktoś, co miał możność widywania ich i przeglądania w drukarni, choćby bez wiedzy Słowackiego; ktoś, jednem słowem, co musiał stać w bliskich stosunkach z drukarnią, w której się drukowały utwory Słowackiego. Któż więc? Co do mnie, to jestem najmocniej przekonany, że tym »najszanowniejszym korespondentem«, a ukrytym wrogiem Słowackiego, nie mógł być nikt inny, tylko ów *ami faux et nuisible*, któremu Słowacki ufał o tyle, że mu swoje utwory, jako swemu księgarzowi, czytywał w rękopisie, a o którym słusznie wyraził się z czasem, że »lepiej jest mieć jawnego nieprzyjaciela, aniżeli przyjaciela fałszywego i szkodliwego«. *Mieux d'avoir un ennemi declaré qu'un ami faux et nuisible*. Ten »przyjaciel« był jego skrytym wrogiem, należał do nieprzyjaznego mu stronnictwa literackiego, czego zre-

sztą dowiedzie niebawem, posyłając wkrótce do tegoż *Tygodnika literackiego* swe tendencyjne opowiadanie p. t. *Improwizatorowie,* opowiadanie na to obliczone jedynie, ażeby niem uchybić Słowackiemu, ażeby go »cokolwiek zbić i strącić«. To samo przeznaczenie miało owe krótkie »doniesienie literackie«, poprzedzające wyjście wspomnianych tragedyi Juliusza.

Podobne stanowisko, jak ów »najszanowniejszy korespondent« *Tygodnika literackiego* zajął korespondent paryski słynnego pisma satyryczno-emigracyjnego, które w Strasburgu, p. t. *Pszonka,* wydawał Leon Zienkowicz, a którego głównymi współpracownikami byli: Seweryn Goszczyński, Lucyan Siemieński, Ludwik Mierosławski i Leonard Rettel. Rzecz dziwna zaiste! i korespondent *Pszonki,* niesłychanie podobnym piszący stylem, jak ów najszanowniejszy korespondent *Tygodnika literackiego,* kiedy mu wypadło dokuczyć Słowackiemu z powodu *Balladyny,* uczynił to, podobnie, jak jego szanowny kolega z *Tygodnika,* znowu przedtem jeszcze, zanim ta tragedya ukazała się w handlu księgarskim. Nadmienić należy, iż zaszczyt, aby o dziełach jego pisano przed ich wyjściem jeszcze, spotykał jednego tylko Słowackiego. Dowód to, bądź co bądź, że się w szczególny sposób interesowano jego osobą i wszystkiem, co pisał! Niestety! było to zainteresowanie się, którego źródła należało szukać w zawiści i niechęci osobistej. Cały legion małych ambicyi i ambicyjek czuł się podrażniony płodnością tego »pyszałka«, więc nie przebierano w środkach, ażeby go do pisania zniechęcić. Pod tym względem, krótka a złośliwa wiadomość o *Balladynie,* wydrukowana w *Pszonce* była tylko jedną zatrutą kroplą więcej, których »Jezuici-Litwini« jedna po drugiej starali się sączyć do czary goryczy Słowackiego. Na pytanie zaś, kto mógł być autorem tego paszkwilu przeciwko Juliuszowi, można dać przypuszczalną odpowiedź, że był nim prawdopodobnie ten sam »najszanowniejszy korespondent«, który Słowackiego w tym samym czasie kąsał bezimiennie w *Tygodniku literackim.* W każdym razie, była to osobistość dobrze poinformowana o wszystkiem, co robił i drukował Słowacki. Paszkwil ten, równie zgryźliwy, jak niedowcipny, był w tych słowach: »Juliusz Słowacki drukuje nowy dramat: *Balladyna.* Chcielibyśmy, aby mniej mówił już do *uszów,* a więcej *do kontuszów;* usprawiedliwia autora — ta dobra chęć chrześcijańska: niezapominania o tej części ciała, która jest główną ozdobą Babińczyków«.

Łatwo wyobrazić sobie, jak Słowackiego irytować musiały podobne kąsania. Ale wszystko to, niestety, było

niczem w porównaniu z dwiema krytykami, napisanemi o Słowackim przez Stanisława Ropelewskiego, a które pomieściła *Młoda Polska* Eustachego Januszkiewicza.

Kto był Stanisław Ropelewski? Był to młody, niespełna 30-letni, bardzo zdolny i bystry Litwin, który niebawem zasłynął jako świetny krytyk literacki. Protegowany przez kasztelana Ludwika Platera, w którego córce, Paulinie, był zakochany, bardzo szybko zdobył sobie rozgłos: zwłaszcza odkąd zaczął pisywać do *Młodej Polski*. Przekonań konserwatywnych i arystokratycznych, należał do owego katolickiego stronnictwa, które wśród emigracyi *katolikami* z przekąsem nazywano, choć nie znaczyło to, ażeby rzetelni katolicy, jak Jański lub Kajsiewicz, absolutnie polegali na nim. Kajsiewicz wyraził się o nim raz, że »kołysze się i drzemie w mglistej, czczej, sentymentalnej religijności«, dość silnie zabarwionej ideami protestanckiemi; a dla Jańskiego był to »dandy, tylko z opiniami katolickiemi, nie-praktykujący, próżny, chwiejący się, najniepewniejszy człowiek«. Jako człowiek, był to przedewszystkiem ładny chłopiec, rozpieszczony, zepsuty powodzeniem w świecie, blady na twarzy, tak, iż go Słowacki nazwie z czasem »blado-zieloną lalą«, a charakteru zniewieściałego, z wielką skłonnością w kierunku tchórzostwa. Umysł miał przenikliwy, zaostrzony wykształceniem i rozległem oczytaniem, a pisał bardzo dobrze, niekiedy świetnie, lepiej umiejąc ganić, niż chwalić.

W *Młodej Polsce* był główną siłą literacką i prawą ręką redaktora. Na pytanie zaś, czem była *Młoda Polska*, odpowiada Bohdan Jański w liście do Zaleskich z dnia 29 czerwca 1838 roku, w następujących słowach: »Nareszcie o *Młodej Polsce*. Wielceście się omylili. Ani Adam, ani Stefan, ani żaden z nas, ani litery nie umieścił. Dziwna to i misterna entrepryza, a w niej — widoma i niewidoma redakcya. Odkryję wam sekret, ale także *sub sigillo confessionis*. Uruski, galicyjski hrabia, dał pieniądze, Januszkiewicz *entrepreneur*, Ropelewski *main d'oeuvre*, a redaktor główny, Francuz, niejaki p. Jourdain«. Jeżeli chodziło o tendencye polityczne, to *Młoda Polska* chciała być organem *partyi katolickiej*, w Polsce i w emigracyi. Ale Jourdain występował z pretensyą instruktora, instruktora Polaków, a że nie umiał kontrolować tego, co się drukowało, ani mógł wiedzieć, co trzeba pisać, a nadto nie miał, jako Francuz, najmniejszych znajomości stosunków emigracyjnych polskich, nie znał kwestyi i różnych partyi politycznych naszych, więc, choć z *Młodej Polski* zrobił »organ partyi katolickiej«, katolicy, jak Jański, Witwicki, Mickiewicz i inni,

nie ufali mu, i do jego dziennika pisywać nie chcieli. Tem więcej szpalt miał do zapisania Ropelewski.

Jako umysł literacki specyalnie, najchętniej pisywał o literaturze, o poezyi, zwłaszcza o poezyi, która mu się nie podobała, a o której nie chciał pisać dodatnio. Do ostatniej kategoryi należały utwory Słowackiego, najprzód *Trzy poematy* i *Dantyszek*, a następnie *Balladyna*.

O *Trzech poematach* zabrał głos w dodatku do Nr. 8 *Młodej Polski*, z dnia 21 marca 1839 r., rozpisawszy się — w trzech czwartych artykułu — na temat, że »poezya, w dzisiejszych czasach okazuje dziwną wytrwałość: coraz liczba czytelników się umniejsza, a w stosunku odwrotnym idzie ilość utworów poetycznych. Jak się ten spór skończy? Trudno przesądzać«. Tymczasem, »jeżeli zimni słuchamy poezyi dzisiejszej, to dlatego głównie, że w ogóle jest ona fałszem, albo, co gorsza, osobistem prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznemi uroszczeniami. Być może zresztą, że ta maskarada charakterów maluje dobrze nas i naszą epokę, i, choć niewabną, będzie, pod tym względem, *historycznie* ciekawą dla przyszłych pokoleń«.

»Bez poprzednich uwag ogólnych o dziwnym rozbracie poezyi ze społecznością, niepodobna by nam było wytłómaczyć, z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd bez echa w narodzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. Musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowaniu poezyi między Polską a panem Słowackim, kiedy, mimo uroczą świetność formy, nie przyjął się lepiej na jej gruncie. Przecież Polska, jak dotąd, miała mało pisarzy, mało stylów w poezyi, i, jak dziecko, łakoma jest zewnętrznego połysku. Trzy nowe poematy p. Słowackiego świadczą o uznanej już piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ile mybyśmy życzyli. Pierwszy poemat, *Ojciec Zadżumionych w El-Arish* (El-Arisz) jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale ustępem tylko: a co do pomysłu, jest to znowu przerysowanie owego ustępu, który p. Słowacki umie na pamięć:

La bocca sollevo dal fiero pasto
Et peccator, itc. etc.

Jednakże *Ojciec Zadżumionych* jest najlepszym z *Trzech poematów*. Drugi, pod napisem *W Szwajcaryi*, należy do tej osobistej poezyi, która, gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniuszu, albo jest źródłem jakichś nowych natchnień lirycznych, zwykle zajmuje więcej pisarza samego, niż czytelników. Ostatni poemat, *Wacław*, nawet w mniemaniu autora potrzebował usprawiedliwienia; ładnie pisany, jak wszystko, co pisze p. Słowacki, nie tłumaczy jednak poety: ani z zaufania, że się pokusił o dalszy ciąg *Maryi* Malczewskiego, ani — szczególniej — z braku artystowskiego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu«.

Jak dotąd, można się było jeszcze pogodzić z tą kry-

tyką, która jakkolwiek ostra, bo odmawiała poetycznej wartości wszystkim *Trzem poematom*, miała jednak na pozór pewne cechy życzliwości. Niestety, były to pozory tylko, pod któremi co się ukrywało, świadczyło zakończenie tego artykułu, poświęcone *Dantyszkowi*, a brzmiące, jak następuje:

»Poemat *O piekle* nie nosi nazwiska autora: ostrożność bardzo na miejscu«.

Już to oświadczenie było nieprawdą, gdyż *Dantyszek* wyszedł jako dzieło Juliusza Słowackiego.

»Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa, czy jaki człowiek talentu napisał to na żart, dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś, w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapie; jeżeli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy mu, aby tytułów, jakie mieć może do poczciwości, nie wymieniał na tytuł — śmiesznego poety.

Z. K.

Szczegół charakterystyczny, że autor podpisał się inicyałami *Z. K.*, zamiast, jako Stanisław Ropelewski, podpisać się literami *S. R.*, jako pierwszemi literami swego imienia i nazwiska. Litery *Z. K.* nie pozwalały się domyślać, kto jest prawdziwym autorem tego artykułu, a pozwalały przypuszczać, że nim być mógł np. Zygmunt Krasiński. Ten zwyczaj podpisywania się fałszywemi inicyałami pod artykułami, za które nie chciało się brać odpowiedzialności na siebie, dość stale był uprawiany przez współpracowników lub wydawców *Młodej Polski*: nie dalej, jak za kilka miesięcy, ukaże się w *Tygodniku literackim* artykuł o *Improwizatorach*, podpisany inicyałami *N. O.*, co wszystkich utwierdzi w przekonaniu, że artykuł wyszedł z pod pióra Napoleona Ordy, a co odwróci podejrzenie, że autor tego paszkwilu, gdyby się podpisał swemi prawdziwemi inicyałami, powinienby się podpisać *E. J.*

Słowacki tymczasem, przeczytawszy ten artykuł o sobie p. *Z. K.*, był oburzony i dotknięty do żywego, a zamiast stłumić gniew, nie okazując nikomu, jak go zabolała ta krytyka niewiadomego autora, nie zapanował nad sobą i w przystępie pierwszego rozżalenia napisał — najniepotrzebniej — *Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana Z. K. o poezyach Juliusza Słowackiego*, które się ukazały już w następnym numerze *Młodej Polski* (w dodatku do Nr. 9, d. 30 marca 1839 r.). Odpowiedź była smutna, pisana krwią serca własnego, a miejscami zaprawna niemałą dozą żółci. Chodziło o to, ażeby wytłómaczyć panu *Z. K.*, co jest przyczyną niepoczytności poezyi autora *Anhellego*, ażeby mu

odpowiedzieć na to pytanie, które dla poety było kwestyą życia i śmierci. Dlatego, jak to zaznaczył na samym wstępie swej repliki, wolał odpowiedzieć zaraz, »niż odpowiedź tę zostawiać do zapełnienia kart wstępnych jakiego przyszłego dzieła, jeżeli mu, jak się wyraził tonem skargi, na nowe prace Bóg dosyć życia, a publiczność zniechęcająca — dość cierpliwości i zapału zostawi«.

»Ostatni krytyk *Trzech poematów* dotknął najgłębiej strony sumienia mego zapytaniem: dlaczego pomimo wytworności kształtów, poezye moje tak mało mają odgłosu w Polsce. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którem ja, jak Hamlet, rozmyślam, a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tymczasem kwestyi tej pan *Z. K.* długim wstępem swoim do krytyki *Trzech poematów* nie rozwiązał. Bo ze wstępu wiemy tylko, że pan *Z. K.*, a z nim Polska, lubi czytać Biblią, Danta i Manfreda, a nie lubi moich poematów. Już to zbliżenie moich poezyi do wielkich mistrzów jest dosyć pochlebne dla mnie, chociaż w celu zniechęcenia mnie zrobione, ażebym się za nie mógł szczerze gniewać«.

Dlatego, chociaż go, jak się wyraził, ta oziębłość polska przywodzi do rozpaczy, odpowie panu *Z. K.*, czemu należy przypisać, że poezye jego, dotąd i na długo zapewne, a może i na zawsze nie miały odłosu w Polsce.

Pierwsza i główna przyczyna była ta, że w jego pierwszych poezyach nie było duszy. Dlatego »teraz muszę śpiewać bez echa, choć śpiewam inaczej; albowiem Polska niema ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników, dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety«. Drugą przyczyną była ta »wyrachowana obojętność ze strony tych poetów naszych, którzy dość mają lekko zrobionej sławy, a wszelako stoją, jak Koklesy, na moście literatury, czekając, aż go Car zrąbie, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów poezyę polską«. Kto byli ci poeci? Tego nie powiedział Słowacki wyraźnie (ze względu na pismo, w którem tę odpowiedź umieszczał), ale domyśleć się łatwo, że wskazywał na Mickiewicza, Zaleskiego i Witwickiego, że nie wymieniając ich z nazwiska, ich nazywał tymi poetami, »którzy podobni do ministeryów politycznych, razem się niegdyś związawszy w opozycyę przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło, a dziś są przeciwko nowym autorom — również partyą Osińskich i Koźmianów«. Trzecią przyczyną był wpływ, jaki na polską publiczność wywierały takie artykuły, jak ostatni artykuł pana *Z. K.*, który *Ojca Zadżumionych* chce zrobić naśladowaniem Ugolina, »tak właśnie, jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby, tracącej dzieci, jest naśladowaniem posągu Lao-

kona z dwoma synami zjedzonego przez węże«. Temu należy przypisać, że »poezye Słowackiego są bez rozgłosu w Polsce«; że »dusza Anhellego napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do Ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami«; i że wreszcie »biały *Anhelli* i ciemny *Ojciec Zadżumionych* i Nimfa Szwajcarska i *Wacław* z Eolionem, jeszcze długo będą figurami niezrozumiałemi dla duszy narodu«. Na szczęście pozostawała nadzieja, że kiedyś może »jaka nagła błyskawica oświeci oblicza tych tworów i pokaże je oczom narodowym — przeźroczystemi aż do głębi serca«.

»Cóżkolwiekbądź, sumienie mi powiada, że przez ośm lat pracowałem bez żadnej zachęty, dla tego narodu, w którym epidemiczną chorobą jest uwielbienie (dla Mickiewicza np.), jak epidemiczną chorobą jest oziębłość (dla Słowackiego np.), a pracowałem dlatego jedynie, aby literaturę naszą, ile jest w mojej mocy, silniejszą uczynić. Przez ośm lat każdą chwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, aby ją temu wyłącznie poświęcić celowi. Jeżelim go nie osiągnął, to dlatego, że mi Bóg dał więcej woli, niż zdolności....

Juliusz S.«

Czytając tych »kilka słów odpowiedzi« Słowackiego, jest się wzruszonym tym głębokim smutkiem, jaki z nich tchnie w każdym wierszu, i niemal że się widzi łzy, które poeta musiał mieć w oczach, kiedy odpowiedź tę pisał. Innego wrażenia przy czytaniu tej odpowiedzi doznała redakcya *Młodej Polski* (najniezawodniej w osobie Ropelewskiego), która nie mogąc tego »artykułu nadesłanego« nie wydrukować, zdecydowała się umieścić go, ale z następującym przypiskiem, który jest w tym samym stopniu złośliwy, jak odpowiedź Słowackiego jest pełna niewypowiedzianego smutku.

»Pan J. Słowacki zdaje się mieć jakieś powody goryczy względem ludzi, których my uważamy za prawych naczelników polskiego intellektualizmu, których sławę mamy nie za l e k k o, ale za ł a t w o zrobioną; bo zdobycze geniuszu są tak naturalnego pozoru, że nie zdają się kosztować ni usiłowań, ni trudu. Otóż nie chcielibyśmy, żeby, czy to publiczność, kochająca imiona tych ludzi, czy to oni sami, sądzili, iż umieszczając list p. Słowackiego, bierzemy na siebie wspólnictwo o narodowej ich sławie cierpko i l e k k o wyrzeczonego sądu«.

Przez owych ludzi, których w tym przypisku *Młoda Polska* uważała »za prawych naczelników polskiego intellektualizmu«, należało rozumieć Mickiewicza i jego szkołę; autorem zaś, który pod odpowiedzią Słowackiego umieścił to zastrzeżenie ze strony redakcyi *Młodej Polski*, był z pewnością Stanisław Ropelewski, który od tej chwili postanowił skorzystać z pierwszej sposobności, ażeby o Sło-

wackim napisać innym tonem, aniżeli o nim napisał z powodu *Trzech poematów*.

Sposobność nadarzyła się niebawem: wyszła *Balladyna*. Jakkolwiek wypadło wrażenie, którego przy odczytaniu tej tragedyi doznał Ropelewski, krytyka, jaką napisał o niej, była ostatniem słowem niesprawiedliwości literackiej. Napisana w tym celu niewątpliwie, ażeby raz na zawsze wytrącić Słowackiemu pióro z ręki, jest zbyt ważną, i jako jeden z głosów ówczesnej prasy o Słowackim, i jako przyczynek do charakterystyki stosunków, w jakich musiał żyć i tworzyć Słowacki, ażeby jej nie przytoczyć na tem miejscu *in extenso*, pomimo, że ze wszystkich krytyk, jakie dotychczas napisano o Słowackim, ta była najdłuższą i — nazwijmy rzecz właściwem imieniem — najnikczemniejszą. Ogłosiła ją *Młoda Polska* z d. 10 października 1839 r.

»*Balladyna.* Tragedya w 5 aktach, przez Juliusza Słowackiego. Paryż, 1839, in -18.

Tyle dobrych pogłosek, z pewnego źródła, bo od samego autora i przyjacielskiej drużyny czerpanych, biegało o *Balladynie*, żeśmy sobie obiecywali oddać się dziś uwielbieniu, otrzymać od poety świadectwo mądrości klasycznej i naprawić dawną niezgrabność, jaką popełniliśmy, nie umiejąc uznać w *Trzech poematach* i w *Dantyszku* owych piękności pierwszego rzędu, widnych ojcowskiemu oku P. Słowackiego. Po przeczytaniu *Balladyny* rozchwiały się nasze nadzieje; tak losy kazały, spadniemy jeszcze w mniemaniu poety: zostaniemy zawsze nikczemnym krytykiem; ale przynajmniej na ten raz nieobwini nas P. Słowacki o nietrafne porównania. Przypomni sobie czytelnik, że chwaląc *Ojca Zadżumionych*, dodaliśmy, iż uczucie ożywcze tego poematu, męczarnia ojca, patrzącego na śmierć swych dzieci i niemogącego nieść im ratunku, jest pożyczone z *Boskiej Komedyi*, z ustępu Ugolino, nie wchodząc czy tu umierają z głodu a tam z dżumy, tu w więzieniu a tam pod namiotem, tu prędzej a tam później ojciec idzie za dziećmi. W czułej odpowiedzi, która nas do głębi poruszyła, P. Słowacki powiada: porównywacie posąg żałobnej Nioby z posągiem Laokona wraz z dziećmi zjedzonego od wężów. P. Słowacki używa tu sam bardzo śmiałego porównania, ale my nie porównywaliśmy wcale; mamy wogóle wielkie poszanowanie dla pamięci umarłych, zwłaszcza, gdy kilkowiekowa chwała ocienia ich grobowiec; czego wziąść nam za złe nie może P. Słowacki, on, który wymaga tyle czci dla sławy młodocianej, dotąd osobistem przekonaniem zastępującej uznanie powszechności. Cokolwiekbądź, dziś mówiąc o *Balladynie*, unikniemy nawet pomówienia o usterk podobny, bo doprawdy, że nie znajdujem z czemby *Balladynę* porównać. Nie jest to tragedya grecka, ani Szekspirowska, ani hiszpańska, ani z tych wyrodzona niemiecka; w całej książce (wyjąwszy przedmowy) nie widać nawet życzenia ze strony poety, aby to była tragedya polska, powiedzielibyśmy, że jest arabska, ale jak się z tak awanturniczej definicyi wytłumaczyć? czy arabska co do form? w literaturze arabskiej niema nic podobnego do dramatu; czy arabska co do ducha? tegośmy nie dostrzegli; a potem, dobrze powiedzieć dla pocieszenia autora, byłoby jedną śmiesznością więcej w poemacie napisanym, aby przedhistoryczne dzieje Polski rozjaśnić. *Balladyna* jest tragedyą, jakiej drugiej nie ma, nie było, i nie będzie — jeśli P. Słowacki zechce nam nie dotrzymać obietnicy, i wyrzecze się pięciu zapowiedzianych jej rówiennic.

Oto jest osnowa *Balladyny:*

Rycerz Kirkor ma serce na zbyciu, i jest w kłopocie, kogo niem uszczęśliwić; idzie więc po radę do Pustelnika, do lasu. Kreacye p. Słowackiego są pełne ufności w siebie, jak sam poeta; to też rycerzowi nie wpada na myśl, że z tą się ożeni, która go zechce, ale uważając za rzecz dowiedzioną, że wszystkie do niego wzdychają, pyta gdzie ponieść radość, gdzie zostawić płacz i rozpacze. Rycerz patrzy wysoko, przesuwając bowiem przed okiem Pustelnika wieniec kobiet czekających na wybór, zaczyna bez wahania się od królewnych; może nie byłoby od rzeczy pojąć królewnę? Na to zadrżał Pustelnik, i wnet w jednem emergicznem życzeniu obejmując króle, królowe i królewne, zawołał: bodaj ich pioruny! »Kto jesteś starcze?« przerywa mu trafnie Kirkor — a Pustelnik, jakby z niechcenia upuszcza z wargi odpowiedź: »Ja... król Popiel trzeci«. Tu, na złość *Towarzystwu Demokratycznemu*, co w czasy Popielów odnosi błogi stan równości społecznej polskiej, P. Słowacki każe klękać Kirkorowi, a co gorsza kładzie mu w usta te słowa, za któreby go warto przed sąd centralizacyi powołać:

»Uzbrajam chamy i lecę do Gniezna«.

Mścić się Popiela Pustelnika na Popielu Samozwańcu. Ale zanim Kirkor pobieży, Pustelnik czuje się w obowiązku zapytać go czyli zleciał z nieba złotemi skrzydłami anioła? Nasz rycerz nie śmie przyznać się do niebieskiego początku, żeby jednak usprawiedliwić swój pochop do zemsty, przeciw pytaniu Pustelnika stawia takie pytanie:

Ma-li
Gadom przepuszczać rycerz uskrzydlony
Orła piórami?

Rzecz widoczna, że nie. — Jakoż ta prawda uderza Pustelnika, który już uroczyście i wieszczo mówi Kirkorowi:

O mężu ze stali!
Ty jesteś jeden z owych, którzy walą trony.

Zdaje się, że teraz nie mają co sobie więcej powiedzieć, i że powinniby się rozejść, pomnąc zwłaszcza na gorącą ochotę Kirkora. Ale nasz rycerz legitymista jest przytem niewyczerpany gaduła, bo jak gdyby nic nań nie czekało, w najlepsze opowiada Pustelnikowi rzeczy, których ten musiał być równie świadomy: o krwawym Popielu, o żywieniu karpiów ciałami niewolników, o suszy, nieurodzaju, szarańczy. Pustelnik przerywa tę litanię wykrzyknikiem: »Ah! jam przeklęty, przeklęty, przeklęty!« i ztąd wysnuwa się długa znowu historya, o koronie Lecha, do której szczęście ludu było przywiązane, a którą Pustelnik uniósł zepchnięty z tronu; o pochodzeniu tej korony, jak król Scytyjski, wracając z Betleem, zabłądził w polskiem życie, jak zaszedł do Lecha i w zakład przyjaźni zostawił mu tę koronę, itd. Kirkor powtórnie leci na boje, ale przypomina sobie, że tu przyszedł szukać nie królów, lecz żony, czyli, aby nie pozbawić czytelnika złotych wyrazów poety, pieńka, na którymby zaszczepił rodowe drzewo Kirkorów. Pustelnik upewnia rycerza, że na ten cel najprzydatniejsza jest dziewczyna uboga, i tu się rozstają: jeden biegnie patrzeć, gdzie jaskółka ulepiła gniazdeczko, aby tam wybrać małżonkę, a drugi zawraca do celi, kiedy zatrzymuje go nowy oryginał, Filon, karykatura nowoczesna, gadająca wierszami, co przed kilkunastu laty były może wyrazem osobistych uczuć P. Słowackiego. Po czterech stronnicach gadaniny Filon i Pustelnik, biorąc się nawzajem, i nie bez powodu, za waryatów, każdy w swoją drogę odchodzą. To jest scena pierwsza.

Nie będziem tyle nadużywać cierpliwości czytelnika, ani naszej na tak ciężką brać próbę, abyśmy równie szczegółowo skreślali całą osnowę dramatu: chcieliśmy tylko dokładnem opowiedzeniem pierwszej sceny, dać

poznać umiejętność dramatyczną autora i naturę dyalogu. Wszystkie inne przychodzą w tejże samej konieczności logicznej, i tyleż potrzebnemi rozmowami są napełnione. W drugiej scenie Goplana, królowa jeziora, zwierza się przed swymi djablikami, że się pokochała w chłopie pijaku, potem chce gwałtem wziąść serce pięknego, a kiedy ten wyznaje na swą obronę, że już ma kochankę, Balladynę, Goplana każe jednemu dyablikowi tumanić pijaka, gdy będzie szedł do kochanki, a drugiemu łamać powóz przejeżdżającego Kirkora, zaprowadzić go do chaty, gdzie mieszka Balladyna z siostrą, i rozkochać; ale nie powiedziała w której. Kirkor więc kocha się w obudwu — trudny wybór — matka dziewczyn podaje sposób: niech idą raniuchno na maliny, a która pierwsza dzbanek malin przyniesie, ta będzie żoną Kirkora. Przewybornie! dziewczyny poszły. Alina pierwsza dzbanek napełniła, Balladyna Alinę zabiła — istna bajka, jakie stara kucharka przy piecu rozpowiada kredensowej i kuchennej gawiedzi, i paniczom wymykającym się z pod oka guwernera dla słuchania cudownej powieści. Na tem zabójstwie kończy się akt pierwszy; ale Balladyna, po chwili materyalnego strachu, tak sobie upodobała w zabijaniu, że przez cztery następne akta będzie zarzynać, wieszać, truć, i wiejska dziewczyna nie będzie miała chwili zgryzoty, chwili zwątpienia, nie spyta się siebie, gdzie mord prowadzi.— Nadzwyczajna to tragedya?

Nie możem pominąć uwagi, że to wplątanie świata nadzmysłowego w osnowę jest tu zupełnie niedorzeczne, bo nieusprawiedliwione żadną koniecznością. Zapewne, wolno sztukmistrzowi wprowadzić w machinę poematu siły i figury z poza widzialnych krain, ale to być powinno w tem przesileniu dramatu, w tem nastrojeniu duszy głównej jego osoby, iżby sam widz lub czytelnik pojmował, a nawet koniecznie przypuszczał wdanie się tu władzy nadzmysłowej. Obaczmy teraz, poco było P. Słowackiemu potrzebnem, wprowadzać tę niby mythologię polską w ów dramat, którego epokę zrobił już chrześcijańską, kaprysem swojej wszechmocności. Oto potrzeba mu było, aby opój nie trafił po nocy do domu, i ugrzązł w błocie, i aby młody rycerz zakochał się w pięknej dziewczynie. Zdaje się, że to zawsze przychodzi w naturalnym biegu rzeczy, i właściwiej daleko przypisaćby można Goplanie, gdyby pijak szedł prosto i widział dobrze, a młody, próżnujący Pan kastelu nie gonił za miłostkami i nieczule patrzył na piękność.

Przepraszam, pomyliłem się; nie w pierwszym akcie Balladyna zabija Alinę: w pierwszym wszyscy spać idą. Ale niema nic straconego; zabójstwo przyjdzie swoją koleją o kilka stronnic później, a tymczasem z okoliczności tego, co djabliki, Grabiec i Filon bają na wstępie drugiego aktu, biorę pochop do następującej uwagi ogólnej. Humorystyka jest pole najnieszczęśliwiej uprawiane od naszych poetów. Ilekroć im się zdaje, że rozprowadzają po karcie to cieniowanie z szyderczego uśmiechu, bezłzawego żalu, dziwacznych potworów, to błazeńskich, to strasznych, to rzewnych, mających budzić w czytelniku grę najsprzeczniejszych wrażeń, tyle razy płynie z pod ich pióra szczerozłote — bez żadnego aliażu — głupstwo. Kto się chce przekonać o tej prawdzie, ma obfite żniwo przykładów w *Balladynie*, gdzie czwarta część wierszy, odmówiona przez djabłów, dzieci wiejskie, Grabca i Filona, jest całkiem pozbawiona sensu.

Teraz podnieśmy ów nieszczęśliwy wątek dramatu, co nam wypada z rąk pomimo chęci naszej. Kirkor żeni się z Balladyną, i wkrótce, pamiętny przyrzeczeń danych Pustelnikowi, wyprawia się do Gniezna. Żegnając żonę, tai przed nią cel wyprawy; Kirkor chce w sekrecie jednego króla wyrzucić z tronu, a drugiego na nim osadzić. Odjeżdża — wiedzieć zaś należy, że Balladyna odkąd zabiła siostrę, nosi krwawą plamę na czole, którą zakrywa przepaską; odjeżdżając, Kirkor prosi żonę, aby na powrót jego zdjęła przepaskę: Balladyna więc w chwili oddalenia mężowskiego bieży do Pustelnika, po radę, jakby tę krwawą plamę zagoić.

Pustelnik odgaduje w niej zabójczynię siostry. Balladyna wraca do zamku, ale dowódzca zamkowy von Kostryn, poszedł był za nią ku chatce Pustelnika; ukryty, wysłuchał tajemnicę, a teraz chce się z nią dzielić pieniędzmi, zamkiem i zbrodniami. Balladyna i von Kostryn są wkrótce w porozumieniu; zabijają Gralona, wysłańca od Kirkora: niezadługo zabiją Grabca. Grabiec zdaje się czytelnikowi niewinną figurą, przecież ten Grabiec od czasu znajomości z Goplaną, był już raz wierzbą a teraz jest królem dzwonkowym. Do stroju królewskiego djablik ukradł dla Grabca koronę Pustelnika, Grabiec więc w tej chwili prawym królem Lechitów i ucztuje w zamku Balladyny. Kiedy się spać położył, Balladyna go zarżnęła; i jest królową — Kostryn powiesił Pustelnika; potem spólnem usiłowaniem sprowadzili śmierć Kirkora, potem jeszcze parę zabójstw, Balladyna truje Kostryna i matkę na torturach zamęcza — wreszcie piorun w nią trzasł, i tragedya się skończyła.

W czem te kilkadziesiąt scen bez logicznego związku między sobą, bez względu na czas i miejscowość, bez poezyi, bez stylu, bez historycznej prawdy: w czem ten djalog pełen niedorzeczności i krwi, ma rozjaśnić starożytne dzieje Polski? nie wiem.

Kiedyśmy doczytali ostatniego wiersza i zobaczyli ów błogi wyraz koniec, zdjęło nas jakieś zdumienie i powątpiewanie zarazem. Wprawdzie w liście do autora *Irydiona*, P. Słowacki dość szeroko o sobie wspomina, ale w całym dramacie nie miał sposobności ani słówka umieścić; nie wierzyliśmy, aby tak książkę na świat wypuszczał.— W dramacie ani słowa! Prologu niema — musi tu być epilog! Coś nam szepnęło. Jakoż, odwracamy stronnicę — patrzym — jest epilog! Wypisujem z niego ostatnie wiersze:

Publiczność.

Cóż powiadasz na piorun?

Wawel.

Sądzę o piorunie,
Że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony?
Że gałązka laurowa lepsza od korony,
Bo w laur piorun nie bije, ani głowie szkodzi.

Publiczność.

Czy jesteś tego pewny?

Wawel.

Ten, co w laurach chodzi,
Autor niniejszej sztuki słusznie wam odpowie:
Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,
Piorun weń nie uderzył.

A no! to przecie i ładne, i uczące; bo mówi rzecz, którejby się czytelnik *Balladyny* nigdy nie domyślił; i stosowne do zwyczaju poety.

Wielki Boże! że też człowiek talentu, artysta, a zatem człowiek delikatnych odcieni, nie czuje, jaką to ckliwość musi obudzać w czytelnikach to grube pochlebstwo samemu sobie; co większa! że też sam szczęśliwy jest tą ofiarą, której jest bożyszczem i kapłanem. Szkoła nieprawych dzieci Byrona exagierując błędy mistrza, zaczęła od apoteozy dumy, a skończyła na apoteozie własnej. Od 1820 roku prawie wszyscy poeci byli dumni i bladzi; duma i bladość jest cechą rodzajową poetów lub pseudopoetów. Zostawim im bladość, na której ma przeglądać cała gra ich wielkich myśli i wielkich namiętności, ale zaprzeczym im dumy.

Duma jest to namiętność milcząca; że w sobie samej szuka zadowolenia, przeto ani dba, czy ją odkryto, ani śpieszy zawiadomić publi-

czność o swoim bycie. Ale komu na ustach: »jestem dumny, spojrzałem dumnie, odpowiedziałem dumnie«, albo co gorsza, kto to pisze i drukuje na tysiące exemplarzy, ten dalibóg niesłusznie się oskarża: podobny jest maniakom, co się za umierających podają, choć jedzą dobrze, śpią dobrze i kwitną czerstwym rumieńcem. Przecież lekka nauka synonimów wywiodłaby go łatwo ze złudzenia i oświeciła, że co on bierze za szatański, boży grom wywołujący występek, jest tylko pretensyą, śmiesznością towarzyską, odpowiedzialnością przed biczem Arystofana. Mój Boże! i po co tu robić się większym grzesznikiem, niżeli się nim jest rzeczywiście? Zwiedzając kraje ciemności, wieszcz średnich wieków spotykał tłumy, którym ogromne ciężary chyliły czoła ku ziemi; byli to dumni, i Dante uczuł ciśnienie na barkach swoich; autor zaś *Balladyny*, jeśli nic niema na sumieniu, oprócz opisanej przez nas zdrożności, to może być pewny, że pójdzie prosto do nieba, a za całą karę będzie musiał doń wchodzić z miną buńczucznie nastrojoną i przywitan będzie u progu serdecznym śmiechem chórów niebieskich«.

Ta krytyka *Balladyny*, głównie obliczona na to, ażeby Słowackiego nietylko zabić, ale i ośmieszyć, a więc raz na zawsze strącić z poetyckiego Parnasu, była nietyle wyrazem osobistej niechęci Ropelewskiego, ile zbiorowej niechęci, jaką względem poety żywiła cała koterya ludzi, całe literackie stronnictwo; świadczyło o tem, jeżeli już nie co innego, to owa skwapliwość, z jaką Eust. Januszkiewicz, mieniący się »przyjacielem«. Słowackiego, zgodził się na wydrukowanie tej krytyki w *Młodej Polsce* — w niespełna miesiąc po wyjściu *Balladyny* — krytyki, napisanej, jakby się wyraził Macaulay, z przenikliwością, zaostrzoną przez nienawiść, a której autor, przemilczawszy o zaletach, jakby ich nie było w *Balladynie*, podkreślił i ośmieszył wszystko, co w niej było istotnemi wadami i usterkami; a że pisać umiał, więc biada Słowackiemu! Że ten ostatni nie padł od tego ciosu, od tego śmiertelnego sztyletu, zatrutego jadem najzłośliwszego dowcipu (bo nic tak nie zabija, jak śmieszność); że i z tej napaści wyszedł nie zabity na duchu, choć ranny bardzo dotkliwie, to zasługa jego miłości dla poezyi, którą ukochał silniej, aniżeli siebie samego, a na której ołtarzu złożył wszystko, nawet miłość własną. Swoją drogą musiał cierpieć bardzo, przeczytawszy ten rozbiór *Balladyny*, zwłaszcza, kiedy się zastanowił, jakiemi pobudkami powodowała się redakcya *Młodej Polski*, ogłaszając podobny artykuł....

Nic dziwnego więc, że w nim wiara w użyteczność prac jego chwilami upadać zaczęła; że niekiedy podlegał zniechęceniu, a przedewszystkiem głębokiemu smutkowi, który mu, jak robak, toczył duszę. Poetycznym wyrazem tego cichego smutku, który w tych czasach stał się głównym motywem w jego usposobieniu, były dwa listy *Do autora Irydiona*, pomieszczone, zamiast przedmowy, na czele

Balladyny i *Lilli Wenedy,* listy, w których poeta, skarżąc się melancholijnie — a przedziwnie piękną prozą — na to, że jego pieśni żadnego nie wywoływały westchnienia, żadnego nie zyskiwały oklasku, oświadczał wprost, że *Lillę Wenedę* np. pisał »dla niego jedynie«. »Tylko Ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczów, tylko Ty nie daj mi uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Na Odyna! Niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającemi ustami wracam pod skrzydła Twoje ochłonąć«.

Jedynym człowiekiem bowiem, z ówczesnej plejady głośnych pisarzy, który się odrazu na Słowackim poznał, był Zygmunt Krasiński. Wszystko, cokolwiek od ostatniego ich widzenia się we Florencyi ogłosił Słowacki drukiem, wszystko — z jedynym wyjątkiem *Dantyszka* — wydało się Krasińskiemu niepospolite, jako poezya, a wprost nieporównane z niczem, jako wiersz, jako forma, jako język. Nie był ślepy na niektóre wady, ale doskonale zdawał sobie sprawę z pierwszorzędnych zalet, zarówno *Trzech poematów,* jak *Balladyny* lub *Lilli Wenedy,* choć tej ostatniej robił więcej zarzutów, niż poprzednim utworom Juliusza. O *Trzech poematach* tak pisał w swoim liście o Słowackim do Romana Załuskiego: »Pięć jego przedniejszych dzieł: *Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi, Wacław, Anhelli, Balladyna.* Pierwsze ma w sobie potęgę Laokońską boleści, tylko że nie rzeźba, ale farby malarskie użyte do wydania myśli. Drugie jest tak prześlicznie idylliczne, a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonej nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przeźrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wiszeń nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które go kocha i szczęsnem jest, że czytając zdarzyło mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: »Niech go djabli porwą, kto po nim potrafi wiersze pisać! Trzeba bezczelnym być, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza!« I to instynkt był mój, wrażenie na mnie wywarte, nie żadne rozumowanie. W *Wacławie* spowiedź pełna motywów tak pięknych, jak rzadko. Charakter Wacława, przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany, jak na wielkiego mistrza wypada. Byron lepiejby nie potrafił, to też całkiem byrońskie[1]). *Balladyna* jest to najpiękniejszy *mid summer-night's-dream,*

najprześliczniejsza epopea, ale nie Homeryczna, jak *Pan Tadeusz*, tylko Aryostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony fantasmagoryą, kapryśna, swawolna, a zawsze i wszędzie przyciągająca, wijąca się w górę, jak Goplana, by się roztopić i zniknąć, aż ci, co patrzyli, a teraz nie widzą już nic, tęsknić muszą. Kto mi wskaże nadpowiętrzny szlak, kędy raz ostatni westchnęła dusza odlatująca Haliny, biednej Haliny, co wczoraj jeszcze zasypiała, tak szczerze prosząc Boga, by jej malin nie skąpił na murawach boru? A ta sroga Balladyna, z czterech wierszy legendy gminnej wysnuta, Królem Learem i Lady Macbeth natchnięta, ta przejrzysta zbrodnia, zawierająca w sobie wszystkie błędy i cudne przymioty Polek wszystkich; ta Maryna Mniszchówna bajeczna, ta odważna i śmiała, nadewszystko dumna, ale, jako królowa już, chcąca zostać aniołem i żałująca grzechów Laszka: czy wiem, gdzie szukać jej popiołów, rozbryzgniętych uderzeniem piorunu? Sen był, sen minął! Ach! gdzie sen mój? A ten Kirkor, »coby był Zbawcę zbawił na Golgocie?« czy to nie monada, najprawdziwsza idealnie szlachcica polskiego?«. Nie w tym stopniu zachwyciła Krasińskiego *Lilla Weneda*. Oto, co o niej pisał do K. Gaszyńskiego: »Czytałem w Niemczech *Lillę Wenedę*. Pomysł mytu Lelum Polelum jest prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest białą Antygoną; ale żal się Boże św. Gwalberta i tego Ślaza, który naśladuje Grabca z *Balladyny*, który Grabiec sam naśladuje jakiegokolwiek z tysiącznych potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohatyrów i tę anielską siostrę ich, w takiem gałgańskiem towarzystwie. Zaniosę przed Jula, kiedy będę pisał do niego, skargę Lilli, bo mi się biedna dziewczyna skarżyła. Ślaz jej białą tunikę powalał rękoma, a tabaka z nosa św. Gwalberta na skroń jej kapnęła«. Swoją drogą i Lilla, jak i poprzednie utwory Juliusza, były, zdaniem Krasińskiego, pod względem świetności i piękności wysłowienia, szczytem wszystkiego, co wierszem napisano w Polsce. »Styl, którym włada Juliusz, jest tak giętki, tak wierny jemu, tak niewolniczo słuchający go, że mi czasem przypomina ten wiersz p. Adama, w którym mowa o *heroizmie niewoli* w chłopie słowiańskim. Nie sposób z językiem i wierszem dokazywać trudniejszych cudów! Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze! Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się indywiduami, powinny się zebrać i złożyć na posąg dla Juliusza z napisem *Patri Patriae*, bo język wtedy byłby całą Ojczyzną«.

Roman Załuski, do którego ten list był pisany, po-

kazał go Słowackiemu. Słowacki musiał być zadowolony z podobnej opinii o nim Zygmunta, a że ją sobie wziął do serca, dowodem *Beniowski*, w którym nawet powtórzył tę myśl autora *Irydiona* o języku polskim.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony zgłoskami,
Z napisem *Patri Patriae*.

To zaś, że *Beniowski* jest takim, jakim jest, zawdzięczał Słowacki także w znacznej części Krasińskiemu. Bo kto wie, czyby ten aryostyczny poemat, poczęty w duchu *Orlanda Szalonego*, posiadał tyle dygressyi w stylu Byronowskiego *Don Juana*, dygressyi. w których poeta tak się niemiłosiernie rozprawił ze swymi przeciwnikami i nieprzyjaciółmi: z *Młodą Polską* i Ropelewskim, z *Tygodnikiem literackim*, z całą partyą stronników Mickiewicza, z całą »Litwą« emigracyjną i całym emigracyjnym »jezuityzmem«. Człowiekiem, który go do podobnego wystąpienia namówił, był Zygmunt Krasiński. »Julu, zaklinam cię, (pisał do niego z Rzymu d. 23 lutego 1840 r.), nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do ciebie. Trzymaj duszę twoją, nakształt harfy eolskiej, wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, rozprawy. Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów, a obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny — ziemię przynęci do ciebie: więcej jest wątrób na świecie, niż serc, ach! jakże cię wtedy będą rozumiały wątroby! Dalej, niezawodnie żółć jest w poecie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę! Spróbuj! Oni tego się domagają! Dopiero uczują twoją rękę, gdy zgruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista, na skronie! Dopóki wzniesiona w powietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkowi Boga, dopóty oni myślą, że to biała lilija, niewinnie rosnąca na błękitnych łąkach przestrzeni. Do korda i na sejmik! Rąbać mi i siekać! A zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie!« Rada ta, życzliwa i z serca płynąca a przytem trafna bardzo, trafiła do przekonania Słowackiemu. Kto wie, pomyślał sobie, czy Zygmunt nie ma racyi, kiedy doradza, żeby chwilowo zerwać z laurami, a przymięszawszy do nich »trochę żółci« (im więcej, tem lepiej), chwycić za karabelę, a zamiast w tęczę i girlandy

róż, dla odmiany przybrać się w kontusz, i zamiast bujać w nadpowietrznych lub przedhistorycznych przestworzach, zstąpić na ziemię, w krainę rzeczywistości, do realnych scen w rodzaju *Pana Tadeusza* lub *Pamiątek Soplicy*, słowem, by »granit rzucić pod swoje tęcze«. Wiedział wprawdzie, że dotychczas, ile razy zetknął się z rzeczywistością, »opadały mu skrzydła«; widząc jednak, że »innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów«, skoro czytelnik polski

woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze,
A nadewszystko szczere, polskie dusze,

zdecydował się, jakby powiedział Mickiewicz, z hymnu zstąpić do prostej powieści, osnutej na tle burzliwej epoki Konfederacyi Barskiej, i zszedłszy na chwilę »ze swojej podstawy, aby przyznano mu, że *jest* na niej«, skłonić tych, którzy go aż do tej pory uznać nie chcieli, ażeby przed nim i przed jego dziełem »w końcu uchylili czoła«, choćby miał nawet, jak mu doradzał Krasiński, zostawić trupy na placu. O! zostawi niejednego! A biada tym, którzy nie smakując w jego lazurach, teraz skosztują jego żółci!

IV.

Tymczasem jednak, z nadejściem wiosny 1840 roku, przyszła mu myśl »osiedlić się trochę stalej« nad Sekwaną, czuł bowiem, jak się wyraził, potrzebę, ażeby go »coś powstrzymywało od ciągłego włóczenia się po świecie«. W tym celu, z *maison meublée* przy *Rue des Pyramides Nr. 6*, gdzie mieszkał w ostatnich czasach, a gdzie, jak to w hotelu, wszystko było drożej, przeprowadził się na *Rue Castellane Nr. 11*, gdzie, na szóstem piętrze najął sobie »dwie klateczki«, malutkie, schludne i miłe. Pokoiki te, lubo niewielkie, a położone — blizko nieba, miały dlań urok podwójny: raz, że się w nich urządził, jak we własnem gniazdku, niestety, kawalerskiem tylko; że sobie kupił własne mebelki, z czego była zawsze »daleko większa wygoda i przystojność«; a powtóre, że posiadały widok na cudzy ogród, co było rzeczą »prawie cudowną«, zważywszy, że »w miasteczku, w którem panna Cora mieszkała« (a w którem się z nią obecnie, jako z panią Chamfleury spotykać nie mógł), możność patrzenia z okien na drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, zjeżony tysiącami kominów bla-

szanych, dachów, wież kościelnych, złoconej kopuły Inwalidów etc. etc., bezwarunkowo należy do rzadkich osobliwości. Dla niego miał ten malowniczy widok na Paryż — z ogrodem na pierwszym planie — niewysłowiony powab, zwłaszcza »w dniach ciszy umysłowej«, wtedy bowiem, stojąc w otwartem oknie, wsparty o żelazną balustradę balkonu, która jest właściwością wszystkich *mansardów* paryskich, zapatrzony przed siebie, z oczyma utopionemi w bezmiarze powietrznym, nieraz — w godzinach wieczornych — rozpłomienionym od zachodzącego słońca, czuł, rozmarzony tą ciszą, jaka panowała na tej wysokości, a którą tylko zdołu, od strony bulwarów, zakłócał przytłumiony turkot powozów, »jakiś smutek i dalekie wspomnienia«.

Wspomnienia czego? W tym czasie najważniejszą rolę grały wspomnienia Anieli Moszczyńskiej, o której mu doniesiono niedawno, że — umarła. »Choroby, z której umarła, nie rozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiałym, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał«. Cokolwiekbądź, myśl o tej niespodziewanej, a tak przedwczesnej śmierci panny Anieli rozmarzała go, przyprawiała o tęsknotę i smutek. Zapominał, jakie uczucie żywił dla niej, kiedy wyjeżdżał z Florencyi, a zwłaszcza, kiedy pisał swoje dwa sonety *Do Anieli M.;* a pamiętał o tem tylko, że miała włosy długie i krucze, zwinięte w róg *à l'antique*, że miała prześliczne »skier pełne« czarne oczy, że miała cudowną, bardzo maleńką i delikatną rączkę; i do tego stopnia przejął się myślą o niej, że pisząc *Beniowskiego*, kazał swemu bohaterowi zakochać się w pannie, której dał na imię *Aniela*, i która w jego wyobraźni była nie kim innym, tylko Anielą Moszczyńską. A nietylko, kiedy pisał *Beniowskiego*, myślał o swojej Florenckiej Beatrice czy Eleonorze — bo było coś w jego miłości dla panny Moszczyńskiej, co przypominało miłość Tassa dla Eleonory d'Este — ale i w innych chwilach, np. podczas samotnych przechadzek po Tuilleryjskim ogrodzie (w którym niegdyś romansował z Corą), zdawało mu się, że jest opętany przez to wspomnienie. »Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i, spuszczając oczy przedemną, pyta: Czemu nie kochałeś mnie?« Śmierć ją upiększyła w moich oczach«. I taka upiększona, wyidealizowana, stała się panna Aniela tą czarującą bohaterką *Beniowskiego*, w którym, jako mistrzowski i przepiękny typ dziewicy polskiej, przeszła do nieśmiertelności.

W takiem usposobieniu zastał Słowackiego list od matki, która doradzała mu, ażeby się ożenił. Rada była

dobra i rozsądna, bo gdyby to zależało od niego wyłącznie, już by był żonaty oddawna. Jedną z myśli, które go niepokoiły zawczasu, była myśl o starokawalerstwie. Na nieszczęście, ożenić się, będąc w jego położeniu, nie było łatwo, a raczej niepodobieństwem prawie. Chyba, żeby się ożenił bardzo bogato, z panną Moszczyńską naprzykład. Ona byłaby bardzo odpowiednią żoną dla niego. A możeby i nie umarła, gdyby była wyszła za niego? Z pewnościąby nie umarła, bo nikt nie zaręczy, czy nie umarła dlatego właśnie, że nie została panią Słowacką. Kto wie, coby było dzisiaj, gdyby się byli pobrali? Cóżby być mogło? Byliby szczęśliwi, ot i wszystko! Bo że on czułby się z nią szczęśliwy, o tem nie wątpił. Nawet i pod tym względem byłby szczęśliwy, że matce przestałby być ciężarem, bo majątek panny Anieli, wynoszący »miliony«, w zupełności byłby wystarczającym dla młodej pary, coby mu dało możność nie korzystania z łaski matki, któraby także mogła wskutek tego żyć dostatniej i w większych wygodach. Jeszczeby jej był pomocą.

A tak żył z tego, co miał od matki, która sama miała bardzo niewiele. Ta myśl przyprawiała go o wyrzuty sumienia. Bo przyznać musiał, że sobie nie miał nic do zawdzięczenia. Mówiąc poprostu: był synem swojej matki, t. j. człowiekiem, który nie umiałby żyć, gdyby mu życie nie umożebniała matka. Oto, co sam w tej sprawie pisał do Jana Weisberga w Krakowie (d. 14 maja 1839 r.): »Błogosławiona ta, która mnie jak małe dziecko, dotąd utrzymuje i broni od nędzy. Na grobie moim będę musiał położyć głupiego Szkota odpowiedź, która na moim kamieniu — smutną będzie, to jest: że *jestem synem mojej matki*. I tak, zaprawdę, do końca będzie!« Nieraz się trapił z tego powodu, bał się, żeby matka nie pogardziła nim ostatecznie, ona, z której łaski on miał życie i spokojność, »i całe szczęście życia *leniwego*«. »Względem Ciebie, pisał do niej w listopadzie 1839 roku, mam sumienie pełne łez i żalu, zwłaszcza, gdy Tobie winien jestem wszelką pomyślność i wszelkie dobro i wszystkie dni spokojne... Dzięki Tobie, droga moja, mam dnie miłe, t. j. dnie zakryte od wiatru i słoty, dnie ciszy umysłowej. Czasem przeleci i ugryzie myśl rozpaczy, że to wszystko kupione twojem szczęściem; ale to być musi tak w sercu mojem, póki się kiedyś u twoich kolan dobrze nie wypłaczę i nie poskarzę, póki oczy twoje nie powiedzą mi, żeś mi *egoizm mój* wybaczyła«.

A nie był to jedyny powód do spleenu: były i inne, niemniej przykre, wynikające z osamotnienia, z warunków, w jakich pomimo woli znalazł się na emigracyi każdy,

komu tytuł *emigranta*, czy *tułacza*, czy *pielgrzyma* przypadł w udziale. I Słowacki musiał tego doświadczać na sobie; raz dlatego, że nie mógł się wyłamać z pod ogólnego prawa psychologicznego, które zawsze rządzi wszystkiemi emigracyami w ogóle, a które w szczególności dało się obserwować wśród naszej emigracyi po r. 1831; a powtóre, że był wrażliwszy i subtelniejszy od swoich towarzyszów niedoli tułaczej. »Nie weseliśmy tu, pisał o ogóle emigracyjnym w jednym ze swoich listów do matki, bo nie mamy rodzin, nie mamy związków familijnych i każdy do ścian pustych wraca«. I nie dość, że się »wzajemnie trudzimy i męczymy tą niewesołością«, ale co gorsza, »odzwyczailiśmy się płakać nad nieszczęściami drugich. Rzadko kto zachował serce bijące i dar życia z ludźmi, ale inaczej być nie może: inni, na naszem miejscu możeby byli gorszymi«. A wszystkiego przyczyną były owe puste ściany, do których każdy był zmuszony wracać wieczorem, ów brak familijnego życia i rodzinnego ogniska, ów starokawalerski tryb życia z ludźmi, na które z konieczności był skazany każdy emigrant. Żonaci należeli do rzadkich wyjątków. Większość nie żeniła się dlatego, bo nie mogła, bo nie miała odpowiednich stanowisk; inni znowu, choć się czasami w lepszych — względnie — znajdowali warunkach, nie żenili się, bo nie rozumieli małżeństwa z cudzoziemką, bo się obawiali potomstwa, które urodzone i wychowane na obczyźnie, wyrosłoby nie na Polaków, czego przykładów nie brakło. I Słowackiemu dokuczało to życie samotne. »Kto wie, czy nie potrafiłbym być szczęśliwym i czy nie pogodziłbym się z wyrokami szyderskiego, niewidomego losu, *gdyby nie brak familijnego życia*«. Tymczasem był zniewolony »żyć jak mnich, podobny do *opuszczonej* w swojej klateczce ptaszyny«, o tem zaś, »jakto serce przez takie życie usycha, jak zamierają wszelkie uczucia«, wiedział, niestety, z osobistego doświadczenia. »Wszystkie nadzieje zgorzkniały dla mnie i zbrzydły, pomimo, że żądam niewiele, prawie nic: potrzeba mi — do szczęścia — czuć tylko, że mię ktoś kocha mocno i *bezinteresownie*. Nieszczęście chce, że dotąd od ludzi mało doznałem takiej miłości: dlatego mi smutno nieraz, kiedy pomyślę, że nie mam koło siebie ani jednego *gorąco* bijącego serca, któreby mi, w chwilach zwątpienia i rozpaczy, dodawało nadziei i otuchy«. Ztąd pustka okropna, którą on wypełniał sobie — światem ułudy, t. j. twórczością poetycką. W takich chwilach, ażeby zapomnieć o rzeczywistości, zaczynał pisać, i zamknąwszy się w swojem mieszkaniu jaskółczem, pisał, pisał i pisał. Ale i to lekarstwo, choć zrazu »serce spustoszałe

i skrzepłe, coraz nowem napełniało ciepłem i ogniem«, skutkowało do czasu jedynie. Po takich dniach gorączkowego pisania, co wyczerpywało ostatecznie, przychodziła kolej na »dni reakcyi okropnej«, dni »przesytu idealnemi wrażeniami«, dni, w których »umysł nudzi sam siebie i których niczem zająć nie można«. »Świeżość umysłu i fantazyi traci się, a nabyte wiadomości, których udzielić nie ma komu, czynią mózg podobnym do spiżarni, zawalonej spleśniałemi wiktuałami«. Następowały dni »zniechęcenia i apatyi«, dni obrzydzenia do pracy i życia, dni takiej »czczości« psychicznej, że się nie wiedziało, co począć z sobą, co zrobić, żeby się rozerwać,

Gdzie pójść, i gdzie oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym.

Takim zastała Słowackiego jesień 1840 roku, jego ulubiona pora roku, podczas której, zapatrzony w zwiędłe i żółte liście, ulatujące w powietrzu »jak motylki złote« za oknem, rozmarzony tą mgłą jesienną, tak skłaniającą do melancholizowania, wspominając dawne czasy, czasy Krzemieńca i Wilna, a choćby Genewy lub Florencyi, któregoś dnia, kiedy mu przyszło wytłómaczyć się przed matką, czemu od tak dawna nie pisał do niej, nie umiał na swoje usprawiedliwienie przytoczyć innego motywu, tylko następujący: »Tak mi smutno, tak mię już dręczy samotność, ten brak wszelkiej nadziei — i jakiejś istoty wybranej — że coraz bardziej staję się leniwy do wszystkiego: to było powodem, że czekałem nieco weselszej chwili, chwili, w którejby jakie słoneczko błysnęło mi chociażby przez okiennic szpary«. Pisząc to, nie wiedział jeszcze, ani przeczuwał zapewne, że niebawem, bo w tych czasach właśnie ujrzy takie słoneczko, które mu tę jego »pustelnię« rozjaśni trochę, jakkolwiek — tylko »przez okiennic szpary«.

ROZDZIAŁ II.

PANI JOANNA BOBROWA.

Portret »dręczycielki«. »Zagmatwana tragedya« jej życia. I. Wspólni znajomi Słowackiego i pani Bobrowej. Zbliżenie w Paryżu. Lolly i Sophinette. Dom na Polach Elizejskich. Matka Grachów. Słowackiego dwa listy *Do autora Irydiona.* Znajomość staje się przyjaźnią. Początki miłości. Pierwsze rozdziały romansu. II. Oleszczyński sztychuje portret Słowackiego. 3 maja 1840 r. Przyjazd Mickiewicza do Paryża. Pogrzeb Napoleona. Pierwszy wykład Mickiewicza. Wilia w Klubie polskim.

Szatynka, w koronie bujnych niezmiernie, trochę rudawych włosów, uczesanych w loki i pukle, wysoka i kształtna, a powabna, »jak owe Rubensowe Madonny«, o rysach regularnych, »z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster«, z »oczami-turkusami«, pałającemi, »jak dwie pokusy«, majestatyczna, jak królowa, a przesłonięta zlekka »welonem zmysłowości«, dziwny jakiś, niewypowiedziany czar roztaczała dokoła siebie. Na widok jej, każdemu, jak owemu księciu-bankierowi z *Niedokończonego poematu* Krasińskiego, mimowoli wyrywał się okrzyk zachwytu: *Per Bacco!* Oto mi rysy! Oto mi oko! Oto mi chód, wielkiej damy chód! W istocie, coś królewskiego! Na honor! Jaka to kibić! Jaka nóżka!« Lecz patrząc na nią, nie wiedziało się w pierwszej chwili, jakiem porównaniem określić jej urodę: czy ją nazwać piękną, jak grecka Afrodyte, czy też — smutną jak *Mater dolorosa.* Bo i jedno i drugie powiedzenie było trafne. Najlepiej określił ją Krasiński, kiedy się wyraził o niej — w *Niedokończonym poemacie* — że »nigdy nic podobniejszego do przechodzącej ojczyzny nie widział«, że »nigdy takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej

ziemiance«, i kiedy twierdził, że taka, jak była, z tym rozmarzającym wyrazem smutku, rozlanym na swej cudownej twarzy, mogła uchodzić za wcielone uosobienie »bezmiaru nieszczęścia, ubranego w nieziemski wdzięk«. Bo jeden rys charakteryzował jej piękność przedewszystkiem: oto, że »nacechowana boleścią«, głównie z boleści tej zdawała się »wyłudzać urodę«, co, oczywiście, tembardziej czyniło ją interesującą, albowiem dodawało temu obliczu, jakby wymarzonemu przez Giorgione'a, niemałą dozę jakiejś zagadkowości i tajemniczości sfinksa.

Kto znał historyę życia pani Bobrowej, ten rozumiał, co znaczył ten wyraz smutku, jakby zakamieniały na jej twarzy. Wydana w r. 1825, »czy sprzedana« za mąż, jako najmłodsza z panien Morzkowskich, za pana Teodora Bobra-Piotrowickiego z Zahajec, człowieka, którego nie kochała, jako narzeczona, a którego nie mogła pokochać, jako żona, a wkrótce matka dwóch córek, bardzo wcześnie, bo już począwszy od roku 1831, zaczęła pod pretekstem ratowania wątłego zdrowia wyjeżdżać za granicę, gdzie jej było najlepiej, bo była oddalona od człowieka, którego nosiła nazwisko. Nie znaczyło to, żeby nie kochając męża, nie miała marzyć o jakiejś wielkiej miłości, do której rwała się całą duszą. W takich warunkach poznała we Włoszech, zdaje się w Rzymie w r. 1833, młodego Zygmunta Krasińskiego, także tęskniącego za jakiemś wielkiem uczuciem, pokochała go, pewna, że nie mniej namiętnie jest kochaną przezeń, aż w końcu, po dwuletniej walce z sobą, dała mu się zepchnąć »w przepaść miłości złej, występnej«. Po chwilach upojenia i szału przyszła kolej na zgryzoty i smutki. Przekonała się, że zaczynała być kochaną coraz mniej, i tak męczyli się i dręczyli przez cały szereg lat. W końcu, w r. 1838, ulegając zaklęciom ojca poety, który umyślnie w tym celu przyjechał do niej, na Wołyń, do Zahajec, wyrzekła się wszelkich praw do Zygmunta, choć kochać go nie przestała. Mąż wiedział o wszystkiem: to było powodem, że w domu starała się przebywać jaknajmniej, prawie ciągle mieszkając za granicą: bądź w Dreźnie, gdzie mieszkała jej krewna bliska, Szymanowska, u której w r. 1831 spotkał ją Juliusz Słowacki; bądź we Frankfurcie nad Menem; bądź we Włoszech; bądź w Paryżu. Nie rozwiedziona z mężem, żyła z nim, jak rozwódka.

I.

W Paryżu, począwszy od roku 1840, mieszkała szereg zim, obracając się w najwyższych sferach towarzyskich, wśród miejscowej arystokracyi, zarówno francuskiej, jak polskiej. Wychowana w zasadach kosmopolitycznych, lepiej, aniżeli po polsku, mówiła po francusku. Swoją drogą uważała się za Polkę, i w domu swoim, otwartym dla wybranego grona znajomych, najchętniej podejmowała ziomków, rozumie się, bardzo będąc wybredną w wyborze swoich gości. Ażeby bywać u niej, o ile się nie było hrabią lub księciem, baronem lub — bankierem, trzeba było — conajmniej — być artystą lub poetą. Zwłaszcza, jeśli się było poetą, mogło się liczyć na względy pięknej pani domu; bo poetów — przez pamięć autora *Irydiona* — wyszczególniała najbardziej.

Cóż dopiero, jeśli się, jak Słowacki, było poetą i serdecznym przyjacielem Krasińskiego! W tak wyjątkowych warunkach znajdował się tylko on jeden! Wystarczało, że był poetą, żeby być mile widzianym gościem w domu pięknej i inteligentnej pani Joanny, którą kult dla wszystkiego, co było sztuką, cechował w bardzo wysokim stopniu; ale ten wzgląd musiał ustąpić tytułowi przyjaciela Zygmunta, gdyż taki tytuł był najlepszą rekomendacyą w oczach tej, której były dedykowane »na pamiątkę dni jedynych i zbiegłych« *Nieboska* i *Irydion*. Jakoż nie ulega wątpliwości, że ten tytuł przyjaciela Krasińskiego, musiał Słowackiemu najbardziej ułatwić wstęp do domu pani Bobrowej, która, dowiedziawszy się o nim, że mieszka w Paryżu, z pewnością zapragnęła, ażeby bywał u niej. Wystarczało poprosić którego ze znajomych swoich, który znał Słowackiego, Małachowskiego np., lub Aleksandra Potockiego, ażeby którego dnia przyszedł ze Słowackim, i zapewnić go, że będzie powitany bardzo mile, ażeby poeta z największą przyjemnością zgodził się na tę propozycyę.

Zresztą chodziło, jak w danym razie, tylko o odświeżenie dawnej znajomości, znajomości sięgającej jeszcze czasów Krzemienieckich, a następnie Drezdeńskich z r. 1831. Pani Bobrowa bowiem, o ile przebywała w kraju, na Wołyniu, więcej nierównie, aniżeli w Zahajcach, przy mężu, przebywała w Krzemieńcu, gdzie wielu liczyła znajomych wśród tamtejszej kolonii arystokratycznej, a gdzie mieszkając, między innemi znała się także i z panią Becu.

Dość, że Słowacki zaczął bywać u pani Bobrowej.

Pani Joanna, od czasu, jak była zmuszona zerwać z autorem *Irydiona,* zawsze — a przynajmniej w domu — chodziła ubrana czarno, na znak żałoby, która odtąd zapanowała w jej sercu. W takim czarnym stroju ujrzał ją teraz w Paryżu po raz pierwszy Słowacki, a strój ten, trochę fantastyczny, nie skrojony podług prawideł mody, raczej do czarnego chitonu podobny, niezapomniane czynił na nim wrażenie. Jeszcze w roku 1845, pisząc do pani Bobrowej, wspominał tę chwilę. »W tym poranku mroźnym, nowembrowym, obaczyłem czarną postać pani, niby większą, na horyzoncie pól, czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które Aniołowie podnosili na niebie i niby na wałki zwijali. Widzę blask złoty strasznego słońca i twarz pani oświeconą, oczy i usta na wpół otwarte, i nawet strój Pani: jakiś ciemny, obszerny, w złote łamiący się fałdy; i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziewał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić. Dzięki za ten obraz!« Wnosząc z powyższego ustępu, można przypuszczać, że odrazu pierwsze wrażenie, jakie na Słowackim zrobiła pani Bobrowa, było bardzo silne, że od pierwszej wizyty, od pierwszej rozmowy i pierwszej wymiany spojrzeń z panią Bobrową, Słowacki zaczął być pod jej urokiem, pod urokiem tych oczu błękitnych, najczęściej smutnych, chwilami jednak »jak dwie pokusy« błyszczących, i pod urokiem tego czarnego stroju, który powagą swoją, a przedewszystkiem swą niepowszedniością, niezawodnie podnosił jeszcze, a nie zmniejszał, niepospolitą urodę i powab interesującej rozwódki.

Nie mniej interesujące były jej dwie córeczki; starsza, Ludwika, przez matkę nazywana zdrobniale Lolly, a przez Słowackiego z czasem Lolką, (późniejsza pani Maurycowa hr. Potocka) i młodsza Zofia, przez matkę nazywana po francusku *Sophinette,* a przez Słowackiego Zosieńką (dzisiejsza pani Juliuszowa hr. Dzieduszycka). Były to urocze dziewczątka, istne dwa Cherubinki. Słowacki, nie bacząc na to, że najsilniejszą miłością miał zapłonąć dla ich matki, był niemniejszym wielbicielem tych przecudownych »panienek«, a każdą kochał inaczej. Którą bardziej? Trudno odpowiedzieć, bo jeżeli uczucie, jakie żywił dla panny Lolly, było bardziej ziemskie, bardziej przywiązane do zachwycającej urody zewnętrznej, to uczucie, jakie w nim wzbudzała Zosieńka, było idealniejsze, seraficzniejsze. Ztąd

pochodziło, że wobec panny Lolly czuł się bardziej onieśmielony, a z Zosieńką był na serdeczniejszej stopie. Piękność Lolki pieściła wzrok »ten zmysł, co kochać przymusza«; tymczasem Zosieńka, pod względem fizycznym znacznie delikatniejsza, wątlejsza i bardziej anielska, była balsamem dla duszy. Lolka robiła wrażenie 14-letniej Wenus, kiedy patrząc na Zosieńkę, doznawało się wrażenia, iż się ma przed sobą 13-letnią Madonnę. Jeżeli chodziło o Słowackiego, to Lolka była mu — nieco dalszą, Zosieńka — znacznie bliższą. Kiedy się zdarzyło raz, że musiał wypowiedzieć swoje zdanie o nich, wyraził się, że panna Lolly jest »modelem najpiękniejszej, anielskiej cierpliwości i posłuszeństwa, najcichszą i najbielszą z lilii«, przyczem dodał (w liście do pani Bobrowej), że »to ostatnie zapewnienie mówił nieco niepewnym głosem i ze spuszczonemi oczyma«; o Zosieńce zaś, że jest to »zupełny aniołeczek«. Innym razem znowu, w jednym z listów do matki, nazwał ją »zorzowym aniołkiem«, który otacza każdego »swoją atmosferą różaną«. Kiedy wypadły imieniny jej, nigdy nie zapomniał o cukierkach, jako symbolu tej »niebieskiej słodyczy«, która cechowała Zosieńkę. Oto np. co pisał d. 4 maja 1842 roku do pani Bobrowej z powodu imienin Zosieńki. »Około godziny 4-ej szedłem do pani w podwójnym zamiarze: naprzód aby powinszować pannie Zosieńce, której patronka, Zofia, z trzema córkami stoi w polskim kalendarzu — a ponieważ i w niebie agitować się musi kwestya o niebieskiej słodyczy, kiedy na ziemi agituje się kwestya cukru, chciałem to *z mojem miłem dzieciątkiem* przemienić w kwestyę cukierków«. Po upływie paru lat, kiedy się dowiedział z listu pani Bobrowej, że Lolka trochę przytyła, że się bardzo ładnie zaokrągla, kiedy u szczuplutkiej Zosi na nic podobnego się nie zanosi, pisał Słowacki, że go bardzo pocieszyła ta nowina o pannie Lolly. »Dobry przykład dla Sofinetki i dla mnie, którzy się nie możemy zaokrąglić...«

Tymczasem, odkąd zaczął bywać u pani Bobrowej, znalazłszy u niej »dom przyjazny, w którym mu na rozmowie dobrze schodziły godziny«, z największą przyjemnością myślał o chwilach, spędzanych w »tym domu Elizejskim«, który tak nazywał dlatego, że pani Joanna mieszkała przy *Rue des Champs Elisés*. Wspomnienie tego domu, w którym po pewnym czasie bywania w nim »nie, był zupełnie obcym«, nie opuszczało Słowackiego do końca życia. Uważał, że odkąd zamieszkał w Paryżu, był to »ten jedyny dom, do którego on chronił się z taką ufnością, gdzie szedł z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia«, że

byłby niewdzięcznym, gdyby o chwilach, spędzonych pod gościnnym dachem tego Elizejskiego domu — który dla niego był prawdziwem *Elizeum* — zapomniał kiedykolwiek. Tam, w tej »stronie pól Elizejskich« zawsze mu »jaśniej bywało«; tam i wówczas nawet, kiedy pani Bobrowa wyjechała z Paryża, lubił zachodzić czasami, ażeby »przy blasku brylantowym rannego słońca popatrzeć na zamknięte głucho okna tych dwóch domów Elizejskich«. O ileż częściej dopiero musiał zachodzić w tamte strony, kiedy wiedział, że za temi oknami mieszka ten »trochę niespokojny, ale piękny Anioł«, jak w jednym z listów nazwał panią Bobrową.

Dodać wypada, że takich uprzywilejowanych, którzy mieli wstęp do tego Elizejskiego domu, było więcej, że nie Słowackiemu jednemu było w nim tak dobrze. Bo myliłby się, ktoby przypuszczał, że pani Bobrowa, niepocieszona po rozłączeniu z Krasińskim, zaczęła unikać ludzi. Tak nie było. Gdziekolwiek mieszkała za granicą, wszędzie prowadziła dom otwarty, podobnie, jak owa matka Grachów, o której Słowacki powiada w jednym ze swych cudownych listów do pani Bobrowej, że »po śmierci obu synów utrzymywała w Rzymie dom świetny, otwarty, dom, zawsze pełny sławnych ludzi«. »Powiada Plutarch (są dalsze słowa tego listu poety), że ta kobieta, dla której świat stał się zupełną pustynią, bez żadnej przyszłości, bez echa żadnego, otoczona ludźmi różnego rodzaju i miary, z największą spokojnością opowiadała im różne szczegóły z dzieci swoich dziecinnego żywota, a jeszcze spokojniej, jeszcze z milszym na twarzy uśmiechem, śmierć synów swoich opowiadała, tak dalece, że ją niektórzy o nieczułość i twarde serce posądzali; ale powiada Plutarch, że źródłem tej spokojności była wielkość i piękność serca, które biło w piersiach smętnej Rzymianki«. I dla pani Bobrowej od roku 1838 świat był zupełną pustynią, bez żadnej przyszłości, bez echa żadnego; mimo to nie zrezygnowała z tego, co Goethe nazywał *ein Kreis edler Gemüthe,* a co dla kobiety, jak ona, inteligentnej i wrażliwej na wszystko, co miało bliższy lub dalszy związek ze sztuką, było jedyną osłodą tej »samotności ducha«, w jakiej ją, wyrwawszy z »samotności serca«, pozostawił Krasiński. Temi pobudkami wiedziona, lubiła się pani Joanna otaczać gronem ludzi wykwintnych i utalentowanych, ludźmi wielkich nazwisk lub wielkiej sławy: przedstawicielami wielkich rodów, jak Aleksander Potocki, jak Olizar lub młody Czartoryski, przezywany »Gugusiem«; albo literatami, jak Słowacki lub Maurycy Mann, późniejszy redaktor *Czasu;* albo ludźmi, z którymi ją łączyły

stosunki rodzinnego Wołynia, jak państwo Andley; albo inteligentnymi Francuzami, jak doktór Dagobert, zdaje się jej domowy lekarz — i wielbiciel; jak pan Coudère, który się szczególnemi łaskami cieszył u niej; i jak »biedny« pan Berdon wreszcie, który zakochany w niej, wzbudzał obawy, że się z tej miłości — nieodwzajemnianej widocznie — utopi w Sekwanie, (co dało assumpt Słowackiemu, że zapytywany raz w liście przez panią Bobrową, czy widział się z panem Berdonem, odpowiedział jej, że myśli pójść na *Morgue* i zobaczyć, czy tam »ten biedny nie leży na płycie kamiennej«). To byli ludzie, którzy w czasie bytności pani Bobrowej w Paryżu stanowili jej najbliższe otoczenie, których najchętniej podejmowała w swym domu, z którymi lubiła rozmowy o sztuce i literaturze, o muzyce i poezyi, (w muzyce była ogromną wielbicielką »muzyki niemieckiej« i Liszta), a niekiedy i o poetach samych, z których najwięcej interesował ją Krasiński.

Człowiekiem, z którym najwięcej rozmawiała o autorze *Irydiona*, był Słowacki. Możebne jest, iż ten tytuł »przyjaciela Zygmunta« był głównym powodem, dla którego pani Bobrowa chciała Słowackiego mieć w swoim domu. Musiała o nim słyszeć od Krasińskiego samego (z którym korespondowała ciągle, pomimo zerwanych stosunków), a to, co słyszała lub wyczytała w jego listach, z pewnością zachęcało, a nie zniechęcało do zaproszenia autora *Balladyny* i *Lilli Wenedy*.

Nie należy zapominać, że obie pomienione tragedye były dedykowane Krasińskiemu, podobnie, jak *Nieboska* i *Irydion* były dedykowane pani Bobrowej, i że każdą z nich poprzedzał cudowny list *Do autora Irydiona*, listy, które przeczytane przez panią Bobrową (a trudno przypuścić, żeby ich nie czytała), mogły ją — i musiały — tylko jaknajlepiej usposobić dla Słowackiego.

»O, nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta; bo choć róże, rosnące na ruinach pałacu Nerona, rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś Ty pod krzyżem w Coloseum położył i nakrył złotemi skrzydłami Anioła«.

Czytając o tych różach, rosnących na ruinach pałacu Nerona, przez które należało rozumieć róże ogrodów podrzymskiej willi Mills, musiała sobie pani Joanna przypomnieć owe »dni jedyne i zbiegłe« z lat 1834 i 1835, kiedy to, razem z Krasińskim bawiąc w wiecznem mieście, na tych samych ruinach pałacu Nerona, o których tu wspomina Słowacki, oddychali różami Cezarów, i kiedy

ona, pochylona nad nim, patrzała i słuchała, »jak się w tym człowieku rodził nowy ideał wieków...«.

»Tak więc, kiedy Ty dawne posągowe Rzymian postaci napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego; ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie, i na spotkanie Twojej czarnej, piorunowej, Dantejskiej chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i Aryostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni — z tym smutnym dla mnie końcem, że Twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

...Doniosły mi Sylfy, żeś powędrował teraz odwiedzić Etnę czerwoną; posłałem natychmiast Skierkę, aby Ci na drodze wszystkie pootwierał kwiaty i wszystkie gwiazdy nad Tobą zapalił; za to, przez wdzięczność, stanąwszy na szczycie wulkanu, spojrzyj na mórz rozległe błękity i pomyśl, że niedawnemi czasy przez te zwierciadła wędrował okręt mój, jak łabędź żaglami nakryty. Powiedz, czy nie dojrzysz jakiego rysu na fali, jakiego śladu po zniknionym okręcie? Księża wtenczas, pamiętam, śpiewali hymn do Najświętszej Panny, a ja stałem z wlepionemi w ogień Etny oczyma smutny, że mię fala znów do Europy tylko odnosiła. Słuchaj w ciszy powietrznej, czy echo tego hymnu, który mi serce uciszał, dotąd nie drga w kryształowej atmosferze? Szukaj mojego śladu w powietrzu i na fali, a jeśli o mnie na fali i w powietrzu nie słychać, to znajdź mię w sercu swojem, i niech będę z Tobą jeszcze przez jedną godzinę. Wszak darem to jest Boga, że my umiemy myślą latać do siebie w odwiedziny.

Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

Autorowi Irydiona
na pamiątkę
Balladynę
poświęca
Juliusz Słowacki«.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie wrażenie musiały podobne ustępy czynić na pani Bobrowej, jak, czytając je, musiała być wzruszona i sympatycznie usposobiona dla człowieka, będącego z takiem uwielbieniem dla człowieka, którego ona — kochała.

Swoją drogą, bardziej jeszcze, aniżeli ten list I, służący za przedmowę *Balladynie,* musiał się jej podobać list II, umieszczony na czele *Lilli Wenedy.*

»Wstań, wstań, mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr; bo *oto dla ciebie jedynie,* mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchy aktorów i rozłożyłem na leśnej murawie biegającego po świecie kolportera małe bogactwo. Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łzą, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można, a będę spokojny na wieczność«.

Ani przypuszczał Słowacki, kiedy słowa te kreślił, ile im z czasem będzie mógł zawdzięczać, starając się o zy-

skanie przyjaźni u »osóbki« pewnej, o której przyjaźń tak bardzo będzie dbał wkrótce.

»Tak namówiony, wziąłem półposągową formę Eurypidesa tragedyi i rzuciłem w nią wypadki, wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli Bóg mi pozwoli, to na tej, nieco marmurowej, podstawie, oprę szersze, bardziej tęczowe, lecz mniej fantastyczne, niż *Balladyna*, tragedye. Tylko Ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie... Ile razy z Tobą byłem, zdało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie...
A tych dwóch wodzów? Czy ty myślisz, Irydionie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią? Ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach, szepcząc do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!«

To były literackie względy, które w oczach pani Bobrowej przemawiały za Słowackim. Ale były i inne, psychologiczne. Z chwilą, kiedy poznała go, kiedy zaczął bywać w jej domu, musiała się przekonać, że za człowiekiem tym przemawia nie tylko tytuł poety i przyjaciela Zygmunta. Okazało się bowiem, że — o ile chciał być miłym — potrafił być bardzo przyjemnym, że miał dar prowadzenia rozmowy, że, z natury wykwintny bardzo, pod względem dobrego wychowania nie pozostawiał nic do życzenia, że umiał zainteresować sobą, a zwłaszcza ujmował tym »niemym smutkiem« jakimś, z którym mu szczególnie było do twarzy. Słowem, okazało się, że był to człowiek niepospolity, nieszablonowy, niebanalny, a tacy zawsze się podobają kobietom, o ile te nie są pospolite, szablonowe i banalne. Pani Bobrowa banalną nie była, więc towarzystwo Słowackiego było dla niej pożądane. Lubiła go słuchać, jak mówił o sobie, jak się melancholijnie skarżył na swoją dolę, którą porównywał do »wyspy ideału, przerżniętej rzeką łez«, jak mówił, że się tak przyzwyczaił smucić i wyglądać złego, iż zaczął w tem znajdować w końcu »jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz«; choć nie ulega wątpliwości, że tematem, który ze Słowackim najbardziej lubiła poruszać, był Krasiński. Nie znaczy to, żeby Słowackiego wtajemniczyła we wszystko, co ją wiązało z autorem *Irydiona,* żeby mu się przyznała, jaką rolę w jej życiu odegrał ten poemat i jego autor: o tem nie mówiła nikomu, a więc i jemu (choć byli ludzie, co o tem wiedzieli zkądinąd); nie widziała powodu jednak, ażeby ze Słowackim, który żywił prawdziwy kult dla Krasińskiego, nie rozmawiać o nim. Skoro nie wiedział — a nie wiedział istotnie — jaki był jej stosunek do Krasińskiego, a wiedział tylko, że się znali dobrze, że był czas, iż się spotykali często w Rzymie, w Neapolu, w Wenecyi, albo u wód nie-

mieckich, jak Ischl lub Salzbrunn, że ich łączyło nawet dalekie pokrewieństwo, że się ogromnie przyjaźnili z sobą, że chwile z nim spędzone ona zalicza do najprzyjemniejszych, jakie miała w życiu, etc., etc., więc byłoby dziwnem, gdyby ten temat właśnie, dla obojga najmilszy, mieli wykluczać z rozmowy. Zdaje się, że pani Bobrowa, wychodziła z tego założenia, kiedy ze Słowackim najwięcej rozmawiała o Krasińskim, i kiedy Krasiński mimowoli stał się tym łącznikiem duchowym, który Słowackiego coraz ściślej zaczął wiązać z domem pani Bobrowej. Bo, że tak było w istocie, o tem nie można wątpić, znając sytuacyę.

Ztąd poszło, że się Słowacki niebawem przestał czuć obcym w elizejskim domu pani Joanny, że go tu po krótkim przeciągu czasu zaczęto uważać, »jak domowego«, że wkrótce uzyskał przywilej przychodzenia o każdej porze, i że był najmilej widziany wówczas, kiedy pani Joanna nie miała gości, kiedy mogli być sami. A wszystko to miał do zawdzięczenia Krasińskiemu, a raczej jego wspomnieniu, któremu pani Bobrowa pozostała wierną, pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nimi. Ona zaś, ze swej strony, musiała przyznać, że znajdowała wielką przyjemność w tych rozmowach z autorem *Balladyny*. Daleko mu było — w jej oczach — do Zygmunta, ale należało oddać Cesarzowi, co cesarskiego, a co boskiego — Bogu. Słowacki był mniej świetny, aniżeli Krasiński, ale był nie mniej oryginalny w swoim rodzaju, i pod tym względem nie potrzebował obawiać się współzawodnictwa. Nadto, we wszystkiem, co mówił, brzmiał jakiś odcień serdeczności i szczerości, i jakiejś smutnej melancholii, który mu jednał serca kobiet. »Ludzie świata zbliżają się teraz do kobiet, jak drewniane figurki, ubrawszy się zupełnie w fajerwerki: oko pierwszej kobiety, czy czarne, czy błękitne, odrazu zapala te młynki, sypiące skrami tęczowemi dowcipu, kręcące się na piersiach po szalonemu. Znajdzie się czasami i słońce fajerwerkowe, palące się na czole u takiego człowieka. A panie krzyczycie zaraz, że to wulkan, że to człowiek z gwiazd, że to istota, która przez całe życie będzie się różnokolorowym ogniem paliła«. Słowacki robił wrażenie, że nie jest takim »arlekinem światowym«, owszem, im bliżej poznawała go, tem bardziej przekonywała się, że na to, aby jego »prawdziwe i szczere serce widzieć w każdem słowie«, nie należało udawać wesołości, ani »cukrować« słów swoich, ale być szczerą; wtedy i on »za taką szczerość odpłacał każdą cząstką i całem sercem swojem, które jest ludzkie, a nie serce arlekina światowego, i które nie igra z nikim i z niczem, i nie chce, aby z niem igrano«. We dwa lata

później pisał raz Słowacki, co następuje, do pani Joanny: »Uważaj mnie, Pani, za wiernego sługę, za dobrze nastrojoną harfę, z której, ile razy zechcesz Pani prawdziwy ton wyciągnąć, da Ci go, ile razy fałszu szukać będziesz, fałsz będzie winą Pani, i głos, wydobyty ze mnie, nie pocieszy Jej«. O ile pani Bobrowa trzymała się tej metody, w postępowaniu ze Słowackim, o tyle miała z niego nietylko powolnego »sługę, gotowego na wszelkie rozkazy«, nietylko »najwierniejszego ze smutnych i niepotrzebnych przyjaciół«, (jak się sam w jednym z listów do niej nazwał), ale i »jednego z tych duchów familijnych, które za nią chodziły i latały, szepcząc dawne wspomnienia«. Dawne wspomnienia! One sprawiały, że jej ze Słowackim »dobrze schodziły godziny«, że lubiła słuchać, jak mówił, że kiedy się czuła osamotniona i nieszczęśliwa, za jego towarzystwem tęskniła najbardziej, bo on był jakby cząstką Zygmunta, bo, jak sam się wyraził w jednym z listów do niej, »jam ciągnął za Panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu Pani wchodziła wieść, wspomnienia, boleść dawna«, bo ze wszystkich znajomych, jakich miała w Paryżu, on jeden posiadał jakąś »siłę wspierającą, karmiącą, ożywczą«, siłę, którą musiał »balsamować niektóre ranne części jej serca«, tak, iż »rany się zamykały, i powietrze wspomnień, chwytane ustami, już nie tyle raniło, co przedtem«.

Jednej rzeczy tylko zdawała się pani Joanna nie brać w rachubę — i to było egoizmem z jej strony — że towarzystwo jej i sympatya dla niego, której wcale nie taiła przed nim, narażały go, jak w danej sytuacyi, na wielkie niebezpieczeństwo: że się mógł zakochać w niej. O tem zapomniała, czy nie myślała wcale, a Słowacki tymczasem, jak to było do przewidzenia, z każdym dniem, z każdą wizytą w tym domu Elizejskim, coraz bardziej zaczął ulegać urokowi pięknej gospodyni, coraz mniej zadawalniał się platoniczną rolą przyjaciela i powiernika. Chciał czegoś więcej: wiedział, że go lubiła, ale to mu zaczynało nie wystarczać. Widział, że ona zaczyna w jego życiu grać coraz większą rolę, że się czuje najszczęśliwszy, kiedy jest u niej, przy niej, z nią razem, w jej buduarze; że kiedy jej nie widzi parę dni, tęskni niemożliwie, i zamiast zapominać, nieustannie myśli o niej. »Pani, i zawsze Pani mięszasz się teraz do wszystkich spraw moich«. Widział, że go ta »szczera i wielka i pokorna przyjaźń« zaczyna prowadzić dalej, aniżeli to mogło leżeć w zamiarach pani Joanny, i dręczył się na samą myśl o tem, że zakochawszy się w niej, mógłby mierzyć za wysoko.

Swoją drogą, choć w roli »najwierniejszego ze smu-

tnych *i niepotrzebnych* przyjaciół«, rósł w uwielbienie dla niej, uwielbienie, które się przedewszystkiem tyczyło pięknej kobiety. Nawet, kiedy była smutna, kiedy najmniej dbała, aby mu się podobać, wytrącała go z równowagi — swoim powabem »Rubensowej Madonny«. »Powiedz mi, Pani, ale szczerze, czy jeszcze są takie chwile, że się Pani chwytasz za włosy, gładzisz je, a z takim gestem, jakbyś je wyrwać chciała?« Ale uwielbiając ją, uwielbiał w niej, oprócz fizycznej, cielesnej, także i jej moralną, duchową piękność. Będąc pod urokiem tej urody zewnętrznej, zaczął ją coraz bardziej idealizować w swojej bujnej wyobraźni, a proces ten, przeszedłszy przez pewną ewolucyę, skończył się na tem ostatecznie, że poeta nie był daleki od tego, aby w pani Joannie widzieć *wielką kobietę*, jakąś hartowną duszę starożytnej Rzymianki, jakąś nową matkę Gracchów, taką, jaką znamy z Plutarcha. Oto ostatnie ogniwo tej psychologicznej ewolucyi w poecie: »Przeczytawszy drogi list Pani, nazwałem Panią... *wielką kobietą*. Wyrażenie to, niezwykłe, może rozśmieszy (Panią), bo w całej Europie nie było dotychczas potrzeby takiego słowa; a odznaczające się dowcipem lub sentymentem damy nazywano *sławnemi*. Wielkość jest zupełnie różną od sławności, a wielkość kobieca jest jakąś rzeczą serdeczną, a tak posągową i ciężką, że nawet pani Sand upadłaby pod ciężarem takiego płaszcza ze złotej lamy, i zobaczywszy się tak ubraną w zwierciedle, obaczyłaby całą śmieszność sławy kobiecej«. Zanim jednak po latach doszedł do podobnego przeświadczenia o pani Bobrowej, zanim się na nią zapatrywać zaczął, jako na *wielką* kobietę, przeszedł przez cały — długi i bardzo skomplikowany — szereg faz i metamorfoz psychicznych, z których pierwsze zasadzały się na tem, że tam, gdzie zczasem widział *wielkość*, teraz widział przedewszystkiem wielką piękność, zarówno duszy, jak ciała. Nie wiedząc jeszcze, że już zaczyna się kochać, uważał, że pani Bobrowa w równym stopniu, jak jest piękną i czarującą fizycznie, jest dobrą i szlachetną moralnie, że »dobre serce i szlachetność« są głównemi cechami tej niepospolitej duszy. Rozmowy z nią działały nań kojąco i uspakajająco, podnosiły go, a nadto, jako wspomnienia, pomnażały liczbę tych drogich jego sercu pamiątek, »które winienem Pani dobremu sercu i szlachetności«. Jeżeli chodziło o szlachetność, to uważał się za znacznie niższego od niej, bardziej uległego słabostkom i małostkom, które do niej — w jego przekonaniu — poprostu nie miały przystępu. Dlatego »myśl o Pani, jak się wyraził w pierwszym liście, pisanym do

niej, jest zwierciadłem ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w niem zawsze mógł bez wstydu przejrzeć«.

Tak zaczął się klecić ten romans Słowackiego z panią Bobrową, która się wkrótce miała stać jego »dręczycielką«, a zarazem przedmiotem najnamiętniejszej i najrzetelniejszej miłości, jaką zapłonął ku kobiecie.

II.

Poza tem wiódł życie spokojne i dość jednostajne, w którem najważniejszemi wypadkami były listy od matki, z Krzemieńca, od Eglantyny Patteg, z Genewy, i od Krasińskiego, z różnych stron świata. Wypadkiem także, który Słowacki z pewnością zaliczał do przyjemniejszych, były chwile, spędzane w pracowni Oleszczyńskiego, któremu w tym czasie pozował do portretu. Drugim wypadkiem, w którym jednak Słowacki grał rolę bierną, było uroczyste, »nadzwyczajne« posiedzenie *Towarz. histor.-literackiego,* które się odbyło w dniu 3 maja (1840 r.), a które miało jedną uroczystą chwilę: kiedy wiceprezes, kasztelan Ludwik hr. Plater wezwał całe zgromadzenie — tego dnia liczne niezwykle — aby powstaniem z miejsc uczciło »jednego z posłów na sejm czteroletni«, przyczem wprowadził pod rękę J. U. Niemcewicza. Na widok sędziwego, ku ziemi pochylonego starca o długich, zupełnie białych włosach, spływających mu aż na ramiona, »wszyscy członkowie Towarzystwa hurmem powstali«, poczem, gdy się uspokojono wreszcie, Witwicki wygłosił odczyt — odczyt, o którym nazajutrz pisał do B. Zaleskiego: »Wiesz, że jest tam wzmianka o tobie i o Adamie; trafiło się, że był na sesyi Słowacki: wystaw sobie, jak musiał być kontent«. Że Słowackiemu mogło być przykro, kiedy go Witwicki nie wymienił wcale, mówiąc o najwybitniejszych poetach mu współczesnych, to się rozumie samo przez się; w każdym razie charakterystyczną jest owa *Schadenfreude,* jaką Witwickiemu sprawiła ta przykrość, wyrządzona autorowi *Balladyny.* Jest to, bądź co bądź, drobny przyczynek, doskonale illustrujący sytuacyę Słowackiego na emigracyjnym Parnasie. Całe szczęście, że sobie z tego doskonale zdawał sprawę. Dowodem *Beniowski,* nad którym pracował właśnie, a w którym się Witwicki *e tutti quanti* będą mieli z pyszna.

Tymczasem przyjechał do Paryża, aby objąć w *Collège de France* katedrę literatur słowiańskich, Adam Mi-

ckiewicz, głowa całego stronnictwa, stojącego w opozycyi przeciwko Słowackiemu. Przyjechał w końcu października, z Lozanny, i nim się zdołał zainstalować nad Sekwaną, nim najął mieszkanie, w czem mu pomagał Witwicki, stołował się w *Klubie polskim*, w tym samym, w którym się stołował także Słowacki. Ponieważ w klubie obiady były wspólne, o jednej godzinie, przy ogólnym stole, więc nie brakło okazyi do spotkania się »dwóch na słońcach swych przeciwnych bogów«. Byłoby ciekawą rzeczą wiedzieć, jak się zachowywali względem siebie: czy stronili od siebie, czy też, przeciwnie, zachowywali pozory? W każdym razie, ponieważ Mickiewicz, przychodząc na obiady do klubu, przychodził z Witwickim, więc była to okoliczność wystarczająca, ażeby Słowacki nie bardzo garnął się do nich. Oni też, z pewnością, nie garnęli się do niego.

Cóżkolwiekbądź, jeżeli chodziło o temat, na któryby z sobą rozmawiać mogli, to mógł go im dostarczyć zapowiedziany na 15-go grudnia pogrzeb Napoleona, którego zwłoki na fregacie *Belle poule*, pod wodzą księcia de Joinville, już płynęły z wyspy św. Heleny, a o którym od niejakiego czasu rozmawiał cały Paryż, cała Francya, ba, Europa cała! Wszystkie dzienniki, nie wyłączając emigracyjnych polskich, były od kilku miesięcy zapełnione opisami przygotowań do tej uroczystości, o kolosalnych trybunach, wznoszonych w kształcie amfiteatrów przed gmachem inwalidów, o wspaniałej kantacie, ułożonej przez Lamartine'a, o muzyce, jaką p. Auber skomponował do tej kantaty, etc. etc.

W liczbie poetów, którzy, oprócz Lamartina, to *sprowadzenie prochów Napoleona* rymami uczcili, był i Słowacki również. Jego wiersz *Na sprowadzenie prochów Napoleona*, napisany dnia 1 czerwca 1840 r., a wydrukowany w Nr. 17 *Młodej Polski* z d. 20 czerwca, bardzo się podobał wszystkim, nawet antagonistom poety. Za dowód niechaj posłuży przypisek, którym redakcya *Młodej Polski* ten wiersz zaopatrzyła. »Szczęśliwem dla nas zdarzeniem, doszedł rąk naszych niniejszy wiersz pana Słowackiego. Pozwolił nam, abyśmy przypuścili naszą publiczność do rozkoszy, jakiej doznaliśmy sami, czytając te piękne strofy«. Być może, iż tym przypiskiem, tak pochlebnym dla Słowackiego, chciała się *Młoda Polska* zrehabilitować wobec poety, którego tak krzywdziła do niedawna.

Co zadziwia, to data 1 czerwca, podpisana pod tym wierszem (jednym z najsilniejszych Słowackiego), kiedy, jak to ogłosił urzędowy *Messager*, dopiero »dnia 18 października, o godz. 8-ej zrana fregata *Belle poule*, uwożąca pro-

chy Napoleona, i inne statki, stanowiące eskortę, odbiły od brzegów wyspy św. Heleny«. Dowód to, że już w czerwcu wszystkie umysły były zaprzątnięte kwestyą sprowadzenia zwłok Napoleona.

I wydarto go ziemi — popiołem!
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał, ze sławy aniołem,
Gdzie był sam: nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity!

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy;
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze,
I na ojca trup zawoła: »Ojcze!«

Niestety, nie syn, ale doktor Gaillard — jak opiewał raport księcia de Joinville — był tym, który po wykopaniu i otworzeniu trumny podniósł materyę jedwabną, zakrywającą oblicze cesarza, oblicze, które, jak się okazało, czas i śmierć przekształciły bardzo nieznacznie. To też nieopisane wrażenie ogarnęło obecnych: wszyscy zalali się łzami, a mieszkańcy Paryża, kiedy czytali w dziennikach opis tej chwili, nie mniej byli wzruszeni. Cóż dopiero, kiedy się dowiedziano, że prochy cesarza już odpłynęły ku Francyi, ku tej Francyi, którą On tak ukochał, że nigdzie indziej, tylko we Francyi, jak się wyraził w swym testamencie, pragnął być pochowany.

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! Wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu mew gromadka szara:
Jest to flota z popioły Cezara!

Nadszedł wreszcie, tak gorączkowo przez ludność całą oczekiwany dzień 15 grudnia, w którym od chwili, kiedy trumna wypłynęła z Courbervoie, aż do końca obchodu, bito we wszystkie dzwony wszystkich kościołów paryskich, czemu wtórowały niezliczone salwy armatnie.

Prochu, prochu, o leż ty, spokojny,
Gdy zagrają trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne — lamentu!
Raz ostatni hetmanisz ty roty,
I zwyciężysz, lecz zwycięstwem — Golgoty!

Dnia 15 grudnia, już o godz. 7-ej rano, nieprzeliczone tłumy ciągnęły w kierunku pól Elizejskich, nad Sekwanę i na Quai d'Orsay; o 9-ej już się nigdzie przecisnąć nie było można. Wszystkie domy były udekorowane flagami, dywanami, draperyami, girlandami. Po rogach ulic, na wysokich masztach, powiewały chorągwie. Na ulicach, któremi miał przeciągać orszak, w olbrzymich pylonach płonęły kadzidła. Na moście *de la Concorde* wzniesiono ośm posągów, wyobrażających: Mądrość, Siłę, Sztukę, Sprawiedliwość, etc. Po rogach, na czterech piedestałach, wysokich 45 stóp, lśniły się wielkie orły złocone, z rozwiniętemi szponami, a piorunami w szponach. Wszystkie trybuny, obite czerwonem suknem, były nabite pstrem mrowiem ludzkiem. Wszędzie wrzawa, chaos, rozgardyasz. Pogoda, prawdziwie jesienna, sprzyjała uroczystości. Rano był przymrozek i mgła. Z wschodem słońca zniknęła mgła i niebo było bez chmur. We dzwony bito nieustannie.

Na całych Polach Elizejskich nie było jednego okna, jednego balkonu, któregoby nie przeobrażono w lożę, nie przybrano kwiatami i dywanami. Dachy grały rolę paradyzu. Wszystko to, z tem nieprzebranem morzem głów ludzkich (a raczej kapeluszy damskich i męzkich), z dwoma rzędami gwardyi narodowej, ustawionej w szpaler, a połyskującej kaskami i bagnetami, tworzyło wspaniały widok.

Nasuwa się pytanie: z jakiego punktu mógł Słowacki przypatrywać się pogrzebowi Napoleona? Czy się postarał o miejsce na której z trybun, co było bardzo kosztowne, dzięki Anglikom, umyślnie przybyłym na tę uroczystość, a którzy przepłacali za miejsca na trybunach? Czy się tłoczył, wmięszany w owe tłumy ladu, które na obu trotuarach dusiły się pomiędzy ścianami domów a tornistrami gwardyi? Czy też, zaproszony do kogo ze znajomych, co mieszkał na Polach Elizejskich, znajdował się na którym z tych udekorowanych balkonów, albo stał w oknie, z którego mógł widzieć wszystko, jak na dłoni? Jest to pytanie, na które odpowiedź musi się opierać na przypuszczeniu tylko. Bo jeżeli się zważy okoliczność, że pani Bobrowa zajmowała lokal w jednym z domów na Polach Elizejskich, któremi właśnie miał przeciągać pochód — od *L'arc de triomphe* do *Place de la Concorde* — to mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że pani Bobrowa, zapraszając do siebie na ten dzień liczne grono osób, które bywały u niej, nie mogła w tej liczbie nie zaprosić i Słowackiego. Wobec tego jest więcej, niż prawdopodobnem, że się Słowacki pogrzebowi Napoleona przypatrywał z okien mieszkania pani Bobrowej, z okien owego »Elizejskiego domu«, gdzie mu tak

dobrze schodziły godziny. Jeżeli tak było w istocie, to przyznać musiał, że w lepszych warunkach nie mógł być świadkiem tej uroczystości, i że wszystko, na co patrzył w tym dniu pamiętnym, oglądane przez taki pryzmat, musiało w jego oczach zyskiwać jeszcze. Wszystko bowiem, na cokolwiekbyśmy patrzyli, jeśli jest oglądane w towarzystwie kobiety wybranej, umiłowanej, może tylko zyskiwać na tem: wszystko, nawet pogrzeb Napoleona, choć ten i bez tego czynił przepotężne wrażenie.

Było południe, kiedy trumna poczęła się zbliżać ku Łukowi tryumfalnemu. Początek orszaku, zwolna posuwającego się naprzód a rozbrzmiewającego marszem żałobnym z *Eroici* Beethovena (napisanej, jak wiadomo, na uczczenie Napoleona), granym na samych trąbach i bębnach, stanowiły orkiestry wojskowe. Potem szło duchowieństwo stolicy, ze świecami i kadzielnicami. Za duchowieństwem postępowali starzy żołnierze napoleońscy, w mundurach z czasów Cesarstwa. Za nimi szli marszałkowie. Potem, na wspaniałych poduszkach, niesiono ordery, kodeksy, a także i szpadę cesarza. Dalej następowały sztandary, z orłami »złotemi obok srebrnych«, wszystkie powleczone krepą, tak samo, jak wszystkie szpady oficerów i wszystkie bębny doboszów. Po wielu, wielu korporacyach, deputacyach, etc., etc. szedł książę de Joinville, za nim marynarze z okrętu *Belle poule,* a za nimi wreszcie, ciągniony przez 24 białe konie, olbrzymiemi pióropuszami zdobne, jechał karawan — z trumną cesarza. *Excelsior!* Kiedy przeciągał pod arkadą Łuku tryumfalnego, rozległ się huk 21 salw armatnich. Karawan ten, będący mistrzowskiem dziełem sztuki dekoracyjnej, górował ponad tłumami, rzekłbyś — arką przymierza. Nad srebrną, błyszczącą trumną wznosił się wspaniały baldachim z samych lanc i chorągwi. Na trumnie widziałeś purpurowy, gronostajami podszyty płaszcz imperatorski, berło i koronę: wszystko spowite czarną, przeźroczystą zasłoną. A że było południe i słońce rzucało z poza Łuku tryumfalnego ukośne pęki światła, więc zdawało się, że trumnę otacza jakaś aureola mistyczna, z której, jak błyskawice, wypływały tęczowe promienie od złotej, drogiemi kamieniami nabijanej korony.

Ale nigdy, o, nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską powagą,
Z takiem dumnem — na przyszłość — obliczem,
Jak dziś, prochu, kiedy wracasz tu — niczem!

Za zbliżeniem się karawanu, żołnierze, tworzący szpaler po obu stronach ulicy, prezentowali broń, oficerowie salutowali, dobosze bili w bębny, kiedy w powietrzu tymczasem, nad całym Paryżem, rozlegał się wciąż, ani na chwilę nie ustający, monotonny odgłos dzwonów kościelnych.

I milion kolan przypadło do ziemi,
I wszystkie razem wzniosły się ramiona
W stronę tej trumny, co szła ponad niemi,
Jakby z niej wstawał duch Napoleona!

Ostatnie cztery wiersze nie są Słowackiego, lecz Krasińskiego, który twierdził słusznie, w jednym z listów swoich »pełnym popiołów Napoleona«, że te popioły, ten pogrzeb morski, ten bryg, zamieniony w jarzącą kaplicę, ten lud wielki, czekający na brzegu, to była jedyna chwila *epopeiczna* wieku naszego, a Słowacki mógł się czuć szczęśliwym, że był świadkiem tego historycznego momentu.

O godzinie 2-ej po południu, kiedy się kondukt zatrzymał przed kościołem Inwalidów, dano znowu 21 salw armatnich, poczem sam Ludwik Filip (w gruncie przeciwny tej manifestacyi napoleońskiej) przyjął śmiertelne szczątki cesarza, w imieniu narodu francuskiego. Miała to być najuroczystsza chwila. Opowiadano sobie, że wielu inwalidów armii napoleńskiej, trzymających straż honorową, padło — pomimo otrzymanych instrukcyi — na kolana, zalewając się łzami. Nastąpiły śpiewy, przemówienia, etc. etc. O godz. 5-ej powrócił Paryż do normalnego trybu. Wszystko odbyło się spokojnie; do zaburzeń nie przyszło, choć wiedzieli wszyscy, że się p. Guizot tak obawiał rewolucyi, iż na ten dzień sprowadził do Paryża przeszło 200.000 wojska (częścią dla oddania czci zwłokom Napoleona, głównie zaś dla utrzymania porządku, w razie, gdyby przyszło do jakich awantur). Tyle tylko, że obok wykrzyków, jak *Vive l'Empereur! Vive le Roi!* lub *Vive Louis Philip!* słyszano także i *Precz z Guizotem! Niech żyje Thiers!* Wieczorem obiegała pogłoska, że p. Guizot podał się do dymisyi, ale było to tylko *pium desiderium* opozycyi.

Drugim wypadkiem, o którym w pewnych kołach, francuskich i polskich, od niejakiego czasu mówiono bardzo wiele, a który miał miejsce dnia 22 grudnia, czyli w tydzień po pogrzebie Napoleona, był pierwszy wykład Mickiewicza w *Collège de France,* wykład, który musiał Słowackiego niemało interesować. Czy był na nim? Nie wiadomo. Zważywszy jednak, że słuchaczów zebrało się tylu, iż ich sala nie mogła pomieścić, że wszystko, co było

w emigracyi literaturą, przyszło na ten wykład inauguracyjny, że było i dwadzieścia kilka dam, samych Polek, pomiędzy któremi była i pani »Bobrowska«, przez którą kto wie, czy nie należy rozumieć pani Bobrowej; zważywszy to, zwłaszcza, gdyby ową panią Bobrowską istotnie była pani Bobrowa, możnaby nie być dalekim od uwierzenia, iż należy przypuszczać raczej, że Słowacki poszedł posłuchać tego wykładu »swego wielkiego pierwszego«, aniżeli, że się ostentacyjnie tego dnia w *Collège de France* nie pokazał. Wprawdzie Witwicki, w liście do Zaleskiego, gdzie mu szczegółowo opisuje ten pierwszy wykład Mickiewicza, nic nie wspomina o tem, żeby Słowacki był na tym wykładzie, ale to nie jest żaden dowód, wiemy bowiem, że Witwicki nie lubił wymieniać nazwiska Słowackiego, gdzie je niejednokrotnie należało wymienić. Zresztą, jest to kwestya podrzędna, czy Słowacki był na tej pierwszej prelekcyi Mickiewicza (prawdopodobnie był), skoro wiemy, że bywał na następnych, podobnie, jak na nich bywał także i Chopin z panią Sand, którą zawsze po każdym wykładzie odwoził swoim powozem do domu. Można być pewnym jednak, że Słowacki, jeżeli bywał na wykładach Mickiewicza, to nie dla widzenia na nich Chopina z panią Sand, lub innych znakomitości ówczesnych, jak Ampère, Montalembert, Saloandy, Michelet, Sainte Beuve, którzy »w imieniu cywilizacyi« spieszyli na te wykłady, ażeby »objąć tę nową sferę myśli, którą im Mickiewicz z całym blaskiem poezyi odkrywał«; Słowackiego sprowadzała tu ciekawość czego innego: wiedział, że Mickiewicz, mówiąc o literaturach słowiańskich, najobszerniej będzie mówił o polskiej, a najobszerniej o polskiej współczesnej. I tak było w istocie: Mickiewicz mówił o współczesnej literaturze polskiej, o prozaicznej zarówno, jak i poetycznej; mówiąc o tej ostatniej, mówił o wszystkich wybitnych poetach ówczesnych, począwszy od Garczyńskiego, a skończywszy na Zaleskim. Całe wykłady poświęcił Malczewskiemu, Goszczyńskiemu, autorowi *Irydiona* i *Nieboskiej*, cóż dziwnego więc, jeżeli i Słowacki spodziewał się coś o sobie usłyszeć. Przecież on nie był gorszym od Zaleskiego, Garczyńskiego, Goszczyńskiego i wielu innych, o których mówił, których dzieła rozbierał Mickiewicz; więc powinna przyjść kolej i na niego. Nie przyszła! Mickiewicz bowiem, jak długo wykładał w *Collège de France*, ani razu nie wspomniał nawet o Słowackim, jakby ten nie istniał zupełnie, jakby nie wydał dziesięciu tomów poezyi, którym nawet nieprzyjaciele jego nie odmawiali pierwszorzędnych zalet!

Nasuwa się pytanie: co jednak mogło być powodem, że Mickiewicz w swoich wykładach przemilczał o Słowackim? Boć trudno przypuścić, ażeby o nim przemilczał dla tych samych pobudek, dla których o nim przemilczał Witwicki w owym odczycie na posiedzeniu *Towarzystwa historyczno-literackiego*, z czego się tak chwalił przed Zaleskim. Są tacy, a do nich należy Piotr Chmielowski, którzy utrzymują, że Mickiewicz dlatego przez cały ciąg wykładów nie wspomniał o Słowackim, bo nie miał sposobności ku temu. Są inni, a do nich należy prof. St. Tarnowski, którzy twierdzą stanowczo, że sposobnośćby się znalazła, gdyby była istotna chęć. Jakoż, mojem zdaniem, sposobności nie brakło: była możność wspomnienia o *Żmii*, kiedy była mowa o poezyi ukraińskiej; była możność wspomnienia o *Kordyanie*, kiedy się mówiło o *Wacławie* Garczyńskiego; była możność wspomnienia o *Wacławie* Słowackiego, kiedy się mówiło o Malczewskim: była możność wspomnienia o *Anhellim*, kiedy się mówiło o autorze *Irydiona* i *Nieboskiej*; była możność, kiedy się mówiło o dramatach Puszkina i Milutynowicza, od których przecież *Mazepa*, *Marya Stuart* i *Lilla Weneda* nie były gorsze; była możność zwrócenia uwagi na Słowackiego, jako autora kilku powieści w stylu Byrona, kiedy się mówiło o romantyzmie polskim; była możność wzmiankowania o *Janie Bieleckim*, kiedy się mówiło o charakterze dawnej szlachty polskiej; była sposobność powiedzenia kilku słów o Słowackim, kiedy się mówiło o języku, o formie poetyckiej; jednem słowem, sposobności nie brakło. Widocznie, że nie było chęci, a była niechęć.

Tymczasem, we dwa dni po pierwszym wykładzie Mickiewicza, przyszła wilia Bożego Narodzenia, a zarazem dzień imienin księcia Adama Czartoryskiego. Czy Słowacki, jako członek-kollaborator *Towarz. hist.-literackiego*, uważał sobie za obowiązek winszować swemu prezesowi, tak, jak to czynili jego koledzy, z którymi przestawał najwięcej: Hipolit Błotnicki, Leonard Niedźwiecki, Jan Loman, Karol Sienkiewicz i inni? Trudno odpowiedzieć na to pytanie; trudniej nierównie, aniżeli wyjaśnić przyczynę, dla której Słowacki tego wieczoru nie był obecny na wilii, którą klub polski urządził w swoim lokalu na cześć Mickiewicza, a w której około 60 osób wzięło udział, stary Niemcewicz między innymi, a z kobiet — pani Reitzenheimowa. Łatwo zrozumieć, dlaczego Słowacki nie był na tej wilii, czemu wolał wieczór ten spędzić w innem otoczeniu, aniżeli w otoczeniu ludzi, o których wiedział, że większość z nich była mu nieżyczliwa, że znalazłszy się w tem towarzystwie, złożonem

z ludzi, których łączył kult dla Mickiewicza, kult, którego on nie mógł podzielać bez zastrzeżeń, czułby się obcym w tem gronie, a co gorsza, byłby w niem z pewnością niemile widziany, nie przez Mickiewicza, ale przez jego stronników, jak Witwicki np., któremu zawdzięczamy opis tej wilii. Pojmując, że wilia ta będzie miała charakter zebrania familijnego, Mickiewiczowski, nie chciał w tem zebraniu, jako nienależący do tej familii, być intruzem. Dlatego nie był na tej wilii w klubie, nie pił doskonałego węgrzyna, którego na tę uroczystość dostarczył jen. Mycielski, ani słyszał pięknej mowy Niemcewicza na cześć Adama (który także w tym dniu obchodził imieniny), ani dwóch długich przemówień wieszcza-solenizanta, któremi ten dziękował Niemcewiczowi i reszcie zgromadzonych.

Zdaje się jednak, że nie ten był jedyny powód, dla którego Słowacki nie był obecny na tej wilii w klubie. Kto wie, czyby w niej brał udział, nawet, gdyby nie miała takiego charakteru Mickiewiczowskiego? Bo należy wziąć pod uwagę, że w Paryżu była pani Bobrowa, gdzie Słowacki od niejakiego czasu czuł się, »jak domowy« i że w takich warunkach, na miejscu pani Bobrowej, ludzi takich, jak on, bezżennych i niemających własnej rodziny, zaprasza się na wilię. Nie ma dowodu na to, że Słowacki tego wieczoru był na wilii u pani Bobrowej (podobnie, jak dwa lata temu, we Florencyi, był na wilii w domu Hermana Potockiego), ale skoro nie był w klubie, to gdzie mógł być? Jedynym »domem przyjaznym«, gdzie bywał w tych czasach, był ów dom na Polach Elizejskich. Czemu nie przypuścić więc, że tam spędził wieczór wigilijny, w towarzystwie pani Bobrowej i jej córek, w towarzystwie kilku lub kilkunastu ziomków, między którymi z pewnością byli i Wołyniacy, zważywszy, że sama gospodyni była z Wołynia. Przypuszczenie więcej, niż prawdopodobne.



Nasuwa się pytanie: co jednak mogło być powodem, że Mickiewicz w swoich wykładach przemilczał o Słowackim? Boć trudno przypuścić, ażeby o nim przemilczał dla tych samych pobudek, dla których o nim przemilczał Witwicki w owym odczycie na posiedzeniu *Towarzystwa historyczno-literackiego,* z czego się tak chwalił przed Zaleskim. Są tacy, a do nich należy Piotr Chmielowski, którzy utrzymują, że Mickiewicz dlatego przez cały ciąg wykładów nie wspomniał o Słowackim, bo nie miał sposobności ku temu. Są inni, a do nich należy prof. St. Tarnowski, którzy twierdzą stanowczo, że sposobnośćby się znalazła, gdyby była istotna chęć. Jakoż, mojem zdaniem, sposobności nie brakło: była możność wspomnienia o *Żmii,* kiedy była mowa o poezyi ukraińskiej; była możność wspomnienia o *Kordyanie,* kiedy się mówiło o *Wacławie* Garczyńskiego; była możność wspomnienia o *Wacławie* Słowackiego, kiedy się mówiło o Malczewskim: była możność wspomnienia o *Anhellim,* kiedy się mówiło o autorze *Irydiona* i *Nieboskiej;* była możność, kiedy się mówiło o dramatach Puszkina i Milutynowicza, od których przecież *Mazepa, Marya Stuart* i *Lilla Weneda* nie były gorsze; była możność zwrócenia uwagi na Słowackiego, jako autora kilku powieści w stylu Byrona, kiedy się mówiło o romantyzmie polskim; była możność wzmiankowania o *Janie Bieleckim,* kiedy się mówiło o charakterze dawnej szlachty polskiej; była sposobność powiedzenia kilku słów o Słowackim, kiedy się mówiło o języku, o formie poetyckiej; jednem słowem, sposobności nie brakło. Widocznie, że nie było chęci, a była niechęć.

Tymczasem, we dwa dni po pierwszym wykładzie Mickiewicza, przyszła wilia Bożego Narodzenia, a zarazem dzień imienin księcia Adama Czartoryskiego. Czy Słowacki, jako członek-kollaborator *Towarz. hist.-literackiego,* uważał sobie za obowiązek winszować swemu prezesowi, tak, jak to czynili jego koledzy, z którymi przestawał najwięcej: Hipolit Błotnicki, Leonard Niedźwiecki, Jan Loman, Karol Sienkiewicz i inni? Trudno odpowiedzieć na to pytanie; trudniej nierównie, aniżeli wyjaśnić przyczynę, dla której Słowacki tego wieczoru nie był obecny na wilii, którą klub polski urządził w swoim lokalu na cześć Mickiewicza, a w której około 60 osób wzięło udział, stary Niemcewicz między innymi, a z kobiet — pani Reitzenheimowa. Łatwo zrozumieć, dlaczego Słowacki nie był na tej wilii, czemu wolał wieczór ten spędzić w innem otoczeniu, aniżeli w otoczeniu ludzi, o których wiedział, że większość z nich była mu nieżyczliwa, że znalazłszy się w tem towarzystwie, złożonem

[illegible] Mickiew[illegible]
[illegible] ustrzeleni [illegible]
[illegible] w [illegible]
[illegible] Mickiewicz [illegible]
[illegible] któremu [illegible]
[illegible] sędzie [illegible]
[illegible] ski, nie [illegible]
[illegible] tamtu, [illegible]
[illegible] w Kalnie, na [illegible]
[illegible] częstość [illegible]
[illegible] wy Niem[illegible]
[illegible] dniu [illegible]
[illegible] wieszcza [illegible]
[illegible] reszcie [illegible]
[illegible] ten był [illegible]
[illegible] wcny [illegible]
[illegible] dział, nawe[illegible]
[illegible] rzewskiego. [illegible]
[illegible] zyła pani [illegible]
[illegible] czuł się, [illegible]
[illegible] miescu pan [illegible]
[illegible] niemając [illegible]
[illegible] ma dowod[illegible]
[illegible] u pani B[illegible]
[illegible] Florencyi, był [illegible]
[illegible] skoro nie by[illegible]
mógł [illegible] domem przyp[illegible]
w tych [illegible] w dom na P[illegible]
nie przypuścić więc, że tam spędził [illegible]
warzystwie pani Bobrowej i jej [illegible]
kilku lub kilkunastu ziomków, [illegible]
ścią byli i Wołyniacy, zważywszy, [illegible]
z Wołynia. Przypuszczenie więc, [illegible]



Nasuwa się pytanie: co jednak mogło być powodem, że Mickiewicz w swoich wykładach przemilczał o Słowackim? Boć trudno przypuścić, ażeby o nim przemilczał dla tych samych pobudek, dla których o nim przemilczał Witwicki w owym odczycie na posiedzeniu *Towarzystwa historyczno-literackiego,* z czego się tak chwalił przed Zaleskim. Są tacy, a do nich należy Piotr Chmielowski, którzy utrzymują, że Mickiewicz dlatego przez cały ciąg wykładów nie wspomniał o Słowackim, bo nie miał sposobności ku temu. Są inni, a do nich należy prof. St. Tarnowski, którzy twierdzą stanowczo, że sposobnośćby się znalazła, gdyby była istotna chęć. Jakoż, mojem zdaniem, sposobności nie brakło: była możność wspomnienia o *Żmii,* kiedy była mowa o poezyi ukraińskiej; była możność wspomnienia o *Kordyanie,* kiedy się mówiło o *Wacławie* Garczyńskiego; była możność wspomnienia o *Wacławie* Słowackiego, kiedy się mówiło o Malczewskim: była możność wspomnienia o *Anhellim,* kiedy się mówiło o autorze *Irydiona* i *Nieboskiej;* była możność, kiedy się mówiło o dramatach Puszkina i Milutynowicza, od których przecież *Mazepa, Marya Stuart* i *Lilla Weneda* nie były gorsze; była możność zwrócenia uwagi na Słowackiego, jako autora kilku powieści w stylu Byrona, kiedy się mówiło o romantyzmie polskim; była możność wzmiankowania o *Janie Bieleckim,* kiedy się mówiło o charakterze dawnej szlachty polskiej; była sposobność powiedzenia kilku słów o Słowackim, kiedy się mówiło o języku, o formie poetyckiej; jednem słowem, sposobności nie brakło. Widocznie, że nie było chęci, a była niechęć.

Tymczasem, we dwa dni po pierwszym wykładzie Mickiewicza, przyszła wilia Bożego Narodzenia, a zarazem dzień imienin księcia Adama Czartoryskiego. Czy Słowacki, jako członek-kollaborator *Towarz. hist.-literackiego,* uważał sobie za obowiązek winszować swemu prezesowi, tak, jak to czynili jego koledzy, z którymi przestawał najwięcej: Hipolit Błotnicki, Leonard Niedźwiecki, Jan Loman, Karol Sienkiewicz i inni? Trudno odpowiedzieć na to pytanie; trudniej nierównie, aniżeli wyjaśnić przyczynę, dla której Słowacki tego wieczoru nie był obecny na wilii, którą klub polski urządził w swoim lokalu na cześć Mickiewicza, a w której około 60 osób wzięło udział, stary Niemcewicz między innymi, a z kobiet — pani Reitzenheimowa. Łatwo zrozumieć, dlaczego Słowacki nie był na tej wilii, czemu wolał wieczór ten spędzić w innem otoczeniu, aniżeli w otoczeniu ludzi, o których wiedział, że większość z nich była mu nieżyczliwa, że znalazłszy się w tem towarzystwie, złamanem

ROZDZIAŁ III.

DWIE UCZTY.

Uczta u Eustachego Januszkiewicza. I. Słowacki nie w swoim żywiole. Improwizacya Słowackiego. Odpowiedź Mickiewicza. Wrażenie tej ostatniej. Koniec legendy (w przypisku). Chwila harmonii między wieszczami. »Żaden nie zwyciężył«. II. Legenda o tym wieczorze. Projekt ofiarowania Mickiewiczowi puharu na pamiątkę tego wieczoru. Wniosek Kołyski. Rozmowa Niedźwieckiego z Januszkiewiczem. Słowacki ma dostać pierścień. Delegacya u Słowackiego. Pokrzyżowanie planów. Słowacki nie chce ofiarować puharu Mickiewiczowi. Projektowany Bohdan Zaleski. Druga uczta u Januszkiewicza — nieudana. Zemsta.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia wyprawił Eustachy Januszkiewicz ucztę na cześć autora *Dziadów,* ucztę, na którą zaprosił około 40 osób, a w tej liczbie i Słowackiego.

I.

Odmówić »przyjacielowi« nie wypadało, poszedł więc; ale, jak to było do przewidzenia, nie czuł się on tu w swoim żywiole, zważywszy, że z wyjątkiem Niedźwieckiego i Lomana, z którymi go łączyły węzły prawdziwej, serdecznej sympatyi, oraz kilku obojętnych, jak Kołysko, Nabielak i Jan Koźmian, którzy nie byli dlań wrogo usposobieni, reszta uczestników, nie wyłączając gospodarza samego, składała się prawie wyłącznie z ludzi, którzy uwielbienie swe względem Mickiewicza posuwali tak daleko, że ich to aż zniewalało, jak Romana Załuskiego naprzykład, »nie rozumieć« poezyi Juliusza.

Oto przyczyny, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej główne, które sprawiały, że Słowacki, zasiadłszy do stołu, przez cały czas kolacyi, a więc od 10-ej do 2-ej blisko po północy, siedział milczący i zamyślony, żadnego prawie nie biorąc udziału, ani w rozmowie powszechnej, ani w spijaniu owego »umyślnie z kraju sprowadzonego miodu litewskiego«, którego »dla wydobycia z dusz uśpionych umysłu do poezyi i rozweselenia serc smutkiem znękanych *wychylono niejeden kielich* za zdrowie osób przytomnych«, a dzięki któremu wytworzyła się niebawem »szczera polska ochota«.

Słowacki jej nie podzielał. Przedewszystkiem musiał żałować trochę, że się tu znalazł wogóle, na tej uczcie *dla Mickiewicza* wyprawionej; powtóre, musiał się do pewnego stopnia sądzić upokorzonym w swojej miłości własnej, widząc, jak oczy wszystkich zwracają się wciąż ku autorowi *Dziadów,* wpatrzone weń, jak w proroka, kiedy na niego, siedzącego na szarym końcu, najmniejszej nie zdawał się nikt zwracać uwagi. W jego rozumieniu była to »ciemna zgraja« Litwinów-Jezuitów, która go w tej chwili drażniła tembardziej, że niektórzy z nich, a nie brakło w tej liczbie pewno i Eust. Januszkiewicza, namawiali go, ażeby on, jako poeta, wypił zdrowie Mickiewicza. Słowacki opierał się zrazu, czuł bowiem, że w tych namowach jest pewna doza złośliwości i chęci dokuczenia mu, bo nie było tajemnicą, że miał żal do Mickiewicza; ale nalegania ponawiano raz po raz, tak, iż poeta w końcu, kiedy się na chwilę uspokoiły szmery po niefortunnem dość przemówieniu Włocha, Ottavi'ego, powstał, zadzwonił w szklankę i zwracając się ku Mickiewiczowi, blady, jak trup, głosem drżącym ze wzruszenia, zaczął improwizować — wierszem.

Ubierając myśli swe w najtrudniejszą prawie ze wszystkich form wiersza, bo w aryostyczną oktawę, mówił — »ślicznie, choć duma w wierszach jego przebijała« — o swojem wejściu w świat poetyczny, o niepowodzeniu, jakiego aż po dziś dzień doznaje, chociaż w tę otchłań, co pochłonęła dwa pierwsze jego tomiki, rzuca wciąż nowe i, zdawałoby się, wciąż doskonalsze utwory. I żalił się, że niezabity dotąd przez krytykę, iść musi sam, »bez żadnej zachęty«.

Atoli słowa jego, choć »śliczne« i wypowiadane z »zapałem« (jakkolwiek nie bez trudu) i choć »do najwyższej wznosiły się poezyi«, — co mu nawet jego antagoniści przyznawali — nie czyniły na zgromadzonych, pomimo »świetności« swej takiego, jakby się spodziewać należało, wrażenia, tak dalece, iż niektórzy »szemrali« nawet, »jak na zwolenników Adama przystało«. Słowacki, rozumiejąc aż nadto

dobrze, jak sobie to szemranie tłómaczyć, co znaczą te złowrogie szepty, podawane z ust do ust, a przypominające pomruk bałwanów morskich przed burzą, ujrzał się nagle podobnym nie już do hrabiego z *Pana Tadeusza,* osaczonego przez Sopliców, ale do owego ślepego harfiarza z wyspy Scio, o którym mu opowiadano w Grecyi, a który, jak on w tej chwili, śpiewając pustemu brzegowi morskiemu, kiedy skończył, dziwił się, że taka cisza panowała dokoła, że nie słyszał żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego oklasku. I jak ten harfiarz grecki, który rzuciwszy harfę, odszedł smutny, nie wiedząc, że najpiękniejszy z jego rapsodów utonął nie w sercach ludzi, lecz w głębi fal Egejskiego morza; podobnie się w nim teraz »kruszyło serce smętne«, że on nie ma nikogo ze »szlachetnych«, coby z nim współczuł w tej chwili, i że próżno wyrzuca namiętne skargi, »pełne łez i krwi i błyskawic świetnych« na serca, które zawsze dla niego pozostawały »wstrętne«. A przecież i on także miał prawo do miłości swoich współbraci.

Wobec tej obojętności, a raczej niechęci ze strony słuchaczów, nie dziw, jeżeli »samotny był i ponury«, jak w obozie nieprzyjacielskim, jak Szekspirowski Romeo na balu u Kapuletów, i jeżeli go brała chwilami ochota »rozpędzić tę ciemną zgraję«. Wiedząc wszelako, że ma większość przeciwko sobie, i że go ci »Litwini« chwycić gotowi »w pazury«, jeżeli ich improwizacyą tą wzruszyć i rozczulić nie zdoła, nie widział innego wyjścia z tego zaczarowanego koła, tylko — ustąpić im na razie. W tej myśli, nie chcąc uwagi ich dłużej osobą swoją zaprzątać, przestał mówić o sobie, a zaczął o Mickiewiczu — w pochlebny rozumie się sposób — o roli, jaką ten w poezyi polskiej odegrał, o tem, że »jak Bóg litewski, z ciemnego sosen powstał uroczyska« etc. poczem, jak sam powiada, on »Syn pieśni, syn królewski« uchylił czoła przed geniuszem twórcy *Pana Tadeusza,* przyczem porównał jego do Achillesa, siebie zaś do Hektora.

Tymczasem głos mu drżał coraz bardziej, wewnętrzne wzruszenie wzmagało się z każdą chwilą, oczy pałały gorączkowo, na czoło występowały krople potu. Siedzący przy nim Szembek podsunął mu szlankę z wodą. Poeta podziękował skinieniem i, jakby wyczerpany, omdlały, na krzesło się opuścił. Obecni pozostali w niemem zdziwieniu i osłupieniu, »jak gromada ludzi, przed którymi ktoś nagle gwiazd niebieskich korzec rozsypał«. Nad stołem zawisła poważna głucha cisza, cisza, którą można sobie było tłómaczyć rozmaicie, zwłaszcza, jeśli się dało dostrzedz, że

wśród tej ciszy »szemrał każdy, choć pokryjomo, przeciwko niemu«.

Cisza ta, jak błyskawica, wróciła Słowackiemu w jednem mgnieniu oka całą przytomność umysłu: zrozumiał, co było jej źródłem! Improwizacya jego, nadzwyczaj kunsztowna, pełna szczytnych, niezawsze jasnych przenośni, zdobna mnóstwem girland, tęcz, dyamentów i pereł, oślepiająca blaskiem poetycznego języka, przemocą naginanego do wyszukanej formy oktawy, o ile mogła być dostępną dla Mickiewicza, o tyle musiała dla większości i tak już »*pół pijanych* zwolenników szkoły« pozostać zawiłą i ciemną. Nie zrozumieli jej poprostu. »*Za błękitami* był bój i zwycięztwo«, oni tymczasem, nie mogąc się wznieść tak wysoko, widzieli w nim, »*tylko* męstwo«. Należało więc i im także »rzucić kilka kości«. Uważając to za niezbędne, widząc, że w przeciwnym razie żadnegoby improwizacya jego nie zyskała oklasku, powstał raz jeszcze — a było to szczęśliwe natchnienie, oparte na intuicyjnej znajomości psychologii tłumu — i zwracając się do Mickiewicza, rzekł: »Na łodydze mojego życia dwa błyszczą kwiaty: jeden niechęci ku tobie: ten więdnieje i opada; drugi przyjaźni: ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek *nizko* zakwita, *schyl się,* aby go podnieść. Czyniąc to, pójdziesz tylko za przykładem Wojskiego z *Pana Tadeusza,* w którym tak cudownie opisałeś Grzybobranie, Wojskiego, który, pamiętaj, przez fantazyę czy kaprys kładł do worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał muchomory«.

Dopiero teraz, ile, że porównanie to, dowcipne i trafne, dla wszystkich stawało się przystępne, i ponieważ hołd, oddany Mickiewiczowi, jeszcze dobitniej się w niem zarysował, gruchnęły rzęsiste oklaski.

Autor *Dziadów* osądził tę improwizacyę Juliusza, jako poetyczne »wyzwanie«, czem podniecony, uczuł się nagle »w wielkiem podniesieniu ducha« i postanowił odpowiedzieć. Dzięki decyzyi tej, w chwili, kiedy Słowacki kończył, on »już następował zblizka, silny natchnieniem«, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdy nie czuł«, natchnieniem, które na podobieństwo włóczni Achillesa mogło przeciwnikowi, nawet tak, jak Słowacki, walecznemu, zadać cios śmiertelny.

Chwila ta, uroczysta nad wyraz, zapisała się w pamięci obecnych, jako »dramatyczna« walka największych dwóch poezyi polskiej tytanów, walka, jak sądzili, nierówna, o ile bowiem Juliusza (»jak na zwolenników Adama przystało«) uważali za wątłego, własne siły przeceniającego

Dawida, o tyle w twórcy *Dziadów* niezwyciężonego widzieli Goliata.

Wobec tego nie dziw, jeżeli na widok Mickiewicza, powstającego z miejsca, wszyscy powstali również. Twarz jego, w oczach przytomnych, przybrała anielską postać, z ust zaś, jak owe wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory, z przepełnionego wylewają się koryta, zaczęła płynąć rzeka słów, najpiękniejszych myśli i rymów, powiązanych w prosty, trzynastozgłoskowy aleksandryn *Pana Tadeusza,* a wybuchających — niczem lawa z krateru wulkanu — z taką siłą, gwałtownością i mocą, z takim pędem niewstrzymanym, że dech zamierał w piersiach, nietylko poecie, ale i słuchającym.

Na tle ciszy grobowej, jaka panowała w sali, potężny, natchniony, a iście proroczy głos wieszcza — donośnem echem obijający się o białe ściany wielkiej sali jadalnej — czynił wrażenie wstrząsające. Obecni stali, jak skamieniali, w niemem osłupieniu, w zachwycie, ze wzrokiem utkwionym w promienne oblicze poety.

Rzecz dziwna, że zarówno nazajutrz, jak i bezpośrednio po improwizacyi Mickiewicza, żaden z uczestników uczty (z jedynym może wyjątkiem Słowackiego), choć wszyscy zapewniali, że byli »najzupełniej trzeźwi«, nie umiał powtórzyć dokładnie, co mówił Adam. Nikt nie pamiętał. Zapamiętano tylko, że jak Słowacki zaczął od siebie, tak on zaczął od Słowackiego, starając mu się wyjaśnić, co jest przyczyną jego niepowodzenia, jako poety, oraz czemu przypisać, że utwory jego, tak kunsztowne pod względem formy, nie znajdują uznania, i przechodząc jedne po drugich, niezauważone przez publiczność, niepochwalone przez krytyków, toną w otchłani milczenia, nie znajdując echa w narodzie. Czem się to dzieje? Tem, że w poezyach jego, podobnych do kościoła, cudowną stawianego architekturą, nie ma Boga, nie ma wiary, nie ma miłości, że więcej w nich sztuki, więcej harmonijnych, zręcznie dobranych rymów, aniżeli szczerego, samorodnego natchnienia.

Ztąd biorąc assumpt, zaczął mówić o sobie, o swojej karyerze poetyckiej, objaśniając z kolei, dlaczego jemu Bóg poszczęścił w jego zawodzie. Dlaczego? W odpowiedzi na to pytanie wyraził się między innemi w taki sposób:

> Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam:
> Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.

Wystarcza mu — mówił — »w piersi tylko uderzyć«, ażeby z nich wnet, jak za dotknięciem Mojżeszowej laski »zdrój słów wytrysnął«.

A jeśli na tym prądzie iskra Boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu, ani płód marzenia,

ale czyste, jak woda kryniczna, »natchnienie«, owoc wiary i miłości, — których właśnie brak Słowackiemu — przyjęty w darze od Stwórcy samego, z nieba, na skrzydłach geniuszu. Dlatego też:

Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

Po tych słowach, będących ostatniemi akordami improwizacyi, nastąpiła »najuroczystsza« chwila zarówno dla Mickiewicza, jak i dla Słowackiego, chwila pojednania, chwila zapomnienia uraz, chwila uświęcona przez poetów — wobec całego zgromadzenia — braterskim uściskiem, który o tyle silniejszym łączył ich węzłem, że z tego ryzykownego »boju«, jaki dopiero co stoczyli, »obaj z równą wychodzili chwałą«, że »żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony«, chyba ten, »co czuł więcej, co szczerzej dłoń drugiego chwytał«. »Tak to zrozumieli obecni«, którzy, idąc za przykładem wieszczów, również poczęli się całować i ściskać. Ropelewski — w czasie improwizacyi Słowackiego — zemdlał, a kiedy go się docucono, nie mógł nerwowego uspokoić dreszczu. Ludwik Plater płakał, jak dziecko. Władysław szlochał. To samo Barzykowski.

A Mickiewicz i Słowacki? Oni wziąwszy się pod ręce, chodzili po sali »jak dwaj bracia«, wspominając dawne czasy, opowiadając sobie przeszłe nieporozumienia i zatargi.

II.

Wieść o tych improwizacyach, podawana z ust do ust, rozeszła się lotem błyskawicy po całym Paryżu. Przez kilka dni nie mówiono o niczem innem, tylko o tym »boju« dwóch poetów: o ich pogodzeniu się; o wrażeniu, jakiego doznali obecni; o wzruszeniu, z jakiem opowiadali o tej »dramatycznej scenie, jaka zaszła między wieszczami«; o zemdleniu czy ataku epileptycznym Ropelewskiego, »o łzach słuchaczy«; o kasztelanie Platerze, którego pół omdlałego, z włosami w nieładzie musiano aż znieść do powozu (co naturalnie przypisywano urokowi improwizacyi), o jego powrocie do domu, gdzie nań czekały zaniepokojone żona i córka; o tem, jak i one się popłakały, usłyszawszy o tym »cudzie« u Januszkiewicza; o marszałku

Kaszycu, który później »płakał całą noc«; o Barzykowskim, który całował Januszkiewicza po rękach, dziękując, że go zaprosił; o tem, że nazajutrz po uczcie uczestnicy jej, opowiadając znajomym swoim, czego byli świadkami, równie magiczny i na nich jeszcze wywierali wpływ, etc. Wszędzie, gdziekolwiek się było obrócić, słyszano wymawiane z entuzyazmem nazwiska Mickiewicza, Słowackiego, Januszkiewicza i innych, którym los pozwolił brać udział w tej cudownej uczcie.

Pani Bobrowa dowiedziała się o niej prawdopodobnie od Słowackiego samego. Wiedział, że go to podniesie w jej oczach, bo takie rzeczy zawsze imponują kobietom, nadając w wyobraźni ich niemałego blasku szczęśliwemu tryumfatorowi-bohaterowi. Cóż dopiero, jeżeli bohaterem jest wielki poeta! Uradowany, że ma się czem przed nią pochwalić, z pewnością nie omieszkał jej zdać najdokładniejszej relacyi z całego zdarzenia. Przed kim zresztą, jeżeli nie przed nią, miał się pochwalić?

Ale radość ta, niestety, miała trwać bardzo krótko: parę dni zaledwie. Nie upłynęło pół tygodnia, a już się zaczęły na tym pogodnym horyzoncie drobne jakieś, a nic dobrego nie wróżące, ukazywać chmurki, które ciemniejąc stopniowo, bardzo prędko przybrały zatrważające rozmiary. Po ciepłym dniu słonecznym zanosiło się na burzę.

Niezaprzeczony — a przynajmniej niezaprzeczony na razie — fakt, że turniej improwizatorski pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem nie skończył się porażką pierwszego, lecz »równą chwałą« obydwóch, że »żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony«, co — przyzna każdy — równało się prawie »zwycięstwu« Juliusza; fakt ten, nieprzewidziany przez zwolenników Adama, »jakimi byli wszyscy niemal na uczcie obecni«, nie przypadł im do smaku; postanowili więc, w nadziei, że uratować przez to zdołają honor stronnictwa, »cokolwiek zbić i strącić« tego — i tak już zbyt wysokie mniemanie o sobie mającego — pyszałka, (jak między sobą nazywali autora *Lilli Wenedy)*, i umyślili, ażeby on, który przecież w improwizacyi swej uchylił czoła przed geniuszem Mickiewicza, dowiódł swojego względem autora *Dziadów* »wasalstwa« raz jeszcze czynem.

Czynem tym miało być uroczyste wręczenie przezeń puharu Adamowi. O tem zaś, że w pierwszej chwili, kiedy powstał projekt ofiarowania kielicha pamiątkowego Mickiewiczowi, zamierzono również i Słowackiego podobnym uczcić upominkiem, o tem postanowiono przemilczeć. Że poeta mógł już być powiadomiony o początkowym zamiarze ofiarowania puharu i jemu także, tego nie uwzglę-

dniono, podobnie, jak nie uwzględniono przykrości, jaką mu zaniechaniem owego pierwotnego projektu wyrządzano.

Poeta tymczasem, dzięki Lomanowi i Niedźwieckiemu, wiedział o wszystkiem, co zaszło i o czem mówiono po jego wyjściu. Loman, który, jako główny buchalter drukarni Januszkiewicza, został do końca uczty, zaraz nazajutrz, w przekonaniu, że tem sprawi przyjemność Słowackiemu, poszedł do niego i oznajmił mu, jaka go czeka niespodzianka. Oczywiście, że Słowackiego musiała podobna wiadomość ucieszyć.

Z tym puharem dla Słowackiego miała się rzecz w następujący sposób. Zaledwie Mickiewicz, a niezadługo po nim i Słowacki, opuścili zebranie, wystąpił Eustachy Januszkiewicz, »który był duszą wszystkiego«, z propozycyą, ażeby, póki się jeszcze wszyscy nie rozeszli, urządzić składkę i za zebraną sumkę kupić jakiś przedmiot, np. puhar srebrny, któryby przy sposobności ofiarowano Mickiewiczowi na pamiątkę tej »górnej chwili«, którą wszyscy, dzięki jemu właśnie, przeżyli niedawno. Myśl tę, jako wyraz zapału, jaki improwizacya Mickiewicza wywołała w duszach całego zgromadzenia, uznano za słuszną i godną urzeczywistnienia. W chwili jednak, gdy przystąpiono do zbierania składki, Kołysko, wychodząc z zasady zwykłej słuszności, zwrócił uwagę, że jeśli dar jakiś ma się ofiarować Mickiewiczowi, to żadną także miarą nie można pomijać Słowackiego, dla tej prostej przyczyny, że on właśnie, improwizacyą swą, również kunsztowną i porywającą dał początek tej górnej chwili. Powtóre, zaprzeczyć się nie da, że znakomity talent Słowackiego, talent, którego oczywiste dowody dał niedalej chociażby, jak dzisiejszego wieczoru, zasługuje w każdym razie, jeżeli nie na uwielbienie, to w każdym razie na uznanie. Nie należy zapominać wreszcie, że jeśli zachowanie form grzeczności wymagalnem jest w codziennych stosunkach towarzyskich, to liczyć się z niemi wypada tem bardziej, gdy chodzi o *vatum irritabile genus*. Rozumowanie powyższe zyskało aprobatę obecnych; wszyscy jednozgodnie uznali je za najzupełniej racyonalne, ukartowano więc, że obydwaj poeci otrzymają po upominku. Ostatecznie zgodzono się na puhary srebrne, każdy z odpowiednim napisem. Kupieniem ich mieli się zająć Kołysko i Roman Załuski.

Ale od powzięcia jakiegoś planu aż do wykonania go bywa częstokroć droga bardzo daleka; nawet w tak pomyślnych okolicznościach, jak w danym razie, że nie było przeszkód materyalnych, o które w emigracyi często się rozbijały najświetniejsze projekty. Tutaj było przeciwnie

a to dzięki marszałkowi Kaszycowi, który widząc, że zebranym niełatwo przychodzi rozstawać się z groszem, dał tyle, że prawie wszystkich zastąpił. Ostatecznie, w przeciągu doby, zdołano zebrać 1050 franków, suma pokaźna bardzo, jak na taki cel.

Na nieszczęście dla Słowackiego, zebrano rzeczoną sumę, nie zaraz, bezpośrednio po skończonej uczcie, po wyjściu Mickiewicza i Słowackiego (którzy, kto wie, może wyszli razem), ale nazajutrz dopiero, w ciągu »doby«, t. j. w przeciągu czasu, który był wystarczającym, ażeby niechęć dla Słowackiego, jaką w duszy żywili prawie wszyscy uczestnicy wczorajszej uczty, zaczęła robić swoje; ażeby wniosek Kołyski, wzięty pod dyskusyę, upadł ostatecznie. Bo na tem się skończyło. Uchwalono, że Januszkiewicz urządzi jeszcze jedną ucztę, że na tę ucztę będą zaproszeni ci tylko, co byli zaproszeni na pierwszą, (z wyjątkiem Witwickiego i Bohdana Zaleskiego, których postanowiono zaprosić także), że na tej uczcie nastąpi uroczyste wręczenie pamiątkowego puharu Mickiewiczowi. Tu powstała nowa kwestya: kto Mickiewiczowi ma wręczyć puhar? Dyskutowano długo (zdaje się, że konferencya ta odbywała się u Januszkiewicza), aż uchwalono w końcu, że dobrze będzie, jeśli puhar wręczy Mickiewiczowi — Słowacki. Dlaczego dobrze? Dla rozmaitych powodów. Najprzód dlatego, że będzie to poniekąd dowodem »wasalstwa« z jego strony względem Mickiewicza; a powtóre, że taki akt wasalstwa cokolwiek go »zbije i strąci« z tej wyżyny wysokiego mniemania o sobie, na jakiej w swej bezgranicznej zarozumiałości uważał że się znajduje. To (w przekonaniu obradujących) powinno mu tylko wyjść na dobre, bo przedewszystkiem grzeszył brakiem pokory; i to też, jak się zdaje, było powodem, że zaniechano projektu ofiarowania puharu i Słowackiemu także. Może się obejść bez upominku, coby go w większą jeszcze wbiło dumę i pychę; dość zaszczytu, że na niego padł wybór wręczenia upominku, jako »dowodu uwielbienia i miłości«, wieszczowi *Dziadów* (zwłaszcza *Trzeciej części*).

Po tak powziętej uchwale, zamiast dwóch puharów, dla Mickiewicza i Słowackiego, kupiono jeden tylko, dla Mickiewicza, a że nań wydano całą sumę 1050 fr., którą zebrano, a która początkowo była przeznaczona na dwa puhary (po 500 franków mniej więcej), nie dziw więc, że puhar, który kupiono, był wspaniały; nietylko pod względem artystycznym i wartościowym, ale i pod względem rozmiaru. Jak powiada Leonard Niedźwiecki, był to puhar »na wielkie rozmiary, tak, że nie łatwo było brać go do

ręki«. Na pokrywie, na tarczy, służącej za podporę kunsztownie odlanemu lwu, wygrawirowano: Adamowi Mickiewiczowi na pamiątkę dnia 25 grudnia 1840 roku. Poniżej, dokoła samego naczynia, wyryto tytuły wszystkich utworów wieszcza, oraz następujące, z wiersza do Joachima Lelewela wyjęte słowa:

Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki
Między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki.

Widząc to, Leonard Niedźwiecki, i czując, że wskutek takiego obrotu sprawy Juliuszowi dzieje się krzywda, niezasłużona i niesprawiedliwa, udał się osobiście do Januszkiewicza, ponieważ »znał się z nim dobrze« i »zrobił mu tę uwagę, iż, dając upominek jednej Improwizacyi, nie należy zapominać, że były dwie«. »Ha, odpowiedział pan Eustachy, Słowackiemu damy pierścień«. Niedźwiecki uznał za stosowne, jak powiada, zaraz to Słowackiemu powtórzyć.

Okazało się jednak, że się słowa Januszkiewicza »wcale nie miały ziścić«, że był to poprostu »wybieg« z jego strony. Bo Januszkiewicz, jak utrzymuje Leonard Niedźwiecki, »znany był z podobnych wybiegów«. Niedarmo nazywano go »Tayllerandem w łapciach!«

Ułożono tedy, że w imieniu 40-tu admiratorów Mickiewicza, zebranych w d. 25 grudnia przy *Rue l'Echaudé*, Słowacki ofiaruje mu kielich wraz z wypisanym na pergaminie adresem.

Na uroczystość tę, prawdziwe święto dla »zwolenników szkoły litewskiej«, wyznaczono wieczór 1 stycznia. Wieczoru tego, podobnie, jak przed tygodniem, odbyć się miała w tym samym co i poprzednio lokalu Januszkiewicza wspaniała uczta, wspanialsza nierównie, aniżeli pierwsza, uczta, na której »Słowacki *miał oddać* puhar«. Ażeby go do misyi tej nakłonić, wysłano na *Rue Castellane* Nr. 11 osobną delegacyę, mającą mu rzecz całą przedłożyć, delegacyę, która wbrew wszelkim przewidywaniom powróciła z niczem.

Słowacki bowiem, wiedząc już, że go pominięto zupełnie, że nietylko odstąpiono od zamiaru ofiarowania i jemu także puharu pamiątkowego, ale go nawet chciano wyprowadzić w pole, *obiecując* pierścień, o którego kupnie nikomu się nie śniło, rozdrażniony tem wszystkiem, a nadto wytrącony z równowagi rozkazującym, prawie dyktatorskim tonem, jakim go zmusić chciano do tego kroku, oświadczył stanowczo, że propozycyę odrzuca, że puharu Mickiewiczowi w takich nie wręczy warunkach, ponieważ się za niczyjego »wasala« nie uznaje. Odmowa ta, wypo-

wiedziana dobitnie, bez ogródki, zirytowała delegatów, ileże pokrzyżowała im naraz wszystkie plany, za czem poszło, że »wymieniono wiele słów szorstkich i przykrych«, że od słowa do słowa przyszło do formalnej kłótni, której pierwszem i najważniejszem następstwem było to, że Słowacki w dniu 1 stycznia na wieczór do Januszkiewicza nie przyszedł i puharu Mickiewiczowi nie wręczył.

Jak wobec podobnego przebiegu sprawy wytłómaczyć fakt, że na adresie pergaminowym, ofiarowanym wraz z puharem Mickiewiczowi, a na którym wszyscy uczestnicy owej »górnej chwili« w nocy z dnia 25 grudnia położyli swoje podpisy, znajduje się między innemi i podpis Słowackiego? Należy przypuszczać, że Słowacki, podpisując ten »dowód uwielbienia i miłości«, uczynił to przed ową sceną z deputacyą, przedtem, zanim się dowiedział, że jemu puharu postanowiono nie ofiarować, przedtem w każdym razie, zanim się dowiedział, że go chciano »cokolwiek zbić i strącić przez to, ażeby on wręczył puhar Mickiewiczowi w dowód swojego »wasalstwa«.

Cokolwiekbądź, komitet, urządzający tę drugą ucztę, a przedewszystkiem sam Januszkiewicz, znalazł się w kłopocie po odmowie ze strony Słowackiego. Wszystko było ukartowane tak pięknie po myśli całego grona, aż tu nagle ten pyszałek robi taki zawód! Co począć? Jak zaradzić złemu? Na to bowiem, że puhar Mickiewiczowi powinien wręczyć poeta, godzili się wszyscy. Słowacki — jakkolwiek mu ci »Jezuici-Litwini« odmówią niedługo tytułu poety — najlepiej się nadawał do tego: kiedy odmówił, wypadało tę rolę powierzyć jakiemu innemu poecie. Komu? Wybór padł na Bohdana Zaleskiego. Ale i tu spotkał ich zawód, bo i Bohdan Zaleski, choć Witwicki ręczył za niego, że nie odmówi, odmówił ostatecznie, tłómacząc się swoją »pierzchliwością ptasią«, przez którą rozumiał obawę, aby od niego wśród oklasków nie domagano się improwizacyi, do której nie miał najmniejszego daru. Skończyło się na tem, że żadnego uroczystego wręczenia nie było.

Swoją drogą odmowa Słowackiego i zawód, jaki zrobił swym antagonistom, nie pozostały bez następstw dla niego: było to zadarcie, a więc wyzwanie do walki, rzucone całemu stronnictwu, które, jakkolwiek pobożne, bynajmniej nie odznaczało się chrześcijańską cnotą przebaczania uraz; przeciwnie, było mściwe i zawzięte, bo choć skupione koło wielkiego człowieka, składało się z samych małych dusz z wielkiemi ambicyami. Nie dziw więc, że Słowackiemu postanowili tego kroku nie puścić płazem. Jakoż zaczęło się od tego, że kiedy się nie zjawił na uczcie

w dniu 1 stycznia — która się wogóle nie udała — zaczęły krążyć *wśród interesowanych* »zgryźliwe komentarze i plotki, pokątnie roznoszone po mieście«, *fama crescebat eundo,* tak, iż po kilku dniach z drobnej muszki począł wyrastać wielbłąd. Skończyło się na tem, że nie upłynęło dwa tygodnie, a »z mętów tych« powstała najnieprawdopodobniejsza legenda, tłómacząca tę nieobecność Słowackiego na tej drugiej uczcie u Januszkiewicza — na niekorzyść Słowackiego. Opowiadano sobie, że Mickiewicz w improwizacyi swej na uczcie z d. 25 grudnia, powiedział Słowackiemu wręcz, że »dobiera rymy« i »składa zgłoski«, że utwory jego, pozbawione wiary i miłości, i chrześcijańskiej pokory, nie są prawdziwą poezyą, lecz są raczej »owocami rozumu« i »płodami marzenia«, a pisane na zimno, z artystowską rozwagą, nie są owocami prawdziwego natchnienia: słowem, że nie jest poetą. To oświadczenie Mickiewicza — mówiono, że w jego mniemaniu Słowacki »nie jest poetą« — miało być powodem, dla którego autor *Anhellego* nie stawił się na uczcie z d. 1 stycznia, i dla którego nie chciał wręczyć puharu Mickiewiczowi. Obraził się.

Lecz nie dość tego. To byłoby niedostateczną karą dla zuchwałego pyszałka. Należało się na nim zemścić dotkliwiej: niech wie, »jak jest niebezpiecznie« z pewnem stronnictwem »nie być dosyć grzecznie« i narażać je — wobec całego ogółu emigracyjnego — na kompromitacyę. Takie rzeczy domagają się odwetu! Chodziło o to tylko, w jaki sposób zemścić się na Słowackim, w jaki sposób ukarać tego pyszałka, co wymyśleć takiego, czemby się udało go raz na zawsze »zabić w osobie poety«. Wiedziano, że był twardy, że nie zabiła go nawet krytyka *Balladyny.* W każdym razie był jeden sposób niezawodny: chcąc go »zabić w osobie poety«, trzeba to uczynić piórem. Kto się podejmie tego wdzięcznego zadania? Nie bójmy się! W takich razach zawsze znajdzie się człowiek, który odgadnie skrytą chęć całej grupy ludzi, który w swą pierś »magnetycznie« weźmie całą nienawiść, jaką ku jednemu żywią wszyscy, i który napisze coś, co wymierzone przeciwko temu jednemu, jemu przykrość niezmierną, a tamtym sprawi równie wielką przyjemność. I tym razem znalazł się człowiek, który to wdzięczne zadanie wziął na siebie; a nie był nim Napoleon Orda, jak do pewnego czasu przypuszczano mylnie, ale ów pozorny »przyjaciel« Słowackiego, którego poeta nazwie niebawem *un ami faux et nuisible,* a który, »znany ze swoich wybiegów« niedarmo cieszył się opinią »Taylleranda w łapciach«.

ROZDZIAŁ IV.

PANI BOBROWA I BENIOWSKI.

I. Antagoniści Słowackiego i *Beniowski*. Pani Bobrowa i *Beniowski*. »Teraz mi wezgłowiem jedno kobiece serce«. Przyjaźń za miłość. Źródło tortur. II. Wychodzi *Noc letnia*. Sytuacya się wyjaśnia. Tajemnica. Przypuszczalna spowiedź pani Bobrowej. Jej psychologia. III. Metamorfoza w Słowackim: z Werthera — Don Juan. Słowackiego rozmyślania na temat niestałości kobiet. »Poufny« list do Krasińskiego. Opowiadania o *Improwizatorach* w *Tygodniku literackim*. Mickiewicz »powinien odepchnąć«. *Beniowski* napisany. Kazania O. Lacordaire. List Krasińskiego z Rzymu, z d. 16 marca 1841 r. Zapowiedź *Kilku słów o Jul. Słowackim*. Odpowiedź Słowackiego. Pani Bobrowa ma wyjechać wkrótce. Rozmyślania na temat *Improwizatorów*. Furye. Psychologiczna geneza ostatnich oktaw 5-ej pieśni *Beniowskiego*. Poemat oddany do druku. List od Krasińskiego. Jego rady co do pani Bobrowej. Wzmianka w *Tygodniku literackim* o *Nocy letniej* Krasińskiego. Słowackiego krytyka *Nocy letniej* w *Trzecim Maju*. Przy sposobności dygresya »o jednej sławnej nocy zimowej«. Trzeci list Słowackiego do Krasińskiego. Wyjazd do Frankfurtu — za panią Bobrową. Krasińskiego list do Sołtana z d. 21 maja 1841 r.

I.

Kiedy tak »wszyscy djabli brali« antagonistów Słowackiego, on tymczasem, choć wiedział o tem, nie przeczuwał jednak, jaki zatruty cios miał na niego wypaść wkrótce z ich obozu; wiedział, że od owej drugiej uczty i wszystkiego, co ją poprzedziło, nienawidzili go bardziej jeszcze, aniżeli przedtem, ale mylił się stanowczo, jeżeli przypuszczał, że poprzestaną na tem uczuciu, że mu nie dadzą jakiegoś konkretnego wyrazu. Rozumiał przecież, że niechęć, jaką żywili ku niemu, w tej chwili była blizką

swego kulminacyjnego punktu: swoją drogą nic sobie z tego nie robił i struny, już i tak naprężonej bardzo, nie zawahał się wyciągnąć bardziej jeszcze. Niech wiedzą, z kim mają do czynienia! W tej myśli, pisząc swego *Beniowskiego,* nie przebierał w wyrażeniach, kiedy chodziło o napiętnowanie »tej ciemnej zgrai« z *Młodej Polski,* tego całego stronnictwa »Jezuitów-Litwinów«, którego główni przedstawiciele stanowili większość na uczcie w d. 25 grudnia, a z którymi obchodził się zbyt łagodnie aż do tej chwili, kiedy był w stosunku do nich, »jak lew, co poziewa, patrząc na małość zielonego węża«. Jeżeli była odpowiednia pora do należytego wychłostania tej »krainy niczego, pełnej wężowych ślin, pajęczych nici i krwi zepsutej«, tej Arkadyi, »gdzie Jezuici są barankami«, a krytycy »mają usłużne, w jadzie maczane pióra«, jeżeli była pora po temu, to teraz.

W takiem usposobieniu pisał Słowacki w dalszym ciągu swojego *Beniowskiego,* co się najwyraźniej odbiło na licznych dygresyach tego poematu.

W ogóle jest ten poemat — w pierwszych 5-ciu pieśniach — doskonałym przyczynkiem do psychologii Słowackiego w tym okresie czasu (w pierwszej połowie roku 1841), nietylko bowiem, że daje wyobrażenie o tem uczuciu rozgoryczenia, o jakie Słowackiego przyprawili jego antagoniści, ale wskazuje nadto, co się w ciągu tego burzliwego półrocza działo w sercu poety — dzięki zacieśniającym się coraz bardziej stosunkom z panią Bobrową. Bo domyśleć się łatwo, że pracując nad *Beniowskim,* nad którym najgłówniejsza praca przypada na ten czas właśnie, na pierwsze miesiące roku 1841, nie mógł w tym poemacie, tak przepełnionym osobistemi wynurzeniami autora, nie wspomnieć o uczuciu, którem w tej chwili tak było przepełnione jego serce, a które w nim rozbudzić potrafiła pani Bobrowa. Jakoż nie wytrzymał, żeby nie napisać kilku strof o niej, żeby tego względnego szczęścia, które jej miał do zawdzięczenia, nie przeciwstawić kąsaniu ze strony swych antagonistów. Oto np. jedna z takich strof:

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem:
Nie jestem, jako wieszcz wszystko wiedzący...

Ten wieszcz *wszystko wiedzący,* to Mickiewicz.

Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem,

kiedym się na owej uczcie w d. 25 grudnia ukorzył przed twórcą *Dziadów,*

A teraz ciskam serce, puhar lśniący.
Słyszycie? Pękło. *Teraz mi wezgłowiem*
Jedno kobiece serce... Jestem śpiący,
Omdlały,

miłości »ogniem owionięty«,

Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę...

Tymczasem »niech los i *serca szaleństwo* zwycięża!« Serce moje »jak łuk się wypręża« i dlatego »rzuca was, głodne sępów pokolenie!«

Kto inny teraz jest nademną, nie wy
Na których

na owej uczcie w d. 25 grudnia, improwizując do Mickiewicza,

patrzał ja, Akteon blady,

i kiedym, ja, wieszcz, mówił do was »w jasnowidzie« różne rzeczy »ciemne«, a wy »z mózgu mego mieliście jedzenie«.

Między ciemnemi położę się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady;
Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady,
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.
Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie, jak harfę, ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.

Rozkoszne to marzenie kończyło się smutną refleksyą: »Ale to wszystko sen — i może smutny?« Kto wie?

Jej lodowaty, marmurowy spokój przejmował go chwilami obawą. Bo kiedy on, dzięki tym wspólnym z nią »marzeniom szarych godzin« coraz widoczniej opanowywać się pozwalał »serca szaleństwu«, i kiedy mu nietajnem już było, że serce jego »długo zimne i ostygłe« znowu zaczyna, jak gdyby »zmartwychwstawać« pod jej wpływem; ona, chociaż darzyła go prawdziwie »siostrzaną litością«, innego poza tem nie zdawała się dlań żywić uczucia. Lubiła go, a on by chciał...

W tem uczuciu, pisząc do matki, w liście z dnia 15 lutego (1841 r.), pisał: »*Niestety*, tak kochać, jak ty ko-

chasz» nikt nie umie na świecie« i »*dlatego* w słowach moich jest czasem jakaś niespokojność smutna i *rozpacz*. A teraz bez egzaltacyi i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz *pierwsze* miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazałbym je spalić i odnieść je tobie, bo jego popiół *do nikogo innego* nie należy. *Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem*«. Wiedząc, w jakim stanie było to serce poety w lutym roku 1841, zgaduje się odrazu, jakie było uczucie, które Słowackiemu, kiedy pisał do matki, podyktowało słowa powyższe. Bo czuć w tych słowach, że były pisane pod wpływem jakiegoś smutku, do którego poeta nie chciał się przyznać otwarcie, i że głównem źródłem tego smutku, graniczącego z »rozpaczą«, była ta okoliczność, że poeta chciał komuś ofiarować swe serce, osoba jednak, którą spotykał ten zaszczyt, nie umiała, niestety! tak kochać go, jak on chciał, żeby go kochała. Za miłość, o której nie chciała wiedzieć, której udawała, że się nie domyśla nawet, ofiarowała mu przyjaźń, a smutki jego starała się koić »siostrzaną litością«, nie chcąc zrozumieć, że on chciał być kochanym, że chciał, aby go *kochano* mocno i bezinteresownie, tak samo, jak kochał on, gorąco, namiętnie, bez opamiętania, miłością, która dochodziła do szaleństwa. Ani się spostrzegł, jak w nim ta miłość buchnęła ogromnym płomieniem, płomieniem, który mu się wydawał nieugaszonym, a który podsycał wciąż — brak wzajemności. Tak, jak teraz, jeszcze nie kochał nigdy, nikogo.

W pani Bobrowej widział ideał *des Ewig Weiblichen*, uważał ją za swego »złotego ducha dobrej rady«, który do jego nieszczęść mówił tak, »jak anioł gada«, który współczuł jego niedoli, który jednak, o ile go rozmarzał z jednej strony swoim powabem i tajemnym smutkiem, a po części i »niemiecką muzyką«, o tyle z drugiej, jeśli poeta przypadkiem zaczął mówić o swojej miłości, o swojem nieszczęściu, którego ta nieodwzajemniana miłość stawała się źródłem, nie czynił najmniejszej nadziei, zaczynał rozmowę sprowadzać na inny temat. Poeta cierpiał wtedy, nieraz zdarzało się nawet, że płakał w obecności swej »dręczycielki«, ale i to nie pomagało: pani Joanna była niewzruszona, i nawet »oczy, zalane łzami«, bez wpływu pozostawały na nią. Słuchała skarg i lamentacyi poety, starała mu się miłość jego wybić z głowy, ale perswazye jej, wypływające z dobrego serca jedynie, nie otrzeźwiały poety: nie mógł zrozumieć, co mogło być przyczyną tego lodowatego chłodu z jej strony, dlaczego z takiem zapamiętaniem broniła się przed miłością, co mogło leżeć na dnie tej duszy, tak wystudzonej na pozór. Posiadała wszelkie

warunki po temu, ażeby być kochaną i kochać samej; bo z mężem nie żyła, bo go nie kochała, bo go nie kochała nigdy; robiła wrażenie, jakby była spragniona miłości, jakby jej serce toczyła jakaś pustka i czczość; a jednak nie chciała słyszeć o miłości, bo tego uczucia zdawała się lękać poprostu. W jednym ze swoich późniejszych listów do niej Słowacki tak określił tę sytuacyę: »Ja przez cały czas czułem także, że serce Pani lękało się i cofało odemnie — z przestrachem«. Ale to przeświadczenie było dla niego »torturą« nie do zniesienia, czuł dokoła siebie »martwość« jakąś, a zaradzić jej nie umiał w żaden sposób. Jednem słowem, był bardzo nieszczęśliwy. A jednak nie miał dość siły, ażeby duszę oderwać od jej kobiety, ażeby się z nią przestać widywać, ażeby jej zacząć unikać. Kiedy jej nie widział przez trzy dni, zaraz porównywał serce swoje z owem źródłem Syloe na dolinie Józefata, które tylko co trzy dni wytryska; mawiał, że takie trzy dni, kiedy nie był w domu Elizejskim, kiedy nie widział jego uroczej gospodyni, były podobne do tych trzech dni, kiedy w źródle Syloe nie było wody; tak mu się wydawały »okropne i długie«. Doznawał wrażenia, że wtedy drzewa usychały nad nim, a dokoła niego panowała jakaś martwość i spieka pustyni. Dopiero, kiedy poszedł do pani Bobrowej, kiedy się mógł wypłakać przed nią — co się zdarzało »często« — doznawał jakowejś ulgi. Pani Bobrowa »czuła przeczuciem« tę martwość jego duszy zbolałej, a kiedy zaczynała »mówić do nieszczęść tak, jak anioł gada«, on pod wpływem podobnych rozmów z nią, uspokajał się chwilowo, wdzięczny i za tę litość siostrzaną, którą mu okazywała...

II.

Taki stan trwał aż do połowy lutego. W tym czasie stało się coś, co sprowadziło znaczną zmianę w stosunku Słowackiego do pani Joanny: oto dowiedział się — prawdopodobnie od niej samej — co ją łączyło z Krasińskim, jaką rolę odegrał autor *Irydiona* w jej życiu. Nie wiemy, niestety, jakiemu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczał Słowacki, że ta »zagmatwana tragedya« życia pani Bobrowej przestała dla niego być tajemnicą, że się dowiedział o wszystkiem. Być może, iż z czasem, kiedy zostaną ogłoszone wszystkie listy Słowackiego do Krasińskiego (o których wiem tylko, że istnieją, choć nie umiem powiedzieć, gdzie się znajdują), kwestya ta, jak tyle innych,

znajdzie ostateczne wyjaśnienie; dzisiaj konieczność zniewala poprzestać na hypotezie, bardzo prawdopodobnej wprawdzie, ale, jak każda hipoteza, dowolnej i niepewnej.

Hypoteza jest taka. W drugiej połowie lutego 1841 roku wyszła bezimiennie w Paryżu »powieść poetyczna«, p. t. *Noc letnia*, którą Słowacki, wkrótce po ukazaniu się jej, przeczytał, a przeczytawszy, poznał odrazu, iż jest to utwór Krasińskiego. Wiedząc, jak wielką była pani Bobrowa pism autora *Irydiona* wielbicielką, w jak wysokim stopniu interesowała się wszystkiem, co miało związek z twórcą *Nieboskiej*, mógł Słowacki bardzo łatwo wpaść na szczęśliwy pomysł i przynieść którego dnia *Noc letnią* dręczycielce swej, bo jednego mógł być pewny, że uczyniwszy to, prawdziwą jej sprawi przyjemność, że mu będzie wdzięczna za nią. To pierwsza część hypotezy. Druga jest niemniej prawdopodobna. Wiemy, że Słowacki, bywając u pani Bobrowej, niejednokrotnie podejmował się wdzięcznej roli lektora — własnych poematów. Niebawem przeczyta jej *Beatrix Cenci* i *Beniowskiego.* To upoważnia do przypuszczenia, że kiedy wyszła *Noc letnia,* mogli powieść tę przeczytać razem. Nic naturalniejszego! To druga część hypotezy. Trzecia jest najśmielsza, choć psychologicznie możliwa, bo, prawie konieczna, jeśli się stanie na Bourgetowskiem stanowisku konieczności psychologicznej. Jak wiadomo, poprzedza *Noc letnią* piękna wierszowana apostrofa do jakiegoś »serca niewieściego i prześladowanego«, które, jak się wyraża Krasiński, za to, »że się natchnęło w myśli święte, wieszcze«, oraz

Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość:
Nienawiść podłych lub miłość anioła,

pozostało »w walce z innemi« i »potwarzą ścigane dokoła«, nigdzie odtąd »na tej smętnej ziemi« nie znajdowało pokoju.

Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś nakształt głazu ścierpło i zlodniało,
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie;
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry spadłej z niebios, co wre w jego głębi;

Jeśli to serce, w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą itd itd.

Poczem zwraca się już poeta do serca tego, jako do »siostry« swojej:

Za to, żeś *siostro* w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,

poświęcam ci »tę pieśń mej duszy«. Weź ją,

po pieśni poznasz we mnie brata,
To pieśń z innego — tak, jak i ty — świata.

Dedykacya ta, głęboko wzruszająca, i jako poezya, niepospolicie piękna, piękniejsza nierównie, aniżeli sama *Noc letnia,* która — jak powiedziano słusznie — jest najobojętniejszą ze wszystkiego, co Krasiński w latach dojrzalszych napisał, dedykacya ta, jeśli przypuścimy, że ją Słowacki na głos pani Bobrowej przeczytał, musiała podziałać na nią, jak grom; bo wystarczało jej, ażeby tę pieśń usłyszeć, ażeby zrozumieć odrazu — czego się z pewnością ani domyślał na razie Słowacki — że tem »sercem niewieściem i prześladowanem«, tą siostrą, której Krasiński mieni się »bratem« i której *Noc letnią* »w świętem współczuciu« poświęca, jest ona, nie kto inny, ona, do której się wszystkie słowa tej »pieśni« odnosiły najwyraźniej, ona, która się w nich widziała odmalowaną, jak na wizerunku, jak w zwierciedle, ona, której życia była ta »pieśń« treściwie i wiernie opowiedzianą historyą. Ona bowiem, nie kto inny, dała się natchnąć »w myśli święte wieszcze«; ona przeniosła »miłość anioła« nad »nienawiść podłych«, za co teraz w »samotnej żałobie« i w walce ze społeczeństwem, ścigana potwarzą, pokutowała ciężko; ona »wiele kochała« i »wiele cierpiała« wskutek tego; ona z sercem podobnem do »grobu zamkniętego« na świat spoglądała teraz »nie mściwie, nie hardo, lecz z przebaczenia anielską pogardą«; i ona wreszcie »dziś nakształt głazu ścierpła i zlodniała«, jakkolwiek nie było takiej krzywdy ludzkiej, któraby w niej tę iskrę bożą »spadłą z niebios«, a roznieconą przez Zygmunta, zdołała wyziębić i wygluzować z serca.

Jak drobna iskra, na beczkę prochu rzucona, staje się przyczyną eksplozyi, tak samo i ta dedykacya, poprzedzająca *Noc letnią,* zetknąwszy się z materyałem tak palnym, jak wspomnienia pani Bobrowej o Krasińskim, mogła — i musiała — spowodować wybuch, wybuch, zależnie od temperamentu, mniej lub więcej gwałtowny, a który, jeśli jego świadkiem i mimowolnym sprawcą był Słowacki, mógł bardzo łatwo skończyć się na tem, że pani Bobrowa, w przystępie nadmiernego żalu i wielkiego ucisku, straciwszy moc panowania nad sobą, wypowiedziała wszystko,

co czuła na razie, co jej w danej chwili musiało rozsadzać piersi, i przyznała się Słowackiemu, że o nią tu chodzi w tej dedykacyi, że ona jest tem sercem niewieściem i prześladowanem, któremu Krasiński tę *Noc letnią* ofiaruje, tak samo, jak ona jest tą »Maryą«, której były poświęcone *Irydion, Nieboska* i *Agay Han*. Powiedziawszy tyle, musiała powiedzieć wszystko, musiała Słowackiego wyprowadzić z błędu, w jakim po dziś dzień dzięki skrytości jej pozostawał, mianowicie, że stosunek, który ją łączył z Krasińskim, to nie była przyjaźń, jak mu o tem mówiła dotychczas, ale miłość, miłość namiętna i czuła — z jej strony przynajmniej — miłość, która żonę oderwała od męża, a która jej »popsuła los życia« na zawsze. Dla niego »wszystko straciła na ziemi«, on ją wyrwał z »samotności serca«, on ją »pozbawił przed ludźmi i przed własnem sumieniem pokoju«, on ją »moralnie wygnał z progów domowych«, on sprawił, że jest nieszczęśliwą, bez dawnej wśród znajomych estymy, »bez dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła, bez dawnej równowagi serca i rozumu«. Dla niego straciła dobrą sławę, »a może i duszy zbawienie«. Mimo to opuścił ją w końcu! Wyrwał ją »z samotności serca«, a pogrążył w gorszej stokroć »samotności ducha«.

A jednak, choć oddalony od niej, choć wszystko pomiędzy nimi zerwane, choć nie zobaczą się nigdy, ona uczuć swych dlań nie zmieniła ani na chwilę, i chociaż wie, że ta jej miłość dla niego to jakiś *nic* nieuchwytne, to widzi w tem nic wszystko, tak samo, jak wszystko poza tem nic, jest dla niej niczem.

Nic mi jest wszystkiem i wszystko mi niczem.

W sercu jej, zobojętniałem na wszystko, nie ma już »siły dawnych przywiązań«, ani nawet »ran dawnych«. Zapanowała w niem wszechwładnie »bezbolesność«, a bezbolesność »to piekło boleści«.

W oczach jej »wyschły dawnych płaczów zdroje«. Spokojna wielkim spokojem głazów grobowych, nieczuła, jak owi umarli, co bez współczucia patrzą nieruchomo na błahe zabiegi śmiertelnych, utraciła wiarę w miłość, w przyjaźń, w dobroć, i zwątpiwszy ostatecznie, by jej »istotę z lodu« cośkolwiek »odmłodnić« zdołało, żadnych już nowych nie pragnęła ułud.

»Nic już ziemskiego w mego serca toni«.

A jeśli zdarzyło się czasem — rzadko — że dusza jej chwilami wpadała jeszcze w niepokoje«, wtedy, ile że była

dziś »mędrsza doświadczeniem«, przypominała sobie, że »wszystko martwością« i znieczulała się tem — sztucznie — jak morfiną.

Bo duszy we mnie zagasło przezrocze
I, tak przed ludźmi, jak Boga obliczem,
Nic mi jest wszystkiem i wszystko mi niczem.
Nic, nic, niestety! Oto słowo moje,
Oto ma wiara, moja tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mnie w świecie już nic nie zachwyca.
Ach! Jakże dawniej lękać się umiałam!
Ach! Jakież dawniej rwały mię zachwyty:
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących... A dziś z głazu całam!
Ach! bo jednego człowieka kochałam,
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych...

Dzisiaj, świat ten, taki podówczas piękny, wydaje się jej pustynią złego, »złego i nudy, ciemnością, milczeniem, wszechzmartwiałością«.

Z szczęścia, jak kwiat, oberwana,
W żałości, jak obłąkana

wzgardzona i »opuszczona« przez człowieka, który ją z drogi obowiązku sprowadził na manowce, a któremu ona, choć nigdy jej żoną nie nazwał, była »więcej, niż żona

Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali«

wyczerpana długą tęsknotą, smutkiem i zaciętym »bojem z myślą o kochanym«, lekceważona i niezrozumiana przez najbliższych, a szczególniej przez tego, z którym ją wiązał sakrament małżeństwa, wykolejona z prostej ścieżki, jaką kroczyła, zanim poznała Zygmunta, oczekiwała tylko, czy rychło wybije godzina śmierci, godzina, która jak dla niej, będzie początkiem spokoju i wytchnienia.

III.

Lecz mniejsza o to, w jakich okolicznościach, w jakiej scenie, Słowacki dowiedział się o przeszłości swej dręczycielki; dość, że dowiedział się ostatecznie, a dowiedziawszy się, odrazu zmienił front, uległ nagłej metamorfozie psychicznej, która jego miłości nadała całkiem inny charakter. Dotychczas był to sentyment łagodny, spokojny, rze-

wny, wertherowski, anhelliczny, w którym główną rolę obok uczucia grało pragnienie wzajemności, niewzburzone ani odrobiną zmysłowości, ani odrobiną pożądania zmysłowego: poprostu stawiał panią Joannę na zbyt wysokim piedestale, aby o niej myśleć w sposób grzeszny. Teraz miał pod tym względem nastąpić przewrót gwałtowny. Przekonawszy się, że ten »anioł złoty«, ten melancholijny »duch dobrej rady«, jest bądź co bądź, zaprzeczyć się nie da, aniołem — upadłym, postanowił wstąpić w ślady Zygmunta, wkroczyć na drogę, przez niego utorowaną.

Uwiedziony tem uczuciem »dość płochem i lekkiem«, zapomniał, iż jest to rzeczą kobiety, »z jednego uczucia, z jednego przywiązania zrobić sprawę całego życia« i bardziej był, zdaje się, skłonny do uwierzenia w słuszność aforyzmu Dantego, który w Pieśni VIII *Czyśćca,* na widok margrabiny d'Este, wyraził się zjadliwie, że

Przez nią to łatwo zrozumieć, jak długo
Ogień miłości trwać może w kobiecie,
Gdy go nie żywi wzrok lub dotykanie.

I postanowił postępować inaczej, aniżeli postępował dotąd. Jak? Jest pewien ustęp w *Irydionie,* który doskonale da się przystosować w tem miejscu, ustęp, gdzie Massynissa namawia Irydiona, ażeby się starał zyskać miłość Kornelii Metelli, zakochanej w Chrystusie. »Słuchaj, szepcze tam Massynissa, *przeprowadź jej myśl od niego do siebie. On daleki,* on nie wróci nigdy. Ty żyjesz i *jesteś przy niej...* Czego się wahasz i wątpisz? Ona musi być twoją!« W analogicznem — do pewnego stopnia — położeniu znajdował się i on, Słowacki. I on był przy niej, kiedy Zygmunt był daleki, a nie miał wrócić nigdy, bo kochał inną. Tem łatwiej było — zdawałoby się — przeprowadzić myśl pani Joanny od Krasińskiego do siebie. Tak roił sobie Juliusz.

Z marzeń tych, nie bardzo zaszczytnych może, ale męzkich i łatwych do wytłómaczenia, jeśli się weźmie pod uwagę, że poeta był mężczyzną nie aniołem, nie omieszkał się Słowacki zwierzyć nawet »w poufnym liście« przed bawiącym podówczas w Rzymie — z panią Delfiną Potocką — Zygmuntem, w liście pełnym »facecyi, sekretów i szaleństw« na temat »niestałości uczuć w ludzkich sercach«.

Bardzo wymownym przykładem podobnej niestałości, nie daleko szukając, był sam Krasiński, który przestawszy kochać tę, której dedykował w swoim czasie *Irydiona* i *Nieboską,* »omdlał« teraz dla kogo innego. Za takie sprzeniewierzenie się należała się odpłata. To raz. A po-

wtóre przypuszczać trudno, ażeby kobieta okazała się stalszą w miłości, aniżeli mężczyzna, kobieta, o której już Szekspir przez usta Hamleta powiedział, że jej miłość nie bywa długotrwałą. A Szekspir znał duszę ludzką! Cóż dopiero, jeśli się znajdzie mężczyzna nie gorszy od tamtego, jego przyjaciel i tak samo, jak on, poeta. Sytuacya świetna! Byłby to nawet ciekawy pod względem psychologicznym »experyment«, experyment, przed którym on ani myśli się cofać; tembardziej, że jest na najlepszej drodze: ma przyjaźń i sympatyę tej Rubensowej Madonny. Jest to nie wszystko jeszcze, ale jest wiele; wiadomo bowiem, że od przyjaźni — pomiędzy młodym mężczyzną a piękną kobietą — do miłości *il n'y a qu' un pas*. Taka przyjaźń, to miłość oglądana z profilu. Na to, żeby była oglądana *en face*, potrzeba tylko czasu i cierpliwości. Dowodem, jak wielkiemi są przyjaźń i zaufanie, któremi go darzy pani Joanna, jest choćby to, że niema przed nim tajemnic, że mu się zwierza ze wszystkiego — ze wszystkiego, nawet z tego, co ją wiązało z Zygmuntem.

Taką — w przybliżeniu — była treść tego »poufnego« listu Juliusza, listu, w którym ten Werther do niedawna, a w tej chwili już Don Juan (w mniemaniu własnem), »niejedno poniżył, niejednego dotknął ironią i sarkazmem«. Przekonany, że mu się tę »zagmatwaną tragedyę« szczęśliwie, na swoją korzyść naturalnie, rozgmatwać uda, i że, odszedłszy sam, »koniec« jej zostawi im, t. j. Krasińskiemu i pani Bobrowej; nie przewidując zupełnie, że się sam przy tej sposobności zagwatmać może, z rozkoszą i upodobaniem »anatomika« kreślił Zygmuntowi obraz jego uczuć, najprawdopodobniej tych, które mu podyktowały *Noc letnią* i jej dedykacyę. Nawiasem mówiąc, wykazał w tej »dysekcyi« tyle przenikliwości, tyle szekspirowskiej znajomości charakteru człowieka, tyle »wieszczej« intuicyi, że mimowoli wprawił tem Krasińskiego w zdumienie. Ten ostatni nigdy się nie spodziewał po Julku takiego »wzroku sztyletowego, sięgającego w głąb dusz ludzkich i odkrywającego, co te dusze kryć chcą, pragną, nie zdołają«. Dobrawszy się »nożem wspomnień« aż do serca swojego »największego przyjaciela«, którego teraz wyprzeć zamierzał z wyobraźni kochanki, ażeby samemu zająć jego miejsce; i przeniknąwszy »aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia«, kryształki, z których w człowieku zrastają się później »struny harfy wewnętrznej«, dotykał palcem »każdego z tych wymoczków krzyształowych«, a oblewając je przej-

rzystem, »gorzkiem światłem«, kazał im się »kąpać w falach ubiegłych, niepowrotnych przeszłości«.

Na kilka dni przed napisaniem tego listu, listu, który stanowił epokę w stosunku autora *Balladyny* do autora *Irydiona*, przypomnieli się nagle Słowackiemu jego antagoniści. Zaabsorbowany sprawami swego serca, całkiem zapomniał o innych, nie mniej ważnych, bo dotyczących go, jako poety, który miał cały emigracyjny Parnas przeciwko sobie. Nie pamiętał o tem, a przynajmniej pamiętał nie tyle, ile należało. Wiedział, że w stronnictwie litewskiem i *Młodej Polski* wrzało, jak w ulu, że różne o nim krążyły plotki i legendy, ale był wyższy nad to wszystko, i z dantejskiem *Guarda e passa* w głębi duszy, dumny z odniesionego zwycięstwa, »usadowiwszy się w swojem krześle ze słoniowej kości«, niczem Fidyaszowski Jowisz, pochlebiał sobie, że nieobecność jego na uczcie w dniu 1 stycznia była największą klęską, jaką ci »Jezuici« ponieść mogli, i kontent, że ostatecznie udało mu się »otrząsnąć z tego ruchomego brudu« i że ich teraz »wszyscy djabli biorą«, ani przypuszczał nawet, że obrażona w swej miłości własnej »Litwa« postanowiła go za jego »dumę szatańską« i »zarozumiałość« srodze ukarać.

Jednego z ostatnich dni lutego nadszedł do Paryża — do czytelni klubu — Nr. 8 poznańskiego *Tygodnika literackiego*, zawierający p. t. *Improwizatorowie*, artykuł, podpisany literami *N. O.*, a będący niczem więcej, jeno źle bardzo i niepoprawnie pod względem stylistycznym skreślonem opowiadaniem o pierwszej uczcie u Januszkiewicza, ze szczególnem naturalnie uwzględnieniem improwizacyi Słowackiego i Mickiewicza. Tych ostatnich, nawiasem mówiąc, nie wymieniał autor z nazwiska, tylko nazywał ich »sobie«: pierwszego Juliuszem, drugiego Adamem.

»Otóż dnia 25 grudnia upłynionego roku, opiewał rzeczony artykuł, zeszło się razem do 40 osób, przyjaciół lub znajomych, dla obchodzenia imienin jednego poety, którego nazwiemy sobie Adam«. Aluzya dosyć wyraźna. Niemniej wyraźną, lubo o wiele zgryźliwszą, była aluzya do Słowackiego: »...Potem, wezwany od przytomnych drugi poeta, którego nazwijmy sobie Juliuszem, wystąpił z całą dumą szatańską, którą jednakże geniuszowi Adama kładł u nóg«. Ze wszystkiego, co mówił, a mówił tylko »o sobie«, »wszędzie przebijała się jego duma i zarozumiałość«. Kiedy znużony usiadł, obecni »dawali mu oklaski, choć w sercu szemrali na niego, jak na zwolenników Adama przystało«.

Tyle o Juliuszu. Obszerniej daleko i pompatyczniej, bo

z widocznem dążeniem do obrazowej poetyczności stylu, co mu się w zupełności nie udało, opisywał ów pan *N. O.* (pod któremi to inicyałami ukrywał się Eustachy Januszkiewicz) improwizacyę drugiego poety, »którego nazwiemy sobie Adam«. »Zdało się nam, iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Wszyscy mimowolnie powstali, jakby bóstwo jakie między nas wstąpiło, chcąc odwiedzić śmiertelnych«. Po tych słowach, najwymowniej świadczących o uwielbieniu autora *Improwizatorów* dla Mickiewicza, a zaciekłości stronniczej, nienawiści »i prawie wzgardy« dla Słowackiego, następował ustęp, niedługi, lecz wymowny, ustęp, który miał być właśnie owym ciosem śmiertelnym, wymierzonym przeciw autorowi *Lilli Wenedy:* »Adam odpowiadał Juliuszowi: wyrzucał mu jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on *nie jest* poetą. Tłómaczył, co go zgubiło. *Nie jesteś poetą,* mówił, bo nie masz wiary i miłości« etc. Łatwo sobie wyobrazić rozpacz, oburzenie i wściekłość Słowackiego, skoro ten artykuł przeczytał. Choć w ogóle o przeciwnikach swoich trzymał niewiele, nie przypuszczał jednak, ażeby bezczelność »tej ciemnej zgrai«, uzbrojona »w kamienie kłamstwa«, sięgała tak daleko. Prędzejby się spodziewał, że z »bladością Lary« trupa jego wrzucą w nurty Sekwany, aniżeli, że go się w »osobie poety zabić« poważą.

Na szczęście pozostawała nadzieja, że Mickiewicz, który bądź co bądź nie użył w improwizacyi swej tych samych słów, które mu teraz ci »fałszerze« włożyli w usta, że Mickiewicz ujmie się za nim i że wiadomość w artykule *N. O.* podaną, publicznie »odepchnie«. »Powinien odepchnąć«. Inaczej, gotówby ściągnąć na siebie podejrzenie, że nizki ten paszkwil napisany został nie bez jego wiedzy i że »o tem kłamstwie dla niego uczynionem« tylko »niby nie wiedział«, w istocie zaś... Powinien odepchnąć. Bezwarunkowo!

A jeżeli nie odepchnie? W każdym razie on, Słowacki, nie pozostanie dłużny za *Improwizatorów:* właśnie ukończył *Beniowskiego* i zamierzał niebawem oddać go do druku. Będą tam »Litwa« i *Młoda Polska* miały za swoje, pomimo, że pisząc ten poemat, Słowacki nie czytał jeszcze *Improwizatorów.* I *Tygodnikowi literackiemu* dostanie się także!

Tymczasem, po skończonym karnawale, podczas którego emigracya bawiła się, jak za najlepszych czasów (»emigracya dosyć hucznie się bawi, pisał Mickiewicz dnia 26 lutego do Jundziłła, wieczory i bale teraz codzień prawie, po wieczorach kłótnia polityczna, nazajutrz potwarze i kłamstwa«), otrzymał Słowacki list z Rzymu od Krasińskiego,

datowany dnia 16 marca, a będący odpowiedzią na jego list o pani Bobrowej i *Nocy letniej*. »Skąd ten akord? Gdzie się ta harfa odezwała?« Taki był początek listu. Początek, zdradzający pewne niespodziewane rozdrażnienie, o jakie autora *Nocy letniej* musiała przyprawić wiadomość, zakomunikowana mu przez Juliusza, a zwłaszcza ów »wzrok przenikliwy, sztyletowy«, którym Słowacki, zapuściwszy go, niby sądę, »w głąb duszy« przyjaciela, »odkrył« niejedno, coby on może na zawsze »ukryć chciał, pragnął, nie zdołał«. Nie zupełnie było mu to na rękę spowiadać się przed Julkiem — szczególniej po jego ostatnim liście — ale przyparty do muru, musiał. Przywykły, jak dotąd, ażeby się drudzy, jak przed księdzem, spowiadali przed nim, nie zaś, ażeby się on spowiadał komuś, jak żądający absolucyi »grzesznik«, wolałby spowiedzi tej uniknąć. Ale nie było sposobu. Nie pozostawało nic innego, tylko zrzuciwszy pychę z serca, przyznać się do winy i, jak grzesznik, prosić o rozgrzeszenie. Wszak i »każdy ksiądz, choć ma prawo słuchania spowiedzi świeckich, musi znów księdzu drugiemu się spowiadać«. Tylko, że istnieje różnica, i wielka, pomiędzy spowiedzią księdza przed księdzem, a poety przed poetą. Tutaj »spowiedź nie wymyka się z ust grzesznika«, lecz »rodzi się w zwierciedle duszy poetyckiej, która drugą w sobie odbija, chwyta, więzi, przenika, przejrzystem a gorzkiem światłem oblewa, i każe się jej kąpać w falach ubiegłych, niepowrotnych przeszłości«. Przeszłość tę — jak się okazuje z tego listu — wspominał Krasiński niechętnie. Cóż dopiero, kiedy był zmuszony pisać o niej. Dlatego: »Słuchaj! Chciałbym na godzinę, na godzin dwie, byśmy ty i ja stali się starcami; chciałbym, by nas sześćdziesięcioletnich ta sama znów *Willa róż* otoczyła«. Siedząc wtedy »na starościach Cezarowych ruin« z większą swobodą, aniżeli dzisiaj, mógłby mu, »zerwawszy symbol z prawdy«, opowiadać dzieje swej przeszłości. »Wtedy nie ty jużbyś nożem wspomnień sięgał pod serce moje, ale jabym serca tego ostatki rzucił, roztrząsł przed tobą« otwarcie i szczerze, bez symbolicznych obsłonek, umyślnie zaciemniających treść, a niezbędnych, kiedy się pisze list. *Verba volant, scripta manent.* »Istota, którą oczy twego ciała ujrzały, a na którąś oczyma już duszy był spojrzał oddawna, jest najsłodszą, najszlachetniejszą z dusz, którym ten planeta jest czyścem i męką ciągłą. Ona nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała: niesprawiedliwość, oto był jej pokarm ciągły, chleb powszedni. Nie umiała nigdy w jedną chwilę skupić Wieczności«, kto zaś tego nie potrafi, ten »na ziemi niech nie pragnie szczęścia, bo w niebie chyba jest pogodzenie trwania i uniesienia«,

stałości i namiętności. Ona, t. j. pani Bobrowa nie potrafiła tego, i to jest źródło jej wszystkich boleści i smutków. Nie chciała i, na swoje utrapienie, aż do dziś dnia zrozumieć nie chce, że »w niebie chyba« ludzie kochają wiecznie, że na ziemi wszelkie uniesienia trwają niedługo, często chwilę tylko, że trzeba z tej chwili korzystać, a rozkoszując się nią, nie wymagać, ażeby trwała wieczność całą, namiętność bowiem »niewzruszoną« nie jest i, jako taka, nie zawsze, u mężczyzn przynajmniej, chodzi w parze ze stałością. Co zaś do pani Bobrowej osobiście, to »jej nadewszystko teraz przyjaznej, męzkiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba; bo zupełnie męzka dłoń tylkoby palce te białe i miękkie przełamała«. Dlatego — radził Słowackiemu w dalszym ciągu Krasiński — jeżeli się nie chce zagmatwać, to niech nie roi o takiem dotknięciu tych palców białych »zupełnie męzką dłonią«. Bo łudzi się, jeżeli przypuszcza, że mu się potem uda odejść bezkarnie. »O nie, ty się mylisz, ty zostaniesz i sam się zagwatwasz, sam, jeżeli ci czasu stanie! A nie myśl, Julu, by tu się odzywał ze mnie *Furiis agitatus Orestes*. Nie, cichym teraz, jak dziecię, i martwym, jak trup«. Nie przeszłości się lęka, ale przyszłości, wiszącej mu, jak miecz Damoklesa, nad głową. »Więc jestem spokojny bardzo i wdzięczny Ci z głębi serca za list twój«, tudzież za »szczegóły w nim zawarte«; duchowi zaś twemu »za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iściznę ducha mego, tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia«, z których się później zrastają w człowieku struny jego »harfy wewnętrznej«. »Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków kryształowych, położyłeś dłoń całą, jako szeroka, na duszy mojej; tak, że dusza odjękła: »prawda!« i jedynąś może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień, w jedną pieśń związanych *(Noc letnia)*. Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnej; nie kalecz wiecznie skaleczonych, ty sam krwią i ranami okryty, nie pytaj się krwawych i rannych: »co to za purpurowe centki u was na piersiach?« Niech ci z jednej strony Bóg, z drugiej przepaść odpowie«.

Potem następowała zapowiedź rehabilitacyi Słowackiego po napadzie nań w artykule *N. O.* Dowiedziawszy się o nim z listu Słowackiego, uważał Krasiński za stosowne wystąpić w jego obronie. W tym celu, nie zwłócząc, wydostał z biurka, gdzie »tęchła« od roku, swą apologię poezyi Słowackiego, zatytułowaną, jako *Kilka słów o Juliuszu Słowackim,* i wysłał ją czemprędzej do Poznania,

do tegoż *Tygodnika literackiego*, w którym się niedawno pojawił paszkwil o *Improwizatorach*. »Jeśli macie tam (w Paryżu) z Księstwa dzienniki, tak koło kwietnia, maja i aż do pół czerwca, pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, już nie w biurku zatęchłych, lecz wolnem okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam o tem tylko mowa; ale pomyśl, że w Willi Róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jej, a wtedy może to rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć w ludzkich sercach«. Ostatnie słowa były trochę złośliwą aluzyą do »niektórych marzeń« Słowackiego, który widocznie wierzył w »niestałość uczuć«, jakie pani Bobrowa dotąd żywiła dla Zygmunta, a które, jak mu się zdawało, pod jego wpływem powinny się zmienić na korzyść chwili obecnej, przeszłość wymazawszy z pamięci. Krasiński, może dręczony obawą, ażeby pani Bobrowa nie upadła raz jeszcze, odradzał mu bawienia się w podobne experymenty. *On ne badine pas avec l'amour!* Dlatego, pisząc teraz do Słowackiego, tak zakończył swój list: »Nie próbuj zanadto niezgłębionych serc. Gdy wpuścisz w morze kotwicę, nie widzisz gdzie poszła, bo głąb morska ciemna; ale czy wiesz, czyś tam na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się ponad fale i krzyknie: »okrutnyś!« Może nie doczekasz się jej nawet: odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiedziawszy się o ranie, którąś zadał! Wierz mi, bądź raczej jak anioł światła i dźwięku, a eksperymenta zostaw Staremu Wilowi i anatomikom. Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, którym życie gorzką było rzeczą«, itd.

Na list ten odpisał Słowacki niezwłocznie, a były dwa powody, dla których się tak pospieszył: najprzód, jeśli chodziło o temat, to miał go aż nadto; a powtóre, zdawało mu się, że jego »pełen facecyi i szaleństw« list poprzedni musiał Zygmuntowi cokolwiek »zakrwawić serce«, że owe »gorzkie światło«, o którem w swoim liście wspomina Zygmunt *à propos* owej spowiedzi poety przed poetą, może było za gorzkie cokolwiek. Należało się poprawić. W tej szlachetnej intencyi napisał drugi list do Zygmunta, list, w którym się poprawił o tyle, o ile przytępił ostrze swego sarkastycznego dowcipu. Zdaje się jednak — wnosząc z odpowiedzi Krasińskiego na ten list — że i tym razem nie zawsze, pisząc o pani Bobrowej, wyrażał się właściwie. Zbyt lekko zaczynał sądzić swego »złotego ducha dobrej rady«, ażeby się to nie odbiło w tem, co pisał

o nim »poufnie«, w liście do przyjaciela, a jej dawnego — kochanka. Tem się tłomaczy, że w tym liście do Krasińskiego, liście, który z pewnością był prawie cały o pani Bobrowej, znowu stanął na tem samem stanowisku sceptyka, co i poprzednim razem, i starał się wytłómaczyć swemu przyjacielowi, że zagwatwana tragedya pani Joanny nie na tem polega dzisiaj, że on, Zygmunt, kochać ją przestał, ale, że »serce jej nieszczęśliwe *szuka* tęskno *jeszcze jednej chwili wiosny* i życia *na ziemi*«, to znaczy, że w jego przekonaniu pani Joanna nietylko miała obecnie »przepaść« u swoich stóp, ale by się w nią nawet zepchnąć pozwoliła chętnie, byle się znalazł taki, któremuby uwierzyła, którego byłaby pewna, że jej nie zdradzi, nie porzuci, jak Zygmunt. Z chwilą, kiedy się znajdzie taki, który w niej podobną wiarę wzbudzić potrafi, można być pewnym, że zaraz »słodko-syropowy optymizm z tej wiary wyniknie«. Oczywiście, że pragnąłby, ażeby on był tym szczęśliwym, którvby ten słodko-syropowy optymizm swojemi »popchnięciami« wywołał.

Na nieszczęście, okoliczności składały się tak, że chwilami wątpił o powodzeniu: pani Joanna miała niebawem, wkrótce po Wielkiejnocy, wyjechać z Paryża. Wybierała się do Frankfurtu. To był szkopuł, o który się wszystkie »marzenia« Słowackiego rozbijały na razie. Pojmował, że w takich razach należy być cierpliwym i nie spieszyć się przedewszystkiem. Bardzo pięknie! na to jednak, żeby postępować zwolna i niezmordowanie, potrzeba rozporządzać odpowiednim przeciągiem czasu. Wszystko się może udać przy sprzyjających okolicznościach. On nie miał szczęścia w tym razie! Czegoby nie dał za to, żeby o jakiś miesiąc przynajmniej opóźnić wyjazd pani Joanny. Niestety, na to nie miał sposobu!

Tymczasem, choć zaabsorbowany myślą o swej »dręczycielce«, nie mógł zapomnieć krzywdy, jaką mu »Litwa« wyrządziła artykułem o *Improwizatorach;* a nadto nie mógł się doczekać odwołania ze strony Mickiewicza, który, w jego przekonaniu, nie mógł nie wiedzieć o tem »wielkiem kłamstwie *dla niego* uczynionem«, a skoro wiedział, to powinien był »odepchnąć« i sprostować tę mylną, tendencyjnie sfałszowaną opowieść, bo przecież faktem było, że tego, co mu w tym paszkwilu przypisywano, nie powiedział w swej improwizacyi. Tymczasem upłynął miesiąc, a wieszcz *Dziadów* milczał, co się równało w danym razie, potwierdzeniu wiarogodności artykułu *N. O.* Cierpliwość Słowackiego zaczęła się wyczerpywać. Nie mogąc się tego — należnego mu zresztą — zadosyćuczynienia doczekać, zaczął sobie całą

sprawę tłómaczyć po swojemu, ze swego punku widzenia, to znaczy, że się w niej bynajmniej nie starał uniewinniać Mickiewicza. Przeciwnie, posądziwszy wieszcza litewskiego, którego zawsze sądził niechętnie i z uprzedzeniem, o prawdziwie litewską zaciętość i mściwość (mściwość, której owocem był doktór w *Dziadach),* doszedł do wniosku, że ów artykuł w *Tygodniku literackim* musiał być napisany nietylko *w interesie,* ale i *nie bez wiedzy* Mickiewicza, kto wie, czy nie *na żądanie* jego. Przypuszczenie to, jakkolwiek ryzykowne, zaczęło mu coraz bardziej trafiać do przekonania, jako najzupełniej zgodne — w jego mniemaniu — z charakterem wynalazcy Wallenrodyzmu; aż skończyło się na tem, że przypuszczenie, przeszedłszy cały szereg najrozmaitszych ewolucyi psychicznych, ostatecznie przeobraziło się w pewność — w pewność, że paszkwil ten ukuto na wyraźne żądanie poety-profesora. Nie chciał zrozumieć, że Mickiewicz mógł wszystko, co zaszło, ignorować i uważać za dziecińjstwo. A wreszcie mógł równie dobrze nie wiedzieć o niczem. Zajęty wykładami w *Collège de France,* mógł poprostu nie mieć czasu na przeglądanie pism nawet paryskich, a cóż dopiero poznańskich. W klubie, gdzie były dzienniki, nie bywał, jak się urządził, a jeśli i bywał niekiedy, to z pewnością nie tak często, jak Słowacki, któremu klub »za rodzaj drugiego mieszkania« służył. Numeru *Tygodnika literackiego* z owym artykułem o *Improwizatorach* mógł nie widzieć wcale, a tem samem nie wiedzieć, że się w nim ukazało coś podobnego.

Nieprawda! Zdaniem Słowackiego »*powinien był* wiedzieć i odepchnąć«. Nie sposób zresztą, ażeby mu życzliwi jego, Witwicki, Januszkiewicz *et consortes* nie donieśli o tem, zwłaszcza, jeśli artykuł ten napisali na jego żądanie. A skoro donieśli, w przekonaniu oczywiście, że mu tem sprawią przyjemność, a on pomimo tego milczał, to nie można sobie było inaczej milczenia tego tłómaczyć, tylko je należało uważać, jako potwierdzenie sądu Adama, wyrażonego w *Improwizatorach* o Juliuszu — że nie jest poetą — jako godzenie się na to »wielkie kłamstwo«. W przeciwnym razie zaprzeczyłby mu; nie pozwoliłby, ażeby artykuł, w którym autorowi dziewięciu tomów poezyi (w których nawet nieprzyjaciele widzieli mnóstwo piękności pierwszorzędnych), on niby odmówił »wręcz« tytułu poety, ażeby artykuł taki, w którym chodziło wyraźnie *o zabicie* Słowackiego »w osobie poety«, pozostawiać bez kategorycznego zaprzeczenia. To nie była drobnostka, mogąca być zbyta milczeniem. Artykuł był ogromnego znaczenia, pierwszorzędnej wagi. Przypisywano w nim Mickiewiczowi słowa, których: 1) nie

powiedział, a 2) które Słowackiego »zabijały w osobie poety«, którego całą dotychczasową działalność na polu literackiem, działalność, którą on żył wyłącznie, redukowały do zera. Takich rzeczy nie zbywa się milczeniem! Takie rzeczy wymagają sprostowania, jeśli się za nie odpowiedzialności brać nie chce! Mickiewicz, nie chcąc się narazić na posądzenie, że na to »wielkie kłamstwo« godził się w głębi duszy, »powinien był« sprostować je, oświadczyć w któremkolwiek z pism, że tego, co mu w *Improwizatorach* przypisywano, nie powiedział, mianowicie, że nieprawdą jest, jakoby on miał »wręcz oświadczyć« Słowackiemu: »Nie jesteś poetą!« Tego powiedzieć nie mógł, bo jakkolwiek mógł się nie godzić na rodzaj poezyi Słowackiego, to przecież uznawał w nim pierwszorzędny talent poetycki. Tak należało postąpić, bezwarunkowo!

— Nie jesteś poetą — miał mu powiedzieć — bo nie masz wiary i miłości. Fałsz! Albowiem, gdyby się Mickiewicz tak był wyraził istotnie, rzeczywiście, on, Słowacki, nie zapomniałby tego, za czemby poszło, iż po tych improwizacyach nie byliby z sobą przez resztę wieczoru »jak bracia«.

»Nie jesteś poetą«. Słowa te nie dawały Juliuszowi chwili spokoju. Gdziekolwiek się obrócił, szły za nim. Rozmyślając o nich — o ile był sam i nie miał myśli zaprzątniętej panią Bobrową — i starając się wytłómaczyć sobie, co jednak mogło dać powód autorowi *Improwizatorów* do napisania tego »wielkiego kłamstwa?«: który ustęp improwizacyi Mickiewicza upoważniał owego *N. O.* do włożenia w usta autorowi *Dziadów* tych słów tak dla niego, Słowackiego, okrutnych i niesprawiedliwych? Rozmyślając na ten temat, a będąc zawsze skorym do posądzenia swego »wielkiego pierwszego« o »złą wolę« i niechęć, podobną, jaką on pałał ku niemu, (albowiem każdy człowiek zwykł sądzić po sobie), wpadł nagle, o ile domyślać wolno, na domysł tego rodzaju, który mu nietylko tłómaczył wszystko, ale rzucał jeszcze niesympatyczny cień na sam charakter Mickiewicza.

Oto prawdopodobne rozumowanie Słowackiego: Mikiewicz »odpowiadał Juliuszowi«, mówi autor *Improwizatorów*. A co było główną osnową improwizacyi Juliusza? »Mówił długo o sobie, o swojem wejściu w świat poetyczny, o zimnem przyjęciu, którego doznał«. Jak dotąd, wszystko zgadza się z prawdą. I cóż mu *na to* odpowiedział Mickiewicz? »Tłumaczył, co go zgubiło«. Cóż więc, w mniemaniu Mickiewicza zgubiło go? »Nie masz wiary i miłości«. Co rozumiał przez to? Odpowiedzi na to pyta-

nie dostarczała część druga improwizacyi Adama, w której mówił o sobie, »o powołaniu poety« wogóle, i w której tłómaczył, co jest przyczyną, że »*jemu* Bóg błogosławił w zawodzie«. A czemu? Bo, jak się wyraził między innemi:

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
A jeśli na tym prądzie iskra boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu, ani płód marzenia

ale »natchnienie« czyste, które on od samego Boga »przejął« na skrzydłach geniuszu. Dlatego

Wiedzcie, że *dla poety jedna tylko droga:*
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga.

On tą drogą »wiary i miłości« poszedł i dlatego, jedynie dlatego Bóg pobłogosławił jego zawodowi. On nie potrzebuje — jak Słowacki — uskarżać się na obojętność tłumu. Ale bo też on »*w sercu* szuka natchnień« a nie mozoli się nad dobieraniem rymów.

Któż więc — w jego przekonaniu — dobiera rymy, pisząc, i składa zgłoski. *Boć musiał tu mieć jakiegoś poetę na myśli,* któremu się przeciwstawiał i pomiędzy którym a sobą różnicę zaznaczał?

I tu mogło się zdawać Słowackiemu, że nie ma dwóch *logicznych* odpowiedzi na to pytanie. Jedna jest tylko, tak samo, jak *jedna jest tylko,* zdaniem Mickiewicza, droga *dla poety,* jeżeli się *poetą* nazywać pragnie: »W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga«. On tymczasem — zdaniem Mickiewicza — dobiera rymy i składa zgłoski. Temu zawdzięczając, poezya jego — według Mickiewicza — kunsztowna i błyskotliwa pod względem formy wiersza, co uważać należy za »wynik rozumu«, nie jest w gruncie rzeczy niczem innem, jeno »płodem marzenia«, podobnym do wspaniałego gmachu, piękną architekturą stawianego, jak piękny kościół — bez Boga, to znaczy, że w architekcie nie ma wiary, nie ma miłości, nie ma natchnienia. Jest kunszt, są kunsztownie dobrane rymy, ale też i nic więcej. Słowacki — ciągle w przekonaniu Mickiewicza — nie pisze tak, jak on, t. j. tak, jakby tu do nich »gadał«; tworząc zaś, nie w natchnieniu, zaczerpniętem *z serca,* ale na zimno, postępuje *inną* drogą, aniżeli Mickiewicz. A że »dla poety *jedna tylko* droga«, więc wynika z tego oczywiście, że on, Słowacki, jako *nie* idący tą drogą, bo szukający natchnienia *w rozumie* i *w marzeniu,* zamiast go »*w sercu* szukać«,

nie jest właściwie *poetą prawdziwym,* z bożej łaski. Oto są jego »grzechy poetyckie«, które go »zgubiły«.

Jakiż z tego wszystkiego da się wyciągnąć wniosek? Jeden tylko, a mianowicie, że Mickiewicz w odpowiedzi swej na improwizacyę Juliusza, wywdzięczając się za to, że go ten przed chwilą »największym poetą Słowian ogłosił», miał »piołunem zaprawne usta«, że improwizacya jego »na Boga!« nie improwizacyą była, »ale długo i dobrze pomyślanym poematem», i że, choć nie powiedział *wręcz:* »Nie jesteś poetą«, jak opiewał artykuł *N. O.*, to przecież dał mu to w sposób wcale niedwuznaczny do zrozumienia. Dlatego nie protestował przeciwko artykułowi *N. O.* Nie protestował, ponieważ w głębi duszy godził się nań zupełnie.

Tak sobie to dziś wytłómaczył autor *Beniowskiego.*

Dzięki podobnemu rozumowaniu, nie dziw, jeżeli »odżyła dawna niechęć, jaka w nim do autora *Pana Tadeusza* (nie tyle *Pana Tadeusza,* ile *Dziadów)* wrzała« i jeżeli mu się przypomniały raptem wszystkie jego dawne z Mickiewiczem »zatargi«.

Wspomnienia tych zatargów i tych, tak licznych — bądź co bądź — przykrości, jakich aż po dziś dzień ze strony twórcy *Dziadów* doznał, opadły go, jak furye, niepokojąc go, drażniąc, smagając dawne, »już zabliźnione« rany. A teraz wyobraźmy sobie, że te furye nie były nieme, lecz wymowne, jak Szekspirowski Jago, a odgadniemy bez trudu, że to coby te furye mówiły, a raczej wrzeszczały jakimś nieludzkim głosem, musiałoby brzmieć mniej więcej, jak następuje:

— Nie jesteś poetą!!! Tak miał powiedzieć o tobie Mickiewicz, on, autor trzeciej części *Dziadów* z figurą doktora, twego ojczyma! Nie jesteś poetą!!! Kto wie, czy on ci tego nie powiedział istotnie, skoro nie zaprotestował przeciwko *Improwizatorom.* Być może, iż wzruszony, nie dosłyszałeś tych słów, nie zwróciłeś uwagi na to, że on miał w tej chwili »piołunem zaprawne usta«! Nie jesteś poetą!!! W jego przekonaniu dobierasz rymy, liczysz zgłoski, dlatego nie masz uznania, jak on, który »rymów nie dobiera, a zgłosek nie składa«! Dla niego nie jesteś poetą, tylko zręcznym rymopisem. A czemu? Nie tylko dlatego, że nie masz wiary i miłości, co jest nieprawdą, bo masz i jedną i drugą, ale głównie dlatego, bo on jest twoim wrogiem, nienawidzi cię. A między jego nienawiścią ku tobie, a twoją — ku niemu, jest ta różnica, że on może tobie szkodzić, i szkodzi na każdym kroku, ty zaś jemu — nie, choćbyś był chciał! Zawsze dążył do tego, żeby cię

obniżyć w oczach ogółu, żeby ci szkodzić. Kiedyś wydał pierwsze tomy swoich poezyi, o których nawet *Tygodnik literacki* napisał, że są lepsze od pierwszych pieśni Mickiewicza, że »jest w nich więcej powagi i męzkości, a mniej naśladownictwa obcych zagranicznych wzorów«, on, zapytany, co myśli o nich, powiedział, że jest to gmach, piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół gotycki, ale w tym kościele — niema Boga! A powiedziawszy to, wiedział: że ta plotka »gorsza stokroć, niż artykuł, wsparty dowodami«, będzie biegała po kraju; że ją ludzie leniwi wezmą za zdanie powszechne, za *vox Dei;* że uwierzywszy autorowi *Wallenroda* na słowo, niejeden nie zajrzy »do pustego kościoła« twoich poezyi, choćby tych poezyi wyszło dziesięć tomów, i lepszych, niż pierwsze dwa; i że upłyną lata, a ta plotka, »jak nietoperz czarny«, wciąż będzie ulatywała nad temi nielicznemi domami polskięmi, gdzie czytują poezye. To był pierwszy cios, wymierzony przeciwko tobie, a przeznaczony na to, żeby cię zabić w osobie poety! Drugim była trzecia część *Dziadów.* W rok później, kiedyś wydał tom III swoich poezyi, on, pisząc o nim do *Pielgrzyma polskiego,* niby streszczając twoją przedmowę, obciął ją, ale tak, że jej nadał *całkiem inne* znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, kiedy przedmowa była raczej usprawiedliwieniem się twojem. Pamiętasz, wszyscy, którzy ją przeczytali, przyznawali, że Mickiewicz ze złą wiarą postąpił. Teraz, ledwo przyjechał do Paryża, powiedział ci, a przynajmniej dał do zrozumienia, że składasz zgłoski, dobierasz rymy, a kiedy napisano, jakoby miał powiedzieć tobie *wręcz,* że nie jesteś poetą, on milczy! Czego to dowodzi? Oto, że się godzi na to wielkie kłamstwo, które najprawdopodobniej napisano nie bez jego wiedzy, albo poprostu — na jego żądanie! I ty nie zemścisz się za to? Nie napiętnujesz tych »fałszerzy«, jak na to zasługują, nie pokażesz światu, że na sercu tego »pijanego barda litewskiego« znać — pęknięcie, że aż twojej improwizacyi potrzeba było, ażeby w nim wskrzesić wieszcza! Pomawiają cię o dumę »szatańską«. Dobrze, niech i tak będzie, ale im przynajmniej daj uczuć tę dumę! Niech wiedzą, że potrafisz być »bez łez, bez litości«.

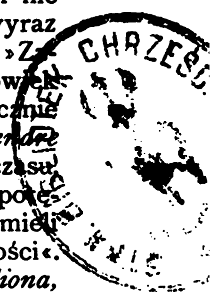
Pod wpływem podobnych myśli, które musiały mu huczeć pod czaszką, jak pszczoły w ulu, obrażony w swojej miłości własnej, ba! w swojej pysze, co bolało jeszcze dotkliwiej, nerwowo rozstrojony, chwycił któregoś dnia, w przystępie wściekłości, niemal graniczącej z rozpaczą, za pióro, i dopisał do 5-ej pieśni *Beniowskiego* kilkanaście zjadliwych oktaw, w których, obok poetyczno-sarkasty-

cznego opisu owej uczty u Januszkiewicza, rzucił się, jak zraniony tygrys, na autora *Dziadów*, wylewając nań całą nienawiść, jaką ku niemu pałał w tej chwili.

Poczem oddał *Beniowskiego* do druku.

W tak niewesołem usposobieniu zastała go Wielkanoc (d. 11 kwietnia), wkrótce zaś po Wielkiejnocy, a już zdaje się po wyjeździe pani Bobrowej do Frankfurtu, otrzymał z Rzymu od Krasińskiego odpowiedź na swój drugi list. »Nie znasz mnie, Julu! Twój list nie zakrwawił mi serca. Radziłem ci tylko, byś go drugim (t. j. pani Bobrowej) nie zakrwawiał. A teraz przydam inną radę: *jeśli możesz, ocal ją, a jeśli nie możesz, odwróć się i żadnem własnem popchnięciem nie zbliż jej do przepaści*«. Po tych słowach następował formalny traktat filozoficzny, stylem Hegla skreślony, zawiły i ciemny (umyślnie ciemny), traktat, w którym Zygmunt, usiłując dowieść Słowackiemu, że mu list jego nie zakrwawił serca, usprawiedliwiał się zarazem »z wielu rzeczy«. Co do niej, to broń od zaguby, »co boskiego w niej znajdziesz«. Niechaj ją uczy pogardzać światem i ludźmi, zupełnie już »do rzędu zwierząt upadłymi«. Niechaj dba o jej godność, niech się stara być jej Aniołem Stróżem, jej pocieszycielem i niech nie igra z miłością. Niech nie zaleca »braku szlachetności i urody nieśmiertelnej«, byle dogodzić swym »chwilowym chętkom lub słabostkom«. Niech nie namawia do szczęścia, gdyby ono miało »wysnuć się z materyi przez ducha opuszczonej«. Słowem, niech postępuje inaczej, aniżeli — jak pisze — postępuje dotychczas. Niech w niczyjem sercu, zwłaszcza, jeżeli to jest serce stroskane i biedne, »wiary nie niszczy«; przeciwnie, niechaj »osłabłą krzepi, nieistniejącą stwarza, umarłą — jeżeli umarła — wskrzesza«. Niechaj nie poi jej, jak Mefistofel, przewrotnemi naukami, że »człowiek nie powinien być aniołem, nie winien czuć się boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi«. Niechaj natury bliźnich swoich nigdzie »o włos jeden nie poniża«. Niech nie »przystaje w drugim — cóż dopiero w kobiecie — na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi«, zwłaszcza, gdyby to za sobą pociągnąć miało »poniżenie« czyjeś. »A poniżeniem nie zowię ja *troski serca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednej chwili życia i wiosny na ziemi;* nie, nie! bom ani pedant, ani ksiądz, ani dziecko, ani młodzieniaszek; ani poniżeniem zowię, *przystać na zabawę, kiedy szczęście znikło;* poniżeniem zowię cały świat, który krąży koło ciebie«. Niechaj się nie stara, broń Boże, naśladować ich. »Nie, nie, ty nie jesteś z nich, ty z nich być nie możesz: *non fiant, sed nascuntur*. Szla-

chetnąś się duszą narodził, masz kryształową naturę: biały marmur, nie gips, wchodzi w skład kości twoich. Ty mnie pojmiesz! Ty mnie pojmiesz!.. A zatem raz jeszcze powiadam ci: zbaw, jeśli możesz. Niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, szkorpiony, niech plugastwo stworzenia nie przyprzęże się do *anioła obłąkanego i w chwili rozpacznej* nie powiezie go do kałuży piekielnej. Pytasz się: czego żądam od ciebie? Oto tego, *byś się nie bawił, o to jedno* cię proszę. *A jeśli masz kochać, kochaj; ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje.* Zresztą, ty nie jesteś z tych, którzy mogą się *bawić:* ty musisz być albo bogiem szczęśliwym, albo człowiekiem potępionym i pełnym bólu«. Za »płochy« i nie zawsze stosowny ton listów jego, listów, w których wyraz »zabawa« powtarza się zbyt często, nie ma doń żalu. »Zapalczywym i namiętnym w danej chwili, jako człowiek żyjący tu; ale w oddali jest coś sędziowskiego i wiecznie usprawiedliwiającego w duchu moim«. *Tout comprendre c'est tout pardonner.* »Wiem co życie, wiem, co fale czasu, mogę często zapłakać nad innymi *i sobą samym*, ale potępić nigdy, ni siebie, ni innych (nie mogę), byleby mieli duszę«. »To moje ostatnie słowo do ciebie o przeszłości«.



Prawie jednocześnie z tym listem od autora *Irydiona,* doszedł Słowackiego Nr. 14 *Tygodnika literackiego*, w którym, między innemi »doniesieniami literackiemi« na ostatniej stronie, znajdowało się także i następujące: »W Paryżu wyszło dzieło *Noc letnia.* Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego. Bez myśli i ładu!«

Tego już było nadto Słowackiemu. Ceniąc *Noc letnią* bardzo wysoko, przekonany, iż nie jest to bynajmniej utwor »bez myśli i ładu«, postanowił ująć się za nią, przy sposobności zaś »zrąbać« poznański *Tygodnik literacki,* który nie tylko, że drukuje paszkile w rodzaju *Improwizatorów,* ale pomieszcza i kardynalne nonsensy, w rodzaju powyższego sądu o *Nocy letniej.*

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, prosił go właśnie Woronicz, redaktor *Trzeciego Maja,* o krytykę *Nocy letniej,* napisaną o ile możności »lekko, zgrabnie i stylem brylantowym«. Korzystając z tego zaproszenia, jakkolwiek uważał *Trzeci Maj* za »obce sobie« pismo (co znaczyło, iż się nie solidaryzuje z jego tendencyą polityczną) sporządził Słowacki »feljeton«, w którym »z dowolnością feljetonisty«, co »radby się się dziennie ścierać i wygrywać bitwy«, zanim przystąpił do oceny *Nocy letniej,* zaczął od sprostowania niesprostowanej przez Mickiewicza, a pełnej »wielkich kłamstw« wiadomości poznańskiego *Tygodnika literackiego* »o jednej sławnej nocy *zimowej,* o improwizujących

dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o mdleniu krytyków, o ściskaniu się wieszczów, którzy długo rozdwojeni okolicznościami, zbliżyli się duszą nareszcie«, przyczem »miała nawet rozlać się w sali woń konwalii«, oraz rozpromieniło się wszystko jutrzenką i »dusz różanem światłem«.

Odpowiedź na artykuł *N. O.* zjadliwa i niemiłosierna, a bolesna nietylko dla *Tygodnika literackiego,* ale i dla Mickiewicza, nie mówiąc już o »ciemnej zgrai« jego zauszników, ochrzczonych przez Słowackiego mianem »fałszerzy«, zajęła sobą blizko połowę feljetonu, poczem następowała gorąca, prawdziwie »brylantowym stylem« napisana apologia *Nocy letniej.*

Artykuł ten, napisany z ogromną werwą, musiał Woroniczowi przypaść do smaku, gdyż wydrukował go zaraz w następnym numerze *Trzeciego Maja.*

Wkrótce po tem, a w jakiś czas — może w tydzień lub dziesięć dni — po wyjeździe pani Bobrowej do Frankfurtu (nad Menem), napisał Słowacki, niepocieszony po tem rozstaniu ze swą dręczycielką, trzeci list do Krasińskiego, list, w którym mu, już niczego nie obwijając w bawełnę, napisał otwarcie, że panią Bobrową kocha, że ją kocha do szaleństwa, że bez niej żyć nie może, że odkąd ona opuściła Paryż, on sobie w nim miejsca znaleść nie umie, i dlatego niech się dzieje co chce, on jedzie do Frankfurtu. W chwili, kiedy pisze ten list, już wszystko ma przygotowane do wyjazdu. Ostatnie korekty *Beniowskiego,* który się kończy drukować właśnie, zrobi Leonard Niedźwiecki — jemu nie korekty w głowie! Nim list ten, pisany na wyjezdnem, dojdzie do Rzymu, on będzie już we Frankfurcie, przy boku pani Joanny.

Krasiński, otrzymawszy ten list Juliusza, pisał pod wrażeniem jego d. 21 maja (1841 r.) do Sołtana, co następuje: »Słowacki zakochał się wściekle w pani Bobrowej i poleciał za nią do Frankfurtu. Co też to za ogrom dziwactw, szaleństw, głupstw i ciągłych sprzeczności, dzieje się na świecie!« Rzecz prosta, że Krasińskiemu, choć mu pani Joanna była obojętną w tej chwili, nie mógł być obojętnym podobny obrót rzeczy: raz dlatego, że na tem cierpiała cokolwiek jego miłość własna, że wolałby, aby pani Bobrowa nie pragnęła już, po zerwaniu z nim, »jeszcze jednej chwili życia i wiosny *na ziemi*«; a powtóre, że pragnął, aby ta kobieta, »co była tak piękną w objawieniu swojem znikomem« (t. j. piękną fizycznie), okazała się »równie piękną w duchu« (t. j. moralnie). Dlatego życzył sobie, ażeby »zaczęła pogardzać światem, by kiedyś doszła do daleko wyższego uczucia, do litości nad nim«! Tymcza-

sem wyjazd Słowackiego do Frankfurtu, nie pozbawiony nadziei, że nad Menem *l'habitude fera ce que n'a pu faire l'amour* nad Sekwaną, był niemałą desilluzyą pod tym względem. Krasińskiego poczęła dręczyć obawa, czy pani Joanna ostoi się wobec niebezpieczeństwa, czy się Słowackiemu nie uda jego »experyment«. Cokolwiekbądź, on, Krasiński, miał czyste sumienie, wszystko bowiem, co było w jego mocy, uczynił — w listach do Słowackiego, zwłaszcza w ostatnim z d. 10 kwietnia 1841 r. Nie mógł uczynić więcej. Jeśli teraz, po tych listach jego, Słowacki nie opamiętał się, ale skorzystawszy z jakiej chwili rozpacznej, powiódł tego anioła obłąkanego »do kałuży piekielnej«, i ten anioł »zgodziłby się na *zabawę,* kiedy *szczęście* znikło«, to nie on będzie winien temu, ale ona. »W każdym razie niech pamięta, że jeśli *czyny moje* były gwałtowne, popędliwe, to jednak *duch mój* zawsze pragnął objąć ją *czystemi* skrzydłami i unieść do nieba. Kochałem się w niej, jak człowiek, ale zarazem kochałem ją, jak dusza i nie mogę wspomnieć o niej, żeby mi serce nie zaczęło *lękać się o nią.* Niema we mnie *żadnej zazdrości,* ale o godność jej dbam więcej, aniżeli o jej życie: dlatego właśnie, że sam pierwszy tę godność jej nadwerężyłem«.



ROZDZIAŁ V.

— —

WE FRANKFURCIE.

Przyjazd do Frankfurtu. Mieszkanie. *La pétite servante.* I. Rojenia poety a rzeczywistość. Pierwszy list do Niedźwieckiego. Błogie nadzieje. Tortura. Warunki psychologiczne i materyalne. Poufałość rodzi sympatyę. Miłe chwile. II. Wspólne czytanie *Beatrix Cenci.* Scena *à la* Francesca i Paolo — bez pożądanego epilogu. III. *Egaréments d'amour.* Rady Niedźwieckiego. Złe dni. Chwile samotności. Atmosfera frankfurcka. Ogród frankfurcki. Chwila przesilenia psychologicznego. »Mizantropia czarna«. Cynizm, jako następstwo rozpaczy. Śmierć J. U. Niemcewicza. Testament Słowackiego. IV. Niedźwiecki zastępuje Słowackiego. Wychodzi *Beniowski.* Egzemplarz dla pani Bobrowej. Słowacki postanawia wracać do Paryża. Ostatni list do Niedźwieckiego. List od Niedźwieckiego. Wiadomość z Paryża. Słowackiego pożegnanie z panią Bobrową.

Tymczasem Słowacki przyjechał do Frankfurtu, a przybywszy tam, zaczął od tego, że pomyślał o mieszkaniu. W sytuacyi, w jakiej się znajdował, mieszkanie grało bardzo ważną rolę; dlatego nie chciał mieszkać w oberży, gdzieby mógł być skrępowany. Jeśli się zdecydował na tę podróż, to w innym celu, nie, żeby nie módz być panem w swoim domu. W oberży byłby kontrolowany, jak byliby kontrolowani ci, coby do niego przychodzili w odwiedziny; i to było powodem głównym, że przez czas pobytu nad Menem chciał mieć mieszkanie własne, w którym z prywatnych domów. Jakoż zdaje się, że po niedługich zachodach znalazł to, czego żądał: ładny i względnie nie drogi pokoik z fortepianem i usługą, którą nawiasem mówiąc, pełniła bardzo przystojna *Dienstmädchen,* bardzo miła i, jak się okazało, bardzo łatwa w obejściu... Szczegół godny zanotowánia, zważywszy główną *arrière pensée,* w jakiej tu przyjechał poeta.

I.

Niestety, przekonał się niebawem, zaraz po pierwszej wizycie u pani Bobrowej, że wszystko, co sobie roił, było urojeniem jedynie, że prawda i rzeczywistość przedstawiały się całkiem inaczej, aniżeli wyglądały w jego marzeniach i bujnej wyobraźni. Jeden dowód więcej, że nie miał zmysłu do rzeczywistości, że był wszechwładnym panem w świecie fantazyi, a skrępowanym niewolnikiem, kiedy nie chodziło o złudę. Rzeczywistość i życie prawdziwe, ze swemi pramatami i »zagmatwanemi tragedyami«, była to kraina dla niego, w której się nie oryentował zupełnie, jak sowa w dzień, w której błądził po omacku, a potykał się na każdym kroku.

Przeciwnie pani Bobrowa: ją nauczyło życie, czem się różnią marzenia od rzeczywistości, a »stokroć mędrsza doświadczeniem« od Słowackiego, kiedy go ku swemu najwyższemu zdziwieniu, najniespodziewaniej zupełnie, spostrzegła we Frankfurcie, kiedy się dowiedziała, że przyjechał dla niej, party tęsknotą za nią, że to była namiętność, której się oprzeć nie mógł, a która mu podsuwała rojenia, uwłaczające jej, postanowiła wszystkie wątpliwości rozstrzygnąć odrazu, t. zn. wyjaśnić sytuacyę: dać do zrozumienia Słowackiemu, że jest w błędzie, jeśli przypuszcza, że mu się uda taką samą rolę odegrać w jej życiu, jaką w jej życiu do pewnego czasu grał Krasiński, jeśli jest przekonany, że ona »zgodzi się na zabawę, kiedy szczęście znikło«, że odpowie jego płochemu wyobrażeniu o niej, wyobrażeniu, do którego mu chyba nie dała powodu.

Takiego zawodu nie spodziewał się Słowacki, kiedy się zdecydował pojechać do Frankfurtu. To też ledwo przyjechał tutaj, a przekonał się, że pani Bobrowa jest głucha na jego zaklęcia i prośby, że kiedy on zaczyna powtarzać swoje, ona mu na to wszystko odpowiada — ironicznym uśmiechem, że mu przypomina, żeby nie zapominał, z kim ma do czynienia, etc., odrazu popadł w rozpacz, w zwątpienie, w niewysłowiony rozstrój, i w takim stanie uczuć, powróciwszy do domu, napisał pierwszy list do swego przyjaciela w Paryżu, Leonarda Niedźwieckiego, list, jak sam powiada, pełen utyskiwań i skarg na nieszczęśliwe położenie, w jakie się dobrowolnie sam wtrącił, biegnąc w ślad za tą nieuchwytną bańką mydlaną, której na imię *Miłość* — *une lettre remplie des plaintes sur l'etat malheureux cù je me suis placé moi même, en suivant cette boule*

de savon, qui se nomme Amour. Myślał, że przyjechawszy tu, przestanie cierpieć, jak cierpiał w Paryżu, że pani Joanna okaże się powolniejszą, łaskawszą, mniej zważającą na przepisy konwenansu, bardziej podatną do słuchania jego namów i próśb; tymczasem »tortura« nie kończyła się i nic się dla niego nie zmieniło pod tym względem. *Mon martyre ne finit pas,* pisał d. 18 maja do Niedźwieckiego, przed którym nie miał tajemnic, a pisując do niego, pisał tak poufnie czasami, tak nie przebierając w wyrażeniach, że listy te, ogłoszone *in extenso*, rażą delikatniejsze uczucie, nawet pomijając to, że są bardzo niedyskretne.

Swoją drogą, po upływie kilku dni, nastąpiła pewna zmiana w jego stosunku do swej dręczycielki, zmiana na lepsze: poecie zdawało się, że pani Joanna jednak zaczyna ulegać cokolwiek, że zaklęcia jego, namowy i pokuszenia, nieznacznie i powoli, bardzo powoli, ale zawsze wywierają swój wpływ, nie pozostają bez echa. *Cependant j'avance à petits pas*, pisał do Niedźwieckiego, *et j'espère que l'habitude fera ce que n'a pu faire l'amour.* Przedewszystkiem znajdował się w warunkach korzystniejszych o wiele, aniżeli w Paryżu. Nad Sekwaną pani Joanna była ciągle porwana wirem wielkoświatowego życia: jeździła z wizytami, przyjmowała odwiedziny, miała mnóstwo znajomych, z którymi się komunikowała nieustannie, myślała o teatrze, koncertach, rautach etc.; musiała się krępować pozorami, nie była panią swej woli, swych zachceń, swych kaprysów, a nawet i swojej kobiecości: nie mogła ulegać jej podszeptom. Inaczej było nad Menem: tutaj była prawie sama, a bywały dnie, że była zupełnie sama, że nawet córek nie było w domu (które zdaje się nie mieszkały z nią razem, tylko na pensyi). Znajomych nie miała prawie wcale, a przynajmniej nie tylu, ilu w Paryżu. Prawie całe dnie spędzała samotnie, czego następstwem musiało być oczywiście, iż bywały chwile, że się nudziła trochę, że pożądała towarzystwa. Przyznać trzeba, że to były warunki, jak dla Słowackiego, bardzo korzystne i pomyślne. Zdaje się nawet, że sobie z nich zdawał sprawę, jadąc do Frankfurtu. I pod tym względem nie zawiódł się: warunki czyniły swoje. Pani Joanna, jakkolwiek musiała się zdziwić, kiedy ujrzała niespodziewanie Słowackiego, tutaj, we Frankfurcie, z drugiej strony mogła być rada z tego; gdyż, bądź co bądź, Słowacki potrafił być bardzo miłym towarzyszem, a w towarzystwie jego, o ile się nie starał przekroczyć pewnych granic, czas upływał bardzo przyjemnie. On zaś, z chwilą, kiedy przyjechał do Frankfurtu, dokładał wszelkich starań, ażeby robić jaknajkorzystniejsze wrażenie, a jeśli się zapo-

minał chwilami, to znowu z wielką łatwością dawał się przyprowadzać do porządku: bo z natury był nieśmiały i delikatny w obejściu z kobietami, i nie posuwał się zbyt daleko, kiedy był powstrzymywany w zapędzie. To były powody, że pani Joanna, zakreśliwszy pewne zaklęte koło, w którem się Słowackiemu pozwalała obracać, przyjmowała go chętnie, ile razy przyszedł, co widząc on, nie omieszkał korzystać z tej łaskawości, a że tylko przy boku swej dręczycielki czuł się szczęśliwym względnie, więc przychodził coraz częściej, coraz częściej, codzień, w końcu po parę razy na dzień. Doszło do tego, że dzień, w którym ją widział raz tylko uważał za stracony, zły, *une journée perdue.*

Takie częste widywania się musiały wywrzeć swój skutek. Jakoż wywierały go. Dowodem Słowackiego list do Niedźwieckiego (z d. 18 maja), gdzie poeta, zapytując się, czy żałuje tej podróży, odpowiada stanowczo, że nie żałuje: jakkolwiek nie osiągnął upragnionego celu, dla którego przyjechał, to jednak: 1) nie traci nadziei, że go osiągnie w końcu, a 2) sposób, w jaki tu, od chwili przyjazdu swego, czas spędza, nie jest najgorszy: przeciwnie, posiada wiele uroku. *Je ne me repens pas cependant d'être venu. Mes journées se passent agréablement: je la vois, je sens les battements accelerés de mon coeur et du sien: son visage se colore d'une rougeur qui me rappelle la clarté diaphane de l'aurore en Grèce; j'apprends à parler le langage d'amour, je vis et je rayonne. Que faut-il de plus?«* Ustęp ten, dość drażliwy, jest wymowny; świadczy bowiem, że pani Joanna pozwalała się doprowadzać na sam brzeg przepaści, tylko się w nią strącić nie dała. Swoją drogą Słowacki, po dwóch tygodniach pobytu we Frankfurcie, zaczynał być coraz lepszej myśli, coraz bardziej przekonany, że »experyment« w końcu udać się musi.

II.

W tem przekonaniu, któregoś dnia, a było to w niedzielę d. 16 maja, idąc do pani Bobrowej, wziął z sobą rękopis swojej *Beatrix Cenci*, ażeby ją przeczytać swej dręczycielce. Tragedya była »pełna łez«, jak owa książka, którą pod kaskadą czytali kochankowie *W Szwajcaryi*, a »łzy uspasabiają serce do miłości«, jak mówi Pietro Negri, jeden z bohaterów tej tragedyi. To było powodem, że wyjeżdżając z Paryża, poeta nie zapomniał tej tra-

gedyi właśnie włożyć do swego podróżnego kuferka. Osnuta (myślał sobie Słowacki), jak szekspirowska historya Romea i Julii, na tle nieszczęśliwej, beznadziejnej miłości między poetycznym malarzem Giano Giani a uroczą hrabianką Cenci, powinna na kobietę, zwłaszcza na kobietę tego rodzaju, co pani Joanna, w której życiu miłość odegrała tak wielką rolę, działać tak samo, jak niegdyś, za czasów Dantego, na nieszczęśliwą Franczeskę da Rimini i Paola oddziałała powieść o przygodach Lancelotta i Zinewry. Ten był ukryty zamiar, w jakim się Słowacki zjawił tej niedzieli w domu pani Bobrowej ze swoją *Beatrix Cenci*, zamiar, który świadczy, jak Słowacki myślał po literacku, jak doświadczenie czerpał nie z życia, lecz z książek, a nadto, jak starał się żyć poetycznie. Ponieważ (myślał sobie) Francesca i Paolo przestali czytać pod wpływem romansowej historyi Lancelotta i Zinewry, więc i pani Joanna powinna się do tego stopnia dać rozmarzyć historyą malarza Gianiego i hrabianki Cenci, żeby w końcu, jak Francesca, przestała być panią swojej woli, a on, jak Paolo u Dantego, mógł skorzystać z tej chwili słabości. Plan był obmyślany doskonale, na nieszczęście jednak, choć zgodny z naturą duszy ludzkiej, a kobiecej w szczególności, nie wytrzymał próby rzeczywistości, która lubi niespodzianki. Wszak i bitwa pod Waterloo miała być wygraną, gdyby się wszystko stało według planu Napoleona; ale, jak Napoleon przewidział wszystko, oprócz niedołęstwa jenerała Grouchy, podobnie i Słowacki zapomniał o jednym szczególe, na który Dante w 5-ej pieśni swego *Piekła* kładzie nacisk szczególny: że Francesca da Rimini, choć poślubiona Lanciottowi, kochała Paola, i że to było głównym powodem, dla którego czytanie przygod Lancelotta, skończyło się dla nich tak, jak u Dantego. Tymczasem pani Joanna nie była w takim stosunku do autora *Beatrix Cenci*, jak Franceska w stosunku do Paola. Paolem był Krasiński, jemu zaś, Słowackiemu, mogła przypaść w udziale conajwięcej rola Galeotta. O tej okoliczności, tak zmieniającej sytuacyę, zapomniał Słowacki najwidoczniej, bo gdyby pamiętał o niej, możeby pani Bobrowej wcale nie przeczytał swojej *Beatrix Cenci*.

Przeczytał jednak, a jakiekolwiek były pobudki, które mu to czytanie tej tragedyi właśnie doradzały, scena musiała być ładna, chociaż się obyła bez epilogu, który przewidywał i którego pożądał Słowacki. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, była pani Joanna sama tego dnia, tak, iż czytanie *Beatrix Cenci* odbywało się *tête à tête*, w buduarze, lub owym »eleganckim salonie«, o którym

poeta wspomina w jednym ze swoich późniejszych listów do matki. Pani Joanna słuchała, Słowacki czytał na głos, a nietrudno zgadnąć, znając tę tragedyę (ze szkicu), które sceny i ustępy musiał czytać ze szczególnem namaszczeniem, któremi scenami starał się wywołać jak największe wrażenie, po których scenach spodziewał się, że będą — jego Galeottem.

— Ty mię oddalasz? Lecz miłośnik hardy,
Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,
Jak bluszcz przyczepia się do powiernika
I ssie go listki wszystkiemi... Mój ojcze,
Ja kocham! Jam ją widział, kocham duszą,
Kocham z rozpaczą, kocham ją szalenie,
A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca
Ona najczystszą jest i najpiękniejszą!
Pomyślał o niej Bóg, gdy tworzył słońce
I z myśli światła ją stworzył; a ona
Dała początek tęczom i kolorom,
Które ze słońca duszy mają duszę!
Gdy myślę o niej, braknie mi powietrza.
Jestem jak człowiek, który we śnie lata
I czuje, że mu nie stanie błękitu,
Albo odwagi...

Prawie się widzi, jak Słowacki czyta ten ustęp; prawie się słyszy, jak mu głos drży, jak czytając, stara się czytać tak, żeby pani Bobrowa brała te słowa — do siebie.

To samo, zdaje się, można i trzeba powiedzieć o następującej scenie:

Beatrix.

Słuchaj! Nie wiem, kto ty jesteś!
Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabitą!
A przez twe oczy, tak smutne! płakaną,
A przez twe serce czyste przybaczoną...
Czy ty masz sztylet? O, daj, daj!

Giani.

Sztylet?
O! co ty mówisz? co mówisz? O, patrzaj!
Ja na kolanach proszę, abyś żyła,
Abyś mi dała życie z twojej ręki,
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jednem słowem twojem — nieśmiertelność!

Ale największe wrażenie musiała uczynić efektowna i nadzwyczaj czuła a rzewna scena w więzieniu, scena, gdzie Giani, jak wiadomo, wchodzi do celi więziennej w zamku Anioła, ażeby się pożegnać z ukochaną i żeby razem z nią usłyszeć wyrok śmierci.

Beatrix (spostrzega Giani'ego).
Ach! Giani!

Giani (roztwiera ręce. Beatrix rzuca się w jego objęcia).
Beatrix!

Beatrix.

Usta twoje!

Giani.

Twoje usta!

Beatrix.

Czy ty mój jesteś kochanek?

Giani.

Beatrix!

Beatrix.

Ziemio! pochłoń nas!

Giani.

Śmierci! Teraz śmierci!
Jaki to nagły dreszcz?... Czemuś wzdrygnięta?

Beatrix.

Jak ty przyszedłeś tu? prócz spowiednika
I Barygiela, nikt tu nie przychodzi,
A kto przychodzi, śmierć go wyprowadza!

Giani.

Kto?

Beatrix.

Wychodź, blady mój kochanku, wychodź!
Ja tu zostanę sama... Kto cię wpuścił?

Giani.

O, bądź spokojna! Miłość mię przywiodła.

Beatrix.

Ty spokojniejszy, niźli *mój* kochanek.

Giani.

Ja cię spokojnie kocham, ale wiecznie.

Beatrix.

Jeśli mię kochasz, uciekaj na słońce!

Giani.

Słońce? Ty moje słońce! Ja cię kocham,
Dlaczego ty mię odsyłasz do ludzi?
O, zapomnijmy o nich, duszo moja!

Beatrix.

O zapomnijmy o nich... Siądź tu, Giani,
A ja upadnę na kolana, drżące
Tutaj na różach, i będę mówiła,
Jak ty masz o mnie pamiętać... O, Giani,
Jestem spokojną teraz i szczęśliwą.
Pamiętaj o mnie! Pamiętaj ty o mnie
Inaczej, niż lud, który się lituje,
Inaczej, niż Bóg, co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie, jako o Rzymiance
Nieskazitelnej, strasznej, nieszczęśliwej,
Którą — splamioną — miłość oczyściła
Ze wszelkiej zmazy. Ja się czuję czystą.
Lecz miłość przyszła późno... Przebacz, Giani,
Że ci rozdzieram serce, ale muszę.
Dzisiaj wieczorem ty *będziesz*. Nie mogę
Wystawić sobie, dziś, tam, w twojej celi,
Ciebie, bezemnie, ha!... Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie, dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna,
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą;
Lecz ta godzina jest bez drugiej dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu,
I Bóg mnie weźmie, o, tak, rozpłakaną!

Pani Bobrowa, kiedy Słowacki skończył czytać, była zachwycona tym utworem, ale i na tem koniec: do sceny, którab y przypominała krótkie opowiadanie Franczeski da Rimini, z 5-ej pieśni Dantejskiego *Piekła,* nie przyszło. Słowacki wrócił do domu, pod żadnym względem nie będąc podobnym do Paola; wrócił, jak niepyszny, prawdopodobnie rozmarzony bardziej jeszcze, aniżeli nim był dotąd; a trzeciego dnia, pisząc do Niedźwieckiego, tak pisał o tej swojej nie-dantejskiej scenie czytania: »*Avant hier je lui ai lu ma Beatrix C*(enci) *et la commotion électrique, qu'elle en a ressentie, ne peut se comparer qu' à celle, qu' on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte... Il est vrai qu' en lisant je trouvais de inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme... Mais que t' importe l'amour et ses égarements?* itd.

III.

Te *égarements d'amour* wszakże, zamiast zmniejszać się, wzrastały; każdy dzień, każda wizyta u pani Joanny, przynosiły nowe, nowe kłopoty, nowe zbłąkania się, nowe burze. *La dame de mes pensées ne me laisse pas un instant de repos et les calmes sont rares sur la mer où je vogue*

à pleines voiles. Je suffre et je ronge mon frein en écumant. Votre conseil d'oser et de tout oser n'est pas bon à suivre: je l'ai essayé et j'ai manquai de périr: un instant de plus et tout aurait été fini pour moi. Maintenant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous garde et nous sauve!« Trawiony żądzą, której zaspokoić nie mógł, raz po raz upokarzany w swej miłości własnej, z nerwami rozstrojonemi w najwyższym stopniu, zniechęcony do wszystkiego, pełen wątpienia o sobie, pisał do Niedźwieckiego, że ma *des entrailles dechirés par elle,* aż w końcu wyczerpany temi scenami, z których zawsze wychodził zawstydzony i jakby niepewny siebie, zaniechał roli Don Juana, i przekonawszy się o bezowocności tej walki, którą zawsze przegrywał sromotnie, zaczął powoli, zniewolony koniecznością, wracać do roli Werthera, poprzestając na tem, że mógł widywać swoją ukochaną, że z nią mógł spędzać całe godziny, że ją mógł spotykać na ulicy, na przechadzce, lub w teatrze, że go zapraszała do siebie — kiedy była sama — na obiad lub kolacyę, że się mógł patrzeć w jej oczy, że mógł korzystać z pewnych przywilejów, które posiadał sam, które jednak pozwalając na wiele, nie pozwalały na wszystko.

Niestety, zdarzały się dni, w których nie widywał jej »prawie wcale«. Oto, co w tej mierze pisał do Niedźwieckiego: »*Il y a des jours où je ne la vois* presque *pas; ce sont ceux, où sa fille vient à la maison. Ces jours là sont un veritable enfer pour moi. Je suis obligé de les passer tout seul, avec mes livres allemands et mon piano, qui est tout discord, et une petite servante allemande, qui est amoureuse de moi... Vous sentez bien, que j'enrage et que je ne touche souvent ni à mes livres, ni à môn piano, ni à la petite fille. Je reste plongé dans mes pensées noires, comme Corsaire ou Lara. Aujourd'hui Samedi, se suis précisement dans la position ci depuis décrite: j'ai encore douze heures à passer et je ne sais pas comment*«. I nie przesadzał, kiedy mówił, że mu dni takie były piekłem; że nie wiedział wtedy, co począć z sobą; że go nie bawiły ani książki niemieckie, których czytanie przychodziło mu — przez całe życie — z trudnością; ani fortepian, który był całkiem rozstrojony; ani ładna pokojówka-niemka, na którą był zły, że się w nim zakochała, wtedy, kiedy on marzył o tem tylko, ażeby się w nim zakochał kto inny.

Rzucony na bruk żydowsko-bankierskiego miasta, prozaicznego w najwyższym stopniu, choć było miejscem urodzenia Goethego (ale i Rothschilda za to!), w tej atmosferze handlowej, przesiąkłej zapachem banknotów i weksli,

a w której tylko kantorowicze i aferzyści czuli się w swoim żywiole, czuł się, jak ryba, wyrzucona na piasek, a przytem trawiony zgryzotą i tęsknotą za ukochaną, pogrążony w swoich *pensées noires,* kiedy nie mógł pójść do pani Bobrowej, włóczył się, »jak błąkający się cień« po ulicach, bo i w mieszkaniu nie zawsze mógł usiedzieć, przy swojej *petite servante.* Na szczęście, jak gdyby dla kontrastu z tem ponurem usposobieniem poety, wiosna tego roku, a szczególniej maj i czerwiec, były prześliczne. Słońce grzało rozkosznie; w ogrodach zieleniły się drzewa, pachniały kwiaty, śpiewało ptactwo, roiło się od ludzi, spragnionych świeżego powietrza i słońca. I Słowacki, o ile nie mógł być u swej pani, całemi godzinami przesiadywał niekiedy, zamyślony o niej, w ogrodzie frankfurckim, który — obok eleganckich sklepów na *Zeil,* obok malowniczej *Alte Main-Brücke,* obok pomnika Guttenberga, w roku 1841 świeżo odsłoniętego, obok starej katedry i ratusza, o których wspomina Goethe w swojej *Wahrheit und Dichtung* — należy do największych ozdób miasta. Słowacki jednak i w tym ogrodzie czuł się nieszczęśliwym; chwilami zdawało mu się poprostu, że oszaleje, że mu się rozum pomiesza. Jeszcze po upływie lat pięciu, w liście, datowanym z Paryża d. 14 lipca 1845 roku, wspominając te chwile, jedne z najgorszych z pewnością, jakie w miał w życiu, pisał do matki: »Lat temu pięć nazad, w jednej chwili, stojąc w ogrodzie Frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzóz i drzewek, nagle uczułem się martwy, jakby martwą naturą otoczony: te brzozy, które mi dawniej, na Podolu, tak dziwne rzeczy szeptały, stanęły przedemną, jak obce figury. Myśl zimna poleciała po ich gałązkach, niebo i ziemia zatrwożyły mię, nic nie mówiąc do mnie. Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu; ale mię zaraz Pan Bóg obudził, albowiem tego wieczora wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego salonu (pani Bobrowej), w którym byłem, że nigdy dawniej niedoznane uczucie strachu włosy podniosło mi na głowie, i przez to wstrząśnienie obudzoną była moja sympatyczna natura duchowa. A to ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi, a które rozpoczynają mizantropię czarną«. Jak wielką była ta »mizantropia czarna« Słowackiego, w którą go pogrążała nieszczęśliwa miłość, dowodzi ustęp powyższy, świadczący, że to rozdrażnienie poety, kiedy był we Frankfurcie, chwilami dochodziło do obłędu prawie; bo czyż ustęp ten, przepuszczony przez pryzmat analizy psychologicznej, nie robi wrażenia, że wy-

szedł z pod pióra szaleńca? Cokolwiekbądź, faktem było niezaprzeczonym, że stan, w jakim się tu znajdował Słowacki, był bliski szaleństwa. Co gorsza, to, że Słowacki miał świadomość tego stanu, że się nie łudził bynajmniej, iż jest na dobrej drodze. Owszem, wiedział, że jest na złej, a że sobie zdawał sprawę z położenia, dowodzą jego listy, jeden do matki, w którym o tym frankfurckim epizodzie swego życia powiada wyraźnie, iż był tu »*jak szaleniec jaki,* dręczony przez pewną osóbkę«, i drugi do Niedźwieckiego, do którego pisał 22 maja w te słowa: »*Heureux ceux, qui comme vous restent tranquilles et calmes en regardant couler l'eau et qui prennent en pitié leurs amis* devenus fous«. Szczęście jeszcze, że się wszystko skończyło na »mizantropii czarnej«, która mu na świat i na ludzi kazała patrzeć przez okopcone szkła, co się nie mogło nie odbić ostatecznie i na sposobie myślenia poety. Wiadomo przecież, że mizantropia zwykła chodzić w parze z pesymizmem, od pesymizmu zaś *il n'y a qu'un pas* do cynizmu. I Słowacki, po przejściu przez najrozmaitsze fazy, skończył — we Frankfurcie — na cynizmie. Za dowód mogą posłużyć jego listy do Niedźwieckiego, w których największa rozpacz graniczy z niemniejszym cynizmem (np. w owym ustępie o zakochanej w poecie *petite servante allemande),* listy, w których wszystko jest obrzucone sarkazmem, począwszy od Frankfurtu, jako miasta, a skończywszy na literatach frankfurckich. »*Je ne suis pas tenté de faire connaissance avec les hommes de lettres d'ici: ce sont des gens décrépis, usés, et sans aucune force vitale. Hier, quand on m' a parlé d'un savant fort grave, fort maladif et fort profond penseur, et que des gens qui m' en parlaient croyaient me pénétres de respect, je leur ai repondu: »Per Bacco! Donnez-lui des cantharides, une jeune fille, et qu' il essaye d' être homme!« Tu conçois bien que des préceptes comme celui-là et des doctrines de ce genre ne me font pas des prosélytes*«.

Ale należy położyć nacisk na ten wzgląd, że pod niesympatyczną powłoką tego cynizmu kryła się rozpacz, niedaleka od wertherowskiej myśli o śmierci. Kto wie, myślał sobie, czy śmierć nie byłaby najlepszem zakończeniem tej erotycznej klęski, bo ona jedna mogła przynieść ulgę na te cierpienia, ona jedna mogła być absolutnem wyzwoleniem się z pod tego uroku, z pęt tej fatalnej miłości! W takiem usposobieniu dowiedział się o śmierci J. U. Niemcewicza, zmarłego w Paryżu d. 21 maja. Na wieść o tem, wyrwał mu się, w liście do Niedźwieckiego, bolesny okrzyk: »Zazdroszczę! *Invideo!* I ja wkrótce położę się, jak on, ale

bez spokoju, jaki daje życie długie i — dobrze spędzone«. »*J'ai vu ici le vice-directeur de notre cercle, qui passait par Frankfort pour se rendre à Posen, toujours gai, rouge et bien portant; il m'a apporté le premier la nouvelle de la mort de notre bon vieillard J. U. N*(iemcewicz). Invideo! *Et moi bientôt je me coucherai comme lui, mais sans cette tranquillité que donne une vie longue et bien passée. Mon testament sera plus court que celui du bon vieux poëte: un soupir à ceux qui m' ont aimé, une malediction à ceux qui m' ont haïs, et mon bonnet de nuit à Witwi*(cki), *pour se couvrir la tôte toutes les fois qu'il metra la robe de chambre, qui a été leguée par Moïse. Ainsi ce diable d'hommes est déstiné à devenir l'héritier des poëtes. Il est dommage cependant, que Niemcewicz n'ait pas pensé à lui léguer ses iambes, pour pouvoir aller à l'enterrement*«. Ostatnie życzenie było złośliwą aluzyą do pedogry, na którą cierpiał Witwicki.

IV.

Tymczasem Niedźwiecki, którego listy nie były tak smutne, jak listy Juliusza, ale przeciwnie, pełne humoru, zdrowia, pogody i równowagi ducha, zastępował swego przyjaciela desperata: nie tylko w prowadzeniu korekt *Beniowskiego,* i wszystkiem, co stało w związku z drukiem tego poematu, jak korespondencya z nakładcą lipskim Michelsen'em, ogłoszenia w dziennikach, opłata introligatora, pertraktacye z księgarzami paryskimi (z których jednak Eust. Januszkiewicza wyłączono tym razem, ze względu na treść *Beniowskiego);* ale i w klubie, gdzie zajął jego prezesowskie krzesło, przewodnicząc zgromadzeniom (klub miał 12-tu prezesów). Słowacki, dowiedziawszy się o tem, pisał do niego: »*La pensée de te savoir directeur à ma place, occupant la chaise senatoriale au cerle, me fait porter ma tête bien haut! Quel personnage suis-je donc, pour être remplace par un homme de poids, comme vous?!*

Jednocześnie wyszedł w Paryżu *Beniowski.* Niedźwiecki, stosownie do polecenia Słowackiego, pierwsze dwa egzemplarze wysłał mu pocztą do Frakfurtu. Poeta, uwiadomiony o ich wysłaniu, z niecierpliwością wyglądał każdego dyliżansu pocztowego, ażeby je odebrać i zanieść swej dręczycielce, która była *Beniowskiego* niezmiernie ciekawa. »*La comtesse polonaise pour laquelle je fais venir ces livres, les attend avec impatience, et moi, qui voudrais lui être agréable je ne suis pas moins inquièt de leur retard.*

W końcu nadszedł *Beniowski* i Słowacki mógł się nim pochwalić przed panią Bobrową, mógł zaspokoić jej ciekawość, a jak *Beatrix Cenci* niedawno czytali razem, prawdopodobnie i *Beniowskiego* odczytali w taki sam sposób, t. j., że Słowacki czytał na głos, objaśniając wszystko, co w poemacie mogło wymagać komentarzy, a pani Joanna słuchała.

Ale czego nie przełamała *Beatrix Cenci*, tego nie przełamał i *Beniowski*: pani Joanna mogła być zachwycona poezyami Słowackiego, które niemało musiały zyskiwać przez to, że były czytane z odpowiedniemi *inflexions de voix* przez autora samego, ale nie była zdolna pokochać ich autora, a tembardziej zostać jego kochanką. Już to samo, że jemu to nie wydawało się niepodobnem, że miał nadzieję początkowo, iż *l'habitude fera ce que n'a pu faire l'amour* obrażało ją, a zarazem stawało się źródłem ciągłych nieporozumień, ciągłych scen, bardzo gwałtownych niekiedy, które dla obojga musiały być bardzo nieprzyjemne i przykre, a które sprawiały, że stosunek coraz bardziej stawał się naprężony i że nie chcąc go doprowadzić do ostatecznego i całkowitego zerwania, należało koniec położyć tej zobopólnej »torturze«. Zrozumiał to Słowacki, który był za inteligentny, ażeby się w podobnej sytuacyi nie zoryentować, i postanowił przyspieszyć swój wyjazd z Frankfurtu. W tej myśli, dość upokarzającej dla niego o tyle, że miał wracać z niczem, nie zwycięzcą, lecz zwyciężonym i wyczerpanym tą daremną walką, pisał d. 1-go czerwca do Niedźwieckiego (a był tak roztargniony, pisząc ten list, że zamiast daty 1-go czerwca, napisał datę 1-go maja) »*Je me propose bien tôt de revenir à Paris. Plussieurs causes m'y obligent. La vie que je mène ici est insupportable; je suis seul, à sa merci, ayant les entrailles dechirés par elle. Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille; il faut, que je parte. Aussi dans dix jour tout au plus, mon petit appartament d'hirondelle me reverra. Oh! qu' il y a désespoir dans cette pensée. Ecrivez-moi encore une fois, si vous pensez, que votre lettre puisse m' arrivez avant le 8 de c. m.; si non, guardez-moi votre amitié et attendez-moi avec un coeur d'ami. J'en ai bien besoin! bien besoin! Adieu!*

Po otrzymaniu tego listu, Niedźwiecki odpisał nań Słowackiemu niezwłocznie, albowiem, jeżeli chodziło o temat do pisania, to miał go aż nadto. Należało powiadomić poetę, jakie wrażenie zrobił *Beniowski* w kołach jego antagonistów: niech wie, co mówią o nim, i niech stanie na wysokości sytuacyi. Sprawa była ważna i wymagająca,

żeby ją traktowano na seryo, gdyż dotykała honoru Słowackiego, jako człowieka. Chodziło o to mianowicie, że zrąbani antagoniści Juliusza, przeczytawszy *Beniowskiego*, zaczęli rozgłaszać, że Słowacki dlatego na czas wyjścia *Beniowskiego* wyjechał z Paryża, ażeby strzałów uniknąć, i grozili pojedynkiem. Wobec podobnych insynuacyj zachodziła nieodzowna potrzeba, ażeby poeta stawił się w Paryżu. To musiało być treścią listu Niedźwieckiego, listu, który przeczytawszy, Słowacki zdecydował się natychmiast wracać do Paryża.

Oczywiście, że powziąwszy ten stanowczy i nieodwołalny zamiar, nie omieszkał przed wyjazdem pożegnać się ze swą dręczycielką i poinformować ją, jakie są przyczyny, że się z nią rozstaje tak nagle. Ta ostatnia wizyta musiała być bardzo smutna: nie dość bowiem, że zamykała bardzo smutną przeszłość, że wszystko, czemu służyła za epilog, było bolesne i trochę upokarzające dla obojga, ale, co gorsza, była zapowiedzią bardzo niepewnej przyszłości, bo z konieczności musiała być poczytywaną za prolog do ryzykownej walki ze zrąbanymi w *Beniowskim* antagonistami poety, walki, która — jak to przewidywał Słowacki — musi się zakończyć jakąś awanturą, najprawdopodobniej jakim pojedynkiem. A gdzie chodzi o pojedynek, tam nigdy nie można być pewnym, czy się z niego wyjdzie bez szwanku. To przeświadczenie, że Słowacki ledwo przyjedzie do Paryża, odrazu będzie zmuszony strzelać się, a więc ryzykować życie, które może utracić, było tą struną, która w tem pożegnaniu Słowackiego z panią Bobrową, drżała najsilniej. Takie rzeczy, jak pojedynek, zawsze działają na imaginacyę kobiet. To też i pani Bobrowa, »pomimo wszystkiego«, co poprzedziło tę chwilę pożegnania ze Słowackim, mimowoli drżała o niego, bo bądź co bądź tego przed sobą ani przed nim taić nie potrzebowała, że ją »cokolwiek interesował«. Mogła go nie kochać i nie oddać mu się, ale obojętnym jej nie był. Sama myśl o tem, że mógłby zginąć w pojedynku, przyprawiała ją o trwogę, przejmowała obawą, budziła współczucie, a potęgowała życzliwość. Dlatego przypuszczać wolno, że o ile przez cały czas pobytu Słowackiego we Frankfurcie jego stosunek z panią Bobrową był pełen dyssonansów, jak dyety z wagnerowskich *Walkyrii*, o tyle to pożegnanie teraz, w takich warunkach, musiało być harmonijne i rzewne, jak melodyjny duet z jakiej opery Belliniego.

Cokolwiekbądź, dnia 8 czerwca 1841 r. Słowackiego już nie było we Frankfurcie.

ROZDZIAŁ VI.

PEŁNIA TWÓRCZOŚCI I ŻYCIA.

I. Słowackiego krytyka *Nocy letniej*. Odpowiedź na *Improwizatorów*. Wychodzi *Beniowski*. Jego dygressye. Napaść na Mickiewicza. II. *Beniowski* i »Litwa«. Wrotnowski nie chce przyjąć płatnego ogłoszenia w *Dzienniku narodowym*. Frańciszek Szemioth trąbi na trwogę. Kolegium w Saint-Germain. Ropelewski kozłem ofiarnym. *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*. Nie podobają się Ludwikowi Platerowi i »Litwie«. III. Słowacki przyjeżdża do Paryża. Wizyta Szemiotha. Słowacki wyzwany na pojedynek. Nabielak sekundantem Słowackiego. Testament. Trzy listy. Ranek 15 czerwca. Róża. Msza w kościele *Assomption*. Okna mieszkania pani Bobrowej. Stanisław Ropelewski i panna Paulina Plater. Sekundanci Ropelewskiego: Szemioth i Eust. Januszkiewicz. Kołysko. Wstawiennictwo Ludwika i Cezarego Platerów. Ich umowa z Nabielakiem. Scena w ogrodzie Luksemburskim. Śniadanie u Cezarego Platera. W klubie. Dwa listy Leonarda Niedźwieckiego do Wł. Zamoyskiego. Słowackiego list do pani Bobrowej. Echo tego pojedynku w *Pszonce*. IV. Głosy prasy emigracyjnej o *Beniowskim* i jego autorze. Krytyka Jana Koźmiana w *Dzienniku narodowym*. Krytyka (Seweryna Goszczyńskiego?) w *Demokracie polskim*. Krytyka Wacława Jabłonowskiego w *Trzecim Maju*. Wzmianki o portretach Słowackiego: Oleszczyńskiego i Kurowskiego. V. Dalszy ciąg *Beniowskiego*. List od Krasińskiego. Zmiana mieszkania. *Krytyka krytyki i literatury*. Pani de St. Marcel. Pani Bobrowa przyjeżdża do Paryża. Harmonia. Dyssonanse. Prologomena do *Nowej Dejaniry*. List od Krasińskiego. Horacyusz Kokles. *Nowa Dejanira*. List do Zygmunta. Jego odpowiedź. Śmierć Józefa Meyznera. Wychodzą poezye Bohdana Zaleskiego. ich krytyka przez Słowackiego. Słowacki w rozpaczy. Listy do Zygmunta — drze I pali. Krasińskiego ostatni list w sprawie pani Bobrowej. Pani Bobrowa wyjeżdża do Frankfurtu. Słowackiego pożegnanie z nią.

I.

Dnia 29 kwietnia, kiedy się w *Trzecim Maju*, podznaczona literami *J. S.*, ukazała krytyka *Nocy letniej*, Słowacki był już we Frankfurcie; nie mógł więc, jako nieobecny, być naocznym świadkiem wrażenia, jakie »feljeton« ten

uczynił w obozie Mickiewiczowskim, przeciwko któremu — w pierwszej swej części — był wymierzony.

Szczęściem dla poety, (bo zaprzeczyć się nie da, że go, jak Cezara, w tej walce z antagonistami, szczęście nie opuszczało ani na chwilę) został w Paryżu Niedźwiecki. On mógł, w razie czego, zastąpić poetę, np. gdyby antagoniści jego, urażeni początkiem tej krytyki, zażądali jakiej satysfakcyi. Artykuł bowiem, jak się okazało, był napisany tak śmiało, że aż za śmiało może; w każdym razie, jak sam poeta przyznawał w nim, »gorzej, dotkliwiej, kwaśniej, niżby na poetę przystało, a właśnie tak, jak przystało na feljetonistę, który radby się dziennie ścierać i wygrywać bitwy, a ilekroć ukolą go *fałszerze,* rzuca się, jak lew, leżący na podstawie dziennika«. Cały pomieniony artykuł Juliusza, choć pisany »lekko, zgrabnie i stylem brylantowym«, był takiem rzucaniem się zranionego, a przynajmniej rozdrażnionego lwa na tych, co go ukłuli, a których on, przez cały ciąg feljetonu, pisanego w sposób obelżywy i znieważający, stale nazywa pogardliwem i znieważającem mianem »fałszerzy« (prawdy), że w tej formie, w jakiej został napisany i wydrukowany, był artykuł ten — od pierwszego do ostatniego wiersza — śmiałem, ba, zuchwałem rzuceniem rękawicy Mickiewiczowi i całej »Litwie«, rękawicą, której Mickiewicz nie podniósł, bo nie chciał się mieszać do podobnych spraw, a którą stronnicy jego, Januszkiewicz, Witwicki *et consortes,* podnieśli i — schowali do kieszeni. A krytyka była taka, że upoważniała do wszelkiej satysfakcyi, nie wyłączając pojedynku!

Oto niektóre ustępy z tego feljetonu. »Cieszymy się, że taka wielka fantazya przewodniczy tworzeniu się kłamstw«. »Oto Adam powiedział Juliuszowi wręcz, że nie jest poetą, oto *Tygodnik poznański* powtórzył głośno słowa Adama i to nazwał improwizacyą... Na Boga! jeżeli tak było, to przynajmniej wyrok ów improwizacyą nie jest, ale długo i dobrze pomyślanym poematem, który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny Litewskiej szkoły położy«. Następnie unosił się Słowacki nad »dobrocią« owych *fałszerzy,* którzy, mogąc wszystko »skłamać«, powiedzieć np. że w improwizacyi swej oskarżył go Mickiewicz »o brak honoru w grze, albo o jaki nałóg haniebny, albo inną rzecz jaką podłą«, o tyle tylko przeinaczyli prawdę, o ile przeinaczeniem tem spodziewali się go »w osobie poety zabić«. Albowiem o to im jedynie — w przekonaniu Słowackiego — chodziło, żeby go raz zmiażdżyć doszczętnie; bo choć usiłowali już uczynić to dawniej, kiedy poezyom jego odmawiali wszelkich zalet, on przecież, jak

feniks, zawsze z tego krytycznego ognia wychodził nienaruszony, nie »zabity«. »Tyle razy zmartwychwstawał«, że trzeba ostatecznie wymyślić nań sposób niezawodny. I przypomniało się nagle »fałszerzom«, że mają w ręku »kamienie kłamstwa«, więc »rzucimy na niego głazy czerwone, a kysz, kysz! po co przychodzisz na *Dziady!*« »O, nie przyjdzie już więcej, przysięgam! Nigdy kawałkami serca swego nie będzie was karmił, nigdy za karm dany nie odbierze od was puharu, nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą, nigdy więcej, przysięgam!« Tak sobie tłómaczył Słowacki powstanie *Improwizatorów*, po których, jak mniemał, antagoniści jego nie spodziewali się już, ażeby »zmartwychwstał« raz jeszcze. Może teraz (tuszyli) »ostatecznie zabity, już nigdy, nigdy, nie pokaże się na świata widowni«. A kysz, a kysz! Jeżeli tego istotnie spodziewali się po przyszłym autorze — *Beniowskiego*, to miał ich gorzki niebawem spotkać zawód. Za parę dni wyjdzie *Beniowski*, który będzie »zły«... Drugą połowę »feljetonu« zajmował rozbiór krytyczny *Nocy letniej*, której autor, zdaniem Słowackiego, »jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły, ale wśród starych, siwych rycerzy«. Była to aluzya do uczty z d. 25 grudnia. »Wojewodowie, zbrojami okryci, z Chrystusowemi wizerunkami na puklerzach, słuchają słów jego, a kiedy śpiewa, to nie mdleją — jak po improwizacyi Słowackiego Ropelewski — to nie padają na kolana (jak w artykule o *Improwizatorach*, owi »pijani zwolennicy szkoły«), ale wychylają czary, dobywają mieczów, i wstając, idą walczyć. Kończył się feljeton »prośbą do krytyki poznańskiej, aby w swoich lakonicznych wyrokach o dziełach sztuki była uważniejszą, jeżeli chce długo do nieomylności, prawie papieskiej, rościć prawo: sąd jej o *Nocy letniej*, równie jak inne sądy o niewyszłych tragedyach, wglądające w tekę autorską, mogą to zdziałać, że wkrótce wierzyć *Tygodnikowi poznańskiemu* nie będzie zwyczajem nawet w Poznaniu«.

Jakiej replika ta stała się przyczyną wrzawy w obozie Januszkiewicza, wyobrazić sobie nie trudno. A nie wiedziano jeszcze, że był to tylko pierwszy grzmot, jak gdyby pierwsza zapowiedź nadciągającej burzy, która brzemienna ulewą szyderstw niemiłosiernych i piorunami sarkazmu, na dobre rozszaleć miała dopiero w *Beniowskim!*

Ten ostatni ukazał się na półkach księgarskich na samym początku maja, a więc w kilka dni zaledwie po wyjściu krytyki *Nocy letniej*. Antagoniści Słowackiego ujrzawszy nowe dzieło Juliusza, rzucili się na nie, jak kruki. Doskonała sposobność, myśleli sobie, ukarania zuchwałego

pyszałka i napisania o nim, z okazyi wyjścia tego poematu, jakiego złośliwego artykułu w rodzaju krytyki *Balladyny* lub *Dantyszka*. Po tem, co w *Trzecim Maju* napisał o uczcie z d. 25 grudnia, należy mu się nauczka. W takiem prawdopodobnie, z góry powziętem przekonaniu, zabrali się do czytania *Beniowskiego* i osłupieli.

Był to policzek dla wszystkich i dla każdego z osobna, policzek niemiłosierny, palący, a tem dotkliwszy, że zasłużony.

...do porządku mnie wołają woźni.
Ci woźni są to krytycy! Kolego!
Byłżeś w Arkadyi tej, gdzie Jezuici
Są barankami? Pasą się i strzegą
Psów i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza? Kraina niczego,
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina,
Co za pieniądze *bab* truć nas zaczyna.

Przez tę *babę* rozumiał tu Słowacki pobożną »pannę Praxedę«, za której pieniądze — w znacznej części — drukowała się *Młoda Polska*, owa »Arkadya, gdzie Jezuici są barankami«, albowiem przez tę Arkadyę, »pełną wężowych ślin i krwi zepsutej«, należało rozumieć *Młodą Polskę* i jej głównych redaktorów, Eust. Januszkiewicza i Stan. Ropelewskiego.

Jak owo jaje, w którem kiedyś Leda
Powiła syna bogu-łabędziowi,
Jak? dzisiaj się to wytłómaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi...
A gdym tłómaczył, to panna Praxeda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckiem,
A potem mi dała w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał we łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo, jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem *Złotym Ołtarzykiem*, który
Każdą klamerką mię ukłuł, jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czemże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w *Dziadach* Mickiewicza chóry, etc.

W innem miejscu o kilka kartek dalej, rozprawiał się

Słowacki ze swymi krytykami, których stronniczość wyprowadzał z cuchnącego źródła służalczości i przedajności.

Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia...

To znowu coś, jak gdyby zdarcie korony królewskiej Mickiewiczowi!

Pobuntuję kosze,
Krytyków *kupię* z Grabowskim prymasem,
Reszta *owczarzy* moja. A tymczasem

tymczasem »rąbał« *Młodą Polskę*, smagając ją, jak wężowym biczem, swoim niemiłosiernym sarkazmem.

Nie podobało się już w *Balladynie*,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie;
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska*, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnią; które po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń mirry, ani malin.

Gdy mowa o *Młodej Polsce* i głównym owczarzu w tej oborze, Eust. Januszkiewiczu, trudno nie wspomnieć o jego bożyszczu, poecie-profesorze, dla którego pan Eustachy uwielbienie swe i miłość posuwał, jak sam się do tego przyznawał otwarcie, »aż do fanatyzmu«.

Per Bacco
Różnemi drogi mój poemat wiodę,
Jak Chochlik.

albo jak kwestarz Robak w *Panu Tadeuszu*,

często częstują tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę,
Naprzykład drugą piękną odę taką,
Jak do młodości.

Ta wzmianka o *Odzie do młodości* nasunęła zaraz Słowackiemu inny poemat Mickiewicza na myśl: *Konrada Wallenroda.*

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryczek lub puginał;
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda
I kończył, jak pies, kto zdradą zaczynał.

Wallenrodyczność czyli walenrodyzm
Ten wiele zrobił dobrego... najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcej już rymu na odyzm
Co od włoskiego *odjar-lo...* najprędzej
Może zastąpić brak polskiego słowa
Wallenrodyczność więc jest to rzecz nowa.

Przy sposobności dostało się raz jeszcze Witwickiemu, za ów dowcip jego, powtórzony przez *Tygodnik literacki*, że ledwo się tytułu jednej tragedyi Słowackiego na pamięć nauczy, już druga wychodzi. Taki dowcip nie mógł pozostać bez zapłaty. Słowacki nie lubił pozostawać dłużnym, kiedy ktoś usiłował być dowcipnym — jego kosztem.

Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie,
Nawet pisania łatwość rzuca plamę:
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą,
Wyspą dla grubych naszych Szanso Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować...

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnej sławy, pokoju, wygody,
Krytykom, jak psom, rzucam kilka kości...
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł, jak Ugolino.

Tymczasem zaczął ich w następnych zaraz strofach »gryść« za życia jeszcze, na ziemi. Za pretekst do tego posłużył mu Koran Mahometa, gdzie napisane stoi, że w raju każda się gruszka odmyka i cztery z siebie wydaje huryski.

U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto, nawet tworząc poetycznie,

W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców... starą pannę, seraficznie

jak panna Praxeda, Witwicki, Górecki Antoni *e tutti quanti,*

Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi,
Rzekł: pleć zieloną miała, jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
Bo widzi ostro i rogiem przenika...
Imię krytyki? nie krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? *Z. K., S. K., E. K.*
Mówią, że *Młodą Polskę* pisze baba!
Ale ja, widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye,
W dyabelskim napisane dyalekcie.

Owa »baba« to znowu »panna Prakseda«, ów »aniołek jezuicki, wdowi«, a owi krytycy zasilający *Młodą Polskę* »tą przeklętą wodą, której pies nie chce, wąż nawet nie pije«, to cała falanga bezimiennych pomocników Eust. Januszkiewicza, ze Stanisławem Ropelewskim, krytykiem *Balladyny,* na czele. Pod jego adresem był napisany ów wiersz z fałszywemi inicyałami »*Z. K., S. K., E. K.,*« pomiędzy któremi brakło tylko jednego jeszcze, a mianowicie owych zwodniczych liter *N. O.,* któremi był podznaczony artykuł o *Improwizatorach,* a pod któremi ukrywał się ów »jezuita« z *Młodej Polski,* Eustachy Januszkiewicz. Albowiem o nim myślał Słowacki, kiedy sądził, że *Młodej Polski* nie pisze baba, lecz jezuita. Przez tego »juzuitę« należało rozumieć Eust. Januszkiewicza; przez owego »draba« zaś, co tłómaczył »na język człowieka« różne przestrogi, pacierze i lekcye, należało rozumieć Stanisława Ropelewskiego, który zapisywał prawie całą *Młodą Polskę,* a między innemi tłómaczył z francuskiego artykuły Jourdain'a, podając je — za swoje.

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni, dlatego, że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby... w baladach porównania szukaj,
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Dlatego powiada, gdyby mu przypadkiem wypadło przenieść się *ad umbras,* jako ofiara nie miecza, ani »mło-

dego zapędu«, ale krytyki, równie ciasnej, jak edymburska niegdyś, unieśmiertelniona przez Byrona, kto wie, czyby się tam szczęśliwszym nie czuł, niż tu w Paryżu, gdzie tyle błędu,

Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesytów,
Bankructw, poezyi głupich, jezuitów,
Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im, zamiast poświstów
Dają, od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy,
I byłbym został tam, gdyby nie muchy...

Heglami poznańskimi nazwał tu Słowacki — przez wdzięczność za krytykę *Mazepy* — Libelta, oraz kolegę jego z *Tygodnika literackiego,* owego *J. N. S*(adowskiego), który filozofią Hegla najniepotrzebniej starał się wytłómaczyć znaczenie *Anhellego.* »Kozako-powieściopisarz« to Michał Czajkowski, autor *Kirdżalego* i *Wernyhory,* powieści, które w tym czasie były z zapałem czytane przez cały ogół, a które u *Tygodnika literackiego* szczególnie były w łaskach. Admirując je, poprostu wpadał w *extasis,* która oburzała Słowackiego.

Pod adresem tegoż *Tygodnika literackiego* znajdowała się w pieśni V-ej apoteoza boćwiny, apoteoza, trochę zakrawająca na złośliwą parodyę Mickiewiczowskich peanów w *Panu Tadeuszu* na cześć bigosu litewskiego, kawy litewskiej, kuchni litewskiej, grzybów litewskich, chłodnika, zabielanego na sposób litewski, etc. etc.

O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym, *ni più ni meno*
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszu! O, nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz, marzyłem młodo.

Lecz teraz tracę nadzieję. Niestety!
Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety.
I miałem nieraz Dyanę usłużną...
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
»Odjemną« — mówi *Tygodnik* — o zgrozo!

Odjemną?... Czy od *Tygodnika?* Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry,

Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w ręku...

Ale te wszystkie dygressye, które tyle »trupów zostawiły na placu«, były niczem, w porównaniu z końcowemi oktawami pieśni V-ej, wymierzonemi, przeciwko Mickiewiczowi i wszystkim »półpijanym zwolennikom szkoły litewskiej«, którzy brali udział w pamiętnej uczcie z dnia 25 grudnia r. z.

Po wzniosłej, poetycznym panteizmem nacechowanej modlitwie do Boga, który — zdaniem poety — nie jest tylko »robaków Bogiem i tego stworzenia, co pełza«, ale przeciwnie,

On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza,

po takim obrazie Boga, którego częściej »wielki czyn« ubłaga, aniżeli »łza próżna, *stracona* przed kościoła progiem«, następowało zapytanie, na które dla wtajemniczonych — a byli nimi wszyscy uczestnicy uczty z dnia 25 grudnia — tylko jedna istniała odpowiedź.

Gdzież jest ten człowiek? który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?

Było to, jakby echo improwizacyi Mickiewicza, który się wyraził, że iskrę geniuszu »od Boga przejął na skrzydłach natchnienia«, a który Słowackiemu, zarzucając brak wiary i miłości, dawał do zrozumienia, że on, Słowacki, tej iskry »od Boga« nie przejął »na skrzydłach natchnienia«.

Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja i wieszcza wskrzesił!

...Ikwo! płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. Tyś zmusiła Niemen stary,

t. j. Mickiewicza,

Przyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy!
Lecz rzekł: »Niech idzie tam, gdzie my idziemy«.

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci? gdzie? portowa wieża?
...Nie pójdę z wami waszą drogą *kłamną*,
Pójdę gdzieindziej, i lud pójdzie *za mną!*
...Moja chorągiew go nigdy *nie zdradzi!*
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

...Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam
...*Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,*
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem,
Mię, powalonym, hardym i straszliwym!
Nie jestem tobą, ty *nie jesteś Zniczem.*
Lecz, choćbyś bogiem był, ja jestem żywym,
Gotów wężowym bałwan smagać biczem
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.

...Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz *dzisiaj, przyszłość moja!*
I moje będzie za grobem zwycięstwo!
Legnie podemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo!
...Zabiję! Trupa twego będę włóczył,

A sąd zostawię wiekom! Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać, a w liści dreszczu
Widać, że *ci coś próchno duszy porze...*
Bądź zdrów! A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz *dwa* na słońcach swych przeciwnych — bogi

Na tem »pozdrowieniu« kończyła się wydana część *Beniowskiego*. Niepodobna przypuścić, ażeby Mickiewicz nie przeczytał tego poematu, a jeżeli przeczytał, to można — poniekąd — usprawiedliwić milczenie, jakiem w swoich wykładach pominął całą twórczość Słowackiego. Że mógł mieć słuszny żal za *Beniowskiego*, nic dziwnego. To bowiem, co Słowacki napisał o autorze *Dziadów* w tych pierwszych pięciu pieśniach *Beniowskiego*, było śmiertelną obelgą, której przebaczenie byłoby postępkiem arcychrześcijańskim, na to jednak, ażeby podobną obelgę przebaczyć, trzeba być świętym. Mickiewicz, choć miewał chwile wielkiej chrześcijańskiej pokory, świętym nie był, a był człowiekiem namiętnym i dumnym, który urazy czuł i pamiętał. Cóż dopiero, jeśli uraza była tego rodzaju, jak wszystkie »wallenrodyzmy«, »pokazane fałsze«, »pęknięcia serca« i »próchna duszy« w *Beniowskim!* Nikt nie był tak znieważony w tym poemacie, jak autor *Dziadów*. Tam był sponiewierany ojczym Słowackiego, człowiek, o którym sam Słowacki — w głębi duszy — myślał to samo mniej więcej, co o nim było powiedziane w *Dziadach;* tutaj był sponiewierany sam Mickiewicz, a był wskazany wyraźnie, tak, iż nikt wątpić nie mógł, o kim w tych oktawach była mowa. Kiedy wyszły *Dziady*, Słowacki chciał Mickiewicza

wyzwać na pojedynek; kiedy wyszedł *Beniowski*, Mickiewicz miał więcej powodów do wyzwania Słowackiego, aniżeli Słowacki wtedy. Obraza była większa. Wtedy Mickiewicz uderzył w stół, a Słowacki był nożycami tylko, które się odezwały; tymczasem Słowacki w swojem rzuceniu się na Mickiewicza, »uderzył piorunem« w Mickiewicza samego, bez żadnych obsłonek, a uniesiony swą furyą i zaciekłością, nie tyle Achillesową, ile tygrysią, napadał w taki sposób, że dziwić się należy, iż go Mickiewicz nie wyzwał na pojedynek...

II.

W jak wysokim stopniu zaostrzył *Beniowski* niechęć całej »Litwy«, t. j. wszystkich »zwolenników szkoły litewskiej« przeciwko Słowackiemu, o tem przekonał się Leonard Niedźwiecki, kiedy, bezpośrednio po wyjściu poematu, zgłosił się do Feliksa Wrotnowskiego, pragnąc w jego *Dzienniku narodowym* umieścić *płatne* doniesienie o wyjściu pomienionego utworu Juliusza, i kiedy Wrotnowski — zależny od Ludwika Platera — nie przystał na to, ani chciał wyjawić powodu, dlaczego odmawia. Istotnie, obóz Mickiewiczowski, od chwili, kiedy wyszedł *Beniowski*, przypominał rozgarnięte mrowisko. A przedewszystkiem nie wiedziano, co czynić, co zrobić z tym fantem, który trzymano w ręku, który czytano powszechnie, o którym mówiono wszędzie, a który był bolesnym policzkiem, piekącym wszystkich, zwłaszcza stronnictwo katolików.

Pierwszy zatrąbił na trwogę Franciszek Szemioth, jeden z przedstawicieli »eleganckiej litewskiej młodzieży«, a głos jego, lubo wyszedł z Saint-Germain, nie przebrzmiał bez echa: najlepszy dowód, że w kilka dni później — jak opowiada Leonard Niedźwiecki — Januszkiewicz i Mickiewicz przyjechali do Saint-Germain, aby się naradzić. W Saint-Germain, oprócz Szemiotha, mieszkali wtedy, na letniem mieszkaniu: Ludwik Plater z całą rodziną, Cezary Plater, Stanisław Ropelewski i niemało innych Litwinów. Przez kilka dni trwały narady, zjazdy, a wszystko osłaniano największą tajemnicą, aż w końcu postanowiono, że Ropelewski wyzwie Słowackiego na pojedynek, czyli, że, jak powiada dowcipnie Leonard Niedźwiecki (w liście do Wł. Zamoyskiego) »stanie się kozłem ofiarnym za Litwę całą«. Uchwała zapadła; chodziło o to tylko, ażeby Słowackiemu posłać sekundantów. Wtem dowiedziano się, że Słowacki

wyjechał z Paryża, że bawi w Niemczech, że nikt nie wie, kiedy powróci, czy powróci. Dlaczego wyjechał? dlaczego wyjechał na ten czas właśnie, kiedy miał wyjść *Beniowski?* Na to pytanie odpowiedziano jednogłośnie, że tego wyjazdu Słowackiego nie można wytłómaczyć niczem więcej, tylko — tchórzostwem. Dlatego się wydalił z Paryża, bo chciał »strzałów uniknąć«, bo wiedział, że mu *Beniowski* nie ujdzie bezkarnie. W każdym razie należało się spodziewać, że Słowacki wróci prędzej czy później. Jak wróci, wtedy go Ropelewski wyzwie na pojedynek. On, jako dotknięty w *Beniowskim,* uratuje honor Litwy, on Słowackiego do strzelania się przymusi. Sekundantem będzie Szemioth.

Tyle uchwalono na zwołanem *ad' hoc* »kolegium« (czy i Mickiewicz w niem brał udział, nie wiadomo), poczem nie pozostawało nic innego, tylko czekać, aż Słowacki powróci do Paryża. Jak przyjedzie, zaraz go Szemioth — w imieniu Ropelewskiego — pojedzie wyzwać. Co najzabawniejsze, to, że człowiekiem, który najmniej był zadowolony z podobnego wyniku obrad, był Ropelewski, który się wcale nie uważał za najbardziej obrażonego w *Beniowskim.*

Tymczasem, zanim Słowacki, wezwany przez Niedźwieckiego, zdążył powrócić do Paryża, ponieśli antagoniści jego, już i tak »zrąbani« niemiłosiernie, nową, a nie mniej dotkliwą porażkę; a była to klęska tego rodzaju, że kto wie, czy ich nie ubodła boleśniej, aniżeli złośliwe dygressye w *Beniowskim.* Około 1-go czerwca nadszedł do Paryża — do czytelni klubu — Nr. 21 poznańskiego *Tygodnika literackiego,* tego samego, któremu się tak dostało w *Beniowskim,* numer, zawierający obok innych artykułów, początek dłuższego, a z niepospolitym talentem krytycznym napisanego artykułu p. t.: *Kilka słów o Juliuszu Słowackim.* Artykuł ten, ku najwyższemu niezadowoleniu stronników Mickiewicza, ciągnął się przez trzy numery, aż do połowy czerwca, doprowadzając sobą do rozpaczy całe grono »zwolenników szkoły litewskiej«. Rzekłbyś, że niebo sprzysięgło się na nich i, zawarłszy sojusz ze Słowackim, wszystkich, którzy go nienawidzili, uwzięło się trapić, dręczyć i, co najgorsza, upokarzać.

Autor *Kilku słów o Juliuszu Słowackim* — a był nim Zygmunt Krasiński — stanął w stosunku do twórcy *Balladyny* na tem samem stanowisku, jakie przed miesiącem zajął przyjaciel jego z willi Mills, pisząc o *Nocy letniej.* Wyszedłszy z założenia, że »krytyka jest siłą o *dwóch* kierunkach«, dodatnim i ujemnym, postanowił, »mówiąc o *wiel-*

kim duchu poetyckim, któremu na imię Juliusz Słowacki«, trzymać się wyłącznie pierwszego, t. j. nie ganić, nie potępiać, nie »wytykać próżni, niezapełnionych życiem«, ale przeciwnie, wytknąć raczej, w czem się poeta ten piękności nieśmiertelnej zasłużył. »Nie masz na tej ziemi ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, lecz nam się zdaje, że w dziełach Słowackiego, jest taka wiara prawdy i doskonałości, że przez nią ich wady zbawiennemi i odkupionemi są, a gdzie zbawienie i odkupienie, tam życia zwycięstwo!« W słowach tych znalazło się — przypadkiem i mimo wiedzy — piszącego — zaprzeczenie opinii Mickiewicza, zarzucającego Słowackiemu brak wiary, oraz potwierdzenie tego, co powiedział o sobie Juliusz Słowacki na końcu piątej pieśni *Beniowskiego*, mianowicie, że *moje* będzie za grobem *zwycięstwo!«* Dla antagonistów Słowackiego był to cios nowy... Niemniej boleśnie musiało ich dotknąć bezwzględne oświadczenie autora »kilku słów«, że dotychczas krytykom polskim, a krytykom Słowackiego w szczególności, wre w piersiach »zajadłe, pogańskie serce. Miłością chrześcijan nie przepoili się dotąd«. Zarzut taki, uczyniony pobożnym krytykom katolickiego czasopisma, musiał ich chrześcijańskie uczucia połechtać bardzo niemile. Oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego, zdaniem autora *Irydiona* (którego pióro poznano odrazu), niepodobna. Zrozumieć go można tylko »w logicznem następstwie po Mickiewiczu, tem ogromnem *fiat lux* literatury polskiej«. »Przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezyi w Polsce«. Leżały jedynie nagromadzone materyały, mające się do niej — do poezyi — w takim stosunku, w jakim kroniki, biografie i pamiętniki mają się do prawdziwej historyi. Pierwszy Mickiewicz »oblekł w kształt organiczny polską ideę piękności«. Wszystko, co wprzódy, rozlane lub rozbite, pływało niesfornie, on, jak Tytan, skupił objęciem ramion »i ścisnął w żelazny pierścień natchnienia«. Tym sposobem stanął »grunt« naszej poezyi. »Czem Alp ogromy, czem piramidy pustyni, czem wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła«. Przemaga w nich nadewszystko siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń. Inaczej w dziełach Słowackiego. Tu konieczna, jak tam, ta siła odwcielań i zaprzeczań, której pęd, poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności«. Poezya Mickiewicza to wielka poważna rzeczywistość, to realizm, kiedy Słowacki to fantazya. »Czem tęczy około wodospadów umizgi, czem chmury co chwila

zmienne, płynące na to, by przepaść gdzieś w niebie, czem szmery rozmarzonych strumieni, a szum daleki morza, tem jest w przekonaniu autora *Nocy letniej*, poezya Słowackiego w literaturze naszej. Któż np., czytając *Szwajcaryę* lub *Anhellego* nie dozna »mistycznej tęsknoty?« Komuż »te dwa arcydzieła wewnętrznej melodyi ducha« nie zostawią po sobie, jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że, co światłem było, już nie jaśnieje, co łzą, już nie płynie, co chwałą, już nie połyska. *Balladyna* jest dziełem innego gatunku. Nowy to zupełnie utwór na widnokręgu polskim; że zaś »każda piękność razi, zanim się da rozpoznać« (zwłaszcza nim ją należycie ocenić zdołają uprzedzeni i nieżyczliwie dla autora usposobieni recenzenci), więc też i *Balladynę* »dotąd ujemne tylko obarczały krytyki«, pomimo, że jestto rzecz genialna. Co w niej szczególnie wygląda »na głęboką genialność, na wewnętrzną energię sztuki, to jej wysnucie z kilku wierszy pieśni gminnej. Jak najbujniejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednej zwrotki wykluwa się, rozrasta i płonie». Dla uszów antagonistów Słowackiego, zaprzeczających mu, jak w krytyce *Balladyny* np. nie tylko talentu, ale poezyi nawet, stylu i sensu, wyrażenia takie, jak »dwa arcydzieła wewnętrznej melodyi ducha«, albo »głęboka genialnośś«, musiały brzmieć, jak zgrzyt żelaza po szkle. Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonalej wcielony, najściślej obrobiony — zdaniem Krasińskiego — jest *Ojciec Zadżumionych*. Jeżeliś widział rysy Laokoona, to przypomnisz je sobie, czytając ten poemat. Jeśli ci kiedy włosy powstały przed Ugolinem, tu poraz drugi rość i drżeć zaczną ci na głowie. A jednak, ani u rzeźbiarza greckiego, ani u toskańskiego Gibellina, nie zapożyczył się Słowacki »w niczem«: oni ból nad wszystkie bóle wydali plastycznie, kiedy Słowacki, jak zwykle, raczej »następstwem muzykalnem«, niż kamienną posągowością; »a wśród tych poetyckich akordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, że musisz rad nie rad po każdej łzie wylanej krzyknąć: wielki poeta!« Solą w oku musiał być również dla »zrąbanych antagonistów« Juliusza następujący ustęp o »potędze« jego stylu. Styl Słowackiego to on sam, to »roztapianie się nieustanne na wszystkie strony«. Stylem tym bije on ciągle, »jakby falami o granice wszechrzeczy«, wciąż je podmywa i stara się odsunąć. »*Nikt* jeszcze tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał«. Nikt, a więc i sam autor *Pana Tadeusza!* Pokora, z jaką wiersz staje się niewolnikiem Słowackiego, »przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo... Na króla nam wygląda, kiedy zacznie mowie polskiej rozkazy-

wać«. Ten »król« musiał także napsuć niemało krwi nieprzyjaciołom poety, którzy w nim gwałtem widzieć pragnęli Mickiewiczowskiego »wasala«. »Od prozy, nad którą poetyczniejszej w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego«, nic mu pod tym względem niedostępnego, przed czemby się cofać myślał, a nigdy w tem nie znać pracy, ni musu: słowem, »w czarnoksięstwie stylu« stanął Słowacki tak wysoko, że »nikt wyższym nad niego, a równym mało kto«. A że dziełom jego brak niekiedy całości, że »ducha swego nie ściska dość w karby«, to właśnie wynik talentu i rodzaju fantazyi, jaką go obdarzyły nieba. On nie urodził się rzeźbiarzem, jak Mickiewicz, ale muzykiem i kolorystą. Mickiewicz to Michał Anioł naszej poezyi. *Pan Tadeusz* to prawdziwa epopea. »Na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niej stopiły się razem«. Słowacki tymczasem, ze swoją wyobraźnią lotną i niepochwytną, to Rafael, to Mozart: czyli kontrast twórcy *Konrada Wallenroda,* kontrast wynikający z następstwa. Słowacki, ponieważ przyszedł po Mickiewiczu, »nie mógł być tem, co się przed nim odbyło«. Jest on poprostu »w logicznem rozwijaniu się sztuki polskiej« drugim momentem, a zatem różnym od pierwszego.

Tych *Kilka słów o Juliuszu Słowackim* miało na antagonistów autora *Beniowskiego* taki wpływ, że ich ostatecznie rozgoryczyło przeciwko niemu. Jaki budziły w nich wstręt, a przedewszystkiem, jak trudno im było przenieść to — niespodziewane zupełnie — wywyższenie poety, wywyższenie, które go czyniło *drugim* bogiem *obok* Mickiewicza, nie mniejszym, tylko innym, »różnym od pierwszego« (co jakby potwierdzało jego zuchwałe oświadczenie, wypowiedziane w ostatnim wierszu piątej pieśni *Beniowskiego),* i jak niemile czuli się tym artykułem dotknięci: o tem świadczy fakt, że kasztelan Ludwik Plater, utaił przed klubem te numery *Tygodnika literackiego,* w których się tych *Kilka słów o Juliuszu Słowackim* znajdowało. Drobny fakt, ale wymowny i charakterystyczny — i charakteryzujący sytuacyę — wielce. Nie chcieli poprostu, ażeby w klubie czytano takie herezye. Dlatego lepiej będzie (myślał w imieniu całej koteryi Ludwik Plater) ukryć je, ażeby na siebie nie zwracały uwagi. Niedość bowiem, że czytane w *Salon de lecture* przez członków klubu, mogłyby zdemoralizować niejednego, sprawić, że jeden i drugi nabrałby po przeczytaniu tych »kilku słów« niepożądanego o Słowackim wyobrażenia; ale, co gorsza, mógłby je tam przeczytać sam Słowacki, który *Tygodnik literacki,* jak i inne

pisma polskie, czytywał w czytelni klubu, a którego powrotu spodziewano się lada dzień. Chodziło o to, żeby o ile możności nie dowiedział się o wyjściu podobnego artykułu o sobie; bo jak się dowie, jak przeczyta, to nie dość, że mu się w głowie, po przeczytaniu takich pochwał, przewróci do reszty, ale będzie miał wszelkie prawo, spotkawszy się ze »zwolennikami szkoły litewskiej«, z góry poglądać na nich, jako »drugi bóg *obok* Mickiewicza, nie mniejszy, tylko inny«. Na to się narażać nie chcieli. Byłaby to klęska najgorsza ze wszystkich, najdotkliwsza!

III.

Dnia 10 czerwca, nad ranem, »smutny i rozpaczny, łając szalonemu sercu swemu«, powrócił Słowacki do Paryża. Ledwo się rozpakował, kiedy nazajutrz zaraz, wczesnym rankiem zapukano do drzwi i z miną »bardzo dumną i zimną« wszedł Franciszek Szemioth. Zapytany, co go tu o tak rannej godzinie sprowadza, oddał Słowackiemu bilecik, z którego się poeta przekonał, do jakiej »otwartej wściekłości, przyszli ci Jezuici-Litwini, kąsający go od dwóch lat bezimiennie po pismach«. Bilecik ten, skreślony w taki sposób, ażeby poetę »upiec« o ile możności jak najboleśniej, informował go zarazem: w jakim celu złożył mu Szemioth wizytę. Chodziło o to, że Szemioth przynosi z sobą »papier«, który Słowacki powinien podpisać. W przeciwnym razie wyzwie go Ropelewski na pojedynek. Przeczytawszy bilecik, schował go Słowacki z najzimniejszą krwią do kieszeni, poczem oświadczył Szemiothowi, że papieru wzmiankowanego widzieć nie chce i będzie się strzelał, przyjmując wszystkie warunki. Wówczas Szemioth, jako sekundant, zaczął nalegać nań, aby przynajmniej pismo to przeczytał. »Czytaj sobie, odparł Słowacki, jeśli ci się podoba, ale ja bynajmniej nie ciekawy«. Pomimo takiego *dictum acerbum,* Szemioth wyjął z zanadrza przyniesiony przez siebie (a jak twierdzi Słowacki, »bardzo głupio zredagowany«) papier i. odchrząknąwszy, rozpoczął czytanie:

Mówią, że *Młodą Polskę* pisze baba,
Ale ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że Jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye,
W dyabelskim napisane dyalekcie.

Ropelewski (czytał Szemioth) żąda od Słowackiego, aby tę strofę z przyszłej edycyi cofnął, teraz zaś, aby powiedział, że nie myślał przez nią...« Tu Słowacki przerwał czytającemu: »Dość, dość tego! Com napisał, zostaje, i pojedynek przyjmuję«.

Po tej scenie udał się Słowacki do Nabielaka, z którym był dobrze, i prosił go na sekundanta. Nabielak, lubo nie bardzo chętnie, przystał w końcu na uczynioną sobie propozycyę, odmówić bowiem przyjacielowi takiej przysługi niepodobna, i stosownie do polecenia Słowackiego, ażeby się zgodził na wszystkie przez sekundantów Ropelewskiego podawane warunki, rozpoczął z nimi pertraktacye.

Słowacki tymczasem, w przewidywaniu najfatalniejszego dla siebie obrotu sprawy, gotując się, jakby na śmierć niechybną, sporządził testament, którego egzekutorem mianował Niedźwieckiego. Nadto napisał trzy listy: »do niej«, t. j. do pani Bobrowej, do matki i do Zygmunta Krasińskiego. Na podobnych zajęciach, przerywanych długiemi wizytami w klubie, w gronie kolegów, zeszło mu pięć dni. Dni te, z wielu powodów, były dlań — jak sam powiada w jednym z późniejszych listów — bardzo gorzkie. Przedewszystkiem niespokojność. Bo któż zaręczy, że nie są to ostatnie chwile jego życia? Gdzie pewność, że pojedynek nie skończy się dla niego nieszczęśliwie? Jak mówi piosenka: »Jedna kulka świśnie w czoło i na ziemię runie trup...« A tu tyle pomysłów niewykonanych, tyle dramatów, tragedyi, poematów, nienapisanych! *Beniowski* nieskończony, urwany na piątej pieśni! Z sześciu tragedyi, czyli kronik dramatycznych, mających objąć legendowe dzieje Polski, napisane dopiero *Lilla Weneda* i *Balladyna!* A gdzie *Krakus*, gdzie *Wanda*, gdzie reszta? Kiedy pomyślał, że wszystkiemu temu koniec może położyć drobny kawałek ołowiu wystrzelony z pistoletu takiej, jak Ropelewski, »blado-zielonej lali«, nie dziw, że mu chwilami bardzo gorzko było na duszy. Następnie tęsknota za ukochaną. Kto zaręczy, że to pożegnanie we Frankfurcie, parę dni temu, nie było ostatniem? Kto wie, czy to smutne przeczucie, które towarzyszyło tej chwili, nie było przeczuciem śmierci?

W niemniejszym stopniu do zaprawienia mu goryczą tych pięciu dni przed pojedynkiem przyczynił się także Nabielak, który wbrew przewidywaniom poety okazał się bardzo niefortunnym, jako sekundant. Wszędzie, gdzie mu tylko wypadło występować samodzielnie, spisywał się »najgłupiej i najpoczciwiej«, a w każdym razie nie tak, jakby

się tego spodziewać można po belwederczyku. Pomijając już, że nie stosował się do żądania Słowackiego »nie przyjmowania żadnego tłómaczenia«, ani zbytniego wdawania się ze stroną przeciwną w dysputy, wyraził mu nadto, zaraz pierwszego dnia, swoją obawę, że go za sekundowanie mogą wsadzić na sześć miesięcy do kozy... Piękne dodawanie ducha sekundowanemu! Słowackiego boleśnie to dotknęło. Ażeby go nie narażać na przypuszczalne straty, przeznaczył mu w testamencie 1.500 franków na utrzymanie. Nareszcie dnia 14 czerwca w poniedziałek, o godzinie 11-ej wieczorem, zawiadomił Słowackiego, że pojedynek odbędzie się nazajutrz, t. j. we wtorek, dnia 15 czerwca, a odbędzie się nie w Saint-Germain, jak ułożono z początku, ale koło Paryża, między godziną 9-tą a 10-tą na placu, otoczonym pustemi murami.

Przespawszy się »najspokojniej«, wstał Słowacki o godz. 5-ej zrana (»przysięgam pani zupełnie spokojny«, czytamy w liście do pani Bobrowej), spojrzał na drzewa, rosnące w dole pod oknami jego mieszkanka, na słońce złote, które wschodziło właśnie, ubrał się cały czarno, tak, aby »żadnego celu« na osobie swej nie posiadał, wypalił cygaro, zjadł dwa ciasteczka, wypił szklankę starego wina, poczem o godzinie 7-ej, sam, wyszedł z domu, ażeby się spotkać z Nabielakiem, który go o wpół do 9-ej miał oczekiwać w ogrodzie Luksemburskim, koło fontanny, i zaprowadzić na plac boju, niedaleko od ogrodu będący. Mając dość czasu, nie wziął doróżki, lecz szedł pieszo. Przechodząc przez targ kwiatów, na placu obok kościoła św. Magdaleny, kupił sobie różę za grosz, »ażeby mieć ją przez cały czas w ręku i potem, zwiędłą, w złym lub dobrym wypadku, posłać... Komu? Pani to zgadniesz...« Bo myśl o dręczycielce frankfurckiej nie odstępowała go ani na chwilę: szła za nim, jak cień. »Pani, i zawsze pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich«. Nie zapomniał też i o Bogu, którego opiece dobrze się było przed pojedynkiem polecić. W tym celu, już z ową różą w ręku, idąc ulicą *Saint Honoré*, wstąpił do kościoła *Assomption*, gdzie trafił właśnie »na samo po skończonej mszy błogosławieństwo«. Uważając to za dobry prognostyk (w chwilach bowiem podobnego naprężenia psychicznego zawsze się bywa trochę przesądnym), przeżegnał się i, już nie bez otuchy pewnej, opuścił świątynię. Dalsza droga wypadała mu przez *Jardin de Tuilleries*. »W ogrodzie, na który pani patrzałaś, stanąłem znowu i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych mi oknach. Okna były zamknięte, żaluzye pospuszczane. Poszedłem dalej. Pani nie wiesz, co to jest iść,

samotnie, bez przyjaciela, z różą w ręku, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie. Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną, uczuć nawet zachcenie krwi, w ręku mieć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się, czując, że dobrą jest podpora«. Wszystko to, ile że poeta brał w nim i teraz górę nad człowiekiem, miało dla niego, jak sam się przyznaje w liście do matki, »jakiś powab rycerski i piękność«. Nie wiedział jeszcze, ani przewidywał, że go u kresu spotka zawód, a to z następującego powodu. Ropelewski, młody, 28-letni chłopak, ładny, lecz chorowity i nieco nalanej cery, (»możebyś go Pani żałowała, możebyś...«), otrzymawszy wiadomość od Szemiotha, że Słowacki pojedynek przyjmuje, uczuł wtenczas, że ma nerwy »cokolwiek słabe« i zaczął zwlekać. Dopiero, kiedy poeta naglił i cofać się nie było sposobu, przyjechał do Paryża (bo bawił na wsi w Saint-Germain, gdzie serce swoje u panny Pauliny Plater, córki kasztelana Ludwika Platera zostawił). Przywieziono go jednak w pożałowania godnym stanie. »Bez serca, blady, z czerwonemi, obłąkanemi oczyma, bardziej do mdłości, niż do strzelania skłonny«, był ze strachu podobny do trupa i zupełnie »zdezorganizowany«. Nawiasem mówiąc, sekundant jego, Szemioth, (z obawy pewno, żeby się nie dostać na sześć miesięcy do kozy za sekundowanie) na kilka dni przed pojedynkiem powierzył swą rolę Eustachemu Januszkiewiczowi. Ale i Januszkiewicz (tą samą snadź dręczony obawą, co Szemioth), uważał za stosowne wycofać się w ostatniej chwili, prosząc Kołyskę, aby go zastąpił. Jednocześnie prawie Ludwik Plater, teść Ropelewskiego *in spe,* dowiedziawszy się od córki, o mającym nastąpić niebawem pojedynku niedoszłego zięcia swojego zę Słowackim, uważał sobie za obowiązek wszelkich ze swej strony dołożyć starań, ażeby spotkaniu się przeciwników zapobiedz. W tym celu przybrawszy do pomocy Cezarego Platera, podążył razem z nim do Paryża w ślad za Ropelewskim i rozpoczął działanie. Najłatwiejsza sprawa była z Ropelewskim, który nie mając wcale ochoty służyć Słowackiemu za cel do strzelania (tembardziej, że autor *Beniowskiego,* jako wyzwany, miał tem samem prawo pierwszego strzału), skoro go namawiać zaczęto, ażeby od pojedynku odstąpił, bardzo łatwo dał się przekonać, że w *Beniowskim* nie ma dla niego żadnej obrazy, i ulegając perswazyom ojca panny Pauliny, przyrzekł mu ostatecznie w obecności Cezarego Platera i sekundanta swojego, Kołyski,

że strzelać się nie będzie. Po Ropelewskim przyszła kolej na sekundanta strony przeciwnej, na Nabielaka, o którego »poczciwości« obydwaj Platerzy zarówno, jak i Kołysko, byli przeświadczeni, a który, skoro mu przyszło pertraktować z hrabiami (jest to bowiem cechą charakterystyczną wszystkich Pankracych, że im najbardziej imponują Henryki...) nietylko, że pomimo wyraźnego pod tym względem zastrzeżenia Słowackiego wdał się z nimi w dysputę — przyczem wyraził się między innemi, że gdyby kto na niego tak napisał, jak Słowacki, nie darowałby mu nigdy i szukałby go po całym świecie — ale jeszcze w poczciwości swej, graniczącej z naiwnością nie do darowania, zgodził się na to, że nie ostrzeże Juliusza o podstępie, jakiego się względem niego dopuścić postanowiono, a który to podstęp, bardzo sprytny i przewrotny, zasadzał się na tem, że oni, t. j. Platerzy, wystąpią w roli pośredników i, jako tacy, starać się będą nakłonić Słowackiego do ustępstw. Tym sposobem poeta, nie wiedzący nic o ustąpieniu Ropelewskiego, ściągnie na siebie choć cząstkę wstydu, jakim pojedynek ten (z jedynym tylko wyjątkiem Słowackiego) okrywał wszystkich uczestników swoich: począwszy od pacyfikatorów, Ludwika i Cezarego Platerów, a skończywszy na sekundantach, Kołysce i Nabielaku, którzy powinni byli wiedzieć, że pojedynek, jeżeli już o pojednanie chodziło, mogli dokonać oni jedynie tylko, nie zaś osoby obce; a powtóre, że sprawy takie (jak słusznie zauważył Leonard Niedźwiecki w liście do Wł. Zamoyskiego) załatwiają się na placu pod wymierzonemi pistoletami, kiedy tutaj nie dano się nawet zejść przeciwnikom. A co było najzabawniejszego w tej całej sprawie, to przezorność sekundantów, którzy zamiast czuwać nad tem, ażeby honor pojedynkujących się nie ucierpiał w niczem, głównie myśleli o sobie. Przedewszystkiem obrali takie miejsce, gdzie nikt ich ruchów podglądać nie mógł; potem wyznaczyli sekundowanym 40 kroków do strzelania się; a wreszcie kupili królika, ażeby mu »w łeb wypalić w tej samej chwili, kiedy antagoniści będą mierzyli w łby swoje«. Mówili bowiem: gdyby nas kto złapał, rzeklibyśmy, w razie napadu przez policyę, żeśmy strzelali do królika. »Biedny królik, pisał później Słowacki do swej dręczycielki, on był śmieszno-tragiczną stroną pojedynku naszego«.

Tymczasem, nie przypuszczając zgoła, ażeby sprawa pojedynku mogła tak »donkiszotowski« przybrać obrót, spacerował Juliusz, z różą w ręku, dokoła basenu fontanny w *Jardin de Luxembourg*, i czekał na sekundanta. O trzy kwadranse na dziewiątą, ujrzawszy go wreszcie zbliżającego

się, podchodząc ku niemu, zapytał: »Co? Czy przychodzą?« Na to mu odpowiada Nabielak, że nowa się rzecz stała, że różne zaszły zmiany, że Ludwik Plater przyjechał z Saint-Germain za Ropelewskim, że nabożny Cezary Plater mu towarzyszy, że obaj są w tej chwili u Ropelewskiego i godzą sprawę, że obaj mają natychmiast do niego, t. j. do Słowackiego, »w prośby« przyjechać. W Słowackim, kiedy mu Nabielak wiadomość tę zakomunikował, zawrzała krew: postrzegł bowiem, że mu »Jezuici z rąk uciekają«. Przeczuwał, że mu ten »blado-zielony wróg«, któryby pod pistoletem jego omdlał, nie pokaże się. Rzekł więc, siląc się na pozorny spokój, do Nabielaka: »Jestem na placu boju i nie ulegnę«. Słysząc to Nabielak, kiedy dostrzegł wściekłość, malującą się na twarzy Juliusza, począł go zaklinać, ażeby tylko grzecznie obszedł się z Platerami, kiedy nadejdą (a spodziewać się ich należy lada chwila) i żeby w rozmowie z nimi, zwłaszcza z kasztelanem, starał się zachować zimną krew.

Jakoż, po upływie paru minut, ujrzeli nadchodzących »pacyfikatorów«, którzy przywitawszy się z nimi nader serdecznie, wzięli odrazu, Ludwik Plater Słowackiego, a Cezary Nabielaka pod ręce, poczem »w głębokiem milczeniu« zaczęli z nimi przechadzać się po alejach. Wówczas to zaczął kasztelan, starający się udobruchać Juliusza, »lisią przemowę«, w której Ropelewskiego oskarżał o nierozwagę dziecinną, zaś postępowanie Słowackiego »wynosił pod niebiosa«. Skończył »pokornie« podstępną prośbą, ażeby go Słowacki *upoważnił* do medytacyi. Tego było już poecie nadto; a że w ogóle hamować się nie umiał, więc i teraz odbiegła go rozwaga. Rozirytowany, a nadewszystko oburzony przewrotnością tych »Jezuitów«, nie wytrzymał, ażeby nie powsiąść na nich i nie powiedzieć im gorzkich słów prawdy. »Nie upoważniam panów do żadnych medytacyj, rzekł. Jestem na placu boju i jeżeli przeciwnik, który mię wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mię każdy błazen wyzywał, zwlekał od dnia do dnia, i na plac mię wyprowadzał napróżno«. A obróciwszy się do Nabielaka, dodał: »Panie Nabielak, proszę, aby mi wyznaczoną była dziś albo jutro, godzina pojedynku. Ja na nią stanę i będę czekał«. Usłyszawszy to Nabielak i widząc, że Słowacki w coraz większy gniew wpada, wydał tajemnicę: »Z kimże ty się chcesz bić, czy z wiatrem? Oni się już cofnęli». »Czy tak?« zapytał Słowacki, zwracając się do kasztelana. »A tak, już się cofnęli«, odrzekł z miną pokorną kasztelan. »A, jeśli tak, odparł z szyderskim uśmiechem

poeta, to życzę panom dobrego dnia«. Dopiero teraz otworzyły mu się oczy, dopiero teraz zrozumiał o co tym »lisom« chodziło, do czego i jaką drogą zmierzali! Oto ni mniej, ni więcej, tylko spodziewali się, że nic mu jeszcze nie mówiąc, co zaszło, tyle przynajmniej wymogą na nim »podstępnie«, że on, Słowacki, da Ropelewskiemu jaką słowną ekskuzę! Jeżeli tego się spodziewali — a spodziewali się tego istotnie — to spotkał ich bardzo wielki zawód. Słowacki bowiem, nietylko, że się »złapać« nie dał, ale wpadł jeszcze w taką »wściekłość tygrysią« (której się nawet zataić nie starał), że nie licząc się ani z wiekiem, ani z tytułami Platerów, wyłajał ich, jak na to zasługiwali. Przy sposobności dostało się również i Nabielakowi. Ta Słowackiego wściekłość zrobiła takie na parlamentarzach wrażenie, iż zadrżeli (Cezary zwłaszcza) o swoją lalkę i prosto mu ją od pistoletu uchylili, t. j. uprosili Słowackiego, ażeby zamiaru strzelania się z Ropelewskim zaniechał.

Słowacki tryumfował. Przekonawszy się, »co to za wrogi« są ci przyjaciele, więcej o życie, aniżeli o honor protegowanych swoich dbający, zapalił cygaro, chcąc im przez to o tyle wyraźniej lekceważenie swoje okazać, poczem zabierał się do odejścia, pilno mu bowiem było »porzucić ich wszystkich z wielką wzgardą«. Ale nie dopuścił do tego kasztelan. Wziąwszy znów Słowackiego pod ramię, próbował go nakłonić do jeszcze jednej rzeczy, mianowicie: że najlepiejby było, iżby on, Słowacki, dał słowo honoru, że o »tak zakończonym« pojedynku milczeć będzie, zachowując całe to zajście dla siebie, w tajemnicy przed ludźmi. Słowacki atoli dał i tutaj odmowną odpowiedź. O pojedynku tym — mówił — pisał już do kilku osób (do pani Bobrowej między innemi), gdyby więc milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśleć, że on się upokorzył i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie. Dlatego będzie mówił o tym pojedynku i pisał, jak mu się podoba. Zgodził się kasztelan i na to, bo i cóż miał robić; tyle tylko, że obróciwszy się do Nabielaka i wzniósłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: »Jak on mnie traktuje!« Nakoniec, Cezary Plater, który w pobożności swej pragnął, ażeby wszystko zakończyło się po chrześcijańsku, zaczął Juliusza zapraszać na śniadanie, zaklinając go, ażeby się dzisiaj jeszcze, o ile możności zaraz, z Ropelewskim »widział, zgodził i kochał«. Na to Słowacki: »Kochać można tylko człowieka, którego się szanuje, a ja dla pana Ropelewskiego szacunku mieć nie mogę. Będę z nim grzecznie i nie dam uczuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie. Ale z kochaniem wstrzymam się, aż pan Ropelew-

ski co dobrego zrobi«. Co zaś do śniadania, to wyrywał się jak mógł, i w żaden sposób zaproszenia przyjąć nie chciał. I postawiłby na swojem, gdyby nie Nabielak, który, jako sekundant, miał prawo »rozporządzać czasem«, i którego rozkazowi, a przynajmniej namowom, nie można było — według regulaminu pojedynkowego — nie być posłusznym. Śniadanie to odbyło się u Cezarego Platera. Kiedy Słowacki, pocertowawszy się, ostatecznie zgodził się być na tem śniadaniu, kasztelan pojechał po Ropelewskiego i Kołyskę. Po niejakim czasie przyjechał, przywożąc z sobą Ropelewskiego — samego. Kiedy go wprowadzał do pokoju, gdzie już był Słowacki, wystąpił z przemową, mającą na celu pogodzenie i pojednanie przeciwników. Dowodził, że do pojedynku racyi nie było, że to przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego, że p. Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego i t. d. Po tej oracyi kasztelana, Ropelewski z wyciągniętą ręką podszedł ku Słowackiemu, na co ten, nie odmawiając mu swojej, rzekł wspaniałomyślnie, ale zimno: »No, jeśli się mamy pogodzić i nie pamiętać o tem, co zaszło, to trzeba zapomnieć na zawsze«. Na te słowa, choć »nie bardzo czułe«, Ropelewski rozpłakał się. Potem dano śniadanie, podczas którego — jak powiada Słowacki w jednym z późniejszych listów do matki — nadskakiwano mu, jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić.

Rzecz charakterystyczna, że sekundant Ropelewskiego, Kołysko, który, choć cieszył się opinią »człowieka, lubiącego cudze śniadania, zwłaszcza, kiedy go na nie proszą«, tym razem »przez wstyd« nie chciał w tem śniadaniu brać udziału, i pomimo nalegań ze strony Ludwika Platera, który go pragnął razem z Ropelewskim zawieść do Cezarego, wymówił się. Najlepszy dowód, jak mu się cała sprawa »krzywą« wydała. Ciekawsze to, że dzięki pojedynkowi temu zyskał Słowacki w Kołysce — niespodziewanie zupełnie — szczerze oddanego sobie stronnika, ponieważ w przekonaniu Kołyski, jeden tylko Słowacki wyszedł ze sprawy tej nie splamiony. To też, choć do niedawna jeszcze, jako sekundant Ropelewskiego, musiał, chcąc nie chcąc, zachowywać się względem poety nieprzyjaźnie, teraz, skoro mu już nic na przeszkodzie nie stało otwarcie stanąć po jego stronie, zmienił front i z pozornego antagonisty Juliusza stał się odrazu zapalonym tryumfu jego »rozgłosicielem« pomiędzy znajomymi swoimi, a przedewszystkiem w klubie, dokąd poszedł na śniadanie, nie skorzystawszy z zaproszenia kasztelana.

Tej okoliczności zawdzięczał Słowacki, że klub o tym

pojedynku jego dowiedział się rano, tak, iż wieczorem, kiedy poeta, jak zwykle, przyszedł na obiad, przyjęli go wszyscy po bratersku. We wszystkich oczach widział »błyszczącą przychylność«. Wszyscy też, ciekawi przeczytać tę strofę, którą autor gotów był krwią własną okupić, poczęli się dobijać o *Beniowskiego.*

Takie »bohaterstwo«, nie dziw, że bardzo wielu »nawróciło« na korzyść Juliusza (cóż dopiero, kiedy przeczytali *Beniowskiego!)* bo cokolwiek o nim mówili »zrąbani« w poemacie »jezuici-litwini«, zaprzeczyć nie mógł nikt, że zachowanie się Słowackiego w ciągu tych pięciu dni przed pojedynkiem było bez zarzutu: nie mówiąc nikomu, że ma się strzelać w tych dniach, potrafił tak dobrze do ostatniego momentu ukryć przed kolegami niespokojność swoją (bo trudno być zupełnie w takich razach spokojnym), że każdy dziwił się, iż na nim żadnej zmiany, żadnego cienia na czole, nie spostrzegł. Opowiadano sobie o tem szeroko podczas obiadu. Jeden mówił, że wczoraj jeszcze, w poniedziałek, a więc w wilię pojedynku, prosił Słowackiego o jakąś książkę, a on ją z najzimniejszą krwią przynieść obiecał dziś, we wtorek, choć dziś właśnie czekał go pojedynek. Ktoś inny, również wczoraj, umawiał się z nim na dziś do teatru. Leonardowi Niedźwieckiemu dało to asumpt do powiedzenia mówki na cześć Juliusza, w której wyraził się o nim między innemi, że zasłużył sobie, aby go — w razie, gdyby był padł w pojedynku — nabalsamowano po śmierci i nie w zwykłej, drewnianej, ale w ołowianej pochowano trumnie, wprawiwszy mu uprzednio, jak Ganalowi, parę szklanych oczu, któremi mógłby poglądać tam, dokąd mu się wciąż dusza wyrywała i serce. »Uściskałem go za to mocno, pisze Słowacki do pani Bobrowej, bo te oczy jeszczeby i na Panią spojrzały z trumny ołowianej i możebyś przypomniała Pani, żeś je często łzami zalane widziała. A teraz, choć się tak stało, i ledwie mówią, że dobrze się stało, wolałbym był, przysięgam Pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąść w swoje objęcia, jak dziecko skrwawione (znaczy to, że się Słowacki spowiadał w wilię pojedynku i przyjmował komunię św.), przysięgam, że wolałbym wroga mojego mieć przedemną i tam go nauczyć, co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swego zupełnie odważyć; ale i tak, nauka jest dana, a kara jego może jest gorszą, niż śmierć. Wrócił do Saint Germain; panna Paulina mu dziś poda herbatę. Ja samotny jestem, jak zawsze. Róży pani posłać nie mogę, bo w ogniu nie była«.

Tak się zakończył ten »dzień Donkiszotowski« w życiu autora *Beniowskiego*, a epilog ten, jakkolwiek zabawny, pod żadnym względem Słowackiemu nie przynosi ujmy. Jeżeli kogo »okrył wstydem«, to Ropelewskiego i Platerów. Nabielak spisał się nie tak, jak przystało na jednego z Belwederczyków. Zupełnie czyści z tej sprawy wyszli tylko Słowacki i Kołysko. Słowacki zwyciężył na wszystkich punktach: z sytuacyi nawet, która groziła niebezpieczeństwem, wyszedł bez szwanku, a z honorem. Wiedział, że »wrogi jego, wychłostane w pierwszej i trzeciej pieśni *Beniowskiego*, wydawcy *Młodej Polski*, jezuickiego dziennika, a obszerniej jeszcze biorąc rzecz, Litwini, postanowili zabić go lub upokorzyć«, że obmyślili całą kampanię przeciwko niemu, kampanię, którą najsromotniej przegrali, bo nietylko, że nie zdołali zabić go, zranić lub upokorzyć, ale tak niesprytnie wzięli się do rzeczy, że oto skończyło się na tem, iż »on nogę silnie postawił na szali i podniósł w górę całą zgraję jezuitów, potem zdjął nogę, i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko — niech spoczywają!«

W takiem usposobieniu, nazajutrz po tej awanturze, już uspokojony zupełnie, napisał Słowacki długi list do pani Bobrowej, w którym jej »z dziecinnemi szczegółami« ten ranek wtorkowy opisał, a który zakończył oświadczeniem, że w razie, gdyby od niego chciała jakich wiadomości o Aleksandrze Potockim, który właśnie przyjechał do Paryża, lub panu Coudère, »to proszę mnie o nie poprosić. Inaczej będę milczał, jak gdyby mię w pojedynku zabito».

Wieść o tym pojedynku, podawana z ust do ust, przez przyjaciół i nieprzyjaciół Juliusza, rozeszła się z błyskawiczną szybkością: nietylko po całym Paryżu, ale i dalej. Leonard Niedźwiecki opisał go Wł. Zamoyskiemu aż w dwóch listach (z d. 14 i 21 czerwca), a Wł. Zamoyski pewno nie omieszkał o tym donkiszotowskim pojedynku opowiadać w Londynie (Wł. Zamoyski, jako zapalony Czartoryszczyk, był, jako taki, przeciwnikiem politycznym Ludwika Platera, o tyle przynajmniej, o ile *Trzeci Maj* różnił się tendencyami od *Dziennika narodowego)*; do Frankfurtu doniósł o nim, w liście do pani Bobrowej, sam Słowacki; a w Strasburgu napisał o nim *Pszonka*.

Oczywiście, że to, co napisał *Pszonka*, musiało brzmieć humorystyczno satyrycznie. Jakoż nie było inaczej; obie wzmianki, które pomieścił *Pszonka* o tym pojedynku, były humorystyczne, a obie brzmiały przychylnie dla Słowackiego. Pierwsza wzmianka, wydrukowana na str. 8, jako

»depesza telegraficzna z Paryża«, brzmiała, jak następuje: »Nieboszczka *Młoda Polska* wyzwała *Beniowskiego* na pojedynek. Hrabia Plater... (Tu mgła dalszą przerwała wiadomość)«. W następnym numerze *Pszonki*, widocznie po otrzymaniu dokładniejszych wiadomości z Paryża, znajdował się na str. 16 artykuł, zatytułowany w taki sposób:

Są dziwy na ziemi i niebie
o których ani się śniło niebu i ziemi
czyli
rozjaśnienie nieskończonej w zaprzeszłym półarkuszu depeszy telegraficznej.

Onego czasu wzeszło nad polskim narodem ni ztąd, ni zowąd dwa słońca — dwa naraz, a na tych słońcach pokazały się dwa bogi — dwa naraz; jeden bóg nazywa się Adam Mickiewicz, drugi bóg nazywa się Juliusz Słowacki. Onego czasu zdarzyło się, że dwaj bogowie pokłócili się, jak dwaj poeci — wierszami. O co? Bogi tylko mogą wiedzieć, o co się bogi kłócą. W tym gniewie Słowacki plunął poematem *Beniowski*. Na kogo? nie wiemy. Dosyć, że się dostało całemu stworzeniu; między innemi kilka kropel padło na jednego z kapłanów nieboszczki *Młodej Polski*, który się zowie p. Ropelewski. P. Ropelewski wziął to sobie za obrazę honoru, i wyzwał Słowackiego na pojedynek: nadszedł na to p. Ludwik Plater i pogodził obie strony. Cóż ztąd za sens moralny? Nie jeden, głównie jednak — trzy.

1) że są bogowie polskiego narodu, o których on nic a nic nie wiedział,

2) że w *Młodej Polsce* był honor, o czem także wątpił;

3) i że tego wszystkiego nie można sobie inaczej wytłumaczyć, tylko, że są cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło ziemi i niebu«.

IV.

Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi wielki tom napiszę *w lecie*.

Poemat podobał się i, cokolwiek o nim myśleli »zrąbani antagoniści«, zwrócił o tyle »wszystkich oczy« na osobę swego antora, że nawet ci, »którzy nigdy przedtem nie oddali mu odkłonu«, uchylili teraz przed nim czoła; należało więc, stosownie do przyrzeczenia, wyrażonego w pieśni drugiej, zabrać się do pisania »drugiego wielkiego tomu«. Lato nadeszło, a powodzenie obowiązuje.

Jakoż, zdaje się, że poeta dotrzymał słowa, że zdecydowawszy się lato spędzić w Paryżu (gdyby wiosny nie był spędził we Frankfurcie, co za sobą pociągnęło niemałe koszta, możeby teraz wyjechał gdzie, na wieś lub nad morze), nie próżnował w ciągu tych letnich miesięcy. A je-

żeli pisał, to z pewnością nie co innego, tylko dalszy ciąg *Beniowskiego*, który się w ogóle podobał, którego rozprzedaż szła raźnie, raźniej o wiele, niż jakiegokolwiek z poprzednich poematów Juliusza, a który rzeczywiście »wszystkich oczy« zwrócił na swego autora. W słowach tych nie było przesady. *Beniowski* zrobił wrażenie ogromne.

Dość powiedzieć, że wszyscy, nawet najzaciętsi nieprzyjaciele Słowackiego, jak Zaleski i Witwicki, »uchylili przed nim czoła«. Jakkolwiek niechętnie, ale musieli przyznać, że człowiek, który napisał *Beniowskiego*, jest wielkim poetą, że ma pierwszorzędny talent poetycki.

Bohdan Zaleski, przeczytawszy *Beniowskiego* — a przeczytał go wkrótce po wyjściu poematu — pisał o nim, w liście do Mickiewicza, datowanym dnia 19-go czerwca (a więc w cztery dni po pojedynku Słowackiego), co następuje: »Czytałem też tu (w Fontainebleau) nieco uważniej *Beniowskiego*. Niema co mówić, wiersze zgrabne, ale duch mdły, pomimo pozornej ruchliwości. Poeta buja na płytkich bardzo fluktach, i oprócz grubego skandalu nie ułowi ani drobnej perełki, którą godziłoby się zawiesić choćby nawet na pogańskim ołtarzu, lub na szyi jakiejbądź kochanki. Ja taki niepoczesny, a wcale go się nie stracham (?) i spodziewam się, że kiedyś po leciech zsadzę go z Pegaza. A cóż dopiero ty, nasz Adamie, taki doświadczony i zawołany jeździec! Skoro nastaną wakacye, weź-no się w skok do pióra. Panowie młodsi poeci obrali sobie za muzy złość i pychę, my przytulmy się jeszcze bliżej ku miłości i pokorze, a obaczym, kto wygra, kto szczersze i roznośniejsze dźwięki wydobędzie dla narodu, któremu wcale dziś nie do śmiechu! *Wojna Bogów!* Głupie cielę (Słowacki)! obydwa ze swoim Krasińskim (!) mniemają, że o *taką wojnę* chodzi Polszcze. Liczę sobie za dobrą kreskę, żem cię ongi odstręczał od pokusy poetyckiej *à la Słowacki*. Mnie samego mało nie namówił Gurowski, żebym w taki sposób kontynuował mego *Dyabla Borutę*. Ale pomiarkowałem się i spaliłem, a wyręczył oto nas obydwóch autor *Beniowskiego*«. Wynika z tego, że i Mickiewicz nosił się z myślą napisania poematu, w którym, w dygresyach na wzór byronowskiego Don Juana, chciał wychłostać stosunki emigracyjne; że mu to odradził Zaleski (może dlatego, że sam w ten sposób kontynuował swego *Dyabla Borutę*, którego spalił w końcu), i że pomysł, na który w *Beniowskim* wpadł Słowacki, był, jeśli się tak wyrazić wolno, w powietrzu. Wielce charakterystyczną jest odpowiedź Mickiewicza z d. 23 czerwca na ten list autora *Rusałek:* »O poezyi boję się myśleć. Nie masz tedy na ten raz współubie-

gaczów, prócz Słowackiego. Dobrze i święcie powiedziałeś, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby nas zbudował pokorą. A te biedne pyszałki (w rodzaju Słowackiego?), co im się dzieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doznają dyktatorzy emigranccy, gryzieni troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli«. Na jeden szczegół w tym liście należy zwrócić uwagę: na ten mianowicie, gdzie Mickiewicz powiada, iż boi się myśleć o poezyi. Czego dowodzi to wyznanie? Chyba tego tylko, że twórczość i rosnący rozgłos, jaki od czasu *Beniowskiego* zwłaszcza, zaczął zdobywać Słowacki, zaczęły i innych poetów pobudzać do współzawodnictwa, że się zaczęli obawiać, ażeby ich ten »współubiegacz« nie wyprzedził zbytnio, że się go zaczynano »strachać« (bo samo wypieranie się tego uczucia przez Zaleskiego dowodzi właśnie, że się rzecz miała przeciwnie), że się zaczynali lękać, aby ich nie zsadził z Pegaza, a nie czując się na siłach, ażeby oni go z Pegaza zsadzić zdołali, zaczęli do tego, jak Zaleski, namawiać Mickiewicza, bo ich korciło to szybkie wybijanie się Słowackiego na poetycką widownię. Jeden Mickiewicz, gdyby się zabrał do pisania, mógł go »zsadzić z Pegaza«, on jeden był na to dostatecznie »doświadczonym i zawołanym jeźdzcem«. Więc należy namawiać go, ażeby zaczął pisać; w przeciwnym razie gotów Słowacki coraz bardziej porastać w pierze literackiego rozgłosu. I tak uważano go już w pewnych sferach za »znamienitego pisarza«. Dowodem, jak ta rosnąca sława Juliusza nie dawała spokoju Zaleskiemu, jest list tego ostatniego z d. 7 czerwca (1841 r.), pisany do Lucyana Siemieńskiego w Strassburgu (wówczas głównego współpracownika *Pszonki)*, a pisany, jak się zdaje, pod świeżem wrażeniem przeczytanego właśnie *Beniowskiego*. List jest ciekawy niezmiernie, choćby pod tym względem tylko, że w tonie różni się ogromnie od listu w tej samej sprawie do Mickiewicza. Widocznie, że pisząc do Mickiewicza, uważał Zaleski, iż nie wypada za bardzo chwalić poematu Słowackiego, zwłaszcza *Beniowskiego*, w którym jest tyle pocisków, skierowanych w pierś autora *Dziadów*. Dlatego, w liście do Mickiewicza, sąd o *Beniowskim*, z wyjątkiem protekcyonalnej pochwały dla »zgrabnych wierszy«, wypadł ujemnie w ogóle. Przeciwnie w liście do Siemieńskiego, gdzie obok niechętnego sądu o poecie samym, jako człowieku, *Beniowskiemu*, jako poematowi, dostało się niejedno słowo najwyższej pochwały. »Poemat Słowackiego (czytamy tam) p. t. *Beniowski*, najlepszy ze wszystkiego, co dotąd (Słowacki) napisał. *Ogromna fanta-*

zya, serca ani źdźbła. W nic nie wierzy (Słowacki), nikogo nie miłuje, niczego się nie spodziewa, siebie uważa za *centrum* świata i Polski i wszystkich rzeczy, które jego są. Ma się słowem za Boga. Nieznośny pyszałek, zapalczywszy i złośliwszy stokroć, niż Byron. Smaga nielitościwie biczem (każdego), kto mu się nawinie. Zaciął i mnie i Seweryna (Goszczyńskiego); Mickiewicza ciemięży najstraszliwiej na śmierć. Wpadł jednak na swój rodzaj i dlatego został odrazu *znamienitym pisarzem*, wątpię, czy poetą? wierszowanie *niesłychanie świetne i żwawe. Oktawy jego lepsze, niż samego nawet Aryosta*. Język giętki, czysty, ale brakuje mu jakiejś woni poetyckiej (?), którą daje serce, tego samego, co i Aryostowi. Nienawiść jego Muzą, a *ja* brzydkie — Bogiem. Gorączkowy stan duszy odzwierciedla się i w obrazach narodowych obyczajów. Pozorna też to narodowość. Gdzie mu do *Soplicy!* Zadziwi może blaskiem, ale nie zniewoli serca na długo!« W tym samym tonie pisał o *Beniowskim* Witwicki, w liście do Bohd. Zaleskiego z d. 10 czerwca (a więc tego samego dnia, kiedy Słowacki powrócił z Frankfurtu). »*Beniowskiego* przeczytałem. Jest tam i talent i także coś czysto-waryackiego, próżność prawdziwie pół-waryata«. Tak pisali o *Beniowskim* nieprzyjaciele Juliusza, »zrąbani antagoniści«, a zdania ich, jakkolwiek nacechowane niechęcią, świadczą o jednem: że im *Beniowski* dał do myślenia, że po tym poemacie musieli *nolens volens* zacząć się liczyć ze Słowackim, jak ze »znamienitym pisarzem«, że ignorować go po *Beniowskim* było nie sposób, że nie chcąc być przezeń »zsadzonym z Pegaza«, trzeba się starać *jego* dziełom przeciwstawić *swoje*, lepsze o ile możności. W tym celu należy się pospieszyć z wydaniem czegoś niepospolitego, coby nietylko dorównało *Beniowskiemu*, ale zaćmiło go. Zdaje się, że temi pobudkami powodowany zakrzątnął się Bohdan Zaleski około wydania swego *Ducha od stepu*, który, wraz z innemi poezyami, wyszedł w drugiej połowie r. 1841, w parę miesięcy po wyjściu *Beniowskiego*. Można być pewnym, że w przekonaniu Zaleskiego *Duch od stepu*, którego on uważał za swoje arcydzieło, za sam szczyt swojej twórczości poetyckiej, był tym poematem, który miał zalety po temu, ażeby zaćmić *Beniowskiego*. Jeśli tak było istotnie, w przekonaniu wielu, to w rzeczywistości miało to być chwilowe zaćmienie słońca — przez księżyc! Co o tym księżycu sądził Słowacki, zobaczymy za chwilę, jak wyjdą dwa tomiki poezyi Zaleskiego. Tymczasem, dopóki na firmamencie poetyckim świecił *Beniowski*, niczem nie zaćmiony, Jan Koźmian, należący do nielicznej garstki ludzi, przychylnie usposobionych

dla Słowackiego, nieuprzedzających się w sądach o nim, pisał po przeczytaniu *Beniowskiego*, w liście do X. Semeneńki (d. 28 maja 1841 r.), co następuje: »Słowacki wydał dziwny poemat p. t. *Beniowski*, w rodzaju *Don Juana* Byrona; wypowiedział wojnę w nim katolicyzmowi; o Jezuitach, Mickiewiczu, Bohdanie, Witwickim i *Młodej Polsce* z wielką mówi goryczą. W całem dziele dużo talentu i dużo żółci«.

Tenże Jan Koźmian, który w tym czasie właśnie napisał do *Dziennika narodowego* obszerną krytykę *Nocy letniej*, zachęcony powodzeniem, jakiego doznała wśród czytającego ogółu, napisał w czerwcu jeszcze, do tegoż *Dziennika narodowego*, obszerną krytykę *Beniowskiego*, która ukazała się następnie w dwóch numerach tego dziennika, w nr. 14 i 15 z d. 3 i 10 lipca, a była ze wszystkich artykułów, jakie się dotąd ukazały były o Słowackim, najobszerniejszą, a jedną z najzłośliwszych i najboleśniejszych. Artykuł ten, pisany w tonie mentorskim i kaznodziejskim, był pierwszym głosem publicznym, jaki się pojawił o *Beniowskim*, a miał za zadanie zdyskredytować poetę. Jan Koźmian należał do obozu katolików (z którego się zrodziło Zgromadzenie OO. Zmartwychwstańców). W tem stronnictwie, od czasu śmierci Bohdana Jańskiego, zmarłego w Rzymie, d. 2 lipca 1840 r., był w Paryżu jednym z głównych, jeśli nie głównym filarem. Ztąd w jego krytyce *Beniowskiego* przeważa religijny punkt zapatrywania. Mickiewicz, obaj Zalescy, Witwicki, Wrotnowski, Cezary Plater, w Paryżu, a Kajsiewicz i Semeneńko, w Rzymie, byli najściślejszymi przyjaciółmi Koźmiana, związani wspólną ideą, którą było odrodzenie religijne, a przedewszystkiem katolicyzmu. Dlatego, z punktu widzenia Słowackiego, była krytyka Koźmiana »jezuicką«, pochodziła »z Arkadyi tej, gdzie Jezuici są barankami«. Z tego stanowiska należy się zapatrywać na ten artykuł *Dziennika narodowego*, który był wyrazem opinii tego stronnictwa. Cały *Beniowski*, we wszystkich dygressyach o Jezuitach, *Młodej Polsce*, etc., był wystrzałem głównie wymierzonym przeciwko temu stronnictwu. Do roku 1840 była organem jego *Młoda Polska*, »jezuicki dziennik«, jak go nazywa Słowacki. Z popiołów *Młodej Polski*, która przestała wychodzić w grudniu 1840 roku, zrodził się — jak feniks — *Dziennik narodowy*, służący tej samej idei, a wydawany od d. 1 kwietnia 1841 r. »Religię katolicką, głosił program tego pisma, mamy za *najgłówniejszą* podstawę narodowości polskiej«, a wytrwałość w niej »za rękojmię bytu narodowego«. Zważywszy powyższe okoliczności, nie wyda się dziwnem, że artykuł Koźmiana, jako pi-

sany w duchu *Dziennika narodowego*, nie mógł być pochlebnym dla *Beniowskiego*.

Zdaniem Koźmiana, Słowacki, od czasu, jak pisać zaczął, błąkał się po rozmaitych szkołach, a choć natchnienia szukał w odrębnych sferach, choć posągom nadawał coraz inne kształty, mimo to »nie stworzył nic wielkiego«; myślą swoją, jakkolwiek potężną niekiedy, ani uczuciem nie poruszył masy narodu: stoi sam, nieoceniony, nieznany nawet. »Ta jałowość natchnienia, przy znakomitej organizacyi poetyckiej, ta samotność, ta władza odpychania raczej, niż przyciągania, powinny zastanowić go, powinien zrozumieć w nich opatrzne napomnienie«. Słowacki jednak, zdaniem krytyka, nie porzucając kapryśnej drogi, nie pojmuje odosobnienia, w jakiem zostaje, i dlatego »jątrzy się« na epokę. Zamiast wrócić na tor prawdziwy — a prawda jest jedna tylko — albo zachować spokojną cierpliwość, która zawsze jest oznaką siły, nie umiał drażliwości swego serca zakryć godnością, i dlatego teraz, w chwili decydującej, wystąpił gniewny, z nienawiścią i pogardą dla ludzi, i w pieśni gorzkiej, przesiąkłej żółcią, którą zatruł każdą myśl, zaciemnił każdy obraz, wszystkie rany swoje odsłonił przed światem.

Beniowski jest to prosta kopia, cień *Don Juana*. Byron, który pociąga wyższe organizacye, ale szczególniej chore umysły, dusze zwichnięte, serca goryczą przesiąkłe, i Słowackiego w koło swoje porwał. Atoli między Byronem i Słowackim widzimy całe przestrzenie. W Byronie są niezmierzone głębie namiętności, jest silna wyobraźnia, artystyczna natura. Byron miał w sobie ogień niebieski, Bóg zrobił go wielkim. Byron miał potęgę miłości, i tylko w nadużyciu łatwych uciech, w miękiej pomyślności, hart duszy stracił. Zraniony potem, z obwisłemi piórami Anioł, wlókł po świecie niezdolne do lotu skrzydła; ale na czole jego znać było piętno nadziemskiego pochodzenia, a w oczach gorzały żal i gniew do świata. Długo poruszał wszystkie struny uczuć gwałtownych aż w końcu, na pożegnanie rzucił ludziom *Don Juana*, straszną otchłań sceptycyzmu, tyle dla pokolenia dzisiejszego ponętną; ale i w *Don Juanie* często się ocknie dawny ogień; miłość, cześć, wolność, dźwięczą na strunach poety wzniosłą nutą, nawet szyderstwo jest namiętne, nawet ironia tak silna, że podobna do zczerwieniałego popiołu, który żar utajony ukrywa. Słowacki jest człowiek zimny, cały jego zapał w głowie; wyobraźnię ma bogatą i świetną, ile się zaś razy w uczucie zapuszcza, znać przymus, wysilenie, udaje namiętność, ale w nim nigdzie namiętności nie znajdzie. Indywidualizm Byroński mocno do niego przystał, tylko co w Byronie był tak głęboko ognisty, w Słowackim wziął znamiona ciasnej próżności. Mile czasem z głębi duszy Słowackiego odzywają się rzewność i tęknota polska, ale i to znać przelotem, i tych dobrych uczuć wstydzić się zdaje. Dwa są stanowiska, z których się na ludzi zapatrywać można. Kto z żywą młodzieńczą wyobraźnią i obojętnem usposobieniem, albo z odczarowaniem zupełnem, na świat wchodzi, tego uderzą nędze i szkarady, które tworzą skorupę wierzchnią; ale kto ma w sercu dużo miłości, tego nie zraża szorstka powłoka: w głębi znajdzie nieraz cichą cnotę, poświęcenie, piękne uczucie. Że Byron, wielki pan, znudzony

i przesycony rozkoszami, skończył na artystycznej pogardzie dla bezecnych drobiazgów świata, to łacno pojmujemy. Ale że młody poeta, co żyje w najpoetyczniejszej fazie swego narodu, co może małych widzi koło siebie ludzi, ale otoczony jest wielkiemi myślami i wielkiemi nadziejami, od przedwczesnej poczyna ironii, tego zupełnie nie rozumiemy; chyba, że nie mogąc w pieśniach doszukać się miłości, porwał łatwą broń gniewu i żółci, broń, którą i słaba ręka wznieść może.

Swoją drogą jest Słowacki poetą nie małej potęgi; tej mu odmówić niepodobna; zwłaszcza, jako autorowi *Beniowskiego*. Bo zaprzeczyć się nie da, że w tym poemacie jest życie, jest ruch, jest wielka rozmaitość obrazów, jest silna fantazya wreszcie; szkoda tylko, że wszystko to jest rozprószone bezładnie, niespojone żadną przewodnią myślą. Początek, pierwsza oktawa, zdaje się obiecywać szlachecką epopeję w rodzaju *Pana Tadeusza*, ale poeta zaraz porzuci Beniowskiego i wprowadzi na scenę — siebie. Błędem jest również, że Beniowski opuszczając strony rodzinne, *niczego* z nich nie unosi, prócz miłości dla panny Anieli. Ta ostatnia przypomina trochę Julię Kapulet, kiedy kochanka skrycie przyjmuje przy starej niańce. Szturm do Baru, w pieśni 3-ej, jako obraz, blady i »bardzo od niechcenia« narysowany. Wadą całego poematu w ogólności jest to przedewszystkiem, że treść nie rozwija się swobodnie, że najczęściej ginie wśród nieładu epizodów, a mętne albo niedokończone — poprzerywane dygressyami — obrazy nie pozwalają się oryentować w wątku zarówno, jak i charakterach. Te ostatnie są narysowane bardzo słabo: odrębnego życia nie widać w żadnej z osób (czy i w Anieli?). Starosta jest karykaturą, nie szlachcicem starej daty. Jeden ksiądz Marek jest lepiej uchwycony; w nim jest i powaga i uczucie. W Swentynie są ślady prawdziwej fantazyi, ale i tu, jak wszędzie, poeta nie wierzy w swoją kreacyę, nie widać, żeby się do niej »Pigmalionową miłością zapalił«. Trudno obudzić zajęcie czytelnika, kiedy mu się co chwila daje do zrozumienia, że piszący żartuje z niego. »Nam osnowa *Beniowskiego* robi wrażenie szopki; czujemy ciągle, że to tylko zabawka, i że, kiedy się zechce poecie, będzie mógł wszystkie te lalki przewrócić i zagasić świecę«. Najbardziej zajmującą jest część epiczna *Beniowskiego;* zwłaszcza przemowy ks. Marka i list Anieli: tam drga prawdziwe i tęskne uczucie. Choć i tu nie wszystko zadawalnia, a wiele obrazów »dziko uderza». Wyścigi starej Diwy z Beniowskim są niepotrzebnem dziwactwem. Ironia i żarty — w dygressyach — w pożegnalnej scenie kochanków, wśród żałości rozstania, są nie na miejscu. Ks. Marek, skradający się, żeby Dzieduszyckiemu ręce przebić nożem, czyni to, »jak student, z psotą«. Aniela, »niby tragiczna bohaterka«,

kiedy skrwawiony puginał chowa za pas, nie jest tragiczną, lecz niedorzeczną; a »na domiar niedorzeczności« Starosta każe jej pisać protestacyą — krwią Regimentarza. Swentyna, w pojedynku Sawy z Beniowskim, »sztuki, jak w hecy, pokazuje«. Brytan Sawy, w którego »panteistyczny poeta wszczepił duszę, łaknącą wolności«, kiedy ogryza czaszki ludzkie, jest śmieszny w tej roli Ugolina. »Natchnienie prawdziwe jest proste i skromne. Im wyższe uczucie piersi poety zagrzewa, tem w surowszych, wstydliwszych urzeczywistnia się kształtach. Siły dowodzą miara i wstrzemięźliwość, nie łatwość i obfitość. Zresztą poezya jest także sztuką: nie dość mieć natchnienie, trzeba umieć wybierać kształty, grupy ustawiać, cierpliwie poprawiać zarysy. Kiedy się wyobraźnia nastroi, pełno mar błędnych krąży przed oczyma, pełno myśli szalonych snuje się po głowie; kto ma potęgę umysłową, i jedne i drugie odepchnie«. Tymczasem Słowacki (zdaniem Koźmiana) pieści się z natchnieniami snu gorączkowego, nawet z natchnieniami drugiego rzędu, i mówi »wszystko, co pomyśli głowa«, nie przebierając miedzy nasuwającemi się myślami i obrazami, często natchnienia nie odróżniając od zachcenia. Ztąd wielka u niego — w *Beniowskim* — rozmaitość obrazów, ale nic zupełnego; przez kapryśną niestałość swego umysłu, nieraz się zdarza, że nęcony nowym kształtem, nie kończy rozpoczętego zarysu. Nadto brak jeszcze w *Beniowskim* sztuki przeciwieństw, sztuki grupowania świateł i cieniów: wszystko tam, o ile jest wydatne, to dlatego, że grubo narysowane. W ogóle Słowackiemu zbywa na twórczości: należy on, zdaniem krytyka do rzędu tych, co w obcej myśli szukają popędu. Nie jest to naśladownictwo bezpośrednie; owszem, zdarza się często, że wątek myśli pożyczonej, snuty obcą ręką, daleko piękniej wychodzi; często jeden cudzy wyraz wystarcza, żeby wyobraźnię wznieść do wysokiego lotu. Słowacki powinienby zrozumieć to prawo umysłowe; »upornie za twórczością goniąc«, tylko się zapuszcza w manowce.

Pod względem formy zewnętrznej, uderza w *Beniowskim* wielka łatwość wierszowania; szkoda tylko, że obok niej spotykamy mnóstwo niepoprawności, wiele zaniedbania »prawie umyślnego«, wielkie lenistwo w budowie strof pojedynczych, z których niejedna zaczyna się dobrze, a kończy ze szkodą harmonii wiersza, a nawet idei, która często »nie domierza kresu«. Rzadko który wiersz nie chromieje, choć nie brak szczęśliwych. Rymy są często, ba, najczęściej, fałszywe, często dziwaczne. A język? Słowacki, choć jest bardzo dumny ze swego języka, »dotąd nie rozumie

bogactwa językowego przez Zygmuntowskich pisarzy zostawionego nam w spuściźnie«: słowom nadaje często, zdaniem krytyka, dowolne znaczenia; bez potrzeby tworzy neologizmy, a za bogactwo — przy potoczystej gładkości — bierze pewien zgiełk wyrazów. Krytyk zaręcza, iż miałby niemałą robotę, gdyby chciał wytykać — w *Beniowskim* — błędy przeciw pierwszym zasadom gramatyki, niewłaściwe lub nieszlachetne wyrażenia.

W osobistej części poematu »są strofy nacechowane prawdziwą smętnością«. Do takich należy ustęp na końcu 4-ej pieśni, tchnący nieudaną boleścią, jaśniejący szczerem i prostem natchnieniem. Ale i w tej części, może najlepszej w całym utworze, wszędzie przebija ciężka uraza do ludzi; na jeden wyraz uczucia — tysiąc szyderstw i pogardliwych wykrzykników. »Nie nowa to rzecz żalić się na swoją epokę; zważywszy jednak, że ludzie zawsze byli słabi, do złego skłonni i namiętni, przyzna każdy, iż wyższą jest ta poezya, co błędy i słabości ludzkie rozumie, aniżeli ta, co niemi gardzi«.

»Co powiedzieć o religijnych ustępach? Szaleństwa trzeba, żeby napisać niektóre wiersze *Beniowskiego*. Parodya *Wierzę w Boga* zasługuje na najsurowszą naganę. Nie należy terać tego, co jest świętem dla innych«. Na niemniejsze potępienie zasługuje ów panteizm, głoszony przez Słowackiego: panteizm, w przekonaniu Koźmiana, jest tylko wygodną formułą dla leniwych umysłów (z tego wynika, że Goethe lub Spinoza byli »leniwemi umysłami«).

»Są złe uczucia, z któremi człowiek walczyć powinien, których się sam przed sobą wstydzi, uczucia, poniżające godność ludzką. Słowacki śmiało przyznaje niechęć i zazdrość, nawet w nich rozkosz znajduje. Ileż to imion szanowanych, przez drobną drażliwość, rzucił — w *Beniowskim* — na bruk publicznego placu! I tu powiedzmy, że osobistości, które nas w Byronie mniej rażą, które uchodzą w Anglii, nie przystają do naszych polskich obyczajów. Prawda, żeśmy się już zmienili nieco; dawna rubaszna wesołość polska przeobraziła się w ciekawość, w wątpliwy krytycyzm; od obcych wzięliśmy talent karykaturowania i dziś z wielką pochopnością rozbieramy naszych wodzów, naszych mężów stanu, naszych poetów. *Dyssekcya uczy*, mówi Słowacki. O, nie, dyssekcya burzy więcej, niż uczy«.

Zwłaszcza, jeśli kto, jak Słowacki, »dla płochej igraszki podważa fundamenta społeczności«. Taki, zdaniem Koźmiana, zasługuje, żeby go spotkał los Samsona. Nie do poety należało: polemikę małych dzienników wznosić do powagi poematu epicznego.

Z kolei przystępował Koźmian do Słowackiego polemiki czy monomachii z Mickiewiczem, na którego autor

Beniowskiego porwał się najgwałtowniej, a którego »bezsilny gniew nie dotyka«. Potem w celu wyjaśnienia powodów »nienawiści« Słowackiego do wielkiego poety, w którego wierszach »całe pokolenie uczyło się szukać wyrazu na najwznioślejsze uczucia«, następował dość bezstronny opis uczty z dnia 25 grudnia. Ostateczna konkluzya dawała się streścić w ten sposób: Sceptycyzm i niepokój wewnętrzny, oto dwa zgubne żywioły w Słowackim. W jego duszy wszystko stoi zrujnowane i nagie; na zwaliskach wiary, przyjaźni, miłości, zasiadło zwątpienie. Nie wierzy w nic, nawet w siebie. Dlatego jest taki gwałtowny. Zdaje się nie wiedzieć, że kto w nic nie wierzy, w tego i ludzie nie uwierzą; że tylko sercem rozpalają się serca ludzkie; że chcąc przemawiać do uczucia, należy przedewszystkiem to uczucie rozniecić w sobie; że trzeba pogody wewnętrznej, aby wielkie rzeczy pojmować i tworzyć. Krytyk nie wątpi, że Słowacki zmieni tor, że się poprawi, że pójdzie tą drogą, którą poszli oni t. j. Mickiewicz i inni. Na poprawę nigdy nie jest zapóźno: przed żadną fatalnością nie trzeba uchylać czoła. »Obejrzyj się w około, młody poeto! Oto jesteś wśród nieszczęśliwego ludu wygnańców: w koło ciebie — tyle cierpień, cichego poświęcenia, czystych nadziei! Sław cierpienie, wieńcz poświęcenie, grzmij pieśń nadziei. Obiecujesz wieść naród, śpiewać narodowi. Śpiewaj, chętnie ci serca wtórować będą, ale weź, jak sam mówisz, lutnię niepokalaną. Gorycz, nienawiść — nasz codzienny chleb na wygnaniu — już wiele świętych rzeczy, wiele poezyi zwarzyły. Wojując ironią, ciężko wykroczyłeś przeciw Bogu, przeciw Polsce; masz przyszłość — do poprawy«.

Nie tak kaznodziejską w tonie, choć obszerniejszą jeszcze, była krytyka *Beniowskiego,* wydrukowana w *Demokracie polskim,* »piśmie polemicznem, broniącem zasad i polityki *Towarzystwa Demokratycznego polskiego«,* redagowanem przez Wojciecha Darasza. Była to krytyka, wywołana artykułem Koźmiana w *Dzienniku narodowym,* a stanowczo życzliwa dla autora *Beniowskiego,* którego broniła przed »Jezuitami« i tem całem stronnictwem katolicko-Mickiewiczowskiem, którego wyrazem była krytyka Koźmiana. Autor tej krytyki, niepodpisany, ujęty i podbity republikańsko-demokratycznym nastrojem *Beniowskiego,* wyszedł z założenia, że Słowacki jest poetą demokracyi, nie dziw więc, że recenzya wypadła bardzo pomyślnie, o tyle pomyślniej nawet, że się w niej niejednokrotnie dostało i tym, co byli nieprzejednaną opozycyą w stosunku do Słowackiego. Zdaniem *Demokraty polskiego* był to »polityczno-religijny lub semi-religijny kącik«, który sobie przy-

właszczył prawo — czy monopol — krytykowania wszystkiego, co nie szło tam, gdzie szli oni, a którego wyroki, wypowiadane ustnie, przy herbacie, na ulicy lub wizycie (alluzya do opinii Mickiewicza, wypowiedzianej o poezyach Słowackiego), szlachetnemu stronnictwu oddawały nieocenione przysługi, zręczniej bowiem, aniżeli porządne recenzye, przyspasabiały do politycznych wyskoków. Niejeden, »dobrodusznie wierząc w owe sentencye i aforyzmy literackie, tak niewinne na pozór«, ukołysany niemi, zasypiał w Bogu: »zasypiał z sympatyami, wywołanemi z własnego serca i położenia tułaczego, a budził się w walce z najdroższemi politycznemi i socyalnemi pojęciami«. Po tem uogólnieniu następowało wyszczególnienie, wymierzone przeciwko Mickiewiczowi i jego wykładom w *Collège de France*. Zdaniem krytyka, który w tym razie myślał tak samo, jak Słowacki, poeta-profesor, którego tu nazwano ironicznie »sądem najjaśniejszym«, działał »z wiedzą« wyłącznie w interesie owego »polityczno-religijnego kącika«, i to działał »z ogromną wiedzą«, chwaląc swoich, a przemilczając wszystkich, co nie należeli do tego »semi-religijnego« kącika. »Z trudem podnosił na ramionach Stefana Garczyńskiego, wielką pracą i wysileniem dźwigał Kajsiewicza«, a i z autora *Nieboskiej Komedyi*, zdaniem krytyka, zrobił za wielkiego olbrzyma. Oczywistym i logicznym wynikiem tego stanowiska Mickiewicza było, »iż Juliusz Słowacki musiał paść ofiarą podobnej bezstronności«. Należy podnieść ten szczegół, że milczenie, jakiem w swych wykładach Mickiewicz pominął całą twórczość Słowackiego, jakby ten nie istniał, jakby nie był uważany za największy talent poetycki po Mickiewiczu, już wtedy zwróciło uwagę emigracyi... »Pracujący wiele, a drukujący wszystko, *przytem niepodległy*, chcący iść sam przed siebie, podlecieć własnemi siłami«, zrównać się, o ile możności z samym Mickiewiczem, nie dziw, że ich miał przeciwko sobie, że odsłaniając im »mniej mocne strony« ich szlachecko-religijnego kącika, a często i Mickiewicza samego, musiał się narazić całej koteryi. Nigdy jednak, odkąd, jako poeta, wystąpił na literackiej widowni, nie naraził się im tak dotkliwie, jak w *Beniowskim*, w którym »umiał postawić się groźnie, jako przeciwnik, mogący zadać ciężkie, a niebezpieczne rany«, a którym zmusił ich »do łagodniejszego języka (Zob. opis uczty z dnia 25 grudnia w artykule Koźmiana o *Beniowskim)*. Tego tryumfu można mu »z serca powinszować«. »Bajronizm! Bajronizm! pospolity i zwyczajny okrzyk na każdą walkę, która się podniesie w poezyi, a która rozpaczą powątpiewania rozdzierać chce mgłę przeznaczeń i przyszło-

ści. Lecz cóż jest ten Bajronizm? *That is the question*, ale nie to: Zkąd wracają Litwini? Chociaż i na to odpowiemy nawiasem, że wracają z Bajronizmu«. Temu nikt nie poważy się zaprzeczyć, »choćby u nas sama Panna Praxeda, z Witwickim w ręku sądziła«. Improwizacya Konrada Mickiewicza w Trzeciej części *Dziadów* jest właśnie »najwyższym szczytem tej mniemanej osobistości« czyli indywidualizmu Byrońskiego: sam poeta wyrzekł: to mój zenit! Po odczytaniu strof, gdzie Słowacki powiada, że nie pójdzie drogą kłamną, tą, którą naród prowadzi Mickiewicz, ale pójdzie gdzieindziej, »i lud pójdzie za mną«, po odczytaniu tych strof, powiada krytyk *Demokraty*, dusza jego »została uniesiona całą świętością posłannictwa poezyi w naszym narodzie«; ogarnął myślą »cały przestwór, całe gmachy, całe głębie, jakie prawdziwie natchniony duch obudzić i poruszyć może, i w dłoniach oskrzydlonych archanielskiemi pióry takich pieśni, ujrzeliśmy i miecz archanioła, ale, niestety! ta pieśń, budząca z grobów, dotąd nie zabrzmiała jeszcze«. Skoro zabrzmi, lud pójdzie za nią... Tymczasem, przechodząc do poematu samego, trzeba zaznaczyć przedewszystkiem, że *Beniowski*, oprócz powieści, t. j. fabuły, zawiera w sobie »wyprawę na krytyków, pełną żywości i dowcipu«.

»Jest to płód, w który autor wsypał najwięcej bogactw ze swych wrodzonych zdolności. Zachwycający zwrotami, rozmaitością, objął on tyle szczegółów tułactwa, tyle wytknął śmieszności, wad i umysłowych zboczeń, że do jasnego zrozumienia dzisiejszego stanu będzie kiedyś koniecznym dokumentem. Obok tego, poemat ma miejsca prawdziwie wzniosłe i rozrzewniające, lecz mówi wtedy, jakby mimowolnie, ucina żartem, spostrzegłszy się, co mu nadaje pięknego i nowego uroku. Język, rymowanie i formy, są świeże i giętkie.

»Puryzmu naszego nie posuwajmy tak daleko (czytaj: jak *Dziennik narodowy)*, abyśmy ściśle wzbraniać mieli poetom podniesienia cudzej formy, zwłaszcza, gdy ją kto tak odnowić i ożywić potrafi, jak to uczynił Słowacki z *Don Juanem*. Naśladownictwo wtedy nas prawdziwie oburza, jeżeli niewolnicze widzimy wleczenie się za wzorem, jeżeli natchnienie jest niestosowne do pożyczanych kształtów; często jednak — jak w tym razie naprzykład — to wzięcie cudzej formy ma pewną barwę natchnienia«.

Pojedyncze postaci w poemacie, począwszy od głównego bohatera, a skończywszy na figurach drugo- i trzeciorzędnych, są żywe, plastyczne i bardzo polskie. Pan Zbigniew (przeciwnie, jak autor) nie bardzo zdaje się brać do serca, że mu dokuczyli ludzie, jest lekki, rozczula i entuzyazmuje się szybko, a również szybko daje się rozerwać, rozstrzelić, co zwykle charakteryzuje ludzi, stworzonych na awanturników. A Beniowski jest awanturnikiem i dlatego, zdaniem krytyka, jest mu bardzo do twarzy, jako konfede-

ratowi, w tym zewnętrznym ubiorze formy Byronowskiego *Don Juana*. Szkoda tylko, że nie kocha bardziej Anieli, która jest wartą tego, »tembardziej, żeśmy pod piórem autora dostrzegli w niej prawdziwe, czułe, niewinne i jasne rysy naszych Polek«. Jej mamka, *Diwa*, jest »mimo zaręczeń jednej z krytyk (patrz *Dziennik narodowy)* wcale nie podobna do mamki szekspirowskiej Julii. Jest to baba, o ile poświęcona prawdziwie, o tyle skąpa w wyrazach, baba, trącąca czarownicą, nawet przepowiadająca przyszłość Beniowskiemu, co jest obiecującem i pięknem zawiązaniem dla całości poematu. Ze wszystkich najdobitniej oddany jest ks. Marek. Czy list pisze, czy łaje, czy prosi, zawsze jest bardzo zajmującą, choć znajomą już z *Pamiątek Soplicy,* osobistością. Czarującą jest Swentyna. »Typ odwieczny, a zawsze nowo pojmowany przez samych największych mistrzów, zawsze zajmujący, czy to Preciosa Cerwantesa, czy Mignon Goethego, czy Fenella Walter Scotta, czy Esmeralda Wiktora Hugo; ale niema ziemi, gdzieby podobny utwór mógł odbijać poetyczniej, aniżeli w ojczyźnie Rusałek, na tle Ukrainy«. Ten język, taki naiwny, a taki czarodziejski, zdaje się być jakby stworzonym dla podobnych istot. Szkoda wielka, że autor, tak umiejący zadowolnić »ogólnym rysunkiem« swoich postaci, nie zawsze potrafi zaspokoić »w żywych dramatycznych scenach«, gdzie chodzi o akcyę wspólną, o grupowanie osób, kiedy się gromadzą w jednem miejscu. W ogóle nie posiadamy dramatycznego talentu; nasze dramaty są zawsze kulawe. Czemu? Może dlatego, że naszemu życiu »zbywa na pewnej spójni, na pewnym rządzie, na pewnej porządkowej myśli«, pomimo, że przeszłość nasza nie jest ubogą w charaktery i wypadki. Ten brak przebija w najdrobniejszych scenach, jakie usiłujemy nakreślić. Przykładem Słowacki, u którego, pomimo »potęgi pojedynczego rysunku i kolorów«, gdziekolwiek kilka osób zejdzie się razem, z każdej grupy zawsze się odzywa jakieś nieznośne *veto,* choćby te osoby ściskały się, ba, całowały. Czuje to Słowacki, kiedy podobne sceny skraca, kiedy się ślizga po nich, i kiedy, pod pozorem ironii i żartu, które mu w *Beniowskim* wielce pomagają do takich przemykań się, stara się o ile możności jaknajprędzej wysunąć się na pole opisów lub liryzmu: dopiero wtedy zdaje się oddychać pełną piersią, dopiero wtedy mści się za chwilową niewolę i, coraz świetniejsze zataczając koła, błyszczy całą swobodą swego ducha, najwspanialszą rozmaitością barw. Tak np. scena, kiedy konfederaci wpadają do zamku starosty, tyle mająca sytuacyi szczęśliwych i doskonale pomyślanych, wydaje się tylko

»jakimś ściekiem i natłokiem bogactw dramatycznych«; autor, ledwo naszkicował ten obraz, zaraz porzuca go, bierzy dalej. Ta szkicowość, te niedomówienia, te »same muśnięcia przedmiotu« są główną wadą poematu, zdaniem krytyka; bo nie chodzi o to, żeby każda scena była tak wyczerpana i wyciągnięta, iżby nic nie pozostawało do wypełnienia sercem i wyobraźnią czytelnika; ale chodzi o to, że obraz musi być pełnym o tyle, ażeby go nikt nie mógł przyswoić sobie albo weń wetknąć palca. Pod tym względem *Ojciec Zadżumionych* np. jest opowiadaniem dziwnej pełności, pomimo, iż prawdopodobnie bez intencyi piszącego, cokolwiek przypomina zamurowanego Ugolina. »Zdaje się, iż nie ma przedmiotu, z któregoby wieszcz nie korzystał, ani uczucia, któregoby nie namalował. Ten żal, tak głębokiej i rozdzierającej prawdy, jaki między ojcem i matką podobny był — do nienawiści, jest nadzwyczajnem oświeceniem tego okropnego obrazu, który tak szczęśliwie zamyka«. To samo da się powiedzieć o tej głowie starego wielbłąda, zaglądającego do wnętrza namiotu, a patrzącego tak litośnie jakoś, że bezdzietny i owdowiały Arab rozpłakał się po raz pierwszy. To są obrazy nadzwyczajnej »pełności«, świetne, jako obserwacya i rysy charakterystyczne; takich obrazów, gdyby się w *Beniowskim* znalazło kilka, oddałyby mu niesłychaną usługę.

Pod względem religijnym, konstatuje krytyk, jest autor *Beniowskiego* »nie wielki orthodoxus«. Myliłby się jednak, zdaniem krytyka, ktoby przypuszczał, że koterya *Dziennika narodowego* oburzyła się na niego za jego panteizm; albowiem zgrzeszył bardziej

> przeciwko tej niegodziwej tendencyi, która, chytrze maskując się wiarą ojców, tak haniebną i bolesną wywołuje walkę, wystawia na sztych, co sama zdaje się uważać za święte, i codziennie najniegodziwszą ze wszystkich popełnia symonię. Haniebny ten wymysł obcego legitymizmu, co chwila zadaje jej kłamstwo, i niejedno może spokojne zakłócił sumienie, i niejednej łzy tajemnej stał się może przyczyną. Wielkiemi słowami wojują przeciw panteizmowi, a sami nim przesiąkli, na nim wyhodowali cały swój katolicki intellektualizm, na jego tle posklejali, cokolwiek im pozostało z lat dziecinnych w pamięci, cokolwiek ateuszostwem długiem zatarte nie zostało, i co tylko w obcych wygrzebać mogli książkach: w Polsce, obok monarchiczno-konstytucyjnych pojęć, niewiarą tą żywili swój ciasny liberalizm. Próżno się zatem jej wypierają, daremnie biją się w piersi: z swych zaschłych serc jej nie wytłuką; wystawia ona rogi, ile razy chcą tłómaczyć swą katolicką budowę, lub usprawiedliwić się sami.
>
> W niewinnym żarcie Słowackiego, kiedy recytuje swe *credo*, niema zniewagi dla religii...

Mówiąc o innych uczuciach, odzywających się w *Beniowskim*, niepodobna, zdaniem krytyka, przemilczeć o mi-

łości, która wśród swawolnego poematu »nieszklanemi odzywa się rysami«, zawsze i wszędzie kreślona językiem silnym i skromnym: prosta i ufna w Anieli, dziksza i fantastyczniejsza w Swentynie, wyniosła i religijna w uczuciach osobistych poety, nie przechodzi granic przyzwoitości; kiedy mówi o Wandach, grających w zielone, i Małgosiach, przyzywających roje zakochanych studentów, wszędzie ma polskie narodowe rysy, które do serc naszych mocno przemawiają. Są to obrazy, »cokolwiek różne od tego, jaki nam raz pokazało pewne pisemko owej *Królowej lokajów*, pisemko jednak, które sobie rości prawo do większej pobożności, aniżeli Juliusz Słowacki.

Ale ta replika na artykuł *Dziennika narodowego*, wydrukowana w *Demokracie polskim*, choć była pierwszym głosem, stanowczo stającym w obronie Słowackiego, to nie była ostatnim. Istniało jeszcze trzecie stronnictwo emigracyjne, które także uważało sobie za obowiązek, wobec znamiennych artykułów dwóch pomienionych pism, wystąpić — ze swojego punktu widzenia — z artykułem o *Beniowskim*: to stronnictwo Czartoryskich, którego organem był *Trzeci Maj*. Jakoż pojawił się o *Beniowskim* artykuł i w *Trzecim Maju*, napisany przez Wacława Jabłonowskiego, a napisany ze szczerym entuzyazmem dla Słowackiego w ogóle, a dla *Beniowskiego* w szczególności; przytem nie wolny od pewnego uprzedzenia na niekorzyść Mickiewicza, a pełen pogardy dla jego literacko-politycznej koteryi. Artykuł ten, wydrukowany w *Trzecim Maju* z d. 5 października 1841 r. na str. 266, w dziale *Rozmaitości*, był wymowną i gorącą rehabilitacyą Słowackiego, głównie przeznaczony na to, ażeby go oczyścić z niegodnych insynuacyi i niesprawiedliwych zarzutów *Dziennika narodowego*, którego artykuł Koźmianowski, zdaje się jaknajgorsze uczynił wrażenie w emigracyi. Napisany z »jezuickiem miłosierdziem« molierowskiego Świętoszka, oburzył nie tylko zagorzałych demokratów i republikanów, których program polityczny *Beniowskiego* musiał zadawalniać w najwyższym stopniu, ale i konserwatywnych monarchistów, zgrupowanych koło księcia Adama, choć ci musieli być dotknięci niektóremi strofami *Beniowskiego* o arystokracyi. Mimo to uważali, że artykuł *Dziennika narodowego* był wielką niesprawiedliwością i krzywdą, wyrządzoną Słowackiemu, krzywdą, którą należało wytknąć i napiętnować.

Swoją recenzyę o *Beniowskim*, obszerniejszą jeszcze, aniżeli artykuły Koźmiana i *Demokraty polskiego*, zaczął Wacław Jabłonowski — od siebie. Zanim przystąpił do opo-

koteryi. Gdyby Słowacki należał do tej samej koteryi, jego stosunek do Mickiewicza, a raczej Mickiewicza do niego, byłby inny całkiem. Mickiewicz chciał, żeby i Słowacki poszedł tą drogą, którą szedł on i jego towarzysze. Tymczasem Słowacki nie chciał pójść tą drogą: uważał, że jest »kłamną«, że ta droga prowadzi na manowce. I zdaje się, że miał słuszność. To jest klucz do rozwiązania tej bolesnej zagadki, którą są wieczne zatargi Słowackiego z Mickiewiczem. Mickiewicz, kiedy w swoich wykładach w *Collège de France* nie wspomniał o Słowackim, powodował się względami koteryjnemi, jak się powodował względami koteryjnemi, kiedy np. »wielkiem wysileniem i pracą dźwigał Kajsiewicza«. Jak można było, mówiąc o Kajsiewiczu nawet, jako poecie (bo Kajsiewicz-kaznodzieja dopiero się w Rzymie kształcił o tym czasie na emigracyjnego Skargę), a nie wspomnieć o poecie tej miary, co Słowacki?! Bo Kajsiewicz należał do tej samej koteryi, co profesor literatury słowiańskiej, a Słowacki nazywał tę koteryę »Arkadyą, gdzie Jezuici są barankami«. To było źródło wszystkich nieporozumień. Można być pewnym, że gdyby Mickiewicz nie należał do koteryi *Dziennika narodowego,* Wrotnowski, który redagował to pismo, nie drukowałby w niem *in extenso* wszystkich prelekcyi Mickiewicza, tak, jak skwapliwie wydrukował artykuł Koźmiana o *Beniowskim* (o którym płatnego ogłoszenia wydrukować nie chciał), artykuł, który także był podyktowany czysto koteryjnemi względami. Co prawda, przyznać należy, że *Beniowski* był głównie wymierzony przeciwko *tej* koteryi, nie dziw więc, że z tej strony sąd o nim wypadł niesprawiedliwie. *Hier liegt der Hund begraben.*

Ten wzgląd jednak, że zarówno Mickiewicz, jak Zaleski, Witwicki, Ludwik Plater, Eust. Januszkiewicz i inni, nie potrafili się wznieść po nad swój koteryjny punkt widzenia, sprawił, że Słowackiego nie chcieli uznać, choć mu nie odmawiali talentu (bo mu go odmówić nie mogli), i że po za obrębem tej jednej koteryi (która go nawet »kąsała bezimiennie» po pismach) budziła się reakcya na korzyść Słowackiego. Objawem tej reakcyi, która po wyjściu Koźmianowskiej krytyki *Beniowskiego* musiała się stać silniejszą jeszcze, były krytyki tego poematu, które ogłosiły *Demokrata polski* i *Trzeci Maj.* Możnaby powiedzieć, że w tej nieboskiej komedyi, jaka się rozegrała z powodu *Beniowskiego,* Pankracy i hrabia Henryk znaleźli jeden punkt wspólny, na którym się nie różnili w zdaniach, i idąc ręka w rękę, zaprotestowali przeciwko artykułowi *Dziennika narodowego.* Protest Pankracego, który poetą nie był,

więcej przemawiał do rozumu; protest hrabiego Henryka, który poetą był przedewszystkiem, więcej przemawiał do uczucia.

Oto dalszy ciąg tego protestu: »Autor *Beniowskiego* prawdziwie wielkim jest poetą«. Dotychczas nie zstępował z wysokości tajemniczych obłoków, w których bujały jego poprzednie poematy, a za którymi »wielkość Jego ducha i dążności« zgadywali tylko ludzie wyższych zdolności i czucia. Poeta ciskał był, a ciskał napróżno, niestety! mistrzowskiemi kwiatami najcudowniejszej barwy, gmin jednak, niewdzięczny i niezdolny do podobnych wzlotów, podnosząc te kwiaty, pytał się, szydząc: »Z jakiego świata są te chwasty?« i, bezrozumny, ciskał je — na śmiecie! Ale »z nasion, co się wysypią z kielicha twych kwiatów, Juliuszu, wzrosną bujne, czarodziejskiej siły, drzewa, pod których cieniem spoczywać, których wonią poić się, jak nektarem niebios, będą przyszłe pokolenia Polski!« Tymczasem dzisiaj już, zstąpiwszy z wysokości swych poprzednich poematów do form prostej powieści, do uosobień dotykalnych, realistycznych, zrozumiałych dla mas, Juliusz Słowacki, zdaniem krytyka, wyrósł nagle na ogromnego olbrzyma, silną stopą wspartego o piękne fantastyczne charaktery, żywo wyjęte z koła społeczności polskiej, ze wszystkiemi odcieniami jej, formami i czysto narodowym kolorytem. Tutaj powołał się Jabłonowski na Krasińskiego *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, podkreślając odśrodkowość jego poezyi dotychczasowej, której ostatnią fazą był *Beniowski*, wyobrażający usiłowanie polskiej duszy i czysto narodowych instynktów uwolnienia się z więzów form i idei cudzoziemskich. W przekonaniu krytyka bowiem »*nikt* szczęśliwiej nie uchwycił charakteru, dykcyi, kolorytu, obrotu myśli i czucia narodu Polskiego, jak J. Słowacki w *Beniowskim*. X. Marek, Beniowski, Starosta, Aniela, każdym wyrzeczonym wyrazem przenoszą nas do Polski.

»Za każdym obrazem, w który się autorowi wkleić ich podobało, pod wpływem żywej pamięci i głębokiej znajomości życia narodowego, czuję i widzę, że to Polak stoi, że to Polak mówi, co ni Szyllera, ni Hugona, ni Szekspira nie liznął, ale czysto wylazł z pod strzechy szlacheckiej lepianki, nie zwiedził obcych krajów, nie miał czasu przejąć się obcemi formami i ideami, ale polskim kształtem, myśli, zwrotów i uczuć, nakarmił się. Jak w każdej osobie, wyprowadzonej na scenę poematu, tak w każdej odosobnionej myśli i wyrażeniu autora, taż sama dążność, taż sama cecha narodowości, i jej silna, nieustanna, gwałtowna walka z cudzoziemczyzną: czy to w formie ironii, czy w głębokiej passyi, czy w pojmowaniu rzeczy i idei«.

Z kolei następował zwrot, wymownie świadczący, że ta krytyka Jabłonowskiego była objawem reakcyi prze-

ciwko artykułowi Koźmiana, gdyż, jak każdy objaw reakcyi, szła za daleko, popadła w ostateczność, traciła miarę i bezstronność sądu. Krytyk, broniąc Słowackiego przeciw Mickiewiczowi i jego koteryi, zagalopował się tak, że *in der Hitze des Gefechtes* zaczął obniżać literalnie zasługi Mickiewicza, przyznając — pod wieloma względami — wyższność nad nim Słowackiemu. Tego ostatniego styl ucinkowy w *Beniowskim* i gwałtowna siła różnobarwnego uczucia nie podobają się w pierwszej chwili, są jakby »przypomnieniem karczmy«. Czemu? Bo jesteśmy przyzwyczajeni »do sunących się gładko do ucha strof, myśli i wyrażeń Mickiewicza i jego naśladowców, strof i myśli, równo dźwięczących z harmonią form i czucia obcych poezyi, na które przez nałóg już samego wychowania zwraca się każdy czytający Polak«. Po tych słowach, które nie są bezstronne, następowała paralela pomiędzy *Beniowskim* a — *Panem Tadeuszem*, paralela, w której przyznano wyższość *Beniowskiemu*. Ażeby się poznać na prawdziwych pięknościach tego poematu, należy go najprzód przeczytać kilkakrotnie; przy każdem czytaniu wtedy, powiada krytyk, coraz więcej nowych, przedtem niedostrzeżonych wynajdzie się piękności (pod tym względem ma Jabłonowski najzupełniejszą słuszność); ucho przyzwyczaja się do szorstkiej szlachetności harmonii, umysł zaś — do głębszego i szybszego obejmowania błyskawicowych a różnobarwnych myśli, które, z szybkością i siłą pioruna, jedne po drugich, nagle, gwałtownie, coraz rozmaiciej, w coraz inne miejsca uderzając czucia czytelnika, dają się im rozpłomienić, nie rozkwilić. Poczem na dowód niby, że poezye Mickiewicza nie rozpłomieniają uczuć, lecz rozkwilają je (krytyk musiał oddawna nie czytać poezyi Mickiewicza!), następowała rada dla czytelników, ażeby bezpośrednio po odczytaniu *Beniowskiego* wzięli do ręki *Pana Tadeusza*. Wtedy dopiero »ta głośna epopeja narodu Polskiego« ukazuje się w swojej właściwej barwie, i naodwrót; dopiero wtedy występują »zachwycające barwy« *Beniowskiego*. A wniosek z tego zestawienia: że *Pana Tadeusza* mógł niekoniecznie Polak napisać, ale i cudzoziemiec »dobrze znający zewnętrzne formy życia i charakteru polskiego«; byle umiał pisać po polsku. W takich warunkach mógłby *Pan Tadeusz* — zdaniem krytyka — być napisany i przez obcego poetę »gdzieś w buduarze paryskim, w Berlinie, czy Edymburgu«.

»Niech tego nikt nie bierze za ujmę wartości poematu i poety; jest to tylko oznaką fałszywej, zgubnej, zakorzenionej dążności umysłowej narodu polskiego ku cudzoziemczyźnie, objawiającej się nawet w duchu artystycznym jednego z największych pisarzy i poetów naszego narodu,

i wieku, w którym żyjemy. Bo gdzie w *Panu Tadeuszu* znajdziesz tę polską szlachecką duszę, co w każdej myśli, w każdym zwrocie mowy, w każdej osobie poematu *Beniowski* ciągle wyjawia się, ciągle wre i kipi?«

Gdzie? Wszędzie: w każdym wierszu, w każdem słowie poematu.

»Znajdziesz tam zimne(!), piękne posągi mowy i czucia, ulane na formę bóstw niemieckich lub angielskich i lekko gdzieniegdzie okrytych, to rogatą czapką, to jednym butem czerwonym; ale gdzie znajdziesz tam tę duszę tęgą, że tak powiem, chwacką, t. j. silną a wesołą, dziką i fantastyczną, pełną prostoty a zarazem głębokiego czucia wszelkich odcieni, duszę naszych Ojców, dla której plastyczne uczucia piękności form cudzoziemskich, narzucane siłą narodowi w każdej chwili wahania się jego w wyborze drogi ku postępowi, były ogromnemi cięgami, które zagłuszyły życie i byt narodu«.

W dalszym ciągu była polemika z *Dziennikiem narodowym*, który *Beniowskiego* nazwał zwykłem naśladowaniem *Don Juana*, niedorównywającem pierwowzorowi. Zdaniem Jabłonowskiego nie było w tem orzeczeniu Koźmiana ani słowa racyi, choć było dużo złej woli.

»Zarzucają Słowackiemu jego ironię i passyę. Jego ironię nazwano naśladownictwem, cieniem *Don Juana* angielskiego, jego passyę — nikczemnem uczuciem, ciasną próżnością: sąd niczem nie usprawiedliwiony, dosyć nagannej lekkomyślności i powierzchownego uważania rzeczy. *Beniowski* nie jest cieniem *Don Juana*, jak się wyraża *Dziennik narodowy*, ani ironia Słowackiego nie jest naśladowaniem Byrona: inne zupełnie jest jej źródło, inna cecha i zupełnie inne formy. Nasycenie uciechami ziemskiemi, duma umysłu, rzucającego się na wszystko, co wyższe, nad nim i nad światem zmysłowym unosi się, przytem duma urodzenia i położenia socyalnego, ztąd pogarda wszystkiego, co nie on, co nie jego fantastycznego kaprysu ulubieńcem: oto źródło ironii Byrona. Cierpienia serca, pełnego najwznioślejszych uczuć, na widok nieszczęść niezasłużonych, osobistych, na widok niedorzeczności i błędów, które je sprowadziły, bezskutecznie tłumione siłą męzkości i dowcipu: oto źródło ironii Słowackiego. Cechą ironii Byrona jest odepchnięcie silne wszystkich tkliwych uczuć serca, wystawienie w szczytnych kolorach i olbrzymich rozmiarach, uderzających imaginacyę czytającego: zepsucia i złych instynktów!!! W Słowackim najtkliwsze czucie piękności moralnej, politycznej, form zewnętrznych, spoczywa na dnie każdego sarkazmu, którego ostateczną i jedyną cechą jest usiłowanie przeniesienia uczucia piękności z jednych idei na drugie. Ironia Byrona wydobywa nam mimowolnie z piersi śmiech piekielnego zepsucia duszy; w Słowackim przymusza serce, że tak powiem, dowodzić w sobie uczuć cnoty i piękności. Duch ironii Byrona skierowany jest i obejmuje moralną istotę człowieka; duch ironii Słowackiego obejmuje naród. Byron jest filozofem; Słowacki — politykiem. Byrona ironia jest dumniejsza, bo skierowana ku Bogu — w najpiękniejszym jego utworze — Słowackiego większa, bo twórcza. Byron, jako duch ciemnoty, stara się zabić duszę; Słowacki usiłuje tworzyć naród. Cóż dopiero, jeśli porównamy formy, cechy ironii Słowackiego z formą ironii Byrona! Ironia Słowackiego to szkolne, to obozowe przekąsy, to żarty szlacheckiego stołu. A ironia Byrona? Gdzież może być najmniejsze podobieństwo pomiędzy tak różnolicemi charakterami tych dwóch poetów? A bez podobieństwa, gdzież jest naśladownictwo?! Gdzież *Dziennik na-*

rodowy znalazł podobieństwo, między *Don Juanem* a *Beniowskim?!* Czy w osobach poematów? O! to byłoby zbytkiem śmieszności!

Dziennik narodowy zarzuca Słowackiemu jego passyę i osobistość, które nazywa ciasną próżnością. Współzawodnictwo najgwałtowniejszego charakteru, byle otwarte, byle niepodstępne, jest szlachetne, jest oznaką siły, bodźcem wielkich dzieł i czynów, towarzyszem wszystkich ludzi wielkich: po skończonej walce dopiero może przybrać kolory nikczemnej zemsty lub wielkości szlachetnego tryumfu; ciasną zaś próżnością może być tylko przy nikczemności celu i małości współzawodnika. Słowacki walczy i uderza na Mickiewicza. Wielkie i piękne współzawodnictwo! Uderza go otwarcie, szlachetnie, potężnie i wzniośle...«

Potem następowała trochę bombastyczna apostrofa, naszpikowana takiemi wyrażeniami, jak »małe serca«, »potępiający bez logiki«, »pycha podłego w swej małości«, »brak siły ducha« etc.

»Ja kocham i podziwiam silną passyę, co w Słowackim ciągle się odbija; boleję nad cierpieniami tego pięknego, silnego serca! Biedne serce! Co ono cierpieć, co czuć musi! Serce wybrane na męczeństwo... zdolne wytrzymać burze i gorące jady«,

które w *Beniowskim* »wychyliło się ognistym deszczem mowy«, ażeby »pożreć wszystko, co złe, śmieszne i podłe«, a z którego »nietknięte i całe, wyjdzie wszystko co święte, co prawda«.

Taką, w przekonaniu Wacława Jabłonowskiego, była misya autora *Anhellego;* co nie miało znaczyć bynajmniej, ażeby tylko Słowacki miał jakąś misyę od Boga. Wszyscy ludzie mają, zdaniem krytyka, do spełnienia jakąś misyę, wszyscy, nawet stronnictwo *Dziennika narodowego.* Jaką misyę? Z odpowiedzi, którą na to pytanie daje krytyk *Trzeciego Maja,* nie mogli być bogobojni stronnicy *Dziennika narodowego* bardzo zadowoleni; misya bowiem, którą im Bóg do pełnienia na tej ziemi przeznaczył, nie należała do zaszczytnych. »Ludzie, których misyą, może daną od Boga, jest *zaprawiać dalej serce Słowackiego goryczą,* nie omieszkali starać się *Beniowskiemu* ująć jego najpiękniejszych zalet. I tak, po zarzuceniu mu naśladownictwa, *Dziennik narodowy* widzi w X. Marku, w jednej z najwspanialszych scen poematu, »żaka z psotą skradającego się«, tego X. Marka, który jest do ostatka »jednoštajnie piękną i cudną, czysto-narodową, szlachecko-chwacką postacią, żywym obrazem i typem charakteru i cnót naszego duchowieństwa«. Przytoczywszy tę scenę *in extenso,* krytyk zapytywał Koźmiana: »Gdzież tu jest coś, coby jakikolwiek cień żakowskiej psoty na myśl czytelnika przywodzić mogło? jak myśl podobną zrodzić może tajemniczo i nagle ukazująca się surowa i cicha postać Karmelity?« Niemniejsze oburzenie wywołuje w krytyku *Trzeciego Maja*

faryzeuszowskie potępienie przez *Dziennik narodowy* ironii wyznania wiary Słowackiego, owego *credo* z 5-ej pieśni *Beniowskiego*, które Koźmian nazwał »parodyą **Wierzę w Boga**«, a które, zdaniem Jabłonowskiego, »ani parodyą myśli, ani parodyą formy świętej modlitwy naszych Ojców« nie jest. »Ironia jest tylko przywiązana do myśli, niemającej najmniejszego związku ani podobieństwa z *myślą* modlitwy, której *formę tylko* pożyczył autor«. Cokolwiekbądź, »jeżeli jest w tej pożyczce coś, coby obrażać mogło zapał religijny *Dziennika narodowego*, to powinien to przewinienie łacno przebaczyć poecie, który *o jeden wiersz niżej* tak szczytnie i pięknie mówi o uczuciu istności Boga i Jego wielkości«. I tu następowała długa cytata słynnego ustępu, zaczynającego się od słów:

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy!
itd. itd.

Charakterystyczne było zakończenie tej apologii, w której autor, zanim się zwrócił do poety samego, wyraził aspiracye tych, »których aspiracyą, daną od Boga, było: dalej zaprawiać serce Słowackiego goryczą«. »O! ci panowie chcieliby, ażeby Polska i jej narodowi wieszcze, byli jak owa niewiasta, co obłąkana chodzi pomiędzy trupami swoich własnych dzieci.., wycieńczona głodem, okryta łachmanami, sine usta umiliwszy udanym uśmiechem, i tańcząc, śpiewa czułe sonety i rozwiązłe pieśni«; ażeby poeci »na wyższe tony nastroiwszy lutnie, wyniosłym hymnem opiewali głupców... albo podłych... O nie! Ty, Juliuszu, ty bądź ognistym deszczem, co ducha i nasze instynkta narodowe obmyje z plugastwa cudzoziemczyzny i brzydkich narośli płaczliwego romantyzmu, który, wśród słodkiej harmonii, mile usypiając duszę, ostatnie iskry siły i męzkości zagniata! Ty smagaj, tnij bez litości! Śmieszności, nagromadzone głupiem naśladownictwem, wytępiaj bez miłosierdzia!

W taki sposób ujął się za Słowackim *Trzeci Maj*. Co dziwniejsza, to, że się ujął za nim i Ropelewski, ten sam, który się miał pojedynkować z poetą, a który przed dwoma laty w *Młodej Polsce* wystąpił z krytyką *Balladyny*. On, który w czerwcu, podjudzony przez swoich przyjaciół-litwinów, znalazł w *Beniowskim* powód do pojedynku ze Słowackim, teraz, po upływie paru miesięcy zaledwie, w przedmowie do drugiego wydania *Pamiątek Soplicy*, napisał o tymże *Beniowskim*, inkryminowanym przez całe stronnictwo litewskie i katolickie, co następuje: »Któż nam odda Pana Puławskiego w zupełnym blasku? Rulhière zaczął

tę figurę uczenie, w wielkim stylu, ale śmierć przerwała mu robotę. Pan Soplica dotknął jej nieśmiało. Gdyby Juliusz Słowacki wyzwolił swojego *Beniowskiego* ze wspomnień Don Juanowych, i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie osnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał jej zasnąć z Juvenalisem i Byronem, możeby jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich. W pierwszych pieśniach poematu *Beniowski*, wśród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epicznem. To powołanie widne już w pierwszych powieściach, gdzie młodość autora wystąpiła przebrana w dojrzalsze i urobione formy, w *Beniowskim* się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezyi«.

W swoim »feljetonie« o *Nocy letniej* Krasińskiego, drukowanym w *Trzecim Maju*, wyraził się Słowacki, że miałby może o tym poemacie więcej do powiedzenia, ale nie pisze dłużej, gdyż pragnie się zastosować do miejsca, pożyczonego mu »*w obcym zupełnie dla mnie* dzienniku«. A jednak, chociaż mu *Trzeci Maj* wydawał się obcym zupełnie (ze względu na tendencyę polityczną, której Słowacki nie podzielał) było to pismo, ze wszystkich pism emigracyjnych najżyczliwiej dla autora *Beniowskiego* usposobione. Ono wydrukowało jego odpowiedź na *Improwizatorów;* ono się najwymowniej ujęło za nim po Koźmianowskiej krytyce *Beniowskiego*, i ono też, kiedy po wyjściu *Beniowskiego* zrobiło się o Słowackim wśród emigracyi głośno, kiedy go nawet Bohdan Zaleski nie zawahał się nazwać *znamienitym pisarzem*, było tem pismem, które z największą życzliwością dla poety starało się między czytelnikami swoimi popularyzować jego nazwisko. Ztąd wzmianek o Słowackim, dłuższych lub krótszych, od czasu pojawienia się *Beniowskiego*, nie brakło przez cały rok 1841 w *Trzecim Maju*. W dzisiejszym dziennikarskim żargonie nazywałoby się to, że mu *robiono reklamę* (na złość *Dziennikowi narodowemu* i tym wszystkim, co życzyli sobie, ażeby o Słowackim pisano jaknajmniej). Oto np., jedna z tych wzmianek o nim, pomieszczona w feljetonie numeru z dnia 11 września (1841 r. str. 147) z powodu świeżo wydanego wizerunku poety, rylca najznakomitszego z ówczesnych rytowników europejskich, Wł. Oleszczyńskiego. Autorem tego artykułu jest zdaje się ten sam Wacław Jabłonowski, który pisał (w miesiąc później) o *Beniowskim*.

Serce unosi się na widok pięknych dzieł talentu. Z ich rzędu jest medalion Juliusza Słowackiego, roboty Władysława Oleszczyńskiego, na

sam rzut oka uderzający podobieństwem »wykapanem«, wprawnością dłuta, wdziękiem wykończenia. Dobrze, że dłuto polskie zaprawia się na przedmiotach polskich; jeszcze lepiej, że tym przedmiotem jest współczesna illustracya. Ceńmy, jak należy, co własne, a oduczym się za lada potrzebą udawać się do cudzych bogów: dla wielkości Narodowych staną wielcy w każdym zawodzie.

Z siedmiocalowej tarczy wystaje pełno-wypukły profil Słowackiego, ze wszystkiemi charakterami, cechującemi tę niepospolitą głowę. Widzisz je w dziwnem ścięciu korony głowy; w natężonem, ogniem pałającem oku; w wardze dolnej, pełnej skargi i niesmaku dla świata; w rozdętym, dziką energią tchnącym nosie; w czole wyniosłem, obarczonem myślami, a swoim ciężarem, rzekłbyś, naciskającem oczy. Oblicze zionie surową pogodą i otwartością, jaka znamionuje dusze wyższe, zawzięte, lecz szlachetne. Myśl — jakaś mgła posępna — surowość, toż pogoda, duch żywy, naprzemian wyglądają z tej pięknej, obrobionej miłością snycerską, *zidealizowanej* twarzy.

Medalion, ceniony, jako dzieło sztuki, jest pełen celujących zalet. Rys każdy, szczęśliwie schwycony, starannie, gładko, ze skrupulatnym względem na całość i harmonię oddany; włosy odrobione kunsztownie, najwyraźniej zastępują miejsce wieńca: tyle w nie wcielono pracy, smaku i ozdoby, w niczem nie oddalając się od wzoru. Słowem, najdrobniejsze szczegóły odpowiadają sobie nawzajem z dokładnością zupełną; przeto zlewają się w jedną całość, nalaną prawdą, życiem, nawet idealnością: rzekłbyś, medalion powstał za jednem, potężnem, miłosnem tchnieniem snycerza.

Raz jeszcze: serce raduje się: to talent czarowny, bo czaruje, a tak pewny. Z serca p. Oleszczyńskiemu winszujemy tej roboty. Jest czego i Słowackiemu winszować. Dłuto schwyciło jego rysy w najpiękniejszej porze życia poety; w 31-m roku tętno życia bije najmocniej i najwydatniej. Korzystając ze zręczności, piszemy, że Juliusz Słowacki urodził się d. 23 sierpnia 1809 roku.

Tak pisano w *Trzecim Maju* d. 11 września. Za dowód jednak, w jak wysokim stopniu wzrosło zainteresowanie się Słowackim po wyjściu *Beniowskiego,* może posłużyć ten znamienny fakt, że nigdy tyle, co w tym czasie, nie był poeta zmuszony różnym artystom pozować do swoich wizerunków. Gdyby sława jego, dotychczas niewielka, nie wzrastała raptownie, z pewnością nie znalazłby się w takiej sytuacyi, żeby pozować dwom artystom naraz, żeby dwa wizerunki jego, wykonane przez pierwszorzędne siły artystyczne, zostały wydane jednocześnie. A tak było teraz, w ciągu tego lata 1841 roku. Ledwo zdołano w *Trzecim Maju* opisać portret poety, wykonany rylcem Oleszczyńskiego, już we dwa tygodnie potem, d. 21 września, czytelnicy *Trzeciego Maja* spotkali się w rubryce »Wiadomości rozmaitych« (na str. 158) z następującą nowiną: »Wyszedł portret Juliusza Słowackiego, z talentem wykonany przez naszego rodaka J. Kurowskiego. Podobieństwo jest uderzające, równie co do rysów, jak co do silnego wyrazu twarzy. Portret ten przerobionym jest na miedź znakomitym rylcem Pana Hopp-wood«. W miesiąc później, w nu-

merze z dnia 26 października (str. 181) podał znowu *Trzeci Maj* następującą wiadomość: »P. J. Kurowski wydał zbiór swych rycin, pod tytułem: *Souvenir de la Pologne.* W zbiorze tym znajduje się kilka portretów, między innemi: Kościuszki, Klaudyi Potockiej i Juliusza Słowackiego«. Każdy musiał przyznać, że nie znajdował się tu Słowacki w złem towarzystwie. Podobnej kompanii mogli mu »Litwini« śmiało pozazdrościć; zwłaszcza, że było niemałym zaszczytem mieć swój portret-staloryt, cięty rylcem Hopp-wooda, największej znakomitości ówczesnej na polu stalorytnictwa. Tylko najznakomitsze jednostki dostępowały tego zaszczytu. Słowacki mógł być dumny z tego, a z pewnością musiał się cieszyć, kiedy w dziennikach czytał wzmianki o tym portrecie. Swoją drogą musiał się zdziwić niepomału, kiedy wiadomość o nim wyczytał nawet w *Dzienniku narodowym,* choć w tym dzienniku nie lubiano rozgłaszać jego nazwiska. Mimo to, w Nr. 24 z dnia 11 września 1841 r., a co dziwniejsze, że na tej samej str. 96, na której był wydrukowany znamienny wiersz Mickiewicza *Do Bohdana Zaleskiego:* »Słowiczku mój, a leć, a piej...« (datowany dnia 10 sierpnia 1841 roku), w rubryce »Wiadomości i doniesień« znajdowała się następująca informacya: »Wyszedł z pod rylca sławnego Hopp-wood portret jednego z poetów naszych, Juliusza Słowackiego, rysowany przez J. Kurowskiego. Podobieństwo, czysty rysunek i piękne wykonanie na stali, zdaniem znawców, zalecają tę robotę«.

V.

Tymczasem upłynęło lato, miesiące lipiec i sierpień, które poeta spędził w Paryżu, nie bacząc na upały. Swoją drogą niezupełnie dobrze wyszedł na tem, że się na ten czas nie wydalił na świeże powietrze, gdyż zapadł na grypę, która go »na trzy dni położyła między kołdrami«, to znaczy, że musiał parę dni przeleżeć w łóżku. O ile był zdrów, najwięcej czasu, jak zwykle, przesiadywał w zadymionym lokalu klubu: zresztą pisał w dalszym ciągu *Beniowskiego,* a jest wielkie prawdopodobieństwo, że teraz właśnie, w przerwie pomiędzy ogłoszeniem pierwszych pięciu pieśni *Beniowskiego,* a pisaniem następnych (nad któremi pracował do końca życia) zaczął pisać dramat o *Beniowskim,* w rodzaju *Fausta.* Wszak sam powiedział niedawno, w pieśni drugiej swego aryostycznego poematu, że, pociągnąwszy hausta,

Jak się rozogni myśl, napiszę *Fausta*.

Cokolwiekbądź, w czerwcu jeszcze, w kilka dni po swym niedoszłym pojedynku z Ropelewskim, otrzymał z Rzymu list od Krasińskiego, będący, zdaje się, odpowiedzią na jego list, pisany na wyjezdnem do Frankfurtu. List zaczynał się od następujących słów: »Bóg jeden tylko dotyka się umarłych i wskrzesza ich; kto śmiertelny, ten galwanizuje ich tylko i sam się zabija. I ja tak zginąłem, i ty teraz w taki sposób omdlałeś«. Po tej uwadze, którą Krasiński wyraźnie pił do Słowackiego i pani Bobrowej, następował długi szereg uwag filozoficznych — w stylu Hegla — na temat, że »świat stoi sprzecznościami«, że »ironia gości w tem życiu«, bo ironia »to praktyka świata« itd. Dlatego szczęśliwi ci, co biją się w piersi i mówią: tu wiara i potęga jest; szczęśliwi, którzy lekkomyślności pełni; szczęśliwi, którzy miłością własną do purchawek podobni, bo nim pękną, dobrze im jest po wszystkie dni żywota, a gdy ich silniejsza noga roztrąci, już nie czują nic; szczęśliwi, którzy się kochają w koniach, powozach, powozikach, frakach, kamizelkach i infantkach hiszpańskich; szczęśliwi, głupcy i nikczemni wszelkiego gatunku, bo ich Królestwo ziemskie, a nam niebieskiego czekać trzeba. Kto wie, czy nadejdzie? A kiedy nadejdzie może, już nam odechce się jego, jak wszystkich długo żądanych rzeczy bez skutku«. Uwagi te, wykazujące całą nicość takiego »omdlenia« dla kobiety, a dowodzące Słowackiemu, że wówczas nawet, gdyby mu się »experyment« udał, jeszczeby to »niebo« rychło zamieniło się w piekło, uwagi te, niezaprzeczenie słuszne, jakkolwiek nie grzeszące absolutną bezinteresownością, zmierzały wszystkie, przez cały ciąg kilkustronnicowego listu do jednej konkluzyi, której streszczeniem była prawdziwie przyjacielska przestroga i rada: »Bądź zdrów, czem zdołasz, krzep się, i nie daj się«, czyli, innemi słowy, lepiejby było może, żebyś się starał rozgmatwać z tej miłosnej sieci. Jest to niebezpieczna gra, jakikolwiek obrót weźmie. Miłość, to labirynt, w którym nietrudno paść ofiarą krwiożerczego Minotaura, szczególniej, gdy nim jest kobieta, jak pani Bobrowa, nieszczęśliwa i już do pewnego stopnia umarła dla świata. Można wprawdzie »*kilka razy* przed ostatecznym końcem martwieć i odżywać na ziemi«, ale nie ulega wątpliwości, że każde zmartwychwstanie takie »coraz leniwsze, a sny, ospałość, smutki, coraz cięższe« (dla mężczyzny, który je dźwigać musi). Dlatego »szukaj żywych, Julu, z żywymi przestawaj: igrać nie można ze śmiercią«.

Był to ostatni list Krasińskiego, który Słowacki otrzy-

mał w swoich dwóch klateczkach jaskółczych przy *Rue Castellane Nr. 11.* Czy mu się sprzykrzyło tutaj? czy, jak każdy człowiek nerwowy, w ogóle lubił często zmieniać mieszkanie (od czasu, jak w roku 1839 przyjechał do Paryża, przeprowadzał się już po raz czwarty, czy piąty), dość, że się przeprowadził na *Rue de la ville l'Eveque 10 (bis).*

Sprowadziwszy się tu, w pierwszej połowie września mniej więcej, otrzymał z Poznania od redakcyi *Orędownika* (wydawanego pod redakcyą Józefa Łukaszewicza i Antoniego Poplińskiego), list z zaproszeniem do współpracownictwa, list, który był jednym dowodem więcej, jak się stanowisko jego, jako poety i pisarza, poprawiło po *Beniowskim:* zaczynał być pożądanym przez redakcye; artykuły jego, jak np. ów o *Nocy letniej,* poczęto przedrukowywać, pierwszy zaś, który dał przykład pod tym względem, był właśnie *Orędownik.* Było to pismo, które przedewszystkiem konkurowało z *Tygodnikiem literackim,* a że w tygodniku »poczciwego« Woykowskiego raz po raz pojawiały się złośliwe wycieczki przeciwko Słowackiemu, więc wystarczało to *Orędownikowi,* ażeby na złość *Tygodnikowi literackiemu* stanąć po stronie Słowackiego. Tem się tłumaczy, że w swoim czasie z taką skwapliwością przedrukował z *Trzeciego Maja* feljeton Słowackiego o *Nocy letniej,* bo nie należy zapominać, że w tym feljetonie dostało się i *Tygodnikowi literackiemu.* Teraz, kiedy nazwisko autora *Beniowskiego* było na ustach wszystkich, redakcya *Orędownika,* przysławszy mu cały egzemplarz swego pisma, zwróciła się do niego z prośbą, ażeby jej od czasu do czasu nadsyłał jaki literacki artykuł. Jakiej treści? Wszystko jedno. Pod tym względem dają mu najzupełniejszą *carte blanche.* Ta swoboda w wyborze tematu stała się szkopułem, o który się rozbiły Słowackiego stosunki z *Orędownikiem.* Poeta bowiem, mając absolutną swobodę pisania, o czem chciał, nadużył jej. Jakim sposobem? Oto napisał artykuł p. t. *Krytyka krytyki i literatury,* artykuł w formie »dziwnej komedyi, która mu się niby to przyśniła, a w której — nie mogąc zapomnieć artykułu o *Improwizatorach* — z całą »wściekłością tygrysią« napadł na redakcyę *Tygodnika literackiego,* na jego krytyków, z głowami zaczadzonemi ideami Hegla, i na poetów, jak E. Wasilewski i Fr. Żygliński, których genialno-szalone poezye drukował od paru lat Woykowski; że zaś w tych utworach drugo i trzeciorzędnych wierszopisów znać było przedewszystkiem wpływ Mickiewicza, więc się w tej »dziwnej komedyi« Słowackiego znalazło niemało złośliwych aluzyi do »Arcy-mistrza« Mickiewicza. Głównym bohaterem jednak, który najważniejszą rolę grał

w tej humorystyczno-karykaturalnej scenie, był sam Słowacki, wystający w niej, jako »Szekspir, obleczony w ciało słowiańskie. Mając możność napisania feljetonu, postanowił napisać feljeton — o sobie, choć sam sobie sprawę z tego zdawał doskonale że była to »zarozumiałość wielka«. Scena rozgrywała się w Poznaniu niby, w redakcyi *Orędownika*. Bohaterami byli: »Pan Or«, t. j. redaktor *Orędownika*, »Pan Tyg«, t. t. redaktor *Tygodnika literackiego*, »Szekspir«, czyli sam Słowacki, rysownik »Hogart«, przez którego należało rozumieć — zdaje się — malarza, J. Kurowskiego, i »Poeta«' reprezentujący ową plejadę ckliwo-sentymentalno-banalnych poetów poznańskich, którzy w tych czasach zadrukowywali swemi wierszami *Tygodnik literacki*. Figurami komicznemi, a raczej karykaturami, byli »Pan Tyg« i Poeta. Z nich śmiała się reszta bohaterów, a najbardziej Szekspir, wypowiadający własne myśli Słowackiego, bardzo charakterystyczne niekiedy, jak ta np.: »Do pism czasowych nigdy nie piszę, i nie pojmuję nawet, jak inni ludzie pisać mogą. Aby pisać trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacyi, rzecz rozwidniającą się stopniami, obszerną, jak świat, pełną ruchu i życia. A piszę bez żadnej idei. Rzecz stworzoną nazywam pomysłem, z pomysłu wynikają *naturalne* figury i charaktery, charaktery oddziaływają na pomysł. Jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, która to wszystko harmonizuje i jedną barwą oblewa. Tak np., że po napisaniu (ale *po* napisaniu, nie *przed*) dziwię się sam kolorytowi, który moje dzieło jedno od drugiego rozróżnia; a wytłómaczyć tego inaczej nie mogę, jak powiedziawszy wam, że mi się mój *!Sen nocy letniej* (świat fantastyczny w *Balladynie*) wydaje błękitnym i księżycowym, a np. *Makbeth* (sama akcya *Balladyny*) szarym i czerwonym obrazem«. Arcykomiczne były przesadne, napuszysto *próżne i dźwięczne deklamacye* Poety, w których Słowacki, ośmieszając *szkołę*, nie darował i samemu mistrzowi szkoły, Mickiewiczowi, wplatając do wierszy owego poety z obozu »Pana Tye«, bądź całe zdania, bądź luźne frazesy, wyrwane z różnych utworów autora *Ody do młodości*, czem oczywiście — jak powiada p. Erzepki — w najdotkliwszy sposób zamierzył dokuczyć autorskiej ambicyi swego antagonisty. To było powodem, że w tej »dziwnej«, a niesmacznej »komedyi«, cały szereg zdań i frazesów Mickiewiczowskich poszedł na pastwę szyderskiej igraszki Słowackiego«; że kiedy Poeta mówił: »I swoim *spróchniałym rdzeniem* świeci na me ideały«, to było to powtorzenie podobnego frazesu z 4-ej części *Dziadów*, gdzie pustelnik powiada o płomieniach, iż »błyszczą one, jak *rdzeni spró-*

chniałej światełka«; że kiedy Poeta mówił: »Ja co sercem patrzę w serce«, to było to złośliwą aluzyą do końcowych słów *Romantyczności* Mickiewicza: »Miej serce i patrzaj w serce«; że kiedy Poeta mówił: »Szalony, bo od *kolebki* musiał *walczyć z hydrą* przesądów«, to było to niedwuznaczną aluzyą do wiersza z *Ody do młodości:* »Dzieckiem *w kolebce,* kto łeb urwał *hydrze*«; że kiedy Poeta deklamował z szumnym patosem: »Szalony jestem, *włos mi się jeży*«, to było to przypomnieniem 4-ej części *Dziadów,* gdzie ksiądz mówi do Gustawa: »Ach, *włosy mi się jeżą, drżą* podemną nogi!«; że kiedy Poeta mówił: »Tylko mego serca *kły zagłębiam* w przesądów ciele«, to było to parodyowanie trzeciej części *Dziadów,* w której Konrad, śpiewając, powiada: »Komu tylko *zapuszczę kły* w duszę«; i że wreszcie, kiedy Poeta mówił: »Aż w słońce ducha wszystko na ziemię *zestrzelę*«, to było to jaskrawą aluzyą do wyrażenia Mickiewicza, użytego w *Odzie do młodości:* »*Zestrzelmy* myśli w jedno ognisko, I w jedno ognisko duchy!«

Artykuł ten, wysłany d. 22 września, z uprzejmym dopiskiem dla redakcyi *Orędownika* »do zupełnego rozporządzenia Jej«, uznała taż redakcya, po dokładnem rozważeniu go, za niekwalifikujący się do wydrukowania. Czemu? Łatwo zgadnąć. Za dużo w nim było »wielkiej zarozumiałości«, zadużo w nim pisał Słowacki »o sobie«, za dużo w nim popłynęło »słów pełnych szyderstwa i gryzącej ironii« pod adresem Mickiewicza, za bardzo przeważał w nim »uszczypliwy i szyderski ton, w jakim Słowacki dotknął literackich stosunków i niektórych działaczów krytyki i literatury w dzielnicy poznańskiej«, za czem poszło, że redakcya *Orędownika* zdecydowała się artykuł ten schować do redakcyjnych archiwów (z których go dopiero po latach 50-ciu wydobył i ogłosił Dr. Bolesław Erzepki), albowiem nie chciano się zbytnio narażać tym wszystkim, przeciwko którym było wymierzone ostre żądło Juliuszowego pióra. Przeholował!

W liście do redakcyi *Orędownika,* w którym Słowacki zapewniał ją, ażeby pośpiech, z jakim pisał ten feljeton, redakcya uważała »za hołd i dowód szacunku«, znajdował się następujący dopisek: »*N. B.* Raczcie umieścić, że Poema p. t. *Beniowski* znajduje się do sprzedania *tylko* u Leopolda Michelsena w Lipsku«. Temu życzeniu Słowackiego uczyniono zadość w Nr. 51 *Orędownika* z dnia 19 grudnia 1841 r. Na tem skończyły się Słowackiego stosunki z *Orędownikiem.* Prawdopodobnie obraził się, że mu odrzucono artykuł. Swoją drogą przyznać należy, że redak-

cya *Orędownika*, nie drukując tego artykułu, uczyniła właściwie, a Słowackiemu wyświadczyła niemałą przysługę.

Ta złośliwa *Krytyka krytyki i literatury* była pierwszym wypadkiem na nowem mieszkaniu przy *Rue de la ville l'Eveque, 10 (bis)*, wypadkiem, którego wogóle pomyślnym nazwać nie podobna. Drugim wypadkiem, tym razem pomyślniejszym o wiele, była nowa znajomość, jaką zawarł ze swą sąsiadką z poddasza, panią de St. Marcel, z domu Chauveaux. Istna sielanka *à la François Coppée!* Szkoda tylko, że pani de St. Marcel nie była młodą wdówką, ale 80-letnią wdową po dawnym jenerale francuskim, zapomnianą i opuszczoną w swojem ustroniu, a opuszczoną nietylko przez ludzi i świat, ale i przez krewnych, którzy się po niej nie spodziewali sukcesyi. Jedyną przyjemnością i rozrywką, jaką posiadała na tem poddaszu, było karmienie wróbli, które świergocąc radośnie »tysiącami« zlatywały się pod jej okno. Słowacki, którego okno sąsiadowało z oknem sędziwej jenerałowej, widząc, że wróble zaglądały i do jego okna, poszedł za przykładem swej sąsiadki. Ztąd początek znajomości. powód do pierwszej wizyty. Odtąd wizyty zaczęły się powtarzać coraz częściej, pomimo, że staruszka była już trochę ślepa i głucha, i że rozmowa z nią była potroszę »ofiarą«. Słowacki jednak, który także czuł się niejednokrotnie opuszczony i samotny, odwiedzał biedną staruszkę prawie codzień, a czynił to z uśmiechem i jakby »z pewną świętością«. Nie dziw więc, że pani de St. Marcel polubiła go, jak syna, jak wnuka, że jej pomarszczona twarz rozpogadzała się, kiedy poeta zastukał do drzwi, kiedy przychodził na zwykłą pogawędkę. Zwykle, kiedy przychodził, pytała go przedewszystkiem, czy miał list od matki. Od tego zaczynała się rozmowa, która ze względu na mocno przytępiony słuch staruszki, niekiedy męczyła poetę, albowiem musiał mówić podniesionym głosem, co na jego zawsze delikatną krtań nie wywierało korzystnego wpływu. Swoją drogą nie zważał na to, i ilekroć miał chwilę wolnego czasu, przychodził do niej; wiedział bowiem, że o każdej porze jest pożądanym, mile widzianym gościem. Po pewnym przeciągu czasu zaczęła go pani de St. Marcel zapraszać do siebie na skromny obiadek, co w miarę zacieśniającej się przyjaźni, zaczęło się powtarzać coraz częściej.

Całych pięć lat trwała ta przyjaźń pomiędzy nimi. Poeta nie przestał odwiedzać staruszki, nawet, kiedy się wyprowadził gdzieindziej. Poprostu przywiązał się do niej, lubił oddychać republikańsko-rycerską atmosferą jej wdowiego mieszkanka, patrzeć na te złocone ściany, »dawno-

światem niezabawne«, a z których patrzały na niego, z portretów jenerałów rewolucyi i epopei napoleońskiej »wielkich imion dawne duchy sławne«.

W końcu, w styczniu roku 1846 staruszka umarła, a Słowacki był jedynym człowiekiem, który szedł za jej trumną. Powróciwszy do domu, z cmentarza, napisał swoje piękne *Wspomnienie pani de St. Marcel z domu Chauveaux,* które należy do jego piękniejszych liryków.

Tymczasem, z nadejściem jesieni roku 1841, przyjechała do Paryża pani Bobrowa, a Słowacki, niewątpliwie uradowany z tego powodu, znowu zaczął bywać u niej, jak za poprzedniej bytności. Od tej chwili zaczęła się dla poety »jakaś dobra epoka szczęścia«, w której, jak sam przyznawał, nie potrzebował obawiać się zawodu. Zkąd ta zmiana? Jakim sposobem, kiedy we Frankfurcie, dzięki swej »dręczycielce«, cierpiał same tortury, kiedy tam *l'amour et ses égarements* stawały się dlań męczarnią, o której pisał, że *mon martyre non finit pas,* kiedy ztamtąd pisał do Niedźwieckiego, że ma *les entrailles dechirés par elle,* że musi wyjeżdżać, bo *la vie que je mène ici est insupportable* — jakim sposobem teraz, kiedy pani Bobrowa wróciła do Paryża, Słowacki zaczął »wierzyć« nagle, iż się znajduje w »jakiejś dobrej epoce szczęścia«, w której się nie potrzebuje obawiać zawodu? Co się stało? Co sprowadziło tę błogosławioną zmianę w ich stosunku? Zdaje się, że chcąc znaleść odpowiedź na to pytanie, należy zajrzeć do jednego z późniejszych listów Słowackiego do pani Bobrowej, do listu z dnia 9 czerwca 1842 r. (dotychczas nie ogłoszonego drukiem), gdzie poeta pisze między innemi: »Na Boga! Rzuć pani błękitnemi oczyma w stronę Paryża! Niech mi tu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się na chwilę ciemne powietrze«. Otóż zdaje się, że w tych słowach znajduje się pożądane rozwiązanie zagadki: poprostu sam fakt, że pani Bobrowa przyjechała do Paryża, sprawił, że się poeta zaczął czuć »szczęśliwszym, niż kiedykolwiek«. Kochał ją, więc tęsknił, i był smutny, kiedy jej nie mógł widywać, kiedy byli rozłączeni. Możność widywania jej, bywania u niej, rozmawiania z nią, już była połową szczęścia: samo spojrzenie jej błękitnych oczu rozwidniało mu ciemne powietrze, rozpraszało smutek i melancholię. »Wszakże mnie samego przeprowadziłaś Pani przez podwodne otchłanie, zostawiłaś mię w nich tak długo między wielorybami, ślimakami, śród gwiazd morskich, nimfom świecących, żem zapomniał o ziemi i przywykł żyć w ciemni, śród fal kołyszących ducha mego. Po takiej próbie co ja mogłem uczynić?! Oto zbliżyć się znów do Pani, pełny milczenia, i za-

klętej we mnie tajemniczej *braterskiej* miłości. To uczucie, we mnie wezbrane, działało na ducha Pani, jak natchnienie, jak siła wspierająca, karmiąca, ożywcza. Nie wiedziałaś Pani, co czynię i nie opierałaś się wpływowi ducha mojego, to też nabalsamowałem niektóre ranne części serca Pani, i rany się pozamykały, i powietrze wspomnień chwytane ustami, już nie tyle rani, ile przedtem. Taka jest zasługa moja pokorna u Pani i taka postać moja przed Panią, i takie wspomnienie powinno zostać o mnie na wieki«. Powyższe słowa, wyjęte z jednego z późniejszych listów poety, najlepiej wyjaśniają sytuacyę: skoro pani Bobrowa przyjechała do Paryża, poeta zbliżył się do niej, ale »pełny milczenia«, »z tajemniczą *braterską* miłością« w sercu. Zrezygnował z roli Don Juana, a zapragnął stać się jej przyjacielem, jej spowiednikiem, jej lekarzem psychicznym. W ostatniej roli nie zawsze był szczęśliwy, ale z tą rolą bardziej mu było do twarzy, aniżeli w hiszpańskim płaszczu Don Juana. »Sami jesteśmy własnymi aniołami, ciągle sami, za wszystko odpowiedzialni, zawsze cierpiący: ja dosyć spokojnie, Pani, rzucająca się, jak płotka w kryształowej rzeczce litewskiej. Opisz mi Pani szczerze stan serca swego i wymaluj mi wiernie swoją osobę: ja zdaleka *lepszym może będę doktorem niż zbliska*«. Przez to jednak, że poprzestawał na tej roli, że tłumił swą namiętność, że zmienił ton i sposób postępowania z panią Joanną, że o ile we Frankfurcie wybuchał raz po raz, o tyle teraz był »pełny milczenia« — choć go to kosztowało bardzo wiele — że w rozmowach z nią starał się mówić najmniej o sobie, a najwięcej o niej, o jej cierpieniach, przez to osiągnął ten rezultat, że był zawsze, ile razy przyszedł, bardzo serdecznie witany, że sobie zdobył całkowite zaufanie, że główną cechą jego rozmów z tą »rubensową Madonną«, była harmonia, a nie dysonanse, jak we Frankfurcie. Ztąd zobopólne uspokojenie.

Na Słowackiego wpływała ta metamorfoza, pod względem psychicznym, bardzo pomyślnie: jakkolwiek nie osiągnął zupełnej równowagi, ale jej był bliski. Zadawalniał się tem, co było, i uważał, że i tak nie jest źle. Powinien dziękować Bogu i za to.

Wyrazem tego usposobienia jego, usposobienia, które trwało parę miesięcy, są Słowackiego listy do matki, w których, nie wymieniając nazwisk, tak pisał o sobie i swojej »znajomej z Frankfurtu«. »Teraz szczęśliwszy jestem, niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną czuwał i kochał mię, i błogosławił mię. Serce moje, długo zimne i ostygłe, poznało teraz, że jeszcze może

wiośnianem oddychać powietrzem: charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać: szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem. Przyjechała tu moja znajoma z Frankfurtu i mam u niej dom przyjazny, gdzie mi dobrze na rozmowie schodzą godziny. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych mego humoru uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni i wypadków. Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkiem zapomnieć, myśl o tobie zachmurzała mi czoło, i wtrącała mię w tęsknotę. Ale ty mnie kochasz: twoja miłość wyprzedziła wszystkie ludzkie miłości i zapewne je przetrwa. Jeszcze raz ci powtarzam, bo wiem, że ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej, a ja nie jestem, jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego dobra nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, i ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mnie wesoło i z nadzieją. Zresztą wszystko po dawnemu: kocham ciebie, myślę o tobie najczęściej wtenczas, kiedy mi dobrze, śnię nawet czasem. Ileż mógłbym ci opisać maleńkich okoliczności, małych, codziennych tryumfów, z których podobno, jakoteż i z małych trosk, składa się życie każdego człowieka; ale każde takie maleńkie zdarzenie wymagałoby arkuszowych listów i łańcucha całego okoliczności miejscowych. Zostawiam to więc kiedyś na nasze rozmowy wieczorne. O, ilebym ja rzeczy miał do opowiadania, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli! Jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach!«. Opowiedziałby jej wówczas, jak w domu pani Joanny, słuchając »niemieckiej muzyki«, przy zapachu dymu od cygar, oddawał się »aniołowi zamyślenia«; jak »słonecznikowa pamięć« jego serca zawsze zwracała się w stronę domu pani Joanny; jak ona, wiedząc, że on jest zakochany w niej, dawała mu kwiaty na pamiątkę (kwiaty, które z pewnością miała i od niego także), które on później nosił zasuszone w pugilaresie, a które, »gdybyś widziała, mamo, powiedziałabyś, że jestem głupie, 15-letnie dziecko«; a co najważniejsza, to, iż musiałby się z nią podzielić obserwacyą, w ostatnich czasach uczynioną na sobie, mianowicie, że on, który tak lubił dawniej »samotne wieczory«, teraz nie wystarcza sam sobie, nudzi się w domu, nie potrafi usiedzieć w mieszkaniu:

czuje się osamotniony, a wychodząc z domu, gdyby go ktoś zapytał przypadkiem, dokąd udałby się najchętniej, odrzekłby bez wahania: »Do niej«, t. j. do pani Bobrowej. Jakoż bywał u niej bardzo często.

Ale zbyt kapryśną, nerwową i nadczułą naturą był Słowacki, ażeby podobna harmonia mogła trwać długo. To, co o nim powiada A. E. Odyniec w swoich *Wspomnieniach z przeszłości* — że był miły, żywy i dowcipny, *dopóki go znów jakaś mucha nie ukąsiła* — zdaje się, że się zdarzyło i teraz. Przez pewien czas, przez parę pierwszych tygodni, wszystko było bardzo dobrze, bardzo pięknie, bardzo harmonijnie; ale wystarczyło jednej drobnej chmurki, jednego nieporozumienia, jednego słowa, które się Słowackiemu nie podobało, które go upiekło i dotknęło, ażeby w przystępie rozgoryczenia, pod wrażeniem jakiegoś drobnego dyssonansu, napisał dwa sarkastyczne wiersze, które, wnosząc z listu Zygmunta Krasińskiego, musiały być w rodzaju owych dwóch Sonetów *Do Anieli Moszczyńskiej,* z tą różnicą, że kiedy w tamtych dźwięczała skarga, te zawierały tylko cyniczne drwiny na temat pani Bobrowej i jej miłości dla autora *Irydiona.*

Wiersze te, które były rodzajem preludyów do *Nowej Dejaniry,* wraz z długim listem, pełnym melancholii i utyskiwań na »samotność«, posłał Słowacki przyjacielowi swemu do Monachium, tłómacząc mu — a pewno w sposób właściwy sobie, t. j. z ironią i sarkazmem — jakie okoliczności złożyły się na genezę tych »dwóch strof«.

Na list ten odpowiedział Krasiński niezwłocznie, a ponieważ prawie cały list Juliusza był o pani Bobrowej, więc i list Zygmunta był prawie cały na ten sam temat, począwszy od krytyki owych »dwóch strof«, a skończywszy na Słowackim samym, którego należało zdaniem Zygmunta, przestrzedz, ażeby inny bieg nadał swemu stosunkowi do pani Bobrowej. *A propos* owych »dwóch strof« był taki morał: »Nie, nie powiadam, żeby jakakolwiek wina twoja była w tem, nie, o nie, Julu mój drogi, nie skarżę się na ciebie. Rozumiem, pojmuję rzutną falę krwi, która te dwie strofy, te dwa kwiaty ci do serca przyniosła... Ale nieostrożna była to fala, nieprzezorna, ufna w miłosierdzie ludzkie, zatem grubo myląca się! Nadal więc ostrzegam cię i zaklinam ciebie, bądź, jak wąż skryty, jeśli chcesz być dobrym, i czystym, i tkliwym jak gołębica«. Reszta listu była już o Słowackim tylko, o jego nieszczęśliwej miłości. »Strzeż, pilnuj, rozbłogosław się opiekuńczo nad tem rannem sercem, nad tą rozbolałą głową. Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się

jej przyjacielem, a nie chciej by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem, bo taki los, taka barwa konieczna dusz, które, w trumnie już usłyszawszy dźwięk harfy, podnoszą się na chwilę i marzą, marzą, że mogą żyć raz drugi na ziemi harfowemi dźwięki. One nie wiedzą, że powtórne życie czeka na nie dopiero w niebie. Ale z tego złudzenia wynikają okropne skutki, wierz, wierz mi, Julu. Przyjaciel w tej chwili całem sercem się do ciebie odzywa. Chciałbym Cię przycisnąć do serca i wlać w ciebie pogrobową mądrość tych piersi moich. W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość, miłość *taka* stanie się goryczą wam obojgu. Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszem dotknięciem i rozleje się na strugi trucizny! Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorzki dramat. Ale czas jeszcze! Możecie wyrobić go sobie pokojem, ciszą, błogością, wspólnem czuciem, wiarą, zaufaniem. Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym! Będzie duch jeden w tem wielkiem mieście, pod którym uczujesz się doma! Lecz jeśli uniosą cię sny namiętne, jeśli nie posłuchasz głosu proroczego, który woła na ciebie: pamiętaj przynajmniej, żem w czas dobrą radę przyniósł, i dla kochającego i dla ukochanej, pamiętaj, że ci przepowiadam, jeśli pójdziesz drogą szału, że serce twoje dokłótem będzie, w czem niedokłóte dotąd, a siła ducha twego zmniejszy się o skrzydło jedno itd.«. Na końcu listu takie się jeszcze znajdowało *post scriptum*. »Zkąd piszę, tam odpisz. O żadnych mistycznych waryatach nie słyszałem«.

Z listu tego wynika przedewszystkiem jedno: oto, że skończył się krótkotrwały okres »tajemniczej *braterskiej* miłości« Słowackiego dla pani Bobrowej; że poeta, przez czas jakiś »pełny milczenia« znowu zaczął szukać kochanki, gdzie miał przyjaciółkę; że chciał koniecznie, aby serce pani Joanny »zmartwychwstało« dla niego; że się dawał unosić snom namiętnym; że chciał iść drogą szału, że cierpiał, iż mu się to nie udawało; i że był niedaleki od tego, ażeby w końcu powziąć urazę do Zygmunta, iż się do tego stopnia rozwielmożnił w sercu pani Joanny, że już w tem sercu dla niego, dla Słowackiego! miejsca nie zostało.

Ona mi wszczepiła
W to serce *jakiś gniew* do tego człeka.

Szkoda, że kiedy się tak szamotał, nie mógł przeczytać jednego z swoich dawnych listów do matki, w którym jej, między innemi, donosił, co następuje: »Od Góreckiego

(pisał tam, z Paryża, d. 3 września 1832 r.) dowiedziałem się, że mnie panienka w Dreźnie zawsze czule wspomina. Mickiewicz mieszkał w tem samem, co ja, mieszkaniu, ale napróżno starał się zdobyć serce tej panienki; ja, czyli pamięć o mnie, jest jak Horacyusz Kokles, który broni mostu wiodącego do jej serca: jak uschłe drzewo zawaliłem drogę i nikt przestąpić zawady nie może«. W analogicznem położeniu, jak Mickiewicz w Dreźnie, znalazł się on teraz: Krasiński, czyli pamięć o nim, była jak Horacyusz Kokles, etc. etc. Wtedy się on śmiał z Mickiewicza, teraz się mógł śmiać Mickiewicz z niego. Przyszła kryska na Matyska! Mała nauczka moralna, iż nie należy się śmiać z cudzego niepowodzenia, nawet, kiedy się jest Słowackim!

Słowacki jednak, zrozpaczony, a nadewszystko srodze dotknięty i obrażony w swojej miłości własnej, szamotał się tak długo, aż w końcu

Chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze.

Z tego śmiechu zrodził się pomysł humorystyczno-sarkastyczno-satyrycznego dramatu, którego głównymi bohaterami byłoby dwoje ludzi, ze wszystkiemi śmiesznościami, cechującemi Krasińskiego i panią Joannę. Niema człowieka, któregoby nie cechowała jakaś mniejsza lub większa śmieszność. Takich śmieszności w Krasińskim i pani Bobrowej — pomimo całej przyjaźni, jaką żywił dla pierwszego, i całej miłości, jaką w tej chwili płonął ku drugiej — dostrzegało bystre i przenikliwe oko Słowackiego bardzo wiele. I tak zrodziły się w jego wyobraźni dwie fałszywo-poetyczne postacie-karykatury: hrabia Fantazy i hrabina Idalia.

W ten sposób powstała *Nowa Dejanira,* napisana w tym czasie właśnie (w październiku lub listopadzie 1841 roku), a będąca jedną z najświetniejszych pereł w koronie twórczości Słowackiego. I nie dziw! Była to epoka, w której talent Słowackiego był najbliższy swego kulminacyjnego punktu.

Jak na tem wyszła pani Joanna? Czy dobrze? Czy byłaby zadowoloną, przeczytawszy taką np. swoją charakterystykę?

...dałaby dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Jej trzeba rany: usta ma do picia
Trucizny. Byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.

Nieszczęściem, takie biednej przeznaczenie,
Że jako okręt, rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mię poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy...
Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! Tu rzekłem, że widzę
Na jej błękitno-kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia... Myślała, że szydzę
Z początku; ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: Ach! Pan mi będziesz duszą, bratem!
Pan jeden w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że nad nią sercem się lituję,
Że mi potrzebna jej dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tego numeru.

Nie lepiej też, aniżeli Joanna, odmalowany tam został autor *Irydiona*.

Rzecznicki.

Przecudna tyrada: periody długie...

Fantazy.

Ta dawna zażyłość, chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiewa,
Te pod nim jary, pełne wilczych kości,
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

Rzecznicki.

I w czarności kominie
Białą napisane kredą imię Dyanny...

Fantazy.

Przeklęty człowieku,
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido
Dostarczą wody Kastalskiej! O ćwieku
Z Byronowego krzyża! O baranie!
O którym niegdyś w mistycznem widzeniu
Śnił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz, o Rzecznicki!

Rzecznicki.

O nieszczęśliwy wieszczu!

Fantazy.

O Kasandro przedkontraktowa!

Rzecznicki.

O ty, potrzebnicki zdrowego sensu!

Fantazy.

O ty, sekaturo!
Patrz, poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał.

Rzecznicki.

Bo ty jesteś pióro,
Które sonety pisze... *et andronas*
Scribit. I bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią.

Fantazy.

Cóż, że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone mdlejąc
I krzycząc: Ach! ten list na Kapitolu
Był napisany! a ten z Wezuwiusza,
Leciał, jak gołąb, aż na Ukrainę!
Że wykrzykniki te: ach, co za dusza!
Brzmiały tu stokroć razy: to ja, hrabia
Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
...Mój Rzecznicki,
Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
Ponad Wezuwiusz, nad Alpy, obłoki!
Mów, żem napisał poemat ponury
O czterech wiatrach... Złoć mię, jak barana!
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
I z siebie lakier byrońsk. szatana
Zrzucić...

Całe szczęście, że poeta utworu tego nie wydrukował, że go zachował dla siebie w tece autorskiej, dzięki czemu, ani pani Joanna, ani Krasiński, nie dowiedzieli się nigdy, do jakich »portretów« swoich pozowali Słowackiemu. Coby zrobił Krasiński, gdyby miał możność bliższego zapoznania się z *Nową Dejanirą?* Trudno przewidzieć. W każdym razie, gdyby się ten dziwny a niepospolity dramat dostał do rąk pani Bobrowej, Słowacki nie mógłby dłużej korzystać z jej gościnności, musiałby przestać bywać u niej. Możeby to było z pożytkiem dla niego, możeby skazany na niewidywanie swej dręczycielki, zapomniał o niej, przestał ulegać jej urokowi, słowem, wyleczył się z tej nieszczęśliwej miłości, która mu szarpała nerwy, a w duszę siała zwątpienie i niepokój. Słowacki jednak, będąc pod urokiem tej »Rubensowej Madonny«, do zerwania z nią doprowadzić nie chciał i prawdopodobnie to było powo-

dem głównym, że się z wydrukowaniem *Nowej Dejaniry* wstrzymał, że, ulżywszy sobie napisaniem jej, nie chciał zaostrzać kolizyi, coby nastąpić musiało, gdyby ten dramat ogłosił drukiem. Tego nie pozwalało mu uczynić wrodzone poczucie delikatności!

Swoją drogą szamotał się i był »zmordowany tą burzą«, tak dalece, że »prawie w grobie chciał być dla spoczynku«. O tej walce wewnętrznej, która trawiła go, jak gorączka, a która się nie mogła skończyć, dopóki pani Bobrowa mieszkała w Paryżu, pisał do niej Słowacki w kilka miesięcy później, co następuje: »Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nieużyta, jakieś wojsko duchów, niewyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nieodkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać, a czego się ja sam lękałem wyprowadzić na jaw, i część zimna, marmurowa, mojej natury, zwyciężyła. Teraz jest to wszystko już poza granicami władzy mojej i świata mojego, i coraz bardziej się odemnie oddala. Ileż razy, *jeszcze tej zimy*, te wszystkie moce burzyły się we mnie i chciały wybuchnąć! Teraz — wieczny odpocznek sercu mojemu! Niech światło wiekuiste świeci mu, a na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spójrz czasem Pani z uśmiechem«. Byle to nie był taki »urągający półuśmiech politowania«, jakim pani Bobrowa częstokroć — najczęściej — odpowiadała na wszystkie wertherowskie skargi poety, skargi, które ją pozostawiały zimną i nieugiętą, jakby nie wierzyła, że ten człowiek cierpiał naprawdę, że przechodził przez najokropniejsze »tortury« moralne, którym nie było końca. Zdawała się nie przypuszczać nawet, że on upadał pod falą smutku, że go ta fala »gięła i kładła na ziemi«, i że tym sposobem cała moc ducha jego »szła na fajerwerk, spalony przed oczyma kochanej osoby«. Ona tymczasem, nie uwzględniając tego opłanego stanu, w jaki go wtrąciła swą wzgardliwą obojętnością, robiła wrażenie, że go uważa przedewszystkiem za miłego towarzysza, że »chce zamaskowanej figurki podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym *wieczór spędzić miło*«. Kiedy się w nim burzyło wszystko, kiedy mu serce »próchniało« w piersi, ona, udając, że się nie domyśla niczego, kazała mu »bawić siebie, ciągłą o głupstwach pogadanką«, tak, iż musiał chcąc nie chcąc »wysadzać się na dowcip, na kwieciste konwersacye«, słowem, grać zwykłą, wielkoświatową komedyę, kiedy mu w sercu i mózgu huczał cały dramat.

W takich okolicznościach, zabity na duchu, tak, iż nawet *Beniowskiego* pisać zaprzestał, choć mu się dalszy ciąg tego poematu »lepszym i piękniejszym« wydawał, aniżeli wydrukowany początek, napisał — mniej więcej w połowie października — list do Zygmunta, list długi, a jak i poprzednie, pełen »melancholii« i utyskiwań.

Na list ten odpisał Krasiński d. 27 października (1841 roku), a w liście jego, choć prawie cały był na inny temat, znalazło się także miejsce i na cały szereg przyjacielskich przestróg, wywołanych nieszczęśliwą miłością Słowackiego. »Teraz, mój drogi Julu, o tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w niemoc. Bądź dumny a pokorny! Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi twoje. O Julu! Ja wiem, że to ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć. Otrząśnij się: gdzie Rafael nie malował, tam nie myśl o Rafaelu, marz raczej o Rubensie i duszy twej całej nie kładź pod stopy aniołów Rubensowych. Daj mi rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź im bratem, ale nie konaj dla nich. Bo twój grób po takowej śmierci nie porósłby w bluszcze nieśmiertelne; poczciwe niezabudki, ładne gwoździki, małgorzatki i tulipany na nimby się urodziły: a o to idzie, by na grobie stał krzyż w laury oplecion, nie kwiateczki rosły... Julu, powtarzam ci, nieśmiertelność jest w tobie; od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię, nie chciej sobie samemu wmawiać, żeś tylko już mozajkowym artystą! Nie, tak nie jest! Artysta z ciebie, mistrz! Tyś przeznaczony żyć, jeśli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla ułudek. Niech cię Bóg strzeże! Myśl o mnie zawsze, jako o istocie mającej serce wiecznie rozkwitające i stulistne, gdy się obraca ku tobie. Odpisz do Münich«.

Upłynęło parę miesięcy, zanim się Słowacki zdobył odpisać na ten list. Popadł w stan takiej apatyi takiego znieczulenia na wszystko, że chwilami dochodził do wniosku, czy nie byłoby najlepiej, gdyby się to powolne »konanie« skończyło nareszcie, raz na zawsze; a dusza jego »już smętna, już pełna rozpaczy i zachceń niewymówionych, prawie wzywała Boga, ażeby się usprawiedliwił przed nią, dlaczego ją z taką na świat przysłał naturą?«

I pod tym względem zazdrościł Józefowi Meyznerowi, który właśnie, w 39-tym roku życia, w dniu 23 paździer-

nika umarł w szpitalu. Śmierć ta, tragiczna warunkami, w jakich nastąpiła, uczyniła bardzo silne wrażenie na Słowackim. Przedewszystkiem dlatego, że się z Meyznerem przyjaźnił, że się znali oddawna, że w tym kapitanie 9-go pułku, miał serce życzliwe i oddane sobie.

Pod wrażeniem tej śmierci i tego pogrzebu, napisał Słowacki swój wspaniały *Pogrzeb Kapitana*, wiersz, który, krążąc w odpisach wśród emigracyi, powszechny budził zachwyt. Oto, co z powodu tego pogrzebu i tego Juliuszowego wiersza pisał *Trzeci Maj* z d. 6 listopada 1841 r.

»Dnia 23 z. m. z powszechnym żalem ziomków, zakończył swe przykładne, pełne poświęcenia, pracowite życie, kapitan Józef Meyzner. Miał lat 39. W oku publicznem zajmował niemałe miejsce. Nie wątpimy przeto, że przyjaciele Jego liczni, osobiści i polityczni, nie zaniechają po posłudze ostatniej, którą mu oddali, wystawić jeszcze pamięci Jego należne uczczenie, na które, całem życiem swem, tak szczerze pracował i tak bogato zasłużył.

Tymczasem zachęcamy, niech się rodacy starają o wiersz *Juliusza Słowackiego* pod tytułem »Pogrzeb Meyznera«, przypisany zacnemu, skoremu do posług, i — gdzie idzie o wyrzucenie grosza bratniego — hojnemu młodzianowi, którego piękny czyn *Pogrzeb Meyznera* uwieczni: wiersz palący i okropnej prawdy, wart najpowszechniejszego czytania«.

W tymże numerze *Trzeciego Maja* znajdowała się wiadomość, że *Klub polski* — w którym Słowacki tak często spotykał się z Meyznerem — pierwszych dniach października (1841 r.) przeniósł się z ulicy *Godot-de-Mauroy* na ulicę *du 29 Juillet Nr. 6* i że, według jednozgodnej opinii wszystkich członków klubu, nowy lokal jest wygodniejszy o wiele i stosowniejszy przeznaczeniu swemu, aniżeli poprzedni.

Tego samego dnia 6 listopada, kiedy *Trzeci Maj* to podawał do publicznej wiadomości, *Dziennik narodowy* obwieszczał swym czytelnikom, że »*w tym tygodniu* wyszły z druku w Paryżu tak oczekiwane poezye Bohdana Zaleskiego. Autor złożył je w upominku przyjacielowi swemu, Adamowi Mickiewiczowi«. Ponieważ autor *Rusałek* należał do koteryi *Dziennika narodowego*, więc też, kiedy wydał swoje poezye, mógł być pewny, że przynajmniej w *Dzienniku narodowym* nie przeczyta o nich podobnej krytyki, jak Koźmianowska krytyka *Beniowskiego*. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem, pomimo, że o nim artykuł napisał tenże Jan Koźmian. Ale surowy i zgryźliwy krytyk Słowackiego, nienależącego do pobożnego stronnictwa »katolików«, dla Zaleskiego, który w tem stronnictwie był — obok Mickiewicza — jednym z luminarzów, okazał się bardzo skory do chwalenia, w tym samym stopniu przynajmniej, w jakim, pisząc o *Beniowskim*, był skory do wytykania usterek — tam nawet, gdzie ich nie było. To też kry-

tyka poezyi Zaleskiego, wydrukowana w *Dzienniku narodowym* z d. 21 grudnia (1841 r.) wypadła bardzo pochlebnie, szczególniej dla *Ducha od stepu,* który figurował na czele całego zbioru. Redakcya była temi poezyami do tego stopnia zachwycona, że w maju następnego roku pojawił się w *Dzienniku narodowym* jeszcze jeden artykuł o poezyach Bohdana Zaleskiego, artykuł, z którego wnosząc, możnaby mniemać, że Zaleski pisał tylko arcydzieła najczystszej wody. Tak przynajmniej pisała o nim bezstronna krytyka *Dziennika narodowego.*

O wiele mniej bezstronnym w wydaniu swego sądu o tych poezyach okazał się Słowacki, który Zaleskiego, jako człowieka, nie lubił, a jako poetę, uważał za przechwalonego, słowem za mniejszego znacznie, aniżeli opinia, którą swemu »słowiczkowi« robił np. Mickiewicz. Ten ostatni bowiem (może dlatego, że był przyjacielem Zaleskiego, że z nim należał do jednej koteryi), podnosił go »na piedestał nietylko polskiej, ale nawet literatur słowiańskich«. Inaczej trzymał o Zaleskim »zawistny« Słowacki. Jego zdaniem ani *Duch od stepu,* ani inne utwory ukraińskiego słowika nie były uryańskiemi perłami. Sąd ten, na który dzisiaj godzą się prawie wszyscy krytycy, świadczył o jednem, mianowicie, że Słowacki »głęboko wniknął w ducha i formę pseudo-ukraińskiego pieśniarza«, i że lepiej się znał na prawdziwej poezyi, aniżeli Jan Koźmian, a nawet Mickiewicz. Po przeczytaniu tych poezyi, w których nad całą seryą sonetów królował ukraiński *Duch od stepu,* napisał Słowacki krytykę ich, krytykę, którą przeznaczył może do którego z pism, do *Orędownika* lub *Trzeciego Maja,* której jednak — dla niewiadomych przyczyn — nie wydrukował. Uczynił to za niego dopiero p. Biegeleisen w roku 1892. Krytyka jest bardzo ciekawa, a tak trafna, że można jej Słowackiemu powinszować. Wszystko, co w niej mówi o Zaleskim, jest świętą prawdą. Być może, iż to było powodem, że tej krytyki nie ogłosił drukiem: wiedział, że prawda, wypowiedziana bez ogródki, w oczy kole, a Zaleski należy do *vatum irritabile genus.*

Krytyka zaczyna się od krytyki »Przegrawek«, z których widać, że poeta »chciał zachwycić tej prostoty, która ze szkoły malarskiej katolickiej włoskiej, a dziś z małpiej tegoczesnej niemieckiej wykwita«. Po tej *przegrawce* następowało bardzo piękne porównanie Rafaela — z Owerbeckiem, porównanie, które, zdaniem Słowackiego, »zupełnie stosuje się do prostoty katolickiej *Przegrawek*«. Ciągle w nich poeta mówi, że swe niecielesne oko wodzi bardzo szeroko, ciągle powiada, że śpiewa Epopeję, ciągle uty-

skuje na ludzi, jak gdyby od Boga był na to przysłany. Potem poeta opisuje swoje wykarmienie przez Matkę Ukrainę i Rusałki; potem wspomniał coś o miłości, potem o związkach przedrewolucyjnych, w które się dał wciągnąć, a teraz je uważa za rzecz, która bez Boga była poczęta, więc prawdziwego katolika pociągnąć była niepowinna. Następowało opowiadanie o gorzkich owocach, które poeta ssał za to, że się, jak mówi, szamotał w dziele bez Boga poczętem. Tu wtrącił Słowacki uwagę, że o ile wie, to autor zasiadał na ławie sejmowej, a dzisiaj ma powszechny szacunek braci. »Lecz dalej powiada:

Wypieszczone jego mary
Płoszy śmiech szatanów dziki...

Ha! więc dlatego gorzkie owoce, że mu krzyk rewolucyjny wygnał z głowy *Rusałki*?« Tu by można zwrócić uwagę Słowackiemu, że podobne zapytanie *w jego ustach* niezupełnie było na miejscu, gdyż i on w czasie tego »krzyku rewolucyjnego« nie zapomniał o swoich »marach wypieszczonych«: w przeciwnym razie nie napisałby w styczniu roku 1831 pierwszej pieśni swojego *Żmii*. Miał słuszność jednak, kiedy streszczając *Ducha od stepu*, czyni to ze sporą domieszką ironii, kiedy się zdaje uśmiechać sarkastycznie, pisząc o Zaleskim, kiedy opowiada, że wymieciony z domu, jak śmiecie, »jakoś zaczął raz śnić milej« i »zaleciała go wieść o Niebie«; więc »spojrzał bystrzej *w słup* za siebie« i obaczył, że mądrość »bałamutna«. Potem (powiada) »przybiegł*a* Czystość i Pieśń, dwie siostrzyce« (a więc przybiegł*y* chyba), i kazały mu dom stroić w kwiecie, bo »Czarownica trzecia — trzecia — siostra Miłość z nieba zbiega. Tu sądzilibyśmy (powiada Słowacki) że to jest Miłość religijna, ale z następujących wierszy:

Ren gdzieś szumi
. . . .

i z całej karty kropek, które następują potem, widzimy, że to była miłość... Boję się tych kropek tłómaczyć. Tu, zdaniem Słowackiego, następuje piękne miejsce: poeta wystawia siebie, jako robotnika w mogilniku. W tych kilkunastu wierszach jest, jak się wyraża Słowacki, pewna tajemniczość piękności, co nie o wszystkich wierszach Zaleskiego powiedzieć można. Wreszcie zaczyna się epopeja, od stworzenia świata aż do naszych czasów, utyskująca na ludzi. Tyle powiedziawszy o »duchu i wynalezieniu« *Ducha od stepu*, rozbiera Słowacki »gramatycznie jeden z najpiękniejszych kawałków«, obraz wodza Hunnów:

W stal zakuty wódz na przedzie,
Przez bezdroża jedzie, wiedzie.

Co? lub kogo? zapytuje słusznie Słowacki, bo powiedziawszy, iż wódz jedzie, *wiedzie*, należało powiedzieć: *co* wiedzie? lub *kogo* wiedzie?

Konny posąg Al hun Ryka
Niedźwiedziemi strzępi kudły;
Sucho-żyły, w kość zachudły,
Boży gniew, twarz groźna, dzika.

Kto (pyta Słowacki) strzępi niedźwiedziemi kudły? czy konny posąg Al hun Ryka? Czy go gniew Boży tak ubiera, czy twarz groźna, dzika? Mówiłbym, że tu jest fałszywa punktacya, że po kudłach punkt być powinien, ale i w takim razie jeszcze do sensu czegoś brakować będzie...

Jako rzeka w skałach *stroma*
Pluszcze za nim gwar w około:
Roma! Roma! gdzie ta Roma?

Dwa ostatnie wiersze są, zdaniem Słowackiego, nietylko piękne, ale, co ważniejsza, »i gramatyczny sens mające«, a takich wierszy jest niewiele w poezyach Zaleskiego; choć nie brak i takich, jak ten pierwszy o *stromej* rzece. Ale rzeka *stroma* niema sensu: stromą, t. j. wysoką i trudny wstęp dającą nogom, może być tylko góra. Tutaj zaś, jeżeli rzeka jest stromą, to dla — rymu: bo tylko rzeka *stroma*, może się rymować z *Roma*.

To użycie wyrazu, rymującego się z następującym wierszem, dowodziło, że Zaleski inaczej postępował sobie, pisząc wiersze, aniżeli Słowacki. Ten ostatni bowiem, jak sam powiedział w swojej *Podróży na Wschód*, nigdy nie pamiętał o drugim wierszu

wbrew dawnej przestrodze:
Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze.
Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie;
A będą mocne, i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie«.

Otóż w tym wypadku, rzeka u Zaleskiego dlatego jest *stromą*, że skomponowawszy wiersz drugi

Roma! Roma! Gdzie ta Roma?

starał się potem do niego pierwszy dosztukować zgrabnie. Niestety, uczynił to niezgrabnie, każdy bowiem, kto się zna na sztuce pisania wierszem, pozna odrazu, dlaczego ta rzeka jest tutaj stromą?

Konny posąg, wódz na przedzie,
Nieprzystępny, głuchy, niemy,
Przez bezdroża jedzie, wiedzie,
Nagle staje

I ten wiersz nie spodobał się Słowackiemu: przedewszystkiem nie podobało mu się owo »nudne dziecinne powtórzenie« owego nieszczęśliwego *jedzie, wiedzie;* a powtóre, nie spodziewał się po niem tak prędko tego *nagle staje.* To *jedzie, wiedzie* tak rozpędza wyobraźnię czytelnika, że kiedy, rozpędziwszy się w jednym wierszu, musi zaraz w następnym stanąć nagle, doznaje nieprzyjemnego wstrząśnienia. Ale niebawem czeka go jeszcze większa nieprzyjemność, przypominająca to samo wrażenie, którego doznał nad ową *stromą* rzeką. »Konny posąg, wódz na przedzie«, stanąwszy nagle, taką »grzmi ku swoim wieść *ponurą*«:

Tu spoczniemy!
Strona w stepach ta! czy nie ta?
W nocy wskaże nam kometa...
Roma, Roma nie daleka!

Jakim sposobem mógł poeta nazwać podobną wieść *ponurą?* Przecież wieść ta, że Roma niedaleko, była bardzo pocieszającą i radosną dla rycerzy Al hun Ryka? Jakim sposobem? Takim, że bezpośrednio po owym wierszu

Grzmi ku swoim wieść ponurą,

następował dalszy ciąg przemówienia Al hun Ryka, przemówienia w czterech wierszach, które brzmiało, jak następuje:

Tam za siódmą tylko górą
Za dziewiątą tylko rzeką —
Ale słońce mile świeci,
Poigrajcież w piasku, dzieci!

Ta siódma *góra* sprawiła, że poeta musiał — dla rymu — tę wieść nazwać *ponurą;* co, przyzna każdy, jest niezgrabnością studenta, piszącego wierszyki. Z takiemi niezręcznościami musi być »wieszczowi« bardzo nie do twarzy! Co zaś do owych czterech wierszy, to dwa pierwsze z nich są zdaniem Słowackiego, dobre, ponieważ są w stylu ballad i pieśni gminnych, ale dwa drugie za to są »tak śmiesznie do pierwszych przylepione, że przypominają nam krakowiaki ludu krakowskiego«. »Są dobroduszni czytelnicy, którzy z powodów *zupełnie gramatycznych* nie rozumiejąc tych wierszy, a słysząc je chwalone wysoko (bo nawet z wysokości katedry literatur słowiańskich w *Collège de France!),* z najwyższą pokorą sądzą, że to wysokość myśli,

która zrozumieć im (tych arcydzieł) nie pozwala. Nie będziemy czytelnika nudzić takim rozbiorem, ale tak rozebrać by się dała cała książka. Wiem ja, że wytknięte błędy nie są zupełnemi grzechami, że wszędy sensu domyśleć się można; ale przecież wielcy poeci piszą tak, aby najściślejszy rozbiór wytrzymać mogli. Co do piękności języka, to dorzucenie kilku wyrazów ruskich do rymu nie jest bogactwem; jest to ubóstwo raczej, które musiało pożyczać. Bogactwo polega na śmiałych i pięknych wyrażeniach, a harmonia — na poważnych i szerokich wyrazach, tudzież na otwartych samogłoskach; nie zaś na skupieniu krótkich jednosylabowych słów i na sprowadzeniu razem tętniących spółgłosek, tak, żeby miara wierszowa była garstką *zbitych razem w jedne* dźwięków«. Cudowny jest język Kochanowskich, Jana i Piotra, cudowny jest język Mickiewicza, kiedy unikają słów maleńkich, a tak władają obrotami mowy, że cała rzecz *wymalowana* jest obszernemi, błyskawicowemi słowy, bez przyimków i zaimków. Z tak szerokiego frazesu — powiada Słowacki — wykwita *obraz* lub *myśl, kształtem* obleczona. Piotr Kochanowski kreskował swoje *á*, a swoje *è* otwierał, gwałtem chcąc należytą językowi polskiemu harmonię wydrzeć z ust czytelnika. Jak należy pisać wiersze, jeśli mają być piękne naprawdę, uczy nas Mickiewicz. Za przykład niechaj posłużą choćby następujące wiersze z *Pana Tadeusza:*

A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
Brane z fartuszka *garście zaklętego złota.*

Ostatnia połowa drugiego wiersza (powiada Słowacki) jest cudnej harmonii, jeżeli ją *pełnemi i otwartemi ustami* przeczytasz: »*gá*rście zaklęt*è*go zł*o*ta«! Lecz Bohdan powiedziałby z pewnością: »Biorąc z fartuszka, *och,* dwie *garstki* złota!« Po tem bezstronnem — przyzna każdy — porównaniu Zaleskiego z Mickiewiczem, porównaniu, które dowodzi, jak subtelnym znawcą piękności poetyckich był Słowacki, następowało bardzo trafne określenie maniery wogóle, a maniery autora *Przegrawek* w szczególności. Piękność języka polega, zdaniem Słowackiego, zdaniem, któremu słuszności odmówić niepodobna, na świeżości wyrażeń, nie na indywidualnym i excentrycznym toku mowy; to jest manierą. Pod tym względem nie znajdzie nikt w całym tomie *Przegrawek* ani jednego »prawdziwie nowego i szczęśliwego oddania myśli«. Jedyna nowość w nich pochodzi z dwukrotnie powtórzonych wyrazów albo z nadużywanych najczęściej bez najmniejszej potrzeby *A* lub *O!* Autor *Przegrawek* nie powie nigdy *Dumy Dumki,* ale *Dumy*

a *Dumki;* nie powie *Polska,* lecz *Polszcza.* Co zaś do owego powtarzania dwukrotnego słów, to na korzyść jego powiedzieć można tyle tylko, iż jest ono bardzo miłe — dla niewprawnych czytelników, albowiem ułatwia im pracę nudnego i często źle dokonywanego syllabizowania. W ogóle jednak, a w poezyi szczególniej, jest ono, zdaniem autora *Beniowskiego,* smutną rzeczą, gdyż jest niepotrzebne, gdyż używane tak, jak w poezyach Zaleskiego, nie dowodzi żadnego nacisku myśli. Za przykład niechaj posłużą *Sonety* Zaleskiego, np. *Sonet II,* którego wiersz 3-ci brzmi: **Laura! Laura!** *Miłością i pieśnią królowa!* a wiersz 13-ty: **Cudna, o! cudna** *pieśni,* ciszej, ciszej *trocha!* Ten sam zarzut odnosi się zarówno do *Sonetu III,* którego wiersz 5-ty brzmi: **Tęczuje się, tęczuje,** *aż w piaskach zaginie...,* jak i do *Sonetu XIV,* którego wiersz 9-ty brzmi: **Dalej, dalej, o! dalej,** *za wiatrem popędzę,* a wiersz 13-ty — **Indziej, indziej, och!** *razem zanucimy miłe!* Tyle o formie tych sonetów. Co do treści ich, to »niechże kto spróbuje powiedzieć prozą, jaka myśl znajduje się w tych 3-ch sonetach? Oto jedna, pospolita, że pan Bohdan był na grobie Laury i Petrarki, i śpiewał. Nic więcej z nich wycisnąć się nie da. W ogóle wszystko, co w tym tomie Zaleski pisze o Włoszech, jest w przekonaniu Słowackiego więcej, niż mierne. Jedyny wyjątek pod tym względem stanowią początek i koniec listu o Rzymie, choć i one są także pozbawione jakiejkolwiek myśli; tyle tylko, że jako dźwięk są ładne. Za to środek jest dziwnie ckliwy. A przytem, czyż można w Rzymie wywoływać Jana Kochanowskiego? O czem tu z poczciwym Janem gadać? »Szlachcic dobry, któremu język nasz wiele, a myśl nasza nic nie jest winna, oprócz kilku łez prawdziwych nad zgonem dziecięcia«. Ale jakikolwiek jest ten list o Rzymie, przyznać trzeba, że w porównaniu z przypiskami, jakiemi go poeta w odsyłaczach u dołu zaopatrzył, jest to arcydzieło jeszcze. Choć i przeciwko temu chyba nikt nie zaprotestuje, że przypiski poety, do *Przegrawek* w ogóle, a do listu o Rzymie w szczególności, są także arcydziełem w swoim rodzaju: w każdym razie jedno nie ulega wątpliwości, że są »jedynem zjawiskiem w współczesnej literaturze wszystkich, razem wziętych, narodów«. Bo czego nas uczą te przypiski? Oto, z pierwszego dowiadujemy się, że Perun był bożkiem gromowładnym, że Światowid był bożkiem słońca i pokoju, etc., etc. Zdaje się, iż są to rzeczy, które są wiadome każdemu studentowi. Przynajmniej on, Słowacki, uczył się o nich w gimnazyum. Druga nota informuje czytelnika (którego autor *Przegrawek* posądza o ignorancyę rzeczy

najprostszych), że Odyn był rewelatorem, a potem bożkiem skandynawskim. W trzeciej poucza, że Lais-virelais i Minny są pieśniami trubadurów; w innej znowu, że Spartakus był rodem z Tracyi i wodzem w powstaniu gladiatorów; z innej, że Sobótki były piosnki dziewczęce, które Jan Kochanowski pisał; z innej, że Dorota Podlodowska była żoną Jana Kochanowskiego; z innej, że i Mikołaj i Jędrzej byli braćmi; z innej, że Piotr Kochanowski tłómaczył *Jerozolimę* Tassa; z innej, że Orszula była córką Jana Kochanowskiego i że Jan pisał *Threny;* z innej, że Coloseum jest to amfiteatr w Rzymie. »Do takich not, konkluduje Słowacki, przypisów własnych kłaść nie będziemy, albowiem są zbyt jasne. W imię Danta, wielkiego praojca szkoły katolickiej, zaklinam poetów, którzy się szlakiem tęczowym do Maryi Panny udali po Natchnienie, aby się nie spuszczali zupełnie, jak lilije, na szaty, od Boga sprawione, albowiem człowiek jest jedyną istotą, która mając kształt piękny, sama jednak o swoim stroju myśleć powinna«. Kończyła się ta krytyka ogólną charakterystyką indywidualności poetyckiej Bohdana Zaleskiego, który, w przekonaniu Juliusza, mogąc dojść bardzo wysoko, mogąc się stać Aryostem kozaków Dnieprowych — tak, że kiedyś ślepy lirnik śpiewałby jego długi poemat ludowi, a lud przyklaskiwałby lub płakał dobrodusznie, jak neapolitańskie lazarony, gdy im obdarty poeta o śmierci konia Rolandowego zaśpiewa — dobrowolnie stanął przy wielotomowym Kniaźninie, a jeszcze i przed Karpińskim z drogi ustąpił. A czemu? Bo mu brak wykształcenia, bo się nie dosyć kształcił na wielkich wzorach, a zbyt polegał na swej ukraińskiej samodzielności. Trudno, bez wielkiej ambicyi poetyckiej dojść do niczego w poezyi nie można; my zaś, kończy Słowacki, cośmy tę krytykę trochę przyostro może napisali, więcej mieliśmy przyszłość Zaleskiego na celu, aniżeli teraźniejszy laur jego; bo ten dzisiejszy laur śpiewaka *Przegrawek* nikomu słońca nie zasłania, jakkolwiek zaprzeczyć się nie da, że z jego rozciętej kory może jeszcze zaczarowana Rusałka wyjść na świat w promieniach.

Takie było zapatrywanie się Słowackiego na twórczość poetycką Zaleskiego w listopadzie roku 1841, pogląd, którego zresztą nie zmienił do końca życia. Zawsze go, jako poetę, cenił najmniej z całego parnasu polskiego. Muza jego, mawiał, jest tak pierzchliwa, że gdy go nawiedzi, on wnet na palcach skrada sią do swego biurka, żeby jej nie spłoszyć. Język Kochanowskiego, zwłaszcza Piotra, to dzielny rycerz kresowy, z wąsem zawiesistym i w sta-

lowej zbroi, co skrzydłami orła szeleszcząc, z mieczem na wroga nastaje; język zaś Bohdana, to kusy Niemiec we fraczku, co koziołki na linie przewraca.

Z kolei nadeszły święta Bożego Narodzenia, w życiu Słowackiego z pewnością jedne z najsmutniejszych, a po świętach przypomniał sobie Słowacki, że jeszcze Krasińskiemu nie odpowiedział na jego ostatni list. Jakoż zaczął pisać do niego, ale był tak rozstrojony, tak zgnębiony wszystkiem, przez co przechodził ostatniemi czasy, że co napisał wieczorem »w gorączce« list do Zygmunta, »nad rankiem«, kiedy przeczytał ten list, zawsze darł go i palił. Tak spalił kilka listów, zanim ostatecznie napisał taki, który wysłał w końcu. Ale i ten nie był weselszy od innych.

Istotnie stan, w jakim się teraz, dzięki pani Bobrowej, znajdował Słowacki, był opłakany. Nie pomagały rady Zygmunta, ażeby »nie tracił życia na nędzne zgryzoty«, ażeby był »mężem z białego marmuru«, ażeby »zrzucił z piersi nogi Rubensowych Madonn«, ażeby się nie pozwalał im deptać. Nękany, »wewnętrzną gorączką«, zbyt daleko już postąpił na tej »drodze szału«, ażeby się z niej módz cofnąć nagle. Są dane nawet, pozwalające przypuszczać, że w chwilach takiego szamotania się, kiedy chciał *coute que coute* zapomnieć o wszystkiem, uciekał się do marnego, ale pewnego środka, który go »wyrywał z melancholii« a którym był np. szampan. W księgach rachunkowych *Klubu polskiego* (za których zgodność z księgami raportu Rady gospodarczej świadczył Słowacki, wybrany w roku 1842 na jednego z 12-tu dyrektorów klubu) znajduje się pozycya, że »w dniu 6-tym lutego (1842) Słowacki kazał sobie podać dwie butelki wina szampańskiego za fr. 10.25«, pozycya, która świadomym, w jakiem usposobieniu Słowacki był w tym okresie czasu, może dać do myślenia, może obudzić podejrzenie, czy te dwie butelki szampana, wypite w dniu 6-go lutego, nie były wypite w jakiej chwili rozpaczy, po jakiej scenie z panią Bobrową. Wszystko jest możebne. Cokolwiekbądź, jedno jest pewne, że w tym czasie właśnie pisząc do matki, pisał poeta, co następuje: »Otóż tak, droga moja, piszę ci sny moje, nie mogąc zupełnie opisać wszystkich chwil jawy i czuwania: bo dni i wypadki mojego życia są takie, że jak Stern wydobywam z nich łzy i rozczulenia... Ale te łzy, to rozczulenie wydobyte jest ze szczegółów, nie z ogólnego wydarzenia. Trzebaby więc imion i rzeczy, a to wszystko ciebie obchodzić nie powinno«.

Co innego, kiedy pisał do Zygmunta: do niego mógł pisać otwarcie, wszystko nazywając po imieniu. To też pi-

sząc do niego, skarżył się, że jest »bardzo sam na ziemi«, i nie taił, że tak »źle«, jak teraz, nigdy mu nie było na świecie. Nadto, pod wpływem całego szeregu scen z panią Bobrową, w której pamięci, skierowanej ku Krasińskiemu, poprostu »coś magnetycznego« zachodziło, (jak to zauważył Słowacki w swym liście do Zygmunta), zapytywał go, czego właściwie, będąc w takiem, jak on, Krasiński, położeniu, można żądać od nich, Słowackiego i pani Bobrowej? Jakie jest jego żądanie? Czego pragnie, czego spodziewa się po nich? Niech jasno sformuje swoje żądanie.

Oto, co na to zapytanie odpowiedział Zygmunt. »Pytasz, czego żądam od ciebie i od niej? Od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni, tak, jak ja tobie, a kiedy chwila *taka* się zdarzy, był *tak!*. Od niej zaś, cóż powiem? Nic zupełnie, chyba spokoju!

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia,
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie...
Daj mi więc jeszcze, tu, na żywych świecie,
Co zmarłym dają: pokój zapomnienia.

Temi czteroma wierszami zakończyłem ośm innych na jej stoliku we Frankfurcie. Czegóżbym innego mógł, lub miał prawo, zażądać od niej, lub mogąc, chciał! Alboż już jej nie dosyć złego kłopotu moja jaźń (styl Trentowskiego) wyrządziła? Była niegdyś aniołem dobroci dla mnie, lecz szczęścia, podług jej o szczęściu wyobrażeń, nie miałem na podorędziu, ni w losach moich było takiem pedanckiem kiedy kogo módz obłogosławić szczęściem. Są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia! Serce kobiece o pioruny nie dba, chce mu się niw tych gładkich, długich, jednakowych, konserwatorskich zawsze! Znajdźże je na ziemi! Nie ty pierwszy już twierdzisz, że coś magnetycznego zachodzi w tej pamięci ciągłej, skierowanej ku mnie. Pamiętasz, i Malczewski, taką magnetyczną spójnią związany, i jej poddawszy się, umarł z rozpaczy. Straszne to miłości, tam, gdzie magnetyzm działa, bo ślepe, jak los, jak ironia, gorzkie i nieszczęśliwe, jak nieszczęście... Cóż więc rzec mogę o tem wszystkiem? Może raczej ona czego żąda odemnie, to mi powiedz! Wtenczas i listów swoich do mnie, zaklinam cię, nie pal. Możeś pięć lub dziesięć prawd spalił, któreby mnie się wielce zdały, może dwadzieścia objaśnień, sto spostrzeżeń trafnych! I zostawiłeś mnie w ciemnicy!«

Ta ostra i stanowcza odpowiedź Zygmunta, jeśli ją Słowacki przeczytał pani Bobrowej (a zdaje się, że jej czy-

tał wszystkie listy Zygmunta), była wyraźnem i wcale niedwuznacznem oświadczeniem, iż swój stosunek z nią uważa za skończony raz na zawsze, że niczego nie żąda od niej, tylko spokoju zapomnienia, i że pragnąłby, ażeby się myśl jej, dotychczas »magnetycznie« skierowana ku niemu, zwróciła w inną stronę. Jego rolę powinna uważać za skończoną w swem życiu.

List był tego rodzaju, że pokazany pani Bobrowej, powinien ostatecznie sprowadzić rozczarowanie z jej strony. Autor *Irydiona* dawał w nim — wcale niedwuznacznie — do zrozumienia, że o niej słyszeć nie chce, że nie pragnie wcale, aby go prześladowała swą pamięcią. Niech czyni, co chce, byle jemu dała »pokój zapomnienia«. Czy Słowacki pokazał swej dręczycielce ten list? W każdym razie, jeśli to uczynił, to pewno z taką *arrière pensée*, że po tym liście powinna się pani Bobrowa zrazić do Krasińskiego ostatecznie. Jeżeli takie było jego wyrachowanie, to zawiódł się i tym razem: pani Bobrowa bowiem, jakkolwiek bolesnym ciosem mógł być dla niej podobny list, nie sprzeniewierzyła się swemu uczuciu, a przynajmniej nie sprzeniewierzyła mu się na korzyść Słowackiego.

Wśród takich okoliczności przyszła Wielkanoc, nadeszła wiosna, a z nadejściem wiosny, jednego z pierwszych dni maja, pani Bobrowa wyjechała z Paryża, udając się, jak i zeszłego roku o tej porze, do Frankfurtu nad Menem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wyjechała około 5-go lub 6-go maja. Dnia 4 maja, w dzień św. Zofii, a więc w imieniny Zosieńki Bobrówny, przyszedł Słowacki około godziny 4-ej pożegnać się z matką, a powinszować córce, dla której przyniósł pudełko cukierków. Na ulicy jednak, w pobliżu domu, gdzie mieszkała pani Bobrowa, spotkał służącą jej, od której dowiedział się, że jeśli idzie do nich, to nie zastanie nikogo, bo pani i panienki pojechały tam, gdzie się woda leje. Zdziwiony tą wiadomością poeta, rozumiejąc, że tą miejscowością, gdzie się woda leje, mogła być pompa Grenille, oświadczył służebnej, że w takim razie zaczeka do obiadu. Na to mu odpowiedziano, że obiad jest obstalowany gdzieindziej, nie w domu. Na taką wiadomość nie pozostawało Słowackiemu nic innego, tylko wrócić się do domu. Jakoż uczynił to. Wracając jednak zamyślony, przypomniał sobie, że dzisiaj puszczają się *grands eaux* w St. Cloud, że pani Bobrowa musi być w St. Cloud, »z panią Andlej, z panem Andlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z połową Paryża, *jeżeli nie z czem więcej*«. Tu przyszło mu na myśl, czyby nie lepiej było oszczędzić sobie i pani Bobrowej tej sceny

pożegnania. Kto wie, czy tak nie będzie lepiej? Po chwilowym namyśle nabrał przekonania, że tak będzie lepiej stanowczo, i zawrócił się w kierunku mieszkania swej dręczycielki. Tam przyszedłszy, zadzwonił, a kiedy mu otworzono, zażądał papieru, pióra i atramentu, i oświadczył, że ma coś do napisania. Prawdopodobnie motywował tę potrzebę napisania listu do pani Bobrowej — cukierkami, które chciał dla Zosieńki zostawić. Cóżkolwiekbądź, kiedy mu podano papier, atrament i pióro, napisał list do pani Bobrowej, w którym jej między innemi pisał, co następuje:

»I dobrze się stało, że się tak stało (t. j., że pani nie zastałem w domu), bo to, cobym powiedział ustnie, powiem na piśmie. Oto żegnam Panią! Nic w mojem sercu nie ma, coby się mogło przydać Pani; owszem, wszystko może odwiodło-by Ją od egoizmu, od szczęścia. Jam ciągnął za Panią dawny jęk przeszłości; ze mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna! A ilem ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zaliczyć i tej nuty może nigdy Pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz! Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów! Znikajmy więc, abyśmy się odnaleźli. Na ostatnią pamiątkę zaimprowizuję Pani, jak gdybym żył jeszcze.

O, gdybym ja wiódł Panią do kaskady,
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn Giesbach, a śród laurów w Terni.

Dzikie bym zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadłabyś milcząca,
Jak Anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał — śpiewu i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził,
Możebym wieczną tam zatrzymał siłą,
Śpiewem skamienił i lodem zamroził,
I kazał tęczom świecić nad mogiłą!

Tymczasem dzisiaj, kiedy Cię tam zawiódł kto inny, nie ja,

Sumienie Pani powie samo, głuche,
Że niegdyś łzy tak sączyły się z oczu,
A dzisiaj oczy patrzą, takie suche.

Czyś tem przeklęta, czy błogosławiona,
Że serce zimne, oczy łez nie leją?

Powie ci kiedyś mogił druga strona,
Gdzie serca pękną, albo się rozgrzeją.

Co do mnie, wiem ja, jak to praca pusta.
Serce kobiece na czas przeanielić...
Dlatego odtąd wiecznie zamknę usta
I wolę nie być z Panią, niż zgon dzielić.

Bo to okropnie: rany pozamykać,
Zagoić wszystkie dawne serca blizny,
Iść, i aniołów już nie napotykać

i nie mieć ani serca, ani nadziei, że kiedyś przecież, po przetrwaniu tych męczarni, będzie lepiej i szczęśliwiej na świecie. W każdym razie, nawet taki złamany, jak dziś, to i dzisiaj jeszcze,

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
A ciebie taką między tłumem zoczył,
Zleciałbym na cię, jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył!

»O! dosyć już! Trzeba się rozstać! Bez groźby, ze smutną cichością odchodzącego człowieka. Żegnaj mi, Pani, do jaśniejszych i wyświetlonych czasów. Lolly i Zosieńka niech będą zdrowe.

Juliusz«.



KSIĘGA SIÓDMA.

M I S T Y C Y Z M.

1842 — 1849.

Jak orzeł gniewny, Panie wiekuisty,
Zleciałeś na mnie i skrzydły przykryłeś.

ROZDZIAŁ I.

POCZĄTKI TOWIAŃSZCZYZNY (1841—1842).

Andrzej Towiański. I. Uzdrowienie żony Mickiewicza. Nabożeństwo w katedrze *Notre Dame*. Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej w kościele św. Seweryna. Pogłoski o Towiańskim i jego nauce. Główne zasady nauki Mistrza. Towianizm nie jest objawem odosobnionym. II. Słowackiego zainteresowanie się Towiańskim i jego nauką. Eglantyna Patteg w Paryżu. Odnowione stosunki z Czartoryskimi. Słowackiego psychologia po wyjeździe pani Bobrowej. Nabielak przedstawia Słowackiego Mistrzowi. Śmierć księcia d'Orléans. Towiański wydalony z Paryża. Wiersz *Tak mi Boże dopomóż*. List do pani Bobrowej. Słowackiego rozmowa »sam na sam« z Towiańskim. Towiańskiego pożegnanie »z braćmi«. Słowiackiego apostolstwo w klubie. Parodya wiersza: *Tak mi Boże dopomóż*. III. Prośba do ministra. Koło. Pierwsze kazanie X. Kajsiewicza. Słowackiego wycieczka do Saint Germain do Mickiewicza. Przyjeżdża pani Bobrowa. Zmiana mieszkania. Goszczyński mieszka u Słowackiego. 27 listopada 1842 roku. Mickiewicz rozpoczyna trzeci rok kursu literatury słowiańskiej. Słowacki na wykładach Mickiewicza. Słowackiego list do Krasińskiego.

Cokolwiekby się dało powiedzieć o Andrzeju Towiańskim, na jedno trzeba przystać bezwarunkowo, że nie był to człowiek pospolity. Oto naprzykład, jak go charakteryzuje Adolf Lebre, jeden z wybitniejszych pisarzów szwajcarskich, który bynajmniej nie należąc do zwolenników »Mistrza«, przyznawał jednak, że wrażenie, jakie ten człowiek robił na innych, było niezwykłe: »Poznałem Towiańskiego; nie mogę sądzić o nim bezstronnie, bo to człowiek niezwykły; wszystkie tęsknoty i dążenia epoki naszej znalazły miejsce w jego sercu; on jest duchem wcielonym wieku. Jego wiedza, jego bystrość, potęga jego ducha są nadludzkie, wskazują w nim człowieka w stanie ekstazy, albo raczej podniesienia, pełnego słodyczy i siły, która daje mu skrzydła do wspaniałego polotu w sfery nadziemskie;

myśl jego natchniona jest dobrocią i miłosierdziem bez granic; hymn radości i tryumfu dźwięczy w jego sercu. To anioł nie człowiek! Ta wspaniałość monarsza, ten wzrok pełen słodyczy, ten spokój, ta siła, ta miłość, ta skromność, ten wyraz dziewiczy i to czoło cesarskie: co za człowiek! Jeśli on nie jest chrześcianinem, to obudzi w sercach ludzkich takie wątpienie o prawdzie chrześciaństwa, jakiego nie budziły dotąd żadne systemy filozoficzne. On gotów odwrócić miliony od krzyża«. Z jeszcze większym entuzyazmem wyrażał się o Towiańskim X. Duński, którego możnaby nazwać św. Pawłem Towiańszczyzny, bo walcząc przez siedm lat z nauką Towiańskiego, jako jeden z najdzielniejszych członków zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, po siedmiu latach sam w końcu został uczniem Mistrza, którego urokowi dziwnemu oprzeć się nie potrafił, pomimo całej walki, jaką przez tak długi czas toczył z sobą. »Wyznaję, słowa są X. Duńskiego, że na drodze żywota mojego nie napotkałem człowieka, ani czytałem takiej książki, któraby pokazała tak wysokie i wielkie pojęcie o ofierze Jezusa Chrystusa, jak ją pokazuje Andrzej Towiański, a ofiary tej naucza słowem, życiem całem i przykładem«. Wogóle twierdził X. Duński, że w życiu swojem spotkał tylko dwóch ludzi, których widok »nieziemsko« go przejął: Piusa IX i Towiańskiego. W sposobie mówienia Mistrza było wiele rysów, zdaniem X. Duńskiego, przypominających Piusa IX. To też nie dziwił się, że »ten człowiek nadzwyczajny« robił takie wrażenie na ludziach, »bo nigdy, powiada, nie spotkałem człowieka, mówiącego z taką pogodą, jasnością, pewnością, a razem pełen prostoty i miłości«. »Widziałem w nim prawdziwą pokorę, z zachowaniem wolności i godności chrześciańskiej: wielką miłość Chrystusa Pana i wszelkiej prawdy, niesłychaną wiedzę i praktyczne jawienie skarbów Bożych, w skale Piotrowej złożonych; w rozmowie i każdym czynie — ton czysto chrześciański (płynący z miłości Boga i bliźniego), ton, prawie już zagubiony na ziemi; żadnego oglądania się na osoby: żebraka przyjmie do braterstwa, równie, jak wielkiego podług ziemi. Ze wszystkiego, co widziałem i słyszałem, mniemam, iż jest to prawdziwy sługa Chrystusa, sługa epoki, jak się sam nazywa. Mam sumienne przekonanie (a świadectwo tego dziś praktycznie w sobie noszę!), że człowiek ten jest *jedyny* do podania *każdemu stanowi* słowa i *idei ożywiającej*, pokazującej drogę praktyczną chrześcijańską. Wychodziłem od niego, po każdej rozmowie, z najgorętszem pragnieniem *stanięcia lepiej* przed Bogiem i ludźmi, w wielkiem i świętem powołaniu kapłana«. Tak pi-

sał X. Duński, do niedawna jeden z najżarliwszych bojowników w walce z Towiańczykami. Z podobnym entuzyazmem pisze o Towiańskim, z którym się poznał w roku 1848, Karol Baykowski, który, jak powiada, swe młode lata spędził w owej ciężkiej walce chrześciańskiego sumienia z patryotyzmem, opartym na nienawiści. Ztąd rozdźwięk moralny, który go wtrącił w ponurą melancholię. Możeby wpadł w obłąkanie, gdyby nie zbliżenie się do Towiańskiego: od chwili, kiedy poznał Mistrza, odrazu poczuł, że mu w duszy zajaśniało słońce. Oto, co sam pisze o tem, w swojem piśmie *Z nad grobu:* »Witajże mi nakoniec, dniu wielce błogosławiony — nietylko w tym doczesnym, ale i w wiecznym żywocie ducha mojego — dniu 25 lutego 1848 roku, w którym Bóg w Trójcy świętej jedyny, przez sługę swojego, Andrzeja Towiańskiego, przez to wybrane narzędzie woli i miłosierdzia swojego dla świata na wieki poczętej epoki chrześcijańskiej, rozwiązał ciężkie zaklęcie moje: rozwiązał i dostępną zmysłom moim uczynił tajemnicę tej wiecznie dręczącej mię niezgody mojej z samym sobą — dniu, w którym po raz pierwszy w życiu mojem to przykazanie Chrystusa *Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego, jak siebie samego,* stało się dla mnie nie abstrakcyjnym tylko ideałem ducha, ale uczuciem najrealniejszem; bo czemże był ten sługa Boży, na którego patrzałem, którego dotykałem, z którym rozmawiałem, jakby ze znanym mi oddawna ojcem i przyjacielem, czemże było każde słowo i każdy ruch jego, jeśli nie uosobieniem i żywem wydaniem uczucia tego, a tylko w nieskończenie wyższym stopniu nad to wszystko, do czego duch mój kiedykolwiek sięgał w chwilach najwyższych uniesień i przeczuć swoich«. Pod wpływem tego zjednoczenia się z duchem Mistrza, zapłonął i Baykowski sam w tej chwili, jak zapewnia, podobnem uczuciem dla Boga i świata: »Ja sam realnie kochałem Boga nadewszystko, a bliźniego, jak siebie samego; bo siebie kochałem tylko miłością; zbawienia dla wszystkich — bez wyjątku — bliźnich moich pragnąłem. Podobne wrażenie uczynił Towiański na Ludwiku Nabielaku, który po pierwszej rozmowie z Mistrzem, kiedy wyszedł, rzekł: »To istny Nataniel! Szczerość i prostota sama!« Wielogłowski powiadał o nim (co później napisał także), iż Towiański miał to do siebie, że wystarczało mu raz jeden pomówić z kim, a odrazu zyskiwał nietylko wiarę w siebie, ale od pierwszej chwili wzbudzał cześć »prawie nieludzką«; tyle w nim było świętości. »O! gdyby księża, mawiał Mickiewicz, mieli choć cząstkę świętości, którą widzę i czuję w tym mężu, a której podobnej, w mojem przekonaniu, od czasów Jezusa Chrystusa

nie było na ziemi w takiej zupełności i mocy«. To też skutek, jaki robił na ludziach, do których mówił, był taki, że się nietylko nawracali z całego serca, ale się »u nóg jego włóczyli«. Miał w sobie, przy całej prostocie i cichości, coś imponującego. »Żakiem jestem przy nim«, wyraził się raz Mickiewicz. Na dowód, że osoba jego istotnie wywierała jakiś urok czarowny, urok, którego niektórzy nie mogli się pozbyć aż do śmierci, przypomnieć należy, że urokowi temu nie oparł się nawet Thiers. »*C'est le prémier homme,* wyraził się po swej godzinnej rozmowie z Towiańskim, *avec qui je pouvais causer pendant une heure des choses qui ne touchent pas, ni l'histoire, ni les affaires politiques, mais une religion toute nouvelle*«. Ale Thiers, choć przyznawał później, że Towiański uczynił na nim *une grande impression,* był zbyt mało skłonnym do egzaltacyi, ażeby uwierzyć w tego »męża Bożego«, ażeby w nim ujrzeć »naczynie łask dziwnych«; ale natury idealistyczniejsze, głównie rządzące się uczuciem, nie zimnym rozumem, ulegały tej przedziwnej mocy, jaką posiadał ten człowiek, a która nietylko łamała najpotężniejsze duchy wśród emigracyi polskiej, ale zdołała podbić niejednego ze znakomitych cudzoziemców, zwłaszcza Włochów: duchownych, jak Barone, polityków, jak Scovazzi, uczonych, jak Forni i Canonico.

Co także potęgowało to pierwsze wrażenie, jakie Towiański czynił na ludziach, to niejakie podobieństwo do Napoleona (z czasów wojny roku 1812, kiedy ten nowożytny Cezar był bardziej otyły), podobieństwo, o którem Towiański zdawał się wiedzieć, a które jeszcze powiększał ubiorem; bo ubierał się tak, że swym zewnętrznym wyglądem mimowoli przypominał trochę wielkiego Cesarza. Dlatego nosił zawsze, a przynajmniej najczęściej, surdut brązowy, jaki zwykle nosił Napoleon, i długie palone buty z cholewami. W takim stroju, sam będąc wzrostu średniego, postaci szczupłej raczej, »choć wyraz siły wiązał delikatniejsze kształty«, o twarzy pięknej, męzkiej, pięknem, wysokiem czole, które okrywał włos siwy, krótko ostrzyżony, czyściutko przyczesany, o szaro-błękitnych, niezmiernie bystro, choć łagodnie zarazem, patrzących oczach, przypominałby Napoleona tem żywiej, gdyby nie to, że dla słabości wzroku nosił niebieskie okulary.

Tak się przedstawiał zewnętrznie ten »filozof ewangeliczny«, ten »apostoł pokoju i powszechnego miłosierdzia«, ten »mąż-zwiastun nowej epoki«, ten »mąż-pocieszyciel«, który, obdarzony zadziwiającą bystrością w poznawaniu charakterów ludzkich, choć się mienił prostaczkiem ducho-

wym, odznaczał się niepospolitą bystrością umysłu, inteligencyą, która mu pozwalała na najtrudniejsze pytania zawsze odpowiadać trafnie, a w taki sposób, że strona pytająca wychodziła nietylko pokonaną, ale i przekonaną. To ostatnie zawdzięczał swej bujnej a porywającej wymowie, która będąc na usługach jego niepospolitych sił umysłu i poetyckiego zapału, wywierała wpływ magiczny, olśniewała i oszałamiała zarazem.

I.

Taki był człowiek, który, w dniu 30 lipca 1841 roku, zadzwonił do mieszkania Mickiewicza. Poeta przed chwilą dopiero powrócił z Vanvres, dokąd był odwiózł swoją obłąkaną żonę. Tam ją umieścił w t. zw. *maison de santé*. Powróciwszy do Paryża, do domu, w stanie blizkim zwątpienia i rozpaczy, z duszą ściśniętą utrapieniem, w głębokim smutku, rozkazał służącej, ażeby nie wpuszczała nikogo. Ledwo służąca wyszła, zadzwoniono właśnie. Służąca poszła otworzyć, ale oświadczyła przybyłemu, że pan nie przyjmuje. Wtedy gość, mężczyzna 43-letni, oświadczył jej, ażeby oznajmiła swemu panu, że pragnący się z nim widzieć przybywa z Polski i ma ważny obowiązek do spełnienia. Na te słowa, Mickiewicz, który je dosłyszał z przyległej komnaty, wyszedł do sieni a zobaczywszy gościa, poprosił go do swego pokoju. Przybyły, przekroczywszy próg mieszkania poety, pozdrowił go staropolskiem: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* poczem, zarekomendowawszy się, przypomniał mu, że przed 20-tu laty widzieli się raz w Wilnie (czego sobie Mickiewicz nie przypominał), a w końcu rzekł, że przynosi dobrą nowinę. Ale Mickiewicz, mając głowę nabitą czem innem, słuchał z roztargnieniem. Spostrzegłszy to, przybyły rzekł: »Duch twój uwięziony gdzieindziej«. Na to Mickiewicz: »Nie wiecie może o moich biedach domowych?« A gdy Towiański zdradził niewiadomość w tym względzie (przyczem dał poznać, iż nie wiedział nawet, że poeta jest żonaty), opowiedział mu, w jakich go zastaje okolicznościach, zkąd powrócił przed chwilą, etc., etc. Wysłuchawszy opowiadania poety, zapytał Towiański: jak z domu jest jego żona? Szymanowska, odparł Mickiewicz. »Czy z rodziny hrabiów tego nazwiska«. »Nie«. Wtedy, ku najwyższemu zdumieniu poety, przybyły oświadczył mu, że zna potęgę ducha, objawioną przez Pana naszego, i że obłąkaną — uzdrowi. Na to zauważył Mickie-

wicz, iż wierzy w miłosierdzie Boże. Wtedy Towiański upewnił go, że Celina będzie zdrowa, że wyzdrowieje zaraz, na dowód zaś, że to nastąpi jeszcze w tych dniach, rozkazał poecie, żeby ostrzegł swoich przyjaciół, że ją zdrową zobaczą. Uprzedziwszy przyjaciół, niechaj pojedzie do Vanvres zaraz jutro, niech zabierze Celinę, nie zważając na stan, w jakimby ją znalazł, i niech z nią pojedzie do Paryża, do siebie. Wtedy on, Towiański, uzdrowi ją. To powiedziawszy, pożegnał poetę. Odchodząc rzekł: »Choćby wojsko stanęło pomiędzy nami, rozproszę je!« I zniknął za drzwiami. Poeta został sam — ze swemi myślami. Rzecz prosta, że wrażenie, jakie na nim uczyniła ta wizyta Towiańskiego, było piorunujące. *Un coup de foudre!* Sam nie wiedział, co o tem wszystkiem myśleć, a zwłaszcza, co myśleć o tym człowieku dziwnym, który z taką pewnością obiecywał mu, że Celinę uzdrowi, iż prawie wątpić nie pozwalał, ażeby to, co mówił, nie było wyrazem głębokiego przeświadczenia. Lecz kto mu dał tę moc uzdrawiania? Co to jest za człowiek? Te i tym podobne pytania nasuwały się mimowoli, ale obok zapytań tych rodziła się jakaś mistyczna wiara, jakieś przeczucie, że Celina będzie zdrowa — dzięki temu człowiekowi. Jakoż przekonał się niebawem, że uderzony szczególnym tonem tego człowieka, uwierzył w jego moc, uwierzył, że jemu będzie uzdrowienie swej żony zawdzięczał, że on jest mocen dokazać podobnego cudu. Było to dziwne uczucie, niewytłomaczone, a jednak narzucające się z jakąś nieprzepartą siłą. To też noc, którą potem Mickiewicz spędził, była straszna: »była to walka Jakóba!« wyraził się o niej później sam Mickiewicz. Ale z walki tej wyszedł poeta — zwyciężony: walczył, wątpił, w końcu jednakże, po nocy nieprzespanej, »zaufał w potęgę miłosierdzia Pańskiego«, a w zaufaniu tem była już ogromna doza wiary, że szafarzem tego miłosierdzia Pańskiego musi być ten człowiek. W tem uczuciu wyszedł na miasto, do kilku swoich znajomych, opowiedział im, co zaszło, uprzedził, że Celina będzie zdrowa, etc. Jeden stary doktór, Polak, kiedy mu Mickiewicz powiedział o tem wszystkiem, zaczął wątpić, czy poeta jest przy zdrowych zmysłach, wziął go za rękę i zaczął mu nieznacznie, niby od niechcenia, puls badać. Spostrzegłszy to, poeta roześmiał się. W końcu pojechał do Vanvres. Tam, skoro oświadczył swój zamiar doktorowi, ten sądził zrazu, że poeta nie jest kontent z jego zakładu i że chce żonę umieścić w innym zakładzie. Ztąd wywiązała się ciekawa i pocieszna scena, bo lekarz zrozumieć nie mógł, żeby poeta mógł mówić na seryo, co mówił. Ostatecznie, widząc, że poeta obstaje przy

swojem, rzekł: »Zresztą jest to twoja żona, możesz rozporządzać nią, jak ci się podoba«. Poczem udali się do Celiny, którą zastali w stanie nadzwyczajnej excytacyi, rozdąsaną, tak, iż miejscowi medycy, widząc to, zaręczali, iż trzeba ją będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Mickiewicz jednak, niewzruszony ich zaklęciami, nie zważając na »zupełne pomieszanie« Celiny, zabrał ją, wsadził do powozu, którym przyjechał, i »w kanikułę, gorąco i w czasie burzy« powiózł do Paryża, do domu. Tam był już Towiański, a oprócz niego kilka osób jeszcze (nie te, które uwiadomił o swym zamiarze, ale inne, przypadkiem przybyłe). W liczbie tych czterech czy pięciu osób był także Izydor Sobański. Wszyscy z ciekawością spoglądali na Celinę, która była właśnie w paroksyzmie choroby, miała wzrok osłupiały, błędny, a na twarzy była blada, jak z gipsu. Wtedy Towiański zbliżył się do chorej, wziął ją za ręce, poczem szepnął jej — do ucha — kilka słów, ale tak cicho, że nikt nie dosłyszał ani jednego wyrazu. Prawie w tej samej chwili, ku niesłychanemu zdziwieniu wszystkich, pani Celina padła na kolana, do stóp pana Andrzeja. Wtedy on, w swoim charakterze proroka, zamiast się wzruszyć tą dziwną pokorą obłąkanej, zgromił ją surowo, zaczął wymawiać grzechy, które popełniła, poczem rozkazał, żeby powstała, żeby uściskała męża i dzieci. Celina, już odmieniona zupełnie, przytomna i taka, jaką była zwykle, powstała, a wstawszy, zaczęła ściskać męża i dzieci. Wzruszenie, sprawione tem cudownem uzdrowieniem, było nadzwyczajne. Wszyscy popłakali się. Wtedy Towiański rozkazał pani Celinie, ażeby zaraz poszła do spowiedzi... Poszła i powróciła zdrowa zupełnie, a odzyskawszy najzupełniejszą przytomność, już jej odtąd nie utraciła nigdy.

Kiedy Mickiewicz, oszołomiony tem wszystkiem, prawie nie wierzący jeszcze, ażeby to cudowne uzdrowienie Celiny było rzeczywistością nie złudzeniem, jawą nie snem, nie wiedział, jak — i czem — sobie wytłómaczyć to wszystko, czemu przypisać te »okoliczności cudowne«, które towarzyszyły uzdrowieniu Celiny, oświadczył mu Towiański, że to, czego dokonał przed chwilą, dokonał nie z doświadczenia własnego, ale z rozkazu Boga, którego jest zesłańcem, że jest to znak, aby uwierzono weń, a przedewszystkiem, ażeby w niego uwierzył on, Mickiewicz, uwierzywszy zaś, dał świadectwo o jego misyi do emigracyi, o dobrej nowinie, którą on przynosi ludzkości.

I zaczął tłómaczyć Mickiewiczowi — a czynił to z porywającą wymową — że oto przed dwoma laty opuścił kraj, gdzie, jako sędzia sądu głównego litewskiego, był

otoczony szacunkiem współrodaków, rzucił znaczny majątek, który miał być skonfiskowany, rozstał się z pięciorgiem dzieci, które tem samem narażał na niebezpieczeństwo, i przybył do Francyi, ażeby naszym wychodźcom przynieść słowo zbawienia, ażeby im obwieścić dobrą nowinę.

Jaką nowinę? Przedewszystkiem niechaj wie, że emigracya już się ma ku końcowi, że zbliża się chwila powrotu do kraju, człowiekiem zaś, któremu Chrystus polecił przyspieszenie tego upragnionego *exodu* z Francyi, jest on, Towiański. »Wybiła godzina miłosierdzia Pańskiego«. Nadeszła chwila, kiedy mu, Towiańskiemu, *z wyżej* rozkazano objawić, iż zaczyna się nowa epoka, epoka łaski, epoka, w której Słowo stanie się ciałem. Przebrała się miara złego. Jak zawsze w takich razach, tak i teraz, Opatrzność zsyła środki zaradcze — w postaci mężów natchnionych, głoszących wolę Bożą. Takim mężem właśnie, zesłanym przez Opatrzność, jest on, Towiański. On ma sprawić, że to, co dawniej odbywało się długą koleją czasu, obecnie dokona się nagle. Wszystkie cierpienia ustaną. Skończy się panowanie przemocy i siły materyalnej. Ewangelia zapanuje powszechnie, jaśniejąc nie w słowach i formach, ale w sercach wszystkich. Wszystkie ludy będą wolne i niepodległe. Chrystyanizm utracił wiele z swego pierwotnego majestatu, zszedł z wysokości swego zadania. Trzeba odnowić chrześciaństwo, ożywić napowrót ducha prawdziwie chrześciańskiego, a to jest możebne tylko zapomocą uszlachetnienia człowieka przez pokorę i skruchę, jako prowadzących do tego wzniosłego celu; trzeba w sobie te najwyższe cnoty chrześcijańskie wyrobić wewnętrzną pracą duchową: i to jest *rzecz*, będąca zadaniem jego posłannictwa, to jest *sprawa Boża*, której służyć — dla urzeczywistnienia na ziemi myśli Bożej — muszą się podjąć ci wszyscy, którzy uwierzą w jego boskie posłannictwo! Skoro myśl Boża zapanuje w świecie, i duch *prawdziwie Chrystusowy* ogarnie ludzkość, wtedy samo przez się zniknie wszystko złe obecne, będące jedynie karą Bożą za zboczenie z drogi prawej, z drogi prawd Chrystusowych, i wówczas dopiero szczęście powszechne, powszechna błogość i cnota zapanują w całej ludzkości: zadanie zostanie spełnionem, myśl Boża owładnie duchem każdego człowieka i wszystkich pojedynczych narodów«. Tymczasem błogosławieni będą ci, którzy uwierzą pierwsi, że stanowczo godzina wybiła, że Bóg ulitował się nad nami. »Bóg mię powołał, abym wyprowadził na jaw to, co każdy tu (tu złożył obie ręce na piersiach) nosi w sobie. Gdy to się stanie, ostate-

czny tryumf jest zapewniony. Emigracya jest powołana na to, a powołana przez Boga samego, ażeby nauczyła Francyę, jakim sposobem ma być Francyą. Nie mamy odwagi być szczerze tem, czem jesteśmy; dlatego tak wielu pomiędzy nami najzacniejszych wewnątrz, lecz zewnątrz, w postępowaniu, nikczemnych i małych. Bóg domaga się ofiary ducha. W zupełności takiej ofiary leży tajemnica i wielkość czynu Chrystusowego. On pierwszy wyniósł sztandar pański, to jest objawił *zewnętrznie* całą potęgę swoją *wewnętrzną*. Po takim przykładzie, po wyrobie wieków, dzisiaj to przyjdzie łatwiej. Wypadki są bardzo blizkie, a są tylko trzy wielkie t. j. powołane narody: Słowiańszczyzna, Francya i Izrael. Podniesienie się pewnej liczby powołanych do wskazanych im wyżyn stanie się hasłem olbrzymiego przewrotu na świecie, hasłem tryumfu cnót przechowywanych acz uśpionych w duszach ludzkich, cnót, których przebudzenie położy kres rządom obłudy dotychczasowych możnowładzców i ich służalców. Na sceptyczne pytanie zaś, dlaczego jemu właśnie, Towiańskiemu, Bóg odkrył tę tajemnicę przyszłych losów ludzkości, Mistrz odpowiadał w taki sposób: »Wiem, że się niejeden oburzy: jak można, aby szlachcic, jak ja, nic nie znaczący, przyjechał tu z Litwy i stał się sprawcą tak wielkiego dzieła. W lesie jest mały robaczek, przeznaczony do wielkich rzeczy. Bóg dotychczas nic nie poczynał przez robaczki. Ale czyż Bóg uczynić tego nie może, gdy uczynić zechce? Dlatego ktokolwiek jest tym wybrańcem Bożym, zwycięży!«

Tak — w przybliżeniu — mówił Towiański, a wrażenie, jakie słowa jego, porywające i unoszące w sfery idealne, wywarły na słuchaczach, było nadzwyczajne. Szczególniej wzruszony był Mickiewicz, który nadto był olśniony jeszcze »częścią *cudowną* postaci« Mistrza. Nie pamiętał, ażeby kiedykolwiek doświadczał podobnych uczuć, jakich doświadczał pod wpływem wymowy tego dziwnego człowieka. Poprostu, nie mógł przypuścić, ażeby to, co mówił ten człowiek, mogło nie być prawdą. Jakoż zdawało mu się, że emigracya — już skończona. Od podobnego przeświadczenia do tego, ażeby poeta uwierzył w misyę Towiańskiego, był już jeden krok tylko, a okoliczności składały się tak dziwnie, że poeta musiał uwierzyć w końcu. Albowiem wszystko — na pozór — przemawiało za tem, że Mickiewicz był w tym stosunku do Towiańskiego, czem św. Jan Chrzciciel w stosunku do Chrystusa: przeczuł go.

A że tak było, na to mu zwrócił uwagę sam Towiański. Autor *Dziadów* zapomniał, że w tym poemacie znajdował się taki wiersz:

On ślepy, lecz go wiedzie anioł-pacholę.

Było to przeczucie Towiańskiego; poeta, pisząc to, uniesiony natchnieniem, nie zdawał sobie dokładnie sprawy z właściwego znaczenia tych słów, tak, jak i teraz, zapytany, co chciał powiedzieć przez nie, byłby zakłopotany podobnem zapytaniem: co odpowiedzieć na nie, samby nic wiedział. Ale mu odpowiedział na nie Towiański, który te słowa poprostu stosował do siebie: bo i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. Podobnych ustępów, których Mickiewicz po napisaniu *Dziadów* sam dobrze wytłómaczyć nie umiał, znajdowało się w tym poemacie kilka, a Towiański przynosił cudowny klucz do rozwiązania wszystkich; nowe światy roztaczał przed poetą, tłómaczył mu własne jego słowa, a tłómaczył w sposób taki przedziwny, a taki prosty, że zdziwienie Mickiewicza, który był autorem tych zagadek, przechodziło w podziw dla tego cudownego człowieka, w zdumienie, w osłupienie.

A imię jego czterdzieści i cztery.

Jakie było znaczenie tych tajemniczych słów? Nie umiał nikt wytłomaczyć dotychczas, nikt, nie wyłączając samego Mickiewicza. Napisał te słowa, napisał — można powiedzieć — bezwiednie, w natchnieniu, które mu je podyktowało, ale wyjaśnić, co należało rozumieć przez nie, był niezdolny. Dopiero się dowiedział od Towiańskiego, że to czterdzieści i cztery znaczy hufiec, który się złoży z 44-ch mężów wybranych, hufiec, który pod przewodem jego, Towiańskiego, stanie na czele nowej budowy kościoła i społeczeństwa.

Lecz nie dość tego. Towiański bowiem, wyjaśniwszy tak — z zadziwiającą prostotą i słodyczą — cały szereg zagadek, dotyczących dzieł Mickiewicza, nie poprzestał na tem, ale z kolei przeszedł do przeszłości poety samego, jako człowieka, i opowiedział mu takie zdarzenie z jego życia, o którem (jak się później sam poeta wyraził do Franciszka Szemiotha) nie mógł wiedzieć nikt, chyba jeden Bóg tylko.

Wszystko to, w zetknięciu z uczuciowością i imaginacyjną naturą Mickiewicza, nie mogło pozostać bez wpływu, tembardziej, że oprócz powyższych był jeszcze cały szereg faktów, które na Towiańskiego rzucały jakieś mistyczne światło, faktów, które bezwarunkowo kazały wierzyć w jego boskie posłannictwo. Wszystko przemawiało za nim, wszystko świadczyło o jego świętości: wszystko, począwszy od owych słów powitania, od owego *Niech będzie pochwalony Jezus*

Chrystus, którem Towiański powitał *pierwszy* Mickiewicza. To powitanie było zapisane w księdze przeznaczeń, a on, Mickiewicz, miał jasnowidzenie, kiedy pisał w *Dziadach:*

> Ty pójdziesz w daleką, nieznajomą drogę,
> Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
> *Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;*
> *Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię boże.*
> *Słuchaj, co powie...*

Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że nikt inny tylko Towiański był tym przeczuwanym i szukanym mężem,

Wrażenie, jakie odkrycia podobne czyniły na Mickiewiczu, było wstrząsające. Dopiero teraz, kiedy spotkał Towiańskiego, zdawało mu się, że zrozumiał mnóstwo rzeczy, które zapowiadały przyjście tego opatrznościowego męża, a których sobie nie umiał wytłómaczyć przedtem.

Dopiero teraz zrozumiał, co znaczyło to widzenie w biały dzień, jakie miał w grudniu roku zeszłego, kiedy oglądał przygotowania do egzekwii za Napoleona I-go. Widział wtedy (pamiętał) człowieka, z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i we mgle, »i uczuł, że *ten* człowiek wiezie *wielkość, wielkie rzeczy*«. Wtedy nie mógł zrozumieć, co znaczyło to widzenie. Teraz był przekonany, że tym człowiekiem był Towiański, który opowiadając o swojej podróży z Litwy do Paryża, wzmiankował (oczywiście nie kładąc na to najmniejszego nacisku), że jechał wózkiem jednokonnym, t. zw. żydowską biedką, że kiedy wyjeżdżał z kraju, była słota, mgła, błoto. W obec tego nie mógł Mickiewicz, jak się wyraża w liście do jen. Skrzyneckiego, nie uznać »prawdy widzenia«.

Dopiero teraz zrozumiał, do czego zmierzała i co przepowiadała jego improwizacya na drugiej uczcie u Januszkiewicza, którą mu przerwano w połowie, a w której, będąc »w wielkiem podniesieniu ducha«, przepowiadał, że jeżeli Bóg zlituje się i zechce zbłąkanych zwrócić ze złych dróg, które do niczego nie prowadzą, to *przyszle człowieka,* który będzie prawem życiem, a którego słowa, czyny *i giesta,* będą artykułami. »Gdyby mi wówczas nie przerwano, żalił się Mickiewicz przed jen. Skrzyneckim, wielkąbym rzecz oznajmił, ale nazajutrz nie byłem już zdolny podnieść się do tej wysokości. Jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o księciu Czartoryskim, kiedy wołałem, że »tylko z takiego *męża przeznaczenia* mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani«. Teraz mu się rozjaśniło wszystko: tym mężem przeznaczenia, którego przyjście zapowiadał wtedy, jeżeli się Bóg ulituje nad emigracyą i całym narodem, był Towiański.

Dopiero teraz zrozumiał, co znaczyły te gorączkowe majaczenia Celiny, która na początku swej choroby umysłowej, kiedy popadała w stan chorobliwej egzaltacyi, w stan podniecenia psychicznego, raz po raz zapowiadała przyjście jakiegoś Mistrza, przychodzącego, jak Mojżesz, zbawić naród. Im się zdawało wtedy, że Celina prawi od rzeczy, a ona — jak się okazało — miała prorocze jasnowidzenie przyszłości: poprostu przeczuwała Towiańskiego.

To wszystko były argumenty, które Mickiewicza przekonywały aż nadto, które uznał za wystarczające zupełnie, ażeby uwierzyć w Towiańskiego, ażeby w nim uznać następcę Chrystusa. A uzdrowienie Celiny, któremu — jak sam tego był świadkiem naocznym — »towarzyszyły okoliczności cudowne«? Czyż ten jeden argument nie jest wystarczającym, ażeby rozprószyć wszelką wątpliwość?

Jakoż uwierzył, a uwierzywszy, tak pisał do jenerała Skrzyneckiego; »Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tem. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach *(Romantyczność, Oda do młodości);* późniejsze dzieła, a mianowicie *Księgi Pielgrzymstwa* i *Dziadów* Część III świadczą, żem to, co się dzieje, przeczuwał«.

Możeby nie uwierzył, gdyby to, co przynosił Towiański, było czem innem, gdyby idee, które głosił, nie zgadzały się tak, jak się zgadzały z przekonaniami i najgorętszemi pragnieniami poety. Odrodzenie ludzkości, wyzwolenie ludów, i przez co? Przez nowy wybuch ducha chrześcijańskiego, przez rozpalenie stygnącej wiary! Ależ nic wznioślejszego wymyśleć nie było podobna, to była idea, na którą zgodzić się muszą wszyscy, bo trudno o piękniejszą, o bardziej Chrystusową ideę! Cóż dopiero, jeśli się było Polakiem, emigrantem! Takiemu człowiekowi powiedzieć, że jeśli uwierzy, to niebawem skończy się jego wygnanie, skończy się niewola egipska, że będzie mógł powrócić do kraju, do swoich, i że tam znajdzie wesele i szczęście: ależ to były *pia desideria* wszystkich, całego wychodźtwa; pod tym względem nie było różnicy zdań, na to godzili się wszyscy, i demokraci, i arystokraci, i *Towarzystwo Demokratyczne,* i stronnictwo *Trzeciego Maja.*

I to była zarazem największa siła przyciągająca nauki Towiańskiego, siła, która sprawiła, że Mickiewicz tak odrazu uwierzył w boskie posłannictwo Mistrza, i że równocześnie z Mickiewiczem uwierzyli w Towiańskiego Izydor Sobański, który był świadkiem uzdrowienia pani Celiny,

i poeta Antoni Górecki, który, zdaje się, także w tej chwili znajdował się w mieszkaniu Mickiewicza.

Taką rolę odegrały w życiu Mickiewicza dni 30 i 31 lipca 1841 roku. W tydzień później, dnia 7 sierpnia, wystosował Towiański, na ręce Mickiewicza, Sobańskiego i Góreckiego, pismo odręczne, w którem oznajmiał, że »Słowianin w ucisku do Pana garnący się wysłużył skarb Łaski«, że »Pan kładzie kres niedoli ludów słowiańskich«, i że emigracya polska powołana jest »utworzyć świętą Rotę pod przewodnictwem Jezusa Chrystusa«, rotę, którąby się blizkiej »sprawie ludów« poświęciła.

W duszy Mickiewicza zagościła niebywała radość; dnia 15 sierpnia napisał do Bohdana Zaleskiego, donosząc mu, że u niego w domu »kwiaty i wiosna«, przyczem skreślił ów znany wiersz *Słowiczku mój! a leć a piej!* ostatni wiersz, jaki napisał w życiu. Wiersz ten, jeden z najmelodyjniejszych w naszym języku, ogłosił *Dziennik narodowy* w numerze z d. 11 września.

Jeszcze tego samego miesiąca, bo w dniu 27 września, odbyła się w paryskiej katedrze *Nôtre Dame* uroczysta inauguracya nowotworzącej się sekty, inauguracya »w intencyi przyjęcia i podziękowania *za łaski zlane przez Pana*«. Tak opiewało drukowane zaproszenie, które Mickiewicz na dwa dni przedtem rozesłał całej emigracyi. Odbyło się to w następujący sposób. O godzinie wpół do 9-ej rano zebrała się w katedrze *Nôtre Dame* dość znaczna garstka emigrantów, jak zapewniają 200 osób przeszło, z których jedni, już nawróceni przez Mistrza, zwłaszcza przez Mickiewicza, przyszli tu, jako zwolennicy i wyznawcy nauki Towiańskiego, inni zaś, a tych była większość znaczna, przyszli z prostej ciekawości, dla przypatrzenia się nowemu »prorokowi«, dla usłyszenia słów jego, ażeby rozpatrzywszy się w całej sprawie (która z dniem każdym, od chwili nawrócenia się Mickiewicza, coraz większe obudzała zajęcie), powziąć jakieś stanowcze zdanie w tym względzie; fakt bowiem, że Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, wszystkim dał niemało do myślenia, ile że Mickiewicza uważano za głowę tęgą, a umysł trzeźwy i praktyczny, którego byle kto nie zdoła obałamucić — byle czem. To było powodem, że tyle osób przyszło na to nabożeństwo, że pomiędzy przybyłymi widziano przedstawicieli wszystkich stronnictw.

Czy i Słowacki znajdował się w tej liczbie? Przypuścić trudno, ażeby mogło być przeciwnie.

Cóżkolwiekbądź, kiedy zaproszeni weszli do kościoła (tego samego, w którym przez czas postu rozgrzmiewała

porywająca wymowa O. Lacordaire), ujrzeli, w pośrodku świątyni, umyślnie urządzony ołtarz, przed który, po niejakiej chwili, wyszedł, w asystencyi dwóch księży, kanonik katedralny, ażeby odprawić mszę świętą. Przed mszą śpiewano na chórze *Veni Creator.* W czasie mszy, która była cicha, jakkolwiek ciągle grano na organach, Mickiewicz i Towiański, którzy, jak mówiła pogłoska, spowiadali się przedtem, przyjęli komunię świętą, co aktowi całemu, oczywiście, nadało podnioślejszy nastrój i cechę religijnego namaszczenia. Po skończonem nabożeństwie, kiedy zgromadzeni mieli wychodzić, Towiański, w swym napoleońskim surducie brązowym, w palonych butach, stanął na stopniach ołtarza, a kiedy to zwróciło powszechną uwagę, on przemówił do zgromadzonych. Wszystkich zadziwił ten niezwykły krok Towiańskiego, bo wiedzieli przecież, iż w kościele nie wolno przemawiać nikomu, (niektórzy nawet, jak Witwicki i Jan Koźmian, w tej chwili opuścili kościół, przekonani, że im słuchać podobnego przemówienia nie wolno), on zaś, głosem uroczystym, z porywającą swadą zaczął wyłuszczać cele swojej misyi, a przejęty ważnością chwili, która miała rozstrzygać o jego przyszłym wpływie na emigracyę, mówił z natchnieniem, udzielającem się słuchaczom. Zaczął od tego, że opuścił ziemię rodzinną, »ażeby wam, ziomkowie, podać — z woli Bożej — słowo prawdy i radości, które mi oznajmić wam polecono. Przychodzę zwiastować wam (mówił), wam pierwszym, że czasy się już spełniły i uderzyła godzina miłosierdzia Bożego. Przychodzę uwiadomić was, że wszystkie cierpienia nasze ustaną wkrótce, że przeminą wszystkie cierpienia ludzkości: Ewangielia, w całej rozciągłości, obejmie swe panowanie. Przychodzę wezwać was do uczestnictwa w tem wielkiem dziele, was, *jego pierwszych urzędników.* Tak jest: wszystko to wkrótce ujrzymy na własne oczy. Błoga to epoka naszemu przeznaczona pokoleniu«. Jeszcze mówił przez czas jakiś, a w końcu dodał: »A jakeście mię tu widzieli przyjmującego ten Najświętszy Sakrament, tu, w tej świątyni Pańskiej, przed Najwyższym Bogiem, tak przysięgam wam, że to wszystko, com mówił przed wami, jest świętą prawdą«. Po tych słowach, wyrzeczonych głosem podniesionym i drgającym niekłamanem wzruszeniem, mówca, zalany łzami, upadł na kolana, ucałował ziemię, a kiedy powstał i wzniósł oczy, oblicze jego, natchnione i blade jaśniało radością dziękczynienia. Wrażenie tej sceny — trochę obliczonej na zewnętrzny efekt — a zwłaszcza tej przepowiedni, wygłoszonej z całą proroczą i egztatyczną pewnością, z siłą przekonania, nie pozwalającą wątpić o swej rze-

telności, było nadzwyczajne. Wielu płakało ze wzruszenia. »Przebolałe dusze słuchaczów, skłonne do wrażeń, pochopne do nadziei, lgnęły ku nim z całą wiarą i ułudą, której się każdy łacno ima w nieszczęściu, jak deski zbawienia«. Znaleźli się tacy, co w uniesieniu zaczęli całować ręce Towiańskiego. Nakoniec Mistrz i Mickiewicz uklękli przed ołtarzem i odmówili *na głos* wspólną modlitwę. Tak zakończyła się uroczystość, będąca, według słów Towiańskiego, zapowiedzią sprawy Bożej na ziemi.

Upłynęło parę miesięcy. Dnia 8 grudnia, w kościele świętego Seweryna, jednej z najstarszych świątyń paryskich, do którego Towiański uczęszczał najchętniej, zawieszono w jednym z bocznych ołtarzów — obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej. Była to kopia z oryginału wileńskiego, zdjęta w Wilnie przez Walentego Wańkowicza, jednego z najżarliwszych wyznawców Towiańskiego, nawróconych jeszcze na Litwie. Obraz ten wmurowano z następującym u dołu napisem: »O Pani! ku ratunkowi naszemu pospiesz się!« Wieść o tem rozeszła się lotem błyskawicy po całym Paryżu, zwłaszcza, że tegoż dnia ukazało się pierwsze pismo Towiańskiego do emigracyi, pismo, w którem — obok ustępu o »Przenajświętszej Królowej Korony Polskiej«, która »podobała sobie w starożytnej, opuszczonej kaplicy, w stronie najmniej okazałej Paryża, i tam w cudownym obrazie wileńskim Ostrobramskim ku ratunkowi ludu swojego pośpiesza« — Mistrz przemawiał w te słowa: »Wy, tęskniący i czujący męczennicy wolności! cierpiący dziś na ziemi i pod ziemią! których Pan więcej umartwił, aby więcej do siebie przybliżył, prędzej powołał, prędzej zatrudnił, wy u Pana znaleźliście pierwsze prawo do tego wielkiego zaszczytu. Święte zjednoczenie wasze stanie się posadą kolosu, który Prawica Wszechmocna podnosić już zaczyna«.

W końcu, dnia 3 maja 1842 roku, na dorocznej uroczystości *Towarzystwa historyczno-literackiego* Mickiewicz, który, od czasu, jak był członkiem Towarzystwa, nigdy nie zabierał głosu, przemówił »z całą mocą swego potężnego słowa«, a w tonie, jakim przemawiał, był gniew wielki, jakiś niepokój wewnętrzny, i coś, co wszystkim dało do myślenia. Całe przemówienie wieszcza, wypowiedziane z niebywałem natchnieniem, a tonem proroczym, było w każdem słowie nacechowane mistycyzmem Towiańskiego.

Słowacki, który był członkiem *Towarz. historyczno-literackiego,* musiał być obecny na tem posiedzeniu, więc musiał słyszeć to przemówienie Mickiewicza, przemówienie, które tak wstrząsające wrażenie uczyniło na słuchaczach, że nie brakło takich, co płakali rzewnemi łzami.

Nie dziw więc, że nigdy nie mówiono tak wiele o Towiańskim i Mickiewiczu, co w tym czasie; że powstał ruch między emigracyą, że znowu zawrzało w tym »na rodzie w miniaturze«, że zawrzało silniej, niż kiedykolwiek. Swoją drogą wrzało od samego początku, od owej chwili, kiedy się rozbiegła wieść o cudownem uzdrowieniu żony Mickiewicza. Nazwiska Mickiewicza, Towiańskiego, Góreckiego i Sobańskiego, były na ustach wszystkich. Towiański stał się *un homme du jour*. Nic charakterystyczniejszego zaś, jak sprzeczność tych najrozmaitszych wieści i plotek, podawanych z ust do ust, jakie krążyły o nim. Nie starczyłoby wołowej skóry, ażeby spisać to wszystko! Przedewszystkiem, naturalnie, interesowano się osobą nowego proroka i cudotwórcy. Co zacz? Zkąd przybywa? Co robił dotychczas? Ponieważ nie brakło takich, którzy Towiańskiego znali dzieckiem jeszcze, a potem, kiedy mieszkał na Litwie, więc oczywiście nie brakło i takich, co odpowiadali na te pytania. Mniejsza o to, że każdy opowiadał co innego: byle zadowolnił plotkarską ciekawość, która w tak wysokim stopniu charakteryzuje nasz naród wogóle, a która cechowała naszą emigracyę w szczególności. Więc kto jest Towiański? Jedno było pewnem, że był szlachcicem litewskim, że kończył gimnazyum i Uniwersytet w Wilnie, że był prawnikiem z zawodu i wykształcenia, że się zajmował rejenturą. Nadto wiedziano z pewnością, że był właścicielem ziemskim, że posiadał dziedziczny majątek, że był żonaty, że miał kilkoro dzieci. Wiedziano także, iż w roku 1839, czy też 1837, opuścił kraj, że przez czas jakiś widywano go w Poznaniu, gdzie usiłował pociągnąć ku sobie X. Arcybiskupa Dunina, czego nie osiągnął zresztą, że ztamtąd udał się do Brukselli, do jen. Skrzyneckiego, którego także próbował nawrócić, ale tak samo, jak z Poznania, (gdzie, jak mówiono także, zakładał jakieś towarzystwo kobiet), wyjechał z niczem; gorzej nawet, bo z Brukselli wyjechał podobno, jak utrzymywano, poróżniony z jenerałem, który dowiedziawszy się, że ów wysłaniec Boży nie był już 20 lat u spowiedzi, zaczął go nakłaniać do tego kroku; ale Towiański powstał na niego, oburzony, i rozeszli się. Nie podobało się też, podobno, jen. Skrzyneckiemu, że Towiański nie przyznawał bóstwa Chrystusowi, że go uważał za najbardziej boskiego z ludzi, za »pierwszego po Bogu«, ale w nim widział człowieka, nie Boga. Opowiadano sobie, że jeszcze mieszkając na Litwie, zaczął napomykać o swojem objawieniu i posłannictwie. Ale nie wiodło mu się. Swoją drogą znalazł kilku takich, co mu uwierzyli i zostali jego uczniami. Do tej liczby należał ma-

larz Wańkowicz, ten sam, którego obraz Towiański kazał wmurować w kościele św. Seweryna, i doktor Gut, szwagier proroka. Ci dwaj uważali go za swego Mistrza, a kiedy w religijnych celach wyjeżdżał za granicę, towarzyszyli mu, nie chcąc odstępować Mistrza. Żona Towiańskiego także go uważała za człowieka bożego, za »owoc krwawej pracy pokoleń, tajnych westchnień i tęsknień ludzkości w przeciągu 18-tu stuleci«: wierzyła, że mąż jej, będący człowiekiem doskonałym, drugim Chrystusem, jest wysłańcem Bożym, który świętością swoją da początek nowej erze, a sam jest wzorem, który mamy *realizować*. Przyjazd Towiańskiego do Paryża tłomaczono sobie złośliwie, w taki sposób mianowicie, że pan Andrzej widząc, iż Litwa nie jest skora do uwierzenia w niego, dlatego wyjechał za granicę, ażeby »popróbować szczęścia« w innych prowincyach, a *w najgorszym razie* w emigracyi. Najprzód, mówiono, próbował pozyskać dla sprawy swojej głowę całej hierarchii kościelnej w Księstwie; gdy się to nie udało, ponieważ X. Arcybiskup Dunin uznał w nim nie drugiego Chrystusa, ale zwykłego marzyciela, a nadto katolika wątpliwej prawowierności, a w końcu zabronił mu dalszego przystępu do siebie, wypadało szukać innej powagi, pod której skrzydłami dałoby się krzewić plany ukartowane. Taką powagą był jen. Skrzynecki. Ale i tu doznał Towiański zawodu. Wtedy przyszła kolej na Mickiewicza: nie udało się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym, może się powiedzie z największym poetą polskim, którego powaga naówczas — według szczęśliwego wyrażenia prof. Małeckiego — stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Mickiewicz uwierzył! Nie wiedział zapewne (powtarzano sobie), że Towiańskiego już w kraju uważano za człowieka o pomięszanych zmysłach. Z tego powodu nawet (zapewniano), przebywał czas jakiś w szpitalu dla obłąkanych. Wypuszczono go dlatego tylko, że był waryatem spokojnym, który nie szkodził nikomu. Ludzi, co byli tego zdania, co Towiańskiego uważali przedewszystkiem za wpółobłąkanego marzyciela, była ogromna większość, a genezę tego *obłędu religijnego* wyprowadzano z choroby oczu, na którą Towiański chorował w młodości. Skazany na kilkoletnią bezczynność, nie mogąc ani pisać, ani czytać, tonął w nieskończonych dumaniach, marzył i fantazyował, a że z natury był obdarzony wyobraźnią ognistą i bujną, więc — jak twierdził Witwicki — nie mogły te długie rekolekcye pozostać bez wpływu: jakoż skończyło się na tem, że młodzieniec zaczął się uważać za jakąś istotę wyjątkową i senną, że zaczął miewać widzenia

i halunacye, że widywał różne dusze pokutujące, że ostatecznie uwierzył w swoją boskość. Któregoś roku pokazała mu się, jeszcze na Litwie, dusza jednego ze znajomych; wtedy zaczął prorokować. Cokolwiekbądź (mówili inni), jest to szarlatan, albo — w najlepszym razie — mag i magnetyzer potężny, obdarzony jakimś urokiem magnetycznym, którym działa na otaczających. Ostatecznie, utrzymywali drudzy, jest to fanatyk kalkulujący, z tej kategoryi proroków, do której należał Mahomet, t. j. do kategoryi marzycieli i współobłąkańców. Na pewnej pobożnej pani, której obiecywał, że zostanie niewiastą ewangeliczną, zrobił tak przykre wrażenie, że kiedy się dowiedziała, iż Towiański ma przyjechać do Rzymu, zbladła i natychmiast chciała opuszczać wieczne miasto. Inni zapewniali, że Towiański od najdawniejszych czasów, od czasów, kiedy w Wilnie wychodził *Pamiętnik magnetyczny*, zajmował się nietylko różnemi religiami, Swendenborga zwłaszcza, ale i magnetyzmem, że nawet żona jego, bardzo pobożna osoba, nie chcąc się poddać magnetycznym praktykom, przez jakiś czas mieszkała w którymś z klasztorów wileńskich, ażeby być oddaloną od męża. Bała się go... Później, kiedy uwierzyła w męża, zaczęła i ona widywać różne święte, np. św. Barbarę, Katarzynę, Agnieszkę i inne, a zawsze te same, które widywała Joanna d'Arc. Ale nie brakło i takich wersyi, które bardzo dodatnio świadczyły o Towiańskim. Przedewszystkiem mówiono o nim, że jest to człowiek wielkiego duchowego wykształcenia i wielkiej cnoty w życiu. Kiedy mieszkał w kraju, na Litwie, dał wolność włościanom, postawił kościół, pomimo, iż były to czasy bardzo niesprzyjające takim przedsięwzięciom, a przez włościan był kochany i szanowany. Jako rejent miał opinię jak najlepszą. Odkąd stanął w Paryżu, w stosunkach z ziomkami, za nikim nie gonił, z nikim nie rozprawiał, cudze przekonania szanował, a jeżeli służył posłuchaniem lub radą, to wtedy jedynie, gdy się zwracano do niego: sam nie narzucał się nikomu. Gdy mówił o sobie, był, jak zapewniano, niekłamanie skromny, bez cienia zarozumiałości: w głębokie nauki (mówił podobno) nie zapędzał się nigdy, a to, co o nim opowiadano sobie, to są podania ludzi niereligijnych, niepojmujących człowieka pobożnego. »To jest pewna (pisał jen. Skrzynecki do ks. Kajsiewicza), że Towiański jest bardzo pobożny, że się kilka razy spowiadał, że jest głęboko przejęty misyą swoją; trzeba z nim mówić, aby to ocenić. Zdaje się, jakoby mu jakiś głęboki ból dokuczał; kiedy o tem mówi, widać w nim jakieś zatopienie się w czuciu, sięgającem kogoś wyższego; twarz jego jasna,

kiedy spokojna, nabiera odmiany, która go brzydzi, i zdaje się, jakby się zestarzał w mgnieniu oka. To mam prawie przekonanie, że jest pod wpływem szatana, bo w wielu rzeczach dobrej wiary nie podobna mu odmówić«. Że to zjawienie się Towiańskiego w Paryżu miało być »rzeczą dyabelską«, że wielu było takich, których zdaniem »nieprzyjaciel wszelkiego dobra«, uląkłszy się skutków odrodzenia religijnego na emigracyi, umyślnie posłał człowieka, który siły katolickie — w mistrzach i uczniach — rozdwoił, na to godził się niejeden, a przedewszystkiem stronnictwo *Katolików;* ale *Katolicy* zarówno, jak i po wolteryańsku usposobieni demokraci, godzili się na jedno, że Towiański nie był człowiekiem ze śpiżu, że w jego życiu było mnóstwo niekonsekwencyi, że nie mógł być rzeczywiście pobożnym, kto przez 20 lat nie był u spowiedzi, a Chrystusowi odmawiał boskości, i że chwiejny wogóle, nie zawsze szedł najprostszą, raz wytkniętą drogą, ale zbaczał często, stosownie do otoczenia i warunków. Tak np. nie ulegało wątpliwości (jak głosili niektórzy), iż pragnąc pozyskać sobie Mickiewicza, a widząc jego rzetelne przywiązanie do wiary katolickiej, pierwszy porzucił dawne uprzedzenia, spowiadał się — pierwszy raz po 20-tu latach — innych zachęcał do pełnienia wszystkich obrządków religijnych, a naukę swoją, zrywającą z Kościołem, starał się powiązać i pogodzić z nauką Kościoła, etc., etc. Dlatego mówiono, że schlebiał tym z pomiędzy wyznawców swoich, których uważał za zdolniejszych i mędrszych od siebie, i że, schlebiając ich pojęciom, nieraz wyrzekał się artykuków wiary własnej, które propagował przedtem. Czasami też, mówiono, nie był dosyć zręcznym, co nawet drogo przypłacił zaraz na samym początku, bo utracił Góreckiego. Chodziło o pismo jakieś, które Towiański miał oddać do druku, a które znacznie odmienił nim wydrukował. To niepodobało się Góreckiemu, który twierdził stanowczo, że proroctwo od Boga zesłane, powinno od początku do końca zostać w pierwotnej formie, bo Pan Bóg nie potrzebuje się namyślać, kiedy dyktuje. Ten drobny fakt zachwiał wiarę Góreckiego, do tego stopnia, że nietylko przestał wierzyć w Mistrza, ale jeszcze zaczął wygadywać na niego, o jego »herezyach i ułudzeniach szatańskich«, o tem, że zaraz po extazie, po rozmowie z Bogiem, Panem Jezusem lub Matką Boską, idzie na operę lub balet, ażeby się orzeźwić po fatygach ducha...

Tak sobie opowiadano o Towiańskim. Ale nie mniej ciekawe wieści krążyły o jego uczniach, których liczba rosła z dniem każdym, a tak szybko, że już w dniu 3 maja

Koło liczyło 44 członków. To budziło ogólny podziw i niepokój. Jednak coś musiało tkwić w tej nowej nauce, skoro w tak krótkim czasie potrafiła pociągnąć tylu ludzi i to z pomiędzy ludzi najwybitniejszych. Mówiono, że wielu uwierzyło dlatego poprostu, że Mickiewicz uwierzył. Bądź co bądź, w liczbie tych, co poczęli głosić zasady nowego objawienia, znaleźli się wkrótce: Feliks Wrotnowski, Eust. Januszkiewicz, Orpiszewski, Wład. Plater, Szwajcer, Turowski, Karol Różycki, Rettel, Zan, Kalinkowski i wielu innych. Doktor Gutt i Mickiewicz byli głównymi pomocnikami Pana Andrzeja. Wyznawcy *Nowego Zakonu*, których wkrótce zaczęto nazywać *Towiańczykami*, zawiązali się w t. zw. *ligę*, pomiędzy sobą nazywali się *braćmi*, a wszystkich, co się na Towiańskiego zapatrywali sceptycznie, nazywali *Faryzeuszami* i unikali, tak, że pozrywali z krewnymi, z najbliższymi przyjaciółmi. Z nie-Towiańczykami ledwo raczyli rozmawiać, o ile ich nie starali się nawracać, a gdy spotkali na ulicy, udawali, że nie widzą; zaczepieni, odpowiadali krótko i opryskliwie, a jeśli się kłaniali, to nigdy się nie kłaniali pierwsi. W rozmowie nakazywali, żeby przebaczać urazy, miłować bliźnich, oczyszczać się spowiedzią, bowiem, mówili, będą dwie drogi: dobra i zła, a tylko oczyszczeni pójdą dobrą. Dowodzili, że Pan Bóg zlitował się nad dwoma ludami: słowiańskim i żydowskim: nad ostatnim dlatego, że wytrwał w zakonie. Przepowiadali, że Żydzi uznają Messyasza, że przez ludy słowiańskie, a przez Polaków szczególnie, Pan Bóg dokona wielkich rzeczy; że przyszedł czas, iż ewangelia będzie wprowadzona w życie narodów, w stosunki publiczne; że Kościół zasnął, że Papież nie pełni urzędu, pomimo, że prawda jest tylko w Kościele; że w chrześcijaństwie była faza pokory, a teraz nastaje faza ofiary ducha; że teraz jest rozerwanie drugiej z siedmiu pieczęci Apokalipsy; że jedna i ta sama dusza może się w kilku epokach w kilku odrębnych ludziach pojawić; że minął czas pokuty familii słowiańskiej; etc. etc. Co dziwniejsza, to, że ludzie, którzy głosili te nowe *prawdy objawione* i którzy weszli do tego zaczarowanego *Koła*, choć »dziwnie sfanatyzowani«, stanowczo stawali się lepszymi, niż byli przedtem. »Pisze mi księżna Gedroyć, iż Romuald jest nie do poznania, zupełnie, jak Trapista«. »Rzecz Towiańskiego (pisał do ks. Kajsiewicza dnia 10-go czerwca 1842 r. ks. Edward Duński) przybiera charakter nowy, ożywiony nadzwyczaj. Przed kilkunastu dniami liczba zwolenników pomnożyła się raptownie, a to dzięki niezmordowanej pracy Adama; zebrało się ich 24. Towiański dał im chorągiew z twarzą Chrystusa Pana. Odtąd zbierają się



często; Towiański i Adam nauczają ich i egzaltują do najwyższego stopnia. Z kościoła nie wychodzą, zachęcają do spowiedzi, do modlitwy. Widząc ich, wyraźną zmianę całej postaci i twarzy dostrzegasz: Januszkiewicza nie poznalibyście, tak twarz zmieniona, jakby jakiego pokutnika. Wszyscy są porwani wymową, zapałem, nowością idei, przedstawionej *z najwyższym talentem*«. Obok mężczyzn nie brakło i kobiet, które uwierzyły w Mistrza. Pierwsza uwierzyła żona Mickiewicza, która się egzaltowała na punkcie swojej wdzięczności czci dla proroka. Od księdza Duńskiego, kiedy przyszedł do Mickiewicza i nie zastał go w domu, żądała wiary dziecinnej, upokorzonej, cytując słowa Chrystusa, powiedziane świętemu Tomaszowi. Kiedy rozmowa schodziła na temat polityki, zapowiadali wielkie wypadki... Pytani, za kogo uważają Towiańskiego, nie ukrywali się z tem, że go uważają za »posłannika z woli Bożej«, za »posłańca Bożego *największego*«; pytani zaś, co sądzą o Kościele, twierdzili, że w Kościele są, ale go nie słuchają; że nie przychodzą z protestacyą przeciw Kościołowi, ale dla podniesienia go, oswobodzenia z form, t. j. z formuł, a nadto ze zbytniej uległości, z bezczynności, że nie zbijają żadnych dogmatów, tylko przynoszą większe światło; że wiele rzeczy niejasnych w Ewangelii, szczególniej w Ewangelii św. Jana i Apokalipsie, teraz będzie rozjaśnionych; i że wreszcie, aby to wszystko zrozumieć, potrzeba wiary i czucia, czuciem pojmować uczucie. Jeżeli chodzi o prawo, nie znoszą żadnego, ale je *czynem* wprowadzają w życie. Nieszczęśliwym i uciśnionym przynoszą wolność. W dyskusyi jednak, kiedy trafili na przeciwnika, który obstawał przy swojem zdaniu, a zwłaszcza bronił Kościoła, unosili się łatwo, a wtedy wygadywali i krzyczeli na teologię, doktorstwo, scholastykę, faryzeizm etc., a dowodzili potrzeby prostoty, pokory ducha, zapomnienia wszelkiej nauki i rozumowania, czucia, itd. Księży polskich, jak ks. Duński, którzy ich wyzywali na dyskusye, nazywali synagogą, krzyżownikami Chrystusa. Ideałem kapłana, który nie dyskutował, ale tylko pokory wymagał od nich, był dla nich Towiański. On też, w gruncie rzeczy był tem ogniwem, które ich łączyło ze sobą. Bo w tożsamości nauki czy religii nie byli połączeni: dość powiedzieć, że mieli w swem gronie: protestanta, żyda, deistę, »tylko polityka« (ten musiał być demokratą) i wielu innych, nie wyłączając ateuszów, którzy dlatego uwierzyli w Chrystusa, że uwierzyli w Towiańskiego, którego stawiali na miejscu Chrystusa, a siebie uważali za nowych Apostołów.

Jednocześnie zawrzało w całej prasie emigracyjnej:

wszystkie pisma, z jedynym wyjątkiem *Dziennika Narodowego,* którego redaktor został Towiańczykiem, zaczęły pisać o Andrzeju Towiańskim i jego sekcie, o Adamie Mickiewiczu i jego wykładach w *Collège de France,* w których powoli zaczynał propagować ideę Towiańskiego, a wszędzie pisano zjadliwie i drwiąco, wszystkie artykuły, omawiające sprawę Towiańskiego, były paszkwilami, nietyle wymierzonemi przeciwko Towiańskiemu samemu, ile przeciwko Mickiewiczowi, który się uważał za św. Piotra Towianizmu. To też w jego pierś były wymierzone wszystkie pociski, które on pozostawiał bez odpowiedzi, głuchy na najniegodziwsze oszczerstwa. Szedł swoją drogą, nie zważając na nie, z Dantejskiem *Guarda e passa* na ustach i »pracował«, jak prawdziwy Apostoł, głosząc, gdzie mógł, zasady nowej nauki, którą uważał za nowe objawienie.

Oto, w krótkiem streszczeniu, główne zasady tej nauki.

Przedewszystkiem — należy podkreślić na samym wstępie — była to nauka niezgodna z dogmatami Kościoła katolickiego, pomimo, że zarówno sam Mistrz, jak i jego uczniowie wcale się nie uważali za odstępców, za apostatów. To garnięcie się pod skrzydła Kościoła, obok głoszonych i wyznawanych doktryn, było jedną z tych licznych niekonsekwencyi i nielogiczności, które cechowały naukę pana Andrzeja.

Dość powiedzieć, że nawet podważał wiarę w Trójcę świętą: według niego »kierunek jest przy Bogu, ale na ziemi nie rządzi wola Boża. *Boga niema na ziemi* i sami składamy to świadectwo, powtarzając codziennie: *bądź* wola Twoja, *przyjdź* królestwo Twoje!« Nie jest-że to wyraźnem zaprzeczeniem, jakoby Bóg mieszał się do spraw ziemskich, co — według nauki Kościoła — jest największą herezyą, bo graniczy jeżeli nie z ateizmem, to przynajmniej z panteizmem. Podobną herezyą, z punktu widzenia Kościoła, był Towiańskiego pogląd na Chrystusa, pogląd, pod którym mógłby się w najgorszym razie podpisać Renan, czyli, że Kościół nie mógł go żadną miarą aprobować. Zdaniem Towiańskiego (zdaniem, które, dodajmy w nawiasie, nigdy ustalonem nie było) Chrystus był »mężem natchnionym« (jednym z siedmiu), któremu do pewnego czasu (do r. 1841 mianowicie, t. j. do chwili ukazania się Towiańskiego) Bóg powierzył panowanie nad ziemią »i kilkoma innemi jeszcze planetami«. Zresztą jest Chrystus »pierw-

szym po Bogu«, co także tworzy rażący dysonans z dogmatyką katolicką. »Jezus Chrystus jest najwyższym urzędnikiem, synem Bożym, najbliższym z pierwszego koła Bożego. Chrystus jest Bóg, ale Bóg *dla ziemi*«. Niemniejszy dysonans tworzył sposób, w jaki Towiański objaśniał istotę Ducha świętego, który, jego zdaniem, był poprostu »kolumną światła«, w której — jak drobne pyłki kurzu w smudze słonecznej — krążyły duchy dobre i święte. A najświętsza Panna? Ona, według Towiańskiego »nie była kobietą«, kult zaś, jakim ją otacza katolicyzm, uważał za przesadny częstokroć.

Podobne zdanie wyrażał o Świętych Pańskich, o których mówił, że »wielu Świętych, których Kościół kanonizował, nie są Świętymi«. Piekła i czyśca nie ma również. Wieczność kar nie istnieje, podobnie, jak nie należy wierzyć w grzech pierworodny.

A nieśmiertelność duszy? Na tę godził się, ale w formie metampsychozy. Czyściec jest na ziemi, po której dusze zmarłych błądzą dopóty, dopóki się nie oszyszczą dostatecznie, ażeby mogły dostąpić niebieskiego szczęścia. Tak zwana »migracya dusz«, była jednym z najgłówniejszych aktów wiary Towiańczyków. Wprawdzie Mickiewicz, w dyskusyi z księdzem Duńskim, na zarzut, że Towiański naucza rzeczy potępionych przez Kościół, jak np. przechodzenie dusz, odparł: »Sądzicie, że to metampsychoza indyjska? Ja ją znam, ale to nie to«; lecz, pomimo tego zapewnienia, nie szczerego zresztą, nie ulega wątpliwości, że to było to właśnie. Sam Mickiewicz, choć to nie miało nic wspólnego z literaturą słowiańską, dowodził z katedry w *Collège de France*, że dusze ludzkie, w miarę udoskonalania się lub upadku przechodzą w doskonalsze lub podlejsze istoty, to zwierząt, to wszelkiego innego stworzenia; a Karol Różycki, będąc raz w Fontainebleau, w dyskusyi z Zaleskimi, których z wielkim zapałem starał się na Towianizm nawrócić, gdy ich nie mógł przekonać, rzekł z ciężkiem westchnieniem: »Ha! to dopiero za tysiąc lat będziecie tam, gdzie my jesteśmy!« »W kształceniu się i postępie ducha, mówił raz Mickiewicz do Al. Chodźki, wiek człowieka jest niczem. Cóż to śmierć? Inna faza życia, nic więcej, z wiedzą i opieką nad naszym światem. Właściwie materyi niema. To, co tak nazywają filozofowie, i co my widzimy, może się porównać do koła młyńskiego: obracając je z silną szybkością, zdaje się oku, że koło tworzy glob, kulę doskonałej formy. Takiemi w oczach ducha wyższego wydają się kształty ducha niższego. Jest to, mówiąc językiem metafizycznym, ścieranie się i dążenie duchów:

najniższe są piaskiem, za nimi idą metale, dalej rośliny, zwierzęta itd. I głupi filozofowie odmawiają zwierzętom — ducha! Niejeden z tych mędrków, przed sądem Boga, zamienia się w *psa lub konia, pokutującego* w jego domu. Magendie kraje i kaleczy biedne zwierzęta dla dowiedzenia się jakichś pseudo-prawd. Któryś inny wyrozumował, że ich cierpienia są potrzebne dla świata. Pytagoras i Plato przeczuli wiele. *Naukę metampsychozy* wyjaśniły listy św. Pawła. Odzianie ducha ciałem, zwłaszcza ciałem człowieka, jest wielką łaską nieba, jest najłatwiejszą godziną rozwinięcia się ducha, t. j. odrodzenia i powrotu do pierwotnej doskonałości. Taka praca w świecie niewidomym — trudniejsza. Jakiś spekulant, fabrykant, czy bankier rozumem własnym doszedł do pieniędzy, żyje wygodnie i obchodzi się bez obcej pomocy. Jakże w tak zatwardziałym obudzić wdzięczność, pokorę przed Bogiem? Musi lata, czasem wieki służyć psem lub czem gorszem kapryśnemu panu i długo omywać brudy owej zarozumiałości«. »Homer, Pytagoras i inni starożytni poeci i filozofowie cytują przykłady ludzi, którzy przypominali sobie przeszłe żywoty. Dzieje Apostołów i późniejszego Chrześcijaństwa liczą wiele podobnych przykładów. Często duchy wyższe wiedzą o tem, co ten lub ów człowiek z duchem niższym powinien robić, ale on sam nie wie«.

Podobnie się rzecz ma, jeśli chodzi o teoryę duchów, którą wykładał Towiański, a która z nauką Kościoła katolickiego nie miała nic wspólnego. Zdaniem Towiańskiego, duch może być wielki w chłopku, a mały w królu, przedewszystkiem zaś nie pochodzi od urodzenia z ciała i krwi. Dlatego człowiek jest wolnym, (a więc ma wolną wolę), jest samowładnym, bo ma siłę ducha; ztąd może wszystko, powinien rozkazywać wszystkiemu, bo duch to siła Boga. Dlatego nie należy się oglądać na żadne środki ziemskie. Rozum, ręce, pieniądze są warte tyle tylko, ile służą za narzędzie duchowi. W stosunku do ducha są tak ważne, jak np. łuki, kiedy już wynaleziono broń palną. Każdy duch ma swoją misyę; dlatego zawiązuje stosunki z dobremi duchami, już pozbawionemi ciała, a które także miały podobną misyę, teraz dbając o jej dokończenie. Tym sposobem możemy uczuciem łączyć się z niemi, a one wtenczas dają nam natchnienia, stosownie do wiary naszej i czystości. Czasami mówią bardzo wyraźnie, do serc zarówno, jak i do oczu nieraz, do uszu. Do oczu i uszu wtedy tylko, kiedy duch jest bardzo czysty. »Cały więc — konkluduje Słowacki — *lud nasz umarły dawno* jest z nami, i to jest obcowanie Świętych, którego [illegible] nie mogli nam wytłó-

maczyć, t. j. wlać go w wiarę naszą«. Na kuli ziemskiej pełno jest duchów dobrych i złych, które pośrednio wpływają na postępki ludzkie; im bliżej ziemi tem są gorsze, tem zgubniej działają. Dobre duchy muszą walczyć ze złemi duchami, które przeciwko nim wytężają całą moc swoją, te zaś, walcząc z niemi, pracą wewnętrzną i skupieniem tworzą w sobie »kolumnę światła, niszczącą wszelkie wysiłki piekieł. Każdy śmiertelnik może w sobie wyrobić kolumnę podobną, jeśli swe serce rozpłomieni miłością Boga. Kilka takich kolumn, t. j. związek duchów czystych i dobrych, tworzą atmosferę światła«, od której stronią duchy ciemności. Na posiedzeniach *Koła,* które odbywali uczniowie Towiańskiego, chodziło właśnie o wytworzenie takiej »atmosfery światła«.

Środkiem, prowadzącym do tego celu, była extaza, do której należało podnosić ducha, a której poetyczną teoryę wyłożył Mickiewicz w trzeciej części *Dziadów;* ztamtąd też, jak to dowiódł p. Zdziechowski, zaczerpnął ją Towiański, na którym ten poemat Mickiewicza wywarł ogromny wpływ: prawie cały Towianizm można wyprowadzić z trzeciej części *Dziadów* (dlatego tak trafił do przekonania Mickiewiczowi). Extazą, według nauki Towiańskiego, jest idealny stan ducha człowieczego, który, ażeby zdobyć, potrzeba: podnieść ducha, zdobyć ciało, i wreszcie, zdobyte ciało podnieść do wysokości ducha. Całą treścią historyi jest walka ducha z ciałem, podobnie, jak celem historyi jest sprowadzenie ducha i ciała do jedności zapomocą uświęcania ciała przez ciągłe podnoszenie go siłą ducha ku Bogu. Zadanie pojedynczego człowieka polega na tem, ażeby się stał wielkim, »wielkim zaś w epoce dzisiejszej jest duch czysty, oswobodzony, ciałem władnący«.

Nieuniknioną konsekwencyą tej części *Nowego Zakonu* Towiańskiego, jego części abstrakcyjnej, wykraczającej poza zakres rzeczywistości, była wiara w sny i marzenia senne, począwszy od zwykłych snów, które się śniły w nocy, a skończywszy na chorobliwych halucynacyach, nieraz wywoływanych sztucznie, zapomocą haszyszu lub opium. Takie sztuczne podniecenia wyobraźni, ze szczególnem zamiłowaniem uprawiane przez Towiańczyków, umożliwiały bezpośrednie obcowanie z światem duchów. Dodać należy, iż najbardziej umiłowanemi dnchami, które się Towiańczykom ukazywały, we śnie zarówno, jak i na jawie, były duchy Boga Ojca, Chrystusa, Najświętszej Panny i niektórych Świętych, przyczem kobietom ukazywała się najczęściej Matka Boska, święta Katarzyna, święta Barbara,

święta Agnieszka, kiedy mężczyźni przestawali najwięcej z Chrystusem, jako »pierwszym po Bogu«.

Nadto widywali bardzo często Napoleona, który był największym *człowiekiem* po Chrystusie, a dla którego Towiański żywił kult szczególny. Może dlatego, że był podobny do niego. Dość, że Napoleon był półbogiem *Nowego Zakonu*. Oto geneza tego kultu, wiernie podług nauki Towiańskiego. Bóg, ulitowawszy się nad niedolą ludzi, zesłał Chrystusa, ażeby Ten, zapaliwszy w ich sercach światło prawdy, rozpędził siły piekielne, owe duchy złego, krążące najbliżej ziemi. Niestety, światło, zapalone przez Chrystusa, zgasło prędko: Zło znowu zawładnęło ziemią. Odtąd, co 2000 lat mniej więcej, będzie Bóg zsyłał mężów natchnionych, ażeby rozwijali dzieło, rozpoczęte przez Chrystusa, który był pierwszym z takich mężów natchnionych, których w ogóle będzie siedmiu. W tem leży tajemnica siedmiu pieczęci Apokalipsy. Towiański jest drugim z kolei, a zadaniem jego: przyspieszyć panowanie światła w niektórych krajach, zwłaszcza zaś we Francyi, którą do przyjęcia prawdy przygotował Napoleon, największy z ludzi, jakich świat widział po zejściu Chrystusa. On był jutrzenką poprzedzającą wschód, on był przeznaczony do zrealizowania Słowa Bożego na ziemi, on miał życiem swojem wskazać, jak wielką jest siła słowa i energia miłości. Dlatego niepodobna pojąć Chrystusa, jeżeli się nie umie wejść w ducha Napoleona. Niestety, wielki Cesarz-bohater nie wytrwał w »tonie«, zwątpił we wszechmoc ducha, zerwał z duchami wyższemi; upadł, bo wierzył we własne siły. Ten wielki błąd Cesarza przyszedł naprawić Towiański: on ma jego dzieło dopełnić i rozpocząć nową epokę; on, jak się o nim wyraził Mickiewicz, jest drugim Chrystusem, już nie stojącym przed Piłatem, ale zmartwychwstałym, przemienionym, zbrojnym we wszystkie znamiona potęgi, Chrystusem mścicielem i odpłatcą, Chrystusem dnia Sądnego, Chrystusem Apokalipsy i Michała Anioła. To *Ecce homo* naszej epoki. Napoleon nie rozwinął myśli Bożej i niespełnił jej. Ideę poniósł do grobu; ale myśl Boża nie zdjęta z niego. Co zaczął na wstępie epoki, kończy dziś w samej epoce. Jego duch będzie przewodniczył przyszłemu powstaniu różnych narodowości.

Jakie będzie to przyszłe powstanie różnych narodowości? Przedewszystkiem będzie demokratyczne, zgodne z ewangelią, która, wprowadzona w życie, zapanuje, a ludzkość przestanie cierpieć. Doktryna Towiańskiego, według wyrażenia *Democratie Pacifique*, była »najszczytniejszą doktryną zgody i miłości«. Aż do tej pory t. j. do chwili, kiedy

wystąpił Towiański, ludzkość była dzieckiem; od tej chwili będzie młodzieńcem. Narody, a w szczególności słowiańskie, nie będą istniały przez klasy wyższe, które stanowią małą garstkę, ale przez lud, który się już ruszać zaczyna, a westchnienie wieśniaka słowiańskiego, czystego i prostego, jest większej ceny, niż »wszystkie płody geniuszów«. Na równi z chłopami będą wyzwolone i kobiety. »Kobiety — słowa Mickiewicza — są powołane do równości; duchy nie mają płci«. Dotychczas kobieta była niewolnicą, spełniała rolę podrzędną, najdogodniejszą dla męża. Kobieta do niczego mięszać się nie mogła, teraz będzie mogła mięszać się do wszystkiego: będzie wolną i równouprawnioną.

I Kościół musi się zreformować. Katolicyzm się przeżył. Teraz są nowe potrzeby, dawne cnoty nie wystarczają; a jak Chrystus dawnych praw nie obalał, tylko w nie tchnął nowe życie, tak też i Mistrz nasz podnosi wszystko, co upadło: rodzinę, naród, religię. Dzisiejszy Kościół zachował już same tylko formy: ducha, życie Chrystusowe, zupełnie utracił. Papież stał się wybornym gospodarzem, prawnikiem, nawet dyplomatą..., ale nie da się zaprzeczyć, że nie kto inny, tylko papieże »upadek *tonu* Chrystusowego« posuwali i posuwają. Należy odróżnić *Kościół oficyalny* od Kościoła prawdziwego, którego siedliskiem były wnętrza dusz wyższych, wybranych. Towiański tchnie nowego ducha w »zakrzepłe formy skamieniałego Kościoła«, położy koniec »martwości Kościoła urzędowego«; to też od niego liczyć się będzie nowa epoka w dziejach *uchrześcianienia* ludzkości. Tryumf chrześciański będzie przez ducha; duch chrześciański powróci, ale formy katolickie upadną. Dzisiejszy »Kościół urzędowy« jest tem w stosunku do nauki Towiańskiego, czem dawna synagoga żydowska była w stosunku do nauki Chrystusa. Jak Chrystus przyszedł w kościele żydowskim, najlepszym podówczas, tak Towiański przyszedł w kościele katolickim, najlepszym dzisiaj. »Dopóki Kośc ół, mówił Mickiewicz, czerpał wszystko z góry, miał moc i siłę; ale dziś z ziemi, z ksiąg, z litery martwej, z form i rozumu zasila się, a siła jest tylko w duchu, pochodzi tylko z ducha«.

Mimo to wszystko, Towiański zawsze się uważał za prawego i posłusznego sługę Kościoła: dowodził, że całe *Nowe Słowo*, które przynosił, nie było niczem więcej, tylko »wyższem zrozumieniem Ewangelii, że stanowi obszerniejsze rozwinięcie nauki Kościoła«, że on podaje tylko prawdy, przez Kościół jeszcze nieokreślone, które jednak, gdy Kościół zbudzi się z uśpienia, zostaną przyjęte i zatwierdzone. Na Kościele katolickim, mówił, do końca wieków spoczywa myśl Boża; dlatego »nieszczęśliwy ten, ktoby nas chciał

rozszczepiać z Kościołem katolickim«. Papieża (Piusa IX) uważał za »swój najwyższy urząd«, z którym zawsze pragnął się porozumieć (a czego mu zawsze wzbraniano). Na to samo godzili się wszyscy Towiańczycy, którzy na zapytanie, uczynione im przez X. Kajsiewicza, oświadczyli najuroczyściej, że chcą żyć i umierać w tym samym i jednym Kościele Chrystusowym katolickim, apostolskim, rzymskim, że wierzą w Chrystusa Pana, jedynego i prawdziwego Syna Bożego, prawego i ostatecznego Messyasza, zbawiciela świata i pośrednika przed Bogiem, że wierzą w Sakrament Ołtarza, jak i w inne Sakramenta, że gotowi umrzeć i dać się umęczyć za wiarę i Kościół, nad wszystko podniesienia i rozszerzenia tego Kościoła pragnąc, i t. d., i t. d.

Taką, w ogólnym zarysie, była nauka Towiańskiego.

II.

Słowacki, od chwili, jak Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, począł się nim także interesować. Bywając w klubie, ciągle słyszał o Towiańskim, o Mickiewiczu, o cudach, o nowem objawieniu, o skończonej emigracyi, o początku nowej epoki, etc. etc. bo wszyscy mówili o tem, jedni z przekąsem, drudzy, mianowicie *katolicy*, z oburzeniem, inni jeszcze, najwrażliwsi, z głębokiem przejęciem. Cóż dopiero, kiedy niektórzy z członków klubu, jak np. obaj Januszkiewicze, uwierzyli w Towiańskiego, kiedy się starali nawracać innych, kiedy zaczęli apostołować. Słowacki nie mógł pozostać głuchym na to wszystko, zwłaszcza, odkąd przyjechał do Paryża Aleks. Chodźko, który już ostatnich miesięcy 1841 roku, a więc wkrótce po swym przyjeździe, przystał do Towiańczyków. Wobec przyjaźni, jaka go od najdawniejszych lat łączyła z autorem *Beniowskiego*, musieli się widywać często, a widując się, rozmawiać o sprawie, która w tej chwili zaprzątała wszystkie umysły, a Chodźkę przedewszystkiem.

Z początku śmiał się z wszystkiego, a już to samo, że cała sprawa stała w najbliższym związku z Mickiewiczem, usposabiało go dla Towiańskiego niechętnie. Uważał, że musi to być jakiś »mistyczny waryat«, szarlatan jednem słowem, który tem musi się różnić od innych szarlatanów, że jest od nich zręczniejszy: inaczej nie otumaniłby Mickiewicza, który 1) był katolikiem gorliwym aż do Jezuityzmu, a 2) był Litwinem, a więc umysłem trzeźwym i nie łatwowiernym. Swoją drogą, kiedy o Towiańskim było coraz

głośniej, nie mógł wytrzymać, ażeby pisząc do Krasińskiego, nie zapytać go, czy i on nie słyszał czego o tym »mistycznym waryacie«. Krasiński odpowiadając na to pytanie listem z września 1841 r.. odpisał — w przypisku — tyle tylko: »O żadnych mistycznych waryatach nic nie słyszałem???«. Wymowne są te trzy znaki zapytania, wyrażające najwyższy sceptycyzm Krasińskiego, gdy chodziło o podobne objawy. Ale Słowackiemu zaczęła sprawa Towiańskiego coraz bardziej dawać do myślenia. Bądź co bądź, (myślał sobie) faktem było, że pani Celina cierpiała na obłąkanie, że doktorzy nie mogli zaradzić złemu, a Towiański nietylko uleczył ją, ale uleczeniu temu, jak powiadano, najwyraźniej towarzyszyły okoliczności cudowne. Czemuby nie przypuścić, że to jest człowiek nadzwyczajny, od Boga zesłany ku zbawieniu ludzkości, że to jest jakiś Szaman, który przychodzi do emigracyi, ażeby ją ratować z toni, podobnie, jak to w *Anhellim* czyni Szaman ze zgrają wygnańców sybirskich. Bo niemało było cech wspólnych pomiędzy Towiańskim a Szamanem. I Towiański, mógł, jak Szaman. rozpatrzywszy się w sercach owej zgrai wygnańców, rzec sam do siebie: »Zaprawdę nie znalazłem tu, czegom szukał; oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi«. A co czyni Szaman, ażeby tych ludzi uratować od niechybnej zguby? — Wybiera jednego z pośród nich, Anhellego, którego ukochał, jak syna, ażeby umierając, oddać mu ciężar swój, »większy ciężar, niż mogą unieść inni, *aby w nim było odkupienie*«. Ta mistyczna idea odkupienia, w którą Słowacki wierzył, a która sprawiała, że się wyraźnie identyfikował z Anhellim, że sobie wyobrażał, iż w nim jest odkupienie, czyniła go wielce pohopnym do przejęcia się mesyaniczną doktryną Towiańskiego; bo nie zaprzeczy nikt, że niema przepaści pomiędzy ideą, którą przynosił Towiański, a ideą, której poetycznym wyrazem był *Anhelli*. W każdym razie obie doktryny czy *idées fixes* miały swe źródło w mistycyzmie, czyli, że umysł Słowackiego miał wrodzony pociąg do mistycyzmu (w tym samym stopniu, jak go posiadał umysł autora trzeciej części *Dziadów*), że był podatną glebą, ażeby na niej ziarno przez Towiańskiego rzucone przyjęło się z łatwością. Jakoż nie co innego z pewnością. tylko to było powodem, że autor *Anhellego* już w październiku 1841 (a więc w dwa miesiące po uzdrowieniu żony Mickiewicza) zaczynał Towiańskiego traktować na seryo. Że tak było, tego dowiódł listem swoim, pisanym w tym czasie do Krasińskiego, a w którym musiał być bardzo bliskim uwierzenia w moc cudotwórczą Towiańskiego i w prawdziwość jego idei, skoro Krasiński, odpisując mu, zaczął

swój list z d. 27 paźdz. 1841 r. od następujących słów: »Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie; *w cudotwórców prawie nigdy:* nie znam zaś próżności próżniejszej nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu *cudów*«. Musiało być w liście Słowackiego niemało o pokorze, którą zalecał Towiański, skoro list Krasińskiego jest — w swych trzech czwartych — małą dyssertacyą na temat pokory i próżności. Nadto da się z tego listu bardzo łatwo wyciągnąć wniosek, że Słowackiemu musiało odrazu trafić do przekonania to wszystko, co Towiańczycy, powtarzając za Mistrzem swym, mówili o martwości Kościoła urzędowego, o przeżyciu się katolicyzmu, o faryzeizmie księży, zwłaszcza Jezuitów, etc. etc.; inaczej nie pisał by do niego Krasiński: »Patrz tylko, na co wyszli Lamenais, Lamartine, Sandowa w ostatnich płodach?« Wszystko to było pisane z myślą o Towiańskim: sam Krasiński wyraził się o tym liście, że w nim »pisał o Rejencie«. Przez tego rejenta należało rozumieć oczywiście Towiańskiego, do którego Słowacki — po za swoją nieszczęśliwą miłością dla pani Bobrowej — czuł jakiś mimowolny pociąg. Jeszcze się o nim czasami odzywał z niedowierzaniem, jak np. w swoim rozbiorze poezyi J. B. Zaleskiego, gdzie »o świeżych proroctwach« — z powodu wiersza »wróć wygnańcze do ojczyzny« — pisał z odcieniem ironii; ale można to uważać za dowód zarazem, że i te proroctwa Towiańskiego o blizkim powrocie do ojczyzny budziły w nim zastanowienie. Zrazu powątpiewał, ale stanowcza pewność i dobra wiara, z jaką Towiańczycy obwieszczali koniec emigracyi, mogły i jego zbić z tropu. Któż zaręczy, że Towiański nie miał natchnienia z góry, kiedy wygłaszał podobne przepowiednie? Najbliższa przyszłość okaże, czy miał prorocze widzenie przyszłości, czy był tylko »mistycznym waryatem«.

Tymczasem życie splatało się w ten sposób, że Słowacki był ciągle zajęty, że musiał bez ustanku myśleć o czem innem, że zbytnio zaprzątać się »świeżemi proroctwami« Towiańskiego poprostu nie miał kiedy.

Dopóki była w Paryżu pani Bobrowa, myślał o niej przedewszystkiem; kiedy wyjechała, tęsknił za nią, to znaczy, że znowu o niej myślał najwięcej. Przytem choć wyjechała, choć w tej chwili przebywała we Frankfurcie, nie była przeciwna temu, ażeby poeta rozmawiał z nią — listownie, a nadto, żeby jej załatwiał różne interesy, ażeby jej wyświadczał różne przyjacielskie usługi, co dla niego — jak nie wątpiła o tem — było miłem roztargnieniem, a jej ułatwiało niejedno. I tak np. ledwo przyjechała do Frankfurtu, doszła do przekonania, że byłoby bardzo dobrze, gdyby

miała przy sobie jakąś osobę do towarzystwa, o ile możności Angielkę, żeby i dziewczynki mogły się wprawiać w język Szekspira. Jeszcze, kiedy była w Paryżu, słyszała o niejakiej pannie Gedge, że była doskonałą guwernantką. Co zrobić, aby ją sprowadzić do Frankfurtu? Pisać do niej? Niema w takich razach, jak rzecz załatwić ustnie, jeżeli nie samemu to przez kogoś. Jakoż przyszła do przekonania, że Słowacki byłby bardzo odpowiednim do tej roli pośrednika. Nie namyślając się długo, napisała do niego, wskazała właściwy adres, gdzie miał się udać, i nie zawiodła się. Słowacki, otrzymawszy list z Frankfurtu, pisany ręką pani Bobrowej, i przeczytawszy go, w tej chwili udał się do panny Gedge, o tem zaś, jak się z rzeczonej misyi wywiązał, napisał nazajutrz, d. 3 czerwca (1842) dość obszerny list, w którym szczegółowo opisał swoją wizytę u panny Gedge, a który zasługuje na to, ażeby z niego przytoczyć obszerniejsze wyjątki. »Przypomnij sobie, Pani, Don Kiszota, który uwolniwszy z kajdan rekrutów, każe im iść do Toboso i skruszone kajdany złożyć u stóp swojej królowej. Tak właśnie uwolniona od przestrachów panna Gedge, pokonana moją wymową, w piątek przyszły pokaże się przed tronem Pani i powie Jej, że ja zawsze sługą jestem gotowym na wszelkie rozkazy. A że w piątek panna Gedge będzie we Frankfurcie, o tem wątpić nie należy, albowiem obstalowane już ma miejsce w dyliżansie i paszport już posłany do podpisów«. Wszystkiego tego dokonał oczywiście Słowacki. »Niechże więc Pani raczy wysłać kogo do biura dyliżansowego, aby na pannę Gedge w godzinę jej przyjazdu czatował i uwolnił ją od błąkania się po oberżach; racz także na wszelki przypadek napisać do niej mały bilecik, z wymienieniem swego adresu, i ten bilecik niech na nią w biurze Frankfurckiem *poste restante* czeka. Co do warunków z nią pieniężnych, są takie, jakie Pani sama podałaś... przyrzekłem jej tylko, że koszt podróży zwrócony jej będzie: zdaje mi się, że tak słuszność nakazuje. Wydatek ten nie będzie wielki. O inne drobiazgi zupełnie mnie nie zaczepiała. Wszystko przekonało mnie, że wyglądam na bardzo poczciwego człowieka, albowiem nie mając w ręku żadnego dokumentu, nie mogąc nawet pokazać listu pani, dla żartobliwego tonu, który w nim panuje, pokazałem się sam tylko i zupełne zyskałem zaufanie. Teraz więc, gdyby mi się zachciało pannę Gedge wyprawić do wysp Kanaryjskich albo do Australii, mógłbym to uczynić i udało by mi się niezawodnie... Zdaje mi się, że jest to osoba dobrego serca i wielkiej prostoty: ubiór jej, granatowy, przypomina mi greckie czernice, czyli mniszki, nie chciałbym

jednak być kleftem na tej samej górze, gdzie klasztor, napełniony takiemi czernicami, girlandą okien księżycowych błyszczy. (Widocznie, że panna Gedge była bardzo przystojna). Lecz ponieważ tu nie idzie o klefta, ani o poezyę, ale o Panią i jej codzienne życie, sądzę, że panna Gedge będzie prawdziwie na swojem miejscu«. Tyle o pannie Gedge; co następowało potem, było już o poecie samym, o jego tęsknocie za błękitnemi oczyma »Królowej«, za którą tęsknił, choć wiedział, że ona nie tęskniła za nim. Mimo to, raz poraz przechodził pod oknami domu, w którym mieszkała niedawno, a okna te, na myśl, że »królowa« się w nich nie ukaże, wydawały mu się »nadzwyczaj smutne i puste«. Chodził po trotoarze asfaltowym, który od żaru słonecznego płonął pod stopami jego »jak podłoga piekielna«, a patrząc na grecką kolumnadę kościoła św. Magdaleny, doznawał złudzenia, że i te kolumny »litośnie« spoglądają na niego, widzą go, że taki smutny krąży nieopodal nich, »a święta Magdalena, stojąca na frontonie, już zda się płakać nie swoich, ale *moich* grzechów«. Te grzechy, które mu nie dawały spokoju, zwłaszcza, kiedy pomyślał o tej, która była tych grzechów przyczyną, sprawiały teraz, że był nietylko grzeszny, ale i pokutujący, bo najdotkliwszą karą, na jaką go mogło niebo skazać, było przymusowe rozstanie z »królową«. Jedyne, co mu pozostało po niej, to świat ducha, w którym (pisał) żyję teraz, nie »trącając o nic żywego, a jednak ciągle trącany przez coś jakgdybym chodził po grzbiecie torped elektrycznych. Ale spodziewam się, że to minie«. Nie minęło, a najlepszym dowodem, że nie minęło tak prędko, jak się poeta spodziewał, był jego list do pani Bobrowej, pisany w tydzień później, d. 9 czerwca, już po wyjeździe panny Gedge, a spowodowany listem z Frankfurtu, pisanym do panny Gedge, a który z powodu że adresatka już była wyjechała poprzedniego dnia, wręczono Słowackiemu. Ten ostatni, lękając się, jak powiada, ażeby list rzeczony nie był przeciwny jego instrukcyom, otworzył go, a rozpieczętowawszy znalazł »dyplomatyczną missywę, przez pannę Lolly zredagowaną, prawdziwie krótką i węzłowatą«, »Dziwny wiek! Istoty, które do róż są podobne, podobne są także do ministrów spraw zagranicznych. I to się dzieje całemi familiami! Szczęściem, że w tym listku, oprócz mego nazwiska, z pomyłką jednej litery napisanego, nie znalazłem nic więcej, coby mnie zadrasnąć albo upiec mogło... Suche listki doskonale harmonizują z tą atmosferą skwaru i pyłu i rozpalonego asfaltu, po którym chodzę, z sercem podobnem do zamkniętej ostrygi, albo do muszli perłowej *bez żadnego już*

wewnątrz ślimaka. Na Boga! Rzuć Pani błękitnemi oczyma w stronę Paryża! Niech mi tu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się na chwilę ciemne powietrze! Połowę tego światełka i tej błyskawicy oddam, jak zwierciadło wierne, Aleksandrowi Potockiemu, który wczoraj właśnie przyjechał z Rzymu i błąka się tak błędnie, że ja także błąkający się cień, dotąd go jeszcze napotkać nie mogłem. Słyszałem jednak, że jedzie do Frankfurtu, i tę wieść, dość niepewną, Pani donoszę. Chciałbym się z nim zamieniać, nie wiem, czy na ciało, czy na duszę, czy na te buty siedmiomilowe, które go ciągle przenoszą z miejsca na miejsce..., czy na ten worek napełniony wiktuałami i sympatycznemi zioły, *co mu jedna serca i zdobywa win przebaczenie*«. Wtedy nie siedziałby w Paryżu, ale by go widziała przy sobie, we Frankfurcie, i nawet by się dał wprządz do jej rydwanu, jak tylu innych... Przy wozie takiego jak ona, »bóstwa excentryczności«, czułby się równie dobrze, jak student berliński, idący na orczyku przy tryumfalnym rydwanie Liszta. »Gdybym tego nie uczynił, smutek i nuda zjadły by mię do szczętu«, tak, jak go teraz zjadały. Gorączką zaś, którą się czuł trawiony najbardziej, była tęsknota za temi niebieskiemi oczyma, które ten list czytać będą. »Gdybyś Pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu, jeżeli ton jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny, i zdaleka budzić przychodzi; gdybyś wiedziała, jak mi tu słychać każdy szept w Jej domu, każdy szelest sukni, jak echo każdego Jej kroku dochodzi do mnie...« Gdyby wiedziała o tem, może by się dlań okazała »trochę dobrą i litośną«, możeby go podniosła z ziemi, gdzie, jak robak tarzał się u jej stóp, on, taki dumny wobec innych, on, który się nigdy nie korzył przed nikim, przed nią jedną! W takim tonie namiętno-erotycznym był cały list, list, który sam poeta nazwał w zakończeniu »gawędą o niebieskich migdałach«, a który jest jednym z najpiękniejszych listów miłosnych, jakie napisano kiedykolwiek.

Ale na jedno należy zwrócić uwagę: list ten, nic niemający wspólnego z Towiańskim, jest pisany w taki sposób, że, wnosząc z niego, dochodzi się do przekonania, że Słowacki w tym czasie musiał się znacznie zbliżyć do Towiańczyków, że go ku nim jakaś nieprzeparta siła ciągnęła coraz bardziej. Oto np. jedno zdanie wyraźnie pisane pod wpływem nauki Towiańskiego: »Gdybyś Pani wiedziała, *jak to jest Boską i opłacającą się pracą* podnieść z ziemi czoło w prochu już leżącego człowieka!... Gdybyś pani chciała *religijnie* być trochę dobrą i litościwą: *jak święta,* a jak łatwa byłaby ta *praca*«. A w dalszym ciągu mówi

poeta, że w nim, w ciągu tej zimy, była »jakaś *siła* nieużyta, jakieś *wojsko duchów, nie wyprowadzone do walki,* coś takiego, co *musiałoby pokonać*...« »Teraz, pisał w innem miejscu, już to wszystko jest za granicami władzy mojej i świata mojego, i coraz bardziej się odemnie oddala..., teraz *wieczny odpoczynek sercu mojemu! i niech światłość wiekuista świeci mu!* A na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spójrz pani czasem z uśmiechem, bo prawdziwie, że w tym cieniu *unoszą się główki Aniołeczków, różom podobne, na gołębich skrzydełkach, i śpiewają mi takie pieśni,* jak gdyby się moje lata dziecinne budziły i znów przechodzić miały. I powróciłem ze skał Manfredowych — do łąk, gdzie słychać świegotanie jaskółek«: powrócił ze skał Manfredowych, to znaczy, że się żegnał z Byronizmem, któremu dotąd hołdował w życiu, że się przestawał drapować w romantyczny płaszcz Byronisty, a zwracał się do prostoty pastuszej, do której nawracał Towiański, a która sercom stroskanym i strzaskanym, jak jego, dawała »wieczny odpoczynek«. On zaś, nie chcąc, ażeby go »smutek i nuda zjadły do szczętu«, nie mógł nie oglądać się za ratunkiem dla siebie, nie mógł się nie skłaniać ku ludziom, w których, nietylko w domu, ale w sercu i w duchu, były kwiaty i wiosna, którzy głosili, że serce każdego, co się z nimi połączy i uwierzy, w co oni uwierzyli, potrafią »pocieszyć, rozradować, okwiecić i ozielenić«.

»Spiesz zaraz, zaraz, do nas, abyś serce twe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił«, pisał Mickiewicz do Bohdana Zaleskiego; a słowa te, rozgłaszane na wszystkie strony, powtarzane przez zwolenników Mistrza, były jak owo światło lampy, do którego zbiegają się ćmy, aby w niem sobie skrzydła opalić. Temi nieszczęśliwemi ćmami były skołatane dusze naszych emigrantów, a w tej liczbie i dusza Słowackiego, który oprócz wszystkich zatrutych strzał, jakie krwawiły zbolałe serca emigracyi, był jeszcze ugodzony śmiertelnie »zwodniczym postrzałem Amora«. A nauka Towiańskiego, o ile słyszał o niej, była kojącym balsamem na wszystkie rany: gdzie życie siało śmiertelne jady i krwawiące ciernie, tam ona sadziła wonne kwiaty i rozlewala woń wiosny. I jakże można było zatykać uszy, jak Ulisses, na głos takiej Syreny!

Ale zanim się rzucił w jej objęcia, zdarzyło się tak, że musiał być na usługach innej kobiety, której dotrzymywać towarzystwa nakazywał mu obowiązek, dług wdzięczności. Tą kobietą była Eglantyna Patteg, która w lipcu, razem z bratem swoim, kupcem szwajcarskim, przyjechała do Paryża, a przyjechała dlatego głównie, aby zobaczyć

Słowackiego, żeby z nim czas jakiś spędzić. Czy poecie bardzo to było na rękę? Na to pytanie można odpowiedzieć z całą stanowczością, że dałby dużo za to, żeby Eglantyna nie przyjeżdżała do Paryża, zwłaszcza w tym czasie, kiedy głowę i serce miał zajęte czem innem... Przyznawał wprawdzie, że w tej dobrej »i prawdziwie wartej litości« dziewczynie pokazywały się bardzo dobre strony serca »mimo niejakie skwaszenie charakteru«, co było wynikiem staropanieństwa, że na nikogo, oprócz matki, tak liczyć nie mógł, jak na nią, że pomimo sześcioletniego rozłączenia z nim wciąż była przywiązana do niego, jak siostra, i może bardziej jeszcze, niż siostra, że i w jej matce miał szczerą przyjaciółkę, która go kochała, jak syna, ale mimo to wszystko, o ile z początku był rad, że przyjechała, o tyle po kilku dniach, a zwłaszcza po kilku tygodniach, niczego nie pragnął, tylko, żeby sobie pojechała, żeby mu dała święty spokój. Jakoż wyjechała w końcu (w połowie września), na dowód zaś, jak Słowacki był kontent z tego rozłączenia, warto przytoczyć jeden ustęp z jego listu do matki, ustęp, w którym najdrastyczniejsze i najostrzejsze wyrażenia poprzekreślała pani Becu tak, że ich odczytać nie sposób, a w którym poeta pisze o tym wyjeździe. »Z Eglantyną *nareszcie* my się rozeszli; chciano koniecznie, abym po całych *dniach stosując się do parafiańskiej ciekawości,* do nienasyconej ciekawości, wodził ichmościankę po ulicach, sklepach, galeryach, właził po kręconych schodach na kolumny (*Vendôme*), wieże (katedry *Notre Dame*) i inne belwedery (panteon), o 8-ej zrana był już na usługach, a kładł się spać aż po odbytym teatrze, niekiedy zaś wyjeżdżał za miasto na cały dzień dla zwiedzania okolic, które dla mnie wcale nie są ciekawe. Całej mi mocy trzeba było, abym się temu wszystkiemu oparł i wszystkie wycieczki do trzechkrotnych na tydzień spacerów zredukował. Tak się jednak stało, że nie uchybiwszy w niczem imości, oddałem jej tylko te usługi i grzeczności, które się należały. Bardzośmy się dobrze rozstali«. Niestety, »został mi brat jej *na karku,* bardzo ograniczona figura, kupiec, ale dosyć dobry chłopiec, z którym żyłbym, gdybym miał choć jeden ton duszy wspólny, choć dwie myśli podobne; a jednak i tak żyję«. Widocznie, że nie miał sposobu pozbyć się go.

O ileż inaczej czuł się w towarzystwie młodego Witolda Czartoryskiego, z którym w tych czasach zawiązał bliższe stosunki, a przez to samo i z jego rodzicami.

O ile wiemy, to przyjechawszy w roku 1838 za drugim powrotem do Paryża, nie bywał u Czartoryskich; widocznie, że nie zaproszono go, a narzucać się nie chciał!

I tak go demokraci z Centralizacyi nazywali »arystokratą«. Powtóre nie miał zupełnie czystego sumienia wobec księcia Adama Czartoryskiego, któremu za gościnność i sympatyę, jakie mu oboje księztwo w r. 1832 okazywali, nie bardzo szlachetnie wywzajemnił się w *Kordyanie*, w prologu. Z pewnością znaleźli się tacy, co o tem donieśli księciu. Powtóre we wszystkiem, co od tego czasu napisał, stawał wyraźnie po stronie demokratów: we wszystkiem, począwszy od *Anhellego*, a skończywszy na *Dantyszku*. W *Anhellim*, w rozdziale X, mówiąc o stronnictwach na emigracyi, o stronnictwie szlachecko-monarchicznem, na którego czele stał w Paryżu książę Czartoryski, wyraził się w sposób taki: »Pierwsza gromada miała na czele Grafa Skir (tu należało się domyślać ks. Czartoryskiego), który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą...» Co Słowacki myślał o tej szlachcie, to wynikało z Piasta *Dantyszka*, w którym rubaszny i pijany szlachcic w kontuszu ma być wyobrazicielem tej warstwy społecznej, do której należał. A na czele tej warstwy — według *Anhellego* — stał książe Czartoryski. A i w *Grobie Agamemnona*, czytanym na posiedzeniu *Tow. histor.-literackiego*, którego prezesem był ks. Czartoryski, była tendencya antyszlachecka, kiedy poeta mówił, że

Na Termopilach, *bez złotego pasa*,
Bez czerwonego leży trup kontusza,

i że Polska wtedy będzie wolna, kiedy »duszę anielską« przestanie więzić »w czerepie rubasznym« t. j. szlachecko-kontuszowym. W końcu wyszedł *Beniowski*, gdzie Słowacki stanął wyraźnie po stronie idei demokratycznej (nie demokratów paryskich), gdzie arystokracyę nazwał »bez ognia *pieklem*«. Wobec tego dziwić się nie można, że go nie zapraszano do Czartoryskich, że sobie nie przypomniano go, choć on sam, zaraz po swoim przyjeździe z Florencyi, trochę się przypominał, kiedy przez Błotnickiego posyłał »Księżnie« różne dywaniki włóczkowe, które, jako dar od księżnej Survillier i innych dam florenckich, przywiózł dla Bazaru polskiego, i kiedy prosił Błotnickiego (w liście z d. 21 grudnia 1838 r.), aby mu doniósł, kiedy książe jedzie do Londynu. Pewno chciał być u niego. Zdaje się jednak, że się rozmyślił i nie poszedł.

Tak upłynęło trzy lata przeszło. Nagle, w końcu lipca mniej więcej, przyjechał do Paryża Witold Czartoryski, do niedawna uczeń Błotnickiego, a obecnie od niejakiego czasu student któregoś z Uniwersytetów niemieckich. Tam się poznał »z jednym kochanym« Słowackiego (ko-

chanym, którym był albo jaki dobry znajomy poety albo też który z jego poematów, *Anhelli* np. lub *Beniowski*), który mu o nim tyle »nagadał«, że książe Witold powróciwszy na wakacye do Paryża, zapragnął poznać się ze Słowackim. W tym celu odszukał go, co mu przy pomocy Błotnickiego poszło bardzo łatwo, a zapoznawszy się, pokochał szczerze. Oczywiście, że wobec tej przyjaźni z księciem Witoldem, zaczął Słowacki znowu bywać u Czartoryskich a tym razem potrafił sobie do tego stopnia zaskarbić łaski obojga księstwa, że wkrótce i oni pokochali go szczerze. Sam Słowacki przyznawał, że nigdy się nie zbliżyli do niego tak, jak teraz. Uważano go, jak domowego, a że się odznaczał wrodzoną wykwintnością, że mógł uchodzić — nawet u Czartoryskich — za wzór dobrego wychowania, że w salonie, wśród ludzi najwyższych sfer towarzyskich, czuł się swobodny, był elegancki i bez zarzutu pod względem dystynkcyi i manier, więc stał się bardzo pożądanym gościem, a zwłaszcza pożądanym towarzyszem, dla młodych książąt. Dano mu nawet do zrozumienia, że zgodzonoby się chętnie widzieć go w roli Mentora przy najmłodszym z synów księcia. Oto, jak sam Słowacki pisze o tem do matki: »W oczach ich widzę, że mi chcą syna w przyszłości powierzyć, że im to miło wiedzieć, że za ich grobem ja będę strzegł ich syna i kochał bezinteresownie, jak kochają ludzie dumni i równi wszystkim. Do tego porównania się przyszedłem i sądzę, że to powinno być celem każdego człowieka; kto nie zdobędzie sobie tak miejsca w ławie kościelnej, ten ma wiele do czynienia. Myśląc o tem wszystkiem, szczerze i ogniście dziękuję Bogu za Jego niewidzialną pomoc. Nieraz Jemu dziękując, myślę ze łzami, że to i tobie, twojej prawdziwie wysokiej duszy i wrodzonej szlachetności winienem. Zda mi się, żem nic nie zdobył na świecie, takeś ty mnie zaopatrzyła we wszystko: jeszcze każde moje ujęcie, każdy ruch, każde prawie słowo wynika z dawnej jakiejś nauki, wziętej od ciebie. Słowem, miałem tu czas dać poznać ludziom, że umiem szanować zasługę i umiem nawet kłaniać się, ale to wtedy tylko, kiedy wiem, że tego za pochlebstwo nie wezmą, bo wiedzą, że nic od nich nie oczekuję«. Takie było stanowisko Słowackiego wobec rodziny księcia Adama Czartoryskiego: ceniono jego taktowne zachowanie się, w sytuacyi, gdzie inny człowiek, pochodzący z tej sfery, co Słowacki, oszołomiony zaszczytnym stosunkiem, bardzo łatwo mógłby zapomnieć o swej godności i kłaniać się więcej i niżej, aniżeli tego zachodziła potrzeba.

Swoją drogą w obozie demokratycznym nie podobała

się ta przyjaźń Słowackiego z Czartoryskimi; jakoż zaczęto go wkrótce nazywać »czartoryszczykiem«, arystokratą, mówić, że się czepia pańskiej klamki, że się kłania arystokratom, że im schlebia, itd., itd. Że tak nie było, za dowód może posłużyć list powyższy. Przyjaźnił się z Czartoryskimi, ale hołdował idei demokratycznej, a choć oni byli monarchistami, on się nie taił, że był republikaninem, że »wierzył w Mochnackiego«. Książe z pewnością wiedział o tem (musiał czytać *Beniowskiego)* i to mu właśnie mogło się podobać w poecie, bo można być pewnym, że umiał uszanować niezależność cudzych przekonań. Zanadto wielką miał znajomość ludzi.

Ale w domu książęcym nawet kiedy się tam jest »szczerze kochanym«, nie można bywać zbyt często, nie chcąc być natrętnym i narzucającym się. Rozumiał to Słowacki, ale podobna świadomość nie była jeszcze lekarstwem na samotność, której się lękał coraz bardziej, szczególniej wieczorami. Dowód to, że powoli stawał się starym kawalerem. »Ja (pisał do matki), co dawniej lubiłem samotne wieczory, teraz już sam wysiedzieć nie mogę: nuda mię ogarnia, nie wystarczam sam sobie wieczorami.« Zwłaszcza od chwili, kiedy wyjechała pani Bobrowa, czuł się osamotniony, stęskniony, smutny, nieszczęśliwy. Nie mogąc wysiedzieć w domu, szedł do klubu, ale i to nie zapełniało owej pustki, owej czczości jakiejś, którą czuł dokoła siebie. Narzekał więc, tracił nadzieję, chodził, jak »błąkający się cień«, podobny do »okrętu ginącego na morzu rozpaczy«, a pod wpływem tego znudzenia i zniechęcenia, które jeszcze potęgowała nieszczęśliwa miłość, kiedy się zastanowił, że jeśli będzie żył tak, jak teraz, to go »smutek i nuda zjedzą do szczętu«, że takie życie jednostajne w samotności, rozłożone na lata, musi obrzydnąć w końcu, kiedy się zastanowił nad tem, musiał uczuwać gwałtowną potrzebę jakiejś zmiany, zakosztowania jakichś nowych stanów duszy, a przedewszystkiem uspokojenia, większej pogody wewnętrznej; bo dotychczas wiedział tylko, co jest niespokojność, co spleen i melancholia, co nuda i czczość.

Tymczasem, w pobliżu niego, była garstka ludzi kochających się, garstka powiększająca się z dniem każdym, ludzi, którzy, pod przewodem Towiańskiego i Mickiewicza, głosili nowe idee, którzy się poświęcali sprawie ludów, którzy, służąc tej świętej sprawie, »jednym ogniem ożywieni«, pełni nadziei, pracowali nad poprawą swych dusz, wyrzekali się wszystkich słabostek i małostek ludzkich, z dumnych stawali się pokorni, z niesfornych — ulegli i zgodni, z zawziętych — przebaczający, z samolubów — poświęcający

się, którzy starali się żyć ściśle według nauki Chrystusa, w miłości i pokorze, a dla których, jak sami wyznawali, skończyło się panowanie złego, kończyła się emigracya, zbliżała się chwila powrotu do kraju — w tryumfie i z dobrą nowiną — chwila panowania Ewangelii, nowa epoka, epoka Miłosierdzia Bożego. W tej nadziei żyli, ta myśl ożywiała ich, dawała otuchę, spokój wewnętrzny, pogodę i jakieś wiosenne rozradowanie ducha.

Wielu ze znajomych jego, którzy przyłączyli się do tej Świętej Roty, zmieniło się do niepoznania w sposób zadziwiający; oczywiście była to metamorfoza na korzyść. Obaj Januszkiewicze, Eustachy i Romuald, Kołysko, Nabielak i kilku innych, od czasu, jak przystali do Towiańskiego, robili wrażenie nie tych samych ludzi, w niczem nie podobnych do tych, jakimi byli dawniej. Jakiś wyraz natchnienia i szczęśliwości malował się na ich twarzach, w oczach błyszczał ogień święty, na ustach były słowa zapału, a dusze rozanieliły się jakoś: ci prozaiczni zjadacze chleba, z którymi on dawniej nie miał nic wspólnego, których on porównywał do zatartych szelążków, teraz, w jego oczach, mieli jakąś dziwną wyższość nad nim, coś, co mu w nich imponowało, a co go zarazem pociągało ku nim. Jakaś świętość otaczała ich postacie, a kiedy mówili o »Mistrzu«, o dobrej nowinie, którą On przyniósł, wpadali w zapał, stawali się wymowni, porywali swą gorącą wiarą, która mimowoli udzielała się słuchającym; słowem, patrząc na nich, przestając z nimi (a Słowacki miał do tego niemało sposobności w klubie, podczas obiadów), miało się wrażenie, iż się ma przed sobą Apostołów jakiejś nowej wiary, jakiegoś nowego objawienia, uczniów jakiegoś nowego Chrystusa! To wszystko musiało odpowiedni wpływ wywierać na Słowackiego.

Nadto sama patryotyczno-mistyczna nauka, którą głosili Towiańczycy, była tego rodzaju, że do przyjęcia jej nikt nie mógł być usposobionym lepiej, aniżeli Słowacki: ona dawała mu to, czego szukał, a czego nie znalazł przez całe życie; wszystkie zagadki, które mu nie dawały spokoju, ona rozwiązywała.

Przedewszystkiem, nietylko, że mu trafiała do przekonania, ale jeszcze — co najważniejsza — przemawiała do jego wyobraźni marzycielskiej i poetyckiej. Ten cały świat duchów, o którym nauczał Towiański, jak i teorya metampsychozy, to była kraina, która fantazyę takiego poety-fantastyka, jak Słowacki, ogromnie musiała pociągać. Ten świat, zaludniony duchami, które ciągle wywierają wpływ na postępki ludzi, to było wspaniałe marzenie, które w wy-

obraźni Słowackiego, opromienione najfantastyczniejszemi blaskami poezyi, musiało się układać w czarowny obraz, w nieporównane widzenie! A teorya metampsychozy! Trudno o poetyczniejszą teoryę, którąby zarazem posiadała tyle uroku — dla dumy. »Bo miło jest, jak pięknie powiada prof. St. Tarnowski, przewić się przez całe dzieje ludzkości, widzieć się nad Gangesem, nad Jordanem i nad Nilem, widzieć się pomiędzy uczniami Platona i pomiędzy Kwirytami rzymskimi, i może z ust Chrystusa słyszeć kazanie na górze, identyfikować się z wielkimi ludźmi, mniemać się aktorem w każdej wielkiej scenie, pomocnikiem przy każdym wielkim czynie ludzkości, wmówić w siebie tyle zasług, tyle mądrości, tyle poświęceń, na każdej karcie historyi widzieć swoje — kiedyś noszone — imię, swoją duszę — w oku każdego wielkiego człowieka! I siebie czuć we wszystkiem, co się stało wielkiego na świecie«.

Niemniej pociągało go i to, że Towiański »duchy stawiał nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony, wpajając w nie królewskie moce, łącząc z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą, jednem *słowem,* które świat materyalny robi *snem* w oczach człowieka«. To kalderonowskie pojęcie życia i świata, jako snu, było niesłychanie silną przynętą dla Słowackiego. On, który zawsze żył marzeniami, dla którego imaginacya była najgłówniejszem źródłem wszelkiego szczęścia i wszelkich nieszczęść, który urojenie tak często brał za rzeczywistość, nie mógł nie czuć pociągu do tej nauki, która wieszcze natchnienie podawała za kryteryum prawdy, za świadectwo najwyższej łaski Bożej. Jego dotychczasowe pojęcia nie wystarczały mu, bo powodowały przykre rozterki wewnętrzne: kochając np. kraj i chcąc dla niego coś zdziałać, aż zbyt dobrze pojmował, jaka niezgłębiona przepaść leżała między niepochwytnemi ideałami, które się rodziły w jego mózgu, a rzeczywistą prozą życia: ztąd — jak to słusznie zauważył Maryan Zdziechowski — ta ciągła skłonność jego do krwawo-radykalnych wybryków, tchnących, jak *Kordyan* i *Lilla Weneda,* rozpaczą i pesymizmem, po których rzucał się, jak w *Anhellim,* w nieprzytomne wywyższanie siebie i swoich marzeń, czyniących go niby aniołem jakimś, jakimś ulubieńcem i wybrańcem Bożym.

To przeświadczenie, głęboko zakorzenione w jego umyśle, było nieodrodnem dzieckiem jego wielkiej dumy, dumy, niejednokrotnie graniczącej z pychą. Była to słabość ludzka, u poetów i wybitnych indywidualności spotykana bardzo często, lecz tej słabości właśnie, tej dumie, która mu kazała uważać się za jakąś istotę wybraną, wyż-

szą od innych, nauka Towiańskiego schlebiała w sposób taki, że oprzeć się jej urokowi było, jak dla Słowackiego, prawie niepodobieństwem. »Uczyła ona — powiada najwytworniejszy z naszych krytyków literackich — że skupiając,ześrodkowując swego ducha w sobie, może mu człowiek nadać taką siłę prężności, że tą siłą samą, samą wolą zdoła rozkazywać duchom ludzkim i martwej naturze, mieć w swoich rękach ludzkie duchy i wole, i obracać niemi, jak zechce, łamać je, ubezwładniać lub podnosić do Boga. Co za obietnica dla umysłu dumnego, który władzy nad innymi całe życie pożądał, a nigdy nie posiadał w takiej, jak chciał, mierze! Jak łatwo, a zwłaszcza jak słodko człowiekowi zarozumiałemu uwierzyć, że w sobie taką ducha potęgę wyrobi! Dalej mówił Messyanizm, że im bardziej człowiek wyrabia w sobie moc ducha i intuicyę, tem bliższym staje się Boga, tem wyraźniej, tem bezpośredniej odbiera Jego rozkazy, tem bardziej staje się naczyniem wybranem, przez które duch Boży schodzi na ziemię i udziela się ludziom; tem wyraźniej wzbija się człowiek nad ludzi, nad ów Słowackiemu nienawistny *tłum*, tem więcej wnika w Boga i Bóg w niego, tem więcej boskiej siły nabiera. Mniemając się zdolnym tej mocy i tej intuicyi, dumny umysł z rozkoszą chwyta się nauki, która mu przyrzeka tak blizkie i tak poufałe z Bogiem obcowanie; widzi odrazu *siebie*, jako naczynie wybrane, jako przyjaciela i proroka bożego, jako zwiastuna — przed ludźmi — bożego zakonu, głosiciela Jego woli, a choć od ludzi tak nieskończenie wyższym, widzi się przecież tego *tłumu* dobroczyńcą i wodzem«.

Wszystko zresztą, co przynosił Towiański, było tego rodzaju, że w umyśle człowieka, jak Słowacki, musiało przyjąć się z niesłychaną łatwością, bo obok teoryi i doktryn, które go — jak się wyraził autor *Królowej opinii* — chwytały i pociągnęły za gorszą stronę jego natury, za dumę (i za wyobraźnię), głosiło zasady najwznioślejsze, jak udoskonalenie ludzi przez miłość, zdarcie z nich grubej skorupy ziemskiej, rozpowszechnienie prostoty i anielstwa, zasady, słowem, które — jeśli zparafrazujemy znane wyrażenie poety samego — zwykłych »zjadaczów chleba« obiecywały przerobić w aniołów. »Mówił Mesyanizm, że przychodzi odrodzić świat w duchu i w prawdzie, i uzupełnić naukę Chrystusa, tak, jak ona niegdyś uzupełniła stary zakon. Chrześcijaństwo, mówił, nie zrobiło wszystkiego. Dziewiętnasty mu już wiek dochodzi, a promienie jego zaledwo się przez pierwszą, zwierzchnią warstwę ciemności przedarły; pod jego ciepłem stajały ledwie po wierzchu grube lody

ludzkiego samolubstwa i fałszu; prawo miłości, które ono głosiło, przeniknęło zaledwie do serc pojedynczych ludzi, zapanowało co najwięcej nad rodziną i domem, ale głębiej nie sięgało. Gdzież jest miłość w społeczeństwie samem? miłość rozumnych do prostaczków, bogatych do biednych, i nawzajem biednych do bogatych? gdzie wyrozumiałość wzajemna, gdzie dobra wola, gdzie hamulec na te namiętności społeczne, gdzie umoralnienie, gdzie duchowe podniesienie społeczeństwa, jako takiego? Towianizm mówił, że Chrześcijaństwo tej części dzieła nie wykonało, a szlachetne aspiracye Słowackiego odpowiadały, że ona wykonaną być powinna, i pytały kto ją wykona? Więcej jeszcze: pytał on dalej, co Chrześcijaństwo zdziałało w politycznym świata porządku? Dlaczego nauczało człowieka, że nie godzi się bliźniego okradać, oszukiwać, zdradzać, gwałcić, zabijać, a nie nauczyło ludzi, że nie godzi się zdradzać, rabować i mordować społeczeństw i narodów? Dlaczego Chrześcijaństwo cierpi, że ludzie zbiorowi na ludziach zbiorowych dopuszczają się tego, co się pojedynczym ludziom nie godzi? Dlaczego uczciwości, dlaczego sprawiedliwości, dlaczego prawa bożego nie zdołano wprowadzić w prawo publiczne? Tu powinien był Słowacki — zdaniem prof. St. Tarnowskiego — odpowiedzieć na to, że to Chrześcijan wina, a nie chrześcijaństwa, ale był zbyt rozżalony, zwłaszcza zbyt rozżalony na kościół katolicki, żeby mógł był znaleść tę prostą i sprawiedliwą odpowiedź. A Messyanizm mu szeptał, że stary zakon nie wystarcza, że niema po temu odwagi i siły, że nowemu ustrojowi ludzkiemu trzeba nowego prawa, lub raczej tego samego do wyższej podniesionego potęgi. Czego przez tyle wieków dawna wiara nie zrobiła, tego już zrobić nie zdoła, a jak za konającej starożytności trzeba było wcielenia Boga samego, żeby życie w ludzkości zatrzymać, tak i dziś, jeżeli nie ma zginąć ludzkość spodlona i zniedołężniała, potrzebne jest i musi przyjść nowe objawienie. Tak mówił Towianizm, a wszystkie szlachetne uczucia Słowackiego, miłość ojczyzny, miłość ludzi, miłość dobrego, odpowiedziały *Prawda!* i uwierzył słowom, których rozsądek i zastanowienie poety, zważyć, ocenić i skarcić nie umiały«.

Nie umiały, bo zbyt wiele względów przemawiało za Towianizmem, a w położeniu Słowackiego jeszcze i ten osobisty, że poeta, samotny w swych dążeniach, marzeniach i myślach, a osamotniony, jako jednostka, wyobrażał sobie, że przystąpiwszy do *Świętej Roty,* znajdzie cały zastęp ludzi, jak on, marzących o odbudowaniu ojczyzny, a za kryteryum prawdy, za świadectwo łaski Bożej mają-

cych natchnienie. »Rzadki jest moment, mówił Mickiewicz w *Towarzystwie historyczno-literackiem*, w którem pozwolono wieszczowi zupełnie się wywnętrzyć, ducha swojego przybierającego pierwej różne formy, nago niejako okazać. Dzisiejsza chwila jest taką. Do wieszczów należy przodkować braciom, wskazywać drogę narodów!« To była pokusa, której Słowacki długo opierać się nie mógł.

A trzeba uwzględnić jeszcze i tę okoliczność (na którą już Stefan Witwicki w swej *Towiańszczyźnie*, a po nim Maryan Zdziechowski w swej pięknej książce o *Messyanistach i Słowianofilach*, zwrócili uwagę), że w rozpaczliwych warunkach, w jakich się znajdowali nasi wygnańcy, i wobec przyrodzonego usposobienia, cechującego Słowian wogóle, a Polaków w szczególności, względna równowaga ducha nie mogła być trwałą, że pociąg do mistycyzmu — w tej epoce zwłaszcza — musiał wzrastać z biegiem lat, tak, iż lada okoliczność mogła ich na zawsze zapędzić na bezdroża jakiejś chorobliwej egzaltacyi. »Możnaż się tak bardzo dziwić, powiada Witwicki, że ludzie tacy, przygnębieni nieszczęściem wygnania i sieroctwa, stęsknieni próżnią serca, żadnego pierwej i przez tak długo celu życia nie widząc, wszelkiej karmi, wszelkiej pociechy wyższej, duchowej, pozbawieni, wstrzęśli się, płomieniem zapalili na słowa człowieka osobliwszego, w nadzwyczajny sposób, nagle, pośród nich stawającego, który samą już postawą, samym tonem głosu, samą swoją dziwnością, silnie imaginacyę ich uderzył, a mówił często o wielkich, pięknych, szlachetnych rzeczach, o miłości Boga, zbawieniu Ojczyzny, szczęściu ludu, bohaterstwie narodów, życiu duchowem, mówił wymownie, śmiało, górnie?!«

Takie były przyczyny, które skłoniły Słowackiego, że poprosił Nabielaka, ażeby go przedstawił Towiańskiemu. Nabielak oczywiście zgodził się i tym sposobem, d. 12 lipca (1842), w dniu, kiedy do Paryża przyjechał z Rzymu X. Kajsiewicz głównie w celu zwalczania Towiańszczyzny, Słowacki przedstawił się Mistrzowi. W jaki sposób odbyła się ta prezentacya, czy w mieszkaniu Mickiewicza na posiedzeniu *Koła*, czy u Towiańskiego? O tem nie wiemy. Ale jest to szczegół podrzędny, wobec tego, iż wiemy napewno, że po tem przedstawieniu się Mistrzowi, Słowacki wyszedł absolutnie przekonany, pełen najrzetelniejszej wiary we wszystko, co przynosił ze sobą Towiański. Ten dzień rozłamał jego życie na dwie epoki i od tej chwili stał się innym człowiekiem, a przedewszystkiem mistykiem.

Mistykiem jednak, który nie przestał być poetą, który się swej poezyi nie wyrzekł, jak Mickiewicz; przeciwnie,

uważając, że teraz, kiedy uwierzył, że przyszedł czas, aby natchnienie było czynem, a czyn — natchnieniem, uważał za swój pierwszy obowiązek: natchnieniem służyć *Sprawie*. Któż miał większe prawo do robienia użytku z tego boskiego daru natchnienia, jeśli nie on?! W tej myśli niezawodnie, zaraz nazajutrz po przedstawieniu się Towiańskiemu, napisał wiersz, który postanowił wydrukować w *Dzienniku narodowym*. Dotychczas było to pismo, od którego stronił, jako od »jezuickiego« dziennika, z chwilą jednak, kiedy redaktor *Dziennika narodowego*, Feliks Wrotnowski stał się jednym z najżarliwszych uczniów Mistrza, któremu przedewszystkiem pismo swe oddał na usługi, i odkąd uważać zaczęto, że *Dziennik narodowy* jest organem Towiańczyków, musiał Słowacki, chcąc niedwuznacznie zaznaczyć swe stanowisko, drukować w *Dzienniku narodowym*. Jakoż nie uczynił inaczej: w Nrze 70 *Dziennika narodowego* z d. 30 lipca 1842 r. na str. 281, ukazał się wiersz, podpisany imieniem i nazwiskiem Juliusza Słowackiego, a brzmiący jak następuje:

Tak mi Boże dopomóż.

Idea wiary nowa rozwinięta,
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie
Cała połowa do czynu i święta.
Więc nie daremnie! o! nie daremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny, ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje
I ze mnie piorun mieć będą czerwony,
I z mego szczęścia — do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże.

Za to spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny, jak te, które wskrzeszę,
I będę mocny, jak to, co zdobędę,
I będę szczęsny, jak to, co pocieszę,
I będę stworzon, jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam, czy wzrastać będą czy ucichać:
Jest to, w godzinie wielkiej zmartwychwstania,
Szmer kości, który na cmentarzach słychać.
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widzę wschód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...

Trzymając w górę palec podniesiony
Idę z przestrogą: kto żyw pójdzie za mną!
Pójdzie, chociażbym, wszedłszy, szedł przez morze.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłemi
Dano jest wskrzeszać tych co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym, co idą, nie przez czarnoksięztwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje,
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje,
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem;
Gdy wstanę, mój głos będzie głosem Pana,
. . . .
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże.

Juliusz Słowacki.

Tegoż dnia 13 lipca, kiedy Słowacki pisał ten wiersz, w Paryżu zaszedł nadzwyczajny wypadek: zmarł młody książe Orleanu, następca tronu Ludwika Filipa. Tegoż dnia Minister Spraw Wewnętrznych Francuskich, podpisał rozkaz, wydalający Towiańskiego nietylko z Paryża, ale i z granic Francyi. Mówiono, że Towiański, który wogóle przepowiadał upadek dynastyi Orleanów, który mówił, że dla niego Ludwik Filip już nie panuje, przepowiedział i tę śmierć młodego księcia. Ten fakt przyspieszył decyzyę Ministra, który Towiańskiego wydalał nietylko za to, że głosił nowy Zakon religijny, ale za to głównie, iż — wierząc twierdzeniom pism emigracyjnych polskich — widział w Mistrzu sekretnego ajenta Rossyi.

Tegoż dnia otrzymał Słowacki »krótki, ale mężny i hartowny« list z Kissingen od Krasińskiego, który, wnosząc z tego listu, był w danej chwili zajęty, »apokalipsą przyszłości, ideą, która tu (w Paryżu) już stworzyła piorunowy obłok nad błękitnem niebem paryskiem, która ma kapłana, sługi, proroctwa, straszliwie spełniające się już teraz (śmierć księcia d'Orleans) i straszliwiej jeszcze grożące przyszłości«. Co znaczą te słowa? Nic innego, tylko, że Krasińskiego list był o Towianizmie, że autor *Przedświtu* zainteresowany tym objawem, wyrażał swoje poglądy na całą *Sprawę;* przedewszystkiem zaś, że śmierć księcia Orleań-

skiego, jakoby przepowiadana przez Towiańskiego, wstrząsające wrażenia uczyniła na Towiańczykach i na Słowackim między innemi. Te proroctwa głoszone przez Towiańskiego, »straszliwie spełniające się *już teraz*«, potęgowały wiarę w Mistrza, czyniły go podobnym — w oczach uczniów — do Chrystusa z *Sądu ostatecznego* Michała Anioła, jakiegoś górnego Chrystusa z Apokalipsy, na którego słowo biły pioruny, padały trony. Nie dziw więc, że choć ożywieni najidealniejszemi nadziejami, doznawali jakiegoś uczucia grozy: było to przeczucie wielkich a strasznych wypadków, była to wiara w proroctwa Mistrza »jeszcze straszliwiej grożące przyszłości«. Dlatego to było Słowackiemu i — jak mu się zdawało — Krasińskiemu »straszno i czarno«. »Świat zdaje się budzić, a my oba zmęczeni, stargani, napół senni, nie możemy się podnieść zupełnie, ani odrzucić przeszłej połowy nas samych«. On w każdym razie cierpiał.

Tak pisał Słowacki d. 15 lipca w liście do pani Bobrowej. Rzecz charakterystyczna, na którą należy położyć szczególny nacisk, że pierwszą osobą, której poeta doniósł o swej metamorfozie, była, nie matka, nie Krasiński, lecz pani Bobrowa. List do niej, serdeczny i długi, jest już przesiąkły doktryną Towiańskiego, jest już listem mistyka, który duszę swą uwolnił już, jak mniemał, »z pod wszystkich ciała ucisków«, który odtąd miał być więcej duchem, niż ciałem, a wskutek tego spoważniał znacznie, ba, stał się podobnym do ascety, do pustelnika Tebaidy, nieprzystępnego dla namiętności i chuci cielesnych. Dlatego, pisząc do pani Bobrowej, odrazu prosił ją, ażeby odpisując mu, nie udawała wesołości, ani cukrowała słów swoich, ani mu odmawiała tego szczęścia, aby jej prawdziwe i szczere serce mógł widzieć w każdem słowie. »Za taką szczerość (pisał), ja odpłacę każdą cząstką i całem sercem mojem, które jest ludzkie, ale nie jest sercem arlekina światowego... Tem sercem, które się tak broni, piszę ten list i nie używam już bynajmniej strudzonej i biednej głowy mojej; owszem, przeklinam ją, bo mi dotąd nic nie zdobyła, prócz pół-urągającego uśmiechu Pani... Niech więc to, co było, zostanie zapisane w powietrznych kartach księgi przeszłości... Teraz ta tortura moja skończona, bo zmartwychwstałem. Teraz, wiedz Pani, że kocham Ją, jako pięknego ducha, który cierpi; co będzie we mnie mocy wskrzeszania, wydobędę z siebie, aby duchowi temu lżej było, i szerzej, i szczęśliwiej«.

Ostatnia kartka tego listu — który »musiał zadziwić« panią Bobrową, albowiem panował w nim »ton różny od zwyczajnego«, a który jak się w nim wyraził poeta, był

zaczarowany wolą jego, czuciem jego, — była pisana po angielsku, a była dowcipną odpowiedzią na list panny Gedge »pieczętowany niezabudką i czarnym lakiem«. Sympatyczna Angielka, choć jej znajomość ze Słowackim zaczęła się »wojną kocią«, z wielką dobrocią wspominała o nim. List, jaki napisała do niego, był nacechowany wielką uprzejmością. Widocznie, że wrażenie, jakie wogóle zrobił na niej, było bardzo korzystne.

Nazajutrz po napisaniu tego listu, w tym samym czasie mniej więcej, kiedy ks. Duński pisał do ks. Semeneńki, że »Towiańczykom przybył Słowacki«, autor *Beniowskiego* miał dłuższą rozmowę »sam na sam« z Towiańskim, rozmowę, która go musiała jeszcze bardziej ugruntować w wierze, a która świadczy bądź co bądź, że Towiański nie lekceważył Juliusza, że był rad z jego pozyskania dla sprawy, że go wyróżniał wśród innych, że wiele sobie obiecywał po nim. I na innych braciach musiała ta rozmowa Towiańskiego »sam na sam« ze Słowackim zrobić niemałe wrażenie, skoro Nabielak zapisał sobie ten fakt w notesie, który miał w upominku od Towiańskiego samego. Co w czasie tej rozmowy »sam na sam« ze Słowackim powiedział mu Towiański? W każdym razie to wyróżnienie go, to danie mu do zrozumienia, że ocenia jego wyższość nad innymi braćmi, że w jego duchu widzi więcej »siły sztychu«, niż w duchach innych braci, już to samo świadczy o wybitnej zdolności Towiańskiego, kiedy chodziło o zjednanie sobie kogoś. O Słowackim np. musiał wiedzieć, że jest to w gruncie rzeczy natura Narcyzowa, rozkochana w sobie, charakter dumny i ambitny, nacechowany ogromną dozą próżności. Dlatego, kto wie, czy ta tajemnicza rozmowa »sam na sam« ze Słowackim, która nawet pewną sensacyę wywołała między Towiańczykami, nie była głównie obliczona na to, ażeby podziałać na próżność poety — przez takie niezwykłe wyróżnienie go. To był najlepszy sposób, ażeby Słowackiego przykuć do siebie, ażeby go zfanatyzować dla Sprawy.

Cóżkolwiekbądź, dnia 18 lipca pożegnał się Towiański z *Kołem*, na którem z pewnością był już Słowacki, a następnego dnia żegnał się z »braćmi« w kościele św. Seweryna, przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, poczem, jeszcze tego samego wieczora, opuścił Paryż, udając się do Belgii, do Ostendy. Wyjeżdżając, zostawił »braciom« pismo, w którem nawoływał ich, ażeby ducha swego »stroili od pierwszego szczebla miłości bratniej aż do potrzebowanego od Pana pełnego tonu«, ażeby się w tym tonie łączyli podług myśli Pańskiej »z zastępami Pańskiemi, co posuwają coraz

spieszniej wielkie Dzieło zbawienia i zbutwiałą budowę po wielkim początku do reszty rozwalać mają«.

Pomimo wyjazdu Mistrza, choć mowa jego do Braci na pewien czas przerwaną została, Sprawa robiła postępy, zyskiwała nowych adeptów, a dawniejsi przesadzali się w gorliwości. Wodzem był Mickiewicz, ale to nie zrażało Słowackiego, który z chwilą, kiedy uwierzył w posłannictwo Towiańskiego, zapomniał o dawnych urazach względem śpiewaka *Dziadów* i pierwszy wyciągnął rękę do zgody. Gdzie chodziło o rzeczy wielkie, tam urazy osobiste, choćby największe, musiały ustąpić z widowni. Tak się na to zapatrywał Słowacki, sam fakt zaś, że się przeprosił z Mickiewiczem, że się poddał jego zwierzchności, że wstąpił do służby pod nim, jako prosty żołnierz, tam, gdzie autor *Ksiąg pielgrzymstwa* był wodzem naczelnym, że zgodził się iść tam, gdzie prowadził Mickiewicz, fakt ten, zgoła nieprzewidziany przez ogół, a zwłaszcza przez antagonistów Juliusza, obudził niesłychane zdumienie: wszystkiego się spodziewano po Słowackim, ale ta pokora, z jaką wstąpił do Roty Mickiewicza, ten pierwszy krok, jaki uczynił do zgody, to chrześcijańskie przebaczenie win, które mu zarzucał, a zwłaszcza ta literacka zawiść, o którą go posądzali wszyscy, a którą on teraz potrafił stłumić w sobie, to była niespodzianka, która przeszła wszelkie oczekiwania. Stanowczo był to największy tryumf Towiańskiego! Skruszyć taką pychę, jak Słowackiego, i pchnąć go — w objęcia Mickiewicza: czegoś podobnego nie przewidział nikt, to był większy cud, aniżeli uzdrowienie pani Celiny! A przytem, ku niepomiernemu zdziwieniu wszystkich, przekonano się niebawem, że ten nieznośny »pyszałek« okazał się zdolnym do rzeczy, do których niejeden »katolik« z obozu Koźmianów, Zaleskich i Witwickich, nie okazałby się zdolnym; bo nietylko że się odrazu pozbył np. swej dawnej salonowości, ale ten człowiek, tak zakochany w sobie, zaczynał na każdym kroku dawać niezbite dowody, że potrafi się zdobywać na największe poświęcenia, że o ile dawniej myślał o sobie wyłącznie, zdala trzymając się od wszystkiego, co było działaniem, o tyle teraz, złożywszy swoje *Ja* na ołtarzu idei pewnej, okazywał się energiczniejszym w działaniu, aniżeli niejeden. A działał z zapałem, z zaparciem się siebie, nie dla dogodzenia swej próżności, swej wygórowanej ambicyi, jak dawniej, ale z namaszczeniem, z gorącą a bezinteresowną wiarą Apostoła, który całą duszą i ciałem, całem jestestwem swojem idzie za swoją myślą, przyświecającą mu, jak gwiazda, a siebie całkiem nie bierze w rachubę. Nie dba zupełnie o głosy ludzkie, tylko spełnia swój obowiązek, swoją missyę.

Słowacki tak służył sprawie, miejscem zaś, w które przedewszystkiem zapuścił swe sieci, swój niewód Piotrowy, był Klub. Tam zaczął swą pracę nawracania, tam zaczął głosić słowo Boże, tam starał się łowić dusze swych kolegów i znajomych, zachęcając ich — z porywającym zapałem — do uwierzenia w Mistrza, który jest nowym Messyaszem, etc. etc. Ta propaganda idei Towiańskiego, rozpoczęta przez Słowackiego, nie podobała się wielu, a przedewszystkiem *Katolikom*. »Słowacki, pisał Witwicki 2 sierpnia do Zaleskiego, nowy Towiańczyk, prawi w klubie, słyszę, koszałki-opałki«.

Czy to były istotnie »koszałki-opałki« owe Słowackiego przemówienia w Klubie, to jest kwestya, którą wobec znanej niechęci, jaką Witwicki płonął ku Słowackiemu, łatwo rozstrzygnąć na korzyść tego ostatniego. Co pewna, to, że Słowacki, uwierzywszy w Towiańskiego, wiarę swą w niego posuwał zrazu do uwielbienia. Oto dowód:

Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swojem i zapowiedzeniem Sprawy Bożej ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu

niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożej, ofiaruję i poświęcam, narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że *wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest*, wyrzekłszy, podobnie, jak Kopernik, a więcej jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił.

Tak brzmiała dedykacya Mistrzowi, którą Słowacki opatrzył jeden z wierszów, napisanych w tym czasie właśnie, a który według wszelkiego prawdopodobieństwa przesłał Towiańskiemu. O uczuciach zaś, w jakich były pisane te słowa, a które wtedy przepełniały duszę poety, świadczą następujące słowa, wyjęte z brulionu jednego z licznych listów do Towiańskiego (listów, które może z czasem będą ogłoszone), bo, jako jeden z głównych adeptów Mistrza, Słowacki przez długi czas, podobnie, jak Mickiewicz, korespondował z Towiańskim. »Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobrej wierze połączyłem się z uczuciem ich; w czystość Twoją zawierzyłem; wiernym byłem; w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania: w pracy mojej — pomocnym Tobie, w usłużeniu Sprawie — pierwszym, w cielesnym Koła porządku — ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł du-

chem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było«.

W tem uczuciu oddał swój »czysty ton« Towiańskiemu, o czem tenże, w liście z dnia 27 lipca donosi Mickiewiczowi, że »z nowymi nic stanowczego nie zawiązał, prócz przyjęcia czystego tonu od braci Bolewskiego, Słowackiego i Skindera« (widocznie, że go Mickiewicz posądzał o jakieś związki z *nowymi);* w tem uczuciu był dnia 28 lipca, razem z Karolem Różyckim, Mikołajem Kamińskim, Stefanem Zanem, Nabielakiem i Mickiewiczem, w Malmaison (w jakim celu, nie umiem powiedzieć); w tem uczuciu, dnia 2 sierpnia, pisał list do matki, w którym donosi jej, że w nim zaszła przemiana »ze źródła płynąca głębokiego«, że »cieszy się każdem jutrem«, że świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie zniknął z oczu jego«, (bo jest to próżny teatr dla igrających myśli, dla słów ulotnych, a jemu potrzeba być dziś, *wewnętrznie człowiekiem, o ile można doskonałym i dobrym),* że go natomiast »otoczył krąg ludzi kochających«. że »kosztuje nowego stanu duszy«, że nie narzeka już, ale ufa, że miłość boża i łaska ożywiły w nim »wiele nadziei zwiędłych«; w tem uczuciu, dnia 7 sierpnia, kładł swój podpis na adresie, jaki Towiańczycy wystosowali do Ministra Spraw Wewnętrznych Francuskich, z powodu wydalenia Towiańskiego z Paryża i z granic Francyi.

Adres ten, podpisany przez 45 uczniów Towiańskiego, miał oświecić Ministra, że wydalając pana Andrzeja, popełnił — niewątpliwie przez niewiadomość — krzyczącą niesprawiedliwość. Oni ręczą za czystość zamiarów i postępków człowieka, którego są przyjaciółmi i uczniami, a boleją że odłączony jest od nich. »Nie tu miejsce, Panie Ministrze, opowiadać, ile dobra zdziałało między nami to słowo (które On przyniósł): godziło nas z Bogiem, z samym sobą i z trudnemi obowiązkami naszemi; utwierdzało w nas uczucia chrześcijańskie i polskie; uzdrawiało choroby ciała i duszy itd. itd.« Adres ten, ogłoszony w dwóch językach, polskim i francuskim, o ile nie przekonał Ministra, o tyle wywołał bardzo złośliwe *verba veritatis* w Strasburskim *Pszonce,* który, w długim artykule, ośmieszając Towianizm, jego zwolenników przywoływał do zastanowienia się, co czynią, dokąd idą, na jakie manowce. Ale artykuł ten, choć napisany z dobrą wiarą i siłą przekonania, tak samo nie przekonał żadnego z Towiańczyków, jak ich adres nie przekonał Ministra.

W tym samym *Pszonce,* o tym samym czasie mniej więcej, co ów artykuł o Towiańszczyźnie, pojawiła się nie-

miłosierna parodya owego wiersza Słowackiego, niedawno wydrukowanego w *Dzienniku narodowym*, parodya okrutna, nie dowcipna, a napisana z taką złośliwością, z takim jadem, nacechowana taką nienawiścią ku Słowackiemu, że aż odgadnąć trudno, ktoby mógł być jej autorem. Może Ropelewski? Ale to jest tylko przypuszczenie. Cokolwiekbądź, cios był okrutny, począwszy od tytułu, a skończywszy na podpisie. Tytuł brzmiał tak:

LITERATURA.

Tak mi Boże dopomóż!

Przysięga obrzezanego.

Sam wiersz brzmiał, jak następuje:

Idea wiary nowa rozwinięta,
Bezdenną próżność wywierciła we mnie,
Ciecze przezemnie gorąca a święta.
Więc nadaremnie! O! nie nadaremnie
Z dziurawych wieńców posłano mi łoże,
Nie Madejowe, Chryste Panie, Boże!

Mały ja, biedny, — ale pycha moja
Różnych piorunów pomieści miliony;
Pioruny owe, oto moja zbroja!
Mam piorun biały, mam piorun czerwony,
Piorun za wieniec, piorun za podnoże.
Widzisz, żem skromny, Chryste Panie! Boże!

Za to nos długi już mam i mieć będę,
Na nim Hektora Litwinów powieszę,
Około Troi — którą nuż zdobędę!? —
Wleczeniem trupa jego się nacieszę,
A później w prochu jego się ukorzę....
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Kpię ze wszystkiego: będę sobie kichać...
Jest to szmer pusty przeszłego powstania,
Którego z bruków paryskich nie słychać.
Kul się dalekich świstem nie zatrwożę...
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże.

Widzę wschód jeden tylko otworzony,
Którędy sójki pójdą jeszcze za mną...
Zadarłszy w górę mój piorun czerwony,
Wieść ich przez dziurę będę jednobramną...
Aż ich przepędzę za dziesiąte morze.
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Toż miłościami, ofiarmi wszystkiemi —
Jakiemim kartek w *Beniowskim* zlał parę —

Pokój-em sobie dał i w niebie może,
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Tym, którym moich paszkwilów przekleństwa
Sprzedać za miłość coś się nie udaje...
Tym spać niech wzbronią moje czarnoksięstwa:
Niech ich biczują moich rymów zgraje,
Niech czart dokona, czego wieszcz nie może.
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Bo nie mam kogo już nudzić mym sykiem,
Lecz skoro farsa będzie odegrana,
A wena przyjdzie zostać satyrykiem,
Wtedy się na mej poznacie pokorze.
Tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże!

(Na oryginale podpisano.)

Ojciec tragedyi zadżumiających.

Jakkolwiek przykro mogło być Słowackiemu, kiedy ten wiersz przeczytał, ale wrażenie, którego doznał z tego powodu, musiało się bardzo różnić od uczucia, któreby w nim zawrzało dawniej, w okresie *Beniowskiego* naprzykład: wtedyby go ogarnęła wściekłość, żąda odwetu, dziś, »chociaż słyszał głosy urągania, nie dbał, czy wzrastać będą, czy ucichać«. Na ustach miał słowa przebaczenia, a w duszy — spokojność, której go podobne kąsania pozbawić nie mogły. Od czegoż był członkiem *Koła*, w którego »pracach« brał tak gorący udział.

III.

W chwili, kiedy Słowacki powiększył grono uczniów Towiańskiego, *Koło* było już zorganizowane. Zbierano się co pewien czas. Dopóki był Towiański, zbierano się zazwyczaj w Nanterre, w mieszkaniu Towiańskiego, w dali od gwaru emigracyjnego. Nanterre, które i nadal, już po wyjeździe Mistrza, pozostało głównym punktem zbornym *Koła*, jest to wioska pod Paryżem, na drodze do Saint Germain, położona na płaszczyźnie, a że pozbawiona lasów i rzeki, więc należała i należy do mniej uczęszczanych przez Paryżan. Ztąd taniość jej i spokój, co doskonale odpowiadało potrzebom Towiańczyków. Od nazwy tej wioski utarło się wyrażenie »nanterska prostota«, często używane przez uczniów Mistrza.

Ale zbieranie się w Nanterre nie zawsze było wygodne, ze względu na oddalenie. Dlatego — choć Nanterre

uważano za specyalnie święte miejsce — zbierano się bądź w mieszkaniu Mickiewicza przy *Rue du Boulevard,* bądź w mieszkaniu Różyckiego przy *Rue Truffot.* Niekiedy też, od czasu zwłaszcza, gdy liczba wyznawców powiększyła się znacznie, zbierano się w wynajętej sali przy *Rue Saint Charles* na Batignolles. Było to szczególniej wygodne dla Mickiewicza, który w domu swoim, nachodzonym przez braci — pod pozorem pełnienia służby, mniej znajdował spokoju do pracy, aniżeli tego wymagało przygotowywanie się do wykładów w *Collège de France.*

Organizacya *Koła,* ugruntowana przez Towiańskiego samego, była następująca: Całe *Koło* było podzielone na t. zw. siódemki. Z tych każda miała swego przewodniczącego, którego sobie wybierała sama. Przewodniczącym jednej z takich siódemek był Słowacki. Jako taki, musiał w przerwach pomiędzy jednem *Kołem* a drugiem, przyjmować u siebie, w swojem mieszkaniu, członków swojej siódemki, w celu odpowiedniego przygotowania ich do następnego *Koła.* Na przewodników siódemek obierano jednostki najwybitniejsze w zgromadzeniu, ludzi znanych, jako poczciwych, światłych i najlepszej wiary, a przytem obdarzonych najwyższą »siłą ducha«. Ci przewodniczący siódemek tworzyli rodzaj wyższej siódemki, a w pewnych okolicznościach zbierali się na specyalne narady.

Przewodniczącym wszystkich, »bratem-wodzem« był Mickiewicz, jako pierwszy »podawca *Słowa* na epokę«. On reprezentował i zastępował Mistrza, on był jego namiestnikiem, jak św. Piotr był namiestnikiem Chrystusowym. Jego stosunek do *Koła* był stosunkiem twórcy do surowego materyału, budowniczego do cegieł, malarza do farb, dyrektora do orkiestry. On był ową obręczą żelazną, która spajała wszystkie szprychy *Koła,* żeby się nie rozpadało; jego nieprzebrane bogactwo uczuć i myśli, jego potężna wymowa, były owym kitem moralnym, który te niekarne duchy trzymał w karności; on potęgą swego ducha, udzielającego się otoczeniu, dźwigał wszystkich »braci« za sobą, w nieziemskie sfery egzaltacyi, podobnie, jak sokół, który całe gniazdo skowrończe unosi w powietrze.

Zebrania *Koła* odbywały się w następujący sposób. Kiedy wszyscy bracia byli już obecni — a w roku 1843 liczba ich doszła do 70 — klękano dokoła *Chorągwi sprawy bożej,* na której był przez Walentego Wańkowicza wyobrażony Chrystus *Ecce Homo* według Guido Reni, i odmawiano wspólną modlitwę. Potem bracia, świeżo pozyskani dla Sprawy otrzymywali — przy odpowiednim ceremoniale — *medale Sprawy,* opatrzone wizerunkiem Najświętszej Panny

»z promiennemi rękoma, spuszczonemi ku ziemi«. Następnie śpiewano chórem *Marsza sprawy świętej:*

Przyjm, Panie, trud, boje i życie nasze w ofierze,
Niech Twa miłość i prawda padół nasz weseli....

Potem przystępowano do *pracy*. Przewodniczył Mickiewicz. Sekretarzami byli Goszczyński i Wrotnowski. Zaczynano od tego, że Mickiewicz czytał nowe *pismo do braci* Towiańskiego, zamiast żywego słowa Mistrza, a później je komentował. Bracia, siedząc i stojąc, gdzie kto mógł, słuchali z namaszczeniem, w głuchem milczeniu, którego nikt przerwać nie śmiał. Mówił tylko Mickiewicz, a przemówienia jego, często będące wspaniałemi improwizacyami, wspanialszemi i bardziej natchnionemi, aniżeli wykłady w *Collège de France*, zazwyczaj bywały tej treści: pracujcie nad sobą, skupiajcie się, starajcie się myśli wasze i uczucia zestrzelić w jedną iskrę, a wtedy staniecie u szczytu, itd. itd. Wymagał od nich, ażeby się zdobywali na »żarliwość ducha« pierwszych głosicieli nauki Zbawiciela, ażeby się »pracą ducha« wznosili do łaski kapłaństwa, która miała potwierdzić moc czynienia cudów; przyczem nie omieszkał krzewić kultu dla idei napoleońskiej, do której raz po raz wracał. Potem przychodziła kolej na t. zw. rekolekcye. I tu przewodniczył Mickiewicz, pracując nad udoskonaleniem braci, zaradzając ich potrzebom duchowym, pomagając tym, których »chód był jeszcze chwiejny«, nauczając, karcąc, przekonywując, a nadto spowiadając siódemki, które mu spowiadały się z upadków swoich. Potem spowiadał się sam Mickiewicz, wzywając braci, aby i jego uchybienia jawnie wykazywano. Po tej spowiedzi, którą czyniono w celu »przeczyszczenia ducha«, przychodziła kolej na przestrogi, rady lub nagany, które sobie dawano wzajemnie — przyczem działy się różne nadużycia — a co się w języku *Koła* nazywało »przyjmowaniem *Słowa* od braci«. Wszystko się odbywało według pewnych przepisów, które np. do rozmowy pozwalały obierać tylko jeden przedmiot, a które każdemu bratu dawały prawo, że mógł we własnym interesie kontrolować ducha innych, etc. etc. W końcu, po tem wszystkiem, przystępowano do ostatniego numeru programu, który był prawie najważniejszym ze wszystkich, bo był »alfą i omegą w sprawie Bożej« (nie mówiąc o tem, że był niewdzięczną pracą Danaid): do »pracy wewnętrznej«, która miała ducha podnieść do ekstazy. Chodziło o »sprowadzenie *tonu*, o wyrabianie gorącości ducha, o porywy ciałem i duchem«, środkami zaś, któremi osiągano zamierzony cel, owo »podniesienie ducha jaknajwy-

żej«, były modlitwy, posty duchowne, długie milczenie, a niejednokrotnie i haszysz, sprowadzający rajskie uniesienia, sztuczne ekstazy. Chodziło o to, ażeby się doprowadzić do egzaltacyi, a nawet — jak się wyraził Mickiewicz — do szaleństwa, ażeby zrobić *salto mortale* ducha i w tym podskoku schwycić ideę, myśl, »radę dla siebie«, ażeby w sobie podtrzymać stan anormalnego podniesienia, ażeby zapomnieć o ziemi. Jakoż, dzięki niezmiernym wysiłkom ducha, dochodzono do takiego stanu »zgłupienia dla Chrystusa«, a jakiego rodzaju bywały te zgłupienia, o tem informuje następujący list Mickiewicza (do pani Gutt), będący wymowną illustracyą tego zgłupienia uczniów Towiańskiego. »Pracowaliśmy nad tem, aby każdy z nas bólem Chrystusowym (w czuciu, które tchnie z obrazu męki nam przysłanego) jęknął nad dolą świata, a razem zadrżał nad sobą samym, zaląkł się samego siebie i przeszłość swoją ohydził. Wielu braci to poczuło. Pierwszy Jeżewski drgnął, i odrodził się, i drugim wiele pomógł. Po pracach pojedynczych, zażądali bracia, aby zgromadzić się razem. Wskutek mocnej pracy wewnętrznej, naznaczyłem miejsce zebrania na cmentarzu Montmartre, koło grobu Walentego (Wańkowicza), aby każdy tam zabolał, jak duch Walentego boleje, i pożądał, jak on żąda, naprawić przeszłość, z tamtego świata spojrzeć na ten świat. Czuciem brata Iwanowskiego i silnym wyzywem Jeżewskiego — wszyscy zatrzęśnieni. Jeżewski wołał, aby go ziemią osypali i dali świadectwo, że on starego człowieka pochował. Ta forma z ducha wzięta, zostanie braciom świadectwem. Teraz trzymać tylko czucie wydobyte; teraz skupić się i przejrzeć nową drogę dla nas i dla Koła: nad tem w tych dniach będę pracował. Z pojedynczych prac ważna zaszła zmiana w Adamie Kołysce. Poczuliśmy z Iwanowskim, że przyszedł czas zrobić mu nowy wyzyw, a raczej poprzeć wyzywy wciąż mu przezemnie robione. Dałem Iwanowskiemu ideę, a on ją całym duchem i człowiekiem oddał. Brat Adam aż do dna wstrząśniony pierwszykroć. Tę ideę wziął jako ideę od Pana. W tem przekonaniu zostawiliśmy go, bo sumienie mówi mi, że z ducha Pana wyszła. Brat Adam jęknął i zawołał: »Tajemnica moja odkryta!« Odtąd zaczyna odradzać się. Wielką mam ztąd radość. Wielki to brat będzie, a długa jeszcze robota czeka go«. W tym rodzaju i stylu były wszystkie sprawozdania z czynności Koła, które Mickiewicz posyłał Towiańskiemu, a w których mu »z dziecinną ufnością« obszernie i wyczerpująco donosił o *tonie*, t. j. o stanie ducha i stopniu doskonałości każdego współbraci, sprawo-

zdania, w których niezawsze wyrażał swe zadowolenie z »brata Juliusza«.

O ile Mickiewicz bowiem, w tej atmosferze rozegzaltowanych duchów czuł się, jak u siebie, o tyle Słowacki nie mógł tego powiedzieć o sobie. Czemu? Choćby dlatego tylko, że *Koło* składało się prawie wyłącznie z wielbicieli Mickiewicza, a tem samem antagonistów Słowackiego, co im oczywiście nie zawsze pozwalało obchodzić się po bratersku ze Słowackim. Ztąd trudność położenia, ztąd niemożność absolutnego zharmonizowania się z *Kołem*.

Powtóre, jeżeli chodzi o harmonię, to sprzeniewierzało się jej *Koło* bardzo często. Nie mogło być inaczej. *Koło* było organizacyą idealną, obliczoną na doskonałość ludzką; tymczasem ludzie, którzy je składali, byli schorzałymi moralnie, przesiąkli hałaśliwą i niezgodną atmosferą emigracyjną, ludzie, którzy żyli w anormalnych warunkach ludzi wykolejonych, przeważnie bez zajęcia, rozmiłowanych w plotkach, zdemoralizowanych biedą, pozostających w ciągłych walkach i niesnaskach osobistych. Wobec takich żywiołów, składających *Koło*, nie dziw, że kiedy przyszło do spowiedzi ogólnej, do dawania przestróg, do »przyjmowania *Słowa* od braci«, że to rozbudzało namiętności, powodowało niesnaski, nieraz stawało się przyczyną sporów, ba, zażartych kłótni. Ludzie są ludźmi, a *Koło* było stworzone dla aniołów, bez namiętności, a zwłaszcza bez różnych namiętnostek emigracyjnych. Ztąd ciągłe nieporozumienia, sprzeczki, kwasy. Zwłaszcza, że w chwilach entuzyazmu, w chwilach gorącości ducha, bracia często do rzeczy bardzo drobnych przywiązywali nadzwyczajne znaczenie: każdy sen uważali za rozkaz zgóry, każdy krok — za akt bohaterski, tak, iż lada urojenie przybierało rozmiary objawienia; jedni chcieli rozkazywać drugim — w imię wymarzonego natchnienia, a że nie każdy chciał ulegać mrzonkom bratnim, więc wyklinano się wzajemnie, tak, iż obiecana swoboda zamieniała się w upokarzające jarzmo, zapowiedziana działalność — w sromotne lenistwo, zadawalniające się lada czem; zamiast pokonywać wroga, tyranizowano swoich, a najwięcej pod tym względem bruździli małżonkowie Guttowie, którzy, jako najbliżsi Towiańskiego, miewali najdziwaczniejsze pretensye, szerzyli rozprężenie, nadużywali zaufania braci, etc. etc. Jakoż, dla tych i innych powodów, zdarzało się nieraz, a bardzo często, że *Koło* robiło wrażenie worka raków, które się szczypią wzajemnie.

Mimo to, Słowacki był z początku zachwycony: rozegzaltowany, widział same zalety, a na złe strony miał zamknięte oczy. »Życie takie, pisał do matki, podobne jest



do życia aniołów i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a serca — *prawie zawsze* spokojne«. To *prawie zawsze* dowodzi, że serca braci nie zawsze były spokojne. Ale poeta był pełen zapału dla sprawy, która go bawiła, jako nowość, i na wszystko patrzył przez poetyczny pryzmat, tak, iż w wyobraźni swej, zwykle bujnej niezmiernie, a teraz podniecanej w dwójnasób, widział aniołów tam, gdzie w rzeczywistości byli — jego antagoniści i skryci nieprzyjaciele. Ale złudzenie to nie trwało długo: wkrótce przejrzał i zoryentował się w sytuacyi.

Tymczasem całą duszą był oddany Sprawie, o której w emigracyi stawało się coraz głośniej, zwłaszcza, odkąd z nią zaczęli walczyć księża Zmartwychwstańcy, odkąd przyjechał do Paryża ks. Kajsiewicz, który w dniu 10 września, w kaplicy św. Krzyża, w kościele św. Rocha, wstąpił na kazalnicę, ażeby w obecności paruset słuchaczy-rodaków, wygłosić swoje pierwsze kazanie emigracyjne *O rządach Opatrzności*, kazanie wspaniałe, po którem przekonano się, że w tym młodym, niedawno wyświęconym księdzu jest zadatek na drugiego Skargę, na Skargę dla emigracyi. Wszyscy byli zachwyceni. Jedyni, którzy »wygadywali«, którym wymowa O. Hieronima nie imponowała (może dlatego, że mimowoli porównywali ją z wymową Mickiewicza) byli Towiańczycy, którzy w tym kaznodziei widzieli przedewszystkiem nieprzejednanego wroga swojej Sprawy, wiedzieli bowiem, że ks. Kajsiewicz dlatego przyjechał do Paryża, ażeby z nimi walczyć. Mimo to postanowili chodzić na jego kazania. Jakoż bywali — do pewnego czasu — tyle tylko, że się zawsze trzymali razem, na uboczu, zajmując prawe skrzydło, tak, żeby ich wszyscy widzieli. Niestety, już drugie kazanie *O cudach i proroctwach*, wygłoszone d. 9 października, poszło im nie w smak, gdyż treścią tego kazania było, ażeby się mocno wystrzegać fałszywych proroków i cudotwórców, przyczem raz po raz padały niedwuznaczne aluzye do Towiańskiego. Towiańczycy byli oburzeni; cóż dopiero, kiedy się dowiedzieli, że we dwa dni po tem kazaniu, wymierzonem przeciwko nim, ks. Kajsiewicz podał Arcybiskupowi paryskiemu — memoryał o Towiańskim. Powstał popłoch. Rękawica była rzucona.

Nie przewidywano nic podobnego. O niczem niezakłóconym spokoju, w jakim się oddawano kontemplacyom nad nowem Objawieniem, świadczy dzień 14 września, który *Koło* spędziło w Saint-Germain, u Mickiewicza, który z tego letniego mieszkania jeszcze się nie był zdążył sprowadzić do Paryża. Wybrano się w trzydzieści kilka osób, a w tej liczbie byli Słowacki i Goszczyński.

Słowacki, odkąd się pogodził z Mickiewiczem, z którym go »nieraz różnili ludzie«, a i on sam — Mickiewicz — nie rozumiał go — Słowackiego — odkąd sobie podali ręce t. j. kiedy Słowacki ujrzał Mickiewicza »na wyższem stanowisku, podniesionego ku prawdzie bożej, *już nie w jezuityzmie*«, i odkąd byli razem, »*równie* zajęci sercami naszych braci, *równie* pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie« (z tego by wynikało, że w hierarchii *Koła* Słowacki zajmował stanowisko *równe* Mickiewiczowi), Słowacki pragnął, ażeby ta zgoda była rzetelną, i tak się przejął tą myślą, że mu »dobrze« było z Mickiewiczem. Starał się nie pamiętać o trzeciej części *Dziadów*...

Tak usposobiony, pojechał d. 14 września do Saint-Germain, na jednę z tych majówek, które Towiańczycy,na wzór Filaretów wileńskich, urządzali co pewien czas, ażeby na świeżem powietrzu wypocząć po naukach i ćwiczeniach duchowych. Dzień 14 września był pogodny, »błękitny i czysty, jak kryształ«, jeden z tych pięknych dni jesiennych, w które wrzesień obfituje — zwłaszcza we Francyi — tak często. Wyjechano rano, a że jechano »patryarchalnie na grzyby«, więc nie zapomniano o prowiantach. Ci, co — jak Słowacki — mogli wziąć więcej, wzięli dla tych, którzy nie mogli, »i tak, pod ogromnemi orzechami, na trawie, gadając i śpiewając, z patryarchalną prostotą« spędzono cały dzień, myśląc o kraju, każdy o swoich. Kilka bab, szynka i pieczenie, na dywanie rozłożone na ziemi, przypominały święcone, ale święcone »jakichś koczujących Tatarów, dziwne, jesienne i na prędce jedzone, jakby przed podróżą do nieba«. Nim przystąpiono do spożywania zapasów, naprzód poświęcono je, (co pewno uczynił Mickiewicz), odmówili starodawną modlitwę, a modlitwa ta była inna, »trochę mniej radosna, niż tamtych, co dawniej święcili«. Przez tych *tamtych* należy rozumieć księży, święcących święcone. Tak upłynął cały dzień, dzień »bardzo miły« dla Słowackiego, miły z wielu powodów, a i z tego powodu niezawodnie, że mu stos borowików, w mchach znaleziony, przypomniał dawne czasy i miejsca, a mianowicie »jodłami zarosłe« Jaszuny, a na tle Jaszun — Ludkę Śniadecką.

Około tegoż czasu przyjechała do Paryża pani Bobrowa, o czem dowiedziawszy się Słowacki, niebawem znalazł się w jej »Elizejskim domu«, tym domu, gdzie się zawsze z taką ufnością chronił, gdzie »z taką wiarą szedł po trochę ciszy i współczucia«. Wobec zmiany moralnej, jaka w nim zaszła od paru miesięcy, od owego listu do pani Bobrowej, w którym ją zapewniał, że odtąd kocha ją, »jako pięknego ducha, który cierpi«, musiał się zmienić i jego

stosunek do niej. Dawniej, kiedy przychodził do niej, jako »arlekin światowy«, marzył o tryumfach Mozartowskiego Don Juana, teraz pragnął tylko »uśmiechu na ustach kobiety« i spokojności serca. Metamorfoza ta, bardzo pożądana przez panią Bobrową (w stosunku do Słowackiego), wykluczyła wszystkie pretensye miłości, a wzmocniła, zacieśniła węzły przyjaźni. Odtąd pani Bobrowa przestanie być »dręczycielką« Słowackiego, a zacznie być serdeczną, szczerze życzliwą przyjaciółką, do której będzie chodził zawsze — nie przez jeden rok jeszcze — »po trochę ciszy i współczucia«, u której zawsze będzie znajdował atmosferę życzliwości i przyjaźni. Dojdzie do tego, że córki pani Bobrowej, a szczególniej młodsza, Zosieńka, szczególna faworytka Słowackiego, zacznie — jak niegdyś Eglantyna Patteg — korespondować z panią Becu, donosić jej o sympatyi, jaką się poeta cieszy w ich domu, itd., itd. O sympatyi, jaką poeta powziął dla Zosi Bobrownej, świadczy fakt, że ile razy pisał do matki, a nie chciał pisać w swojem imieniu, pisał tak, jakby to pisała Zosia. Przez tę Zosię należy rozumieć »Zosieńkę« Bobrówną.

Tymczasem zbliżała się jesień, poeta zaś, o ile się w ciągu lata uskarżał na upały, dochodzące do »atmosfery piecowej«, o tyle teraz, kiedy słońce jesienne grzało tylko, a nie piekło, świeciło, a nie dokuczało, coraz bardziej czuł się nie swój w swojem mieszkaniu przy *Rue de la ville l'Eveque,* albowiem było to mieszkanie z oknami, wychodzącemi na północ, a więc, pozbawione słońca. W lecie, w czasie upałów, było to zaletą, teraz stanowiło wadę, zwłaszcza w jego oczach, który był ogromnym amatorem słońca. »Dlatego (pisał do matki) na zimę przeniosę się gdzieindziej, bo się przekonałem, że bez słońca żyć nie mogę. Słońce działa na moją głowę i rozwesela ją; przy słońcu roją mi się najpiękniejsze obrazy; pamiętaj więc żebyś mi kiedyś ze słońcem, moja droga, przygotowała mały pokoik«. Spragniony tego słońca, które, jak się wyraził, było jego niewolą, bo go zmuszało do ciągłej emigracyi z ulicy na ulicę, znalazł ładne mieszkanie, z oknami, wychodzącemi na południe, a więc słonecznemi i wesołemi, mieszkanie obszerniejsze od wszystkich poprzednich, które zajmował dotychczas, złożone z dwóch pokoi, na czwartem piętrze, z balkonem, z ładnym widokiem na Paryż. Wolałby wprawdzie, ażeby ten dom przy ulicy *Pontieu Nr. 30,* do którego się wprowadził dnia 23 września, był bardziej w środku miasta, ale miało to i swoje dobre strony. Miał np. bliżej do pani Bobrowej.

Ledwo się zdołał urządzić w tem nowem mieszkaniu,

poustawiać meble »proste i stare« (ale własne), porozwieszać firanki i czerwone lambrekiny, tudzież miniatury, wyobrażające ukochane osoby, kiedy się okazała potrzeba, że musiał do siebie przyjąć w gościnę Seweryna Goszczyńskiego, który od niejakiego czasu, wydawszy wszystko, co zdołał uciułać przy robocie inżynierskiej w Angoulème, znajdował się w tak opłakanem położeniu materyalnem, że nie miał czem opłacić mieszkania. To smutne położenie »brata Seweryna« zrozumiał Słowacki, a że dla Goszczyńskiego miał dużo sympatyi, że w nim widział »jednego z tych, na których ramieniu można się oprzeć śmiało«, więc mu ofiarował przytułek w swojej »klatce«. Tym sposobem, począwszy od dnia 4 października, mieszkał razem z autorem *Zamku Kaniowskiego,* w tym czasie jednym z najgorliwszych uczniów Towiańskiego, którego ideę przyjął »ostatecznie i na zawsze«. »Przez ścianę go czując, czuję się weselszym«, pisał Słowacki do matki o swym »niepospolitym przyjacielu«.

W takich warunkach, nie dziw, że wiele przebywali razem, że gdzie szło o sprawy *Koła,* tam najczęściej szli czy występowali we dwóch. Tak się stało i d. 27 listopada, na zebraniu u Mickiewicza, na którem byli razem. Celem tego zebrania było przygotowanie się do komunii, do której wszyscy bracia mieli za dwa dni przystąpić w kościele św. Rocha. Ztąd ważność tego zebrania. Mickiewicz, przeczytawszy pismo Mistrza, dotyczące tej sprawy, zaczął mówić, nawołując do miłości — nawet dla nieprzyjaciół, do darowania uraz wzajemnych. Nadto radził przenieść się »w stan chłopa« i z prostotą, szczerością i pokorą przetrwać cały obrzęd. Kiedy skończył, zrozumieli wszyscy, że zbliża się chwila ogólnych przeprosin, chwila ogólnego przebaczenia i zapomnienia win i pretensyi. Pierwszy, który to *poczul,* był Słowacki; jakoż pierwszy przystąpił do Adama »i przeprosił go«. Potem przeprosili się wszyscy. Słowacki, jak się z tem nie taił przed Goszczyńskim (z którym pewno wracał razem do domu), był tego dnia tak przez cały dzień rozrzewnionym, że w tym stopniu rozrzewnienia był, o ile sobie przypominał, tylko raz w życiu: kiedy podróżował po Ziemi świętej, osobliwie, kiedy był w Jerozolimie, przy grobie Zbawiciela. Czem sobie tłómaczyć to rozrzewnienie dziwne? Jego zdaniem, mówił do Goszczyńskiego, jest to oznaka zbliżania się ku nam przyjaznych duchów, większego, niż kiedykolwiek.

Nazajutrz spowiadano się. Powiada Słowacki, że musiał szukać prostaczka wielkiego, aby go rozgrzeszył, bo rozumni księża, a przedewszystkiem XX. Zmartwychwstańcy,

»wypędzali z domu świętego«, wynajdywali różne fałsze stawiali różne przeszkody, posądzając o zdrożną chęć walenia Kościoła i nie rozumiejąc — zdaniem Słowackiego — że to jest prawdziwe odbudowanie w miłości i pokorze. Jednak słuszność była po stronie XX. Zmartwychwstańców.

Mimo to, następnego dnia, stawiono się u św. Rocha. Po mszy, odprawionej przez X. Duńskiego, przystępowano do stołu Pańskiego, a po przyjętej komunii zostano na kazaniu X. Kajsiewicza, który tym razem mówił *O pokucie*, a począwszy od słów św. Jana: »Już siekiera pnia sięga«, potężnym głosem wzywał do pokuty i upamiętania.

W tydzień potem, dnia 6 grudnia, nastąpiło otwarcie 3-cioletniego kursu literatury słowiańskiej. Autor *Beniowskiego*, o ile dotychczas nie należał do regularnych słuchaczów Mickiewicza, o tyle teraz, kiedy się pogodzili, kiedy im dobrze było z sobą, zaczął nie opuszczać jego wykładów; podobnie czynili wszyscy Towiańczycy. On zaś, nietylko, że bywał wraz z innymi braćmi na tych prelekcyach, że notował ważniejsze wyrażenia swego »wielkiego przeciwnika«, ale jeszcze należał do tych, co najgłośniej klaskali przed każdym i po każdym wykładzie, a fakt ten, zaobserwowany przez antagonistów poety, do tego stopnia zwracał uwagę wszystkich, że nie omieszkano napisać o tem — w *Pszonce*. Pismo to, wychodząc z założenia, że »w dzisiejszych czasach proroczych, kiedy Towiańskiemu z kościoła, a Mickiewiczowi z katedry, wolno puszczać proroctwa *fałszywe*, bo nie sprawdzające się nigdy«, uważało, że wobec tego może i ono także, ze stolicy Babina (Strassburga), ogłosić szereg proroctw prawdziwych, »bo mających za sobą to poważne świadectwo przeszłości, że wszystko, cokolwiek przepowiadał *Pszonka*, sprawdziło się co do joty«. Dlatego w oddziale VI na półarkuszu 2-m znalazły się następujące *proroctwa na rok Pański 1844*. Styczeń. Mickiewicz z katedry słowiańskiej łechcze ducha Francuzom. Rozbiór obiadowej operacyi Towiańskiego (Biesiady). Ojciec trajedyi zadżumiających (Słowacki) kłóci się z ojcem *Dziadów*, goli brodę, i *przestaje klaskać na kursach hecy proroczej*. Luty. Mickiewicz zawiesza kursa prorocze, a to z powodu, że jeden z najtęższych duchów francuskich *(Boeuf gras)* odprawia *marsz tryumfalny* po ulicach Paryża. Marzec. Mickiewicz prawi dalej duby smalone. Ojciec trajedyi zadżumiających (Słowacki,) pisze nowy poemat pół-proroczy, pół-nieproroczy, z dedykacyą Mickiewiczowi, a godłem: *O matko Polko, źle się syn Twój bawi!* Nowy cud Towiańszczyzny! Jeszcze jeden emigrant dostaje pomięszania zmysłów i wchodzi do Towiańszczyzny. Filozof Ciesz-

kowski daje swoje zdanie o kursie Mickiewicza. Oburzony Mickiewicz dowodzi z katedry, że Cieszkowski nigdy o filozofii nie pisał«, itd., itd. W tym stylu były przepowiednie na cały rok. Trudno być zjadliwszym.

Słowacki jednak, który, wstępując do Towiańszczyzny, był zgóry przygotowany na podobne »głosy urągania«, nie wątpił o świętości *Sprawy*, wierzył, że to jest prawdziwe odbudowanie w czystości i pokorze, i pragnął koniecznie, ażeby i Krasińskiego pozyskać dla *Nowego Zakonu*. W tym celu napisał do niego d. 14 grudnia obszerny list, będący odpowiedzią na jego ostatni list z Kissingen, a w którym namawiał go, ażeby i on wziął Towiańskiego »za pana i przewodnika«, bo jego idea w świecie duchowym jest »jak systemat naszego Kopernika«. »On tworzy koło, które przez wyduchowienie się swoje niema wyższego na ziemi, ale trzyma na ramionach duchy, wiąże się z niemi i działa na nie. Ty... musisz nam przyjść z legionem twórczoduchów w pomoc. Czas idzie, kwiaty rozkwitają; porzuć odtąd wszelki smętek, a bądź mężem podług własnego ideału, a wtenczas przyjaźń człowieka będzie świadczyła o mnie, bom jest z kamienia i, padając przed Bogiem, skruszyłem się na kilka kawałków... Nie stawaj więc, ale czyń, bo tu idzie o wielkie zwycięztwo nad światem«. List był długi, a »jako karyatyda do podparcia rzeczy«, będących nad jego autorem, był wystylizowany bardzo starannie, po literacku, a napisany tak, żeby przekonać. W tym celu nie omieszkał Słowacki nawet pochlebiać Krasińskiemu, siebie zaliczając do trupów, o nim zaś mówiąc, że jest świeży, anielski, rozwidniony, proroczy. »Ty masz wyraźną drogę, tyś żyw jest i sam wywołujesz życie«. Ztąd wniosek, że powinien przystąpić do Świętej Roty, powinien zwiększyć poczet tych, co pod sztandarem Towiańskiego i Mickiewicza walczą z poganizmem.

Łatwo wyobrazić sobie zdziwienie Krasińskiego, kiedy list ten przeczytał.



ROZDZIAŁ II.

ROK 1843.

X. Edward Duński o Towiańczykach. I. Metamorfoza moralna Słowackiego. II. Początek roku 1843. Znamienny list od matki. List od Krasińskiego. Odpowiedź Juliusza. Krasińskiego sąd o Towiańskim i o Towiańczykach. Uszczypliwa odpowiedź Krasińskiego. Koniec korespondencyi. Dzień 23 lutego. Posiedzenie Koła w d. 17 marca. Robota Mirskiego. Protestacya Towiańczyków. Kometa. Słowacki i Goszczyński. Sprawa medalu. »Upadek« Słowackiego i jego sąd o Braciach. Pani Bobrowa. Słońce wiosenne. Imieniny Zosieńki Bobrówny. Wykłady Mickiewicza. III. Nowa faza w twórczości Słowackiego. *Ksiądz Marek* i... Krasiński. IV. Słowackiego stosunek do Koła. Wyjazd nad morze. Myśl o pani Bobrowej. W Orleanie. W Tours. W Nantes. Pornic. Mieszkanie. Kąpiele morskie. Spacery. Wspomnienia Druidów. Błogi nastrój umysłu. Znajomości. Doktor miejscowy. V. Powrót do Paryża. Znajomość i przyjaźń ze Stattlerem. Słowacki pozuje do portretu. Rozmowy z twórcą Machabeuszów. Ostatnia rozmowa. Korespondencya ze Stattlerem. Juliusz Stattler. Przeczucie Matejki. Pani Becu w Krakowie. Rozprzężenie Koła. Sąd na Słowackiego. List do Kołyski. Opinia Goszczyńskiego. Mickiewicz u Słowackiego. VI. Wychodzi *Ksiądz Marek*. Tłumaczenie *Księcia niezłomnego*. Michał Budzyński. Dom Józefa Reitzenheima. *Sen srebrny Salomei.* Echa romansu z panią Bobrową. Pani Bobrowa ma wyjeżdżać z Paryża. Druk *Księcia niezłomnego* i *Snu srebrnego Salomei. Ksiądz Marek* i Towiańczycy. Karola Libelta entuzyastyczna krytyka *Księdza Marka.* Goszczyński o dramatach Słowackiego.

W liście ks. Semeneńki, datowanym d. 7 lutego 1843, a pisanym do ks. Hubego, znajduje się następująca opinia o Towiańczykach: »Żal tych ludzi, szczery żal, bo, prawdziwie, wszyscy tak się poprawili w życiu, tak chcą żyć Bogiem, tak pracują w duchu, że są ciągłem zawstydzeniem dla nas, ciągłą pobudką do wiary, do powagi ducha, do życia w duchu, do coraz większej miłości bożej«.

I.

I Słowacki, odkąd się »duchem podniósł, zbożył, zwszechmocnił«, niemało jako człowiek, skorzystał pod wpływem Towianizmu. Trafnie i pięknie powiada o nim prof. Małecki, że w życiu praktycznem, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem *etycznie* spoważniał Słowacki, w owych latach, stanowczo, niewątpliwie. »Było w ciągu całej tej jego życia epoki coś, co nam, mimo wielkiego obłędu imponuje w nim: wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posunięta granic, obojętność najwyższa nietylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahe względy potocznego i zewnętrznego wyrobu, miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętne przestawanie na małem, gotowość do wyrzeczenia się najsłodszych pociech życia. Odtąd zauważyć się daje w tym duchu nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniej braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy pewien praktyczny realizm, przedtem obcy najzupełniej idealnej jego naturze...« Dawniej szukał przeważnie »próżnej uciechy i posągów przyszłych«, pisał i żył dla nieśmiertelnej sławy po śmierci, dla dogodzenia swej wygórowanej miłości własnej i próżności, słowem, żył dla ziemskich widoków, a duch jego »ułożył się był, i ustroił podług świata tego«; teraz, odkąd w nim, pod wpływem nauki Towiańskiego, zaszła »zmiana realna, zupełna«, przekonał się, »jaki to był kawałek szkła to serce jego«, i chociaż wiedział, że to jest praca nielada, »trud nad trudy«, postanowił pozbyć się tych »drożdży światowych«, oczyścić tę »harfeczkę kościaną«, która się zwała jego ciałem, wymieść ze swego *ja* wszelkie »brudy«, wszystko, co było w nim małością i słabością ludzką (a było tego co niemiara!): bo »ducha, który się sam nie wypierze, nie wypiorą żadne anioły«. Dawniej był rodzajem »arlekina salonowego«, o charakterze »złym i nieujeżdżonym«, rodzajem angielskiego *petit maitre*, Dandysem, który do stroju, do koloru rękawiczek, z których najbardziej lubił blado-żółte, przywiązywał wagę pierwszorzędną, choćby dlatego tylko, że będąc poetą, nie chciał *epater les bourgeois* swoim zaniedbanym strojem, jak to np. było właściwe Mickiewiczowi; teraz, choć nie przestał ubierać się wytwornie — zawsze czarno — to jednak czynił to z odmiennych pobudek, aniżeli wprzódy: po domu chodził najczęściej w swej wschodniej sukni, kupionej w Kairze. Dawniej, powodowany próżnością, lubił

pozować do portretów; teraz nie dbał o takie błahostki. Kiedy go matka prosiła, ażeby jej przysłał kilka swoich medalionów (roboty Oleszczyńskiego), odpisał jej co następuje: »Nie żądaj Ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłość w ludziach nie znających mnie. Bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychały. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Stattlera lepiej mnie teraz przedstawia...« Dawniej hołdował Byronizmowi, starał się naśladować Byrona, nietylko w poezyi, ale i w życiu; teraz wstyd mu było jego »wielu melancholii Byrońskich; uważał, że »w tonie« Byrona była wielka »nędza serca«, i nie mógł sobie darować tej roli Byronisty, którą grał prawie od dziecka. Dawniej wskutek owego Byronizmu właśnie, często dawał się skusić »temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu passyi duchowi, który go nieraz do walki ze światem podmawiał«; teraz (pisał) »właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojej, która mię względem świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrem świecących... Podobno to, mój Teofilu, nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie *umiłowanych,* ale *tylko miłych* znajomych; ztąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacye, z książek i podróży czyniliśmy coś nakształt kłaków i tem zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanych ludzi. Oni też ogłaszali nas za bardzo dobrych lekarzy — nud, głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czem lepszem zapełnioną nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas«. Dawniej, kiedy Słowacki miał możność bywania na Święconem, które księstwo Adamowstwo Czartoryscy urządzali dla emigracyi (a z czego pani Becu była bardzo dumna, że Julek ma stosunki z tak wysokiemi sferami), z wielką skwapliwością korzystał z zaproszenia na nie, a potem, w listach do matki, z lubością opisywał to przyjęcie; teraz, kiedy go matka zapyta, czy był na Święconem u Czartoryskich, odpisze w taki sposób: »A ja cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum nie wybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je...« Dawniej, obok literata, stanowczo przeważał w nim człowiek towarzyski: lubił koleżeńskie gawędy przy dymie cygar, lubił obiady w klubie, podczas których wrzało dokoła stołu, jak w ulu, a do tego, co jadł, przywiązywał także niemałą wagę i nie zadawalniał się byle czem, a przy jedzeniu musiał mieć towarzystwo; teraz

jadło stało mu się obojętne, a w końcu przestał się stołować w klubie, gdzie mu było zbyt gwarno, i zaczął się stołować w domu, zadawalniając się tem, co mu gotowała żona portiera. Dawniej, w stosunkach z ludźmi, cechował go sarkazm; teraz wystarczało nie wiele, ażeby się rozczulał, ażeby płakał z rozrzewnienia (była to oznaka nadzwyczajnego przeczulenia systemu nerwowego). Dawniej, przez długi szereg lat, prowadził życie sybaryty, wstawał o 10-ej, słowem dbał o pomyślny stan ciała; teraz wstawał przed wschodem słońca najczęściej, przypatrywał się gwiazdom, jak gasły, a na wszystko, co było jego ciałem, tak zobojętniał, że, jak wyraził się, »ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna — jak np. rwanie zęba — może udręczyć«; żył, jakby w nim nic ludzkiego nie było: ani chęci, ani krwi, ani żądzy, ani wybuchu; tak dalece, iż nawet uśmiechnąć mu się nie było wolno — bezkarnie. Dawniej, kiedy pisywał do matki, pisał tak, żeby te listy mogły przyszłemu historykowi służyć za materyał biograficzny, dbał o to, ażeby matka przechowywała te listy, ażeby ich nie niszczyła przypadkiem; jeśli się dowiedział, że jakiś list jego (jak np. ów list z Aleksandryi, w którym był opis podróży po Grecyi) zaginął, martwił się i złorzeczył tym, którym taki list powierzył; pisząc zaś, pisał tak, ażeby się w swych listach przedstawić o ile możności w poetycznem świetle, na pięknem romantycznem tle, w interesujących i nie banalnych, a nadewszystko nie prozaicznych sytuacyach; pisał o tem tylko, co uważał, że było poezyą jego życia, co go czyniło podobnym do niektórych wybitnych bohaterów Byrona lub Chateaubrianda: kiedy mieszkał w Szwajcaryi, pozował — w swoich listach do matki — na Manfreda lub René'go, kiedy podróżował po Włoszech, Grecyi, starał się być podobnym do Child Harolda; na Wchodzie stroił się w arabski płaszcz Byronowskiego Giaura, a w Ziemi świętej usiłował przypominać bohaterów z *Jerozolimy* Tassa; — teraz o co innego mu chodziło, kiedy pisał do matki: oto jego własne wyznanie w tej kwestyi. »Jak szalony, piszę prędko, chcąc, aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, ożywić ciebie i rozmiłowywać w Bogu...« »pisałem tak, żem się aż zmęczył i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą...« »Nieszczęśliwy wziąłem papier; ty może przebitego na dwie strony nie przeczytasz, a jednak przepisać tego na zimno, co napisałem, nie mogę, dlatego, że początek ten, w mocnem drgnięciu ducha pisany, straciłby woń i siłę, gdyby drugi raz pisany był przez naśladującą siebie istotę...« Da-

wniej starał się figurować wszędzie, jako poeta, jako sławny poeta, jako polski Byron, z największą przyjemnością mówił o sobie, o swoich dziełach; teraz sława przestała go nęcić; pragnął być tylko — pisze o nim ks. Arcybiskup Feliński — zrozumianym i pokochanym przez naród, i to nie w dawniejszych swych utworach, z których wielu wolałby nie napisać, ale w swych dążeniach messyanicznych, mających odrodzić ducha narodu. Niektóre ze swoich dawnych utworów znienawidził poprostu: uważał, że są pełne »Chopinowych słodko-kwaśnych dysonansów«, że ciągle gadają o sobie, tak, iż np. »przed Chrystusem« nie śmiałby deklamować z zapałem, ani *W Szwajcaryi*, ani innych osobistych poematów. »Chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystego zboża dać moim miłym na siejbę. Wolałbym, aby niektóre z nich nigdy nie były wyszły. Następną edycyę robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych poematów moich zatracić... Nadto wysoko ważę teraz Ducha polskiego«. Jakoż dotrzymał słowa: niejeden z niedokończonych lub niewydanych poematów uległ zatraceniu. To co leżało w tece — *Horsztyński*, *Nowa Dejanira*, *Jan Kazimierz*, *Beatrix Cenci*, *Złota Czaszka*, *Krakus* — miało w niej pozostać, puszczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery. Dawniej pracą nazywał pisanie poezyi, teraz pracą nazywał co innego. »Przez te pięć lat (pisał do Stattlera) pracowałem tak, jak może żaden człowiek jeszcze nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka..., a jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja *żywa* lepszą jest, niż praca moja *umarła*, która już się w foremkach swoich glinianych pokazała i nazywa się — poezyą moją«. Dawniej hamletyzował często, starając się — napróżno — rozwiązać zagadkę bytu ludzkiego; teraz »jakieś ciepło ludzkie i spokojność anielska ducha, miłość wielka, która się w nim rozwinęła, i wiara wreszcie, która mu odkryła *wszystkie tajemnice*« rozpędziła go, rozweseliła, a przedewszystkiem dała spokój wewnętrzny. »Nie odmieniło się nic w wewnętrznem życiu mojem (pisał do matki d. 18 marca 1843 r.) oprócz smutku, który gdzieś uleciał i wpuścił więcej, niż nadzieję, do domu mego. Przybyła także większa prostota, mniej zachceń ziemskich, a więcej prawdziwej żądzy dobrego. Duch mój się podniósł, a ciało nabrało więcej mocy, tak, że mię ludzie ledwie poznają«. Dawniej zdarzało się bardzo często, iż z pewną niechęcią zwracał się do ludzi, że ich traktował pogardliwie, lekceważąco, zwłaszcza, gdy to był prostaczek, człowiek pospo-

lity, nie żaden arystokrata duchowy; teraz uważał, że »należy pierwej uczuć *miłość* dla człowieka, a potem z nim gadać«. Dawniej miał wielkie przywiązanie »do szczęstnostek tego świata«, teraz »wyleciał duchem« ponad to wszystko. Dawniej, kiedy w nim pokutował duch Byrona, cierpiał często spleeny, zapadał w melancholię, czuł się nieszczęśliwym, niezadowolonym z siebie i ludzi; teraz, pogrążony w pracy ducha, w średniowiecznej ascesie, w ciągłej ofierze i miłości, dosięgnął, zdawało mu się, »ostatnich kresów szczęśliwości«: z oczyma, zupełnie oderwanemi od świata, od rzeczywistości, zbłąkanemi w sferach mistyki, dosłuchiwał się »powiewów Boga« i głosów nadludzkich, słyszał szum skrzydeł anielskich, pomieszany z niebiańskim śpiewem Cherubinów, które go unosiły ponad przepaściami nieskończoności; zatapiał się, jak bramin indyjski, w sobie, snuł najfantastyczniejsze pomysły, a na sny zwracał więcej uwagi, aniżeli na jawę; wogóle, jak się o nim wyraził prof. Małecki, zatopiony w bezdeniach kontemplacyi mistycznych, żył więcej myślą niż ciałem, i więcej z Bogiem, niż z ludźmi. Dawniej był »narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych«; teraz rządzony był »przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa« i ta wiara czyniła go tak »nad miarę szczęśliwym, że często miał w *duchu* takie szerokie a mężkie uczucia, jak gdyby szedł na słońce«. Dawniej przywiązywał ogromną wagę do życia w dostatku, do tego, żeby nie znać ubóstwa; teraz, będąc do innych głosów »jak zepsuta gitara« stał się nieprzyjacielem wszelkich ziemskich zabiegów i trosk o jutro, co mu nie przeszkadzało swoją drogą spekulować akcyami i papierami publicznemi.

II.

[illegible]

był w walce z Kościołem, kiedy księży uważał za »ludzi formy, którzy modlitwą zaspakajają nieczynne serca«, kiedy ich uważał za »faryzeuszów, miłość *udających*« ! Z drugiej strony był oburzony tym sceptycyzmem swojej rodziny, sceptycyzmem, który świadczył, że zarówno matka jego, jak i Teofilowie, należeli do ludzi »broniących fałszu i czci światowej«, iż chcieliby, ażeby on był, »jak tłómacz *Dziewicy jeziora* i *Koranu* (Karol Sienkiewicz), który chodzi po obiadach, tłumaczy poetów, i skarży się na oschłą rzeczywistość, a ludzie mu potakują wykrzyknikiem: ale gdzie bo i ta ciągła poezya?« Czyżby go chcieli »zachować i ubalsamować w myrrze zdrowego rozsądku? W każdym razie »grzeszą, bojąc się o niego, o duszę jego«, a sobie wydają najniepochlebniejsze świadectwo, ujawniając te obawy.

W tymże tonie (tonie, który świadczy, że »dawny sarkastyczny Julek« jeszcze pokutował w poecie-mistyku) był list, którym Słowacki d. 18 stycznia odpisał na ostatni list z domu, a który skreślił nazajutrz po odpisaniu Krasińskiemu.

Bo i od niego miał list w tych czasach, list »apokaliptyczny, który mu świecił, jak lampa w gotyckim kościele, jak różyca różnokolorowa, przez którą patrzy słońce, ale roztęczowane, niepewne«, list jednak, z którego okazało się, że autor *Przedświtu* dość sceptycznie zachowywał się wobec nauki Towiańskiego; że nie czuł, iż ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie; że nie chciał zostać »prostym i prawdziwym«, ani przystąpić do grona tych ludzi, »których ideałem jest chłop i pastuch, wierzący i prawdziwy« ; że na tę całą sprawę zapatrywał się z punktu widzenia »eleganckiego świata« ; że choć »odgadł kilka kształtów«, to jednak »nie widział ideału«, wybuchającego, jak wulkan, »z pod miast, z pod stosów hrabiowskich koron, książęcych mitr i tyar, z pod posadzek salonowych«; że bynajmniej nie był skłonny do uwierzenia ani w »niedopełnioną pracę Ducha« ani w »łańcuch żywotów« ; i że wszystko, o czem mu w poprzednim liście pisał Słowacki, nie trafiało mu do przekonania.

Słowacki, przekonawszy się z tego listu, że Krasiński nie łatwo da się pozyskać dla Sprawy, że się wobec niej zachowuje odpornie, że o Towiańskim jest innego zdania, aniżeli oni wszyscy, zmartwił się tem, uważał przecież, że postąpi najwłaściwiej, jeśli o tym liście powie Mickiewiczowi. Jakoż powiedział — na zebraniu *Koła* — »a ze zwroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów«, kiedy się dowiedział o treści tego listu, można było wnosić, że

Mistrz tak samo tłómaczy niektóre rzeczy, jak je — w tym liście do Słowackiego — tłumaczył Krasiński.

Jakkolwiek strapiony tym listem, odpisał nań Słowacki z wielką wyrozumiałością, a starał się pisać bardziej przekonywająco i wyczerpująco, co sprawiło, że napisał bardzo długi list, list, który pewno »wylał prosto z ducha«, a w którym wszystko było proste i »nie do rozumu, ale do serca pisane«. »Zamyśl się z tą myślą, pisał między innemi, a usłyszysz cudowną harmonię między duchowymi pracami a boleściami ciał, które są niby chłostą bożą, i przymusem, i nauką duchów. Niema jednej plagi, jednej choroby — przysłanej napróżno. Narody wydają się, jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historya, ta męka ciał, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia, Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury. Taka jest ta metampsychoza, o którą nas księża katoliccy oskarżają. O rozwinięciach dalszych tej idei będę ci pisał później, albowiem teraz strudzony jestem różnemi pracami i jeszcze pełen *niby melancholii dla rzeczy pożegnanych wczoraj* (pani Bobrowa)!... Ja sam jeszcze pracuję nad sobą, śród ludzi, *którzy mię często nie rozumieją i mimowoli ranią nieufnością i niewiarą w pracę ducha mojego.* To jest krzyż mój!« To było świadectwo zarazem, że *Koło,* złożone z wielbicieli Mickiewicza, już w samych początkach służby Słowackiego było dalekie, ażeby go darzyć prawdziwie braterską miłością, że im zawadzał, że nań patrzyli krzywo. Słowacki pisząc o tej okoliczności, która się jemu, jak krzyż dawała we znaki, czynił bardzo niedyplomatycznie, bo odsłaniając podobne tajemnice *Koła,* nie zachęcał tem samem Krasińskiego do powiększenia liczby adeptów Sprawy, której służąc, było się narażonym na podobne krzyże. Nie każdy miał ochotę dźwigać krzyż, nie będąc zmuszonym do tego. To też dziwić się nie można Krasińskiemu, że się od tej Sprawy wolał trzymać zdaleka.

A zresztą nie miał zaufania do Towiańskiego, podobnie, jak uczniowie Mistrza, z Mickiewiczem na czele, z nieufnością i niewiarą sądzili pracę ducha Słowackiego: nie dziw więc, że nie chciał się mieszać do sprawy, która mu się wydawała nieczystą. Powtóre, już się był pogodził z Kościołem, a na Towiańskiego zapatrywał się podobnie, jak się zapatrywali XX. Zmartwychwstańcy, ks. Kajsiewicz i ks. Semeneńko. W tym duchu odpisał na list Słowackiego, listem, datowanym z Rzymu, d. 26 stycznia 1843 roku. Zdaniem autora *Przedświtu,* Towiański nie przynosił nic nowego, bo że nowa, pełniejsza zaczyna się epoka, epoka czynu, którą jedni nazywają królestwem bożem,

a drudzy — przyjściem Ducha świętego, to nie jest nowe, to i on zawsze twierdził. »Natura stąpała ku człowiekowi, historya stąpa ku ludzkości«. Na to się godzi, ale o tem nauczało wielu, Towiański nie jest wynalazcą tej idei. »Dwie sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd. *Piękność* czyli *prawdę kształtu* pojęło pogaństwo, *prawdę* czyli *piękność myśli* pojęła era chrześcijańska, upłyniona od dni Chrystusowych. A czemże jest *czyn, życie,* świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności, rozdzielonych dotąd, lecz siostrzanych sobie«. Jeśli to było osią nauki Mistrza, to nie ma się o co sprzeczać: i on, Krasiński, jest tego zdania; nie godzi się tylko na to, aby myśl Chrystusowa pozostała w sprzeczności z pogańskiem pojęciem piękna, któremu Towiańczycy, a i Słowacki, przepowiadali śmierć bliską. Jego zdaniem, twierdząc tak, byli nielogiczni, niekonsekwentni. »Przeciwnie, ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd była tylko idealną prawdą, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko, a czemże jest *kształt prawdy,* jeśli nie *pięknością*. Zatem dążysz ku piękności, już nietylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowej, ale ku piękności żywej, ku najwyższemu stanowisku piękności«. Cokolwiekbądź, wiadomość o tem, że Słowacki, w którym przedewszystkiem widział wielkiego artystę, zaczynał tracić wiarę w piękność, w poezyę, a zaczynał marzyć o jakiejś miłości duchów, wcielonej w czyn, etc. etc., że odtąd chciał głównie służyć tej Sprawie, nie sztuce, nie poezyi, które zaczynał lekceważyć, sprowadzać do jakiejś roli drugo- czy trzeciorzędnej, wiadomość o tem, stwierdzona własnoręcznemi listami Juliusza, bardzo zaniepokoiła Krasińskiego: zrozumiał, że to są manowce, na których Słowacki może się zabłąkać, że na tej drodze może się zwichnąć, jako poeta, jako artysta, i dlatego, omówiwszy sprawę samej idei Messyanizmu, zwrócił się do Słowackiego osobiście, przestrzegając go, ażeby nie schodził z dawnej drogi. »Tyle o tem, a więcej, gdy uczuje serce moje, że winno sercu twojemu powiedzieć: »Nie zabijaj się tak, jak w innej sferze zabijają się Jezuici«. Tobie dotąd tego nie potrzeba, lękam się tylko, twoim instynktem, danym mi, draśnięty, by nie przyszło do tej potrzeby!« Co się zaś tycze Towianizmu w ogóle, a jego wyznawców w szczególności, to o ile się godził — z mnóstwem zastrzeżeń wszakże — na niektóre punkta ich teoryi, np. na teoryę »odpowiedzialności wspólnej, składającej narody«, o tyle nie godził się na ciasny sposób, w jaki się kusili »objawić prawo boże«. Tutaj zarzucał im, że byli

jednostronni, nietoleranccy, a przedewszystkiem niekonsekwentni, bo przynosząc i głosząc naukę miłości, prawie zawsze postępowali — bez miłości, unosili się stronnością, to znaczy, że popadali w stronniczość, w brak wyrozumiałości, w ciasny fanatyzm. »Pamiętajcie, że wszechstronność powinna być waszą pierwszą cnotą, że nic nie odrzucać, niczem gardzić, ale wszystko wywyższać, wszystkiemu dać miejsce, a piękniejsze i lepsze powinniście! O, zaklinam was, nie zwężajcie się, jako *cząstka* świata, ale rozszerzajcie się, jako *całość* świata! Bądźcie pełniejsi miłości, aniżeli ci, którzy twierdzą, że ich *rzemiosłem* jest miłość (księża)! Nie intolerancyą zwalczajcie intolerancyę! Daruj mi, Julu, jeślim nie zrozumiał, choć zdało mi się, że rozumiem; nie krytykuję, ale ostrzegam. Malarz Kurowski był i oddał mi twój portret; stoi u mnie na stoliku i, patrząc mu w oczy, list ten pisałem«.

Na list ten, pisany na początku lutego, odpisał Słowacki dopiero d. 23 marca, a napisał list — jak się o nim wyraził Krasiński — »pełen kwasów melancholicznych«, w którym nawet nazwał przyjaciela »starą dewotką«, w którym z uszczypliwością dawnego Julka drwił sobie z Małachowskiego, że »chodzi po Paryżu z puzderkiem filigranowem od zarazy«, i w którym wreszcie, przeczuwając odpowiedź Zygmunta, zarzucał mu, że w Rzymie skupia się duch przeciwko duchowi, że zatem Krasiński i jego stronnictwo, to partya wroga dla Towianizmu, od której stronić należy. W takim tonie sarkastycznym był cały list, co także było bardzo niedyplomatycznym postępkiem ze strony Słowackiego, zważywszy, że list ten, w mniemaniu poety, był ostatnim wysiłkiem ducha, ażeby Krasińskiego wciągnąć do Sprawy. Widocznie, że duch Słowackiego jeszcze nie był dostatecznie »ujeżdżony«, skoro w takich wypadkach nie umiał — i teraz — zapanować nad swą sarkastyczną żyłką.

I Krasiński, przeczytawszy ten list, kiedy mu przyszło odpisywać nań, nie mógł się powstrzymać, ażeby na sarkazm nie odpowiedzieć sarkazmem. Szczególnie czuł się dotknięty owym złośliwym epitetem starej dewotki. Dlatego, parując ten cios, skreślił bardzo dosadną charakterystykę dewotek, charakterystykę, która nie jest niczem innem, tylko złośliwą charakterystyką — Towiańczyków, ich ciasnoty i jednostronności, a przedewszystkiem ich nietolerencyjności, która cechowała nawet Słowackiego w stosunku do Krasińskiego. W tę Achillesową piętę wymierzył Krasiński, a Słowacki musiał zrozumieć i odczuć całą subtelną a uszczypliwą ironię, która biła z tych początko-

wych słów listu Zygmunta, brzmiących, jak następuje: »Ja znowu, z drugiej strony nie jasno pojąłem, czem mogłem zarobić sobie na epitet starej dewotki? Zwykle te panie szanowne, najwierniejsze wyobrazicielki światów konających, światów litery umarłej, to mają do siebie, że wszystko niezmiernie ciasno, jednostronnie, karłowato, pojmują. Wraz z Wyzuwitami (list był pisany z Rzymu i dlatego, wobec ciekawości urzędników papiezkich, wyraz *Jezuita* mógł być powodem zaginienia listu), mistrzami swymi, miasto ducha *żywego* czcić, czczą tylko kształt tego ducha przeszły, miasto rozszerzać się w uniwersalną społeczność, kupią się w sektę i doktrynkę, miasto miłości, wszystko obejmującej, wrą fanatyzmem, ogarniającym tylko jednę stronę rzeczy, i z tej to przyczyny tak okrutnym i nienawistnym: cóż w moich zdaniach wspólnego z niemi? Ale mniejsza o to, bo to osobistość, a tu nie chodzi o osóbkę, tę lub ową, ale o *ideę*, świętą i wyższą od wszelkiej i jakiejkolwiek osobistości«. To była strzała zatruta jadem złośliwości, a tem boleśniejsza dla Słowackiego, że trafiała w jego najsłabszą stronę: wskazywała na jego słabostki ludzkie, nad któremi nie zawsze umiał zapanować, nawet teraz. A przytem była to zjadliwa krytyka metody postępowania Towiańczyków wogóle, metody ciasnej, bo mającej swe źródło w ułomnościach natury ludzkiej, pełnej śmiesznostek i małości. Co gorsza, to, że na ten temat był prawie cały list, list niemiłosierny w swej bezwzględności pod tym względem, piętnujący i ośmieszający wszystko, co w tej chwili Słowacki uważał za nowe objawienie. Ta idea miłości, którą w teoryi głosili Towiańczycy, była zdaniem Krasińskiego, profanowaną przez nich w praktyce, a było to bezwarunkowo dowodem »nędznej głupoty«, żeby marzyć o staniu się protektorem lub sprzymierzeńcem idei, prawdy wiecznej. »Każdy z nas jest sługą Jej, a kto najwierniejszym i najprawdziwszym, ten dopiero drugim ludziom stać się może wodzem i obrońcą. Czemuż podejrzywać? czemuż domyślać się złych uczuć w kim? Czy to miłości jest cechą? czy to znakiem błękitnego spokoju ducha? czy nie nadszedł już czas, by *prawdy* zaprzestały *walką* zdobywać świat, a zaczęły go ogarniać prostem siebie samych objawieniem, wyrzeczeniem, ukazaniem świetlanem, które przez moc swoją, bożą i rozumną i serdeczną zarazem, wszystko pogodzić musi i stanąć wyżej, niż wszystkie podrzędne sprzeczności, dotąd stanowiące rozterkę wieczną świata? Czyż brak nam na prawdach takich i na miłości takiej, byśmy się starym trybem udawać musieli do ukrytych dróg, do wstrętów, do niewytłómaczań się lub utajań, do

ukazywania tylko połówek lub trzech ćwierci, słowem, do całej dyplomatycznej metody, jakiej używały wieki przeszłe, gdy pełno złych, nieprzygotowanych i nieodkupionych duchów jeszcze istniało na planecie tym?« W dalszym ciągu były nie mniej poważne zarzuty przeciwko sekciarstwu Towiańczyków, przeciwko ich bezlitości, ich brakowi miłości, choć głosili ideę wszechmiłości, ich »hiszpańsko-Filipowemu potępianiu drugich«. Ale dotkliwszym, aniżeli te zarzuty przeciwko nauce, którą wyznawał Słowacki, był wyrzut, jaki mu Krasiński czynił osobiście, jako przyjacielowi. A stało się to jego zdaniem za sprawą owej nauki, która w tej formie, w jakiej się objawiała dotychczas, tyle tylko miała wspólnego z nauką Chrystusa, że Chrystus wyraził się raz, iż »przyszedł świat rozerwać, syna od ojca oddalić, brata od brata«. To, w przekonaniu autora *Irydiona,* czyniła nauka Towiańskiego, ale nie »przynosiła pokoju«, jak nauka Zbawiciela. Bo ta nauka sprawiła, że on, Słowacki, odstrychnął się od swego przyjaciela, sprzeniewierzył się uczuciu przyjaźni — dla mrzonek. »Twój list wczorajszy obudził nowe wątpliwości, albowiem widzę w nim jakoby kwas melancholijny przeciwko mnie: już nie czujesz sercem — serca mojego. Czemuż to? przecież przez te wszystkie lata czułeś je, a w niem nic odmiennego, ono zawsze twojem tak, jak w *Willi róż* bywało... Kocham Cię i jestem Twój«.

Na tym liście urwała się na dłuższy przeciąg czasu korespondencya Słowackiego z Krasińskim. Słowacki nie odpisał nań, czem najwyraźniej dał do zrozumienia Krasińskiemu, jak się na jego ostatni list zapatruje: zrozumiał, że była to ostateczna odprawa, że Zygmunt ani chce słyszeć o nauce Towiańskiego, że jest przeciwny całej Sprawie, czyli że jest jej wrogiem, a to wystarczało drażliwemu »duchowi« Juliusza, ażeby wzgardzić przyjaźnią tego jedynego człowieka, który mu był życzliwym na prawdę. Jakże wiele »brudów« było jeszcze w tem biednem sercu Juliusza! Jakże Herkulesowej pracy wymagało oczyszczenie tej Augiaszowej stajni, która się zwała w nim — pychą. To zerwanie z Krasińskim, zerwanie, do którego autor *Irydyona* bynajmniej nie dał powodu, świadczyło, że jeśli się Słowacki zmienił pod wpływem Towianizmu, to zmiana ta nie była tak »realna i zupełna«, jak mu się zdawało; zmienił się, to prawda, której nikt przeczyć nie myśli, ale się zmienił niewiele. Kto wie nawet, czy i ta zmiana nie odbyła się głównie — w wyobraźni poety. Bo ile razy zdarzyła się sposobność, ażeby tej »realnej zmiany« dowieść czynem, wtedy zawsze brał górę »nieujeżdżony« Julek. Towianizm

osiodłał go wprawdzie, założył mu munsztuk i trenzle, ale to jeszcze nie dowód, żeby rumak był ujeżdżony naprawdę, żeby nie zrzucił jeźdźca, kiedy go ten dosiąść pragnie, a zwłaszcza, gdy od niego będzie wymagał pokory. Na tę nie zdobędzie się Słowacki nigdy.

Gdzie będzie chodziło o drobnostki, tam pozwoli nad sobą przewodzić, ale gdzie będzie chodziło o rzeczy ważniejsze, tam stanie dęba, weźmie na kieł, a w końcu pozrywa wędzidła.

Do takich drobnostek należała np. manifestacya Towiańczyków, urządzona w dniu 23 lutego podczas nabożeństwa polskiego w kościele św. Rocha. Po skończonej mszy, której wysłuchali w skupieniu, ledwo się skończyła i ks. Semeneńko wszedł na kazalnicę, wszyscy hurmem, jak stali razem, ostentacyjnie wyszli. Zapytani dlaczego: odpowiedzieli, że to nie słowo Chrystusa jest opowiadane.

Podobną drobnostką była msza w kościele St. Germain de Près, zamówiona przez *Koło,* odprawiona w dniu 3 marca przez ks. Praniewicza, a wysłuchana przez wszystkich Towiańczyków. Było to oczywiście zrobione na złość ks. Zmartwychwstańcom, z którymi walczono w taki dziecinny sposób.

Dnia 17 marca wieczorem, kiedy Słowacki i Goszczyński po odbytem zebraniu u Mickiewicza wracali do domu, ukazała się na niebie — olbrzymia kometa. Wrażenie, jakie zjawisko to uczyniło na nich, było olbrzymie: najlepszy dowód, że obaj zapisali ten fakt, jako pierwszorzędnej wagi, jako znak, dany od Boga samego. Goszczyński pisał w swych notatkach: »Wieczorem koło 8-ej postrzegliśmy na Batignolles po raz pierwszy ogromnego kometę. Nie rozwodzę się nad nim, *bo dalekie wieki będą o nim wiedziały.* Na jego widok zadrżeliśmy dreszczem świętej bojaźni. Teraz poznaliśmy, jak ważna była chwila dzisiejszego zebrania. Sztandar Chrystusa ukazał się całemu światu w świetle niebieskiego zjawiska. Biada temu, kto ma oczy, a nie widzi«. Nazajutrz, d. 18 marca, pisząc do matki, Słowacki nie omieszkał wspomnieć o tym komecie. »Wczoraj związkowi serca naszego poświadczył Pan Bóg srebrną tęczą na niebie, która przez ćwierć niebios rozwlekła się, jak ogon olbrzymiej komety. Cudowny znak dla nas, wiedzących, co znaczy, dla innych prosty meteor«. Zjawisko to trwało kilka dni. Jeszcze dnia 24 marca pisał Goszczyński: »Słowacki widział zjawisko na niebie — smugę od komety od zachodu na wschód. Wielkie upały; wszystko zapowiada przemiany«. *O sancta simplicitas!*

Ale i ta kometa (czy *ten* kometa?) była jedną z owych

drobnostek, które podobnie, jak i święcone obchodzone d. 16 kwietnia przez Towiańczyków w mieszkaniu Mickiewicza, nie dawały sposobności, ażeby duma Słowackiego była zadraśnięta, ażeby się w nich mógł podziwiać w roli *pokornego* sługi Sprawy Bożej. Z chwilą jednak, kiedy się utworzyła sytuacya, gdzie ta rzekoma pokora Słowackiego miała przejść przez ogniową próbę, okazało się odrazu, jak ta pokora była kruchą w porównaniu z tą »nieujeżdżoną« dumą poety. Okazya taka nie dała długo na siebie czekać. Dostarczyła jej, już w czerwcu, sprawa medalu, t. zw. »medalu służby w świętym zaciągu«, którego przyjęcie odbywało się niezmiernie uroczyście, a który był znakiem wykonanego ślubu służenia Sprawie. Odtąd znikała osoba »brata« a cały duch jego — jak się wyraził Mickiewicz — zlewał się z duchem *Koła*. Kto nie otrzymał takiego medalu, był właściwie laikiem, nie rzeczywistym bratem. Na to jednak, żeby otrzymać medalik, trzeba było poddać się ceremoniałowi, który dla Słowackiego wyjątkowo był przykrym i upokarzającym nad wszelki wyraz. Ceremoniał ten opisał w swoich notatkach Goszczyński, który w dniu 3 czerwca otrzymał taki medal, wskutek prośby, jaką przed kilku dniami wyraził Mickiewiczowi, razem z Boleskim i Skinderem. Na to bowiem, ażeby otrzymać medal, trzeba było 1) zasłużyć nań, gdyż medalami obdarzano tylko gorliwych braci, a 2) prosić o to wyróżnienie, bądź Mickiewicza, bądź Mistrza samego. Ponieważ niedawno temu Dr Gutt, który czas jakiś bawił u Towiańskiego, przywiózł od niego kilka medali do rozdania braciom, więc sprawa medali weszła na porządek dzienny. Jakoż zapadła uchwała (zdaje się, że pomiędzy Guttem a Mickiewiczem) że trzech braci, mianowicie Goszczyński, Boleski i Skinder otrzymają medale. Nastąpiło to w pierwsze święto Zielonych Świątek. Najprzód wypowiedział krótką mowę Mickiewicz, poczem, kiedy trzej wspomniani bracia uklękli przed wizerunkiem Chrystusa, on wygłaszał nad nimi następującą modlitwę: »Chryste Panie, coś przyniósł na ziemię ogień z nieba dla rozgrzania i podniesienia do Ojca dusz ludzkich i ciągle cierpisz za nas pod ciężarem krzyża, kiedy zsyłasz teraz Ducha, co trudem i miłością Łaskę Twoją zlewa na nas, daj nam wstąpić na krzyż w miejsce Twoje i przyjm modlitwę naszą... A ty, Duchu Mistrza naszego, pokorny, ognisty, silny, przenikający, dopomóż mnie, abym zdołał udzielić Braciom moim wzruszenia, jakiem tyś nas przejmował...« Przy tych słowach nałożył braciom medale na szyje, a gdy to uczynił, płacz był powszechny. »Z płaczem całowaliśmy ręce i nogi Adama«, zapisuje

w swych notatkach Goszczyński, któremu »głębokie wzruszenie odjęło pamięć na resztę słów, tak, iż nie słyszał już, jak Mickiewicz, ucałowawszy w głowę każdego z trzech wybranych braci, tak kończył: »Nietylko wasze rozrzewnienie, ale same twarze wasze są mi rękojmią waszej miłości... Bądźcie pewni, że ta miłość, jakiej zarodek błysnął pomiędzy nami, jest największą na świecie potęgą i siłą działania«. Słowacki, którego z Goszczyńskim łączył serdeczny stosunek przyjaźni, musiał być obecny na tej uroczystości, musiał widzieć, jak Seweryn całował ręce i nogi Adama, i musiał sobie pomyśleć, że on by czegoś podobnego nie uczynił, że jeśli to jest koniecznym warunkiem otrzymania medalu, to on w takim razie o medal prosić Mickiewicza nie będzie... Kto wie jednak, czy w tejże chwili w głowach braci, nie lubiących Słowackiego (a prawie całe *Koło* składało się z takich), nie zrodziła się złośliwa myśl, ażeby i jego zmusić do takiego aktu, ażeby i on musiał całować ręce i nogi Adama! To byłby widok nieporównany w swoim rodzaju: widzieć Słowackiego, całującego ręce i nogi autora *Dziadów*. Jeśli chce dowieść swej rzeczywistej pokory, niech się nie cofnie przed tym ceremoniałem! Przypuszczenie, że podobna chęć upokorzenia Juliusza mogła się zrodzić w głowach braci, skrycie nienawidzących Słowackiego, jest bardzo prawdopodobne, zważywszy, że w poczet *Koła* wchodziło wielu z tych, którzy przed dwoma laty, po pierwszej uczcie u Januszkiewicza, chcieli Słowackiego »zbić i strącić« w ten sposób, żeby na drugiej uczcie ofiarował puhar Mickiewiczowi »w dowód swojego wasalstwa«. Jeśli chodziło o upokorzenie Słowackiego, połączone z dokuczeniem mu, to sytuacya była bardzo podobna: jak wtedy ofiarowanie puharu Mickiewiczowi, tak teraz przyjęcie od niego medalu, połączone z całowaniem rąk i nóg wieszcza, mogło się bardzo uśmiechać nieprzyjaciołom Juliusza, którzy przedewszystkiem — i zawsze — myśleli o tem, w jaki by sposób można tego »pyszałka« cokolwiek zbić i strącić. Jeżeli takie były skryte zamiary braci, kiedy zaproponowali Słowackiemu, ażeby i on, jak Goszczyński, poprosił o medalik, to i tym razem spotkał ich gorzki zawód. Słowacki bowiem, kiedy mu wspomniano o medalu, oświadczył, że potrafi się obejść bez medalu. Na takie oświadczenie, wszystkie żądła zwróciły się przeciwko niemu; powstał syk wężowy, który miał na myśli Słowacki, kiedy po niejakim czasie, przemawiając do braci, rzekł: »Jakże wam Stwórca świata podda Żydy, Araby i Indyany, kiedy wy do mnie za to, żem o medalik N. Panny Mistrza nie prosił, już wstręt czuliście,

już prawie gotowi byli odrzucić«. Cóżkolwiekbądź, nawet Mickiewicz zapatrywał się na ten opór ze strony Słowackiego, jako na upadek jego ducha, zwłaszcza, kiedy autor *Beniowskiego* nie zdradzał najmniejszej ochoty, ażeby ten upadek naprawić. Tak upłynął miesiąc. Dnia 3 lipca, pisząc do Ferdynanda Gutta, Mickiewicz donosił mu, że »Słowacki dotąd jeszcze ostatniego upadku nie naprawił«. Fakt ten, drobny sam przez się, był pierwszym dysonansem, który zamącił pozorną harmonię, jaka dotychczas panowała między Słowackim a *Kołem*.

Ale było jeszcze mnóstwo innych przyczyn, głębszych nierównie, które ten stosunek czyniły naprężonym, nieszczerym, a w końcu sprowadzą jego zerwanie: to przyczyny psychologiczne. Słowacki, odkąd zaczął brać udział w zebraniach *Koła,* nie czuł się tu w swoim żywiole. Czemu? Kiedy minęło pierwsze olśniewające wrażenie nauki, kiedy się poeta uspokoił i tem samem zyskał możność przyjrzenia się Braciom trzeźwo, bez złudzeń, musiał przyznać, że znalazł się w otoczeniu ludzi, którzy nietylko byli dlań usposobieni niechętnie, którzy go »nie rozumieli często« a jeszcze częściej »ranili nieufnością i niewiarą w pracę ducha jego«, lecz przedewszystkiem byli ludźmi pospolitymi, płaskimi, z którymi człowiek, jak on, nie mógł mieć nic wspólnego. Żaden z nich, oprócz Mickiewicza i Goszczyńskiego, nie stał na wysokości zadania. Jeżeli nauka Towiańskiego wymagała, ażeby jej orędownikami byli wieszcze, duchy wyższe i niepospolite, to *Koło* nie mogło osiągnąć celu, gdyż ludzie, składający je, absolutnie byli niezdolni — z nielicznemi wyjątkami — do wzbicia się na wyżyny. Ludzie tej miary, co obaj Januszkiewicze, jak Gutt, i jego żona, jak Pilchowski, Berkowicz (żyd) i wielu innych, należeli bezwarunkowo »do tego stworzenia, co pełza«, to też nie mieli skrzydeł. Słowacki oceniał ich, jak na to zasługiwali, czyli, że nie imponowali mu niczem, że się z nimi nie bratał zbytnio, bo zbratanie się z nimi było dla niego niepodobieństwem, bo nawet w zapale ich widział »świeże dobicie się do pierwszych prawd religijnych«; oni zaś przeczuwali, że on się za coś lepszego od nich w głębi duszy uważa. Nadto należeli do obozu Mickiewicza i jego uważali w swem gronie za intruza, który im był niewygodny, którego najbardziej byliby radzi pozbyć się jakimkolwiek sposobem. Słowacki sobie zdawał sprawę z tego, więc mogło mu być przykro, że musi *Sprawie Bożej* służyć w takich warunkach. Jakoż uważał to za swój »krzyż«, jak się do tego przyznał w liście do Krasińskiego; co gorsza jednak, to, że wątpił poprostu, czy ludzie tacy, jak ci, są

zdolni unieść podobny ciężar, jaki włożono na nich; bo jeżeli chodziło o natchnienie, o którem nauczał Mistrz, to ci ludzie byli zdolni do wszystkiego, tylko nie do natchnienia. Wymówi im to kiedyś Słowacki — nie bez ironii — w następujących słowach: »Stało się u was rozkazem: przyjść w duchu, mówić z ducha, uderzyć kogo duchem, być w wielkiem podniesieniu, czuciu; gdy tymczasem ja, który znam, choć niedoskonale, stan natchnienia i działanie na drugich ludzi, nie słyszałem nigdy w *Kole* naszem tego głosu«.

Jeśli był spragniony spokoju i harmonii, których nie znajdował w *Kole,* to musiał szukać ich bądź w domu u siebie, w swoich pokoikach przy ulicy *Pontieu Nr. 30,* bądź w »sąsiedzkim domu« pani Bobrowej.

U siebie znajdował wszystko, czego mu było do szczęścia potrzeba. Z nadejściem wiosny zaczął na swoim balkonie hodować kwiaty, tak, iż po pewnym czasie balkon przeobraził się w mały ogródek. W ogródku tym, pełnym wazonów z kwiatami, z tulipanami przeważnie, a w których poeta-mistyk »poczuwał ducha«, nie brakło nigdy pokarmu dla wróbli, których Słowacki za przykładem Trembeckiego i pani de Saint Marcel, był wielkim przyjacielem: w karmieniu ich znajdował ogromną przyjemność. Z okna, wychodzącego na balkon, był śliczny widok na Paryż, widok, któremu poeta, stojąc zamyślony nad swemi kwiatami, przypatrywał się często, zwłaszcza o wschodzie lub zachodzie słońca, kiedy miasto, ze swemi dachami, wieżami i kominami, tonęło w purpurze blasków. Jak św. Franciszek z Asyżu, który pisywał przepiękne *Hymny do brata słońca,* podobnie i Słowacki był ogromnym zwolennikiem słońca. W słońcu, w jego ciepłych promieniach czuł się najlepiej, czuł się zdrowym, silniejszym, szczęśliwszym. A na *Rue Pontieu* słońce zaglądało mu ciągle w okna. »Nie wystawiaj mię sobie inaczej (pisał do matki), tylko w promieniu słońca złotego, z przyjacielem (Goszczyńskim) i z Bogiem. Słońce więc, przyjaciel, kwiaty na balkonie i zaufanie w opiece bożej: oto są rzeczy, z których się przed Tobą chwalę«.

Nadto mógł się jeszcze pochwalić swoją przyjaźnią z panią Bobrową, u której się czuł, jak domowy, a której młodsza córka, Zofia, »Zosieńka cukrzana« była jego specyalną faworytką. Dlaczego »cukrzaną«? Dlatego, że ile razy, w maju, wypadły imieniny jej, poeta zawsze zjawiał się z ogromnem pudłem cukierków, co się zresztą zdarzało z pewnością nietylko w dzień imienin Zosieńki: tyle tylko, że w dniu 4 maja pudełko było wyjątkowo duże. W tym roku ta »kwestya cukierków« tem się różniła od zeszłoro-

cznej, że »Zośka«, która już od dłuższego czasu przez przyjaźń dla poety korespondowała z jego matką, napisała z powodu tej »kwestyi cukierków« specyalny list do pani Becu. Słowacki, gdy się o tem z listu od matki dowiedział, był tak uradowany, że aż Zosieńkę pocałował w rączkę, a pisząc do domu (d. 28 lipca 1843 r.), podzielił się tą wiadomością. »Zosię Bobrównę pocałowałem w rączkę, że o cukierkach napisała i tem trąciła w echowe drzwi domku twego, tak, że aż zagrały »jak denko skrzypiec«. W innym liście (z dnia 2 października 1843 r.) napisze, że tego samego dnia, kiedy powrócił do Paryża (z Pornic), «powitała mię tu także mała Zosieńka, której, jak wiesz, dałem cukierków«.

III.

Ciągłem marzeniem Słowackiego, od chwili, kiedy został Towiańczykiem, było, ażeby nowe idee przyoblec w szaty poezyi. Nie chodziło mu już — jak to trafnie zauważył jego pierwszy biograf — o tworzenie ideałów fantazyi, ani o artystyczne wykonywanie założeń poetycznych; nie, on chciał znaczenie i zasługę poezyi podnieść daleko wyżej: chciał w sposób poetyczny wypowiadać najwyższe prawdy, najtajniejsze dogmaty i te wszystkie rzeczy zakryte, a rzeczywiste, które, wypowiedziane w innej formie, mogły być zbyt trudne do zrozumienia, do przyswojenia sobie. Niestety, stan psychologiczny, w jakim się poeta znajdował w tym czasie, i jego poglądy na sprawę twórczości poetyckiej, były tego rodzaju, że każde dzieło, napisane w takich warunkach, nie mogło nie być — płodem poronionym. Oto, w jaki sposób charakteryzuje Słowackiego w tej fazie prof. St. Tarnowski (autor najpiękniejszych i najtrafniejszych studyów o Słowackim): »Zawsze skłonny do marzeń, zawsze przywidzeniom przystępny, zawsze pochopny do fantastycznych urojeń i gotów pomysłom swoim przypisywać wagę i znaczenie wyższych natchnień i intuicyi, skoro się spotkał z doktryną, która te jego upodobania podnosiła do godności dogmatu i przypisywała im moc odrodzenia ludzkości, musiał on instynktom tym dać folgę i popuścić wodze, i odtąd, cokolwiek mu się przez rozmarzoną głowę przesunie, to dla niego jest rozkazem, »pchnięciem« ducha Bożego, co się wylęgnie w mglistej i rozbrykanej fantazyi, to rewelacyą prawdy jakiejś, ludziom zakrytej. Marzenie wydaje mu się natchnie-

niem, przywidzenie — objawieniem, a on sam — naczyniem wybranem, któremu duch święty prawdy swoje odsłania na to, by przez nie dostały się do ludzi. Apostolstwa takiego nie rozbiera się i nie rozważa, misyę taką przyjmuje się całkowicie i ślepo, lub wcale nie. Od chwili też, kiedy Słowacki, za sprawą Messyanizmu uwierzył w swój bezpośredni z Duchem św. stosunek, od tej chwili przestaje zupełnie przebierać między swoimi pomysłami, przestaje sądzić je. Przyjmuje wszystkie bez krytyki, bo to już nie jego myśli, ale tchnienia ducha, których ani zmienić, ani zataić nie wolno... Nastaje jakoby rozszczepienie jego ducha na dwa: jeden ten, który pisze, sługa, narzędzie, kanał słowa bożego, pokorny, posłuszny, pozbawiony swojej woli i odpowiedzialności; drugi ten, który dyktuje, pan samowładny pierwszego, który mu wszystko objawia, podpowiada i głosić każe: duch święty (w mniemaniu poety), a w rzeczywistości duch jego własny, jego własna fantazya, która stanowczo opanowała jego sąd, jego rozum i jego wolę«. Nadto, co jeszcze było nieodbitem następstwem tej spirytystyczno-messyanistycznej doktryny, to przekonanie, że chcąc ją przyoblec w czarowne szaty poezyi, należy bohaterami robić ludzi, nawskróś przenikniętych duchowością, będących wcieleniem potęg nadziemskich, albo duchy.

Nadmienić wypada, iż tylko Słowacki, zostawszy Towiańczykiem, nie zerwał z twórczością poetycką; inni, jak Mickiewicz lub Goszczyński, złamali pióra. Przeciwnie Słowacki: on się na nowe prawdy, objawione przez Towiańskiego, zapatrywał nietylko jako na takie, ale w nich widział jeszcze — nowy materyał dla wyobraźni artystycznej, w którym szczególniej pociągało go widzenie rzeczy nie ziemskich. To było powodem, że go z całej nauki Towiańskiego »najmocniej zajmowała *twórczość* ducha«. Ale że każdego z wyznawców Pana Andrzeja »*inaczej* uderzyło Mistrza słowo«, więc i na sprawę »twórczości ducha« zapatrywano się w *Kole* rozmaicie. Że zaś Słowackiego nie lubiono, wystarczało więc, ażeby pisał w dalszym ciągu, kiedy inni, więksi od niego, jak Mickiewicz, zamilkli, ażeby mu to poczytano za złe, ażeby sarkano z tego powodu. Mimo to Słowacki nie zrażał się i tworzył; tyle tylko, że zmienił metodę tworzenia. Jakoż okazało się, że słuszność była po jego stronie: nie upłynie parę lat, a sam Towiański zacznie zachęcać Goszczyńskiego, ażeby pisał, a Aleks. Chodźko będzie namawiał Mickiewicza, ażeby napisał dramat »w duchu sprawy«.

Ten sam pomysł miał Słowacki, kiedy w lipcu 1843

roku zarzucił pisanie *Beniowskiego*, a zaczął pisać *Księdza Marka*, którego w tymże miesiącu ukończył. Pisząc ten dramat, nietylko »z jakąś rozpaczą rzucał się do papieru, chcąc garściami duszę swoją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, ażeby ich urobić podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych«, nietylko był przekonany, że tym utworem »wchodził w rewelatorstwo boskości ducha«, podobnie, jak *Żmiją* i pierwszemi płodami wchodził w rewelatorstwo muzyki, a w *Beniowskim* — w rewelatorstwo muzyki; ale nie zapomniał i o Krasińskim, któremu postanowił dokuczyć, bo nie mógł mu darować jego ostatniego listu. W tym celu wprowadził do *Księdza Marka* jednego z przodków Krasińskiego, któremu przypisał bardzo mizerną rolę, tchórza, którego tchórzostwo i małoduszność graniczą ze zdradą: Krasiński, marszałek konfederacyi, pierwszy opuszcza sromotnie Bar. Prócz tego, jakby dla kontrastu z *Przedświtem*, w którym przed Krasińskim defilował długi korowód przodków, wszystkie postacie w *Księdzu Marku*, które należały do sfer arystokratycznych i magnackich, zostały przedstawione, jako wyrzutki społeczeństwa, jako niewdzięcznicy: począwszy od Branickiego, który jest podły, a skończywszy na innych arystokratach, jak Kossakowski Klemens, bezecny i mordujący bez potrzeby, jak Starościc, którego sam ksiądz Marek nazywa niezasługującym na modlitwę, jak Leon i Regimentarz, którzy również swej kaście nie przynoszą zaszczytu. Była to zemsta, niegodna takiego człowieka, jak Słowacki, bo prawie nie ulega wątpliwości, że nie przypadkiem znalazły się w *Księdzu Marku* figury marszałka Krasińskiego i hetmana Branickiego, ale dlatego, ażeby niemi dopiec autorowi *Przedświtu*, o którym właśnie krążyły wieści, że się żeni z panną Elżbietą Branicką. Na jakąkolwiek nazwę zasługuje podobna zemsta, jedno jest pewnem, że z braterską wszechmiłością, o której Słowacki tyle pisał w listach do Zygmunta, nie wiele miała wspólnego, i że autor *Irydiona* miał słuszność, kiedy w swym ostatnim liście do Słowackiego, pisał o sekciarstwie Towiańczykow, kiedy podkreślał ich »fanatyzm okrutny i nienawistny«. Jedyną okolicznością łagodzącą, jaką w tym wypadku można przytoczyć na obronę Słowackiego, jest ta, na którą i on się powoła z czasem, przepraszając Krasińskiego za to, co napisał w *Księdzu Marku:* to okoliczność, że poeta nie był odpowiedzialny za to, co pisze. »W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności — tłómaczył się przed Krasińskim — chcąc koniecznie wytłomaczyć się, nie z idei, bo ta tomów i wie-

ków by potrzebowała, ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei, wpadłem *bezmyślnie* na jedną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza (Marka), a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu (i wydrukowaniu) dramatu obaczyłem wątłość dzieła *i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały,* które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ale przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły«. Ale stało się: *Ksiądz Marek* został napisany, a później ogłoszony drukiem, Krasiński zaś, przeczytawszy go, musiał uczuć zatrute ostrza owych strzał, o których powiada w powyższym liście Słowacki, a które były przeznaczone na to, ażeby zranić dawnego przyjaciela z Willi Mills.

IV.

Tymczasem, kiedy *Ksiądz Marek,* choć napisany już, jeszcze spoczywał w manuskrypcie, Słowacki, zmęczony upałami, wycieńczony ciągłemi potami, uprzykrzył sobie to powietrze paryskie, które rozpalone w lipcu i w sierpniu »do atmosfery piecowej«, ołowiem ciężyło na piersiach, i zdecydował się wyjechać nad morze, »aby pomódz ciału i duszy, aby się dać uniańczyć cichej naturze, aby się obmyć z kurzawy różnych dróg i gościńców«. W Paryżu było nietylko gorąco, ale i pusto; nawet *Koło* zbierało się opieszale, zważywszy, że Mickiewicza od dnia 20 lipca nie było nad Sekwaną: wyjechał do Brukselli, a potem do Szwajcaryi, do Towiańskiego (z którym zrobił wycieczkę do góry Mont Blanc). Na swego zastępcę w przewodniczeniu robotom *Koła* przeznaczył Goszczyńskiego, jako najgorliwszego wyznawcę, ale Goszczyński okazał się bardzo nieodpowiednim na tem stanowisku: do *Koła* zaczęły się wkradać coraz większe nieporządki, posiedzenia odbywały się niedbale, w końcu zaczęło na nie przychodzić po parę osób: słowem, wyjeżdżając z Paryża, tracił Słowacki, jeśli mu chodziło o *Koło,* bardzo niewiele. Jakoż zdaje się, że sobie pod tym względem robił skrupułów mało, skoro dnia 31-go sierpnia, o godzinie 5-ej popołudniu, wsiadł do wagonu kolei żelaznej, z którego miał wysiąść dopiero w Orleanie.

Był w doskonałym humorze. Od chwili kiedy się zdecydował na wyjazd, przez cały czas zwykłych przygotowań do podróży, »weselił się, jak student, wyrywający się z więzów szkolnych na wakacye«, a już to porównanie może służyć za dowód, że w czasie tych przygotowań musiał myśleć o Wilnie, o swoich latach szkolnych i uniwersyteckich, kiedy to w końcu czerwca opuszczał gród Gedymina, ażeby przez całe wakacye oddychać świeżem powietrzem Mickun lub Wierzchówki. Podobnych uczuć, z jakiemi wtedy wyjeżdżał z Wilna, musiał doświadczać i teraz, wyjeżdżając na cały miesiąc z Paryża; a jak wtedy, ile razy jechał na wieś, zawsze miał tę błogą pewność, że powróciwszy do Wilna, zastanie tu Ludkę, tak teraz, jadąc nad morze, wiedział, że powróciwszy do Paryża, zastanie tu — panią Bobrowę i Zosieńkę, które, kto wie, czy nie głównie przyczyniły się do tego, że przedsiębrał tę podróż. Jego suchotniczy wygląd, jego zapadnięte policzki i gorączkowo pałające oczy, budziły obawę, że poeta może umrzeć wcześniej, aniżeli przywiduje, i dla tego przypuścić można, że pani Bobrowa była tą doradczynią, która go zachęcała, ażeby coś uczynił i dla zdrowia, dla ciała, skoro tyle czynił dla ducha. Cokolwiekbądź, jeden fakt nie ulega wątpliwości, że poeta, wyjeżdżając z Paryża, wyjeżdżał z myślą o pani Bobrowej. Oto dowód: w rok później, z tegoż samego Pornic, do którego udawał się teraz, napisze Słowacki, pisząc do pani Bobrowej, co następuje: »Smutno mi w Pornic, smutno, że wrócę do Paryża i tam Pani nie znajdę; bo pókim był w Paryżu, tom się był z tą myślą oswoił, a teraz podróż ta moja, *mało tak do przeszłorocznej podobna,* gorzej mi czuć daje, że ten jedyny dom, gdziem się ja chronił z taką ufnością, gdziem szedł z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia, zniknął i uleciał gdzieś — na wschód, jak chata Loretańska«.

Tymczasem nie zanosiło się na nic podobnego i Słowacki, wyjeżdżając, był w usposobieniu pogodnem nad wyraz. Tak dojechał do Orleanu. Tu zabawił przez cały dzień 1-go września, zwiedzając różne osobliwości miejskie, między innemi słynną katedrę. Z Orleanu udał się statkiem parowym do Tours, gdzie znowu zatrzymał się przez cały dzień (2 września). Odwiedził katedrę św. Gratiana, wyszedł na sam szczyt wieży, sławnej przez to, że w niej był uwięziony Duc de Guise, (aż mu się w końcu udało uciec na stawy w Blois); poczem, zszedłszy z wieży, oglądał osobliwości miejskie; nazajutrz zaś, o 5-ej zrana, znowu wsiadł na statek parowy, na którym po całodziennej podróży, wśród malowniczych wybrzeży Loire'y, o godz. 8-ej wie-

czorem przypłynął do Nantes. Tu przenocował i znowu zabawił cały dzień następny. W Nantes, d. 4 września rano, wyruszył dyliżansem do Pornic, gdzie stanął nad wieczorem. Była to miejscowość kąpielowa, nad Oceanem, dość modna podówczas, tak mniej więcej, jak dzisiaj Dieppes lub Dinard. Tutaj postanowił zabawić z miesiąc.

Kiedy stanął na miejscu, musiał zamieszkać w domku wiejskim, albowiem w hotelu już nie było miejsca. Lecz nie żałował tego, bo w hotelu miałby ciągły rozgardyasz hotelowego życia, atmosferę banalną i prozaiczną, kiedy w domku wiejskim, przy ćwierkaniu makolągiew w opłotkach, przy gruchaniu gołębi pod dachem w sąsiedztwie chłopa pornickiego, wśród orzeźwiającej woni malin i poziomek, wśród sadu owocowego, w którym drzewa od gruszek i jabłek gięły się do ziemi, a w którym mu przesiadywać było wolno, ile chciał, czuł się jak na wsi, tak, iż czasami doznawał rozkosznego złudzenia, iż jest w Mickunach lub Wierzchówce. Tyle tylko, że z okna miał widok na morze. »Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na Ocean, tego ci wyrazić nie mogę. Między tem morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatya, i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku: zapach Oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Pornicu także, jak widziałem je w imaginacyi, czytając Walter Scottowego *Pirata,* to jest szare, skaliste, okryte chwastami; natura obca, ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem; a wśród tej natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały«: wszystko to rozmarzało go, wprawiało w zadumę, budziło wspomnienia, tęsknotę, a niekiedy i łzy. Tryb życia, jakie tu prowadził, był taki, że przyjemniejszego nie pragnął wcale: dawno już nie czuł się tak szczęśliwy, jak tutaj, w tej nadmorskiej mieścinie; dość powiedzieć, że zapomniał o swojem wygnaniu, którego już liczył sobie lat 12, o swojem życiu tułaczem, o wszystkich troskach i smutkach. Wstawał rano, a budziła go zawsze »strzałka brylantowego słońca«, która mu zawsze przez okno wpadała do pokoju, i gruchanie gołębi pod dachem. Kiedy wstał z łóżka, przedewszystkiem otwierał okno, którem mu zaraz powietrze, pachnące morzem i rosą poranną, napływało do pokoju. Najczęściej, nim wyszedł z mieszkania, stał w oknie, a okno to, zaopatrzone w ogromną okiennicę żelazną, podobną do młota bogów skandynawskich, »dziwnie gadało mu o wieczorach tej izby, gdy chłopi zamknąwszy się przed burzą, siedzą przy kominku i gawędzą, jak zwyczajnie ludzie spokojni we własnej ojczyźnie«. Potem, w rannym negliżu,

szedł kąpać się. Do morza miał kilkadziesiąt kroków. Tam, rozebrawszy się na piaszczystem wybrzeżu, rzucał się w wodę, kładł się na falach, pluskał się i ogromnie mu dobrze było w tej kąpieli pod gołem niebem. Zwłaszcza podobało mu się, że w Pornic nie było jeszcze, jak w innych kąpielach morskich, służących, t. zw. *baigneur'ów*, z którymi się wchodzi do wody, i kabin, w których się trzeba ubierać i rozbierać: tylko kobiety miały sługi, kabiny, kostiumy kąpielowe etc.; mężczyznom była pozostawiona zupełna wolność wiejska. Po kąpieli wracał na pierwsze śniadanie. Potem brał swój sztambuch, w czerwony papier oprawny, który z sobą — wraz z ołówkami i kredkami kolorowemi — zabrał z Paryża, i szedł nad morze, na owe olbrzymie wybrzeża piaszczyste, gdzie ocean z szumem miłym i rytmicznym, rzucał swoje srebrne pletwy. Tam skały, osypane złotą i srebrną miką, paliły się na słońcu, »niby tarcze ogromne albo trony Oceanid«; tam stała chatka celnika morskiego, zamieszkana przez jednego żołnierza, otoczona wałem z darni, sama jedna na szerokiem polu, a czarna na błękicie niebieskim, pusta, biedna, kamienna, »zupełnie jak chata Normy«; tam oko gubiło się w błękitnym bezkresie morskim, błądziło po tym horyzoncie, »gdzie dla imaginacyi odchodzą zawsze w błękit Kolumba okręty szukające świata«; tam nad tem morzem grającem, na tych smętnych polach ciernistych, na wietrznych wrzosach, bieliły się kamienie i szare kopce druidyczne, z których świat wydawał się okrągły i pusty na wszystkie strony, opasany przez pół »wężem błękitów morskich«, wonny słonym zapachem Oceanu, przesycony wonią tamarynów i chwastów; tam cała natura, ciepła i godna kochania, a dobra i litośna dla ludzi, jak on, utrudzonych, otaczała go skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia, orzeźwiała go, zabraniała myśleć »o trudzie, o ciągnieniu tego wozu żywota, w którym my, jak konie, pracujemy«, i wyrzucała mu, że się zbyt długo myślom gorączkowym oddawał, a o niej zapomniał. Tam, po tych wydmach piaszczystych, po tych polach, czarnym wrzosem pokrytych, błądził całemi godzinami, czytał, rysował (zwłaszcza rysował wiele), marzył o Normie i Adalgizie, o wężach w złotych koronach, które według miejscowej legendy siedzą pod temi kamieniami; a czasami, zamknąwszy oczy, upity wonią tamarynów, które mu u nóg rosły, doznawał złudzenia, że już jest »jako Malborough, w piosence umarły, ale niezapomniany«; czasami drżał jakąś krwawością ciemną podziemnych i przedpamiętnych ludzi; i tak mu schodziły całe ranki, całe popołudnia. Wieczorami,

kiedy księżyc świecił, a wiatr nie był zbyt silny, także błądził po wybrzeżu, siadywał na murawach lub skałach, a powróciwszy z takiej przechadzki do domu, do swojej wiejskiej zagrody, spisywał swoje wrażenia, bądź wierszem, bądź prozą. Oto, co o tych chwilach pisał w jednym ze swoich listów: »Kto jesteś więc, ty, coś z tych ogromnych kamieni postawił monument druidyczny? bo, patrząc na twój obraz, to samo czułem, com czuł tego lata nad Oceanem na jednem z takich pomników, gdziem całe wieczory pełni księżyców przepędzał, zaklinając te krwawe, twarde duchy, aby mi powiedziały, o czem one kiedyś za życia na tym posępnym cyplu, na tem odludziu marzyły?«

W ogóle chwile, które spędzał samotnie, były poezyą tego pobytu w Pornic. Ale życie nie jest samą poezyą, i nawet w najpoetyczniejszem musi się znaleść odrobina prozy. Dla Słowackiego, który się lubował tym »dzikim i poetycznym« sposobem życia, jakie pędził w tej nadmorskiej mieścinie, rolę powszechnej prozy grały *table d'hôte*'y w hotelu, w którym musiał codzień zasiadać do stołu z ludźmi, z którymi nie miał nic wspólnego, z którymi jednak, nie chcąc uchodzić za odludka, musiał się zaznajomić i żyć »zupełnie inną stroną serca swego«. O nich to myślał Słowacki, kiedy w liście do pani Bobrowej pisał, że inne »mniejsze duchy, w kitajkowych sukniach z falbanami, polkujące na zapylonych posadzkach oberży, albo na osiołkach odprawiające pełne śmiechu podróże, nie warte są wspomnienia, nie warte, aby pamięć zawędrowała tak daleko...« Niemniej prozaicznym wydał się Słowackiemu lud tutejszy, nie mający nic wspólnego z romantyczną przeszłością tego kraju. »Czarne są chłopy, orangutanom podobne, a Woltera duch w karczmach i szynkach panuje, wygnawszy zupełnie Fausta i wszelkie druidyczne wspomnienia«.

Ale Słowackiemu wiodło się jakoś, odkąd przyjechał do Pornic: wszystko, co było prozaiczne, płaskie i pospolite, zdawało się ustępować mu z drogi; natomiast wszystko, co było poetycznego, a przynajmniej niepowszechnego, zdawało się garnąć ku niemu. Nawet przy *table d'hôte*'cie porobił niektóre znajomości, które mu się bardzo drogie stały w końcu, bo zawiązały się dobrze i prędko, a okazały się lepszemi ostatecznie, aniżeli te, które się gruntują na długiem przyzwyczajeniu. Znajomości te, choć dorywcze i przemijające, ogromnie ożywiły poetę, albowiem dowiodły mu, jak powiada, że ludzie lgnęli do niego, że lgnęli łatwo, a zawsze z pewnym rodzajem uszanowania, nie wiedząc nawet, czy na nie zasługiwał; to pewna, że w nim przeczuwali nietylko dobre serce, ale i wyższość pewną, która im

imponowała, zwłaszcza kobietom. Jakoż, o ile nie szukał samotności, o tyle mu czas w towarzystwie tych nowych znajomych schodził wesoło i przyjemnie, jakkolwiek nigdy, nawet w chwilach najlepszego humoru, nie zapominał o tej powadze, która znamionować powinna »czoło zamyślone o większych rzeczach«. Swoją drogą bawił się doskonale... Skoro wyjeżdżał, nie brakło takich, co się żegnali z nim — ze łzami.

Do takich należało pewne małżeństwo hiszpańskie, bardzo sympatyczni ludzie: mąż, silny brunet z czarnemi oczyma, o włosach zczesanych na czoło, był, zdaniem Słowackiego, ogromnie podobny do jego ojca, do jego portretu, malowanego przez Rustema; żona zaś, Andaluska, trochę otyła, »ale bardzo ładna«, »pływająca po morzu, jak Oceanida« (dowód to, że się jej Słowacki przypatrywać musiał, gdy się kąpała), okazała się bardzo dobrą osobą, wesołą, pełną prostoty i serca, a przytem sentymentalną trochę, co się pozwala domyślać, że wrażenie, jakie na niej zrobił Słowacki, musiało być bardzo korzystne, i że w tej »siostrzanej dobroci« z jej strony, o której poeta wspomina w liście do matki, musiała być pewna doza uczuć romansowych... Cokolwiekbądź, zarówno ona, jak i jej mąż, ogromnie się przywiązali do młodego poety-mistyka, tak dalece, że żegnając się, przyrzekli sobie, że się na przyszły rok znowu postarają z nim zjechać tutaj. Nadmienić trzeba, że przy tem pożegnaniu, które było bardzo serdeczne i czułe, piękna »i trochę sentymentalna« Andaluska żegnała się z poetą »z siostrzaną dobrocią«, co nie uszło jego baczności (choć kto wie, czy nie uszło baczności męża).

Innego rodzaju była przyjaźń, którą poeta zawarł z doktorem miejscowym. Był to dziwny człowiek, niezmiernie sympatyczny, wdowiec, którego jedynem cierpieniem była wczesna strata ukochanej żony. Niezmiernie interesująca postać, mogąca służyć za model do figury jakiego romansu *à la Balzak!* Jego mieszkanie, będące prawdziwym gabinetem starożytności i historyi naturalnej, z sypialnym pokojem o dwóch łóżkach, z mnóstwem gratów i sprzętów, wprawiało Słowackiego w dziwną melancholię, robiąc wrażenie »prawdziwej skamieniałości szczęścia«, wrażenie szczególne, bo pozwalało domyślać się życia cichego, spokojnego, pełnego rezygnacyi i spokojnego szczęścia, opromienionego wspomnieniami kobiety ukochanej, której duch jakby się unosił w tem mieszkaniu, wrażenie życia, absolutnie pozbawionego burz, choć upływało nad morzem. »Gniazda takich spokojnych ludzi, dla duchów przelatujących przez ziemię, są nadzwyczaj niebezpieczne, wabią, za-

chęcają do spokojnego szczęścia; każdy grat chwyta i przyczepia się do surduta podróżnego, usiłując zatrzymać, jak te nasze ukraińskie bodiaki, czepiające się koni rozhukanych: ale któż się da zatrzymać bodiakom?!« Sam doktor był pięknym typem uczonego lekarza, oddanego na usługi ludzkości, człowiekiem, któremu szlachetne serce zastępowało brak religii: bo wierzył w naukę, a nie wierzył w Boga. Nie znaczyło to, ażeby nie czuł potrzeby wiary, ażeby nie był skłonny do uwierzenia w coś, byle tylko natrafił na człowieka, który by go taką wiarą natchnąć zdołał. Taki człowiek znalazł się: był nim Słowacki, który w swoich częstych rozmowach z tym »człowiekiem poważnym«, znacznie starszym od niego, zaczął poruszać sprawy wiary, aż w końcu stał się nauczycielem tego człowieka, nauczycielem, który w to serce osamotnione zaczął rzucać myśli błękitne, a uczeń, choć stary w porównaniu ze swym 34-letnim nauczycielem, słuchał go, bo czuł, że jest kochany przezeń, że źródłem jego nauki była miłość.

A nie on jeden tak go pokochał. Niemniejszą sympatyą zapłonęli ku niemu: stary oberżysta z żoną, staruszkowie jak Filemon i Bancis, za których przykładem poszły nawet służebne dziewczęta z restauracyi, którym młody poeta polski ze swym ascetycznym wyrazem twarzy wydawał się dziwnie miłym. Kiedy po miesięcznym pobycie w Pornic, wracał do Paryża, nie brakło takich, co go żegnali ze łzami, kiedy wsiadał do dyliżansu. Ogromnie go polubili wszyscy. Takich ludzi, jak on, nie widywali co roku, a jeśli mieli prawdę wyznać, to takiego człowieka, jak on, tak dziwnie słodkiego i ujmującego, nie zdarzyło im się spotkać dotychczas. To też, kiedy się żegnał, wszyscy pragnęli go za rok ujrzeć znowu.

V.

Do Paryża powrócił d. 1-go października, zdrów, z sercem pełnem pewności, że »nabrał tęgości na długo«, gdyż morskie kąpiele, powietrze »i różne ostrygi i ryby«, wzmocniły go. Tego samego dnia, nie zważając, że mu ściany mieszkanka przy *Rue Pontieu* zaraz przypomniały obowiązki i prace, poszedł przedewszystkiem do pani Bobrowej, na której widzeniu zależało mu bardziej, aniżeli na przywitaniu się z Braćmi. Najlepszy dowód, że z *Kołem* przywitał się nazajutrz dopiero. Drugą osobą, którą odwiedził pierwszego

dnia po swym powrocie była jego dawna sąsiadka z *Rue de la ville l'Eveque*, pani de Saint Marcel.

Jednym z pierwszych także, których poeta odwiedził po swym powrocie do Paryża, był Wojciech Korneli Stattler, utalentowany artysta malarz krakowski, przybyły parę miesięcy temu, po 13-letnim pobycie w Rzymie, do Paryża, ażeby tu dokończyć swoich *Machabeuszów* — obraz, który, wystawiony w przyszłorocznym *Salonie*, miał być odznaczony złotym medalem. To był pierwszy cel, który przyszłego profesora krakowskiej szkoły sztuk pięknych sprowadził nad Sekwanę. Drugi był ten, ażeby przy tej sposobności sportretować kilka wybitniejszych osobistości z ówczesnego świata literackiego polskiego, »kilku naszych gadułów«, jak się z tego powodu wyraził Słowacki.

Oczywiście, iż na liście tych, o których portrety chodziło Stattlerowi, był między innymi także i autor *Beniowskiego*. Chodziło o to tylko, żeby się z poetą poznać bliżej, żeby go skłonić do pozowania. Człowiekiem, który to twórcy *Machabeuszów* ułatwił, był Goszczyński, który — jak się zdaje — jeszcze w tych czasach korzystał z gościnności Juliusza. Ten ostatni, jakkolwiek już »nie był z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć sobie pamięć ludzką«, przystał na propozycyę Stattlera, a pozując mu do portretu (w pracowni artysty, przy ulicy Savoie), bardzo się z nim wkrótce zaprzyjaźnił. Niestety, wyglądał w tych czasach — w sierpniu — okropnie; patrząc na niego, na te policzki zapadłe, na tę cerę woskowo-żółtą, okraszoną suchotniczemi wypiekami, na te oczy wielkie, czarne, zapadnięte głęboko, a płonące gorączkowo, doznawało się wrażenia, że człowiek ten nie dożyje jutra, że już dogorywa. Oto, co o tem pozowaniu Stattlerowi pisze sam Słowacki w liście do tegoż artysty (z dnia 15 stycznia 1844 roku): »Złote słońce zimowe przypomniało mi sierpień, ten miesiąc, kiedy dogorywając prawie, siedziałem ci do portretu, nie jako człowiek, ale raczej gasnąca lampa — jedna z tych lamp rzymskich ludzi, pamiętasz, co dwoma lub trzema dziobami ogień leją (dzioby, podług ciebie, były to oczy moje). Otóż dwoma takiemi dziobami palący się, uciekłem ci z rąk, jak płomyk, i pojechałem nad Ocean...«

Powróciwszy ztamtąd (z Pornic), znacznie czerstwiejszy i silniejszy, ze zdrowszą cerą i mniej wklęsłemi oczyma, zaczął Stattlerowi pozować w dalszym ciągu, a pisząc do matki, w taki sposób humorystyczny donosił jej o tych seansach: »Jeszcze raz muszę siedzieć, jak szczur na ołtarzu Krasickiego, ksztuszący się kadzidłem Bogu palonem; a piszę ci to, bo wiem, że takie wiadomości, świadczące

o życzliwości ludzi dla mnie, cieszą ciebie«. Portret ten, gdy został ukończonym, okazał się najlepszym portretem Słowackiego. Sam poeta był tego zdania, twierdząc w jednym z późniejszych listów do matki, że jego »bolesna twarz na obrazie Stattlera« najlepiej go przedstawia.

W swojem *Przypomnieniu starych znajomości* powiada Stattler, że kiedy poznał Słowackiego, ten ostatni zdawał się być — pomimo żywych oczu, patrzących przenikliwie, które go czyniły podobnym »do orła w locie, do wichru burzy« — ruiną dawnej świątyni, której ledwo drobne ślady pozostały. »Malując jego portret — są słowa Stattlera — dostrzegałem w jego spojrzeniu całą potęgę widzenia, a na ustach jego — całą moc lania obrazami bez końca. Wspomniałem o tem, a on, w odpowiedzi, położył tylko gorejącą dłoń swoją na mej dłoni. »Muszę pojechać nad Ocean, rzekł, by zmaleć, by ostygnąć«. Kiedy wyjechał, powiada Stattler, zostawił jakąś moc działającą, która sprawiała, że twórca *Machabeuszów* nie czuł się sam, że jest przy nim ktoś do cudów stworzony, co miał moc Bożą ku temu, a który jednem słowem porywał za serce. Ale bo też niemal zawsze, jak zapewnia Stattler, przedstawiał się w całym majestacie swoim, a nietyle zbiorem swych dzieł, które wydał, ile ciągłą potęgą słowa. »Dar wysłowienia się miał nadzwyczajny. Błyskawicą przemijały obrazy, a on je wszystkie w lot chwytał. Niczem jest wszystko, co w pisane słowa zamknął, obok tego, co wypowiedział. Poeta, jak malarz, zwykł tylko drobniutkie cząstki tego, co widzi, co czuje, wkładać w swoje obrazy, bo musiałby robić je w kolosalności bez granic, bez końca. Słowackiego obrazy mogłyby być większe, aniżeli płótna Verneta... Rozmowa z Juliuszem nie trudziła nigdy; obudzała podziwienie... Zdawało się, że go żadna potęga nie zdoła poruszyć lub dotknąć«. Tylko na wspomnienia improwizacyi Mickiewicza zdarzało się niekiedy, że ta czysto polerowana stal ducha jego, przybierała skazę oddechu naszego, choć lekką i znikającą natychmiast, skoro się mógł upamiętać. Powiada Stattler, że razu jednego, na niewinną wzmiankę o tej improwizacyi, Juliusz aż zerwał się i rzekł: »Ale bo nie wiesz, jak Adam boleśnie mię dotknął...« Tymczasem zawiązała się serdeczna przyjaźń pomiędzy Słowackim a Stattlerem: przekonali się, że charakterami są ogromnie podobni do siebie, że gdy sobie podawali dłonie, czuli obydwaj, »że coś, jakby elektryczność czy magnetyzm, czy miłość, przelewała się z dłoni w dłoń«, słowem, że byli pokrewnemi duchami. Słowacki bardzo się przywiązał do Stattlera, czuł bowiem, iż jest nietylko ko-

chanym, ale i rozumianym przezeń, że ten człowiek odgadł jego naturę, przeniknął tajnie jego ducha. To też, dopóki Stattler bawił w Paryżu, widywali się często, a za tło ich rozmowom, podobnym do platońskich, służyły: bądź mieszkanie poety, bądź pracownia twórcy *Machabeuszów*, w którym to obrazie Słowacki widział »różany brzask przyszłego malarstwa polskiego«. Patrząc na to malowidło, które Stattler wykończał właśnie, zawsze był zdania, że »prostota i piękność najwyższa obrazowi temu zapewniają wielką przyszłość«, a gdy artysta skarżył się na brak uznania, poeta z pewnością pocieszał go temi słowy, które z czasem napisał w jednym ze swoich prześlicznych listów do niego: »Wierz mi, drogi, że zaczynając prawdziwe malarstwo polskie, sławnym za życia być nie można... W twoim obrazie widać, żeś wielką część życia swojego i miłości swojej weń włożył. Nie lękaj się więc, bo miłość i życie, choć w płótnie zamknięte, jest wielkim pośmiertnym mścicielem człowieka, a ludzie wielkich duchów są tylko rycerzami po śmierci... Oby Cię Bóg ciągle wznosił na taką wysokość, abyś z coraz większą łatwością mógł wykonywać równie głębokie prace... Każde zwycięstwo sztuki jest zwycięstwem ducha *w krainie przyszłości*«. W ten sposób upłynęło parę miesięcy, aż w końcu Stattler musiał wracać do Krakowa. Człowiekiem, z którym mu rozstawać się było najtrudniej, był Słowacki. Ostatni raz spotkali się u Antoniego Góreckiego. Oto, jak to ostatnie spotkanie opisuje sam Stattler: »Rozmawiali o Towiańszczyźnie. Wiadomo, iż pan Antoni był pierwszym, co w niej wziął udział, i pierwszym również, co się odsunął od niej. Wszakże pozostało w nim, jak zapewniał, pierwsze wrażenie i ostatnie pożegnanie. Długo nie mógł się uspokoić, potrzebował wytłumaczyć się i objaśnić, co stracił, a co zyskał. »Albowiem wielką, jak się wyrażał Juliusz, była robota ducha w owem Kole, chcącego przyjść do zapanowania nad ciałem«. Obaj, pan Antoni i Juliusz, mówili z godzinę. Wreszcie, po zakończeniu rozprawy, Juliusz, ująwszy mnie za obie ręce, zapytał: »Cóż ty na to?« Nie mogłem pozostać niemym, bo obydwaj dali mi dowód zaufania. To też, stanąwszy w pośrodku, i również, jakby natchniony, mówiłem długo, streszczając i wiążąc, że »jedyną moc, daną od Boga, mamy w miłości«, przyczem, ukazując tu i owdzie jej potęgę, wskazałem im obydwie me ręce, z których końców płynie wola Boża nigdy nie pokonana, wszędzie tryumfująca. »Czuję, mówiłem, że tą miłością, która w tej chwili płynie ze mnie, mógłbym obydwóch was pokonać«. Wtedy obydwaj rzucili się ku mnie, obejmując za szyję, ściskając i całując. A pan

Antoni, pochwyciwszy moją rękę, krzyknął z zapałem: »Z tobą stoję!« Wtedy Juliusz, cichy i serdeczny, przytuliwszy mnie do piersi, ze spokojem rzekł: »Kochany Stattlerze!...»

W kilka dni później twórca *Machabeuszów* opuścił Paryż. Słowackiemu przyrzekł, że będzie pisywał do niego. Słowacki obiecywał odpisywać. Ztąd wywiązała się poufna korespondencya, która Słowackiego natchnęła do napisania kilku prześlicznych listów, w których poeta mógł być sobą, nie potrzebując się zniżać (jak to nieraz czynił w listach do matki) aby być zrozumianym. Pierwszy list jego, datowany d. 15 stycznia 1844 r. był odpowiedzią na list Stattlera, który przybywszy do Krakowa na krótko przed Bożem Narodzeniem, zaraz napisał do autora *Księdza Marka*, tak, że poeta otrzymał jego list w samą wigilię Nowego Roku, »niby jedyny głos tęskniący za nim w ojczyźnie...« Zanim odpisał, upłynęło dwa tygodnie, ale za to napisał mu prawdziwe arcydzieło listu. Prawie cały list był o *Machabeuszach*, o wrażeniu, jakie ten obraz, świeżo oglądany przez poetę w pracowni pana Baptiste, uczynił na nim, poczem następował cudowny ustęp, w którym Słowacki, scharakteryzowawszy poszczególne postaci obrazu, dowiódł Stattlerowi »zupełnej polskości« jego dzieła. Końcowy ustęp listu był o sztuce wogóle, a sztuce polskiej, świeżo rodzącej się, w szczególności. Zdaniem Juliusza, Polska, choć dotąd nie miała swojej sztuki, stanie się kiedyś »jako Ateneum Chrystusowej sztuki«. Stała się niem teraz... »A skrzydłem tej ziemi, przepowiadał autor *Króla Ducha*, będzie Kraków, gdzie ty swego ducha i swoje piętno położysz. Lecz wierz silnie, nie w sztukę, bo to wyrażenie jest ohydną arlekinadą Francuzów; ale wierz, że każda sztuka jest narzędziem otrzymanem z łaski Boga i danem duchowi dla finalnego celu, to jest dla spełnienia misyi swojej na ziemi...« I spełniła się przepowiednia Juliusza: wielka sztuka polska narodziła się w Krakowie, który wydał Matejkę — Matejkę, który na sztukę zapatrywał się tak samo, jak Słowacki, a który, malując swe genialne obrazy, wierzył, że spełnia missyę swoją, a zawsze, kiedy brał pędzel do ręki, myślal o finalnym celu... Skoro się wymieniło imię Matejki obok Słowackiego, to można powiedzieć śmiało, że ten ostatni przeczuwał Matejkę, a w jednym z listów do Stattlera miał jakoby prorocze widzenie przyszłych obrazów twórcy *Kazania Skargi* i *Bitwy pod Grunwaldem*. »Dlaczegóż ty, dziecię moje, nie miałbyś wyobrazić ludziom na płótnie, jak ojciec twój, myśli ich (istot wyższych) i wspomnień *o dawnej Polsce, tej wscho-*

dnio-błyszczącej strony charakteru narodowego, która musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowością, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów...«

Czyż to nie krótka a dosadna charakterystyka obrazów Matejki?! Cokolwiekbądź słowa te, tak dziwne wrażenie robiące na nas, którzy widzieliśmy — i nosimy w duszy — genialne malowidła Matejki, a pisane w czasie kiedy twórca *Wernyhory* liczył sobie 7 lat zaledwie, znalazły się w liście, pisanym nie do Stattlera samego, ale do syna jego, który mu się urodził właśnie, a któremu — przez przyjaźń dla Słowackiego — ojciec nadał imię Juliusza. Słowacki był wzruszony tym dowodem przyjaźni. »Czyliż tam ciebie czasem — pisał pod wrażeniem tej wiadomości do matki — nie zaleci dobra wieść o mnie? Czyż ci sam pisać muszę np. o dowodzie tej miłości jednego z naszych wsławionych malarzy, profesora w Krakowie, który mi teraz napisał, że synka swego nazwał mojem imieniem i pod ducha mojego oddał opiekę? Cóż droga? Czy ty nie pojmujesz, że to jest niby zapisanie już moje czerwonemi literami w kalendarzu ziemi naszej?... Jeżeli będziesz mogła kiedy, to poszlij temu Julkowi Stattlerowi czapeczkę, albo kaftaniczek, albo cukierek, i pobłogosław go już teraz w duchu: to mój brat jest. Otóż widzisz, że i ja mam serce ludzkie, złożone w mojem sercu na składzie niby i opiece... A ty, która tyle serc masz, nie zazdrość mi tej dzieciny. Tyś przywykła do takich okazów miłości...« On nie przywykł i dlatego, kiedy mu Stattler doniósł, że syna ochrzcił jego imieniem, poeta, odpisując na ten list, napisał nie do ojca, lecz do swego maleńkiego imiennika. List ten, prawdziwy poemat prozą, zaczynał się od słów: »Juliuszowi Stattlerowi Juliusz Słowacki pierwsze pozdrowienie zasyła...« Można p. Stattlerowi pozazdrościć takiego pozdrowienia! Cały list był szeregiem nauk moralnych, owianych lekką mgłą mistycyzmu, które poeta »łamiąc czas« starał się wpoić w ducha dzieciny. Warto przytoczyć choć jeden ustęp z tego listu, ażeby nim dać wyobrażenie o całości. »Oby ta kruszyna ducha, która we mnie była, poszła moce twoje pomnożyć. Oby ten list, za lat 20 pożółkły i na pół spruchniały, zachował w sobie trochę woni ożywiającej i, do ust twoich podniesiony, był jak miód i płomień za serce twoje młodzieńcze chwytający. Piszę go dla ciebie tylko, i piszę z trudnością, bo gram na instrumencie, który jeszcze mi nie odpowiada... Ty jeżeli za lat dwadzieścia zechcesz mi odpowiedzieć, uczujesz podobną trudność, bo wtenczas ja ci nie odpowiem, ani siłą, ani

głosem. — Pokój temu domowi, który płaczem twoim nie smutnieje, a uśmiechem twoim rozwesela się pokój tej willi, która, jak loretańska chata skrzydłami złotymi z Włoch przyleciała i usiadła blisko trzech mogił — nad Wisłą. Przez ten dom — jak przez wrota ze słoniowej kości, przez które, według Homera, sny ludzkie przychodzą na ziemię — piękność przechodzić będzie i osiedlać w Polsce swój lud cudowny ideałów. Ty, maleńki oddźwierny tych podwoi, na gwiazdę zamkniętych, tęczą zaryglowanych, otwieraj je, jak Aniołek, ojcu twojemu, Wojciechowi: niech mu żadna godzina w ciemności duchowej nie mija. Kwiatków ma pełno w domu i dzieciątek mu Bóg nasyła: czegóż on się smuci? dlaczego wątpi?«

Jakiekolwiek były przyczyny tych chwilowych zwątpień Stattlera, o jednem nie wątpił: o przyjaźni Słowackiego, który był »w przyjaznej miłości stały« i nie zapominał o prawdziwych przyjaciołach. Lata mijały, mały Julek Stattler podrastał, a oni wciąż korespondowali ze sobą: Słowacki wierzył w dobre, stałe i poczciwe serce Stattlera, które — jak się wyraził — »raz zgodnie z mojem sercem uderzywszy, już się bić wspólnie z sercem mojem nie oduczyło«, a Stattler stał na wysokości tego zaufania. Słowacki cieszył się szczęściem rodzinnem swego przyjaciela-malarza; w ścianach domu jego, »świecących tęczami myśli«, t. j. zawieszonych obrazami, często przebywał duchem, szukał rozweselenia; wyobrażał sobie, że się przechadzał po jego ogródku, że się bawi i pieści z jego dziatkami, których mu trochę zazdrościł w tem odosobnieniu, w jakiem żył; aż w końcu, nie mogąc sam odwiedzić swego przyjaciela, namówił matkę, ażeby go odwiedziła w Krakowie. Stało się to w końcu r. 1848. Pani Becu przyjechała na trzy dni do Krakowa, a przybywszy tu (ze Lwowa), zamieszkała u Stattlerów, oddychając powietrzem ich »artystowskiej dziedziny«. Oto, co o tych odwiedzinach pisał Słowacki: »Matka moja, przenikniona czcią i wdzięcznością dla ciebie, nie przestaje łączyć mnie i zapoznawać coraz ściślej z pięknym duchem, który ulatuje nad tobą i nad twoją świętą rodziną. Wprowadziła mię ona w progi domu twego, zapoznała mię z pięknymi aniołami, którzy cię otoczyli i, olśnionego blaskiem natchnienia i piękności, prowadzą pod pachy w drodze żywota, niby drugiego Homera. Słyszałem z jej ust prawie dźwięk jaskółczany gzemsów domostwa Twego. Oprowadzała mię wszędzie, pokazała nawet leżącą na pniakach postać umęczonego Słowianina, nad którym dłuto dziecka twego pracowało. Błogosławieństwo Boże, widzę, że świeci nad tobą«.

Tymczasem, w roku 1843, wkrótce po wyjeździe Stattlera, zaczęły się dla Słowackiego ciężkie przejścia, będące następstwem tego, że w swoim czasie nie poprosił o medal, że chciał należeć do *Koła*, nie posiadając takiego medalu, czyli, że się tem samem usiłował wyłamać z pod praw, obowiązujących resztę braci. Oczywiście, że się to nie mogło podobać braciom, którzy, zawsze rozżaleni na Słowackiego, w tych czasach rozdrażnieni byli więcej, niż kiedykolwiek, a to z powodu niefortunnej podróży, jaką Towiański odbył do Rzymu, w celu porozumienia się z Papieżem, a która skończyła się na tem, że Mistrz, niedopuszczony do Ojca Świętego, musiał w dniu 22 października wyjechać z wiecznego miasta. Był to bolesny cios dla Towiańczyków, ciężka próba dla *Koła*, wielu bowiem, choć należeli do Sprawy, nie chcieli zrywać z Kościołem: łudzili się, że Mistrz porozumie się z Papieżem. Tymczasem skończyło się na tem, że go wydalono z Rzymu. Wrócił do Szwajcaryi, ale na *Kole* zrobił ten epilog pertraktacyi z Watykanem bardzo przygnębiające wrażenie. Nadto przez czas nieobecności Mickiewicza *Koło* się rozluźniło, Goszczyński nie umiał dać sobie rady, wkradły się nieporządki, nieporozumienia, kwasy. Wśród takiego nastroju umysłów, kiedy Mickiewicz powrócił do Paryża, miała być rozpatrzona sprawa »upadku« Słowackiego. Rzecz dziwna, że Mickiewicz, ledwo przyjechał, przedewszystkiem tę sprawę wytoczył na stół. Już dnia 4-go listopada zawiadomił braci, aby się zebrali za tydzień, w celu osądzenia sprawy brata Juliusza. Na poleceniu, które Mickiewicz rozesłał braciom, były cztery pytania do odpowiedzi, na które miano się przygotować. Pytania były następujące: 1) Jaki jest stan ducha Słowackiego? 2) Jakie przyczyny? 3) Jakie mogą być sposoby? Na kim może leżeć obowiązek względem niego?

Słowacki, któremu musiano donieść, na co się zanosi, spostrzegł się, że to jest zamach na niego, że tu chodzi nie o co innego, tylko o upokorzenie go, że sprawa, traktowana w ten sposób, musi się skończyć na jego niekorzyść, zważywszy, że na jej czele stoi Mickiewicz, że wszyscy wobec tego pójdą za Mickiewiczem, a zwrócą się przeciwko niemu, słowem, że pragną najniezawodniej wysadzić go z *Koła*. Dlatego postanowił uprzedzić ich i usunąć się sam. W tym celu, na cztery dni przed owym 10-m listopada, w którym miał być »sądzony« w *Kole*, napisał do Kołyski, jako jednego ze stróżów siódemki, następujący list, datowany dnia 6 listopada 1843 r.

Kochany Bracie! Przy Sprawie trwam wszystkiemi siłami; na drodze, wskazanej przez Mistrza, działać będę, póki mi tchu starczy. Ale odstąpienie i oziębłość braci, zaprzestanie zbierających się u mnie siódemek i małe inne okoliczności, dyktują mi teraz, abym na zebrania *Koła* nie chodził, albowiem wolność ducha zachować pragnę, *pod żaden indywidualny wpływ nie poddam się* i póty będę trwał samotnie, dopóki nie uczuję, że całe *Koło* jest mi bratnie, że razem ze mną chce czystej wiary, prawdy i tylko postępu Sprawy. *W nieomylność Koła nie wierzę* i formom, przepisanym przezeń dla ducha, nie dam się stopić, albowiem pragnę być żyw, abym jeszcze dla Boga mógł pracować ostatkiem tchu mojego. Inne z przyczyn wyznałem zastępcy Mistrza (Mickiewiczowi) na t. zw. spowiedzi, której ustanowieniu trwałemu także duchem sprzeciwiać się będę. Oto jest *veto* duchowe brata waszego. Jeżeli ten brat jest w fałszu, nie zaszkodzi wam. Jeżeli Bóg dopuścił, abyście wy zgrzeszyli, przyjdziecie na porzuconą drogę, a wtenczas ja z wami do śmierci i po śmierci.

Brat *Juliusz Słowacki.*

Z tobą, jak z innymi braćmi szczegółowo, widywać się i żyć pragnę, zwłaszcza z tymi, którzy w sumieniu mię osądzą, a nie potępią.

Niestety, do takich, co go potępili, należeli prawie wszyscy, nie wyłączając Goszczyńskiego.

Ten ostatni był nawet wybrany na jednego z sędziów, a jako taki, był obowiązany napisać swoją opinię, wyrazić na piśmie, co myśli o Słowackim, i wyrok ten, bez względu na to, jak wypadnie, odczytać na rzeczonem posiedzeniu. Zadanie było niełatwe i nieprzyjemne, bo należało zapomnieć, że się było przyjacielem Juliusza, że się z nim mieszkało przez długi czas razem, że się niejednokrotnie korzystało z jego dobroci i szlachetności serca; mimo to musiał z urzędu wystąpić w roli prokuratora, który, redagując swój akt oskarżenia, ma tylko dobro Sprawy na widoku, a któremu uczuć osobistych nie wolno brać w rachubę, lub, broń Boże, powodować się niemi. Należało uczynić ofiarę ze swej przyjaźni i nie cofnąć się przed niczem, nawet przed zarzutem niewdzięczności.

Uzbrojony w taką bezstronność i bezwzględność, wywiązał się Goszczyński z włożonego na siebie zadania w ten sposób, że stosunek jego ze Słowackim zerwał się na cztery lata. O surowszego sędziego, aniżeli ten, jakim się okazał Goszczyński, było trudno. »Powołany objawić moje czucie w sprawie brata Słowackiego (pisał w swej odpowiedzi na zapytanie Mickiewicza) starałem się przedewszystkiem poczuć całą jego ważność: wszedłem w nią duchem w podniesieniu religijnem. Odbyłem moją czynność w sposobie modlitwy, bez żadnych względów ziemskich osobistych, z miłością dla Sprawy i z boleścią nad postępkiem brata Słowackiego, nad jego stanem obecnym i nad przyszłością, do której się kieruje. I oto, jak w tej pracy rozwiązałem sobie podane pytania«. Na pierwsze zapytanie, jaki jest

stan ducha Słowackiego? odpowiedział, że jest to stanowisko bardzo niskie, całkiem ziemskie. Czystego duchowego czucia sprawy nie ma zupełnie. W czynie i na dnie duszy całkowite oderwanie się od niej. Iskra boska prawie zupełnie przyduszona zaniedbaniem jej, a pielęgnowaniem długiem i troskliwem tego, co jest jej przeciwnem. W ogóle jest to, jego zdaniem, stan buntu jawnego przeciw duchowi Sprawy, stan grzechu największego przez chęć przeniesienia na siebie nieomylności *Koła*, wystawienia w sobie ogniska *Koła*, ogniska, przeciwnego duchowi, który utworzył i utrzymuje *Koło*. W zarzutach i dążeniach jego daje się łatwo zauważyć — ciągle zdaniem Goszczyńskiego — ciemność, sprzeczność, ciągnienie *Koła* ku temu, co przez brata Słowackiego jest potępione, ukryta zawiść, niezaspokojona duma. Najbardziej przekonywającym dowodem, służącym ku stwierdzeniu powyższych zarzutów, jest list, który Słowacki napisał do Kołyski. Tyle co do pierwszego punktu. Co się tyczy przyczyny tego stanu, to brat Słowacki, zdaniem Goszczyńskiego, nigdy Bogu nie złożył ofiary zupełnej z ziemi i ducha. Silnie owładnięty ziemskiemi pojęciami chwały, swej wielkości osobistej, wartości na drodze ziemskiej, nigdy nie zrobił ostatecznego wysilenia, ażeby bez nich zajrzeć w wyższą krainę ducha; nie uczuł się nigdy, czem jest rzeczywiście w obliczu Boga; nie poznał nigdy — w przekonaniu Goszczyńskiego — czystej rozkoszy wyższych duchów; nie rzucił nigdy miłości ziemi na ofiarę miłości Boga. Przeciwnie, co zachwycił w chwilach egzaltacyi, tem wzmacniał swoją stronę ziemską do użytku ziemskiego, w widokach ziemskich. Ciągle wyższe poddaje niższemu. Tyle co do drugiego punktu. Co się tyczy trzeciego, t. j. w jaki sposób należałoby wpłynąć na Słowackiego, żeby się poprawił, to należało, zdaniem Goszczyńskiego, zwrócić uwagę na ten ustęp listu do Kołyski, w którym oskarżony skarży się na niemiłość braci. Mniejsza o to, czy to skarga słuszna: nacisk należy położyć na to, iż jest w tej skardze wyzwanie miłości braci; dlatego powinno się, jego zdaniem, nie zostawiać Słowackiego bez odpowiedzi. Ten czyn powinien być dopełniony z całą miłością braterską, a zarazem z całą powagą i siłą urzędowego czynu *Koła*. Tyle co do trzeciego punktu. Co się tycze czwartego, to uważał, że do rozmowy ze Słowackim powinno być użytych najmniej dwóch braci, pełnych miłości, pokory, siły, zdolnych utrzymać się, podczas całej rozmowy, w tonie, w duchu *Koła*. Usiłowaniem ich być powinno nietyle przekonać, jak poruszyć do gruntu jego

uczucie, wyzwać go do ostatecznego owocu dobrego lub złego.

Tak wypadła opinia Goszczyńskiego, która nie była jedyna; inni bracia przygotowali podobne. Wszystkie były odczytane na posiedzeniu z d. 10 listopada, w mieszkaniu Mickiewicza, który to posiedzenie opisał nazajutrz, w swych sprawozdaniach z posiedzeń *Koła,* następującemi słowy: »Stosownie do polecenia, danego zeszłej soboty, dwaj bracia z siódemki ósmej (która, zdaje się, była siódemką Słowackiego), wezwali innych siedmiu braci. Nie przyszło dwóch, złożyła się więc tylko kompletna siódemka. Wszyscy napisali odpowiedzi na podane cztery punkta. Brat Falkowski złożył je bratu Mickiewiczowi i przyniósł głos siódemki, że brat Mickiewicz ma obowiązek *stanowczo docisnąć brata Juliusza.* To zgadza się z notą, daną od Mistrza bratu Mickiewiczowi; bo duch Juliusza (mimo wiedzę jego samego) domagał się tego u Mistrza. Jutro (w niedzielę d. 12 listopada), między godziną 10 a 11-tą rano, brat Mickiewicz uda się do brata Juliusza. Inni bracia mają wspierać go duchem«.

Nazajutrz, stosownie do zapadłej przed dwoma dniami uchwały, Mickiewicz udał się osobiście na *rue Pontieu,* ażeby »stanowczo docisnąć brata Juliusza«. Niestety! nie znamy przebiegu tego dramatycznego spotkania się »dwóch na słońcach swych przeciwnych bogów« naszej poezyi; wiemy tylko, że się ta misya nie powiodła Mickiewiczowi, że Słowacki, choć »dociskany stanowczo«, obstawał przy swojem, nie cofnął ani słowa z tego, co napisał w liście do Kołyski, jednem słowem, że związek swój z *Kołem* uważał na czas jakiś za zerwany, jakkolwiek nie przestawał służyć Sprawie. Tyle tylko, że jej będzie służył sam, zdala od *Koła,* które mu się zbyt dało już we znaki, ażeby do niego wracał po tem »dociśnięciu«. Jakoż skończyło się na tem, że Mickiewicz powrócił z rezultatem żadnym, o czem nie omieszkał donieść mistrzowi, któremu całą wizytę swoją u Słowackiego w sposób wyczerpujący opisał. W odpowiedzi na ten list Mickiewicza, Towiański odpisał mu w tej sprawie, co następuje: »Cieszę się z twego kroku do Słowackiego; jest to ofiara. Aby tylko od nas poszedł krok; skutek nie do nas należy«.

Na tem chwilowo zakończył się stosunek Słowackiego z *Kołem.* Pod wrażeniem tego zerwania, w tydzień później, d. 18 listopada, pisząc do matki, wyraził się Słowacki o braciach w taki sposób: »Cóż ja jestem?... biedny człowiek, jeszcze nie zrozumiany, jeszcze nieraz pod fałszywym sądem stojący, tylko z własnem sumieniem (w zgo-

dzie). Ach! jak mało jeszcze jest ludzi, chcących tylko prawdy, miłości i wiary; jak smętno z tymi, którzy zobaczyli słońce prawdy, a jeszcze zostają gdzieś w dawnych nałogach, w nieufności, w zazdrościach małych! Droga moja, ty jedna przynajmniej wszędzie i zawsze bądź ze mną; ty wiesz, że cię nigdy nie oszukiwałem, a czasem nawet, prawdziwym będąc, wydałem się twardym i srogim. Cóż ja winien, że mnie Bóg zrobił z jednego kawałka, że ja, często osamotniony, aż do stóp matczynych uciekać się muszę o pomoc i błogosławieństwo«.

VI.

Tymczasem drukował się *Ksiądz Marek*. Słowacki był zajęty korektami, aż wreszcie, w końcu listopada, to »poema dramatyczne we trzech aktach«, świadczące o nowym zwrocie w twórczości autora *Beniowskiego*, ukazało się na półkach księgarskich.

Dramat ten, o ile pod względem treści pozostaje w najściślejszym związku z doktryną Towiańskiego, tak, iż tylko z tego punktu może być sądzony, o tyle pod względem formy, pod względem faktury zewnętrznej, wzorowany jest na dramatach Kalderona. Słowacki pozostawał w tych czasach pod silnym wpływem Kalderona; raz dlatego, że ten poeta w ogóle czarował go nadzwyczaj swoją »brylantową imaginacyą«, a powtóre, że utwory Kalderona i sposób, w jaki on je traktuje, ogromnie trafiały do przekonania Towiańczyków, którzy nawet nosili się z myślą, ażeby zbiorowemi siłami przetłómaczyć celniejsze utwory tego poety. Skończyło się na zamiarze, a jedynym człowiekiem, który o tym zamiarze braci nie zapomniał, był Słowacki, który po wydrukowaniu *Księdza Marka*, wystąpiwszy z *Koła*, wziął się do przetłómaczenia Kalderonowskiego *Księcia Niezłomnego*. Uczynił to nie bez pewnej *arrière pensée*, a zdaje się nie ulegać wątpliwości, że powzięcie tego zamiaru stoi w ścisłym związku z wystąpieniem z *Koła*. Albowiem o co chodziło Słowackiemu, kiedy się zabrał do przekładu tego dramatu, który w oryginale nosi tytuł: *El principo constante?* Na to pytanie odpowiada sam Słowacki w liście do Stattlera, któremu jeden z pierwszych egzemplarzy *Księcia Niezłomnego* na pamiątkę przesłał: »Niech się więc mną ten Hiszpan, mnich drogi, opiekuje, bo się teraz na opiekę Niebieskich zupełnie spuszczam, a o ziemię całkiem nie dbam. Chciałbym jednak, aby było

choć kilka duchów w Polsce, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem, że tak, jak mój *Książę niezłomny*, srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi, a może na straconej placówce«. A do matki pisał o tym przekładzie d. 30 listopada w taki sposób: »Widzisz ty, jak ja ukochałem *Księcia Niezłomnego*, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi i przyszłemi zwycięstwami być powinna: w kilka godzin upadło przed nim tangerskie mocarstwo«.

Praca nad tłómaczeniem *Księcia Niezłomnego*, w którym, zdaniem Słowackiego, są »pioruny poezyi«, a który poecie »kości wewnętrznie połamał«, przypada na drugą połowę listopada i początek grudnia 1843 roku. W tym samym czasie przyjechał do Paryża znany tłómacz Schillera, Michał Budzyński, który niedługo po swym przyjeździe nad Sekwanę, gdzie odrazu, jako stronnik *Hotelu Lambert*, zaczął pisywać do *Trzeciego Maja*, poznał się ze Słowackim. Poznali się u Reitzenheima. Słowacki był pod pierwszem wrażeniem dokonanego przekładu *Księcia Niezłomnego*, w rozmowach więc, zwłaszcza w rozmowach z człowiekiem, który, jak Budzyński, także tłómaczył poetów, często powracał do tej pracy. I z Budzyńskim często rozmawiał o swoim *Księciu Niezłomnym*.

Budzyński zapamiętał treść tych rozmów, a kiedy pisał swe interesujące pamiętniki, ogłoszone przez J. I. Kraszewskiego p. t. *Wspomnienia z mojego życia*, poświęcił w nich dłuższy ustęp i Słowackiemu także. W Juliuszu Słowackim — czytamy tam — było wiele poezyi, gdy opowiadał dawne życie swoje. Mówił mi raz o swych podróżach do Grecyi i Egiptu: »Dziwna rzecz, jak po oglądaniu jednej jakiej doliny, góry, albo starych murów, zgadywałem, co dalej będzie: czy to na wyniosłościach Libanu, czy na polach Grecyi! Pojąć nie mogłem, zkąd mi na myśl przychodziły obrazy okolic, które po raz pierwszy zwiedzałem. Wszystko się rozświeciło, gdy szlachcic litewski przyjechał bryczką do Paryża i powiedział mi dwa słowa, któremi rozwiązał zagadkę bytu człowieka. Wtenczas dawne stanęły mi życia, jasne, jak słońce, i przypomniałem sobie, jak w trzecim wieku po Chrystusie byłem kaznodzieją na Libanie; potem, później, daleko później, byłem palikarem greckim i wiodłem w górach życie rozbójnicze, ucierając się z Turkami, którzy po wzięciu Konstantynopola zapuścili łupieże swoje po Morei. Z palikara Bóg mi

kazał wejść w ciało Polaka. »Juliuszu — zawołałem na niego — czemuż ja nie widzę żyć moich dawnych?« »Jedno z dwojga, albo staraj się cierpieć, jak ja, dręczyć się, jak... O! bo ja męczarnie Tantala przechodziłem! Gdym przekładał *Księcia niezłomnego,* tarzałem się po ziemi, wystawiałem sobie, że jestem tym księciem Portugalii, i dźwigam kajdany Maurów. Darłem piersi moje, połykałem proch, na podłodze zmiatany, i wołałem do Boga, aby temi cierpieniami otworzył mi oczy i umysł, i zbudził pamięć żyć dawnych. Bóg mię wysłuchał i nie ma chwili dawnego życia, któraby mi nie stała w pamięci tak żywo, jak tobie chwile niedawne, lat 10 albo 5 dopiero ubiegłe. Otóż jeden sposób uderzenia pamięci. Drugi jest łatwiejszy; ale na to trzeba łaski i trzeba, abyś ukochał mnie, ale ukochał tak, żebyś Juliusza miał za siebie drugiego, a wtenczas ja budzić będę ducha twego i wywoływać życia dawne...« »Juliusz Słowacki — mówi Budzyński — przepędzał często wieczory w domu Reitzenheimów, żywiąc uczucia czyste dla Angielki. Zawsze gdy miał myśl pisania jakiego poematu, musiał kilka wieczorów u niej przepędzać dla sprowadzenia poetyckiego natchnienia. Tam go ściślej poznałem...«

Na ten sam czas, na który przypada mozolna praca nad spolszczeniem dramatu Kalderona, przypada napisanie *Snu srebrnego Salomei,* który to »romans dramatyczny« został napisany wkrótce po wyjściu *Księdza Marka.* Była to epoka, dziwnie płodna dla poety. W głowie paliło mu się od pomysłów, a jakaś siła nieprzeparta zmuszała go do pisania. Jakoż nie ustawał w pracy, donosząc matce, w liście z d. 18 listopada, że jest »bardzo zatrudniony«, bo mi znów, jak się wyraził, jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy. W takich warunkach powstał *Sen srebrny Salomei,* podobnie, jak *Ksiądz Marek,* noszący ślady Towiańskiego i Kalderona, choć pod względem artystycznym wyższy, aniżeli dramat poprzedni. I w nim jednak, jak w *Księdzu Marku,* odbiły się ostatnie zdarzenia z życia poety. Jak *Ksiądz Marek* zawierał cały szereg ustępów, które były »bolesnemi strzałami« wymierzonemi przeciwko Krasińskiemu, podobnie *Sen srebrny Salomei,* jako pisany w czasie, kiedy poeta był rozgoryczony na Goszczyńskiego, zawiera niejedną bolesną strzałę, przeznaczoną na to, ażeby ukłuć autora *Zamku Kaniowskiego.* Opinia, jaką Goszczyński wydał o Słowackim na owem posiedzeniu u Mickiewicza, musiała dojść do uszu autora *Beniowskiego,* a jeśli doszła, to nie mogła nie dotknąć go boleśnie. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że temat *Snu srebrnego Salomei* jest prawie ten sam, co temat *Zamku Kaniowskiego,* że oba utwory

obracają się około jednych i tych samych wypadków — Koliszczyzny — że mnóstwo krwawych scen dramatu Juliusza przypomina analogiczne sceny z poematu Goszczyńskiego, i jeżeli się podkreśli stanowisko, jakie wobec tych wypadków zajął Słowacki, a które jest biegunowo przeciwnem w stosunku do tego, jakie wobec tychże wypadków zajął Goszczyński, to mimowoli nasuwa się podejrzenie, że Słowacki, który w *Śnie srebrnym Salomei* ukazuje Koliszczyznę przez pryzmat warstw szlacheckich, z ich punktu widzenia, nie mógł nie pamiętać o Goszczyńskim, który w *Zamku Kaniowskim* ukazuje Koliszczyznę przez pryzmat warstw ludowych, z ich punktu widzenia: czyli, że pisząc swój *Sen srebrny Salomei*, dbał o to głównie, ażeby napisać *pendant* do poematu Goszczyńskiego, ale *pendant* tego rodzaju, jak *Kordyan* w stosunku do Trzeciej części *Dziadów*, jak wiersz *Do autora Trzech psalmów* w stosunku do *Psalmów przyszłości*. Bo nie da się zaprzeczyć, że *Sen srebrny Salomei* w stosunku do *Zamku Kaniowskiego* jest — odwrotną stroną medalu.

Zdaje się wszakże, iż Słowacki, pisząc swój *Sen srebrny Salomei*, więcej jeszcze, aniżeli o Goszczyńskim, któremu chciał tym »romansem dramatycznym« trochę dokuczyć, myślał o pani Bobrowej, której wpływ da się z łatwością wykazać, zarówno w tym dramacie, jak i w *Księdzu Marku*. Ażeby się o tem przekonać, wystarcza zwrócić uwagę na jedno: na rodzaj miłości, którą pałają bohaterowie tych dramatów: w *Księdzu Marku* Kossakowski ku Judycie, a w *Śnie srebrnym Salomei* Sawa ku księżniczce i Semenko ku Salomei. Bo jakże się oni kochają? Oto wszyscy kochają się tak, jak się do niedawna jeszcze kochał Słowacki w pani Bobrowej, t. j. bez wzajemności. Wszyscy oni pałają miłością namiętną, zmysłową, miłością, która przedewszystkiem pożąda, a której tragizm polega na tem, że istota ukochana jest zakochana w kim innym, jak pani Bobrowa w Krasińskim.

Judyta w *Księdzu Marku* płonie tajonem uczuciem ku Starościcowi, a gdy ten zginął z ręki Kossakowskiego, ona mówi o sobie, że jest — jak pani Bobrowa po zerwaniu z Krasińskim —

Z szczęścia, jak kwiat, oberwana,
W żałości, jak obłąkana,
A we śnie łzami zalana.

Tymczasem zakochał się w niej Kossakowski. Niestety, nie umiał sobie pozyskać jej wzajemności. Ztąd nieszczęście, rozpacz; wszystkie sceny, w których Kossakowski mówi Ju-

dycie o swej miłości dla niej, są pisane tak, jakby poeta pisząc je, powtarzał słowa, którerni niegdyś — we Frankfurcie naprzykład — sam starał się zmiękczyć serce pani Bobrowej. I tak np. w akcie drugim, Kossakowski naprzód skacze Judycie na szyję, »jak wąż, jak płomień z pod ziemi, z oczyma zapalonemi, jak Edomit«, a potem przemawia temi słowy:

Na twe czoło wykąpane
W ptasiem gołębicy mleku!
Na twoje usta różane,
Których łuk napięty drży!
Na twe oczy, z których biją
Razem żar i noc i dzień!
Na twoją łabędzią szyję
I na ten błękitny cień
Twoich rzęsów, który spada
Aż na rubin twoich lic!
Na tę głowę, gdzie gromada
I brylantów i rubinów
Pali się, jak tysiąc świec!
Na każdy z perełek ząb...
Na ten, mówię, skarbiec cały
I klejnotów i piękności!
I na królestwo miłości
Przysięgam...
— Co?
— Miłość wieczną!

W innej scenie, w której Judyta »stoi cała w klejnotach, jak paw, kiedy rozwachlarzy ogony«, Kossakowski, doprowadzony do szału jej oporem, a »w żądzach niepohamowany«, powiada »gryząc wędzidła«:

Kobieto! Szatański wężu!
Co świszczesz urągowiskiem,
A nie drżysz przed szabli błyskiem,
Spokojna i blada, jak kreda!

W akcie trzecim Kossakowski już jest złamany tą nieodwzajemnianą miłością. Pod wpływem tego uczucia, kiedy się spotyka z Judytą, przemawia w ten sposób:

Czart oczyma twemi strzela,
Ogień leje w serca cieśnie,
Głowę wprawia w obłąkanie.
Dziś widziałem ciebie we śnie,
Jakby jakie malowanie.

Na to odpowiada Judyta, która, choć go nie kocha, jednak współczuje mu trochę, lituje się nad nim:

Nu, ja ze łzami
Mówię tobie, mój goimie,

Że przepaść jest między nami...
Naprzód twój ród, twoje imię,
Co odrzuca to zamęście,
A potem — moje nieszczęście
I mój los. Bądź zdrów na wieki!
A może przyjdzie daleki
Jaki czas dla mego ducha,
Że mnie mój Pan Bóg wysłucha,
Modlitwę moją gorącą,
Za twoje szczęście proszącą.

To powiedziawszy, wychodzi, a Kossakowski powiada:

We łzach, w obłąkaniu stoję.

W tych kilku scenach *Księdza Marka* opowiedziana jest cała historya nieszczęśliwej miłości Słowackiego dla pani Bobrowej do roku 1842. Pisząc je, Słowacki nie mógł poprostu nie myśleć o swej »dręczycielce« frankfurckiej, o swej »Rubensowej Madonnie«, pod której stopy kładł się dobrowolnie, ażeby mu tratowały piersi...

Podobnie miała się rzecz i wtedy, kiedy poeta, pisząc *Sen srebrny Salomei*, kreślił sceny pomiędzy Semenką a Salomeą, zakochanej w Leonie, a Sawą i księżniczką. Ich uczucia względem tych dziewczyn, to uczucia Słowackiego dla pani Bobrowej. Semenko »ginie z miłości« dla Salusi, i powiada, że

Ot, za tę jedną dziewczynę,
Gdyby słowo miłe rzekła,
Skoczyłbym jak czart do piekła,

bo »od jej słodyczy serce mi pęka«; a kiedy się z nią znalazł przypadkiem sam na sam, w jednym pokoju, przy świetle świec, nie zawahał się nagle pogasić świec, aby się »z tą Laszką« znaleść wśród ciemności. Ale mu się nie powiodło, bo Salusia uciekła zlękniona. Kto wie, czy na powstanie tej sceny nie złożyło się jakie wspomnienie z Frankfurtu? Stary Gruszczyński, ojciec Salusi, kiedy mówi o niej, to mówi tak, jak sobie nieraz Słowacki myślał o swej dręczycielce:

Oczęta ma przeźroczyste,
Zielone, jak selenity;
A zdaje się na zuchwałość
Podwodzić szatańskie wzroki!
A taka płci wielka białość!
A takie gorsu uroki!

O to samo podejrzewa się mimowoli Semenkę, kiedy mówi o Salomei:

Szczob ja jego miał był oczy,
Jego serdeczną przynętę,
Byłby ja wiódł życie święte,
Uciekł z nią do Pawołoczy.

Bo Salomea kochała się w Leonie, jak pani Bobrowa w Krasińskim, a Semenko — jak Słowacki do pani Bobrowej — wzdychał do niej napróżno. Tymczasem Leon kocha się w księżniczce, jak Krasiński w pani Delfinie Potockiej, Salomea zaś, jak pani Bobrowa, wciąż zostaje pod urokiem wspomnień. Bo czyż dręczycielka Słowackiego nie mogłaby powiedzieć o sobie, jak Salomea:

Ach! ja, by świeża dziewanna,
Obrastałam w kwiatki złote,
A dziś porzuciłam cnotę. .
Bóg wie, co to jeszcze będzie;
Co się ze mną jeszcze stanie!
Te wspomnienia, śpiewające łabędzie.

W niemniej przykrem położeniu, jak Semenko, który chciałby się »znitować« z Salomeą, tak mu ta dziewczyna »pachnie rajem«, jest Sawa, który zapłonął miłością namiętną ku księżniczce, ale zdobyć jej sobie nie może: podobnie, jak Słowacki w pani Bobrowej, kocha się bez wzajemności. Dlatego mu radzi Regimentarz:

Tobie zaś powiem,
Że jej łatwo nie ukusisz,
Bo ją Bóg obdarzył zdrowiem
I dowcipem, więc jest harda,
Jako alabastry twarda.
Nie proś o nic, bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka;
I nie wdawaj się w rozmowy,
Bo zapomnisz z nią języka;
I nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bólu głowy, snów gorących
I takich febr trzęsących,
Że świat przeklniesz...

Przez to wszystko przechodził w swoim czasie i sam Słowacki; dlatego te rady Regimentarza są takie przekonywające, bo na doświadczeniu oparte; dlatego Sawa, w kapitalnej scenie z księżniczką, »zimną, wzgardliwą, zalotną«, zdobywa się na tak wymowne tyrady:

Sawa.

Proszę Cię, ach! nie bądź święta!
Nie bądź dla mnie tylko śmiechem
. . . .

Różą, bławatkiem, narcyzem
I pożądliwości grzechem...
Lecz pamiętaj na mój statek,
Na cierpliwość, pełną dumy;
I na rzecz miłosnej sumy
Wylicz mi dzisiaj — zadatek.

Księżniczka.

Co? mój panie kredytorze?

Sawa.

Posiadasz ogniste morze,
Pełne pereł i korali,
Które widzę na dnie fali:
Jednej perły chcę, kochana!

Księżniczka.

Nic, nic, tylko sama piana
Dla ciebie...

Sawa.

W dyabelskiem ja odurzeniu
. . . .
I widziałem Cię co rano
W zorzach różanych przy łóżku;
Ach! i byłbym na kolano
Upadł, jak przed bohomazem!

Księżniczka.

Pięknym skończyłeś obrazem!

Sawa.

Oszukałem się na tobie.

Księżniczka.

Oszukaliśmy się razem.

Sawa.

Kiedyż tej okropnej próbie
Koniec położysz?

Księżniczka.

Pomyślę
I wynajdę coś w umyśle
. . . .
Słowiki na ranek kwilą.
Bądź zdrów!
(Odchodzi.)

Sawa.

Bądź zdrowa, Sybillo.

I rozstają się, a Sawa musi myśleć w tej chwili to samo, co, wskazując na księżniczkę, powiada Regimentarz do Leona:

Patrz na nią, w zorzach rumieńca
Stoi, na pół zagniewana,
Jak księżyc, srebrno-różana;
. . . .
W koronie ze złotych szpilek,
Jak przy motylku motylek,
A spodem mak i bławatki
Ciemności rzucają silne,
Alabastrom lic przychylne,
Szmaragdom oczu zazdrosne,
Rubinom ust nie szkodzące.
Patrz, te piersi, dwa miesiące
W staniku ze złotej lamy:
Dwa słońca, dwa kręgi głośne,
Które, gdy jej ust słuchamy,
One do ust niosą głosy,
Jak harfy sercem dotknięte.
Patrz na jej leciuchne włosy
Z pod zieleni... Na te wcięte
A pełne tajemnych zacisz
Gorsy, te łabędzie chody...
Patrz i pomyśl, co ty tracisz
. . . .
Dalejże synu!
Piersiami z jasnego rubinu
Wypal na bielutkiej dłoni
Pocałunkiem, aż się skłoni
Być twoją...

Lecz wszystko kończy się na tem, że zarówno Sawa w stosunku do Księżniczki, jak Semenko w stosunku do Salomei, muszą zrezygnować ze swych pożądań, choć jeden marzył o tem, ażeby ze swą Laszką »przepędzić noc, jak słowiki, na miłosnych gruchaniach«, a drugi roił o »nocy miodowej«, i oświadczyć — każdy swojej pani — pokornie

żem jest dla niej
Dzisiaj nic więcej, prócz brata
I sługi.

Wobec tych i tym podobnych scen, zdaje się być pewnem, że *Ksiądz Marek* i *Sen srebrny Salomei* były tak samo pisane z myślą o pani Bobrowej, jak *Lambro* i *Kordyan* były pisane z myślą o Ludwice Śniadeckiej, jak poemat *W Szwajcaryi* był pisany z myślą o Maryi Wodzińskiej, jak pierwsze pieśni *Beniowskiego* — w scenach z Anielą — były pisane z myślą o Anieli Moszczyńskiej. Kto wie nawet, czy Słowacki, pisząc te dramaty, a zwłaszcza *Sen srebrny Salomei,* który jest przecież »*romansem* dramatycznym«, nie myślał o tem głównie, ażeby niektóremi scenami ich powiedzieć pani Bobrowej, ile wycierpiał dla niej, przez jakie »okropne próby« przechodził, zanim się zgodził przy niej grać rolę brata i sługi, przyjaciela nie

kochanka. W każdym razie co do jednej rzeczy nie powinno być dwóch zdań, mianowicie: że pani Bobrowa z pewnością należała do liczby tych, którym Słowacki, jak Stattlerowi, ofiarował po egzemplarzu tych dramatów, wraz z tłómaczeniem *Księcia Niezłomnego*, na pamiątkę.

Pani Bobrowa nawet, która niedługo miała wyjechać z Paryża, z zamiarem, ażeby na czas jakiś powrócić do kraju, do Krzemieńca, obiecała mu, że zabierze z sobą te trzy najnowsze utwory jego — dla pani Becu. Zdaje się, że ten wzgląd był przyczyną owego pośpiechu, z jakim Słowacki wziął się do drukowania *Księcia Niezłomnego* i *Snu srebrnego Salomei*. Chodziło o to, żeby były wydrukowane przed wyjazdem pani Bobrowej, a pani Bobrowa obiecywała wyjechać w styczniu najdalej. W tej myśli pisał Słowacki dnia 18 listopada do matki: »Wkrótce spodziewam się, że Zośka cukrzana przyjedzie do was; przez nią może, *jeżeli wyspieszę*, przyszlę Ci wspomnienie jednego popasu, któryśmy niegdyś w Barze odprawiali, gdzie ja, pamiętam, mocnom się na żyda z końmi rozgniewał, a tymczasem przypatrywałem się tej małej mieścinie, jak gdybym przeczuwał, że po dwudziestu latach ona znów do mnie przyjdzie; otóż poślę to wspomnienie (mowa o *Księdzu Marku)*, a może, jeśli czas wystarczy, to i Salusię wyprawię *(Sen srebrny Salomei)*«.

Tymczasem *Sen srebrny Salomei* wraz z *Księciem Niezłomnym* drukowały się dopiero, a drukowały się ku najwyższemu oburzeniu Towiańczyków, których oburzenie z pewnością nie doszło by do takich rozmiarów, gdyby tym drukującym poetą był np. Mickiewicz, nie Słowacki. »Bracia krzyczeli«, że Słowacki, pomimo zakazu Mistrza, poważa się pisać i drukować, że tym sposobem usiłuje zarobić sobie na chwałę ziemską, etc, etc. Nie rozumieli czystych intencyi poety, a w oburzeniu swojem powodowali się najzwyklejszą niechęcią. Swoją drogą *Księdza Marka* czytali skwapliwie, jako utwór, nacechowany nauką Mistrza, a osnuty na temacie, który Towiańczyków obchodził najżywiej. »Postawa tego poety-proroka, mówił rok temu Mickiewicz na jednej ze swych prelekcyi w *Collège de France*, unosi się nad wszystkiemi zdarzeniami: Ojciec Marek stał się dzisiaj ulubionym bohaterem wszystkich pisarzy. Niema romansu, poezyi, gdzieby o nim nie było wzmianki; przytaczają jego słowa, wprowadzają go na widownię, jako człowieka działającego, jako kaznodzieję, pod tysiącznemi postaciami przedstawiają go przed oczy narodu.

Wobec tego, nie było by dziwnem, gdyby Mickie-

wicz, który w tym czasie właśnie, d. 22 grudnia, rozpoczął w *Collège de France* czwarty rok kursu literatur słowiańskich, poświęcił który ze swych wykładów rozbiorowi *Księdza Marka.* Pole było wdzięczne, bo dramat Słowackiego dawał doskonałą sposobność rozwijania zasad Mistrza; tem wdzięczniejsze, że Mickiewicz, zacząwszy d. 26 grudnia rozbierać *Biesiadę* Towiańskiego, opublikowaną przez Ks. Jełowickiego, cały kurs tegoroczny zamierzył poświęcić nauce Mistrza. Dlatego też — a na to zgodzi się chyba każdy — nigdy nie nastręczała mu się taka wdzięczna okazya do przemówienia o Słowackim, jak teraz. A jednak nie powiedział o nim ani słowa, ani o *Księdzu Marku,* ani o *Śnie srebrnym Salomei,* choć mówił — nieraz przez całą godzinę — o tak błahych utworach, jak np. jakieś dziełko poety Konradiniego, ogłoszone w Paryżu w r. 1841... Do podobnej »ofiary« nawet Mickiewicz pomiędzy Towiańczykami nie dorósł!

Inaczej się wobec *Księdza Marka* zachował Karol Libelt, który o nim napisał formalne studium. Zdaniem poznańskiego filozofa

profesorowi, wykładającemu historyę i literaturę ludów Słowiańskich, ze stanowiska mistycznego, i upatrującemu wszędzie działanie kolumn duchów białych lub czarnych, pożądaną być musiała figura księdza Marka, którego wieść gminna, obok wieśniaka Wernyhory, proroczym urokiem otacza.

W odczytach Mickiewicza z 1843 roku znajdzie czytelnik całą konfederacyę barską, uważaną z tego stanowiska walki: duchów poświęcenia — przeciw duchom zniszczenia, a rej w tej walce wiodą ksiądz Marek Karmelita i Wernyhora.

Z tej samej przyczyny, prorocza postać Ojca Marka, opromieniona natchnieniem i cudownem światłem z owej ciemni duchów, musiała natchnąć rozgorzałą duszę Juliusza Słowackiego, także ucznia Towiańskiego...

Wszakże poemat ten dramatyczny, mimo tej podniety mistycznej w autorze, ma świetne swoje strony i z poezyi Słowackiego może jest najszczytniejszem dziełem. Autor rozlubował się w proroku Marku, a nie mogąc go wyjąć z czasu i okoliczności, w których się obracał, mimowolnie zlał całą potęgę ducha swego w charakterze Marka.

Poemat dramatyczny, mianowicie tragedya, ma całą szczytność swoją w przedstawieniu walki złego i dobrego, niejako Boga i szatana. Są osoby dziejowe, a te są przedewszystkiem tragiczne, które pełną piersią ogarnęły sprawę bóstwa, sprawę dobrego, a uzbrojone całą potęgą woli i ducha, występują za nią do walki. Potęgi złego mają także swoich i licznych zastępców. Złość, obłuda, podstęp, namiętność i zbrodnia wszelkiego rodzaju, gromadzą się w zbrojne zastępy i toczą bój zacięty z geniuszami czasu: lecz obrońce światła, to ludzie natchnienia i zachwytu, wyprzedzają czas swój i dlatego padają ofiarą. W starożytności na podobny sposób o fatum jedynowładne rozbijały się zabiegi i siły ludzkie. Tworzenie przyszłości przez śmierć i męki teraźniejszości, oto tragiczność.

Poeta nasz uczuł w całej sile prawdy, że w Konfederacyi Barskiej poczynała się wielka przyszłość... Czemu za reprezentanta tej przyszłości nie wziął Pułaskich, ale Ks. Marka, łatwa odpowiedź. Ksiądz

Marek nie ma żadnego znaczenia historycznego, ale niesłychane ma znaczenie w powieści ludu, i dlatego cały urok, cała nawet szczytność poezyi przenosi się — z osób dziejowych — na tę osobę, cudowną wśród gminu. Powiemy więcej. Jeżeli bliskie zdarzenia historyczne, właśnie dla tej bliskości nie przydadzą się ani na epos ani na dramat, szczęśliwiej daleko przypada ku temu postać Ks. Marka, z owych nie tak odległych czasów, żywą i pełną wiarą ludu, w rzeczywistą, poetyczną sferę cudowności pomkniona.

Tak się przedstawia całość dramatu Juliusza Słowackiego. Dramat to nie historyczny, ale czysto duchowy. Duch dziejowy nie działa tu jako duch ludzki, i dlatego autorowi nie potrzeba było wielkich charakterów historycznych, ale zda się, że duch ten zstąpił na ziemię, widoczny natchnieniem pierwszego lepszego człowieka i występujący do walki na zwalczenie złego z tego świata i utworzenie na jego gruzach nowej a wielkiej przyszłości dla ludu, a przezeń dla ludzkości. Z tego stanowiska uważany, ma dramat ten pod względem sztuki wysoką swoją wartość. Jako słabą jego stronę uważałbym ową, że tak powiem, kalejdoskopiczność rzeczy i obrazów, cechującą wszystkie dramatyczne utwory Słowackiego; przedmioty są rozrzucone, jakby w pojedyncze a różnobarwne kamyki, które się dopiero w perspektywie ducha, potrącone siłą wyobraźni, w jeden obraz składają.

O krytyce tej można powiedzieć tylko tyle, że jest znakomita, że z nadzwyczajną przenikliwością wnika w ducha utworu, i że się, wobec podobnej krytyki, współczesnej Słowackiemu, zarumienić powinni wszyscy późniejsi krytycy Słowackiego, którzy się na niepospolitości pomysłu *Księdza Marka* nie poznali.

Czy zaliczyć do tej kategoryi i Goszczyńskiego, który w czasopiśmie poznańskiem *Rok,* w tomie VI z roku 1843 w obszerszym artykule *O dramacie w dzisiejszem piśmiennictwie polskiem* wypisał szereg komunałów i o Słowackim między innemi? Bądź co bądź, Słowackiemu, kiedy ten artykuł przeczytał, musiało być przyjemnie o tyle, o ile się w nim nie widział pominiętym — jak w prelekcyach Mickiewicza — ale, przeciwnie, zaliczonym do największych poetów dramatycznych polskich, obok Mickiewicza i Krasińskiego, którym — zdaniem autora artykułu — dorównywał talentem, a których przewyższał wszechstronnością tego talentu.

Oto kilka znamienniejszych ustępów z tego artykułu, w których jest mowa o Słowackim.

Dominik Magnuszewski jest pierwszym dramatycznym wieszczem polskim, który pojął, jak dramat chwytać powinien tętno czasu... On pierwszy chwycił się toru wystawiania kwestyi czasowych w dramacie. Słowacki i autor *Nieboskiej Komedyi* poszli dalej torem tym. Gdy ruch umysłowy w Galicyi i w Krakowie ustał, jęło się życie literackie tułactwa rozwijać w całej pełni. Tam Mickiewicz i Słowacki już byli zagrzmieli głosem silnej poezyi, a pełnia pojęć ludowych, wstająca z odmętu, coraz bardziej wyrobiona, coraz roślejsza i potężniejsza, zawisła zwycięsko... Mickiewicz, dotąd dramatycznej poezyi nieprzyjazny zupełnie, w formę fantastyczno-dyalogowaną wtłoczył uscenizowanie politycznych wypadków,

a za tak spostaciowanemi nowemi częściami *Dziadów* podążyło wielu: tak np. Słowacki w *Kordyanie*... ma z niemi wiele jednorodności.

...Żądamy, aby dramat był wyłącznie politycznym, ale nie takim, jak *Dziady*, jak *Kordyan*, bo myśl, tam tkwiąca, nie jest podchwycona w walce zasad, ale uwidocznia tylko fakty polityczne zaszłe. W *Kordyanie*, gdzie Słowacki wystawia spiskowców, w scenach, gdzie występuje starcie zdań (lubo występuje w bladym odcieniu) zaraz się poemat ożywia i wzbija do takiego stopnia dramatyczności, na jakim dziś każdy dramat znajdować się powinien. Słowacki na każdem polu literatury rozwijał swój potężny talent, dlatego dramat czysto polityczny Mickiewiczowski jest tylko jednym momentem jego poezyi. Widzimy w niej: balladę, sonet, modlitwę, ukraińską dumkę i fantastycznego *Anhellego*, *Dantyszka* i przedchrześcjańskich czasów i mitów córę *Balladynę*, politycznego *Kordyana*, *Beniowskiego* i odbijającego dzieje *Mazepę*. Talent wszechstronny, Słowacki jest odblaskiem wszystkich wielkich wieszczów i wszystkich kierunków poezyi polskiej.



ROZDZIAŁ III.

ROK 1844.

I. Osamotnienie starokawalerskie. Wychodzi *Sen srebrny Salomei*. Artykuł w *Trzecim Maju* o Słowackim. Pani Bobrowa wraca do kraju. Słowackiego wiersze sztambuchowe: w sztambuchu Lolki i Zosieńki. Wielkanoc. Święcone w *Hotelu Lambert*. Słowackiego życie towarzyskie. Dalszy ciąg *Beniowskiego*. *Poeta i Natchnienie*. *Z dziejów wielkiego Nowogrodu*. *Agezylausz*. *Samuel Zborowski*. *Zawisza Czarny*. *Eolion*. Rozczytywanie się w dziełach współczesnych naturalistów. Przejęcie się Platonem. Studya nad dziejami Polski. Mickiewicza wykład z dnia 17 marca. Ostatnie wykłady Mickiewicza. List od pani Bobrowej. Odpowiedź Słowackiego. II. Wyjazd do Pornic. W jakiem usposobieniu? I księstwo Adamowie Czartoryscy spędzają lato w Pornic. List od pani Bobrowej. Odpowiedź poety. Pastereczka. III. Powrót do Paryża. Tęsknota do pani Bobrowej. List od matki. Wiadomość o pani Bobrowej.

I.

I rok 1844, jak i poprzedni, zaczął się dla poety smutnie. Przedewszystkiem, jakkolwiek z uporem wmawiał w siebie, że od czasu, jak uwierzył w Towiańskiego, jest szczęśliwszy, niż kiedykolwiek, że nauka ta dała mu spokój i pogodę, których nie miał dawniej, nie był szczęśliwy, ani spokojny. Wszystko mu duszę przejmowało smutkiem, wszystko przyprawiało o melancholię: nawet ten śnieg, który padał, a który zasuł cały balkon za jego oknami, razem z wazonikami kwiatów, których nie było czasu wstawić do pokoju. Co mogło być smutnego w tym śniegu? Każdemu innemu było to obojętne, czy śnieg pada, czy nie: on patrzył nań z dziwną »boleścią«, a dziwnem »roz-

20*

rzewnieniem«. Przypominały mu się dawne zimy, spędzane w kraju, na Litwie, w Jaszunach, lub na Wołyniu, w Krzemieńcu, i ogarniała go szalona tęsknota za krajem, tęsknota emigranta, której nie neutralizowała przepowiednia Towiańskiego, iż emigracya skończy się lada dzień. Nigdy nie czuł się tak osamotniony wśród swoich braci wygnańców, jak teraz. Nie rozumiano go, a przytem nie lubiano. Od czasu, jak wystąpił z *Koła*, spotykał się z coraz nowemi szykanami ze strony braci, którzy różnemi pokątnemi drogami dążyli do tego, ażeby go o ile możności dyskredytować, a przynajmniej, żeby mu dopiec. W tem uczuciu pisał do matki: »Z głębi duszy ci mówię, że jestem godzien miłości twojej i bożej opieki, nic bowiem nie czynię przeciw sumieniu mojemu *i dlatego mam drogę twardą, często samotną, ale zawsze prostą. Otwarcie ci powiem, że chciano mi tego wnętrznego spokoju ująć;* dlatego prosiłem cię, abyś ty twoim niezachwianym duchem pomagała mi, bo niepodobna, abyś ty, która znasz moje serce, wątpiła kiedykolwiek o jego czystości«, tak, jak o jego czystości wątpiła — z zadowoleniem — większość braci z *Koła*. Niestety, i matka nie zawsze miała o nim należyte wyobrażenie. Jego listy do niej, pełne egzaltacyi i mistycznych rojeń, listy, w których w nią starał się wpoić zasady nowej nauki, niepokoiły ją: obawiała się o niego, »chciałaby, aby wyglądał, jak jabłko rumiane, i uśmiechał się do maleńkich rzeczy, i cieszył się z małych drobnostek«, słowem, żeby był tak, jak dawniej, t. j. normalnym człowiekiem, rozsądnym, a nie żadnym apostołem jakiejś idei, którą wszyscy ludzie, zdrowo myślący, uważali za obłęd, za aberacyę. To przeświadczenie, że jest niezrozumiany zarówno przez braci z *Koła*, jak i przez własną matkę, było jego największem utrapieniem. To też był smutny przeważnie.

Rozweselał się wtedy tylko, kiedy słońce »biło w jego południowe okna«, kiedy go złociło i ogrzewało, albo też, kiedy miał jaki ładny sen o matce. Bo śniła mu się często, a zdarzało się nieraz, że sny o niej były prawdziwemi poematami, tem milszemi dla niego, że za tło najczęściej im służył Krzemieniec, góra Zamkowa, leszczyny i słowiki Czerczy, etc.

Kto wie, czy nie te sny były przyczyną, że ostatni swój »romans dramatyczny«, jaki napisał, nazwał »*Snem* srebrnym *Salomei*«. Cóżkolwiekbądź, dramat ten był już w połowie stycznia wydrukowany. W dzienniku swoim, który prowadził stale, zapisał Słowacki pod datą dnia 17 stycznia, co następuje: »Wracając dziś od broszera z pierwszym egzemplarzem *Snu srebrnego Salomei*, nie myśląc,

poszedłem drogą pomnika Molièrowskiego, który także po raz pierwszy oglądałem; w kilka minut później przyszło mi na myśl, że to mię duchy prowadziły tędy, aby ustalić i pocieszyć«.

Widocznie, że był strapiony, skoro potrzebował pociechy. Jeśli tak było istotnie, a nie ulega wątpliwości, że było, to mu duchy w tym czasie zesłały taką pociechę, a zesłały w formie, która na niego działała najsilniej, bo w formie pochlebnego artykułu o nim.

W feljetonie *Trzeciego Maja* (które to pismo *Hotelu Lambert* zawsze z największem uznaniem a najczęściej entuzyazmem odzywało się o Słowackim), w numerze z dnia 16 marca 1844 r. ukazał się długi artykuł Wacława Jabłonowskiego, zatytułowany, jak następuje: »*Wieszczby*, poemat p. Dobieckiego. Poezya polska w ogólności. Słowacki. Mickiewicz. Tłómaczenie Schillera M. Budzyńskiego. List do Redaktora *Trzeciego Maja*«. Pod powyższym nagłówkiem znajdował się taki ustęp o Słowackim:

Patrzcie na tego wielkiego poetę, na Słowackiego! Ileż to form, ile uczuć przerzucił? Z *Maryi Stuart* do *Lilli Wenedy*, od *Lilli Wenedy* do *Beniowskiego* (to arcydzieło, ten *lubimiec* mego serca!), a od *Beniowskiego* gdzie skoczył? aż w mistyczny wiersz, który wszyscy znacie (*Tak mi Boże dopomóż*), a z niego znowu ot dzisiaj, jak dyabeł z święconej wody, wyskoczył *Xiędzem Markiem*. Cóż dalej będzie?... Chciałbym ucieszyć siebie i innych tym nowym a cudnym kwiatem poezyi narodowej! Ale nie mam serca biegnąć za cieniem łudzącym, który, gdy dobiegnę i złowię go, zmieni się może i znów rzuci w objęcia przyjazne jaki nowy utwór...

W tymże samym czasie, w lutowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* ukazał się dyalog p. t. *Sceny w różnych miejscach*, podpisany przez Ambrożego Ambrożkiewicza, pod którym to pseudonimem ukrywał się Józef Korzeniowski, dyalog, w którym autor omawiał współczesną poezyę polską, a w którym Słowackiego, jako »autora *Żmii*«, zaliczał do najznakomitszych poetów współczesnych polskich. W tym samym czasie wyszedł *Książę Niezłomny*.

Jednakże zbliżała się chwila wyjazdu pani Bobrowej. W listach do matki, poprzedzających ten wyjazd, pisał Słowacki, że go oczekuje »z niecierpliwością«, ale myliłby się, ktoby przypuszczał, wnosząc z tego wyrażenia, że Słowackiemu zależało na tym wyjeździe, że mu zależało na tem rozstaniu z panią Bobrową. Nie, tak nie było. Przeciwnie, myśl, że niebawem ten »jedyny dom, do którego się zawsze z taką ufnością chronił, do którego zawsze z taką wiarą szedł po trochę ciszy i ufności«, zniknie wkrótce, uleci na wschód, »jak chata Loretańska«, ta myśl przejmowała go smutkiem: raz dlatego, że dobrze jest mieć taki

»dom elizejski«, a powtóre, że pomimo zmiany, jaka w nim zaszła, przyznać musiał, że kochać pani Bobrowej nie przestał: kochał ją inaczej, aniżeli dawniej, ale kochał. Dlatego rozstanie się z nią na czas nieograniczony musiało mu nie być obojętne, a dzień, w którym pani Bobrowa wyjechała, pewno nie należał dlań do wesołych i pogodnych. Jeżeli się wyraził, że z niecierpliwością oczekuje tego wyjazdu, to dlatego jedynie, że pani Bobrowa jechała do kraju, na Wołyń, że miała zamieszkać w Krzemieńcu, że miała się widywać z panią Becu, że jej miała wręczyć jego najnowsze utwory, *Księdza Marka, Sen srebrny Salomei* i *Księcia Niezłomnego.* To był powód, dla którego Słowacki »z niecierpliwością« oczekiwał wyjazdu pani Bobrowej, albowiem przekonany był, że trzy pomienione utwory, a zwłaszcza dwa pierwsze, są szczytem jego dotychczasowej twórczości, że pani Becu będzie niemi zachwycona, że ją ucieszy jej imię, zdobiące tytuł jednego z utworów jej syna, etc. etc.

Swoją drogą, kiedy nadszedł dzień wyjazdu pani Bobrowej, Słowacki wolałby prawdopodobnie, ażeby tę chwilę jeszcze odłożyć na później. Był smutny, a to uczucie smutku, którego źródłem była głęboka miłość dla pani Bobrowej, potęgowało jeszcze inne uczucie, nie mniej rozrzewniające: uczucie pewnej zazdrości, że oto pani Bobrowa wraca do kraju, że zobaczy Krzemieniec, że będzie chodziła po tych górach, po których on błądził niegdyś, kiedy był dzieckiem i młodzieńcem, że będą jej pachniały konwalie Czerczy, że będzie słuchała śpiewu bazyliańskich słowików, że będzie patrzała na księżyc, wschodzący z za góry Zamkowej, że będzie słuchała szumu Ikwy, że będzie mogła odwiedzić jego matkę.

Pod wpływem tego uczucia napisał dwa wiersze, wywołane prośbami córek pani Bobrowej, ażeby im coś na pamiątkę wpisał do sztambuchów.

Pierwszy z tych wierszy, wpisany do albumu Lolki, brzmiał, jak następuje:

. . . .

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy — całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz, i jeszcze dalej.

. . . .

Wtenczas ja powiem, srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie:
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwe Lolka ma oczy niebieskie.

W tym samym rodzaju był wiersz dla Zosieńki, tyle tylko, że do swej »Zosi cukrzanej« pisał Słowacki serdeczniej, z większem ciepłem, bo nie ulega wątpliwości, że choć obie panienki bardzo lubił, to przecież Zosieńkę lubił bardziej, aniżeli Lolkę. Z Zosią czuł się swobodniejszy, bardziej poufały, może dlatego, że była młodszą, że kiedy Lolka już zaczynała być dorosłą panną, Zosia jeszcze była podlotkiem.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do kraju powróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone,
Będą ci całe poematy składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszczęśliwy goni,
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844. Paryż.

Pani Bobrowa nie poszła zdaje się za przykładem córek: nie prosiła Słowackiego, ażeby jej również wpisał jaki wiersz do sztambuchu. Gdyby poprosiła, mógłby jej Słowacki wpisać następujący wiersz, napisany w tych czasach, a który robi wrażenie, że był pisany z myślą o pani Bobrowej. Jestto jakby jej portret.

Piękna, jak zorze. Długie jej warkocze
Ciemne, bez światła, w złoto się mieniły;
W oczach — szafiru światła i przeźrocze;
W głowie — anielskie nieskończone siły,
Porywać serce ludzkie umiejąca.
A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni,
Gdyś do niej doszedł, a pomyślał o niej.

W końcu pani Bobrowa wyjechała z Paryża. Słowacki został sam, a pisząc do matki (16 kwietnia), temi słowy donosił jej o wyjeździe pani Bobrowej. »Zosieńka pojechała do Ciebie, ale nie wiem, kiedy zajedzie, bo zwykle jeździ dyszlem rzemiennym. Miłą mi była ta dziewczynka (czytać należy jej matka), ale zupełnego

w niej zwierciadła ducha mego nie szukaj... Mało jeszcze jest ludzi, coby się chcieli duchem przemienić, myślą bowiem, że to chodzi o porzucenie świata i jego przyjemności, gdy tu, przeciwnie, my zdobywamy świat, i żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszem, i żadna miłość w nas nie zagaśnie, niczego się nie wypieramy, oprócz głupstwa i fałszu, i maskowanych rzeczy, i bałwanów, zrobionych przez oszukaństwo ludzkie, i zapałów, nie z serca idących, i szczęść, zdobytych dla małego celu osobistego, i nauki, która nie jest mądrością«. Ze słów tych wynika, że Słowacki w swym apostolskim zapale, usiłował i panią Bobrową nawrócić na Towianizm, że obiecywał jej szczęście, którego ona po zerwaniu z Krasińskim jakoby nie znała, ale nieporozumieli się: na to, żeby być szczęśliwą, zgodziłaby się, ale nie rozumiała szczęścia, skoro do tego należało wyrzec się świata i jego przyjemności: dlatego jej messyanizm Słowackiego nie trafił do przekonania: ona była przedewszystkiem kobietą światową, kobietą z pewnej sfery towarzyskiej, sfera zaś, do której należała pani Bobrowa, lubi się bawić... Takie szczęście, jakie jej obiecywał Słowacki, nie mogło się jej uśmiechać: wolała to, którem żyła obecnie, a które się zasadzało na zabawach, balach, koncertach, teatrach, wyścigach, romansach, przejażdżkach — powozem lub konno — po lasku bulońskim, czytaniu francuskich powieści, a ignorowaniu literatury ojczystej, na pisaniu listów po francusku, na lekkich rozmowach, pełnych gallijskiego *esprit*, słowem, wolała to życie wielkoświatowe a kosmopolityczne, które prowadziła od szeregu lat, a które się jej dotychczas — pomimo smutnego epilogu romansu z autorem *Irydiona* — nie sprzykrzyło bynajmniej.

W takich warunkach rozstała się ze Słowackim. W takich warunkach zastała Słowackiego tegoroczna Wielkanoc, przypadająca na dnie 7 i 8 kwietnia. Słowacki, choć w listach do matki pisał o uroczystem święconem w *Hotelu Lambert*, że matce nie powinno zależeć na tem, ażeby jej syn bywał u tych ludzi, którzy »szynkami karmią tłum niewybrany«, był jednak, pomimo tego, na tem święconem; zapewnia wprawdzie, że był na niem »smętny aż do śmierci, widząc, że przeszłość jadła, aby żyła«, ale można być pewnym, że się potrafił dostroić do ogólnego tonu, czyli, że w nim dawny światowiec nie zamarł jeszcze.

Zdawałoby się, że Towianizm powinien w nim zdusić tę żyłkę wielkoświatową, ale w rzeczywistości do tego nie przyszło. Być może, iż poeta, odkąd został Towiańczykiem,

cokolwiek mniej dbał o stosunki ze światem, a zwłaszcza ze sferami arystokratycznemi, ale żeby w nim ten pociąg zamarł całkowicie, to nieprawda. Choć stał się mistykiem, lubił bywać w świecie, lubił żyć z ludźmi. W teoryi głosił zasady ascetyzmu, twierdził że należy gardzić połyskiem woskowanych podłóg; w praktyce jednak, o ile miał sposobność utrzymywania stosunków towarzyskich, korzystał z tej sposobności. Dość wymienić domy, w których bywał, ażeby nabrać przekonania, że ci, co opowiadają o jego życiu samotnem, odkąd stał się Towiańczykiem, rozmijają się z prawdą. Boć nie można powiedzieć, że ktoś stroni od świata, jeśli bywa w *Hotelu Lambert*, gdzie do końca życia jest zawsze witany serdecznie i mile; jeśli bywa w »elizejskim domu« pani Bobrowej, o ile ta przebywa w Paryżu; jeśli bywa u Reitzenheimów, gdzie jest przyjacielem domu; jeśli bywa u pani Dunin-Wąsowiczowej, z którą go łączy stosunek serdecznej przyjaźni; jeśli bywa w domu brata Eglantyny Patteg, który się świeżo ożenił z młodą Paryżanką, a które to małżeństwo od pierwszego »francusko-miodowego miesiąca« zaczęło od pierwszych dni, zdaniem poety, odkrywać w sobie »wzajemne wady, a to z całą komicznością komedyi Molière'a; jeżeli tradycya niesie, a za nią powtarza Dr Antoni J., że w salonach pani Delfiny Potockiej przy *Rue des Mathurins*, widywano obok innych poetów i artystów, jak Gaszyński, Goszczyński, Cypryan i Ludwik Norwidowie, August Cieszkowski, Michał Czajkowski, Jan Koźmian i — Chopin, i Słowackiego także; jeżeli bywa w domu państwa H(łuszniewiczów), u których się czuje tak *at home*, że z ich domu pisuje nawet listy do matki (jak np. list z d. 14 marca 1845 r.); jeżeli bywa w domu jakiejś pani Melanii, z którą go, wnosząc z jego listów, łączył bardzo serdeczny stosunek przyjaźni; jeśli, nadto po za obrębem stosunków z Towiańczykami, utrzymuje stosunki towarzyskie z ludźmi, jak Antoni Górecki, Stanisław Małachowski, Aleksander Potocki, Konst. Gaszyński, Hip. Błotnicki, Leonard Niedźwiecki, u których on bywa, którzy u niego bywają; jeżeli bywa w Klubie, który na początku r. 1843 przeniosł się na *Rue St. Anne Nr. 49, bis*, a dokąd chodzi dla czytania pism polskich, od czasu zaś, jak zerwał z Towiańczykami, dla pogawędki ze znajomymi, pomiędzy którymi miał wielu życzliwych sobie; jeżeli aż do roku 1846 bywa u pani de St. Marcel; i jeżeli, nakoniec, sam przyznaje, że mu »ciągle świat sprzyjającą twarz pokazuje, ze smutku odludnego chce uleczyć, zabawami różnemi znęca do wyjścia z siebie i do

rozpierzchnięcia się na wszystkie błyskotne tęcze teraźniejszych światowych istotek«.

W ogóle, choć zapewniał, że przy Sprawie trwa wszystkiemi siłami, i obiecywał działać na drodze wskazanej przez Mistrza, póki mu tchu starczy, do regulaminu, przepisanego Towiańczykom, stosował się bardzo mało, prawie wcale. Pod tym względem miał racyę Goszczyński, kiedy go obwiniał, że nigdy »nie rzucił miłości ziemi na ofiarę miłości Boga«. Tak np., choć wiedział, że pisząc i drukując coraz nowe utwory, wywołuje żywe oburzenie w gronie braci, i że pisanie tak, jak on się na nie zapatrywał, dla chwały i osobistej wielkości, sprzeciwiało się zasadom nauki Mistrza, ani na chwilę nie złożył pióra, ale, przeciwnie, pisał więcej, niż kiedykolwiek. Wystarcza wyliczyć tytuły utworów, których napisanie przypada na rok 1844 i 1845, ażeby powziąć wyobrażenie, jak wytężoną w tych czasach była jego twórczość. Oprócz *Beniowskiego*, którego po krótkiej przerwie kontynuował w dalszym ciągu, a którego część druga pośmiertna jest więcej, aniżeli dwa razy dłuższa od pierwszej, ogłoszonej w roku 1840, pisał Słowacki w tej epoce swego życia »pod wpływem pierwszego szału rozbudzonych ducha wnętrzności«: dramat *Z dziejów Wielkiego Nowogrodu*, fragment filozoficzno-dramatyczny p. t. *Poeta i natchnienie,* w którym z punktu widzenia metampsychozy opisywał koleje swego ducha; dramat z dziejów starożytnej Sparty, którego bohaterem głównym był *Agezylausz;* dramat o *Samuelu Zborowskim;* dramat, w którym rolę główną grał *Zawisza Czarny,* a którego akcya rozpoczynała się pod Grünwaldem; fragment fantastyczny p. t. *Eolion;* i mnóstwo drobnych wierszy ulotnych, które zebrane razem, także utworzyłyby spory tom.

Nadto, choć w teoryi dowodził, że nauka Towiańskiego rozjaśniła mu wszystko, nawet tajemnicę grobu, że kto ją wyznawał, ten wszystko wiedział, mimo to w praktyce postępował tak, jakby obecnie wiedział mniej znacznie, aniżeli dawniej; i dlatego nigdy nie czytał tyle, nie pochłaniał tylu książek z najrozmaitszych zakresów, co obecnie. Wszystkiem się interesował, począwszy od nauk przyrodzonych, z których zakresu studyował głównie dzieła Cuviera, Arago, Lamarcke'a, a skończywszy na ekonomii politycznej, w której się tak oczytał, że mógł nawet zbijać wywody Cieszkowskiego. Oprócz tego studyował historyę, szczególniej ojczystą, nie lękając się nawet takich dzieł, jak wielkie *Dzieje narodu polskiego* Naruszewicza. Słowem, »założył wielką myśli pracownię«, jak Faust Goethego, i jak mógł, o ile mu tylko siły i środki pozwalały,

zasilał skarbnicę swych wiadomości, pogłębiał swój sposób myślenia, rozszerzał zakres swych poglądów. Którego też z pisarzów studyował *con amore*, to Platona, na którego dyalogach zacznie się niebawem wzorować. Nadto przez cały czas, jak mieszkał przy ulicy *Pontieu*, leżała na jego stoliku nocnym, przy łóżku, czarno oprawna Ewangelia, która go »często przebudzonego w nocy uspakajała«.

Od Towiańczyków trzymał się zdaleka. Tylko z niektórymi braćmi utrzymywał bliższe stosunki. Dlatego nie jest pewnem, czy był obecny na owej pamiętnej prelekcyi Mickiewicza z dnia 17 marca, podczas której poeta-profesor urządził manifestacyę, która go ostatecznie miała pozbawić katedry. Zaczęło się od tego, że zwykła gromadka Towiańczyków obojej płci, która podzielona na dwa obozy, skupiała się po dwóch stronach przystołu, tego dnia, rozrzucona po całem audytoryum grupami po kilku, pomięszała się z resztą słuchaczów. Już to samo zwróciło uwagę niektórych osób. Okazało się, że już to samo rozmieszczenie się wyznawców Mistrza nie było bez kozery; w ciągu wykładu bowiem, który był cały w duchu nowej nauki, w którym była mowa i o wędrówce dusz, i o Napoleonie, i o tem, że wszyscy ludzie staną się z czasem Chrystusami, Mickiewicz, oświadczywszy, że jego posłannictwem jest ogłaszać prawdę objawioną, zwrócił się nagle do całego audytoryum i zapytał: »Dlatego wzywam wszystkich ludzi dobrej woli, niech powiedzą, czy uznają tę prawdę objawioną, tak lub nie?« Na to zapytanie wszyscy Towiańczycy i kilku Francuzów powstali i zawołali z wyciągniętemi rękoma: »Tak, tak, uznajemy!« »Czy uznajecie mnie za świadka tego objawienia?« »Uznajemy, uznajemy!« wołano w największym zapale. Jednocześnie zauważono, iż niektóre kobiety, łkając, tłumiły płacz. Równocześnie jakaś młoda Francuzka, siedząca blizko katedry, powstała, a złożywszy ręce, jak do modlitwy i trzymając je na wysokości głowy, stała zwrócona do profesora, który już cichszym głosem ciągnął dalej: »Bracia moi, widzieliście wpośród was tego objawiciela. Czy przyrzekacie mi, że za nim pójdziecie?« »Tak, tak, pójdziemy, choćby na ukrzyżowanie!« »Moje posłannictwo jest dopełnione!« zakończył Mickiewicz, który za każdym razem, gdy Towiańczycy przysięgali, trzymał rękę, wyciągniętą poziomo. Lekcya była skończona. Zaczęto się rozchodzić. Przy wyjściu dwóch mężczyzn ucałowało ręce Adamowi. Pomiędzy rozchodzącymi się Polakami i Francuzami, jedni byli oburzeni, drugich zasmucił fakt, którego przed chwilą byli świadkami, inni się śmiali.

Byłoby rzeczą ciekawą wiedzieć, czy Słowacki, po zerwaniu z *Kołem,* a więc odłączywszy się głównie od grona Mickiewicza, uczęszczał w dalszym ciągu na jego prelekcye, czy też chodzić na nie zaprzestał. Jeśli chodził, to był świadkiem i tej sceny, a może należał do tych, co brali udział w tej manifestacyi. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że były to wykłady o *Biesiadzie* Towiańskiego, że z tych wykładów spływało światło nowego objawienia, jednem słowem, że pozostawały w najściślejszym związku ze Sprawą, przy której Słowacki »trwał wszystkiemi siłami«, toby należało wnosić, że choć zerwał z *Kołem,* mimo to na wykłady w *Collège de France,* zarówno Mickiewicza, jak Micheleta i Quineta, chodzić nie przestał.

Cokolwiekbądź, jedno jest pewnem, że się już miało pod koniec tym wykładom, że w d. 27 maja wyszedł Mickiewicz na katedrę po raz ostatni: nadużywał jej, więc mu ją rząd odebrał. Na ostatnim wykładzie, poświęconym głównie Napoleonowi, rozdano słuchaczom — z polecenia profesora — litografowany wizerunek Cesarza, płaczącego nad mapą Europy. Na tem się zakończyła profesorska karyera Mickiewicza.

W ciągu tego samego tygodnia, kiedy autor *Dziadów* po raz ostatni przemawiał z katedy w Collegium, Słowacki otrzymał list od pani Bobrowej, z Drezna, list z wymówkami, że nie pisze do niej, że widocznie zapomniał o swej przyjaciółce, list wesoły, pełen żartobliwego tonu, (którym w ogóle odznaczały się listy pani Bobrowej do Słowackiego), pełen różnych wiadomości, ploteczek, a między innemi zawierający i tę wiadomość, że Lolka się bardzo ładnie »zaokrągla«, czego nie można powiedzieć o Zosi, która ciągle jest równie szczupła, jak jej paryski wielbiciel i dostawca cukierków.

Słowacki, uradowany tym dowodem pamięci pani Bobrowej, odpisał jej niezwłocznie, listem, datowanym dnia 6 czerwca 1844 roku. Jest to jeden z jego najpiękniejszych listów. Jako adresowany do Drezna (które poeta znał dobrze, a które wspominał tem milej, że w niem w r. 1831 spotykał się ze swą przyszłą dręczycielką), zaczynał się od kolorystycznego obrazka stolicy saskiej, jednego z tych nieporównanych obrazków, które autor *W Szwajcaryi* tak plastycznie umiał malować słowami. »W Dreźnie, niedaleko kościołka Panny Maryi, blisko także Grüne Gewölbe, i od Elby nie bardzo odlegle, zostawiłem ja część mego tchnienia. Tchnienie to nie tak święte, jak powietrze kościoła, i nie tak tęczowe, jak emaliowane złotem kruże i urny, w skarbcu saskim stojące, i nie tak spokojne, jak

Elba, a jednak coś z tego wszystkiego w sobie mające, zmieniło się w jednego z tych duchów familijnych, które za Panią chodziły i latały, rozwiewając włosy i szepcząc dawne wspomnienia. Pani temu nie uwierzysz może, ale ja mocno przekonany jestem, że Skierce winienem drogie dla mnie wspomnienie Pani; z drugiej zaś strony winienem je tu będącemu we mnie duchowi, sercu, które tęskni, myśli tej, która ściga za Panią, oczom moim, które dziś jeszcze patrzały przy blasku brylantowym rannego słońca na zamknięte głucho okna dwóch domów Elizejskich. Pomimo wymówek w liście Pani, czuć w nim, że Pani wierzysz w słonecznikową pamięć serca mojego, i dlatego ten list jest mi darem nad wszystkie dary, głosem nad wszystkie harmonie (nawet Liszta!), słowem, prawdziwem mi jest szlachetnem dawno-polskiem udarowaniem. Przekonałem się teraz, że wszystkie prace nasze na ziemi, choć pod różnemi formami pokazują się, nie są czem innem w głębi, tylko zdobywaniem duchów, których największa girlanda, za nami idąca, moc naszą stanowi, a mówię tu o umarłych i żywych. Gdybyśmy bowiem umarłych nie mieli, któżby nam dopomógł u osób dalekich? Któżby nam listy od osób, będących daleko otrzymywał? Bez tego podszeptu tych, którzy mię na niebiosach kochają, Pani mogłabyś była żyć dwa lata w Dreźnie i nigdy o napisaniu listu nie pomyśleć, albo nie zdecydować się na rzecz, która dla Pani jest tak małej wagi, jest tak błahym epizodem życia Pani — nawet w Dreznie, a dla mnie jest takiem wielkiem szczęściem — nawet śród wielkiego Paryża. Widzę więc, że moi *niebiescy* usłużyli mi, i tylko część jedną wdzięczności posyłam Pani za list; drugą *Im* oddaję. ...Pierwszego lipca wyjeżdżam znów nad Ocean do Pornic i nietyle dla zdrowia, ile dla pewnego druidycznego monumentu, gdzie przeszłego roku zaklałem dawne cienie krwawych kapłanów. Uczucie to, z którem w noc miesięczną od tych ogromnych na pustem polu leżących kamieni odszedłem, przywołuje mnie do nich napowrót. Sądzę, że nie krwi chcą te duchy, ale chcą człowieka, który przez lat tysiące nawet miłością przelecieć umie i cienie bez imion przywołać. Nie strach mi tych krwawych kamieni, które mi się w myśli pokazują z całą czerwonością przedwieczną; owszem, tęskno mi do nich, jak gdyby między krwią w dole, a smętnym ołowianym księżycem na górze, duch mój, stanąwszy pośrodku, najlepiej się harmonizował z temi bladościami«. W tym tonie był cały list, list długi bardzo, serdeczny, poetyczny, a pozaiczny tylko kilkoma ploteczkami paryskiemi, paru drobnemi wiadomościami o Ale-

ksandrze Potockim i St. Małachowskim. Pani Bobrowa musiała lubić podobne ploteczki, skoro Słowacki, kończąc swój list, w ten sposób się usprawiedliwiał przed nią: »I ja, i Małachowski bez listów jestęśmy (od Krasińskiego). Plotek także niema. I *dlatego* list mój będzie się może pustym wydawał, i za dobroć Pani niewdzięcznym?« Nie obeszło się i bez *post scriptum,* które brzmiało, jak następuje: »Nowina o pannie Lolly bardzo mnie pocieszyła: dobry przykład dla Sofinetki i dla mnie, którzy się nie możemy zaokrąglić. Upadam do nóg panienkom... Nie opuszczaj mię Pani i nie rwij tej cudownej, jakiejś małej niteczki, która podług listu Pani związek nasz stanowi i bez nieświętości zerwaną być nie może. Ile razy pociągniesz Pani za tę nitkę, to odezwę się, jak dzwonek, nawet z poza świata i po wiekach«.

II.

Stosownie do powyższej zapowiedzi w liście do pani Bobrowej, że 1 lipca znowu wyjedzie do Pornic, opuścił Paryż, a obrał tą samą drogę, co w roku zeszłym, przez Orlean i Tours. Dlatego pod względem zewnętrznym różniła się ta podróż bardzo mało od zeszłorocznej: tyle tylko, że teraz jechał o dwa miesiące wcześniej. Ale pod względem wewnętrznym, psychologicznym, różniła się znacznie. Dziesięć miesięcy temu, kiedy wyjeżdżał z Paryża, był mocno szwankujący na zdrowiu, ale wyjeżdżał wesół, »jak student na wakacye«, a wesół dlatego, że po powrocie do Paryża spodziewał się zastać panią Bobrową; teraz przeciwnie, wyjeżdżał zdrowszy bez porównania, aniżeli wtedy, bo zeszłoroczne kąpiele tak go orzeźwiły, że przez całą zimę żył tą czerstwością, ale nie wyjeżdżał w tak dobrym humorze: jechał smutny raczej, w tem przekonaniu, że »morze także i dla myśli potrzebne«, tej myśli, która od ostatniego listu od pani Bobrowej nieustannie krążyła koło niej. Ztąd niewypowiedziana tęsknota, ztąd źródło smutku i melancholii. »Ten jedyny dom, myślał sobie, gdziem się ja chował z taką ufnością, gdziem szedł z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia, zniknął i uleciał gdzieś, jak chata Loretańska, na wschód« — i będzie pusty, kiedy powrócę do Paryża.

W takiem usposobieniu dojechał do Pornic, gdzie tegoroczne lato miał spędzić razem z całą rodziną księcia Adama Czartoryskiego. który tego roku także tę miejsco-

wość obrał na miejsce letniego pobytu. Kto wie, czy się to nie stało za sprawą Słowackiego, który bywając przez cały rok w *Hotelu Lambert*, mógł księstwu tyle opowiadać o Pornic, tak zachwalać tamtejsze kąpiele i okolice, że księstwo zdecydowali się przekonać osobiście, i zamiast pojechać gdzieindziej, pojechać tam właśnie. Świadczyło by to, że Słowacki był w bardzo zażyłych stosunkach z Czartoryskimi. W każdym razie, jeżeli książe Adam z rodziną bawił tego roku w Pornic, to musiał tam bawić również i Hipolit Błotnicki, który, jak zawsze, tak i tego lata, mógł być tem ogniwem, łączącem Słowackiego z księciem i jego rodziną.

Bądź co bądź, Słowacki, kiedy przyjechał do Pornic, czuł się tu od razu, jak w domu. Jeszcze nie zajechał przed hotel, a już go, kiedy w dyliżansie jechał przez miasto, poznawali wszyscy, wszyscy go witali uśmiechami, nie wyłączając wieśniaków, którzy go dobrze pamiętali z zeszłego roku; cóż dopiero, kiedy zajechał do oberży, gdzie go odrazu oberżysta z żoną, staruszkowie, jak Filemon i Baucis, otoczeni tłumem służących wieśniaczek, oblegli do koła, poczem otworzyli wszystkie pokoje do najęcia, ażeby sobie wybrał najdogodniejszy. Jakoż zamieszkał w oberży, nie jak roku zeszłego, w chacie wieśniaczej. Uważał, że mu tutaj będzie wygodniej. Zdaje się, że był to jedyny hotel w całem Pornic. W takim razie zamieszkali w nim i księstwo Czartoryscy. »Wkrótce po przybyciu mojem, cała oberża napełniła się przyjezdnymi i stała się brzmiącą (bo z belek sosnowych i desek budowana), niby skrzypce jakiego olbrzyma, mirmidonami napełnione; głos fortepianu, gwary dzienne, a tupoty tańców wieczorne, rozlegały się bezustannie, bo tu ludzie innego szczęścia nad rozrywkę nie znają, ani nawet domyślają się, że szczęście i wesele w duszy być może...« Zresztą nic się nie zmieniło, od zeszłego roku: morze tak samo szumiało, jak wtedy; kobiety tak samo jak wtedy, musiały się kąpać w kostyumach, a rozbierać w kabinach, wskutek czego były, zdaniem Słowackiego, nieszczęśliwsze od mężczyzn, którym była pozostawiona zupełna swoboda pod tym względem; druidyczne kamienie tak samo, jak od wieków, czerniły się wśród smętnej przestrzeni pól; a ludzie nawet się postarzeć nie zdążyli. Wszystko szło dawnym trybem, jakby nie rok upłynął, ale dzień jeden. »Ten sam żebrak — pisał Słowacki do pani Bobrowej — siedzi na drodze i każdy łachman jego taki, jak dawniej. Moje druidyczne kamienie nie osunęły się do ziemi, mój doktor nie postarzał, oberżysta nie został deputowanym (o czem marzył widocznie), sługi mię

poznały, żebrak, oberżysta, doktor, nie zapomnieli; dla tych ludzi rok jest mgnieniem oka, chwilą: anieli jacyś przeprowadzają ich po ziemi, zmianę rzeczy zakrywając skrzydłami«.

Ale były jeszcze i inne osoby, które nie zapomniały o poecie, a do tych należała przedewszystkiem pani Becu. List od niej, adresowany do Paryża, zkąd mu go portier Millet przysłał do Pornic, otrzymał w pierwszych dniach pobytu swojego nad morzem. Poznawszy pismo matki, zamiast list rozpieczętować odrazu, poszedł z nim na brzeg morski, chciał bowiem, ażeby czytaniu tego listu wtórowały »wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą bladych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione, gdzie wszystko jest smętne: miłe i szeroko błękitne«.

Na tych samych polach przeczyta w kilka dni później inny list, przy którego czytaniu pewno mu serce biło żywiej, aniżeli przy czytania listu od matki, albowiem był to list z Drezna od pani Bobrowej, odpowiedź na jego poprzedni list z Paryża.

Odpisał nań natychmiast (18 lipca), co mu nastręczyło sposobność, że znowu napisał jeden ze swoich najpiękniejszych listów, a list jego, przepuszczony przez alembik analizy psychologicznej, dowodzi jednej rzeczy, że Słowacki, przez cały czas tegorocznego pobytu w Pornic, najwięcej myślał o pani Bobrowej, że wspomnienie jej, marzenie o niej, szło za nim, jak cień. Ażeby się zgodzić na to, wystarcza przeczytać sam początek listu. »Pani! Aż z nad fal zielonego Oceanu, abym dowiódł, że nie są one wodą Letejską, ale owszem słonemi łzami nimf wodnych, piszę ten list. Bo Pani jesteś jedną z tych osób, których wspomnienie, nie wiem, dlaczego, sięga mię w najodludniejszych chwilach życia. Wczoraj, na pustych i wietrznych polach zbierałem kwiaty dla Pani, nie naśladując w tem nikogo, tylko poddając się myśli jakiejś, marzącej i niewytłumaczonej. Potem ten bukiet tysiączno-kolorowy niosąc nad głucho-szumiącem i błękitnem morzem, chciałem, aby mi ono dało korali i pereł, aby te w bukiet być mogły wplecione. I zaprawdę, że taki bukiet ze stepu i z morza, stojący przed Pani oczyma, oczarowałby podwójną siłą dwojga królestw natury. Wystaw go sobie Pani myślą i niech duch tego bukietu zjawi się Pani we śnie lub w marzeniu, w oczach na pół przymkniętych, w tem pół-dziennem świetle, w którem jawią się nam wspomniane osoby... Co Pani robisz? Czem jesteś zajęta? Czy to jest dziełem farfadetów, a sług Pani, że tu zajechała do Pornic, jedna osoba, trochę postacią i oczu

błękitem i czarnem ubraniem Panią przypominająca? Po co egzystują na świecie te fałszywe semitony podobieństw, które, jak muchy, brzęczą około ucha i ciągle go utrzymują w niespokojności? A ja, czemu ja zupełnie obronić się nie mogę od wszystkich brzęczeń i promyków i łechtań jakiejś próżnej imaginacyi, a może skutków serca próżnego? Królestwa nie straciłem, a jak Król Lear włóczę się po wietrznych wrzosach i polach ciernistych. Nikt mię nie zdradził, jak córki Leara, a ja jednak, jak gdyby za zdradę jakąś, wiatr wyjący przeklinam; nic nie straciłem, a jednak za wszystkiem tęsknię, wszystkiego pragnę, a nic nie wziąłbym, choćby mi wszystko dawano. Smutno mi w Pornic... Chciałbym, ot, abyś Pani tu się zjawiła na dzień jeden, abyś usiadła na płycie granitu, który kościół Druidów pokrywa; abym ja stanął ze strony, gdzie włosy Pani powieją; aby tak na nas, cicho tam będących, psy pasterskie zaszczekały, jak na mnie szczekają; abyś Pani słyszała i zlękła się na szelest trącej się o kamienie paproci; abyś okiem obejrzała ten okrągły i smętnie blady horyzont, pełny morza i pustej ziemi. Takiej jednej chwili chciałbym teraz, albowiem pusty jestem, jak te stepy, i rozkochany w pustyni serca mojego, które się ani poddało, ani pękło. Skarżę się i skarżę bez końca, jak muszla z wymarłym w sercu ślimakiem. Ale Pani mi ten szum i te szumowiny wybaczysz, chcąc widzieć w liście moim to, co jest w nim na dnie: szczerą i wielką — i pokorną — przyjaźń, która nigdy nie przyrzeka więcej, niż chce dotrzymać, ale czasem dotrzymuje więcej, niż przyrzeka«.

Wraz z listem tym, adresowanym do Drezna, posłał Słowacki dręczycielce swej na pamiątkę — lusterko, oprawne w ramki z samych jaszczurek. Chodziło mu o to, ażeby jej jakiś przedmiot przypominał go raz po raz: wybrał lustro, raz dlatego, że mu się właśnie to lustro, dzięki oryginalności swych ramek, spodobało, a powtóre, że pani Joanna, jak każda kobieta piękna, musiała być i trochę próżną, czyli, że często lubiła przeglądać się w lustrze. Wiedział o tej słabostce jej Słowacki i dlatego na upominek wybrał lustro, pragnął bowiem, ażeby o nim przypominano sobie jak najczęściej. »Przejrzałem się w tem zwierciedle i lękam się, aby w niem cień mojej twarzy nie został (widocznie był bardzo mizerny) i nie pokazywał się w nocy upornie; zwłaszcza, że przyszła właścicielka tego lustra wierzy w pokazanie się widm zalustrzanych. Przeszedłem przed tem lustrem, jak może przed Pani pamięcią, nie zostawiwszy na tem szkle żadnego rysu, ale oczy moje w niem były«.

W liście tym, w *post scriptum,* znajdował się także dowód, że Słowacki utrzymywał w Pornic stosunki z Czartoryskimi, że się z księztwem musiał komunikować częściej, skoro ztąd właśnie, pisząc do pani Bobrowej, mógł pierwszy donieść jej o małżeństwie jednego z synów księcia Adama Czartoryskiego. Zapewne wiadomo Pani, pisał Słowacki, że »Guguś wstąpił w śluby małżeńskie i w jednym z najstarożytniejszych zamków francuskich połączył herby Jagiellonów z herbami nie wiem jakiemi«. Zdaje się, że przez tego Gugusia rozumiał Słowacki ks. Władysława Czartoryskiego, ożenionego, jak wiadomo, z księżniczką Orleańską. Z tego wynika, że i panią Bobrową, kiedy mieszkała w Paryżu, musiały z *Hotelem Lambert* łączyć bliskie stosunki, skoro jej ks. Władysław znany był, jako Guguś. A ztąd znowu wniosek oczywisty, że Słowacki, musiał się z panią Bobrową spotykać między innemi i u ks. Czartoryskich.

Tymczasem bawił w Pornic i czas mu schodził bardzo przyjemnie, choć jednostajnie. Po za stosunkami towarzyskiemi, od których nie stronił, tak dalece, że nawet bywał na owych wieczorach tańcujących (właściwie powinno się mówić *tanecznych* albo *tańczonych),* któremi tak często rozbrzmiewały drewniane ściany hotelu, najwięcej przebywał sam, włócząc się po wybrzeżu morskiem, zamyślony, wsłuchany w melancholijne szemranie fali, podobny do owego harfiarza greckiego z wyspy Scio, o którym pisał we wstępie do *Lilli Wenedy.* Któregoś dnia, w czasie jednej z takich samotnych przechadzek, ujrzał wiejską dziewczynę, pasącą krowy. Było to o zachodzie słońca. Poeta, z cygarem w ustach, siedział na kopcu druidycznym, upity wonią tamarynów i chwastów, które mu u nóg rosły, zamyślony, z przymkniętemi oczyma. Tak przesiedział czas jakiś, jakby senny. Kiedy się ocknął i otworzył oczy, ujrzał, że słońca, którego krąg płomienisty zdawał się przed chwilą zapadać za horyzont, już nie było nad morzem, »tylko długa i smętna wstęga purpurowa łuny ciągnęła się na zachodzie«. Na tle tej ciemno-pąsowej łuny ujrzał poeta — jak się wyraża w jednym z późniejszych listów do pani Bobrowej — »postać sylficzną Druidessy, trochę biedną, trochę żebracką, ale cudownie ładną i kształtną«. Szczególniej włosy miała piękne, włosy złote, lekkie, jak pajęczyna, wiatrem morskim »jak struny harfy ossyanicznej«, w jedną stronę odwiane. Na nogach miała chodaki drewniane, nabijane gwoździami. W chodakach tych wyglądała tak, a przynajmniej zrobiła takie wrażenie na poecie, jakby miała pod sobą »dwa półksiężyce z gwiazd,

które, ku zachodnim zorzom obrócone, prawdziwie paliły się meteorycznym blaskiem«. Była to dziewczyna 10-letnia, zwykła pasterka, ale miała w sobie coś dziwnego, coś, co ku niej Słowackiego pociągało w jakiś sposób nieprzeparty. Jakoż zbliżył się do niej, zapytał o nazwisko, a gdy mu powiedziała, jak się nazywa, doznał dwojakiego wrażenia: raz, że było to nazwisko bardzo proste, a powtóre, że było w niem coś czarującego. Co to było, nie umiał powiedzieć; to pewna, że się dlań to imię stało wkrótce »najbardziej czarującem imieniem na świecie«. Odtąd spotykał ją prawie codzień, rozmawiał z nią, słuchał jej opowiadań, aż w końcu doszedł do mistycznego wniosku, wysnutego z teoryi o metampsychozie, że głos tego dziewczątka, inteligencya niezwykła, melancholia, delikatność, przeczucia, uczucia, reminiscencye, przenikliwość i mistyczność, świadczyły o królewskiem pochodzeniu tej pasterki, w prostej linii od Normy i Adalgizy. To przypuszczenie przerodziło się w pewność, tak, że poeta-mistyk, podczas swych wieczornych gawęd z tą pastereczką, wyobrażał sobie, że w tej dziewuszce, która w jego oczach »sama z siebie była poezyą«, pokutowała dusza jakiejś druidycznej królewny czy kapłanki. W tem przeświadczeniu czuł się nawet onieśmielony względem niej, tak dalece »królewskość jej ducha« panowała nad nim. Pasterka tymczasem, ani domyślając się, że tak imponowała poecie, opowiadała mu, jak ciężko im tu upływa życie, ciężkie w lecie, a jeszcze gorsze w zimie, albo też opowiadała mu miejscowe podania i baśnie. Poeta słuchał i utwierdzał się w swem przekonaniu o jej królewskości. W najdrobniejszych faktach widział dowody tej królewskości. Tak np. razu pewnego, widząc ją, że pasła krowę dość chudą, chciał się dowiedzieć, czy ona jest córką domu, do którego ta krowa należy, czy tylko — służącą. Kiedy ją zapytał o to, nie wprost jednak, ale frazesem, tak nie obrażającym jej duszy, że pewnie żadne inne 10-letnie dziecko nie domyśliłoby się o co chodzi, ona w tej chwili wzdrygnęła się, jak jelonek i, bawiąc się niby medalikiem złotym, który wisiał na jej szyi, podniosła drugą rękę do nieba i z dziwną melancholią odrzekła: »O! Pan Bóg nie pozwolił jeszcze, abym ja obcym ludziom służyła!« Poeta był poprostu »do łez« rozczulony tą odpowiedzią. Pod tem wrażeniem pisał do pani Bobrowej. »Takie są tajemnice Norm, które od kamieni druidycznych duchami odlecieć nie chciały. Są to w pastuszkach dumne i piękne dusze, które raz może spotykają człowieka, z którym się rozmówić mogą, a widząc go, przychodzą śmiało, z prostotą gołębi, siadają przy śpiącym, czekają aż oczy

otworzy. Mówią do niego, jakoby go brały na świadectwo, że wiedzą, czem są, i odchodzą spełnić swój żywot biedny i pracowity. Nie śmiej się ze mnie Pani, proszę, ani posądzaj o żadną egzaltacyę wymuszoną. Ta mi dziewczyna była nauką i pokorniejszy wstałem z tych kamieni, niżem był, gdym się na nich, jak marmurowy kto, rozciągnął«. Dlatego uważał, że spotkanie z tą pastereczką było najważniejszym faktem z jego dwumiesięcznego życia nad morzem; że zaś, jak w roku zeszłym, miał z sobą i sztambuch i ołówki, więc, obok całego szeregu widoków z Pornic, które rysował, narysował i tę małą pastereczkę, siedzącą na skale druidycznej, na tle Oceanu. Nadto uczcił ją osobnym wierszem *Do pastereczki siedzącej na Druidów kamieniach w Pornic nad Oceanem.*

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje:
Nad głową — jak zawoje,
Jutrzenki pełne róż
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły
A ty na monumentach
...byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Dyaną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecięciem,
Smutkiem i wniebowzięciem.

W ten sposób upłynęło Słowackiemu w Pornic dwa miesiące.

III.

Do Paryża powrócił pierwszych dni września. Przedewszystkiem, ledwo przyjechał, zaczął tęsknić za panią Bobrową. Rok temu, kiedy wrócił z Pornic, jeszcze tego samego dnia odwiedził ów »dom Elizejski«, gdzie się chronił z taką ufnością, gdzie z taką wiarą szedł po trochę ciszy i współczucia«: teraz ten dom zniknął, jak »chata Loretańska«: pani Joanny nie było w Paryżu. Gdzie przebywała w tej chwili, nie wiedział nawet. Czy jeszcze bawiła w Dreznie? Chyba nie. W takim razie musiała już być w Krzemieńcu. Jeżeli była, to zazdrościł swej matce, która się z nią tam widywać mogła. Tymczasem nie otrzymywał żadnego listu z domu: nikt nie pisał do niego, ani matka, ani Teofil, ani pani Bobrowa, ani Zosieńka. Gdzie się po-

dziewali wszyscy, nie miał pojęcia. Ztąd niespokojność o matkę, a smutek w duszy, kiedy pomyślał o matce Zosieńki. I dziwnego doznawał uczucia: oto z przyjemnością i rozrzewnieniem wspominał te czasy, kiedy go pani Bobrowa dręczyła, kiedy się czuł z jej powodu najnieszczęśliwszym z ludzi, kiedy chciał umrzeć »dla spoczynku«, kiedy go ogarniała rozpacz, kiedy się szamotał, jak motyl, przekłuty szpilką. Był nieszczęśliwy wtedy, to prawda; ale czuł przynajmniej, że żył, miał serce napełnione: kiedy dziś, co? Czuł pustkę dokoła siebie, pustkę, której mu nawet mrzonki messyaniczne nie potrafiły wypełnić. Trudno: *das Ewig-Weibliche zieht uns heran!* Człowiek, kiedy przejdzie trzydziestkę, czuje potrzebę towarzystwa kobiecego, pragnie jakiejś duszy kobiecej, któraby go dopełniała, do którejby go coś wiązało, ciągnęło, z którąby jego dusza tworzyła jakiś akord. Nawet, kiedy ten akord brzmiał smutnie, jak ten, który jego dusza stanowiła z duszą pani Joanny, zawsze to było lepsze, aniżeli niemożność stworzenia takiego akordu. Wprawdzie miał kilka znajomych kobiet, u których mógł bywać, ale żadna z nich, nawet »cudnej piękności« pani Reitzenheim, nie mogła mu zastąpić towarzystwa pani Bobrowej. Panią Bobrową kochał i dlatego tęsknił za nią tylko, za jej towarzystwem, za jej Elizejskim domem. To też, kiedy pisał do matki (3 października), napisał między innemi, pod wpływem tych myśli o swej dręczycielce, takie wyznanie: »Często pozwalaliśmy, iż nas fala smutku gięła i kładła na ziemi. Ileż razy cała moc ducha naszego poszła na fajerwerk, spalony przed oczyma *kochanej osoby!* Ileż razy oddaliśmy wszystko, co w nas było, a potem, ze smutkiem wypróżnionego z ognia posągu, czekaliśmy ponuro na stronie, aż się ciało rozsypie. Dusza, z takiego ciała wychodząca, rodziła się znów, już smętna, już pełna rozpaczy i zachceń niewymówionych, tak, iż zdarzało się często, że prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwiał, dlaczego z taką ją na świat przysłał naturą«. Ale ta epoka »ciała ucisków«, choć przeciwna wzniosłym teoryom nowego objawienia, miała swoje powaby i uroki. Poeta potępiał je, a jednak, choć wstyd mu było przyznać się do tego otwarcie, z utęsknieniem pewnem myślał o nich. W zasadzie był im przeciwny, ale zasadzie tej sprzeniewierzyłby się bardzo łatwo: wystarczałoby na to, ażeby pani Bobrowa przyjechała do Paryża.

Tymczasem otrzymał list od matki, z którego dowiedział się, że pani Bobrowa już przyjechała do Krzemieńca,

że była u niej, że jej oddała jego ostatnie utwory dramatyczne, że się widują, że bywają u siebie, że pani Bobrowa jest bardzo miła, że Zosieńka jest prawdziwym aniołeczkiem, etc., etc. Poeta był rozczulony. Pod wpływem tego uczucia, odpisując matce, pisał, iż wyobraża sobie »ten dom, gdzie otoczono ciebie wspomnieniami o mnie, gdzie ten mały aniołek (Zosieńka) prawdziwie po anielsku śpiewał ci o duchu moim, bo zaprawdę Bóg go natchnął i dał mu takie uczucie, jak gdyby coś z pośmiertnej chwały synowskiej zaśpiewał tobie«. I cieszył się, że pani Bobrowa okazała się tak uprzejmą dla jego matki, cieszył się, że Zośka okazała się takim aniołeczkiem, że pani Becu bywa u nich, że rozmawiają o nim, a wspominają go mile; ale jednocześnie był smutny, że on tam z niemi być nie może, że go tyle mil oddziela od Zosi i jej uroczej mamusi. Kiedy przechodził polami Elizejskiemi, koło domu, gdzie mieszkała pani Bobrowa, ogarniał go niewymowny smutek — smutek, z którego nawet nie robił tajemnicy przed matką, do której pisząc, zanosił następującą prośbę: »Jeżeli będziesz widzieć Zośkę, droga moja, to powiedz jej (a nie tyle jej, ile jej matce), że *bardzo smutny* przechodzę koło sąsiedzkiego domu, gdzie mieszkała«. Powyższe słowa są bardzo wymowne, a pani Bobrowa, jeśli je przeczytała, wiedziała najlepiej, co o nich myśleć.

Ale w liście od pani Becu, w którym była miła wiadomość o przyjeździe pani Bobrowej, była i inna wiadomość, bardzo przykra dla Słowackiego: mianowicie krytyka dramatów, które pani Bobrowa przywiozła pani Becu od syna. Dramaty te nie podobały się matce poety. Rozczarowała się niemi, a co gorsza, zasmuciła. Spodziewała się czego innego. Myślała, że utwór, który w tytule nosi jej imię, będzie inny, jak *Sen srebrny Salomei*. Ten ustęp z listu matki, to jej »rozczarowanie względem Salusi« spadło poecie »na serce ciężko«. Był smutny przez cały dzień. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego.

Szczęściem, że razem z listem tym otrzymał miniatury ojca, matki i Teofila, które zaraz porozwieszał na ścianie nad łóżkiem. »Ojciec mój — pisał o tych miniaturach do matki — spokojny, ty uśmiechająca się smutno, Filo gdzieś w stronę patrzący, z powagą orlą i spokojną«. Niestety, miniatura pani Becu, na której podobieństwie zależało mu najbardziej, najmniej była udatną. Prawdę powiedziawszy, była bardzo nieudaną nawet. Słowacki, patrząc na nią, doznawał uczucia bólu. To też nie bardzo chętnie się jej przypatrywał. »Ta miniatura — pisał do Stattlera —

wydarła z myśli mojej bezcenne płótno, na kawałki je potargała i chybaby teraz sam Murillo przyszedł obraz ten restaurować, a ja miał milion, abym go mógł za pracę wynagrodzić. Przyznaj mi, że taki miniaturzysta, jak ów mój, jest szczurem, gryzącym obrazy; *płosz* pięknością tych karykaturzystów natury«.



ROZDZIAŁ IV.

ROK 1845.

Początek roku 1845 — pogodny. *Kółko* Słowackiego. Samotność. List od pani Bobrowej — z gałązką wrzosu. »Wielka kobieta«. Odpowiedź Słowackiego. List do matki. Pani Becu o *Księdzu Marku* i *Śnie srebrnym Salomei*. Słowacki pisze ostrą odpowiedź. List do Władysława Słowackiego. II. Słowacki tworzy nową naukę. Kwiecień i maj 1845. Krasiński w Paryżu. Spotkanie ze Słowackim. Niedoszły pojedynek. Poemat w rodzaju *Nieboskiej komedyi*. Tęsknota za panią Bobrową. Wycieczka do La Trappe i Trouville. Wychodzą *Psalmy przyszłości*. Wiersz *Do autora Trzech psalmów*. Śmierć Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Słowacki »mocno chory«.

I.

O ile poprzedni rok zaczął się dla Słowackiego smutnie, o tyle początek roku 1845 wypadł dlań pogodnie. Czuł, że jest lepszym, godniejszym kochania, niż dawniej, że się coraz bardziej z człowieka, który »miał uczucie nieśmiertelności ducha swego«, a za cel główny uważał sławę ziemską, stawał człowiekiem uduchowionym, że dawnych »brudów« t. j. słabostek i małostek miał coraz mniej. To przeświadczenie — jakkolwiek nie wolne od złudzeń — dawało mu szczęście. Wprawdzie matka nie mogła się przyzwyczaić do tego Julka, jaki się pokazywał z jego »oskrobanej figury«, bo przywykła do jego dawnego tonu, do »błyskotnych szat«, w których występował, do melancholii, do jęków, które ją uderzały, jak głos znajomy jej sercu; lecz otoczenie jego, koledzy z klubu, snać powodowani jakiemś zbiorowem a niewytłumaczonem »przeczuciem

ducha«, dawali mu dowody, że wolą go takim, jakim był teraz, aniżeli takim, jakim był dawniej; a dowodziła tego »liczba tych, którzy się teraz z jego myślą i uczuciem zapoznawali, a pierwej byli obojętni«.

W ten sposób zaczęło się przy Słowackim grupować drugie *Koło*, zrazu małe, z biegiem czasu rosnące w liczbę, a złożone z ludzi — przeważnie młodych — którzy, zbliżywszy się do poety, przylgnęli do niego, stawali się jego uczniami, słuchali jego nauk, kochali go. A on? On wyobrażał sobie, że jest pomiędzy nimi, jak Chrystus między swymi uczniami, że pełni swoją missyę, że pracuje dla Boga, że tych ludzi przerabia w aniołów. »Ci, którzy mię odwiedzają, są to ludzie, którzy najczęściej z daleka przybyli, z ciekawości przyszli, a z braterstwem odchodzą, często przez godzinę jednę tak uciśnieni, że, wychodząc, w oczach mają łzy rozczulenia, a na szyję mi najdroższy łańcuch rzucają — uścisk; to wszystko, co mam i czego żądam, teraz i pod koniec wieku«. Nadmienić wypada, że i niektórzy z pomiędzy członków *Koła* Mickiewiczowskiego, jak np. Jan Nepomucen Rembowski, powiększali to grono uczniów Juliusza...

Nie znaczyło to, ażeby Juliusz żył tylko w tem gronie wyłącznie, ażeby i w świecie, w atmosferze salonów, nie szukał wytchnienia po »pracy« z uczniami, lub po swej literackiej pracy, w której także nie ustawał. Owszem od świata nie stronił w dalszym ciągu, bo i wśród tych ludzi miał, jak sam powiada, dosyć przychylnych i życzliwych; nie gardził tą przychylnością, przeciwnie, był wdzięczny za nią, choć w tem otoczeniu musiał postępować, ze wszystkimi, »jak z kryształowemi lalkami, bojąc się zniszczyć tego, co w nich jest pół-doskonałością, aby po zniszczeniu pół-szlachetności, pół uczucia, pół-zapału, pół-energii i pół-miłości«, nawet i to nie znikło. Swoją drogą męczyła go czasami ta filozoficzna dyplomacya, i dlatego nieraz miał czoło smutne, a ludzie widząc to, sądzili, że cierpi, że się czuje nieszczęśliwy.

Jedno mu się tylko dawało we znaki, to samotność serca. Dopóki była w Paryżu pani Bobrowa, nie czuł osamotnienia pod tym względem; od czasu, jak wyjechała, zdarzało się często, że sobie nie umiał znaleść miejsca, że nie wiedział, gdzie się obrócić. Ogromnie żałował, że pani Bobrowa wyjechała. Jedyną pociechą, jaką miał w tem strapieniu, były listy od niej lub od Zosieńki.

Jeden z takich listów doszedł go właśnie w połowie stycznia, a gałązka wrzosu, zerwana w pobliżu domu pani Bobrowej, świadczyła, że jednak i pani Bobrowa czasami

myślała o swym paryskim wielbicielu, że go wspominała niekiedy, a wspominała z sympatyą. Tego dowodziła ta gałązka wrzosu, którą poeta znalazł w tym liście z Krzemieńca, a która, jeśli go rozmarzyła, nie można się dziwić. W każdym razie, czegoby nie dokonała ta sentymentalna gałązka, tego dokonał sam list, w którym pani Bobrowa opisywała swój stosunek do pani Becu, wrażenie, jakie na niej uczyniła matka poety, miłość, jaką dla niej zapłonęła Zosieńka, sympatyę, z jaką ją witano zawsze, kiedy przyszła, etc. etc. Między innemi było w tym liście (pisanym, jak wszystkie listy pani Bobrowej, po francusku), takie zdania o pani Becu: »*J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'esprit et de sentiments!*« List ten, choć pisany w grudniu, był odpowiedzią na list Słowackiego, pisany z Pornic: ztąd ciekawość pani Bobrowej, jak poecie upłynęły te dwa miesiące nad morzem, i życzenie, aby jej opisał »najważniejszy fakt« z tego pobytu. Nadto, jak w każdym liście pani Bobrowej, tak i w tym nie brakło zapytań o Zygmunta Krasińskiego i Aleksandra Potockiego.

Słowacki, przeczytawszy ten list, nazwał panią Bobrową »wobec duchów, które go otaczały« *wielką kobietą*, poczem d. 18 stycznia, odpisał nań. Odpisał nadzwyczaj obszernie, a stosownie do życzenia swej uroczej adresatki, opisał jej »najważniejszy fakt ze swego dwumiesięcznego życia nad morzem«: swoją znajomość z ową 10-letnią pasterką — fakt, o którym przeczytawszy prawie cztery wielkie strony bitego pisma, pani Bobrowa musiała doznać niemałego rozczarowania. Reszta listu, rzewnego, jak wszystkie listy Słowackiego, była o pani Bobrowej, którą poeta porównywał — najnietrafniej — do matki Grachów, a przytem pełna wdzięczności, za serdeczne przyjęcie, jakiego w jej domu doznała matka poety. »Żadnej błahej myśli nie ważyłbym się posłać do domu tego, gdzie matka moja, wszedłszy, zaraz musiała zalać się łzami, przez Zosieńkę rozczulona. Więc i w tej Zośce jest jakiś serdeczny aniołek, który wie, czego matkom potrzeba? Więc to jest także fortepianistka, która z serca matczynego całe girlandy tonów wydobywa, najczystsze perłowe nuty znachodzi? W różowej jakiejś była ta dziecinka halucynacyi, kiedy matkę moją przyjmowała, kiedy ją otoczyła wszystkiem, czegom się ja dotykał: pieskiem, sztambuchem (z owym wierszem Słowackiego) i jakąś dziwną lubością, niby matczyną, nad matką zapanowała. To też kwiatek wrzosu, przez nią zerwany będzie mi świętym«. »Gadałem długo, a Pani poczujesz w liście, że mgła ciemna wisi nad Pary-

żem, i od strony Pól Elizejskich, gdzie mi dawniej *jaśniej bywało*, pędzi na ulicę Pontieu swe czarne kłęby, z dymem zmięszane. Nic nowego nie słyszałem... Proś Pani Boga, aby nam wrócił dawny dzień jasny, w którym by te wszystkie pół-cienie zniknęły, bo teraz wszystko na winę czasu złożyć możemy: jam temu przypisywał długie milczenie Pani względem najwierniejszego ze smutnych i niepotrzebnych przyjaciół«.

We dwa dni po wysłaniu tego listu napisał Słowacki do matki, od której od trzech miesięcy nie miał żadnej wiadomości. Pisząc ten list, jeszcze się nie pozbył owego stanu rozmarzenia, w jakim pisał do pani Bobrowej, i dlatego nie brak ustępów w tym liście, bądź odnoszących się wprost do pani Bobrowej, bądź pisanych z myślą o niej. Taki był zaraz początek listu, który brzmiał jak wymówka, a był o owym wrzosie, który »pomimo zimy przyszedł mię z rąk Zośki pozdrowić«; tymczasem lokatorka domu, pod którym rósł ten wrzos, zdaje się zapomniała o swym synu. »Tyś przywykła do takich okazów miłości: w domu Zosieńki (t. j. pani Bobrowej) ukochano Ciebie i kilku słowy odmalowano doskonale, nawet z poniżeniem dla mnie... Piszę obszernie do tego domu, gdzie Zosieńka otoczyła Cię swoją różaną zorzowego aniołka atmosferą. Dziwny mój los, że ja wonią dalekich serc żyć muszę!« To mu nie wystarczało jednak, ani było lekarstwem na jego samotność serca. Dlatego, przyznawał się otwarcie, »zgodziłbym się pójść, jak jezuita, i zmagnetyzować jaką kobietę — sercem, aby mieć coś podobnego do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficielną i po wierzchu omalowaną złotem i kolorami piękności; ale ta myśl bezbożna trwa krótko: wolę nic nie mieć, niż fantazmo i widmo«. Pisząc te słowa, myślał o pani Bobrowej. Podobnie musiał myśleć o niej, kiedy pisał w tym liście, że »wszystko można zwyciężyć, nawet żądze serca własnego«.

Ledwo zdążył list ten wrzucić do skrzynki, otrzymał długi list z domu, od matki, list, który mu popsuł humor na kilka dni, a który był oczywistym dowodem, że »nie można odmienić serca rodzicielskiego kobiety, która zawsze sobie szczęście dziecka podług zwyczajnych ludzi wystawia. O! to słowo straszliwe i wnarodowione u nas: »zrobić karyerę«! Ten wąż straszliwy! Zdruzgotał bym go, jak węża!« Niestety, cały list pani Becu był od początku do końca jednym niezbitym dowodem, że ten wąż leżał ciągle ukryty na dnie miłosnych zachceń pani Becu, że gdzie chodziło o dobro syna, tam przestawała być kobietą niepospolitą. Z tego listu okazywało się wyraźnie, że nie było

porozumienia między matką a synem: co było ideałem matki, synowi wydawało się trywialnem i poziomem. Bo o czem był ten list? O *Księdzu Marku* i *Śnie srebrnym Salomei*, o których mu już pani Becu pisała raz, a którym poświęciła jeszcze i ten list, ażeby i w nim wyrazić synowi swoje niezadowolenie z kierunku, jaki obrał dla swojej twórczości. Przedewszystkiem radziła mu, aby się nie spieszył z drukowaniem, lecz, ochłonąwszy z gorączki, odczytał każdy utwór swój, jakby był utworem innego pisarza... Doskonała rada, której nie można odmówić słuszności, na Słowackim jednak zrobiła wrażenie fatalne: czytając te matczyne rady, miał złudzenie, że stoi »chłostany wodą ze strug drgających, kurczy się, drży cały, jak biedne dziecko, wypędzone na pustość ciemną, na deszcz i błyskawice. A ty potem sama przychodzisz, zdaje się mówiąc: Biedny on! a ja jeszcze bardziej drżę upokorzony tą twoją wielką miłością, jak psiątko pogłaskane«. Swoją drogą tej miłości było w tym liście zawiele, może dlatego, że była to miłość egzaltowana, źle zrozumiana. Ztad niejedna uwaga, brzmiąca jak pochwała, w gruncie rzeczy była naganna. Tak np. pisała pani Becu, że utwory jego są jej miłe dlatego, że w nich zawsze mówił o sobie, a ona go sobie przypominała; albo, że przeczytawszy artykuły o nim z powodu *Beniowskiego* w *Trzecim Maju* i *Demokracie polskim,* do nóg by upadła ich autorom. Słowem, list cały, choć »nerwowemu, sentymentalnemu człowiekowi wydałby się pełnym czułości«, jemu wydał się »zupełnie bez serca«.

W tym samym stylu odpisał; a że pisał pod wrażeniem, w rozdrażnieniu, nad którem nie umiał zapanować, więc napisał list (jak się o nim wyraził łagodnie) »trochę gniewny za to«, że pani Becu »nerwom swoim, czasem rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwala nad głębią duszy swojej panować«. W istocie, list był niesłychanie ostry, pełen złośliwych uwag, pełen sarkazmu, pełen wymówek gorzkich, wcale nie przeniknięty miłością synowską, a tem przykrzejszy w czytaniu, że w nim Słowacki nigdzie nie ma racyi. Bo nie ma racyi, kiedy wyżej stawia *Księdza Marka,* niż *Balladynę* lub *Lillę Wenedę;* bo łudzi się, kiedy myśli, że *Sen srebrny Salomei* mógłby się podobać naszym chłopkom.

Na szczęście list ten został w tece: Słowacki spostrzegł się, że napisał nie tak, jak przystało na kochającego syna-jedynaka, który swej matce zawdzięcza prawie wszystko, i napisał inny list, pełen słodyczy i czułości synowskiej, a tamten zachował na pamiątkę.

Jednocześnie odpisał swemu bratu stryjecznemu, Wła-

dysławowi Słowackiemu, od którego miał list w tych czasach. I ten także odznaczył się żyłką literacką, a pisząc do Słowackiego, przysłał mu wiązankę swych *Ukrainek*, które poecie nie wydały się wiele gorsze od dumek Bohdana Zaleskiego, na których były wzorowane. Dlatego odpisał mu bardzo serdecznie, bo choć Władysław Słowacki był synem Erazma, to jednak, wnosząc z listu, jaki napisał, robił wrażenie wesołego »chłopca stepowego« obdarzonego wielką fantazyą i poczciwem sercem. Tak było w istocie. Niestety, fantazya przeważała, za czem poszło, że czarującej urody »chłopiec stepowy«, zamiast »pić Boga« jak mu to w swoim liście doradzał Słowacki, zamiast poprzestawać na uganianiu się po stepie — z dumką na ustach — za biednym zającem, zamiast siedzieć w swoim dworku dziedzicznym, który — jak go sobie wyobrażał Słowacki — był drewniany, otoczony zielenią drzew, a często »przeświecony strzałem brylantowego słońca«, i zamiast starać się rozwijać swój talent poetycki, wolał hulać i trwonić pieniądze, wolał dnie i noce trawić w towarzystwie »kochanych sąsiadów«, z których w końcu jednego zastrzelił w pojedynku. Z tego powodu był zmuszony uciekać za granicę, ażeby ztamtąd po kilkoletniej tułaczce bez celu, wrócić do Brodów, starać się o pozwolenie powrotu do kraju, a wskutek niemożności przeprowadzenia tego, zastrzelił się w domu zajezdnym.

III.

Równocześnie Słowacki, oddzielony od Mickiewicza i innych braci, »na swoje kopyto, jak się o nim wyraził Gaszyński, zakładał nową religię ducha«, religię, czy filozofię, której on sam stawał się środkiem ciężkości całego porządku świata, a która była dalszym ciągiem Towianizmu, z tą różnicą, że tam prorokiem, »drugim Chrystusem« był Towiański, a tu — Słowacki. Wyobrażał sobie, że jest »świętym wieku«, słowem, porwany rozszalałym prądem fantazyjnych uniesień, wrócił do myśli, którą sam przed laty wypowiedział w *Anhellim:* zaczął się uważać za wysłannika Bożego, za »człowieka-anioła, co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze«. Zdawało mu się, że w sobie poczuł jakby namaszczenie i rozkaz z góry do opowiadania słowa Bożego, czyli, mówiąc innemi słowy, poprostu uwierzył w swoją boskość. Jak to nazwać? Psychiatra nazwałby to — manją wielkości.

Tak upłynęły kwiecień i maj, spokojnie, bez żadnych ważniejszych wypadków. Poeta popadał w coraz głębszy mistycyzm, a zatopiony w kontemplacyach, niby jakiś drugi św. Franciszek z Asyżu, wszędzie dopatrywał się duchów, na każdym kroku słyszał szum skrzydeł lub seraficzny śpiew aniołów, słowem upajał się własnemi marzeniami. Była to epoka, w której istotnie żył, jak święty. Modlił się, w stosunkach z ludźmi, których starał się pozyskać dla swej nauki, przedewszystkiem starał się nauczać ich, tłómaczył się stylem biblijnym, przypowieściami, jak Chrystus, a kiedy zdarzyło się, że w tym samym domu, gdzie mieszkał, na tem samem piętrze, w sąsiedniem mieszkaniu umarła jakaś młoda dziewczyna, on znaczną część nocy, gdy ta dziewczyna umarła leżała tak blisko, przepędził modląc się i czytając na głos Ewangelię, z tą myślą, że czyta dla ducha zmarłej, który go słucha. »Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała, i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego«. Tak pisał Słowacki do matki w maju 1845 roku.

W lipcu przyjechał do Paryża Krasiński, a przyjechał nietyle w interesie *Psalmów przyszłości*, które właśnie wydać zamierzał, ile — jak się zdaje — w celu zobaczenia się z panią Delfiną Potocką. Ta okoliczność i wzgląd, że bawił tu w tajemnicy, nietyle przed rządem rosyjskim, od którego miał paszport tylko do Niemiec i Włoch, ile przed złośliwemi językami ludzkiemi, które na temat niewierności małżeńskiej Zygmunta rozpuszczały istne arcydzieła plotek, sprawiły, że autor *Przedświtu*, stanąwszy nad Sekwaną, pragnął, ażeby nikt nie wiedział o tem, ażeby oprócz paru osób najbliższych, jak Jerzy Lubomirski i Stanisław Małachowski, no i rozumie się pani Delfiny Potockiej, wszyscy byli pewni, że go niema w Paryżu. W tym celu, ażeby nie być poznanym, kiedy wychodził z domu (a mieszkał przy *Rond Point* Nr. 4), zmieniał ubiór i, o ile się dało, samą powierzchowność, nakładał niebieskie okulary, i w takiem przebraniu dopiero, pewny, że jest zmieniony do niepoznania, wychodził na miasto. Przypadek zdarzył, że któregoś dnia — a musiało to być w drugiej połowie lipca — Krasiński, wyszedłszy na ulicę, natknął się ni ztąd ni zowąd na Słowackiego. Autor *Księdza Marka* nie dał się zwieść niebieskim okularom i poznał Krasińskiego odrazu. Podchodzi więc, wyciąga rękę, ażeby uścisnąć dłoń przyjaciela z willi Mills, wita się, ale o dziwo! Zygmunt, za-

miast rozpromienić oblicze, zamiast się ucieszyć z tego spotkania, zamiast uścisnąć rękę, która się wyciągała do niego, zamiast na powitanie odpowiedzieć niemniej serdecznemi słowami powitania, udał zdziwionego tem powitaniem, poczem odrzekł po francusku, że musi to być pomyłka, że musi być brany za kogo innego, i uchyliwszy kapelusza, poszedł dalej. Słowacki osłupiał. Nie mogąc zrozumieć, co to wszystko miało znaczyć, wpadł na domysł, że to jest afront, że go Krasiński znać nie chce, że go nie chce zaszczycić podaniem ręki... Czemu? Tu mógł mu się przypomnieć *Ksiądz Marek*, Marszałek Krasiński, Branicki... Widocznie (myślał sobie) Krasiński tak sobie wziął do serca ten dramat, że się z jego autorem znać nie chce. Tak, ale jeżeli ten domysł jest trafny, w takim razie scena, która się przed chwilą rozegrała pomiędzy nimi, była dla niego, dla Słowackiego, śmiertelną obrazą, wymagającą honorowego zadosyćuczynienia. W tem przekonaniu zdążył się Słowacki — prawdopodobnie od Małachowskiego — dowiedzieć, gdzie mieszka Krasiński, a dowiedziawszy się, posłał mu sekundantów. Jednym z nich był Seweryn Gałęzowski. Wobec tego musiał i Krasiński postarać się o sekundantów. Poprosił Małachowskiego i Lubomirskiego. Zaczęły się pertraktacye, podczas których nastąpiło wyjaśnienie: Sekundanci Słowackiego, dowiedziawszy się, co leżało na dnie tej sceny pomiędzy dwoma poetami, że w postępku Krasińskiego mogło być dziwactwo, ale nie było chęci obrażenia Juliusza, uznali, że pojedynek w tym razie nie ma racyi bytu. Wobec tego Słowacki, który był obowiązany słuchać swych sekundantów, musiał zrezygnować z pojedynku. Mimo to czuł się obrażonym, a jeśli Krasiński po tem wszystkiem nie chciał się z nim widzieć osobiście, jeżeli poprzestał na tem, co zadecydowali sekundanci, a sam się do Słowackiego nie zbliżył, to przyznać trzeba, że Słowacki mógł mieć do niego mały żal z tego powodu... Krasiński żałował podobno, że dopuścił do tego zajścia, którem sobie ze Słowackiego, jak zapewniał, »zrobił nieprzyjaciela na całe życie« (co jest nieprawdą); w każdym razie, jeżeli przyznawał, że sam w tym wypadku zawinił najbardziej, powinien był po załatwieniu sprawy przez sekundantów starać się załagodzić i zatuszować wszystko, jako przyjaciel. Na to wystarczało rozmówić się poufnie ze Słowackim... Tego Krasiński nie uczynił.

Bardzo być może, iż pod wpływem tego żalu do Krasińskiego, żalu jednak, który był krótkotrwały tym razem, zaczął Słowacki marzyć o napisaniu poematu w rodzaju *Nieboskiej komedyi*, dramatu o treści społecznej, którego głównymi bohaterami, jak Hrabia Henryk i Pankracy,

mieli być »Syn ziemi« i »Syn ludu«; w którym podobną rolę, jak Okopy św. Trójcy w *Nieboskiej komedyi* miał grać »Step zmartwychwstania«; i w którym, jak w *Nieboskiej komedyi*, także wszystkie warstwy społeczne grały rolę, z tą różnicą, że w utworze Słowackiego, który miał być dramatem w 5-ciu aktach, autor stał po stronie demokracyi, a na wszystko zapatrywał się przez pryzmat Towianizmu.

Pozatem nie miał się na co uskarżać, nawet na zdrowie, które mu się trochę poprawiło w tych czasach, tak dalece nawet, że »w tym roku (pisał do matki) nie odbywam mojej zwyczajnej podróży do morza, bo jej nie potrzebuję«. Co najwyżej myślał wyjechać gdzie na parę tygodni w okolice Paryża, aby pochodzić po lasach... Ale człowiekowi, jak Słowacki, nie wystarczało, żeby się czuł zdrowym i nic więcej. Nie należy zapominać, że i dusza ma swoje potrzeby. Otóż pod tym względem czuł Słowacki pewną jałowość. Oto, co w tej mierze pisał do matki d. 19: »Ze strony zdrowia bardzo mi dobrze, ale sercu memu braknie przedmiotów umiłowania. Nie uwierzysz, jak nieraz po waryacku szukam serca i ile mi w tem szukaniu leje się łez z oczu«. Inaczej było, kiedy w Paryżu bawiła pani Bobrowa! Teraz, odkąd wyjechała, mógł co najwyżej myśleć o niej, tęsknić za jej towarzystwem, w którem mu tak dobrze na rozmowie schodziły godziny, i z upragnieniem oczekiwać listów od niej. Niestety, pisywała rzadko. Na ostatni swój list, pisany w styczniu, dotychczas nie miał odpowiedzi. »Od Zosieńki dawno już nie mam wiadomości«, pisał do matki we wspomnianym liście z d. 19 lipca, dowodem zaś, że w tych czasach dużo myślał o pani Bobrowej, jest tenże list do matki, w którym jej opisuje między innemi jedną ze swych wizyt u pani Bobrowej, kiedy z nią w r. 1841 bawił we Frankfurcie... Były to najcięższe chwile, jakie miał w życiu, a jednak, kiedy minęły, kiedy na nie padła zasłona lat czterech, wspominał je nie bez wzruszenia, z pragnieniem prawie, ażeby się powtórzyły jeszcze. Byle w nich bohaterką i »dręczycielką« była pani Bobrowa.

Tymczasem zaczął się sierpień. W Paryżu było coraz duszniej; to też poeta, jakkolwiek początkowo nie miał zamiaru puszczać się w dalszą podróż, zdecydował się ostatecznie, ażeby jednak zrobić jakąś wycieczkę. Być może, iż uległ tym razem wpływowi jednego ze swych przyjaciół, również mistyka, który go namówił, ażeby pojechali razem do klasztoru Trapistów w La Trappe, na pograniczu Normandyi, skąd później będzie sobie mógł pojechać nad morze do Trouville. Jakoż pojechali. Pojechali prosto, nigdzie

nie zatrzymując się, aż do La Trappe, gdzie w słynnym klasztorze, ongi przez hr. Rohn Perche w r. 1140 za papieża Innocentego II założonym, przemieszkali trzy dni. Poeta był bardzo ciekawy tego klasztoru: chciał zobaczyć, »czyli powietrze owiewające tych ludzi, prawdziwie złote jest, święte i napełnione ściągniętymi modlitwą aniołami«. Pod tym względem rozczarował się nieco. »Są to ludzie (pisał do matki) dawnego, nie zaś nowego świata: uspokoili się i myślą, że im Bóg winien jest niebiosa... Jeden tylko widok piękny i uczucie winien jestem tym księżom. Raz, stojąc na polu, ujrzałem ich, że wracali z pola, drogą, topolami wysadzoną, ku klasztorowi idącą, wszyscy w białych odzieniach, w czarnych kapturach i napierśnikach, wszyscy z sierpami, przeor na czele, z krzyżem małym na piersiach, z kijem w ręku, jak gospodarz wiejski, i ten sznur biały wracał spokojnie ku klasztorowi, i zda się, że całą szeroką okolicę uspokajał, on, cichy, jak lud umarłych«. Tymczasem »na odległem wzgórzu widać było zwyczajne jakieś żeńce, których niespokojność i wrzaskliwa rozmowa, krakaniu i wrzaskowi ptactwa podobna, uderzała mię w lewe ucho moje, na wiatr, od ludzi idący, zawsze zwrócone«. Po upływie trzech dni, Słowacki, »czując się większym trapistą, niż ci ludzie«, opuścił swego towarzysza, który jeszcze został w klasztorze, i udał się na północ, koleją, do Pont l'Eveque, tu wsiadł na statek parowy i, upłynąwszy przez godzinę 12 kilometrów po rzece Toucques, wysiadł w Trouville, które leży u ujścia tej rzeki, nad brzegiem La Manche. W Trouville zabawił kilka dni, bo był stęskniony za morzem, bo mu widok morza uspokajał duszę i nerwy, bo nigdzie się nie czuł tak dobrze, jak nad morzem. Okolice Trouville są śliczne. Samo Trouville, niewielkie miasteczko, otoczone wzgórzami »dziwnej szmaragdowej zieloności« bardzo mu się podobało. W morzu kąpał się tylko raz jeden »nie dla potrzeby, ale niby dla hołdu falom«. Zresztą cały dzień spędzał na świeżem powietrzu, chodząc po murawach, po wzgórzach; ze wzgórz patrzył »na szerokie błękity, po których statki parowe, jak insekty, chodziły«, ale mimo to zabawił w Trouville »dni kilka« wszystkiego. Czemu tak krótko? Dlatego prawdopodobnie, że pod koniec jego pobytu nad morzem, zaczęły się niepogody, zimno i deszcz. Z Trouville wyjechał w deszcz. Kiedy płynął statkiem parowym, przez całą drogę »paląc cygaro, mimo deszczu, chmurom i wodzie przypatrując się«, niedalej, jak o wiorstę zerwała się szalona trąba powietrzna, która trzem fabrykom po trzy piętra zerwała, przyczem kilkuset ludzi postradało życie.

Kiedy powrócił do Paryża, dowiedział się, że wyszedł nowy utwór poetyczny Krasińskiego, *Psalmy przyszłości* przez Spirydyona Prawdzickiego. Jeden z tych psalmów, *Psalm miłości*, był odpowiedzią na wydane w roku zeszłym, w Brukselli, *Prawdy żywotne narodu polskiego*, tudzież na wyszły niedawno *Katechizm demokratyczny* (czyli *Opowiadanie słowa ludowego*). Były to pisemka ultra-rewolucyjno-demokratyczne, wobec których bladł nawet radykalizm Centralizacyi Wersalskiej, pisemka, apoteozujące lud, potępiające szlachtę, którą gdyby np. wyrznąć w pień — nie byłaby wielka szkoda. Taką była religia tego *Katechizmu demokratycznego*, którego autorem był Henryk Kamieński. »Był to raczej — powiada p. Małecki — zamach ojcobójstwa względem przeszłości własnej, akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Wielka miłość nazwana tu została słabością, powaga — hipokryzyą, umiarkowanie — zdradą. Pół narodu wydziedziczono z czci i odtrącono od posługi krajowej. A wśród tego wszystkiego zapowiadano hałaśliwie, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu...« Przeciwko takim dążnościom był wymierzony *Psalm miłości*.

Słowacki, dzięki owej »odśrodkowej sile negacyi«, którą mu Krasiński przyznawał już w roku 1841, kiedy przeczytał ten *Psalm miłości*, oświadczył się przeciw niemu. Uważał, że słuszność jest po stronie demokratów, nie Krasińskiego, że tylko środkami rewolucyjnemi dadzą się osiągnąć wielkie rezultaty. A przytem — jak to z zadziwiającą przenikliwością zauważył Wł. Spasowicz — teorya *prawą żywotnych* bardziej mu przemawiała do wyobraźni. Człowiekowi bowiem, jak on, *niewyrobionemu politycznie*, a temperamentu rewolucyjnego (którym się wtenczas odznaczała cała Europa) »podobał się sam proces akcyi rewolucyjnej, niby malowniczy ogień pożaru«; dlatego był skłonny do uwierzenia, że »skoro się tylko pojawią kosy, osadzone na drzewcach, a zabrzmią pieśni, wnet runą Jerychońskie mury państw współczesnych«. Powtóre, będąc pod świeżym wpływem owego niedawnego zajścia, Słowacki żywił urazę ku Krasińskiemu. To go czyniło opornym, a usposabiało dokuczliwie.

Takie były pobudki, które skłoniły Słowackiego do napisania wiersza *Do autora Trzech psalmów*, wiersza, który, jak to sam Krasiński przyzna zczasem, jest »jedną z przedziwności języka polskiego«, a w którym poeta staje na wprost przeciwnym biegunie politycznym, aniżeli jego dawny przyjaciel z Willi Mills. Na jaki czas przypada napisanie tego wiersza? Najprawdopodobniej napisał go Słowacki wkrótce po powrocie z Trouville. W tych czasach bo-

wiem, jak pisał do matki, był »często zapominającym się przy stoliku pisarzem«.

Dnia 21 września zmarła w Passy pod Paryżem Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Słowacki napisał jej w liście do matki taki nekrolog: »Odpoczynek jej, ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje; nawet ona sama wiele z tego, co uczyniła, sama wywrócić musi: tamy, przeciwko egzaltacyi kładzione, serca przez nią na kluczyk od spiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują, niż na nogach. Nie wiedząc, sprotestantyzowała kobiety«.

Nadeszła jesień, listopad; zaczęły się słoty i zimna. Słowacki zachorował. Niedość, że kaszlał więcej, ale zaczął czuć przerażający upadek sił, jakieś osłabienie i wyczerpanie fizyczne, które musiało być wielkie, skoro się w końcu zdecydował wezwać do siebie doktora Hłuszniewicza, on, który nigdy nie chciał mieć do czynienia z lekarzami! Przyszedł doktor, wybadał go i przepisał mu picie wody Busang, »której samo nazwisko powie ci, że to jest niby krew wypita, t. j. wzmocnienie i razem ochłoda«. Ta woda bardzo mu dobrze zrobiła. Swoją drogą wystarczało spojrzeć na niego, ażeby nabrać pewności, że to są suchoty, na które ten człowiek, już za życia podobny do widma, musi skończyć prędzej czy później. Jak był mizerny, jak okropnie wyglądał, dość powiedzieć, że od pewnego czasu aż nie lubił przeglądać się w lustrze: sprawiał mu bolesną przykrość jego własny widok.

ROZDZIAŁ V.

LATA 1846 i 1847.

I. Broszura polityczna Słowackiego *Do księcia A. C.* Krasińskiego zainteresowanie się Słowackim. Gaszyński u Słowackiego. Słowackiego list do Krasińskiego. Znowu się nawiązuje korespondencya pomiędzy nimi. Jej krótkotrwałość. Rzeź galicyjska. Zwycięstwo Krasińskiego. Krasiński o Słowackim w listach do Gaszyńskiego i Małachowskiego. Słowacki i »młoda emigracya«. Edmund Chojecki. Ludwik Norwid. Wiersze *Do Ludwika Norwida.* Cypryan Norwid. Pani Bobrowa w Paryżu. Lolka wychodzi za mąż. Wyjazd do Dièppes. Franciszek Szemiot. Wiersz do niego. *Genezis z Ducha.* Powrót do Paryża. *List do J. N. Rembowskiego. Wykład nauki.* Dzieje duszy Słowackiego. *Król Duch.* Studya przedwstępne. Przekład *Iliady.* Krasiński o *Królu Duchu.* Wiersz *Do Juliusza Słowackiego.* II. Rok 1847. Ekstaza i akcye. Majątek Słowackiego. Portier Millet. Posiedzenie *Towarz. Hist. liter.* z dnia 25 marca 1847 roku. Uwielbienie dla Mickiewicza. Nawiązanie stosunku z Goszczyńskim. Wyjazd do Ostendy. Pani Bobrowa. Broszura *O potrzebie idei.* Posiedzenie *Towarz. Hist. liter.* z dnia 7 października. Działalność Słowackiego. Zorza. Pragnienie zbliżenia się do *Koła.* Korespondencya z Goszczyńskim. III. Rozwój choroby Słowackiego. Testament. Józef Mianowski w Paryżu. Kornel Ujejski. Zygmunt Szczęsny Feliński. Jego wspomnienia o Słowackim. Aleksander Niewiarowski. Karol Pettiniaud Dubos.

I.

Rok 1846 zaczął Słowacki w odmienny sposób, anieżeli poprzednie lata: wydał broszurę polityczną *Do Księcia A. C.* t. j. Adama Czartoryskiego, z którym o ile go łączyły bardzo ściśle i bliskie stosunki towarzyskie, o tyle go dzieliły zapatrywania polityczne. Słowackiemu, który — jak się sam nazwał w tej broszurze — był »republikaninem z ducha« nie mogła trafiać do przekonania dynastyczno-konserwatywna polityka Księcia.

Broszura ta wyszła na początku stycznia bezimiennie. Ale była napisana zbyt świetnie, zbyt piękną polszczyzną, ażeby nie poznano odrazu, że autorem jej musi być Słowacki. W liczbie tych, którzy po stylu jej odrazu poznali autora *Beniowskiego*, był Krasiński, który tak z tego powodu pisał do Gaszyńskiego: »Odebrałem odezwę do księcia Adama Czartoryskiego, z dziwną dozą Towiańszczyzny i stylem naciąganym, ale nie bez siły i fantazyi napisaną. Jeśli to nie Juliuszowe pióro, to nader podobne do niego, bo naśladujące je z niesłychaną sztuką naśladownictwa«.

W ogóle, jeżeli chodzi o Krasińskiego, to interesował się teraz Słowackim więcej, niż kiedykolwiek, co dowodziło, że nie znał jeszcze wiersza *Do autora Trzech Psalmów*, który choć nie przeznaczony do druku, ale czytany — i dany do przepisania — przez Słowackiego swym przyjaciołom, odrazu zaczął — dzięki tym przyjaciołom właśnie — obiegać w niezliczonych odpisach. Zanim jeden z takich odpisów dostanie się do rąk autora *Psalmów przyszłości*, co jednak nie nastąpi prędzej, aż za jaki rok, Krasiński zapragnął nawiązać przerwane stosunki ze Słowackim, którego listy zawsze sprawiały mu wielką przyjemność, i gotów był nawet uczynić pierwszy krok do zgody. W tej intencyi, naprzód zaczął się w swoich listach do Gaszyńskiego lub Małachowskiego, którzy mieli możność ciągłego widywania poety, dopytywać o niego, co porabia? czy go widują? a wreszcie dnia 4 stycznia, pisząc do Gaszyńskiego, pytał go o radę »czy ma się odezwać do Juliusza po trzech latach milczenia? Czy mi odpisze? Czym nie stał się przed jego wszechmądrością, jako infusorium, któremu odpowiadać nie warto?« Widocznie jednak, że mu zależało na tem ponownem zbliżeniu się do swego dawnego przyjaciela z Willi Mills, skoro pisząc tegoż samego dnia 11 stycznia do St. Małachowskiego, również go zagadnął w tej kwestyi: »Powiedz mi, czy mam do Juliusza napisać? Jak sądzisz, czy mi odpisze? Może stałem się dla niego mikroskopicznem żyjątkiem... Jednak radbym listownie się z nim rozmówić«. Tymczasem Gaszyński, chcąc się przysłużyć Krasińskiemu, poszedł do Słowackiego, powiedział mu, że się Krasiński dopytuje o niego, a gdy mu Słowacki odrzekł, iż sam Krasiński w ostatnim liście zerwał korespondencyę z nim, żegnając go, Gaszyński oświadczył mu, że Krasińskiego uwiadomi o jego przyjaźni, zaczem pójdzie, iż po upływie 10-ciu dni znajdzie się na ulicy Pontieu list z Nizzy, od Zygmunta. To mówiąc, pożegnał Juliusza, ten zaś, ujęty tym pierwszym krokiem ze strony Krasińskiego, nie wątpiąc o jego dobrych chęciach, postanowił napisać pierwszy, sądził bowiem, że

do niego należy »rozpoczęcie rozmowy i ton jej«. I napisał. A zaczął od tego: »Kochałem Cię, jak dziecko; jakgdybym dzieckiem był, kochając ciebie. Odezwanie się twoje przez Gaszyńskiego, choć ustne, dowiodło mi, żeś wyższy nad zwyczajność. Uprzedzam i pierwszy krok czynię... Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział, nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Możeś słyszał, żem mocno był chory; teraz jestem zdrów do czasu, a żyję póki chcę: to mi Bóg zostawia i w rękę mi dał nić żywota mojego; nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze. Mocno byłem strudzony«. W tym tonie, ujmującym i rozrzewniającym swą serdecznością, był cały list. Nie dziw więc, że Krasiński, wzruszony nim, odpisał zaraz. Juliusz, otrzymawszy list Zygmunta, list, który z pewnością nie był mniej serdeczny, odpisał także, i tym sposobem zaczęli z sobą korespondować znowu. Pod tym względem dobrze zaczęli obaj Nowy Rok. Dnia 3 lutego pisał Krasiński do Małachowskiego: »Od Juliusza wczoraj list miałem. Nic mi takich rzeczy nie gada nigdy, jak tobie: o żadnych sekretach na wytrucie szczurów, czyli rodu ludzkiego, nie wspomina; owszem, piękny i głęboko rozumny list był, w którym pod symbolicznemi upostaciowaniami, pisał to samo mniej więcej, co wiek nasz cały myśli, mówi lub pisze, czyli to, co się w jego wnętrzach wyrabia i ma kiedyś w kształt się ubrać, w czyn wybuchnąć. Zdaje się z pewnych zwrotów jego listu, że on nawet na Sektarzy się gniewa, z powodu nieznośnej ich pedanteryi w pewnych formach i dziecinnego przywiązania do liter umarłych«. O tym samym liście Juliusza pisał Krasiński do Gaszyńskiego w podobnym sensie: »Miałem list drugi od Jula: rozumny i głęboki; żadnych mi facecyi, sekretów ni szaleństw nie pisze; jedno to samo, co wiek nasz cały chce, żąda, głosi, do czego wieki szły wszystkie, a ten wiek szczególniej, choć często się błąka! Chyba on puszcza często szmermele, by widzieć, czy nie otumani drugich; inaczej nie pojmuję różnicy, która zachodzi między tem, co on pisze, a tem, co tobie i Wojewodzie mówi! Zresztą Bóg ich wie wszystkich«.

Nie wiedział Krasiński, kiedy te słowa pisał, że na tym liście miała się jego korespondencya ze Słowackim przerwać ponownie, a tym razem na zawsze. Nie przeczuwał, jak doniosłej wagi złożą się na to przyczyny...

Zbliżał się dzień 22 lutego. Szela zdjął ze ściany topór pobłogosławiony przez apostolskiego Kanclerza, chłop-

stwo pochwyciło noże i, jak szalone, rozbiegło się po szlacheckich dworach. Strugami trysnęła krew niewinna.

Ten ostatni wzgląd sprawił, że Słowacki nie odpisał Krasińskiemu na jego ostatni list. Pamiętał o *Psalmie miłości*, w którym wieszcz radził rzucić hajdamackie noże, bo »słaby tylko rzeź wybiera«, i o swoim wierszu *Do autora Trzech psalmów*, w którym sobie drwił z Krasińskiego-szlachcica.

Gdyby rzeź galicyjska była wyłącznie dziełem Metternicha, Słowacki nie czuł by się pobitym przez Krasińskiego, nie musiałby przyznać, że Krasiński był prorokiem, że miał wieszcze widzenie tej rzezi, kiedy pisał *Psalm miłości*. Niestety, rzeź była także dziełem demokracyi emigracyjnej, a więc była okropnym skutkiem zasad, doprowadzonych *ad absurdum*, którym hołdował on, nietyle w życiu, ile w swym wierszu *Do autora Trzech psalmów*... Krasiński zwyciężył tym razem. Słowacki nie mógł tego nie przyznać.

Tymczasem Krasiński, nie otrzymując listu od Słowackiego, nie rozumiał, co znaczy to milczenie. Ztąd prawie w każdym liście, jakie pisał do Gaszyńskiego i Małachowskiego, zapytywał, co porabia Juliusz? dlaczego nie pisze? »Juliusz już do mnie ani słowa od początku wypadków tych grobowych nie napisał, musi być zarówno umarłym, jak ja«, pisał Krasiński d. 5 maja 1846 r. do Gaszyńskiego. W słowach tych jest niezbity dowód, że Krasiński do tego czasu nie znał jeszcze wiersza *Do autora Trzech psalmów*. W innym liście znowu, z dnia 7 maja, pisał do tegoż Gaszyńskiego: »Zdanie Juliusza o mnie prawdziwe, szczególniej w tej chwili, ale Juliusz je wyrzekł zapewne nie dlatego, że prawdziwe, lecz *żem ubódł jego miłość własną;* powinienby po chrześcijańsku starać się mnie wydźwignąć, tymczasem milczy!« W tydzień później, do tegoż Gaszyńskiego pisze znowu Krasiński: »Czy Juliusza nie spotkałeś gdzie? Kiedy on ma dowody cudzych upadków, inniby pragnęli ujrzeć dowody jego wywznioślenia się. Czemu ich nie objawia? Już nie pisze do mnie; znać myśli, że niewarto, i kto wie, czy nie odgadł prawdy, tak myśląc«. I tak aż do czerwca zapytywał się wciąż Krasiński, co słychać u Juliusza, ale Juliusz zamilkł stanowczo. Wobec tego i Krasiński przestał się o niego dopytywać w końcu, a zresztą musiał w tych czasach przeczytać wiersz *Do autora Trzech psalmów*.

Nierównie wcześniej udało się go przeczytać pani Becu, która już w styczniu zapoznała się z tym utworem swego jedynaka, a że do jego przyjaźni z Krasińskim przywiązywała wiele, uważała więc, że się w takie polemiki

wdawać nie powinien, zwłaszcza z Krasińskim. W tem przekonaniu napisała list do syna, »strofując go, że zaczepia Krasińskiego, że obraża swoje przyjacioły«. List ten »zranił« boleśnie Słowackiego, więc odpisując matce, prosił ją, ażeby się nie obawiała o jego stosunki z przyjaciółmi; wogóle, żeby mniej ulegała wpływowi tych »ludzi zwyczajnych«, którymi jest otoczona, a którym hołduje widocznie, choć jest wyższa nad nich. »Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego. Mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić, teraz zwłaszcza«.

Mimo to zerwał z nim stosunki listowne, uważał go za »ducha obłąkanego i upartego«, miał dowody »jego upadku«, a co się złożyło na podobne zapatrywanie, może dowiemy się kiedyś: dziś nie wiemy. W jednym ze swoich listów do Małachowskiego, pisanym w sam Popielec r. 1846, pisze Krasiński: »Od Juliusza list miałem bardzo długi. *Chciałby się ze mną spotkać*.. Odpisałem mu, że jeśli to ma być z jego dobrem, tom rad widzenia się z nim. Lecz trzeba poczekać, aż mój ojciec ztąd wyjedzie, co dopiero za miesiąc nastąpi, *bobym nie miał czasu pasować się z Juliuszem*«. Kto wie, czy tym listem nie dałoby się rozwiązać zagadki. Słowacki chciał się spotkać z Krasińskim, pewny, że czego nie dokonał listownie, tego dokona osobiście, że Krasiński musi mu uledz, jeśli się zetkną oko w oko. Słowacki był przekonany, że wtedy opanuje *ducha* Zygmunta, że wtedy jego duch zwycięży ducha przyjaciela. Dlatego pragnął spotkania z nim. Tymczasem Krasiński do spotkania tego nie dopuścił; poprostu nie miał ochoty »pasować się z Juliuszem«. Juliusz zrozumiał to, a że zawsze lubił postawić na swojem, więc uważał, że Krasiński jest »duchem obłąkanym i upadłym«, na którego nie ma sposobu. I przestał do niego pisywać; czyli, że nawet obeszło by się bez wiersza *Do autora Trzech psalmów*, ażeby się ten stosunek zerwał prędzej czy później. Trudno, zabrakło nici wspólnych, któreby ich łączyły, zadaleko od siebie odbiegli przekonaniami, sposobem myślenia.

Słowackiemu mogło zależeć na tem, ażeby w poczcie swoich uczniów, którzy go uważali za swego mistrza, mieć Krasińskiego, tak, jak miał Rembowskiego, Kamieńskiego oraz kilku innych z t. z. młodej emigracyi, która w tych czasach napływała do Paryża, a którą on umiał przyciągać do siebie. Do tej ostatniej kategoryi należał np. Edmund Chojecki, ogromny wielbiciel Słowackiego, czego dał później dowody, tłumacząc na francuski *Króla Ducha*, a arcydziełu swemu o *Rewolucyonistach i stronnictwach wstecznych*

dając za motto — dwie oktawy z tegoż *Króla Ducha*. Nadto poczynała lgnąć do Słowackiego — już w tych czasach — młodzież, ta młodzież, która go zawsze będzie uważała za swego poetę.

Najwybitniejszym z przedstawicieli tej młodzieży, przybywającej kształcić się w Paryżu, był Ludwik Norwid, brat Cypryana, znanego poety. I on miał talent literacki, pomimo, że przyjechawszy teraz, w roku 1846, nad Sekwanę, przyjechał z zamiarem studyowania medycyny. Przedtem jednak, dopóki, jako syn zamożnych rodziców obywateli ziemskich, bawił w Warszawie, był stałym sprawozdawcą literackim *Biblioteki Warszawskiej*, znany w szerokich kołach, jako autor szkicu humorystycznego *Hypohondrycy i Pseudoliteraci* i jako wykwintny estetyk, niezmiernie miły i sympatyczny w obejściu. To też, kiedy mieszkał w Warszawie, drzwi jego *numeru* w Hotelu Saskim nie zamykały się prawie, zarówno w dzień, jak i w nocy. K. W. Wójcicki, Aug. Wilkoński, Lenartowicz, Wolski, Zmorski, Gust. Zieliński (autor *Kirgiza)*, Dziekoński, Witte (autor *Krzemieńca)*, Al. Tyszyński i w. wielu innych: oto poczet jego przyjaciół warszawskich. Kiedy przyjechał do Paryża, zamieszkał w Hotelu Holenderskim i jak do niedawna w Warszawie, tak samo i tu potrafił sobie zjednać ogólną sympatyę, jakkolwiek towarzystwo emigracyjne, podzielone na niezliczone mnóstwo stronnictw i koteryjek, nie bardzo mu się podobało. Swoją drogą zdołał wejść w bliższe stosunki z najwybitniejszemi osobistościami wychodźtwa. Mickiewicz, który zdaniem Niewiarowskiego był bardzo oszczędny w udzielaniu pochwał, nie mógł wyjść z podziwienia, że z Warszawy — o której Mickiewicz wogóle miał nieszczególne wyobrażenie — mógł przybyć człowiek tak głęboko myślący, jak Norwid. Inny znów, jeden z Towiańczyków, mawiał o nim, że ma w sobie ducha ks. Radziwiłła Panie Kochanku (Norwid mieszkał w pobliżu pasażu Radziwiłłowskiego). Ale najbardziej zaprzyjaźnił się ze Słowackim, który go »rzeczywiście kochał i nie mało cenił«. Przez cały czas, jak bawił w Paryżu, najwięcej przestawał ze Słowackim i z bratem swoim młodszym, Cypryanem. Ztąd poszło, że »jak wszyscy, co byli bardziej zbliżeni do Słowackiego«, ogromnie ulegał jego wpływowi, wpływowi jego potężnej indywidualności. Nie dziw więc, że uwierzył w naukę Słowackiego (nie Towiańskiego, bo w tym czasie były to rzeczy całkiem różne), a dawszy mu się opanować, tak daleko posunął swój zapał dla messyanicznej doktryny swego poety-przyjaciela, że całkiem zapomniał o swym pierwotnym zamiarze studyowania medycyny,

o całym świecie praktycznym. Tak upłynęły dwa lata. Dopiero w roku 1848 porzucił Paryż, a osiadłszy w któremś z miast francuskich, zapisał się na kurs medycyny. Poetycznym pomnikiem tej przyjaźni ze Słowackim jest podniosły wiersz tego ostatniego *Do Ludwika Norwida.*

Przez Ludwika wszedł w przyjacielski stosunek ze Słowackim i Cypryan Norwid, zdolny poeta, a świetny karykaturzysta, tak, że pierwotnie zanosiło się na to, że będzie malarzem. W czasie, kiedy się przyjaźnił ze Słowackim, już był ołówek zamienił na pióro, wsławiając się jako dużo zapowiadający poeta. Zdaje się jednak, że przyjaźniąc się ze Słowackim, więcej myślał o sobie, niż o nim, głównie dbając co to, iż mógł się pochwalić tak zaszczytnym stosunkiem. Ks. Arcybiskup Feliński nazywa go tylko »niby przyjacielem« Słowackiego. Bądź co bądź, był z uwielbieniem dla Słowackiego - poety, czego dał dość pretensyonalny dowód w swych odczytach *O Juliuszu Słowackim.* W każdym razie był to już jeden z tych poetów epoki następnej, którzy w swej poezyi poszli za Słowackim, a którzy — jak zresztą cała poezya polska poromantyczna — należą do szkoły Słowackiego. Drugim poetą, obok Norwida, który również pójdzie szlakami Słowackiego, będzie niebawem Kornel Ujejski.

Tymczasem spotkała Juliusza miła nad wyraz niespodzianka: przyjechała do Paryża pani Bobrowa, przyjechała zaś, ażeby dla swej starszej córki, wychodzącej za hr. Maurycego Potockiego, kupować wyprawę. Słowacki, choć takie pozytywne zajęcie, jak chodzenie za sprawunkami kobiecemi, nie bardzo licowało z jego mistycznemi teoryami, był niekonsekwentny tym razem (jak zawsze zresztą, gdy chodziło o zastosowanie teoryi w praktyce) i znajdował prawdziwą przyjemność, asystując pani Bobrowej i jej córkom, chodząc z niemi lub jeżdżąc, ze sklepu do sklepu, z magazynu do magazynu. Gdzie by on nie poszedł, byle w towarzystwie pani Bobrowej! Tak upłynął cały miesiąc. W końcu aż był zmęczony »ciągłą tęczą kolorów, które (pisał do matki) biły na mnie od atłasów i aksamitów, bom przez miesiąc cały patrzał się, jak Zosieńka cukrowa sprawiała siostrze swojej, za mąż idącej, wyprawę, a przewracanie się, jak w piecu wulkanicznym, różnych jaskrawych i drogich rzeczy, oszołomiło mię nadzwyczajnie«. Nie znaczy to wcale, żeby nie chciał spędzić więcej takich miesięcy, jak ten, który spędził w towarzystwie pani Bobrowej.

Zdaje się jednak, że pani Bobrowa, porobiwszy sprawunki, wkrótce opuściła Paryż, czyli, że się Słowacki mu-

siał z nią po upływie miesiąca pożegnać. Na jak długo? Może na zawsze. Nie dla tego na zawsze, żeby pani Bobrowa nie miała już przyjechać więcej nad Sekwanę, ale dlatego, że Słowacki po swej ostatniej chorobie nie mógł być pewny, czy mu jeszcze dużo życia pozostaje. Strasznie go »ubywało« ciągle. Pod tym względem musiało to spotkanie z panią Bobrową być smutne, bo kiedy się żegnali ostatnim razem w r. 1844, poeta był wprawdzie mizerny, ale nie był nim w tym stopniu, co teraz. Patrząc na niego, doznawało się wrażenia, że dni tego człowieka są policzone. Poeta wiedział o tem, i dlatego, kiedy się żegnał z panią Bobrową, prosił ją, ażeby pisząc o nim do jego matki, pisała, że — zdrów jest.

W niedługi czas potem, w połowie sierpnia, zmęczony słońcem i tegorocznymi upałami, chcąc się orzeźwić nieco, pojechał Słowacki, razem z Franciszkiem Szemiothem, nad morze, do Dièppes. Tam d. 23 sierpnia, w dzień swoich imienin (i urodzin) napisał Słowacki swój smętny wiersz *Do Franciszka Szemiotha,* wiersz, z którego wnosząc, poeta nie wróżył sobie długiego życia. Musiał się już czuć bardzo blizkim śmierci, skoro prosił przyjaciela (a swego przeciwnika niegdyś, w r. 1841):

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży,
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiej
Będę i u nóg ludzkich jeszcze niżej...

Ale po upływie tygodnia Szemioth powrócił do Paryża. Słowacki został sam, »jak czapla«, nad brzegiem morza, w którem się zaczął kąpać. Z początku wahał się, z obawy, aby się nie zaziębić, do czego w tych czasach był bardzo skłonny, ale w końcu, pod wpływem listu matki, która mu radziła kąpać się w morzu, zdecydował się na to. Jakoż nie zrobiło mu to źle, a przedewszystkiem uspokoiło nerwy, które miał strasznie rozigrane, sprowadzając pożądaną w takich razach ociężałość, co było dowodem, że morze działa wzmacniająco. I gorączka, która go od owej ostatniej choroby trawiła ciągle, poczęła ustępować. Słowem, czuł się lepiej. Czas schodził mu dobrze. »Nie nudno mi, pisał do matki, bo czas piękny i miesiąc swoje rogi zapełnia. W tym kościele, gdzie tyle modłów poszło za rozbitymi na morzu żeglarzami, anieli z tych modlitw są mojem towarzystwem« t. zn. że dużo przesiadywał w miejscowym kościele. »Na tych skałach, gdzie żony tak często z rodzinami zasiadają, wyglądając mężów i ojców, którzy zwyczajnie na morze Północne na połów sztokfiszu wyje-

żdżają i większą część roku bawią, ja często siadam nocą i w Bogu utonąwszy, dziwne robię zaklęcia, dziwną pracę odbywam, pracę nad sobą samym, nad tym duchem, który nad światem cierpi, a pomódz mu jeszcze nie może. Wczoraj, gdym sobie w rozmowie z Bogiem dopomagał wspominaniem Mojżeszowej wielkiej rozkazującej modlitwy, z jednej strony kawał smętnego księżyca świecił mi, jakby jeden ze świeczników Zakonu, a z drugiej strony ciągle się błyskało, jak na Synaju«.

Tą »rozmową z Bogiem«, o której tu wspomina Słowacki, była *Genezis z Ducha,* którą napewno napisał tego lata, w czasie swego pobytu w Dièppes, tutaj, »gdzie za plecami mojemi, jak się wyrażał na początku tej modlitwy, palą się złote i srebrne skały, nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie, przyśnione oczom Homera; tu, gdzie odstrzelone słońce oblewa mi promieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos pracującego na formę Chaosu; tu, gdzie duchy tą samą, co ja niegdyś, drogą wstępują na Jakóbową dolinę żywota; nad temi falami, na których duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając«. Zdaniem Słowackiego była ta *Genezis z Ducha,* najważniejszem dziełem jego życia. Był przekonany, że są w niej rzeczy tak straszne, iż się ich aż drukiem ogłosić obawiał. Zdawało mu się, że odkrył tajemnicę stworzenia, że wypowiedział szereg »prawd Kopernikowych«; a tymczasem *Genezis z Ducha,* natchniona poglądami ówczesnych ewolucyonistów, Cuviera, Arago i innych, a nadto dziełami Bakona, Hegla, Micheleta, Leroux, Humboldta, St. Simona i Platona, nie mówiąc o mistykach, jak Bukaty i Królikowski, nie była wcale jakiemś boskiem objawieniem, jeno czemś pośredniem pomiędzy wzniosłą i bardzo poetyczną modlitwą a rozprawą z dziedziny filozofii przyrody, do której głównego materyału przyrodniczego dostarczyła poecie nie jakaś wieszcza intuicya, ale poprostu paleontologia, a która jest o tyle ciekawą, że w niej poeta niekiedy robi wrażenie, jakby przeczuwał teoryę Darwina. Nadmienić wypada, że i Mickiewicz w roku 1842, już pod wpływem nauki Towiańskiego, nosił się z myślą napisania czegoś podobnego, chcąc napisać poemat w rodzaju *De natura rerum* Lukrecyusza, w którym chciał opisać »stopniowanie wszystkich stworzeń, podnoszących się od kształtów najgrubszych do coraz doskonalszych«. Była to idea ewolucyi, która już wtedy, jak powiada p. Pawlikowski, tak silnie pukała do wrót wiedzy, że się nią nawet wykształcony ogół interesować zaczął.

W organicznym związku z tą *Genezis z Ducha* stoją

dwie następne prace Juliusza, napisane w ciągu tej jesieni, po powrocie z Dièppes, przeznaczone na to, ażeby były szczegółowem objaśnieniem tej modlitwy. Było to: *List do J. N. Rembowskiego*, w którym Słowacki wyłożył swoje poglądy na najważniejsze kwestye życiowe, na naukę, na instytucye społeczne, na małżeństwo, na politykę, religię, itd.; i *Wykład nauki*, napisany w formie platońskiego dyalogu, a pod którym Ernest Renan, jako autor swych *Dramatów filozoficznych*, mógłby się niejednokrotnie podpisać. Cała ta »nauka« bowiem, głównie pisana pod wpływem St. Simona, pozostaje w najwyższej niezgodzie z nauką Kościoła katolickiego, który, gdyby ją znał, z pewnością pomieściłby ją na indeksie, tak samo, jak dwa ostatnie tomy wykładów Mickiewicza. Ostatnia część tego *Wykładu nauki* jest hymnem na cześć Metampsychozy. Pod względem poetycznym zawiera ten »wykład« ustępy pierwszorzędnej piękności, tam zwłaszcza, gdzie Słowacki opowiada wędrówki swojej duszy... gdzie opowiada, jak początkowo był listkiem koniczyny, jak następnie »orłem obleciał świat«, jak następnie »w wolnym Edeńskim rumaku« wypracowywał cnotę szlachetności i odwagi, jak następnie »żywotem róży« zdobył piękność, jak następnie »w formie słowika« rozwijał smętny głos, jak następnie »w srebrnej łani leżącej pod drzwiami Edenu«, wyrabiał w sobie dobroć kobiecą i miłość siostrzaną, ażeby potem być wlanym przez Boga »w formę siostrzaną, lecz słabszą kobiety«. Tej kobiecie było na imię Helois. Ona i inny duch, męzki, Helion, znaleźli się w raju, gdzie się pomiędzy nimi zaczął »romans« klecić, jak między Adamem i Ewą. Ale romans ten skończył się także wypędzeniem z raju, a kochankowie, rozdzieleni za karę, a stęknieni za sobą, musieli się później przez długie lata »szukać wśród tłumu duchów«. W tej wędrówce duch Helois zapędziła się aż nad brzegi Gangesu, w postaci dziecka indyjskiego, ale jak »bohatyrka prawdziwego romansu« nie zapomniała o Helionie: szukała go ciągle. W końcu znalazła swego ukochanego. Gdzie? W Egipcie, w Tebach, w roku tysiącowym, kiedy się budował Karnak. Była córką Faraona Egipskiego, cała w perłach i »drogiemi kamieniami strzelająca«. Jej sarkofag, wykuty z alabastru, oglądał Słowacki, będąc w roku 1836 w Egipcie. Taki był trzeci żywot Helois. W następnym żywocie duch jej »wchodzi w ciało Homera«. Potem, po wielu przemianach, kiedy nadeszły czasy Chrystusowe, przyoblekł się ten »duch Homeryczny« w stoika Rzymskiego, który, gdy mu któryś z męczenników powiedział o Chrystusie, uciekł aż na grobowcowe pustynie Thebaidy, i tam, przy alaba-

strowym sarkofagu, pokutował za grzechy dawnych żywotów. Dopiero tam spotykali się z duchem Heliona, który po wielu żywotach, przebywał teraz w ciele św. Antoniego »rozkochanego w cudownym obrazie Maryi«. W czasie wojen krzyżowych ten sam duch, który zczasem miał zamieszkać w ciele autora *Króla Ducha,* »był krzyżownikiem« i walczył przeciwko Turkom. Ostatecznie wstąpił w ciało Polaka. Pierwszym Polakiem, w którym zamieszkał, był legendowy król Popiel.

Jego dzieje opowiedział Słowacki w pierwszym rapsodzie *Króla Ducha,* do którego cała część druga *Wykładu nauki* może być uważana za wstęp.

Powróciwszy z Dièppes, z gotowym i zupełnie dojrzałym pomysłem *Króla Ducha,* którego ostatniem wcieleniem miał być — on sam [2]), zaczął się Słowacki — podczas pisania *Listu do Rembowskiego* i *Wykładu nauki* — przygotowywać do pisania tego poematu, który miał być najkapitalniejszem dziełem jego życia, alfą i omegą dziejów Polski. Poeta chciał, w tym poemacie, jak w drogocennej ambrze, zamknąć całą wiarę i naukę swoją, przyobleczone w szaty poezyi. Przekonany, że wpadł na pomysł najgenialniejszy, na jaki wieszcz polski mógł wpaść wogóle, że ta poetyczna historya całego pocztu Królów-Duchów polskich, od mistycznego Popiela zaczynając, potem idąc przez wszystkich Piastów, Jagiellonów i królów elekcyjnych aż do — autora *Króla-Ducha,* którego Bóg powołał do wyśpiewania tej królewskiej epopei — powinna być, jako dzieło sztuki, bez zarzutu, przekonany o tem, nie szczędził trudu, ażeby się do tego dzieła przygotować odpowiednio, czuł bowiem, że bierze ciężar ogromny, któremu jeśli podoła godnie, wówczas będzie mógł umierać z tem błogiem przeświadczeniem, że spełnił swą misyę.

W tym celu, ponieważ cała historya *Króla Ducha* miała się rozgrywać na tle dziejów Polski, zabrał się *con amore* do studyów nad *Dziejami narodu polskiego* Naruszewicza, a nadto począł się rozczytywać w takich dziełach, jak *Starożytności galicyjskie,* Żegoty Paulego, jak różne kroniki (nie wyłączając rosyjskich), a można być pewnym również, że i praca *A. O.,* która od roku 1842 począwszy, drukowała się w *Trzecim Maju* p. t. *Wspomnienia z dziejów Polski,* a która była historyą królów polskich od najdawniejszych czasów, aż do Stanisława Augusta, miała w tych czasach w Słowackim uważnego i gorliwego czytelnika. Nadto, ażeby się wdrożyć w styl epiczny, zaczął przekładać *Iliadę* Homera, nie z oryginału jednak, lecz z francuskiego przekładu.

Tak przygotowany, po takich studyach przedwstępnych, wziął się ostatecanie — w końcu jesieni — do pisania pierwszego rapsodu, który ukończywszy na początku grudnia, zaraz po napisaniu i przepisaniu na czysto, oddał do druku. Jednocześnie robiąc korekty z tego pierwszego rapsodu, nie ustawał w pracy nad następnemi, których miało być około czterdziestu...

W ten sposób, jednego z ostatnich dni grudnia, ukazał się na półkach księgarskich *Król Duch*, wydany bezimiennie, bez karty tytułowej, w formacie wielkiej ósemki. Wyszedł i przeszedł prawie niepostrzeżenie. Wprawdzie domyślano się odrazu, kto jest jego autorem, ale mglistość, cechująca mnóstwo ustępów z tego poematu (bo nie cały poemat) czyniła go dla szerszej publiczności niezrozumiałym poprostu (co jeszcze i dzisiaj o nim powiedzieć można). Nawet Krasiński wyznał w pokorze ducha, że nie wszędzie rozumiał ten poemat, choć przyznawał — w rozmowie z Cypryanem Norwidem — że uważa *Króla Ducha* za piękniejszy co do formy, aniżeli Piotra Kochanowskiego przekład *Jerozolimy* Tassa. »Nic prawiem nie zrozumiał w *Królu Duchu*, pisał do Gaszyńskiego (24 lutego 1847), jeżeli dwadzieścia strof, to najwięcej; wiersz prześliczny, ale to, jak w kalejdoskopie, rysunki, barw pełne, lecz bez treści żadnej, dźwięki najdźwięczniejsze, ale bez myśli: przynajmniej tak schowana, że jej ja nie mogę dość; może też zgłupiałem. Jużci wiem, że idzie o metampsychozę ducha człowieczego i to przez wieki wszystkich polskich dziejów; to wiem, ale nic więcej! Albom ja waryat, czytelnik, albo autor, co pisał. To niebezpieczne takie pisanie, bo gotówby czytelnik w zapasy pójść z autorem, wołając w rozpaczy: »Ty, ty, ty, nie ja waryat!« a on też znowu ze swej strony; więc do nożów w końcu i metampsychosa skończyły się na zabójstwie!«

W tym samym czasie w *Dzienniku narodowym* z d. 6 marca 1847 r. znalazł się następujący wiersz, napisany przez jakiegoś Towiańczyka:

Do Juliusza Słowackiego.

Zgłębiając Rapsod raz, drugi i trzeci,
Dojrzałem, że w nim moje słońce świeci;
I dusza moja, wczoraj tak zbolała,
Jednym polotem w niebo się zerwała.

. . . .
. . . .

Paryż, d. 22 lutego 1847 r. *H. J.*

P. S. Prosimy o rapsod drugi.

Wiersz ten redakcya *Dziennika narodowego* opatrzyła następującym dopiskiem:

Wiersz powyższy, napisany z powodu *Króla Ducha* został nam nadesłany do ogłoszenia w *Dzienniku Narodowym*. Czynimy zadość żądaniu, raz, że wiersz jest ładny, a powtóre, że nam nastręcza sposobność powiedzenia słów kilka o tym nowym poemacie J. Słowackiego. Wprawdzieśmy go nie czytali trzy razy jak autor wiersza, ale po jednem uważnem odczytaniu zdawało się nam, żeśmy schwycili myśl prawdziwą poematu, a która jest, iż panujący tyran, okrucieństwy i mordami swych poddanych, może odrodzić naród upadły na duchu, wlać weń hart, dodać mu odwagi i męzkości i przez pogardę śmierci popchnąć go do nowego życia i czynów wielkich. Wyznajem, iż poemat jest tyle niezrozumiałym, żeśmy się mogli omylić, przyznając mu myśl tu przez nas wymarzoną; lecz jeśliśmy ją odgadli, oświadczyć winniśmy, iż w naszem pojęciu jest ona arcybłędną. Nie przeczymy, aby w poranku narodu, przy jego początkowej organizacyi, ręka potężna i sroga władcy, nadająca każdemu ruchowi podwładnych rygor i surową dyscyplinę, nie postawiła narodu w warunkach bytu silnego i pewnego, i nie popchnęła go do wielkości przy zachowaniu ciągłem ducha organizmu i porządku; ale przeczymy, aby tyrania i morderstwa, mogły odrodzić naród zdenerwowany i upadły moralnie. Historya mówi przeciw temu: ani Tyberyusz, ani Neron, ani następni tyrani rzymscy, nie odrodzili Rzymian i nie wlali w nich przez okrucieństwa pierwotnego ich ducha.

II.

W jednym ze swoich wierszy ulotnych powiada Słowacki, że już jest prawie człowiek obłąkany,

Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo rzucam ognia zdroje,
A to się pali tylko serce moje.

Istotnie, stan gorączkowego podniesienia, w jakiem się znajdował od pewnego czasu, czynił go jeżeli nie bliskim obłąkania, to przynajmniej bliskim wyczerpania. Poprostu znajdował się ciągle w stanie takiej ekscytacyi nerwowej, jakby się upijał czarną kawą. Powiadają, że dla sprowadzenia widzeń używał eteru. Nie wydaje mi się to prawdopodobnem. Zresztą nie potrzebował używać eteru — jak to n. p. czynił Krasiński — ażeby przymknąwszy oczy, widzieć się w otoczeniu całego nieprzejrzanego tłumu *schwankender Gestalten,* które widział tak wyraźnie, jakby były rzeczywistością, nie ułudą. Gdy spał, miewał sny najcudowniejsze, a tak poetyczne, że niektóre z nich, przebudziwszy się, opisywał wierszem. Najczęściej śniły mu się rzeczy, okolice i osoby, spotykane w dzieciństwie, kiedy mieszkał w Krzemieńcu lub Wilnie, a wszystko w jakiemś oświetleniu nieziemskiem, fantastycznem, na tle jakichś słoneczności raj-

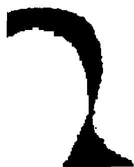


skich, rozbrzmiewających dźwiękami chórów anielskich, lub ciemności piekielnych, rozjaśnionych fioletem błyskawic, w dziwnem pomięszaniu z istotami nadludzkiemi, najczęściej aniołami lub szatanami, które się po chwili zamieniały w węże i dzikie zwierzęta i t. d. i t. d. Kto inny może by na to nie zważał; on, przeciwnie, zważał bardzo: do każdego snu przywiązywał specyalną wagę, wierzył bowiem, że to były duchy, które przychodziły do jego ducha, że wtedy przestawał z niemi, że w takich chwilach był bliskim Boga, a zupełnie oderwanym od ziemi.

Był to ten sam stan psychiczny, jakiego kosztowali wielcy mistycy chrześcijańscy, św. Teresa, św. Franciszek z Asyżu; z tą różnicą wszakże, iż owi Święci żyli wyłącznie w mistycznym świecie ekstazy i zachwytu, absolutnie oderwani od wszystkiego, co było rzeczywistością, kiedy Słowacki, ocknąwszy się z takiego snu niebiańskiego, przetarłszy oczy, odrazu stawał na realnym gruncie, z obłoków zstępował chociażby przed sam gmach giełdy paryzkiej, gdzie na osobnych cedułach ogłaszano kursa różnych papierów publicznych. Zakrawa to na żart, a jednak nie jest żartem. Z jednej strony pogrążony w mistycyzmie, uważający się za ostatnie ogniwo łańcucha Królów-duchów polskich, za »Świętego wieku«, za wybrańca Bożego, za »człowieka-anioła«, z drugiej strony dbał o to, ażeby powiększać swój majątek. W tym celu, idąc za modą owego czasu, modą, która Krasińskiego np. kosztowała krocie, zaczął od roku 1842 spekulować akcyami. Co dziwniejsze, to, iż spekulował tak szczęśliwie, że n. p. w r. 1843 zarobił na szczęśliwem kupowaniu akcyi — głównie drogi żelaznej Rouen — 1600 fr., w r. 1844 — 3400 fr., w r. 1846 — 5300 fr. Za to w r. 1848 stracił na akcyach 3500 fr. Tym sposobem majątek jego w r. 1844 np. wynosił 16.746 fr., co mu pozwoliło wydać w ciągu tego roku 3,150 fr. Jeszcze lepiej wiodło mu się w r. 1845, w którym majątek jego wynosił 10.476 fr. Wobec tego nie bardzo prawdopodobną wydaje się ta legenda, która głosi, że w ostatnich latach życia swego Słowacki korzystał z datków, które mu jakoby przysyłał Krasiński. Zdaje się, że człowiek, mający tak skromne wymagania, jak Słowacki, a mogący wydać na swoją osobę przeszło 3000 fr. rocznie, nie potrzebuje korzystać z czyjejś szczodrobliwości, zwłaszcza, gdy jest tak dumnym, jak Słowacki. Mógł z niej korzystać Gaszyński, który rzeczywiście przez całe życie korzystał z ofiarności Zygmunta (choć i o tej ofiarności dałoby się dużo powiedzieć), ale co innego Gaszyński, a co innego Słowacki!

Bądź co bądź, te spekulacye akcyami, choć pomyślne

przeważnie, to była jedna z tych niewielu prozaicznych kartek w książce jego poetycznego życia; bo choć nie zawsze, a zwłaszcza w tej epoce, myślał o tem, ażeby żyć poetycznie, to jednak po większej części z życiem stykał się w taki sposób, że ogólna suma wypadała na korzyść poezyi. Z najprozaiczniejszych — na pozór — sytuacyi potrafił wychodzić poetycznie, a poetyczność tę potęgowało to jeszcze, że poezya przychodziła do niego sama, nawet wtedy, kiedy nie myślał o niej. Dawniej, przed r. 1842 bywało inaczej, ale teraz, będąc poetycznym niejednokrotnie, bo na każdym kroku prawie, był nim mimowolnie, niechcący. Taką poetyczną, a przedewszystkiem sympatyczną niezmiernie, sytuacyą był jego stosunek z portierem domu, w którym mieszkał, Mr. Milletem, i jego rodziną. Od chwili jak się sprowadził na Rue Pontieu, żyli z sobą w najlepszej komitywie. Wkrótce stosunek ich przestał być stosunkiem pana do służącego, co oczywiście było zasługą poety. Choć byli rozdzieleni całą różnicą hierarchii społecznej, Słowacki zniósł ten przedział, a można być pewnym, że czynnikiem psychicznym, którym zasypał tę przepaść, była dobroć i wrodzona łagodność, a przytem wielka delikatność, którą się zawsze odznaczał w odniesieniu do podwładnych. Rzecz prosta, że temi przymiotami potrafił sobie ująć ogromnie Milleta, na czem zresztą sam wychodził najlepiej, bo nikt w domu nie był tak dobrze obsłużonym, bądź przez niego samego, bądź przez jego żonę lub córkę, jak on. O nim myślano przedewszystkiem. Nikogo też nie lubiano tak, ba, kochano w całym domu, jak tego poetę-emigranta, a suchotnika przytem. Cała rodzina Milletów o tem myślała głównie, żeby mu dogodzić we wszystkiem, żeby miał czego pragnie; do tego stopnia, że kiedy był zaniepokojony brakiem wiadomości z domu, kiedy od 6-ciu tygodni darmo wyczekiwał listu od matki, Milletowie z niemniejszym upragnieniem wyglądali listonosza, aniżeli on sam: martwili się jego zmartwieniem. W końcu nadszedł tyle upragniony list, a Słowacki, odpisując nań, między innemi pisał, co następuje: »Dobra moja portierka, która mi obiad gotuje, co dnia ze spuszczonymi oczyma przychodziła smutna, że listu nie przynosi; raz (patrzcie jej delikatność!), wchodząc na schody do któregoś z innych domu mieszkańców, zrzuciła głośne drewniane trzewiki i szła boso, aby mi, jak mówiła, nie sprawić smętnego zawodu, to jest, abym nie myślał, słysząc kroki jej, że list przynosi, gdy ona z próżnemi rękoma na schody wstępowała. Mały to fakt, lecz ci najlepiej odmaluje to oczekiwanie moje, które się po całym domu rozniosło. Wszystko cię czekało. »Przez to *wszystko* rozumiał Słowacki rodzinę



Milletów. Słowacki zdawał sobie sprawę z tego ich przywiązania. W tem przekonaniu pisał on do Januszewskiego: »Ja mieszkam pięć lat w jednym domu, a pewien jestem, że portier, kiedy służy u mnie, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem Ciebie, Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać przyjechał, i miałby zaraz dla Ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście! Któż winien? Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa«. On miał serca Milletów, to też dogadzali mu, jak mogli. Portierka, odkąd się poeta zaczął stołować w domu, wysilała cały swój kunszt kucharski, byle tylko obiady, które gotowała poecie, smakowały mu; a przytem, żeby były zdrowe, bo nikt tak, jak on, biedaczek, nie potrzebował wzmocnienia. To samo jej mąż, który, jak sam poeta przyznaje, miał dla niego zawsze »nadskakujące nogi«. Oceniał to Słowacki, czego dał dowód nawet w swym testamencie, w którym tak pisał między innemi: »Portierowi Ludwikowi Millet, który mi z przychylnością i wiernością służył, zakupi za 1000 fr. Sz. Loman książeczkę *à la caisse d'Epargne* na imię córeczki jego i odda (tę książeczkę Milletowi)«. Miał to być początek posagu dla córki Milletów. Pisząc o tym testamencie do Teofila Januszewskiego, podkreślał Słowacki tę pozycyę w nim o Millecie. »Chciałbym zwłaszcza, pisał, aby Millet, portier, nie był zapomniany, który spał przy mnie i po bratersku mi służył«...

W ogóle żył teraz Słowacki w zgodzie i harmonii ze wszystkimi i nawet z Mickiewiczem pogodził się. D. 25 marca 1847 r., na jednem z posiedzeń *Tow. hist. lit.*, na którego posiedzenia uczęszczał dość regularnie, kiedy radzono o środkach ożywienia Towarzystwa i urządzenia publicznych sesyi, zabrał głos i autor *Króla Ducha*, oświadczając na wstępie, że Ewangelia o bogatym połowie jest powodem przybycia jego na to zebranie, spodziewał się bowiem, że na niem zastanie pierwszego rybaka, t. j. Adama Mickiewicza, któremu tylko chciał być pomocnym. Ponieważ go nie ma, więc sam przedstawi swe myśli. Tu wyraził opinię, iż przez zaprowadzenie otwartych posiedzeń, które właśnie zamierzano wprowadzić, żadna większa zachęta w pracach osiągniętą być nie może; a ponieważ, jak z tego wynika, jawność nic dodać nie może Towarzystwu, więc powinno ono, jego zdaniem, w swojej wewnętrznej organizacyi szukać środka podniesienia pracy i nadania im życia. Takim środ-

kiem, mówił, mogłoby być np. żeby Towarzystwo stało się wyrazem i rzecznikiem jakiejś myśli, idei... Nie wchodząc w to, czy poeta proponował trafnie, czy nie, podkreślić należy początkowy ustęp jego przemówienia, gdzie Słowacki tak sympatycznie wyraził się o Mickiewiczu, gdzie go wyniósł na pierwsze miejsce, a siebie na miejsce podrzędne, w roli Mickiewiczowskiego pomocnika jedynie. Był to w jego sposobie myślenia o Mickiewiczu zwrot znamienny, zwrot, który się w tych czasach ujawnił niejednokrotnie, a zawsze, o dziwo! z sympatyą, ba! prawie z uwielbieniem dla twórcy *Pana Tadeusza*. On, który niedawno jeszcze z taką pasyą występował przeciwko Mickiewiczowi, on, który niedawno jeszcze pisał nowe *Dziady* i drugiego *Pana Tadeusza*, teraz, gdziekolwiek mu się zdarzyło wspomnieć o Mickiewiczu, czy to w swoim dzienniku, który prowadził regularnie, czy to w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, którego obok *Króla Ducha* pisał w dalszym ciągu, zawsze się o nim wyrażał z sympatyą, a niekiedy nawet, jak w *Beniowskim*, z rozmarzającym entuzyazmem.

Ten wiersz z Homera kradnę, ten ostatni,
Niegdyś płakałem nad nim... Zdaje mi się
O Sarpedonie mówi śpiewak, *bratni*
Mickiewiczowi

t. j. Homer,

ale miał w kirysie
Rycerzy, którzy byli bardzo stratni
I szafowali siłą, życiem; gdy się
Zmienili trochę Litwini dzisiejsi,
Będąc troszeczkę lepsi, ale mniejsi!

Jednak w tej cudnej epopei

t. j. w *Panu Tadeuszu*,

żyją;
W ich lasach trąba gada; boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się; patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo, jako zjawienie,
Litwa ubrana w tęczowe promienie.

Wychodzi oto z lasu. Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos Serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Godfredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić.

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli, słuchali:
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy! znów czasu bóg postąpił krokiem.

Ale ten napis łatwo startej kredy
Niechaj zostanie! a ten co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
Wchodził i deptał to, na czem czas zgrzyta;
Że nieraz końcem Pelidowej dzidy
Zrobiona trumna jest, ale rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty, wlazł znowu pod tarczę Minerwy.

Choć poróżniony z Towiańczykami, choć początkowo, kiedy występował z *Koła,* twierdził — jak zapewnia Gaszyński — że Mickiewicz skompromitował i skrzywił ideę Towiańskiego, że ta idea jest w nim, w Słowackim, to jednak, ochłonąwszy z pierwszego uniesienia, zmienił swe zapatrywanie na Mickiewicza: być może, że przyczynił się do tego fakt, że i Mickiewicz w kwietniu r. 1846 wystąpił z Koła i, odłączywszy się z garstką uczniów, począł na własną rękę — jak Słowacki — uprawiać Mesyanizm, naprzekór Różyckiemu i Goszczyńskiemu, którzy zostali Towiańskiemu wierni. Być może, iż Słowacki w tych czasach stykał się gdzie z Mickiewiczem (o czem nie wiemy jednak), że wiedział o zmianie, jaka się dokonała w duszy Adama, od chwili zwłaszcza, gdy po śmierci Grzegorza XVI., autora pamiętnej bulli, zasiadł na Stolicy Apostolskiej Pius IX. (16 czerwca 1846), jeden z najniepospolitszych papieży, a jak się o nim wyraził Metternich, »niezwykłe zjawisko, papież bawiący się w liberalizm«. Mickiewicz stał się odrazu entuzyastycznym wielbicielem Piusa IX., do tego stopnia, że zaczął głośno potępiać swój kurs jako pod wpływem jedynie Gutta pisany, a wiadomość o tej nowej fazie w psychice twórcy *Dziadów* obiegała emigracyę. Zauważono też, iż Mickiewicz, odkąd zerwał z Towiańskim, »stracił wiele z dzikości swojej, wróciła mu spokojność, pozornie przynajmniej«. Trudno orzec stanowczo, zali to wpłynęło na zmianę sądu Słowackiego o Mickiewiczu; faktem jednak pozostanie, że ten sąd zmienił się kardynalnie. Kiedy w r. 1847 odwiedził Juliusza Kołosowski i kiedy się zgadało o Towiańskim, Słowacki narzekał, że »wiele, wiele głupstw narobili, *lecz Mickiewicza Pan Bóg kocha*«. Kiedy dowodził, że emigracya odpowiadać będzie przed sądem narodu, że widząc tak wzniosłą ideę, jak ta, którą przyniósł z sobą Towiański, za-

miast wznieść się duchem i rozwinąć ziarno jej, na dnie każdego ducha ukryte, pozwoliła jej przejść w ręce ludzi, którzy powiedli ją sektarskiemi drogami: to Mickiewicza wyłączał z tej kategoryi; przeciwnie, Mickiewicz, jego zdaniem, »jako geniusz, uderzony cudownością fenomenów, skrzydła Ibisowe tej idei ubóstwiający«, rozwinął ją, ożywił, opromienił blaskiem swej duszy. A jak »wszystkie wielkie duchy dążyły do jedności uwidomionej na ziemi, jak Dant myślał o Gibelinowstwie i zcesarzeniu świata«, tak Mickiewicz — zdaniem Juliusza — myślał »o wszlachceniu idei najwyższej w Towiańskiego«. »Cała potęga Mickiewicza była w objawieniu — rewelatorstwie — słów«; »uczuć ducha Bożego w sercu ludzi tak, jak Szekspir, a uczuć go nad ludźmi tak, jak Mickiewicz«, było marzeniem i ideałem Juliusza.

A jak się pogodził z Mickiewiczem, tak się pogodził i z Goszczyńskim. Stało się to w dniu 14 maja 1847 roku. Słowacki poszedł na spacer, na pola Elizejskie, gdzie najbardziej przechadzać się lubił, raz dla świeżości powietrza, a powtóre, że przechodząc tamtędy mógł popatrzeć na ów dom, w którym niegdyś mieszkała pani Bobrowa, ten jedyny dom, gdzie się chronił z taką ufnością, gdzie z taką wiarą szedł po trochę ciszy i współczucia... Przypadek zdarzył, że o tej samej porze przechadzał się tu Goszczyński. Ztąd spotkanie. Pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nimi, przywitali się serdecznie, jak przyjaciele, obaj stęsknieni do stosunków braterskich. Nie widzieli się parę lat, bo w Paryżu, mieszkając w różnych dzielnicach miasta, spotkać się trudno. Dla Goszczyńskiego, odkąd się wyprowadził od Słowackiego, zaczęły się bardzo ciężkie chwile. Był w nędzy, w zimie cierpiał chłód, a przez wszystkie pory roku — głód. W styczniu tego roku zdawało się już, że umrze z głodu. Na szczęście, jakiś Francuz, mieszkający w tym samym, co on, domu, przysłał mu dwa franki, a ktoś drugi, również nieznajomy, ofiarował trochę bulionu i kawy. Bardziej jednak, aniżeli zimno i głód, dali mu się we znaki »Bracia w Chrystusie«, nad którymi musiał przewodzić w *Kole,* co nie było łatwem. Ani on, ani Różycki, rady sobie z nimi dać nie mogli. Ztąd przygnębienie i głęboki smutek Goszczyńskiego, który poprostu upadał i łamał się pod zbyt wielkiem brzemieniem, jakie musiał dźwigać od roku. Ażeby sobie ulżyć nieco, chciał zasięgnąć rady samego Mistrza, do którego się ciągle wybierał w odwiedziny, ale się wybrać nie mógł z braku funduszów. W takich warunkach spotkał się teraz ze Słowackim. Goszczyński, przed czterema laty tak surowy sędzia Juliusza, prze-

konał się obecnie, że winę tego ostatniego — jeśli to można było nazwać winą — przesądził, że w swej bezwzględności poszedł za daleko, że to samo, co Słowackiemu mogło obmierzić pobyt w *Kole*, to już i jemu obrzydło: dlatego przywitał się ze Słowackim, jak stary przyjaciel, Słowacki zaś zrozumiał szlachetne pobudki, które Goszczyńskiemu podyktowały tę serdeczność w powitaniu, i odrazu, niepomny dawnych i słusznych uraz, zaprowadził go do swego mieszkania. Od tej chwili, dopóki Goszczyńskiemu nie udało się wyjechać z Paryża, odwiedzali się dosyć często: wrócili do dawnego stosunku, kiedy przez całą zimę mieszkali byli razem. W czerwcu jednak, dzięki pomocy współwyznawcy swego, Leona Chrzanowskiego, który go wziął z sobą na swój koszt, wyruszył Goszczyński do Szwajcaryi, ażeby rozmówić się z Mistrzem. Ze Słowackim rozstali się serdecznie »w czystem czuciu braterskiem«, w takiem samem, w jakiem się byli powitali przed miesiącem.

Kiedy nadeszło lato, wybrał się Słowacki, tak samo jak i poprzednich lat, nad morze. Pojechał do Ostendy, gdzie najniezawodniej czas upływał mu bardzo przyjemnie: dość powiedzieć, że tego roku bawiła w Ostendzie pani Bobrowa. Słowackiemu więcej nie było potrzeba do szczęścia. Niestety, był bardzo mizerny »na fizyognomii«, co w pani Bobrowej obudzało żywy niepokój o niego.

Kiedy powrócił do Paryża? Nie wiemy. Ztąd niepewność, czy brał udział w obchodzie, jaki w d. 5 września Krzemieńczanie paryscy urządzili ku uczczeniu pamięci Tadeusza Czackiego, a na którym Karol Sienkiewicz »okazał miłą po wielkim mężu pamiątkę« : egzemplarz dzieła o litewskich i polskich prawach.

W każdym razie, powróciwszy do Paryża w czasie, kiedy całe wychodźtwo było prawie wyłącznie zajęte przebiegiem procesu berlińskiego, wytoczonego Mierosławskiemu i jego schwytanym przyjaciołom, procesu, gdzie Mierosławski, wiedząc, że będzie skazany na śmierć, popisywał się przed trybunałem pruskim swoją wymową, Słowacki, którego ten proces także musiał żywo interesować, napisał i wydał nową broszurę polityczną p. t. *O potrzebie idei.*

Myśl przewodnia tej broszury trafiła do przekonania wielu. Najlepszy dowód, że już d. 7 października, na posiedzeniu *Tow. hist. lit.*, Edmund Chojecki odczytał *Rzecz o potrzebie idei*, »biorąc za powód pisemko, pod takim samym tytułem wydane w Paryżu przez autora bezimiennego«. Słowacki, który był tym autorem bezimiennym musiał być obecnym na tem posiedzeniu, tak samo, jak przyszedł na posiedzenie następne, które się odbyło d. 4 listopada, a na

którem członek Hoffmann czytał swą rzecz *O charakterze dawnej Konstytucyi polskiej*, będącą, jak się wyraził *Trzeci Maj*, »wyborną rozprawką o *liberum veto*«, a stojącą w wyraźnym związku z pomienioną broszurą Słowackiego. Poeta, będąc obecnym na tem posiedzeniu, kiedy się rozpoczęła dyskusya nad odczytem, zabrał głos, jako interesowany w tej sprawie, a *Trzeci Maj* z d. 6 listopada w ten sposób streścił jego przemówienie.

Pan Juliusz Słowacki przydał do niej kwiatek humorystyczny nie bez wartości. Jakoby w odwet za wykazanie niesamorodztwa polskiej idei *liberum veto*, autor *Beniowskiego* wywodził od Homera pomysł Monarchii konstytucyjnej. Ujrzał ją w utworze Olimpu. Przymierzył Ludwika Filipa do Jowisza, parów i deputowanych — do bogów, wyborców — do półbogów, Thiersa — do Wulkanu; i pokazał, że posiada tę śmiałą zdolność porównywania, którą Niemcy zowią *Witz*, a którą nazwaćby po polsku można igraszką dowcipu. W istocie był skutek dowcipu — był śmiech. Pomimo wszakże rozśmieszenia nas, poważnieśmy osądzili uwagi mistyka-humorysty i wzięliśmy je za jeden więcej dowód, że pan Słowacki gubi się w obłokach pomysłów i przyjść nie może do ostatecznego, zrozumiałego wypowiedzenia się czego chce. Nam się zdaje, że on nie jest przyjacielem własnej zdolności, która jako dżdżu kania, pragnie prostoty i rzeczywistości. Cokolwiekbądź posiedzenie 4 listopada było zajmującem i korzystnem. Ile wiemy, na posiedzeniu grudniowem czytać będą panowie Plichta i M. Budzyński.

Tymczasem Słowacki, choć mu bardzo »płuc ubywało« i choć nikł w oczach, prowadził życie czynniejsze, niż kiedykolwiek. Wystarcza zajrzeć do jego dziennika, ażeby o tem nabrać wyobrażenia. Co charakterystyczne, że o ile dawniej trzymał się zdala od wszystkiego, co miało jakiś odcień agitacyi, o tyle teraz nie cofał się przed czynem. Nie powiedział wprawdzie, jak Krasiński »Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje«, bo obok czynów uprawiał także i pieśń, ale czyny zaczynają w jego życiu grać coraz wybitniejszą rolę. Tak n. p. d. 25 paźdz. — w którym to dniu »okropna« zorza północna świeciła nad Paryżem — obok notatki, że tego dnia dokończył pieśni III Rapsodu II *Króla Ducha*, zanotował, że »w tymże dniu Sztandar Messyanizmu w *Klubie* ogłosiłem za nasz«. Równocześnie, jak to wynika z tego dziennika, rozczytywał się w dziełach Grimma, Bossueta, Lelewela, a nadto studyował drugą część *Fausta*.

Tegoż dnia 25 października, kiedy nad Paryżem świeciła »najstraszniejsza« zorza, którą sąsiedzi Słowackiego — i rodzina Milleta — wzięli za światło pożaru »nad domem zawieszone«, pisał Słowacki w swym dzienniku: »Tegoż dnia Różyckiego syn mówił mi o missyonarstwie braci, których kraj szaty całowano, a pan Bóg, gdym wątpił, aby mię zachwianego utwierdził, dozwolił, że zaraz potem,

jeden z kraju przybyły młodzieniec ze łzami rzucił mi się (do nóg) i ręce mi ucałował. Bogu najwyższemu cześć i chwała na wieki!!!« Należy rozważyć te słowa, albowiem świadczą one, że w poecie dokonywał się jakiś zwrot w stosunku do Koła Towiańczyków, na którego czele stał teraz Różycki właśnie, i że poeta, od czterech lat zerwawszy wszelkie stosunki z *Kołem* i Towiańskim, teraz zaczął przemyśliwać nad powrotem do Braci, zaczynał tęsknić za tem zaklętem i błędnem *Kołem*, o którem jeszcze dwa lata temu odzywał się z taką pogardą. Dziwny zwrot, zaiste, ale zbyt ważny, zbyt charakterystyczny, żeby go pominąć milczeniem.

Zdaje się, że już owo nawiązanie stosunków z Goszczyńskim stało w związku z tym skrytym zamiarem poety. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że Słowacki, odkąd zapragnął na nowo połączyć się z Kołem, myślał swego celu dopiąć za pośrednictwem Goszczyńskiego, od którego, jednego z ostatnich dni listopada (1847), otrzymał bardzo serdeczny i długi list ze Strassburga, list pełen entuzyazmu dla Mistrza, z którym się był niedawno widział w Szwajcaryi, a który mu — pozwolił uprawiać poezyę. »Co mię dziś najwięcej raduje, ożywia, wzmacnia, to to, że mogę dalej przeciągać moją drogę poety, którą Bóg wie, od jak dawna idę, a której prawie się już wyrzekłem. To jedno daje mi dziś miarę, w jakich byliśmy ciemnościach, pod jakiem złem. Nietylko, że mi wolno pisać znowu, ale jest to moja powinność. Mam odtąd służyć Duchowi Chrystusa poezyą, jak dotąd służyłem Duchowi Ziemi. Mistrz dał mi nieocenione do tego światło. Pokazał mi całą ważność poezyi, całą wysokość przed Bogiem prawdziwego poety, wytknął mi dotykalnie całą fałszywość, poziomość, czczość, nikczemność największej części dotychczasowych poezyi, cała ich nicość wobec Nowej Epoki, a obok tego całą wielkość poezyi, brzmiącej czystym tonem Nowej epoki, płonącej czystym blaskiem jej niebieskiego światła«. Słowacki, przeczytawszy ten ustęp listu przyjaciela, mógł być dumny. Albowiem był to stanowczo jego tryumf. Bo cóż się okazało w końcu? Oto, że on pierwszy zrozumiał prawdziwe powołanie poety w stosunku do Nowej Epoki, że wszyscy inni nie wyłączając Mickiewicza i Towiańskiego, nie rozumieli tego, co on zrozumiał odrazu, w pierwszej chwili. Ilu się nasłuchał złorzeczeń, że wstąpiwszy do Koła, nie złamał pióra! Tenże sam Goszczyński, w swoim sądzie na niego, jakże mu surowo wymawiał to, że pisać nie przestał. Kiedy wyszedł *Ksiądz Marek* i *Sen srebrny Salomei* »brzmiące wyższym tonem Nowej Epoki«, jakież oburzenie powstało

w gronie Braci! A jednak słuszność i prawdziwie boskie przeczucie, co czynić należy, były po jego stronie; list Goszczyńskiego wykluczał odmienne zdanie w tej kwestyi. Wszystko to samo, co teraz mówił Mistrz, on wiedział przedtem. Bo jeśli znienawidził swoje dawniejsze utwory, w których »służył Duchowi Ziemi«, to nie z rozkazu lub pod wpływem nauki Mistrza, ale powodowany własną intuicyą! Słowem, mógł, po przeczytaniu listu Goszczyńskiego, z przyjemnością pomyśleć, że on jeden postępował właściwą drogą, on pierwszy zrozumiał, że pisać w duchu Sprawy jemu nietylko wolno, ale jest jego powinnością, kiedy inni tymczasem, którzy, jak Mickiewicz np. złamali pióro, byli w błędzie... W tem przeświadczeniu d. 26 listopada, odpisując Goszczyńskiemu, zapewniał go, że nigdy nie zapomniał o nim, przyczem wyrażał ukontentowanie, że duch prawdy i świętości, któremu służył, dawał mu moc, iż »ze stratą płuc swoich ciągle mógł pracować nad sprowadzeniem światłości w Duchy ludzkie«. Wraz z listem tym, bardzo mistycznym, posłał Goszczyńskiemu 60 fr., prosząc, »aby w duchu swym tego posłania nie liczył, i nie zapisywał«. W *postscriptum* prosił go, ażeby, jeśli widuje brata Różyckiego, pozdrowił go, ale wtedy tylko, »jeżeli sądzisz, że mu braterskie moje i pełne miłości wspomnienie — nie będzie obcem«. To *postscriptum* było dowodem, że Słowacki ciągle i coraz poważniej myślał o pogodzeniu się z Towiańczykami. Dlatego w końcu listu do Goszczyńskiego prosił go, aby mu odpisał niezwłocznie, »jak człowiekowi, który przez pięć lat pracował nad sobą, srogo i bez przebaczenia dla win własnych«. Goszczyński jednak, pomimo tej prośby przyjaciela, popartej 60-ma frankami, nie zaraz odpisał na ten list, a że Słowackiemu było pilno, więc po upływie tygodnia przeszło, d. 5 grudnia, napisał drugi list, do którego znowu dołączył małą zapomogę w kwocie 20 fr., a w którym już nie dwuznacznie wcale dawał Goszczyńskiemu do zrozumienia, że pragnąłby się pogodzić z Braćmi. »Kochany *Bracie* Sewerynie! Nowy Rok następuje — *pozdrawiam Cię w Duchu Świętym Sprawy,* łącząc się z Tobą w oczekiwaniu i w trudzie teraźniejszej pracy. *Czuję Ciebie,* choć daleki jestem od Ciebie, i proszę Boga, aby *na drogach prawdy, w dopełnieniu czynu,* zbliżył nas i *razem* postawił. Zmęczony jestem wielce pracą z ludźmi, a jednak czuję, że nie bez owocu są moje usiłowania. Wielu się przybliżyło i *rozjaśniło w Duchu nowej epoki; braknie mi tylko wspólnictwa serdecznego od Was* (t. j. od *Koła),* któreby mię samego wzmocniło i do owego usiłowania mocnym czyniło«. Goszczyński, przeczytawszy ten list, zrozumiał od razu, o co



w nim Słowackiemu chodziło, i doznał głębokiego a błogiego wzruszenia; zrozumiał, że Słowacki pragnął pogodzić się z Kołem, i dlatego »nietylko się poruszył tem uczuciem, ale się korzył przed niem, bo to jest prawdziwe chrześcijaństwo, prawdziwa wielkość duchowa, posada prawdziwego braterstwa«. W tym duchu też d. 7 stycznia 1848 r. odpisał Słowackiemu, dziękując mu za »bratni posiłek«, który go i pierwszą i drugą razą bardzo wsparł i w porę, przedewszystkiem zaś dziękując mu »za miłość szczerą a prostą, która mi jeszcze więcej dobrego robi, jak wszelki dar materyalny«. W odpowiedzi na najważniejszy punkt listu Juliusza, w kwestyi pojednania się z Kołem, pisał, co następuje: »Pozdrowienie Twoje bratu Karolowi (Różyckiemu) przesłałem i wiem, że je przyjął w miłości braterskiej dla Ciebie. Śmiem Ci powiedzieć, kochany Juliuszu, raz na zawsze, że nie masz braci takich nigdzie, jak tutaj, nigdzie, którzy by Cię więcej kochali, mogli być więcej pożyteczni Tobie. Oni jedni znają Ciebie, Twoje potrzeby, Twój interes i interes wieczny Twojego Ducha, i troszczą się tem najmocniej. Oni jedni wiedzą, czem byłeś, czem być możesz, czem być powinieneś wedle woli Boga. Oni jedni są prawdziwymi Twymi braćmi, dotrzymają Tobie, kiedy złe zechce Cię zgubić na wieki, choćby to przyszło wykonać z bólami Twojego człowieczeństwa. Próbę tego miałem na sobie. Oni jedni kochają Cię miłością Chrystusa«...

III.

W swoim pierwszym liście do Goszczyńskiego, z d. 26 listopada 1847 r., pisał Słowacki, że w tych czasach »trochę chory będąc, nie wychodził z domu«. W słowach tych była tylko część prawdy, poeta bowiem, chcąc pisać, jak było, musiałby donieść swemu przyjacielowi, że był *bardzo* chory, tak chory, iż zdawało mu się chwilami, że już śmierć się zbliża. Do matki pisał, że jest chory »na grypę« i że jest »cały napełniony flegmami zimnemi«, a pani Becu, jeśli była domyślna, musiała zgadnąć, że ta grypa to najzwyczajniejsze suchoty garlane, na które zmarł ojciec Julka. Cokolwiekbądź, był bardzo chory i bliski śmierci: w owych »flegmach zimnych«, które przepełniając płuca, utrudniały oddech, pokazywała się krew, która już niejeden raz zdążyła mu się rzucić ustami w zatrważającej postaci krwotoku; gardło i krtań były obolałe, tak, iż mówienie przychodziło mu z trudnością, męczyło go; cały organizm tra-

wiła sucha gorączka, wskutek czego biedny poeta wychudł strasznie; osłabienie wzrastało, życie uciekało.

Pod wpływem tej choroby, niewątpiąc, że musi umierać, że dni jego są policzone, że siły jego »nadwątlone pracą i *smutkiem*«, słabną z każdą chwilą, spisał swą ostatnią wolę, a wykonawcą swego testamentu mianował Lomana, serdecznego przyjaciela od lat 16-tu przeszło. Niedługi był ten testament Słowackiego. Wszystko, co miał w gotowiźnie, zapisał matce »najlepszej i najszlachetniejszej«, która dlań, jak się wyraził w tym testamencie, uczyniła więcej, niż była powinna: oddała mu wszystko, co miała, nietylko z tego, co zostało po Euzebiuszu Słowackim, z czego nic dla siebie nie zatrzymała, ale go jeszcze wspierała swoim majątkiem, który miała w spadku po rodzicach, a które mu były odstąpione i przysłane w bankierskich listach: dopóki nie dorósł, łożyła na jego wychowanie, później zaś, przez cały ciąg wygnania, utrzymywała go »z nigdy nieprzebraną hojnością, ta najukochańsza i najszlachetniejsza z matek«. Dlatego wszystko, co posiada, do niej należy, nie wyłączając jego prochów, któreby jej także posłał, jako jej własność. Dlatego »pod hańbą narodową i pod słuszną karą Bożą« zostawiłby takich, którzy by się dla braku prawnych formalności o jakieś »niby resztki« jego majątku dopominali. Jedyną sumą, co do której pozwolił sobie uczynić testamentowe rozporządzenie, były 2000 fr., które przeznaczył na opędzenie kosztów pogrzebu, zakupienie miejsca na grób — na cmentarzu Montmarte — i na położenie kamienia. Te 2000 fr. stanowiły jego kieszonkowy majątek, który mu śmierć niepotrzebnym uczyniła: dlatego »pozwolił sobie« w ten sposób temi pieniędzmi rozporządzić. Co dotycze dzieł jego, to »Szanowny Loman« zechce je złożyć w której z księgarni lub sam zająć się ich sprzedażą, »pieniądze zaś, napływające z tej sprzedaży, zechce do pozostałości moich dokładać, a sam 10-ty procent od sta za trud sobie odliczyć«. Meble sprzedać. »Nic nie mam w sprzętach, do czegobym przywykł, a samotność w ostatku chorowitego żywota *wszystko mi niemiłem uczyniła*«: wszystko, z jedynym wyjątkiem starej, czarno oprawnej Biblii polskiej Wujka. Tę biblię chciał, żeby odesłano pani Becu.

W tym czasie właśnie, kiedy się tak Słowackiemu zdawało, że już dogorywa, przyjechał do Paryża Józef Mianowski, jego dawny kolega uniwersytecki, stały towarzysz wycieczek do Jaszun, mąż Olesi Becu, a od lat 15-tu wdowiec po niej. Oczywiście, że jako kuzyn Słowackiego, nieomieszkał go odwiedzić, przybywszy nad Sekwanę. Przy-

witali się bardzo serdecznie, ale Mianowskiemu, kiedy się lepiej przyjrzał Juliuszowi, tak się ścisnęło serce, że aż się rozpłakał, co widząc Słowacki, rozrzewniony jego rozrzewnieniem, rozpłakał się również. Potem usiedli na kanapie, ale smutny stan, w jakim Słowackiego zastał Mianowski, jakby im zakneblował usta. Dziwnie mało mieli sobie do powiedzenia. Potem widzieli się jeszcze parę razy, ale któregoś dnia, kiedy Słowacki poszedł odwiedzić męża Olesi, ażeby go pozdrowić imieniem Goszczyńskiego, dowiedział się ku najwyższemu swemu zdziwieniu, że Mianowski, nie pożegnawszy się z nim, wyjechał. Nie wiedział, jaką mu tem wyrządził przykrość.

W tym samym czasie, w końcu roku 1847, około października lub listopada, przyjechał do Paryża Kornel Ujejski, znany już, jako autor genialnych, świeżo wydanych w Londynie *Skarg Jeremiego*. Urodzony na Podolu galicyjskiem, jako syn zamożnych rodziców, wychowany we Lwowie, gdzie ukończył szkoły, ściśle zaprzyjaźniony z Polem, Bielowskim, Leszkiem Borkowskim, Szajnochą i innymi, pod których wpływem pozostawał od dziecka, do Paryża przyjechał jako młodzieniec 24-letni, ażeby tu uczęszczać na wykłady w *Collège de France* i Sorbonie. Wkrótce po swym przyjeździe nad Sekwanę, zbliżył się do Mickiewicza, Chopina i Zaleskiego, a ze Słowackim zaprzyjaźnił się. Jako poeta był to duchowy syn Słowackiego; nie dziw więc, że przylgnęli do siebie. Jego *Skargi Jeremiego*, napisane w roku 1846, a któremi odrazu stanął bardzo wysoko, o ile robiły wrażenie potężnej pieśni żałobnej, pod względem siły i piękności wysłowienia mogącej się mierzyć z największemi arcydziełami poezyi wszechświatowej, o tyle były także nastrojone na ton lutni Słowackiego, którego utworów niejednokrotnie były wspaniałem naśladowaniem.

Podobnie, jak poezye Cypryana Norwida, tak i te *Skargi Jeremiego*, mogły być dumną pociechą dla Słowackiego, który z nich mógł czerpać dowód, że młoda generacya poetów idzie za nim, że jego uważa za swego duchowego ojca. Co pewna, to, że Ujejski, najzdolniejszy z młodych, był stanowczo pod jego wpływem, zarówno pod wpływem poety, jak i pod wpływem człowieka, którego ukochał. O tej miłości świadczą słowa, które Ujejski jeszcze w 45 lat po śmierci Juliusza napisał o nim, kiedy się doń zwrócono z prośbą o szczegóły, dotyczące poety, słowa, które brzmią, jak następuje: »Kto ukochał Juliusza, wdzięczny mu za to, co nam dał, niech krzywo nie patrzy na ostatnie lata jego żywota, w których on walcząc o nowe

dla swego ducha zdobycze, rzucał się w ognie mistycznych uniesień. Często ze złamaną bronią wychodzi z boju żołnierz zwycięzki; podobnie on, nadszczerbił swój potężny talent, ale w bojowych ogniach zwyciężył — bo oczyścił się i lepiej uchrześcijanił. Niechże każdy wierzący w nieśmiertelność ducha, cieszy się — bo Juliusz pojony goryczą, mógłby był umrzeć z zatrutych ran, a umarł tylko z wyczerpania, i umarł, jak święty, pełen miłości i przebaczenia, »*z lampą zapaloną na piersiach tam, gdzie dawniej tylko serce krwi pełne było*«. A teraz mówi do nas: »Przez gwiazdy i błękit jestem z wami«.

Za dowód także, jak Ujejski ukochał Słowackiego, może posłużyć fakt, że kiedy się ożenił i został ojcem, pierwszemu synowi swemu, którym go Bóg obdarzył, dał na imię — Kordyan. To najwymowniej świadczy, jakim był wielbicielem autora *Kordyana*. Należy podkreślić ten szczegół, zważywszy, że już Stattler, przez kult dla poety, syna swego nazwał Juliuszem. Świadczy to, bądź co bądź, jak wielką miłość dla siebie potrafił wzbudzać Słowacki w ludziach, którzy się doń zbliżali bez żadnych koteryjnych uprzedzeń [2]). Coprawda, jeżeli chodzi o Ujejskiego, to i Słowacki dał mu rzadki dowód swej sympatyi dla niego, pisząc »w listopadzie 1847 r.« swój rzewny wiersz: *Do autora Skarg Jeremiego.*

Z niemniejszem uwielbieniem, aniżeli Ujejski, był dla Słowackiego świeżo przybyły z Krzemieńca 23-letni Zygmunt Szczęsny Feliński, bratanek Alojzego Felińskiego, który, kiedy od r. 1819 do 1820 mieszkał w Krzemieńcu, w najserdeczniejszych stosunkach żył z rodziną matki Słowackiego. Ztąd późniejsza przyjaźń i zażyłość pani Becu z całą rodziną Felińskich; ztąd też, kiedy w r. 1847 młody Zygmunt opuszczał Krzemieniec, udając się do Paryża, dla dopełnienia edukacyi, dała mu pani Becu list do Juliusza. W Paryżu miał chodzić na wykłady do *Collège de France* i Sorbony, za główny przedmiot studyów obierając historyę i filozofię. »Dzięki temu, że przybywałem z Krzemieńca (pisze ks. Arcybiskup Feliński w swoim liście do mnie o Słowackim), że matka moja żyła tam w przyjaźni z jego matką, od której przywoziłem mu list i najświeższe wiadomości, Juliusz przyjął mnie więcej, niż z otwartemi rękoma, bo z otwartem sercem, tak, iż od pierwszego spotkania się naszego, wywiązał się między nami stosunek nierównie ściślejszy, niż mogłem się tego spodziewać, gdyż szczere i bezinteresowne moje przywiązanie stało się jakby podnóżkiem, na który wspiąwszy się, dorównywałem, nie głową wprawdzie, ale sercem, Juliuszowi, tak, iż nie miał potrzeby zniżać polotu swych

skrzydeł, abym z bratniem uczuciem mógł się doń przytulić. Odtąd stał się »Feluś« najserdeczniejszym przyjacielem poety, jego powiernikiem, a nawet sekretarzem: cały szereg ustępów *Króla Ducha* był pod nadzorem poety pisany — a raczej przepisywany na czysto — ręką Felińskiego. Widywali się bardzo często, a regularnie co czwartek, który był Słowackiego *jour de reception*. Już w marcu pisał Słowacki, że Feluś jest »czystym brylantem i skarbem« jego. »Prawdziwie mi takiego trzeba było«. Razem spędzali wieczory, razem chodzili na spacer, razem odwiedzali wspólnych znajomych, razem bywali w Klubie, razem czytywali poezye.

A propos poezyi, o której rozmawiali bardzo wiele, to, jak powiada Feliński, sposób, w jaki Słowacki oceniał pod względem języka utwory ówczesnych poetów polskich, był bardzo oryginalny: czytał głośno którykolwiek z piękniejszych ustępów *Jerozolimy wyzwolonej* w tłomaczeniu Piotra Kochanowskiego, poczem, pod bezpośredniem wrażeniem tej deklamacyi, czytał wiersz, który poddawał krytyce. Rezultat zawsze był ten, że tylko Mickiewicz wychodził z takiej próby zwycięsko i bez zarzutu. Przeciwnie Krasiński lub Zaleski. Co się tyczy pierwszego z nich, to, zdaniem Juliusza, o ile jego proza poetyczna, jak w *Nocy letniej* n. p. była świetna, o tyle wierszom jego, pod względem formy i czystości języka, da się zarzucić kaleczenie ducha naszej mowy, przez sztuczne obroty i tworzenie nowych wyrazów, nie z potrzeby, ale z fantazyi. Najmniej, jako poetę, cenił Zaleskiego. »*Oni*, t. j. Zygmunt i Bohdan, przysypują *nas* (Adama i Juliusza) popiołem; ale przyjdzie czas, że wiatr zmiecie ten *popiół*, a *czyste złoto* zostanie«. Wogóle był gorącym wielbicielem geniuszu Adama i nie jego poniżenia, tylko własnego uznania pragnął. W sądach jakie wypowiadał o dziełach Mickiewicza, nie wykazywała się nigdy »zawiść, co chwyta chciwie każdy niedostatek, aby zmniejszyć zasługę przeciwnika«.

W tej epoce życia, na którą przypada przyjaźń z *Felusiem*, był już Słowacki poważny niezmiernie; sposób zaś, w jaki ks. Arcybiskup Feliński opisuje jego nastrój psychiczny, z tego schyłku życia, jest tak ujmujący, że niepodobna go opisać lepiej, to znaczy, iż nie pozostaje nic innego, tylko odnośny ustęp przytoczyć na tem miejscu *in extenso*. »Nastrój jego ducha, powiada autor *Trzech wieszczów naszych*, był w tych czasach zawsze poważny i wzniosły; nigdy nie widziałem go w usposobieniu lekkiem i żartobliwem, tak samo, jak rozmowa jego nie była nigdy nacechowana powszednością. Śmiało rzec można, iż

był on wówczas większym poetą w tem, co mówił, niż w tem co pisał. Przedmiotem tych rozmów rzadko były bieżące wypadki, chyba że wychodziły poza rozmiary codzienności i przybierały znaczenie dziejowe; zwykle zaś zastanawiał się nad przeznaczeniem człowieka, nad stosunkiem duszy z światem niewidomym, nad posłannictwem pojedynczych ludzi i narodów. Tłómaczył drogi Opatrzności i współudział nasz w ostatecznych wynikach dziejowych. Z nauki Towiańskiego zachował jedno twierdzenie, które uważał za najważniejsze, bo rozjaśniające dzieje całego stworzenia, a mianowicie: że duch tworzy dla siebie formę, odpowiednią do stopnia obecnego rozwoju swego. W pojęciach swoich zachowywał indywidualność Boga i indywidualność dusz pojedynczych (które wyprowadzał od upadłych aniołów), ale świat cały przedstawiał mu się jako olbrzymi warsztat duchów, pracujących nad zdobyciem sobie coraz doskonalszej formy. Poglądy jego były czysto poetyczne, wysnute z wyobraźni; w teologię zaś nie bawił się on nigdy, t. j. nie starał się godzić swych twierdzeń ani z nauką Kościoła, której nie znał, ani nawet z innemi wierzeniami swemi, którym się nieraz sprzeciwiały; jak n. p. z dogmatem odkupienia, który całkowicie przyjmował, nie troszcząc się o to, że go rozwiązywał nieskończoną ilością narodzin, w których duch pojedynczy otrzymywał to tylko, na co sam ostatniem życiem zasłużył. Nie wdając się w polemikę i nie rozbierając krytycznie swych twierdzeń, pozostawał on niewątpliwie w dobrej wierze i ztąd błędy jego Pan Bóg zapewne miłosiernie przebaczył«.

»Życie jego w owej epoce, o ile po ludzku sądzić można, było bez skazy, tak, że najwięksi przeciwnicy jego nic mu pod względem obyczajów nie zarzucali. Przez cały czas bywania mego u Juliusza nie widziałem u niego ani jednej kobiety; z mężczyzn zaś widywałem Komierowskiego i młodziutkiego wówczas Kornela Ujejskiego z kraju, z wychodźtwa zaś bywali u niego tylko przedstawiciele tak zwanej młodej emigracyi, powstałej w r. 1846. Z tego grona najczęściej bywali u Juliusza: Dzwonkowski, późniejszy redaktor, Karol Rogawski, były sekretarz dyktatora Tyssowskiego w Krakowie, Andrzej Fredro, Józef Czarnowski, Stanisław Tchórzewski i kilku innych, których nazwiska wyszły mi z pamięci«.

O kilka tygodni później, aniżeli Feliński, przyjechał do Paryża Aleksander Niewiarowski, późniejszy *Półkozic,* który odrazu, dzięki swej znajomości z Ludwikiem Norwidem i innymi znajomymi Słowackiego, zapoznał się z poetą, co wystarczało, że się w bardzo krótkim czasie »poddał

pod wpływ uroczej władzy słów poety, istotnie ogromnej inteligencyi, sławnego w całym narodzie, a który dowodzenia swoje czerpiąc więcej z wyobraźni własnej, niż z Towianizmu, wspierając je potęgą olbrzymiego artyzmu i erudycyi«, prawie pokonał jego sąd osobisty. Wnosząc ze wspomnień Półkozica, stosunek jego ze Słowackim był raczej znajomością, niż przyjaźnią. Mimo to zostawał Niewiarowski, jak wszyscy zresztą, pod urokiem *Króla Ducha*, a uważał sobie za »zaszczyt i szczęście«, że wkrótce zaczął należeć do stałych gości, schodzących się prawie codzień wieczorem w mieszkanku poety, a do których, oprócz Felińskiego, Ujejskiego i obu Norwidów, należeli jeszcze: Józef Komierowski, obywatel z Królestwa Polskiego, Franciszek Młodzianowski, Piotr Zieliński i kilku innych, którzy, często przyjeżdżając do Paryża, zawsze Słowackiego odwiedzali, a niekiedy mieli zaszczyt — pierwszy zwłaszcza — przyjmować go u siebie. Słowacki, choć żył przeważnie w atmosferze duchowej, prawie nigdy — jak zapewnia Półkozic — nie rozmawiając o rzeczach błahych, lubił te wieczorne pogawędki z ziomkami, o których życzliwości dla siebie, a nawet uwielbieniu, nie wątpił, w rozmowach zaś, którym zawsze przewodził, najchętniej i najczęściej poruszał sprawy krajowe. Oto, jak go na tle tego kółka ziomków opisuje Półkozic: »Raz, pamiętam, przybywszy w odwiedziny do Komierowskiego i zastawszy tam przybyłą z nim z Polski siostrzenicę, pannę Krystynę Kolbe, późniejszą panią Młodzianowską, wdał się z nią w serdeczną, a nawet naiwną pogawędkę o polskich ogródkach wiejskich, otoczonych agrestem, i o kwiatach, sadzonych przed gankami białych dworków. Biedny, chory już wtedy autor *Króla Ducha*, tego najwyższego pod względem artyzmu w poezyi polskiej rapsodu (dotychczas nieocenionego właściwie), rozrzewnił się, patrząc w niewinne oblicze i na czyste czoło urodziwego dziewczęcia, które traktował, jak dziecko, uskrzydlone przez Rafaela. Potem zwrócił się do dwóch Towiańczyków, należących do *Koła*, J. R. Duchońskiego i K. Baykowskiego, i wystawiał ich wytrwałość i abnegacyę w Sprawie. Z kolei znalazł chwilę wolną, ażeby pomówić z jen. Rybińskim, również obecnym, a ze wszystkimi był tak uprzejmym, tak łatwym w obejściu, że nie spostrzegliśmy się prawie, jak przeszedł cały wieczór«. Jednocześnie wszakże przyznaje Półkozic, iż Słowacki, w rozmowie z ludźmi zwyczajnymi, miewał dwa *tony:* albo się wznosił na wyżyny tajemnic ducha, albo też — stosownie do otoczenia — w formie czarującej rozmowy, którą sobie podbijał wszystkich, sypał najwonniejszemi kwiatami swojej nieporównanej wyobraźni.

Tak się przedstawiały ówczesne stosunki towarzyskie i przyjacielskie, które Słowackiego łączyły z ziomkami. Dodać należy, iż oprócz tego przyjaźnił się z wieloma Francuzami, bywając nietylko w polskich, ale i w niektórych »francuskich domach«. Z Francuzów, którzy się zbliżyli do Słowackiego, pierwsze miejsce w jego sercu zdołał zająć niejaki Karol Pettiniaud Dubos, artysta-malarz, młodzieniec niezwykłej zacności i prawości charakteru, a ogromny wielbiciel Juliusza. Był jednym z jego najwierniejszych uczniów, gorąco przekonany o świętości i boskości Sprawy, której Apostołem mienił się Słowacki.

ROZDZIAŁ VI.

ROK 1848.

Cisza przed burzą. Pius IX. Stan zdrowia Słowackiego. Ubień. *Epigramaty* Słowackiego. I. Rewolucya lutowa. Rola Słowackiego. *Głos brata Juliusza Słowackiego...* Przedsmak życia politycznego. Wyjazd do Poznania. Rodzina państwa Bukowieckich. Słowackiego stosunek do rodziny Bukowieckich. Wyjazd z Poznania. II. Przybycie do Wrocławia. Wiadomość o śmierci Lomana. Listy do matki. Pani Becu przyjeżdża do Wrocławia. Spotkanie z synem. Wspólne rozmowy. List do Teofilów Januszewskich. Nieporozumienie i dysonanse. Wyjazd pani Becu. Jej zwycięstwo nad synem. D. 8 lipca Słowacki opuszcza Wrocław. Niedziela w Dreznie. Podróż do Ostendy. Kilka dni w Ostendzie. Powrót do Paryża. Opłakany stan zdrowia. Towiański w więzieniu. Pani Bobrowa. Pani Reitzenheim. Zofia Węgierska. Feliński i Pettiniaud. Drugie wydanie *Psalmów przyszłości. Psalm żalu.* Odpowiedź Słowackiego. Wychodzi wiersz *Do autora Trzech psalmów.* Słowackiego ostatnie widzenie się z Reitzenheimem. Koniec roku 1848. Wieczór wigilijny.

Rok 1848, który, jak szalona burza rewolucyjna, miał przelecieć nad państwami Europy, zaczął się jak zwykle burza, od ciszy, tyle tylko, że była to cisza uroczysta, bo wszystkie ludy, miały oczy zwrócone w stronę Stolicy Apostolskiej, skąd spodziewano się istnej krucyaty przeciwko ówczesnym rządom, krucyaty pod światłym przewodem Piusa IX.

Dla Słowackiego zaczął się ten Nowy Rok nie bardzo pomyślnie; był smutny i chory, a musiał się czuć bardzo chorym, skoro sam nie wahał się pisać do matki, że »ta zima bardzo mu złą była« i że, jeżeli się gdzie spotkają tego lata, to »wielkiego mizeraka« jej odda, w którym gotowa nie poznać dawnego Julka.

Tymczasem pani Becu wraz z Teofilami opuściła

Krzemieniec; przenieśli się do Galicyi, do wsi Ubienia pod Lwowem, którą Januszewscy świeżo odziedziczyli po krewnych swych, Krzysztofowiczach. Słowacki, dowiedziawszy się o tem, bardzo był rad z tych przenosin, sądził bowiem, że będzie mógł także z czasem przenieść się do Ubienia, że tam, zmęczony 17-letnią tułaczką, w końcu osiądzie na stałe, zamieszka w wiejskim domu, w atmosferze rodzinnej, co — kiedy marzył o tem — bardzo mu się uśmiechało.

Tak upłynęły styczeń i połowa lutego. Poeta żył spokojnie, w otoczeniu swoich Braci, w których liczbie Felińskiemu przypadła rola Benjaminka, pisał *Króla Ducha,* układał krótkie dwuwierszowe epigramaty, trochę podobne do *Xenii* Goethego i Schillera, choć bardziej przypominające *Zdania i uwagi* Mickiewicza, i jeżeli miał jakie zmartwienie, to jedynie z powodu listów, które ostatniemi czasy odbierał od matki, a które były tego rodzaju, że na ostatni np. odpisał kilka razy, a zawsze list podarł, czuł bowiem, że odpisał za ostro. Chodziło o to poprostu, że się nie rozumieli, że pani Becu, zamiast go »spróbować, jak człowieka«, bawiła się nim, jak dzieckiem, wciąż powtarzając na tę samą nutę, żeby się pozbył mistycyzmu, żeby się starał być takim, jakim był dawniej: wolała Julka Byronistę »roznerwowanego i denerwującego innych«, aniżeli Juliusza, mistyka, który, jej zdaniem, sam nie wiedział czego chciał.

I.

W tem nadszedł dzień 22 lutego. W Paryżu wybuchła rewolucya. Na ulicach zawrzała walka, zaczęto stawiać barykady. Po dwudniowej walce ulicznej osiągnięto zamierzony rezultat: Ludwik Filip musiał uciekać z Paryża, ogłoszono Rzeczpospolitą, historya, jak mówiono, zamknęła ostatnią kartkę swoich średnich wieków.

Słowacki, który to zdanie podzielał (jak to wynika z jego dziennika), nie trzymał się zdala od tych wypadków, nie zamknął się w domu, ażeby uniknąć niebezpieczeństwa, ale ufny w swą misyę, której jeszcze nie uważał za spełnioną, chodził po mieście — pomimo barykad i kul — a nawet odwiedzał swoich znajomych, jak np. panią Melanię (Sobańską), z którą w chwili, kiedy tron się palił na placu Bastylii, »rozmawiał spokojnie«, zadowolony, że go »brała ze stanowiska prawdziwego«, t. j. że go rozumiała, że podzielała jego poglądy.

Ale ten spokój Słowackiego nie miał trwać długo. Po burzliwych dniach 22 i 23 lutego przyszły pogodne dni 24 i 25 lutego, dni zapału, podczas których »nikt nie myślał o sobie, nikt nie miał nienawiści, nikt nie miał obawy o przyszłość«, a podczas których cały Paryż w odświętnych strojach wyległ na miasto. Emigracya wyległa również. »Wszyscy żyjemy na ulicy, jak starożytni Ateńczycy, pytamy o nowiny, a nowin huk«. Tak pisał o tej chwili Bohdan Zaleski, a nie wątpię, że w liczbie tych, co teraz żyli na ulicy, był i Słowacki, który się coraz bardziej dawał unosić porywającemu prądowi wypadków.

Jednocześnie Słowacki z poety i mistyka przeobraził się odrazu, w ciągu tygodnia niespełna, w polityka, w męża czynu i zaczął kosztować życia politycznego, zaczął brać udział we wszystkich zgromadzeniach i naradach, często zabierając głos.

Jednocześnie wpadł Słowacki, którego ognistej fantazyi nic nie zdołało oziębić, na nowy pomysł: postanowił, nie zważając na brak sił i zdrowia, a raczej nie zważając na swą chorobę, która go z dniem każdym podkopywała coraz bardziej, także wyruszyć do Poznania, z tą różnicą, że kiedy inni wędrowali piechotą, on, jako zamożniejszy, mógł tę podróż odbyć koleją żelazną. Projekt ten, zakomunikowany przyjaciołom, zyskał ich aprobatę, tak dalece, że i oni postanowili towarzyszyć poecie, i nie tylko mu towarzyszyć, ale być na jego rozkazy, słowem, jechać pod jego przywództwem, jego uważać za swego politycznego naczelnika.

Słowacki był rozrzewniony tym dowodem zaufania, a że na wszystko zapatrywał się okiem poety, co idealizuje świat cały, nawet akcyę polityczną, więc skreślił następujący wiersz, w którym z nieporównaną prostotą odmalował swe ówczesne usposobienie, swój stosunek do braterskiej drużyny, która w nim swego kierownika widzieć chciała:

Baranki moje,
Zaświtał czas!
Nad piękne zdroje
Powiodę was.
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz!
Pan Bóg mię słucha,
Ozłocił twarz.
Bogiem promienny,

Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

II.

Jakoż, któregoś z pierwszych dni kwietnia, wyruszono z Paryża. Wyruszono w siedmiu: Słowacki (który, opuszczając Paryż, otrzymał od pani Melanii Sobańskiej »matczyne błogosławieństwo«), Feliński (który, wyjeżdżając, wszystkie pieniądze, jakie posiadał, rozdzielił między przyjaciół), Fredro, Niewiarowicz, Czarnowski, Tchórzewski, Janiszewski. W Paryżu został tylko Ujejski, ale i ten w pierwszych dniach maja podążył do kraju (do Galicyi). Do Berlina dojechano koleją żelazną, ztamtąd zaś, resztę drogi do Poznania, odbyto dyliżansem pocztowym.

Tam w domu niejakich państwa Bukowieckich, gdzie mu ofiarowano gościnę, owiała go odrazu atmosfera, którą nie oddychał od czasu, jak wyjechał z Warszawy, atmosfera polska, szlachecka, serdeczna. Wiedziano, kto jest Słowacki, a że sława autora *Kordyana* rozbrzmiewała i nad Wartą, fakt więc, że wielki poeta zamieszkał w tym, a nie innym domu, był wielkim zaszczytem dla rodziny. Warto przytoczyć opowiadanie p. Juliana Bukowieckiego, wówczas 15-to letniego młodzieńca, który w swoich interesujących *Wspomnieniach o Słowackim*, tak opowiada o swem pierwszem widzeniu się z poetą: »I studenci 15-letni nie pilnowali pod tę porę przykładnie domu. Drzwi szkolne były zamknięte, lecz inne szranki były otwarte. Starsi brzękali pałaszami, malcy zaś nieprzyjęci do wojskowego szeregu, oblęgali ratusz, gdzie zasiadał komitet narodowy, by pod wodzą Wildena i braci Lekszyckich, z kancelaryi komitetowej przepisywać rozkazy i prawa na Wielkopolskę. I ja należałem do poważnego gronka arcypoważnych pisarków. Syt pracy i sławy, wracam pod wieczór do domu i słyszę, zdumion i zachwycon, że ot, w tamtym pokoju, dopiero co się rozgościł — Słowacki! Jedna, jedyna ściana między mną a poetą! Nigdy poprzednio oczy moje nie padły na takie zjawisko, a tu odrazu — wielki Słowacki! Najulubieńszą deklamacyą moją był *Jan Bielecki*. Kiedyż ujrzę wieszcza? Przy wspólnej wieczerzy dopiero? Tak długo panować nad sobą niepodobna! Pod jakimśkolwiek pozorem tedy, wyproszonym u matki, idę w poselstwie do słynnego gościa, a śmiało! Staję u progu; poeta, w czarnem ubraniu, wsparty na obu dłoniach, tak głęboko zaczytany, że nie widzi, nie słyszy głośnych ukłonów. Podchodzę do niego — widzę

jego blade, ciemne oblicze pochylone nad księgą, w której zdawał się tonąć całą duszą: to pismo święte. Onieśmielony, szepnąłem zlecenie, a gdy spojrzał i odezwał się do mnie, tom czuł, że mu dziecinnie przerywam rozmowę, jaką on w tej chwili może z samym Bogiem toczył, rozmowę o Ojczyźnie, której próg po tylu latach po raz pierwszy przestąpił z tak silnie bijącem sercem. Czułem, że mię ogarnia bojaźń, wstyd, i wybiegłem«.

Był mniej więcej 10-ty kwietnia, kiedy Słowacki stanął w Poznaniu. Była to chwila, w której rząd pruski, zoryentowawszy się w sytuacyi, zażądał zwinięcia obozów... Chwila była krytyczna, rząd odzyskiwał dawną sprężystość, a wojska przybywało coraz więcej, ażeby w razie opozycyi stanowczo rozprawić się z powstańcami. Jakoż przekonano się, że dłuższy opór może doprowadzić tylko do klęski, i gotowano się do ułożenia t. z. Jarosławieckiej konwencyi. Dnia 30 kwietnia odbyła się bitwa pod Miłosławiem, szczęśliwa dla oręża polskiego, w której Prusaków poległo około 300, a Polaków około 150, zaś 2 maja pod Wrześnią, udało się Mierosławskiemu odnieść »świetne zwycięstwo«, które zdaje się nie było tak świetnem, skoro uznano po niem, że dalsze prowadzenie wojny byłoby szaleństwem...

Mimo to, pierwsze wieści, które o tych bitwach przyszły do Poznania, brzmiały bardzo pomyślnie, a Słowacki, który w tym czasie napisał wcale zgrabny wierszyk *satyryczny*, p. t. *Vivat Poznańczanie!* donosił Karolowi Pettiniaud pod świeżem wrażeniem tych problematycznych zwycięstw nad Prusakami, że trawi czas *dans les endrois qui sont maintenant le théâtre de la guèrre la plus sublime et qui rappellent les Thermophyles. Une population do 700.000 âmes combat contre tout un royaume, malgré la noblesse, qui vent la paix à tout prix et neutralise autant qu'elle peut les forces vulcaniques du peuple. Oh! mon ami, quel peuple! Je n'ai jamais rêvé un pareil. Il renferme en lui le germe de la nouvelle époque. Son éducation est un don Divin, — son élévation présente un miracle. Il y a deux ans le même peuple était réputé en Pologne pour un être le plus pourri et le plus matérialiste. Aujourd'hui, je vous dis, qu'il surpasse les compagnons de Léonidas — et qu'il fait honte aux blanc-becs de gentilshommes, qui veulent le commander. Nos frères, seuls, mon ami, ont trouvé la clé, qui ouvre ces âmes d'une sainteté primitive, c'est avec eux seulement qu'ont fraternisé ces hommes rudes, qui par leur courage héroique, rappellent les anciens soldats de la garde de Napoleon. Aussi les franc-tireurs sont devenus déjà la terreur de l'armée ennemie...*«

Tak demokratycznie był nastrojony Słowacki, kiedy bawił w Poznaniu; kiedy oddychał powietrzem Wielkopolski, które mu przypominało jego lata dziecinne; kiedy patrzał na chłopki polskie, w kraciastych chustkach, na wózkach i po kościołach; i kiedy jak się wyraził w liście do swego przyjaciela, Francuza, *les grandes inquietudes qui remplicent maintenant mon coeur* były najważniejszym faktem w jego ówczesnem życiu. Wśród podobnych niepokojów spędził tegoroczną Wielkanoc, przypadającą na 23 kwietnia, wśród podobnych niepokojów pisał list do matki, w którym donosił jej, że nie wie jeszcze, jak długo mu nad Wartą zabawić wypadnie, bo »wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione«... Niestety, rozjaśniło się niebawem, co na zewnątrz, pomimo owych »zwycięstw« z d. 30 kwietnia i 2 maja, przejawiło się w ten sposób, że komitet narodowy musiał się rozwiązać, a Mierosławski »uwolnił się« z pola działania.

Jednocześnie Słowacki, otoczony rodziną państwa Bukowieckich, zdołał sobie w ich domu pozyskać nadzwyczajną sympatyę wszystkich, począwszy od starego pana Bukowieckiego, dawnego legionisty, który w roku 1812 stracił nogę, a skończywszy na młodych Bukowieckich, którzy na poetę patrzyli z uwielbieniem i zachwytem. Widywałem go, pisze Julian Bukowiecki, co dzień po dwakroć przynajmniej, wśród wspólnych obiadów i wieczerzy, przez cały miesiąc kwiecień, aż do początków maja. Zrazu bywał swobodniejszym, później stawał się coraz bardziej ponurym. Z początku częściej zabierał głos, opowiadał o swych podróżach po Włoszech, po Wschodzie, potrącał o różne przedmioty, słowem, ożywiał całe grono, które go z niewypowiedzianem zajęciem słuchało.

Raz n. p. powróciwszy z ulicy, wystąpił z następującem twierdzeniem. »Poznałem dziś, mówił, kilka osób, i rzecz dziwna zaiste, jak nazwiska tych osób zgadzają się z ich pozorem, charakterem lub przygodami życia. Dawniej dawano ludziom przydomki według ich właściwości, cnót czy przywar, albo jakiś znaczniejszy wypadek bywał powodem nazwiska. Widocznie, a spostrzegam to dziś, że znowu powraca pora, w której ludzie mimowolnie i bezwiednie zaczynają nosić nazwiska, jakgdyby umyślnie dobrane, tak trafne«. Tak prawiąc, przytoczył kilka przykładów, któremi poparł to szczególne spostrzeżenie. Na to najmłodszy z synów państwa Bukowieckich, który z wytężoną uwagą słuchał tych wywodów poety, odezwał się rezolutnie: »Dziwne to, ale wierzę. To też pan np. jako mistrz Słowa, nazywa się doskonale Słowacki«. Ta niespodziewana uwaga malca,

tak zbiła z tropu Słowackiego, że stanął zakłopotany, prawie zarumieniony, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu uściskał i ucałował małego myśliciela, który tak nieprzewidziane wnioski wyciągał z jego nauki.

Któregoś dnia, kiedy wszyscy siedzieli dokoła stołu, zapytał Słowacki, zwracając się do starego pana Bukowieckiego: »Majorze, jakiż to cios straszliwy okaleczył Majorowi widocznie jednym zamachem obie ręce i nogę?« Tak zagadnięty, stary żołnierz napoleoński, nic nie wiedzący o rodzinnych stosunkach Słowackiego, odpowiedział w te słowa: »Byłem w tylnej straży, zasłaniającej odwrót Francuzów pod Berezyną. Ugodzony kulą w nogę, padłem. Pochwycili mię towarzysze, a uchodząc przed natarczywym nieprzyjacielem, zawieźli aż do samego Wilna. Tam wszystkie lazarety już były przepełnione. Złożono mię więc, rannego i przemarzłego, w sieni mieszkania doktora Becu, polecając jego opiece. Ale Becu zawsze był łotrem. Napiętnował go też Mickiewicz w *Dziadach*, strasznie, ale sprawiedliwie. Pan, panie Słowacki, wychowany w Wilnie, niewątpliwie dosyć się musiałeś nasłuchać o tym nikczemniku. Owóż doktor Becu, przez nienawiść, wszystkiego, co polskie i francuskie, tyle był bezsumiennym że mię kazał wyrzucić do mroźnej, śniegiem zasypanej stajni, i ani spytał o mnie. Trzeciego dnia przychodzą do mnie troskliwi koledzy i prawie trupa przenieśli do Szaretek. Po takiej kuracyi u pana Becu, trzeba było amputować odmrożone, zgangrenowane członki, a ranną nogę zaledwie w pół roku zagojono«. Słowacki, przez cały czas opowiadania Majora, słuchał, milcząc, tak, iż nikt nie poznał, jaką boleść mu wyrządzano tem opowiadaniem.

Tymczasem przyjechał do Poznania jen. Pfuel, nierównie gorzej usposobiony dla ludności polskiej, aniżeli prawy jen. Willissen, a przybył z nieograniczonem pełnomocnictwem. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania. Dla emigrantów ogłoszono amnestyę, która im pozwalała wracać do Francyi, ale jednocześnie wzbraniała pozostania w Księstwie. Kto nie chciał wyjeżdżać dobrowolnie, tego zmuszano do wyjazdu.

I Słowacki otrzymał rozkaz natychmiastowego wyjazdu z Poznania. Zdarzyło się tak, że w chwili, kiedy policya nawiedziła Słowackiego, w całem mieszkaniu, oprócz poety i starego pana Bukowieckiego, nie było nikogo. Korzystając z tego sam na sam, po wyjściu policyi, choć to była pora niezwykła, Słowacki wszedł do pokoju Majora, a wszedł smutniejszy, niż kiedy, zgnębiony, drżący, blady. »W tej chwili była u mnie policya, rzekł; każe mi wyjeż-

dżać do Francyi, natychmiast, najpierwszą pocztą, za godzinę. Policya groźna, wszelako oprę się jej, jeżeli do tego czasu nie zdołam przebłagać Majora«. Słowa te, mówione gorączkowo, głosem drżącym ze wzruszenia, a uroczystym, zdziwiły Majora: nie mógł pojąć, do czego poeta zmierza, i już chciał go zagadnąć, o co mu chodzi właściwie, ale Słowacki mówił dalej, a w miarę, jak mówił, znać było, że mówi z coraz większym trudem, to tamując, to przyspieszając oddech, to zaś, co mówił z takiem wzruszeniem, brzmiało coraz bardziej zagadkowo. »Winowajcą jestem wobec Majora. Niestety, naprawić nie mogę zadanej krzywdy. Ale nie umrę spokojnie, jeżeli nie odpuścisz. Godziny życia mego, jak widzisz, są policzone, nie spotkamy się więcej na tym świecie... To jedyna, to ostatnia chwila, w której cię mogę, Majorze, prosić o przebaczenie, prosić, uzyskać i cichszego już ducha oddać Bogu«. Tu przerwał mu zdumiony Major, któremu ta zagadkowość słów poety dłużej milczeć i słuchać cierpliwie nie pozwalała«. »Ależ na miłość tego Boga, tu chyba jakaś pomyłka lub potwarz złych ludzi stanęła pomiędzy nami? Cóż pan względem mnie zawinić mogłeś?« »Okropna prawda, odrzekł zdławionym głosem Słowacki, okropna prawda, własnemi Majora usty niedawno wypowiedziana, albowiem...« Tu ze łzami w oczach pochylił się do ramion Majora, a każdy wyraz, który wymówił potem, wymawiał z takim trudem, jakby się dusił tem, co mówił. »Ów Becu, ów łotr, był moim — ojczymem.« »Więc raczej powinieneś mnie pan odpuścić, że tak przez nieświadomość zraniłem ci duszę, odparł Major w najwyższym stopniu zakłopotany. W każdym razie sam nie zawiniłeś mi pan nigdy, w niczem«. »Tak, ale według pisma, zawołał głosem uroczystym Słowacki, winy ojców spadają jeszcze na czwarte pokolenie«. »Ależ Becu nie był ojcem twoim!« »Becu był małżonkiem matki mojej, wraz z nią mię wychował, i tym sposobem stał się drugim ojcem. Ja czuję, że ta straszna wina przybranego ojca czyni mię spółwinowajcą. To brzemię, karcąc, spadło mi na duszę, skazuje na ciężką pokutę — wzbrania mi opuścić próg ten, póki nie otrzymam przebaczenia«. Rzecz prosta, że Major nie dał się dwa razy prosić o to słowo przebaczenia. Skończyło się na tem, że obaj padli sobie w objęcia«. »Bóg z wami! kończył rzewnie Słowacki. Pragnę zostawić po sobie pamiątkę. Nie mam lepszej nad tę wielu lat wierną towarzyszkę moją, tę księgę; ona myśli moje i serce częstokroć wznosiła ku Bogu, który niechaj czuwa nad wami«. Tu złożył Słowacki w ręce Majora toż samo Pismo święte, nad którem siedział zatopiony pierwszego dnia po przyjeź-

dzie do Poznania, a nad którem go zastał młody Julian Bukowiecki.

W kilka minut później, wzburzony i blady śmiertelnie, szedł już Słowacki ulicą, w stronę stacyi pocztowej. Za niecałą godzinę miał opuścić Poznań i wracać do Francyi, na ciągłą samotność i tęsknotę, na śmierć. Czuł bowiem, że jedzie tam po to tylko, aby umrzeć. Życie uciekało, siły się wyczerpywały, wszystko zaś, co nim wstrząsało w ciągu ostatnich miesięcy, wyczerpało je ostatecznie. W takiem usposobieniu idąc, natknął się na młodego Julka Bukowieckiego, który właśnie z miasta spieszył ku domowi. Kiedy się przywitali, chwycił go kurczowo za rękę, zapytawszy co mu jest, że tak mizernie wygląda. Opowiedział pokrótce »kilku jękami boleści«, wszystko, co zaszło przed chwilą, a kiedy podeszli do Bazaru, pociągnął swego 15-letniego towarzysza do cukierni Prevosti'ego, kazał nalać dwa kieliszki wina, poczem trącając się swoim, rzekł: »Gdy znowu wlokę się w daleki świat, a wiem, że na zawsze, więc *strzemiennego*, polskim obyczajem! Gorzki to kielich pożegnania! Wychylam go w twoje ręce do wszystkich twoich, do wszystkich! Powiedz im o tem, gdy ich zobaczysz!« Ale czas naglił, godzina odejścia poczty zbliżała się. Zapłacił więc, ile się należało za wino, a kiedy wyszli na ulicę, prosił towarzysza, żeby go odprowadził. Przez całą drogę, gdy szli ku poczcie, mówił bez przerwy, jakby w gorączce, a głos jego — powiada p. Bukowiecki — rwał się z piersi donośniej, niż zwykle, a taki był w nim dźwięk ponury, jak gdyby w nim wszystkie struny serca pękały. Kiedy stanęli na stacyi pocztowej, był już ostatni czas. Dyliżans już był zajechał, a oprócz dyliżansu była na stacyi także policya, która miała dopilnować wyjazdu Słowackiego. Wybiła godzina 4-ta. Słowackiemu kazano siąść do pojazdu. Zanim się zastosował do tego rozkazu przedstawicieli policyi, jeszcze raz chwycił młodego Bukowieckiego w drżące ramiona, ucałował go, poczem siadł wśród trzech rozweselonych Niemców — i dyliżans ruszył ku bramie berlińskiej.

III.

Dnia 9 maja stanął Słowacki we Wrocławiu. Pierwszą noc, nie mogąc znaleść mieszkania, przenocował u Weryhy Darowskiego, który go przyjął u siebie [1]); w końcu zamie-

---

[1]) O tej gościnie ofiarowanej Słowackiemu, opowiadał Weryha Darowski

szkał przy *Neue Schweidnitzer Strasse No 3. d.* na drugiem piętrze, w maleńkim pokoiku, tak małym, że już na dwie osoby był za ciasnym.

Ale nie powodziło mu się we Wrocławiu.

---

w następujący sposób. Oto opowiadanie jego, wiernie opisane przez Maryę Konopnicką. Zob. *Tygodnik illustrowany* Nr. 163 z dnia 11 lutego 1893. *Słówko wyjaśnienia.*

»Zjazd był w tym czasie nadzwyczajny. Po hotelach ścisk, tłok, nie było gdzie stanąć, gdzie zjeść, ze służbą w zajazdach ani gadania, o kwaterę bić się trzeba było... Zduszony, zgnieciony, znalazłem sobie wreszcie stancyjkę na trzeciem piętrze, lichą, ciasną, na którą bym w każdy inny czas splunął, ale wtedy i z tej byłem kontent. Ledwiem się rozgościł, zbiegam na dół, żeby sobie wody bodaj z wiadra czerpnąć i trochę się z drogi ochłodzić, bo o posłudze i mowy w takiej chwili nie było — patrzę, stoi na dole schodów mały, niepokaźny człowieczek i klnie na czem świat stoi. O co? Stancyi niema. Torba podróżna przy nim, w twarzy duże zmęczenie, jakoś i nie na bogacza patrzał... Więc tknęło mię to i mówię: »Ha! To możebyśmy razem jakoś... Stancyę mam«. »A gdzie ona?« zapytał dość opryskliwie. »Tu, mówię, na trzeciem«. »Idźmy zobaczyć!« on na to. Zdziwiło mię trochę, że nie dziękuje, i tak jakoś bez żadnej polityki... Ale nic, idę. Idę przed nim, ten za mną; jużem i o wodzie zapomniał. Ciężko mu widać było, bo dyszał i przystawał. Aż nareszcie na dobre stanął i kaszleć zaczął. »Gdzież mnie pan, u licha, prowadzisz! rzekł, wykaszlawszy się. Na strychy, czy co?«. Nie odpowiedziałem. Co będę gadał, myślę, a już mię złość brała. Chce, niech idzie; nie chce, niech nie idzie! Ja tu dla niego jak najlepiej, a ten jakby mi łaskę robił. Podyszał, postał, potem ruszył. Weszliśmy. Mój gość, jak stał, tak cisnął na stołek kapelusz, i nie zdejmując dużego pledu, który mu z chudego grzbietu zwisał, zaczął po izbie chodzić sporym krokiem. Do mnie — ani słowa. Zupełnie, jakby mnie nie było. Irytowało mnie to, ale żeby gościnności niechybiać, rzekłem: »Jestem Darowski... Werycha...« Przystanął, podniósł głowę i utkwił we mnie oczy, jakby tylko głos słyszał, a słów nie rozumiał. Aż po chwili rzekł: »Aa!...« I kiwnął głową, niby akceptując moje nazwisko. Poczem znów dalej chodzić po izbie zaczął. Przykąsiłem wąsa, nie wiedząc, jak to sobie tłómaczyć mam, ale już byłem wzburzony. Ale ten, przeszedłszy jeszcze z dziesięć razy stancyę od okna do proga i od proga do okna, zatrzymał się nagle przedemną i rzekł: »Ale to tam torba moja w sieniach została...« Mówił to takim tonem, jakby oczekiwał, że mu pójdę po nią. Tego już mi było za wiele. »Przepraszam, rzekłem, siląc się na spokój, z kimże mam przyjemność?...« Na to on: »Ale co za przyjemność, mój panie? Tu niema żadnej przyjemności. Izba, jak klatka, zmęczony jestem zbity drogą, tak, że ledwie żyję, i cóż tu za przyjemność?...« Drwi, czy o drogę pyta? myślę sobie, a żółć kipi we mnie... Z lasu, czy co, myślę, że z ludźmi gadać nie umie. Hamuję się wszakże i rzekę: »Jak jest, to jest, ja — jako gospodarz tej izby, czy klatki, przedstawiłem się panu i radbym nawzajem wiedzieć, kogo mam za gościa?« Tak mu już musiałem łopatą wyłożyć, i aż mnie za niego wstyd było. Mówiłem, a on chodził. Chwilę trwała cisza. »Słowacki...« burknął wreszcie, nie przerywając wędrówki. Myślałem, że we mnie piorun strzelił. Zaniemiałem po prostu. »Sło... Ju... Juliusz Słowacki?...« buchnęło mi nareszcie z piersi, a jużem myślał, że mię głos rozsadzi. »A Juliusz, Juliusz« rzekł gość, machnąwszy ręką, i nie patrząc na mnie, chodził dalej. Sam nie wiem, jakem po torbę zleciał i jakem ją do izby wniósł. Ręce mi latały, serce tłukło się we mnie: wszedłem cicho, na palcach, jakby do kaplicy. Gość chodził jeszcze. Więc czując ja tedy, że mu przeszkadzam, i że będzie wolał zostać sam, zacząłem czapki szukać, a w oczach taka mi mgła stała, żem leżącej na stole, nie widział. Znalazłszy — prosiłem, aby kwaterę, choć mizerną taką, przyjął dla siebie, aby ją za swoją miał, wywczasował się, a ja gdziekolwiek pójdę... Zatrzy-

Przedewszystkiem, ledwo przyjechał tutaj, a przyjechał z zamiarem, żeby ztąd udać się do Galicyi, do Ubienia, zobaczyć się z matką i o ile możności spędzić z nią tam, w towarzystwie Teofilów Januszewskich, czas jakiś, zanim wyjedzie do Paryża, dowiedział się, że jako emigrantowi nie pozwolą mu w tej chwili władze austryackie nietylko mieszkać w Galicyi, ale nawet pojechać tam na krótko. Wobec tego musiał zrezygnować z podróży do Ubienia, która mu się tak uśmiechała, i poprzestać na zobaczeniu się z matką gdziekolwiek, najlepiej tu we Wrocławiu. Było to jedyne miasto, do którego przyjazd dla niej nie był połączony ze zbyt wielkimi trudnościami. Napisał więc, ażeby przyjeżdżała, bo jeżeli się nie spotkają teraz, to kto wie, kiedy się znów nadarzy lepsza sposobność po temu.

Z drugiej strony, nie był pewny, czy lada dzień nie otrzyma rozkazu, ażeby opuścił Wrocław, bo, jako emigrant, nie mógł liczyć na wyrozumiałość pruskiej policyi.

Po trzecie, ledwo przyjechał tutaj, dowiedział się przypadkiem, że Loman, u którego, wyjeżdżając z Paryża, zostawił był wszystkie swoje akcye, zmarł nagle. Ta śmierć mogła go narazić na Bóg wie jakie straty, zważywszy, że tylko na akcyach kolei żelaznej lyońskiej było wypisane jego nazwisko. Inne papiery mogła rodzina Lomana — bez cienia złej woli nawet — sprzedać, jako własność nieboszczyka. Podobna manipulacya, bardzo łatwa do przewidzenia, mogła Słowackiego narazić na stratę połowy majątku, który i tak z powodu rewolucyi lutowej zmniejszył się o 7000 franków. Położenie fatalne. Nie pozostawało nic

---

mał mnie. »Nie, nie pozwolę na to! Pomieścimy się jakoś...« Trzymał mnie za rękaw, a ja, sążnisty drągal, drżałem pod tem dotknięciem, jak panna... Aż czując, że mi broda srodze lata, rzuciłem się na łóżko rozścielać, poczem — żeby mu zostawić spokój — wybiegłem na miasto. Gdzie, jak, sam nie wiem dotąd. Po drodze wpadałem na ludzi, trącałem się o latarnie, zupełnie jak pijany. Dopiero na bocznicy gdzieś pustszej czapkę zdjąłem i chłodzić się nią zacząłem... Gdym wrócił, a wracałem jak złodziej, podnosząc klamkę, żeby nie zgrzytnęła, Słowacki leżał już. Nie na łóżku jednak, którem rozesłał dla niego, ale na wąskiej, twardej sofce, przykryty szalem i z torbą pod głową. Czy spał, nie wiem. Oczy miał zamknięte, na mizernej, bladej twarzy głębokie cienie, skronie zaklęsłe jakby po chorobie, chuda, przejrzysta ręka zwieszała się z pod szala. Jaki duch bił z tej głowy na mnie, tego nie opowiem. Zbliżyłem się na palcach, a widząc, że nim dreszcz wstrząsa, okryłem mu nogi podróżną burką moją. Wtedy nie poruszając się, podniósł na mnie oczy ciemne, smętne, i patrzał, poczem bez słowa, rękę do mnie wyciągnął. Myślałem, że mi serce pęknie. Rzuciłem się do tej ręki chudej, przejrzystej, i okryłem ją gorącemi pocałunkami, trzęsąc się cały, z tłumionego łkania, aż czując, że nie strzymam, zerwałem się, uderzyłem we drzwi, i w sieniach dopiero folgę sobie dając, ryknąłem płaczem...«

innego, tylko pisać do Pettiniaud, ażeby zapobiegł temu, żeby się dowiedział, kogo Loman mianował swoim *executeur testamentaire*, i żeby, kogo należy, poinformował o wszystkiem. Oczywiście, że zaraz napisał do Pettiniaud, ale to jeszcze nie było żadnym dowodem, że nieszczęście da się zażegnać. Na wszystko mogło być zapóźno! A wtedy co? Wtedy był zrujnowany, bez grosza prawie. Okropność! »*Cette mort que j'ai appris par le hasard le plus extraordinaire, a été pour moi, ce que doit être pour le général la nouvelle de la perte de ses bagages, tandis qu'il se voit engagé dans une entreprise difficile et desesperée*«.

Dopiero po upływie paru tygodni otrzymał wiadomość od Pettiniaud, który wszystko załatwił jaknajpomyślniej.

Tymczasem był niespokojny, a nietylko z powodu owej śmierci Lomana, ale i z tego powodu, że choć pisał do matki, nie otrzymywał ani słowa odpowiedzi na swój list. Pisał drugi raz, znowu nie otrzymał odpowiedzi, pisał trzeci raz, czwarty, piąty, szósty, w każdym liście zaklinając matkę, ażeby przyjeżdżała, a pani Becu, ani przyjeżdżała, ani dawała znać o sobie. I tak upłynął cały miesiąc. Słowacki był zrozpaczony po prostu, a przytem trawiła go »tęsknota nie do opisania«, bo zaczynał tracić nadzieję, czy wobec tego wogóle zdoła zobaczyć się z matką. Dopiero 9 czerwca otrzymał list od Stattlera, do którego także pisał w tym względzie, że pani Becu jest we Lwowie, że się dopytuje o niego, niespokojna, co się z nim dzieje, gdzie się podziewa? Oczywiście, że zaraz po otrzymaniu tej wiadomości od Stattlera, napisał do Lwowa, pod wskazanym adresem, i na ten list dostał odpowiedź. Było to d. 15 czerwca. Kiedy otrzymawszy list, poznał charakter pisma matki, aż zadrżał z radości, i trzymając ten list, mówił sobie: »Oto zapewne o kilka godzin tylko list ten poprzedza przyjazd matki. Oto ją dziś zobaczę, dziś będę przy nogach jej, dziś na jej umiłowanem sercu odpocznę«. W tej pewności rozpieczętował list, a gdy zaczął czytać, struchlał: list był pełen wymówek, bolesny w najwyższym stopniu. »Jak bolesny!« Pani Becu wymawiała mu, że obojętny, i pisała, że gdyby był pozwolił, to by już od dawna była przy nim. Ale widocznie, że mu na tem nie zależało. »Nielitośna ty jesteś!« pisał jej, odpisując na ten list bolesny; a gdybyś miała więcej wiary w serce moje, tobyś na pozwolenie moje nie była czekała«. Wszystkiemu było winne to fatalne pokrzyżowanie się listów. On pisał wszystkie listy do Ubienia, *poste restante*, tymczasem pani Becu była we Lwowie. Jego

listy leżały na poczcie, a ona oczywiście nie dopytywała się o nie.

Ale przyjechała nareszcie. Przyjechała przez Kraków, gdzie odwiedziła Stattlera. Ten ją odprowadził do dyliżansu, a uczynił to, jak powiada w liście do niego Słowacki, z taką czarodziejską potęgą artysty, że pani Becu »wsadzona przez Ciebie do powozu, gdy wysiadała, *pierwszego mnie* na dekabarderze spotkała«. Nastąpiło powitanie, które, jakie musiało być, łatwo sobie wyobrazić, zważywszy, że było to powitanie po 18 latach rozłąki! Kiedy się przywitali wreszcie, oboje musieli być ciekawi, jak z nich każde wygląda obecnie. Pani Becu postarzała się, posiwiała, a Julek? Chyba się rozpłakała gorzkiemi łzami, skoro mu się przyjrzała lepiej. »Jam go z taką trudnością wychowała, śmiercim prawie wydarła siłą moją serdeczną matczyną, a on... marnie schorzały, jak trup, z zaschłym mózgiem, ze szklanemi oczyma. O, Boże, jak ty mię doświadczasz!« Tak pisał sam Słowacki, wyobrażając sobie, jakie wrażenie musiał zrobić na matce, a jeszcze przed zobaczeniem się z nią, kiedy planowali w r. 1847, że się spotkają w Karlsbadzie, pisał jej, że jej »wielkiego mizeraka odda«. Wolał ją przygotować na to... Innemi pobudkami powodowała się pani Becu, kiedy zaczynając list do Teofilów, którego koniec miał dopisać Julek, pisała, że »Julo ma jeszcze bardziej myślącą i więcej strudzoną fizyognomię, spokojny i poważny«; ona bowiem, pisząc te słowa, musiała tak pisać przez wzgląd na syna, w którego należało wmawiać, że nie wygląda tak źle, jak się to jemu zdawało...

Tymczasem spełniło się marzenie obojga: byli razem. Jak długo mogli być razem, nie wiedzieli, bo każdej chwili mogła się zjawić policya, z rozkazem, ażeby poeta wydalił się z Wrocławia. Że się nie zjawiła do tej pory, należało uważać za szczęśliwy przypadek, za niedowidzenie. Bądź co bądź, zobaczyli się, spotkali, i to im wystarczało na razie. Swoją drogą nie zamieszkali razem: Słowacki pozostał w swojem dotychczasowem mieszkaniu, pani Becu zamieszkała w pobliżu, osobno. Nie znaczy to, ażeby z tego powodu poprzestawali tylko na odwiedzaniu się, owszem, cały dzień zawsze, od rana do wieczora spędzali razem; rozstawali się wieczorem dopiero; pani Becu zostawała u siebie, a Julek wracał na *Neue Schweidnitzer Strasse.* Nazajutrz, od samego rana, przychodził znowu, a najczęściej, kiedy się stawił o umówionej godzinie, pani Becu już była ubrana i zajęta ważeniem kawy, którą sama, »jak służebnica«, ważyła nawet teraz, przekonana, że takiej kawy nie dostanie Julek w żadnej cukierni. Potem, o ile nie siedzieli w domu,

wychodzili na spacer, na miasto, czasami szli w odwiedziny do pani Zofii Mielęckiej, która mieszkała przy *Tauenzinstrasse 69*, a która była dobrą znajomą Słowackiego i pani Becu (nim przyjechała pani Becu, Słowacki bywał dość częstym gościem u pani Mielęckiej). Zresztą chodzili na spacer, rozmawiali, »rozpamiętywali dawne czasy«, mówili o wspólnych znajomych, o pani Bobrowej między innemi, o której w ogóle mówili bardzo dużo, o pani Reitzenheim, którą Słowacki wspominał mile, o Felińskim, o Fredrze, o rodzinie Bukowieckich, o Stattlerze, o Teofilach, o dawnych znajomościach krzemienieckich i wileńskich, o Ludce Śniadeckiej, która już od r. 1845 była żoną Michała Czajkowskiego, o Fortunacie, który obecnie mieszkał z Filami, etc. Tak schodziły im dni i godziny. Pod wrażeniem tych rozmów pisała pani Becu d. 24 czerwca do Teofilów: »Julek chciałby bardzo być w Ubieniu, chociaż tak jak i ja nie rości sobie do tego prawa i nigdy gospodarować nie myśli, tylko przy was niekiedy dla odetchnienia chciałby posiedzieć i przypomnieć sobie niejako wakacyjne czasy, w Mickunach przebyte, bo mu tam było najmilej, i z największą przyjemnością rozpamiętywa, z jaką swobodą duszy przebiegał lasy i kąpał się w Wilejce. Z jakiem uczuciem przebiegamy myślą upłynione czasy, z jakiem się zastanawiamy nad upływającemi i przepływającemi, trudno wam to wyrazić. Wszystkim tu doznawanym uczuciom towarzyszy żal mocny, że Filowie i Fortunat nie podzielają równo tego szczęścia, którego doznaję, a które może niedługo potrwać, jak się przyjdzie rozjechać i w niepewności czy się znowu kiedy zjedziemy«. Na potwierdzenie tych słów pani Becu, Słowacki, kończąc ten list, tak pisał do Filów: »Przygotujcie się więc na to, że mię kiedyś, nie dzień jeden, ale całe miesiące w waszym Ubieniu gościć będziecie, bo ja z mego podróżnego stanu i charakteru już wyjść nie mogę i tylko jako podróżny do śmierci być muszę. Wszelako wasz dom wydaje mi się zawsze piękną gościną i drzewem najweselszego odpoczynku. O to więc proszę was, abyście zawsze z lampami zapalonemi czekali na mnie, czekając aż do drzwi waszych zapukam. A niezawodnie zapukam, bo niema na całym świecie miejsca, gdzieby mnie podobne uczucie, jak do was, ciągnęło... Chciałbym choć jednę noc po tylu latach tułaczki przespać na łóżku, któreby mi siostra-wujenka zasłała świeżemi i pachnącemi zielem domowem prześcieradłami, choć jednę ucztę zjeść w domu krewnych, którzy mię zawsze kochali«.

W tymże liście pisała pani Becu, że się prawie nie rozstaje z synem; »co najwięcej Julo wpada na pół godziny

do cukierni, przebiega niektóre gazety i powraca, abym nie traciła czasu, nie widząc go«. Tej ciekawości Juliusza, z jaką szedł czytać dzienniki, nie można się dziwić, w chwili bowiem, kiedy on bawił we Wrocławiu, »spokojnie« z matką rozpamiętując dawne czasy, na świecie było bardzo niespokojnie, a nie zanosiło się na nic dobrego.

To wszystko zważywszy, nie trudno się domyśleć, że Słowacki w rozmowach z matką poruszał i kwestye polityczne, że powróciwszy z cukierni, wiadomościami, które przed chwilą wyczytał w gazetach, dzielił się z matką, która ich może nie w tym stopniu, co on, ale także musiała być ciekawa.

Na nieszczęście, oprócz polityki, poruszali i inne kwestye, do których Słowacki w tych czasach przywiązywał wagę największą, a z pewnością większą, niżeli do spraw politycznych. Rozmawiając o wszystkiem w ogóle, rozmawiali i o Towiańskim, o jego nauce. Tej kwestyi, lepiej, żeby nie byli poruszali wcale, w sytuacyi bowiem, jak obecna, nie mogli natrafić na kwestyę drażliwszą. Niestety, było to nieuniknione: Słowacki zbyt był przejęty messyanizmem, ażeby miał o nim nie mówić z matką, a pani Becu zbyt gorąco pragnęła przekonać Julka, żeby się pozbył tych mrzonek mistycznych, ażeby o tę kwestye nie zahaczyli. Zahaczyli, a z chwilą, kiedy do tego przyszło, zaczęły się dysonanse, wynikające ze zbyt wielkiej różnicy zdań i poglądów. Słowacki chciał przekonać matkę, pani Becu chciała przekonać Julka, stąd namiętne dyskusye, które sprowadzały burze. Obie strony uwzięły się, ażeby przekonać drugą, stąd gwałtowne starcia, bardzo przykre dla obu stron. Słowackiego martwiło, że matka jego »nie widziała tam szczęścia, gdzie on widział«, a panią Becu martwiło, że Julek nie widział szczęścia tam, gdzie ona widziała. O ile on próbował nawrócić ją, o tyle ona usiłowała przekonać go, że zaszedł na manowce, że się gubi w bezdniach jakiegoś chorobliwego mistycyzmu. Jeszcze zanim się zjechali, pisał Słowacki, w jednym ze swoich listów do niej, w taki sposób: »Wystawić sobie droga moja, nie możesz, ile ja jęstem utęskniony do widzenia się z tobą, lecz to dlatego, abym choć jednę chwilę mógł się uczuć z tobą w jednem uczuciu, *nie we wspólności tylko serc razem bijących, ani też w myślach wspólnie rozweselonych, ale w jednym mówię duchu, który rządzi sercem i myślą. Teraz serce twoje ze mną. Ale myśli często się mijają: ty innych rzeczy dla mnie pragniesz, o innem szczęściu dla mnie marzysz*«. W słowach tych leży klucz do rozwiązania zagadki. Słowackiemu chodziło o to, ażeby pani Becu uwierzyła, w co i on wierzył, chciał

ją, mówiąc poprostu, nawrócić na Towianizm, a pani Becu chciała mu tenże Towianizm — wybić z głowy. Ponieważ ani jedno, ani drugie nie dało się przekonać, więc skończyło się na tem, że im to, iż są razem, zaczęło ciężyć. Zaczynali się nudzić z sobą, bo się wzajemnie zaczynali rozczarowywać sobą. Smutny epilog, ale prawdziwy.

Tak upłynęły prawie dwa tygodnie. Dnia 7 lipca pani Becu pożegnała się z synem — na zawsze. Wracała do domu »zupełnie rozczarowana«, »nieszczęśliwsza niż przedtem, zawiedziona zarówno w swej miłości dla syna, jak i w tych resztkach nadziei, które z sobą do Wrocławia przywiozła«. Słowacki zdawał sobie jasno sprawę z tych uczuć, z jakiemi go żegnała. »Biedna ty, biedny ja! pisał do niej wkrótce po rozstaniu. Zawsze się lękałem, aby ci na oczach stanąwszy, nie być boleścią i dni twoich nie zatruć«. A do Teofilów pisał: »Niespokojność mię jakaś przenika o matkę moją. Tak rzadkie są wasze listy, a w nich nigdy wzmianki, czy od niej był list? jak się ona ma? czy się nie dręczy biedaczka, w wielu rzeczach zawiedzione widząc swoje nadzieje. Bo wam zapewne wiadomo, że spodziewała się widzieć Julka, a znalazła spokojnego człowieka, w którym bicie serca zostało odmienione, umysł spokojny, cierpliwość i zarazem wielka obojętność na dniowe zmiany i smutki ludzkie«.

Mimo to, choć w czasie tego kilkunasto-dniowego pobytu wspólnego we Wrocławiu nie zawsze harmonizowali ze sobą, rozstali się w harmonii. Kto zwyciężył? Zwyciężyła pani Becu, jej miłość macierzyńska. Kiedy się żegnali na debarkaderze, ostatnie słowa, jakie pani Becu wyrzekła do syna, były: że go kocha takiego, jak jest. Tem go rozbroiła; pod wpływem tych słów nie znalazło się w nim nic, coby się nie skruszyło. Najboleśniejszy kamień spadł mu z serca. »Czuję teraz wielką miłość twoją, a już nie lękam się, aby serce twoje nie pękło z jakiejkolwiek odemnie zadanej mimowolnie boleści, i to mi jest uspokojeniem«.

I rozstali się. Słowacki wrócił do domu, gdy w tem przyszła policya, która się dowiedziała nareszcie, że poeta już od dwóch miesięcy bawi we Wrocławiu. Sposób, w jaki mu to wymówiono, nim kazano wyjechać w ciągu 24-ch godzin, był wysoce brutalny. »Strasznie byli rozgniewani ci, co mi tu tak długo gościć pozwolili«, pisał poeta nazajutrz, gotując się do drogi.

W ten sposób, dnia 8 lipca, o godzinie 5-tej po południu, wyjechał Słowacki z Wrocławia, udając się (tak samo, jak w r. 1831) do Drezna, gdzie miał nadzieję zastać panią Bobrową.

Nie zastał jej przecież. Wskutek tego, cały dzień 9 lipca — a była to niedziela — spędził »w nudzie« aż do wieczora. Nad wieczorem dopiero spotkał się z Romanem Zmorskim, a ten zaraz o jego przybyciu uwiadomił innych, »tak, iż zaraz (już nie u Periniego, ale na promenadzie), pod drzewem musiał dawać posłuchanie licznej przyjaciół gromadce, a tak byli liczni, że pani Branicka, siedząc daleko, pytała ojca, co się tam dzieje, że się tak wszyscy zbiegli i tak się witają«.

Wieczór spędził Słowacki w towarzystwie poety Romana Zmorskiego i jego małżonki, Tekli. Oto, jak ten wieczór opisuje żyjąca dziś jeszcze pani Zmorska: »Było to w r. 1848. Drezno kipiało życiem nagromadzonych żywiołów naszych. Dzień lipcowy chylił się ku zachodowi. Szliśmy przez most, dążąc ku Neustadt. Naraz mąż mój puszcza mi rękę i poczyna biedz ku idącemu po drugiej stronie mostu mężczyźnie. Stanęłam zdziwiona, nie domyślając się, z kim Roman wita się tak serdecznie. Za chwilę obaj już byli przy mnie. »Juliusz Słowacki, żona moja«, przedstawił nas sobie Roman. Na to imię uczułam, że serce mi zadygotało. Wyobraźnia młodej kobiety rozbrzmiała w tej chwili wrażeniami *Anhellego, Wenedy, Balladyny* i innych stworzonych przez niego postaci. Zapatrzyłam się w tę twarz smutną, choć gorejącą ogniem wielkiego ducha, lecz niestety, noszącą już w sobie ślady śmiertelnej choroby. »Żegnałem matkę, zagadnął smutnem echem uciśnionej duszy, i wracam dziś jeszcze do Paryża«. »Dziś nie wyjedziesz, poświęcisz nam cały wieczór!« odrzekł Roman. »Owszem, do północy! Pojutrze muszę być w Paryżu«. Jakże pamiętnym był ten wieczór! Serdeczny nasz gość rozweselił się. Osiadłą na czole troskę złagodziło ciepło naszego domu. Czuł się jakby mniej samotnym, jakby otrzeźwionym ze strasznego zwątpienia, przytłaczającego mu duszę. Bo też rozmowa dwóch poetów, złączonych nierozerwalną nicią różnych idei i dążeń, splatała się na tle bujnej fantazyi w olbrzymie kształty wiary, prawdy i piękna... Mówię *bujnej fantazyi*, gdyż ani jeden ani drugi nie doczekali się rozstrzygnięcia zagadnień, jakie w duszach nosili. Zasłuchana, siedziałam cicha i rzewna, patrząc w płomienne oczy jednego, to znów drugiego poety... Zdawało mi się, że dobry Bóg łaskawym jest dla mnie, zsyłając w życiu takie złote chwile, które na podobieństwo gwiazd spadających, ciągnących za sobą smug świetlany, nikną w przestworzach. Tak i oni dla mnie poznikali... Słowacki kaszlał już bardzo i odradzałam mu nocną drogę. »Zapewne, uciążliwsza to droga, niż na piramidy. Wtedy cały świat niosło się w piersiach, a dziś chorobę...«

»Kto zdołał dotrzeć na szczyty piramid, zwalczy i chorobę«, odpowiedziałam. Trzeba tylko, żebyś pan znalazł opiekę dobrą dla siebie w Paryżu«. Tu Roman wstał z krzesełka i wedle zwyczaju, chodząc po pokoju, zaczął nucić ulubiony śpiew: »Wesoło żeglujmy, wesoło, po życia burzliwym potoku!« »Czy pani zna portret mojej matki?« spytał Słowacki jakby na odpowiedź, że mu jej brak. I pokazał mi mały, owalny, w aksamit oprawny medalion. Wyobrażał on kobietę, ubraną w obcisłą, z krótkim stanem suknię, z ciemnemi gładko zaczesanemi włosami. Dwoje ciemnych oczu wyjrzało na mnie z tego portretu... Północ wybiła i gość nasz miał się ku odejściu. Pożegnanie było milczące, ale milczenie mówiło więcej, niż słowa. Smutno nam było! Jakieś przeczucie grzebiące ściskało duszę... Roman odprowadził Słowackiego na kolej, uwożącą go od tych, których już nie miał nigdy oglądać... Na dworcu kolei oczekiwał go już Mieczysław Darowski i niemal całe koło nasze, przebywające wówczas w Dreznie...«

Dnia 13 lipca stanął Słowacki w Ostendzie, ażeby się tu, zanim przyjedzie do Paryża, trochę orzeźwić morską kąpielą. Jakoż zaczął się kąpać, ale nabawił się nowego kataru piersiowego, tak, iż po kilku dniach, napisawszy trzy listy, do matki, do pani Bobrowej, o której się dowiedział, że bawiła w Wisbadenie, i do Pettiniaud, którego prosił o zasilenie Felińskiego 100 frankami, powrócił do Paryża, do swego pustelniczego mieszkania przy Rue Pontieu, gdzie wszystko zastał bez zmiany, gdzie go powitał serdecznie »poczciwy Miletus« i jego żona (której niebawem kupił suknię zimową), a gdzie mu przedewszystkiem, skoro się znów rozejrzał po tych nizkich pokoikach, było smutno i ciemno. Zdawało mu się, że wraca do celi więziennej. W każdym razie wracał na wygnanie, którego końca nie dostrzegał nawet w najdalszej przyszłości. Nie dziw więc, że pierwszem uczuciem, którego doznał tutaj, było uczucie jakiegoś strasznego przygnębienia, i że pisząc do matki, kiedy mu przyszło pisać o sobie, napisał: »Smutno mi. Dawnej energii odzyskać nie mogę...« Nie spodziewał się, kiedy w kwietniu opuszczał Paryż, że wróci tutaj w takich warunkach.

Był chory, wyczerpany, prawie dogorywający, czuł zbliżającą się śmierć, nadzieje zaś, które obudziła rewolucya lutowa, okazały się zwodniczemi, jak *fata morgana*, która zniknęła, a to, co pozostało, na co się zanosiło, było okropne. »Święta anarchia« skończyła się. Cavaignac pastwił się nad pobitym proletaryatem, a kontrrewolucya szła w tym samym kierunku, co Ludwik Filip. Jak się wy-

raził Mickiewicz, od połowy lipca znowu bawiący nad Sekwaną, w Paryżu zapanował terroryzm, wywołany bezładem. Zdaniem Słowackiego, było to »prucie się źle zaczętej roboty. Z Boga się inna rozpocznie«. Aresztowania mnożyły się, a między innemi zaaresztowano także Towiańskiego, który przyjechawszy do Paryża w maju, (a przyjechawszy tu, wyklinał Mickiewicza i jego »roboty« we Włoszech); był podobno w czasie dni czerwcowych, widziany na barykadzie, co musiał przypłacić odsiedzeniem paru miesięcy w *Conciergerie,* w tej samej celi, w której była więziona Marya Antonina.

Kiedy Słowacki przyjechał do Paryża, Towiański już od 10 dni był uwięziony; z Braci zaś prawie nikogo jeszcze nie było w Paryżu. Temu należy przypisać, że poeta, który w ostatnich czasach tak się znów garnął do Koła, nie wstąpił do niego powtórnie. Możeby wstąpił, ale, na szczęście, w tej chwili Koło było rozprószone. Mimo to, sam fakt uwięzienia Mistrza przez Rząd francuski, w najwyższym stopniu oburzał poetę, do tego stopnia, że nawet w liście do matki napiętnował ten ostracyzm. »Wiecie zapewne o uwięzieniu Towiańskiego. Dziś doniesiono mi (dowód to, jak się Słowacki interesował jeszcze losami Mistrza), że go nie będą wywozili na wygnanie, tak, jak było postanowione, ale sprawę jego pod głębsze rozpatrzenie wezmą. Była to ohydna niesprawiedliwość i bezprocesowe osądzenie«.

Tymczasem Towiański siedział w więzieniu, z którego dopiero w d. 27 września miał być wypuszczony, a Słowacki zostawał pogrążony w »rozmyślaniach oryginalnych, dziwacznych«, pisał w dalszym ciągu *Króla Ducha,* dopisywał po parę oktaw *Beniowskiego,* który z ironicznego stawał się coraz bardziej smutnym i rzewnym, na odpoczynek zaś, po pracy, odwiedzał swoje znajome panie, któremi były: pani Bobrowa, pani Reitzenheim i pani Zofia Węgierska (ta sama, w której się niebawem zakocha przyszły autor *Sejmu czteroletniego).*

O pani Bobrowej, która, jak się okazało, nie była w Wiesbaden, jak o tem mylnie poinformowano Słowackiego, ale w Paryżu, znajduje się wzmianka w pierwszym liście, jaki poeta bezpośrednio po przyjeździe do Paryża napisał do matki: »Matka Zosieńki jest tu i znajduje mię znacznie poprawionym na fizyognomii od czasu, jak mię w Ostendzie (rok temu) widziała. Piszę ci to, bo świadectwu obcemu prędzej uwierzyć można, niż własnym oczom i zwierciadłu«. Zdaje się jednak, że pani Bobrowa, kiedy zapewniała Słowackiego, że wygląda lepiej niż zeszłego roku, w rzeczywistości była innego zdania; naprawdę Słowacki

wyglądał znacznie gorzej, a znajomi jego, wmawiając w niego, że wygląda nie najgorzej (choć jemu samemu zwierciadło mówiło co innego), starali się uspokajać go, dodawać otuchy, on zaś, jak wszyscy suchotnicy w takich razach, wierzył tym zapewnieniom.

O pani Reitzenheim nie zapomniał także, jak powrócił do Paryża. »Panią Reitzenheim znalazłem zdrową z dziatkami, mąż jej zaś u was jest (we Lwowie); dziwię się, że go nie poznałaś«. Na dowód, że Słowacki w tych czasach bywał dość częstym gościem pani Reitzenheimowej, można przytoczyć wyjątek z jego listu, pisanego w końcu sierpnia, a w którym Słowacki, pod wpływem niespokojności pani Reitzenheim, nie wiedzącej, gdzie się obraca jej mąż, pisał do matki, co następuje: »Gdzie się obraca Józef Reitzenheim, który był we Lwowie u matki i pisał tu do żony, że 20 lipca zamierza wyjechać do was i tu prosto powracać, a tymczasem żonę i dziatki zostawiwszy bez żadnej dalszej o sobie wiadomości, niewiedzieć gdzie się obraca. Nie jest to człowiek, któryby przez lenistwo nie dał o sobie zawiadomienia. Sądzę więc i wnoszę, że może się udał na południe i tam gdzie zawieruchą wypadków zatrzymany, pisać nie może. Proszę więc was, a Fortunata osobno listkiem niby rekomendacyjnym opatrzę, aby miał pretekst o synie się u matki dowiedzieć.. Żona Józefa także pisała do niej, ale i od matki niema żadnej odpowiedzi. Biedna Angielka smuci się. A najstarsza córeczka aż schnie z tęsknoty po ojcu«.

O pani Zofii Węgierskiej (słynnej autorce korespondencyi z Paryża do *Biblioteki Warszawskiej*), z którą także bliższą znajomość zawarł temi czasy, pisał do Wojciecha Stattlera w taki sposób: »Jeszcze prośba. Nieraz przed panią Zofią Węgierską chwaliłem się z tej miłości, którą mnie serce twoje darować raczyło; teraz ona, będąc w Krakowie, zechce zapewnie odetchnąć powietrzem twojej artystowskiej dziedziny. Może nawet odwołać się zechce do imienia mojego. Proszę, abyś był przychylny tej osobie, która wierzyć w ludzi i wiary od ludzi potrzebuje. A jest piękną i zdolną zapału i uwielbienia«.

Oprócz tych trzech kobiet, w których towarzystwie dobrze mu na rozmowie czas schodził, zastał Słowacki, powróciwszy do Paryża, oprócz Pettiniauda, Felińskiego, który także musiał czemprędzej z rozkazu władz pruskich, opuścić Wielkie Księstwo Poznańskie, gdzie się, jako dzielny partyzant, odznaczył. Z nimi komunikował się Słowacki najczęściej: codzień przychodzili do niego. O Karolu Pettiniaud pisał poeta do matki: »Mój przyjaciel Francuz zdrów i łza-

wymi, radośnymi oczyma patrzy na mnie. Odebrał on list z waszych stron od Ujejskiego, który mu pisze, że wy tam czekacie na mnie, i odgraża się, że mnie raz złowionego już nie wypuścicie«. Niemniej serdecznie pisał o Felińskim: »Feluś zawsze kochany, doznał twardej nędzy, wodę nosił i jeść gotował. Teraz mu dobrze. Widujemy się z nim często«.

Niestety, i Feliński, i Pettiniaud, niebawem opuścili Słowackiego: pierwszy musiał jechać do Monachium, tak, iż d. 21 sierpnia pożegnał się z poetą; drugi wyjechał do rodziców na wakacye.

Słowacki został sam, ale niedługo. Wkrótce przyjechał do Paryża Józef Komierowski, a jeszcze przed wyjazdem Felińskiego i Pettiniaud, przybył jeden z kuzynów państwa Bukowieckich, z którym się poeta poznał za swej bytności w Poznaniu. Tym sposobem miał i teraz z kim spędzać wieczory.

Powtóre zaczęli się pomału zjeżdżać dawni emigranci, liczniejsi niż przedtem, bo zasilani nowym zaciągiem wychodźców z kraju, którzy po wypadkach roku 1848, chcąc uniknąć więzień niemieckich i austryackich, musieli emigrować do Francyi. Smutny to był widok tych ludzi, wyzutych z resztek nadziei....

Słowacki był jeszcze w smutniejszem położeniu, bo 1) był chory, a 2) spotkał go w tych czasach bolesny cios, który go musiał zaboleć tak samo, jak Cezara zabolało owo Brutusowe pchnięcie sztyletem, tem boleśniejsze przez to właśnie, że je zadała dłoń przyjaciela. Oto był już bliski kiedy ostatniego tchnienia, jak Cezar pod posągiem Pompejusza, wyszło drugie wydanie *Psalmów przyszłości*, pomnożone *Psalmem żalu*, a ten *Psalm żalu*, to był ów cios zatruty, zadany ręką przyjaciela z willi Mills. Prawda, że go wywołał Słowackiego wiersz *Do autora Trzech psalmów*, ale poeta, o ile w pierwszem uniesieniu napisał ten wiersz, o tyle, kiedy się opamiętał, kiedy odzyskał spokój, nie chciał tego wiersza ogłosić drukiem, raz, że mu do pewnego stopnia zadał kłam r. 1846, a powtóre, że prawdopodobnie wolał tej przykrości oszczędzić przyjacielowi, bo jeżeli kiedy, to w tych czasach nie był usposobiony wojowniczo. Niestety, znalazł się taki usłużny, który ten wiersz w rękopisie dał do przeczytania Krasińskiemu. Tym usłużnym był, zdaniem Arcybiskupa Felińskiego, Cypryan Norwid, wspólny »niby przyjaciel« obu poetów. Krasiński, choć w tym wierszu Juliusza uznał »jedną z przedziwności języka polskiego« i choć się mógł uważać za zwycięzcę w tym sporze, uczuł się dotknięty tą odpowiedzią, w któ-

rej mistycyzm był okraszony ironią, i postanowił odpowiedzieć na tę odpowiedź. W ten sposób powstał *Psalm żalu*, który, o ile jest zaszczytnym dla poety, o tyle człowiek traci na tym wierszu.

Wogóle, o ile prof. St. Tarnowski uważa, że w tym sporze dwóch poetyckich tytanów, wywołanym wierszem *Do autora Trzech psalmów*, słuszność była po stronie Krasińskiego, o tyle, co do mnie, to poważyłbym się być całkiem odmiennego zdania. Przyznaję, że Słowacki był bardzo złośliwy w swoim wierszu *Do autora Trzech psalmów*, zwłaszcza tam, gdzie mówił o owej kotarze pąsowej, którą autor *Psalmu miłości* bierze za krew... ale, bądź co bądź nie był niemiłosiernym. Tymczasem Krasiński w swoim *Psalmie żalu* poprostu znęca się nad Słowackim, a to niemiłosierne znęcanie się razi tembardziej że w tym sporze Krasiński jest zwycięzcą, a zwycięzcy, kiedy powalił przeciwnika, nie wolno go — jeszcze kopać. Tymczasem Krasiński poprostu kopie Słowackiego.

Nadto nie brak w tym *Psalmie żalu*, w początkowych wierszach, pewnego samochwalstwa, które, o ile nie raziło w ustach owego Faryzeusza, co to dziękował Bogu, że nie jest tak podły, jak ów tam, stojący nieopodal, celnik, o tyle razi pod piórem polskiego psalmisty, kiedy ten, swoje zalety przeciwstawiając wadom Juliusza, powiada z zadowoleniem:

Prawdę mówiąc: pewnem męztwem
Ja się nigdy nie pochlubię;
Ja przed bliźnich drżę męczeństwem,
W otchłań spychać — ja nie lubię;
Gdzie brud ujrzę, wnet mi serce,
Jakaś bojaźń chwyta boża,
Braćmi nie są mi morderce,
Szablę kocham, wstyd mi noża.

Brzmi to tak, jakby Słowacki nie drżał przed męczeństwem bliźnich; jakby lubił swych bliźnich spychać w otchłań; jakby morderców uważał za braci, a nie wzdrygał się na widok brudu. Bo innego wniosku, myśląc logicznie, wyciągnąć z tych słów niepodobna.

Nie dziw też, że Słowacki, przeczytawszy ten *Psalm żalu*, w którym go Krasiński tak sponiewierał, zaczął przemyśliwać nad napisaniem nowego *Psalmu żalu*, odpowiedzi, w której tak samo postanowił nieoszczędzać autora trzech a teraz czterech psalmów, jak Krasiński nie oszczędził jego, pisząc swój *Psalm żalu*. Pod wpływem tego chwilowego rozgoryczenia i żalu, które musiały być bardzo wielkie, rzucił Słowacki — jesienią 1848 r. — kilka strof pod adresem Krasińskiego, strof, z których wystarcza przytoczyć

jedną, ażeby mieć wyobrażenie, jakim tonem miała się odznaczać ta replika:

Lecz na Boga, ty lutnisto!
Ty, mój bracie! Ciebie znałem
Archanioła mgłą ognistą
Owianego i zapałem.

I myślałem i dumałem,
Śledząc gwiazd nad tobą znaki:
Zkąd ty jesteś? Kto ty taki?
Co nam w tobie ziemia dała?
Jaka z ciebie będzie chwała?

Jakie ty nam dusz orszaki
Przyprowadzisz, na komendzie
Twej miłosnej latające,
Powiązane, jak łabędzie
Satelity twe, miesiące?

W której stronie zaszeleści
Twój chór męzki i niewieści?
Z której gwiazdy odedzwoni?
Którym znakiem uzna ciebie?
Której wierze się pokłoni?

Jeżeli w tym stylu wypadłby cały wiersz, można być pewnym, że byłby równie zatrutym grotem, jak *Psalm żalu* Krasińskiego. Na szczęście Słowacki nie dokończył swej odpowiedzi; w pierwszej chwili, pod wpływem pierwszego wzburzenia, pragnął się zrewanżować, ale i na tem się skończyło; zaniechał swego pierwotnego zamiaru, który musiał ocenić należycie, jako nielicujący z jego tegoczesnym sposobem myślenia, i zaniechał wszelkiej myśli o jakiejś poetycznej zemście.

Jaka zaś myśl nigdy nie postała mu w głowie, to myśl, żeby ogłosić wiersz *Do autora Trzech psalmów*, który wywołał *Psalm żalu* Krasińskiego. Uważał, że lepiej będzie, jeśli ten wiersz pozostanie w tece, jako ten wiersz, który, krążąc »w rękopiśmie«, niedrukowany, wywołał tę drukowaną odpowiedź Zygmunta. Niestety, zapomniał o jednem, że istniały odpisy tego wiersza, które niezawsze znajdowały się w odpowiednich rękach, czego dowodził choćby ten fakt, że jeden z takich odpisów dostał się *najniepotrzebniej* do rąk autora *Irydiona* — i to kiedy, ale w dwa lata po napisaniu tego wiersza. To był największy błąd Słowackiego, że ten wiersz czytał swoim znajomym, a w tej liczbie i Cypryanowi Norwidowi, który tego zaufania już raz nadużył, dając ten wiersz (najprawdopodobniej w marcu r. 1848) do przeczytania Krasińskiemu. Teraz nadużył tego zaufania po raz drugi, bo nie proszony o to, ani wiedząc, czy to może się zgadzać z intencyami Słowackiego, wiersz

ten *Do autora Trzech Psalmów,* bez wiedzy i pozwolenia Słowackiego, nic mu nie mówiąc o tem, w Lipsku ogłosił. Wiersz ten d. 5 grudnia znalazł się na biurku Zygmunta. Krasiński, pisząc w tym dniu do Małachowskiego, donosił mu: »Słowackiego wiersz wyszedł w Lipsku, mam go«.

Słowackiemu było bardzo przykro, kiedy się dowiedział o wyjściu tego wiersza — bez jego wiedzy i woli. Józef Reitzenheim, który — w tych czasach właśnie — odwiedził Słowackiego, tak pisze o swej wizycie u niego, która była ostatnią: »Nie miał zamiaru ogłaszać jej (poezyi *Do autora Trzech Psalmów)* drukiem; okoliczności, niezależne od jego woli, zrządziły, że ten płód chwilowej goryczy wyszedł na świat. Opuszczając Paryż, przy końcu r. 1848, byłem z pożegnaniem u Juliusza; w rozmowie kilkugodzinnej — i ostatniej pomiędzy nami — ubolewał ciężko, że ogłoszono ten wiersz«.

Jakiemi pobudkami powodował się Cypryan Norwid, kiedy postanowił ogłosić ten wiersz? Czy chciał się tem samem przysłużyć Słowackiemu? Czy rozumiał, że dobrze będzie, jeśli szeroka publiczność pozna tę »jednę z przedziwności języka polskiego«, która wywołała *Psalm żalu?* To pytanie musi pozostać bez odpowiedzi, choć nie ulega wątpliwości, że sobie Norwid w tym razie postąpił bardzo niewłaściwie, gorzej nawet, niż nietaktownie.

Co także nie ulega wątpliwości, że Krasiński bardzo się w tych czasach — najniezawodniej pod wpływem tego sporu — zmienił w swoich uczuciach dla Juliusza: nietylko ostygł w przyjaźni, ale nawet zapłonął niechęcią, czego dał wcale niedwuznaczny dowód w *Niedokończonym poemacie,* który teraz zaczął pisać w dalszym ciągu, a w którym, jako demagoga Julinicza, nakreślił złośliwą karykaturę Słowackiego (niemniej złośliwą, aniżeli ta karykatura Krasińskiego, jako człowieka, którą Słowacki nakreślil w swej *Nowej Dejanirze).*

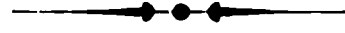
Tak zakończyła się ta »przyjaźń« Słowackiego i Krasińskiego, prawdziwa przyjaźń Fantazych!

Niemniej smutno zakończył się dla Słowackiego r. 1848; dość powiedzieć, że kiedy przyszła wilia Bożego Narodzenia, Słowacki ten ostatni wieczór wigilijny, jakiego miał dożyć, spędził samotnie, w swojem mieszkaniu starokawalerskiem. Tak się złożyło dziwnie, że go nikt nie zaprosił na wilię. I biedny poeta-stary kawaler, zapomniany przez swoich znajomych (a była w Paryżu i pani Bobrowa!) cały wieczór wigilijny przesiedział samotnie, wśród pustych ścian swych pokoików na 5-em piętrze, myśląc o domu,

o owych wieczorach wigilijnych, kiedy to w domu dziadowstwa

> Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
> Płakała w rytmy ubrana najlichsze...

kiedy siedział przy stole, otoczony całą rodziną, kiedy się wszyscy łamali opłatkiem, etc. etc. Smutny pod wpływem tych myśli o swoich, którzy w tej chwili — w Ubieniu — pewno siedzieli przy wigilijnym stole, również myśląc o nim, jak on myślał o nich, chciał w pierwszej chwili napisać list do nich, a przynajmniej do matki, ale zaniechał tego zamiaru. Zamiast do domu, napisał do Stattlera... Nie wiedział, że był to ostatni list, jaki miał w życiu napisać do swego krakowskiego przyjaciela.



ROZDZIAŁ VII.

POCZĄTEK ROKU 1849. ŚMIERĆ.

I. Przeczucie śmierci. Krwotoki. Testament. Projekty na wiosnę. Pragnienie powrotu do kraju. Ostatnie strofy *Beniowskiego*. Poeta nie ustaje w pracy nad *Królem Duchem*. Odwiedziny Cypryana Norwida. Rozmowa o Krasińskim i o Chopinie. Powtórna wizyta Norwida. Feliński. Ostatni list Słowackiego. Poeta dyktuje *Króla Ducha*. Dzień 1-go kwietnia. Ks. Praniewicz. Dzień 3-go kwietnia 1849 roku. Ostatni chwile poety. Spowiedź. List od matki. Zgon. Feliński i Pettiniaud. Przygotowania do pogrzebu. *Czarne kwiaty* Cypryana Norwida. Pogrzeb. Na cmentarzu Montmartre. II. Głosy prasy z powodu śmierci Słowackiego. Milczenie Mickiewicza. Krasiński i Goszczyński z powodu śmierci Słowackiego.

I.

Już się miało pod koniec życiu Słowackiego. Z nadejściem zimy z roku 1848 na 1849 czuł się coraz gorzej, choroba piersiowa czyniła zatrważające postępy, co objawiało się w formie ciągłych, coraz częściej powtarzających się krwotoków, strasznie wyczerpujących ostatek sił poety. Mimo to, choć, jako ciało, nikł z każdym dniem, z czego sam sobie najdokładniej zdawał sprawę, na duchu nie podupadał: był najlepszych myśli, a patrząc na świat, czynił to z pogodą pewną, która jego schorowane oblicze jakby otaczała aureolą jakiejś seraficzności nieziemskiej. Czuł, że mu przyjdzie umrzeć niebawem, ale był przygotowany na śmierć, a że ją uważał za wyzwolenie się »z pod ciała ucisku«, więc nie bał się jej. »Bo Bóg z nami (pisał do Teofila Januszewskiego). Ota ja (sam to czytaj, Filu), kilka dni temu

byłem mocno bardzo krwią zaatakowany, która mi się po wielokroć razy z ust wypluwać dawała. Teraz zamknęło się ujście i żywot mój w łono moje powrócił, ale widziałem zbliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał, jak żołnierza, od was wziąć, a na inne — i może trudniejsze jeszcze — stanowisko odkomenderować. Gotów byłem *i wesół byłem*, i teraz, wrócony zdrowiu, *znów jestem wesół*, że jeszcze z wami zostać mi kazano«.

Pod wpływem tych krwotoków, które go upoważniały do przeczuwania rychłej śmierci, sporządził testament, krótki, w dwóch paragrafach, w którym wszystko, co miał, zapisał matce i wujowi, mianując ich wspólnie i solidarnie sukcesorami swymi, z wyłączeniem wszystkich jakichbądź osób, a którego wykonawcą mianował swego przyjaciela-Francuza, Pettiniaud, »człowieka złotego serca«, jak go raz jeszcze w swym liście do Teofila Januszewskiego nazywa.

Wiadomo jednak, że suchotnicy, kiedy są blizcy zgonu, są najskłonniejsi do robienia najśmielszych projektów i planów na przyszłość, planów, które snując w swej rozgorączkowanej wyobraźni, jednej rzeczy nigdy nie biorą w rachubę: że mogą umrzeć przedtem. Jest to niekonsekwencya, która cechuje prawie wszystkich suchotników. I Słowacki nie stanowił wyjątku pod tym względem: nie łudził się, że jest z nim źle, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie doczeka wiosny, a jeżeli doczeka, to w każdym razie *ta* wiosna będzie w jego życiu ostatnią; a jednak, pomimo tej świadomości, wciąż robił projekty, że na wiosnę — w maju lub czerwcu — pojedzie do Galicyi, do Ubienia, i tam osiądzie przy matce i Teofilach, i będzie z lubością oddychał wiejskiem »podlipowem« powietrzem, jak niegdyś oddychał w Mickunach lub Wierzchówce. »Mocno, mocno chciałbym być z wami, pisał do Teofilów dnia 22 stycznia. *Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje*, zawsze w tej nadziei, że można będzie was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy mi Bóg pozwoli spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym was obaczyć i z wami pożyć potrzeba, a raczej powiem, chce się«. W innym liście, z d. 4 marca, pisał podobnie: »A tak potrzeba mi jechać do was! Mam nadzieję, że pojadę«, jakkolwiek »z domu jeszcze nie wychodzę i bardzo się szanuję«. Swoją drogą (pisał innym razem) »najrzetelniej ci powiadam, Filu, że z najżywszą radością wybieram się do was na wiosnę: wszystko tak urządzam, ażebym tu już wracać nie potrzebował. Idzie *tylko o to*, aby

mi z tego ciała do wiosny co zostało, bo mi coś bardzo ucieka. Teraz wszakże zdrów jestem«.

Te projekty podróży, niezależnie od ciężkiej choroby i możliwości śmierci, świadczyły o jednem: że poeta więcej, niż kiedykolwiek, osamotniony w ciągu tej ostatniej wiosny, jaką mu przeżyć było sądzone, więcej, niż kiedykolwiek tęsknił za rodzinnemi stronami, do których się wyrywał całą duszą; że więcej, niż kiedykolwiek, tęsknił za matką, za krewnymi; że przeczuwając zbliżającą się śmierć, wolałby umierać wśród swoich, na ojczystej ziemi, a nie tu, w tym ogromnym i gwarnym Paryżu, gdzie przebył tyle lat na wygnaniu; że wolałby podczas swoich ostatnich chwil widzieć matkę, Teofila, Hersylkę, Fortunata, do nich się uśmiechać ze swego śmiertelnego łoża, przez nich być pielęgnowany, z nimi rozmawiać przed śmiercią — po polsku; a kiedy umrze, żeby tą osobą, która mu oczy zamknie, była jego matka. Tymczasem, jeśli mu przyjdzie umierać tutaj, na obcej ziemi, tymi, którzy go w ostatnich chwilach doglądać będą, będzie portier Millet i jego żona, którym za tę ostatnią posługę będzie musiał dziękować po francusku: oni mu oczy zamkną, oni odprowadzą na cmentarz, a przecież on na więcej zasłużył.

Tego się obawiał, ta myśl przejmowała go smutkiem i melancholią, o których żeby mieć należyte pojęcie, wystarczy przeczytać kilka ostatnich oktaw z części pośmiertnej *Beniowskiego,* według wszelkiego prawdopodobieństwa napisanych w tych czasach, na bardzo krótko przed śmiercią.

O wy, którzy mię jeszcze dziś słuchacie
Dawnego ducha tajemniczej mowy!
Niechaj wam pięknie w waszej śnieżnej chacie
Ta pieśń ujaśni jaki dzień zimowy!
. . . .

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy:
Niech jej w niebiosach głośniej dośpiewają,
Niż ja, kończący tu bolesne losy....
Anioły moje już przybiegły zgrają,
Tłuką mi serce, targają za włosy,
I nazywają już wielką osobą,
I szepcą, i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni
Bracia, tem tylko różni od śpiewaka,
Żeście lub mędrsi albo mniej boleśni.
. . . .
. . . .

Bom ja przed wieki w śpichrzu nagromadził
Uczynków dobrych i anielskiej sławy...
Gdy mię Bóg ślepym przysłał i posadził
Na wielkim tronie — Pan Bóg mój łaskawy,
Pan, który o mnie z aniołami radził,
A wziął ofiarę z miecza i ze sławy.

Ale, choć przekonany był, że przez całe życie szedł »bez świata oklasków«, i godził się mieć po śmierci »niepłakaną trumnę«, to jednak, z drugiej strony, kiedy się obejrzał wstecz, poza siebie, kiedy pomyślał o swem życiu, w którem pełnił »srogą, twardą Bożą służbę«, to jednak czuł, że świat ponad nim nie przejdzie do porządku, że imię jego zapoznane za życia, »będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia« — i to, jak się wyraził w jednej z oktaw *Beniowskiego,* »czucie poetyczności przyszłej« miłem mu było.

O! ileż razy mamy takie czucie
Poetyczności przyszłej! O jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
Przenosi za grób, ale — jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciał zepsucie
I kości ziemia rozebrała brudna,
Aż w duszy, z życia i wypadków ciągu
Uderzy białe światło, jak z posągu?

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tem słońcu złotem, co ci oczy razi,
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tem niebie, które(go) żaden dym nie kazi,
W tej róży polnej, co się na świat śmieje,
Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda,
Jak róża, i upłynie, jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niej spała uczuć Heloiza,
Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnej róży i narcyza...
We śnie, gdy z trumny jej podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu oddźwierna,
Spokojna, chłodna, zmarła, ale — wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przeklęty lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu, i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi pod mogiłą
Z aniołem śmierci żyć — tak strasznie było!

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak, jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy.

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy, z fali mórz i burzy,
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który, myśląc, oczy mruży,
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrójcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski,
Gwiazdom podobne, i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje; tam, gdzie same głazy
I słychać tylko fal biblijnych wrzaski
Eschylesowskimi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte imię,
I słyszał je on laurów las, co drzymie.

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdem miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła,
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości,
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę, wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną! Jam cię czuł — i żyję!

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam, gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból mój stłumić pozdrowieniem: *Ave!*

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;

[redacted] anie —

...wacki, pomimo ula-
Ducha, którego do-
...*a Śmiałego*, co miało
... warunkach odwiedził
... — świeżo przybyły
...dzina 5-ta mniej wię-
...ny w długi podszarzany
płowiałej rogatywce, sie-
...rym pośrodku pokoju, wła-
zupy i pieczonej kury. Po-
...cznego miasta, gdzie spędził
usiadł, zaczęli rozmowę o Rzy-
...ch i przyjaciołach, o Ludwiku
Krasińskim, z którym przybyły
...bytu nad Tybrem żył w bardzo
...ry Słowackiego teraz, jako autor
interesował. Ztąd rozmowa o nim,
...*skiej Komedyi*, którą Słowacki bar-
Przedświcie, który miał za »piękne
...nością i o *Psalmie żalu*, którego za-
...a jeszcze czuł tkwiące w swem sercu.
...awiać o sztuce malarskiej, która, zda-
»wpadła w mechanizm«, aż w końcu
...r. Chopina, o którym Juliusz pokasłując,
...ięcy temu spotkałem jeszcze tego *mori-*
...o aluzya do opłakanego stanu, w jakim już
pozostawało zdrowie nieśmiertelnego twórcy
Słowacki, nazywając Chopina *moribundem*,
że ten *moribundus*, także dogorywający już
przeżyje go jednak, nie o długo, ale zawsze
przeszło.

...ilka dni później miał Słowacki znowu wizytę
Tym razem jednak, ku pewnemu niezadowoleniu
Czarnych kwiatów, Słowacki nie był sam: siedział
z Karolem Pettiniaud, który przecież od chwili, gdy
Norwid, prawie się nie odzywał (dlatego zapewne,
a z Norwidem przeważnie mówili po polsku). Ju-
...glądał mizerniej jeszcze, aniżeli poprzednim razem,
... kiedy go odwiedził Norwid — a było to nad
...stał przy kominku, nad którym wisiał jego
...lion roboty Oleszczyńskiego, i palił fajkę
...chu, typową fajkę szlachecką, taką, jaką

u nas wszyscy palą po wsiach. Pettiniaud siedział na kanapie. Słowacki był podniecony, w usposobieniu gorączkowem. O ile zeszłym razem mówili o sztuce przeważnie, o tyle tym razem — a miała to być ostatnia rozmowa Norwida ze Słowackim — rozmowa toczyła się głównie na temat polityki: mówili o Francyi, o rewolucyi lutowej, o wypadkach rzymskich, które Piusa IX wyrzuciły do Gaety. Słowacki zaś, o czemkolwiek mówił, wyrażał się nadzwyczaj wymownie, na wszystko znajdując naturalne, »ale kolorowe« określenie, używając najniespodziewańszych obrotów mowy, mówiąc »z akcentem zrezygnowanego żywota«, który był tak wspaniały niekiedy, że — jak powiada Norwid — przypominał głębię apostrof filozoficznych, napotykanych w *Maryi* Malczewskiego. A kiedy mówił, zapał malował się na jego wychudłej twarzy: oczy wielkie, czarne i głęboko zapadłe, płonęły gorączkowo, »oryentalna skroń« drgała nerwowo, a energiczne nozdrza orlego, wydłużonego nosa rozdymały się raz po raz, jak u rasowego rumaka. W końcu jednak, zmęczony dłuższem mówieniem, rzekł: »Piersi, piersi mam nadwyrężone. Każą mi jeść tylko cukierki, co chwilowo łagodzi kaszel, ale szkodzi na żołądek«. A kiedy Norwid zabierał się do wyjścia, rzekł doń na pożegnanie Słowacki: »Przyjdź jeszcze, przyjdź w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu. Potem... czuję, że mi niezadługo przyjdzie odejść z tego świata«. Mówiąc to, bawił się cybuchem fajki, którym wolno poruszał w jedną i drugą stronę, niby udając wahadło zegaru ściennego.

Stosownie do zaproszenia Juliusza, Norwid po upływie tygodnia, wieczorem, zaszedł znowu na ulicę *Pontieu*, chcąc odwiedzić poetę, ale wchodząc na schody, spotkał »jednego z *uczniów* jego«, który właśnie wracał od Słowackiego, a zapytany, jak się ma Juliusz? odrzekł: »Lepiej zajdź do niego jutro, bo dziś nie swój jest. Właśnie dlatego pożegnałem go«. »Jakże się ma w ogóle?« zapytał Norwid. »Nie wiem, brzmiała odpowiedź, ale tyle ci tylko powiem, iż Juliusz sam bardzo wątpi o swojem zdrowiu i już wzywał nawet pomocy i opieki św. Michała Archanioła, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy«. To usłyszawszy, nie zdziwiony tem bynajmniej, wiedział bowiem, że poeta był bardzo religijny, Norwid zawrócił się z drogi, zdecydowany swoje odwiedziny odłożyć na inny dzień.

Zdaje się, że tym »uczniem« Słowackiego, którego Norwid tego wieczoru spotkał na schodach, wracającego od poety, był Feliński, który przed tygodniem właśnie, wezwany przez Słowackiego, umyślnie przyjechał do Paryża, ażeby być przy nim w tych ciężkich chwilach. Kiedy

przyjechawszy z Monachium, pierwszy raz przyszedł do Słowackiego, którego zastał »nadzwyczaj zmienionym«, ten, uradowany jego widokiem, rzekł: »Dobrze, żeś przyjechał, bo czuję się bardzo niedobrze, a nie mam nikogo z bliższych przy sobie«. Odtąd widywali się codzień. Poczciwy »Feluś« chciał się odrazu wprowadzić do poety, ażeby go pilnować w nocy i we dnie, ażeby nieprzerwanie być na jego usługi, ale Słowacki podziękował mu za tę gotowość, nie chciał bowiem, ażeby młodzieniec wskutek tego zaniedbywał resztę swoich obowiązków; prosił go tylko, ażeby przychodził do niego, o ile mu na to czas pozwoli. Feliński zastosował się do tego życzenia gasnącego poety, czyli, że od tej pory stał się nie gościem, ale domownikiem Juliusza. Prawie cały dzień spędzał z nim razem, tylko na noc wracając do domu.

Nocami wyręczał go »poczciwy Miletus«, który w tych czasach sypiał u Słowackiego, ażeby poeta nigdy nie był sam w mieszkaniu. Czasami czyniła to poczciwa żona Milleta, a czasami Pettiniaud. Oni mieli *dyżur* nocny.

Feliński przychodził rano, a o ile poeta czuł się lepiej, o ile miał dość siły, ażeby zejść ze schodów, na które potem musiał wchodzić, co go najbardziej męczyło, wychodzili na ulicę, na słońce, na spacer. Albowiem trafiały się jeszcze takie dni, że Słowacki wychodził na ulicę. Niekiedy odwiedzał nawet swoich znajomych, a raczej swoje znajome panie: panią Bobrową, panią Reitzenheim, panią Dunin-Wąsowiczową.

Do tej ostatniej — jak niesie tradycya — na kilka dni przed śmiercią — w piątek — napisał jeszcze krótki liścik, prawdopodobnie ostatni list, jaki napisał w życiu, a który, przejmująco smutny od początku do końca, brzmiał, jak następuje:

Pani!

»Bardzo i bardzo źle z mojem zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to w istocie tak, jak upiór, zdolny tylko szklanne rzucać wejrzenia na to słońce, które wkrótce przestanie przyświecać memu snowi.

»Przechodząc koło progów pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzezwyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje. Wejść nie mogłem, — na serce się moje klnę, że nie mogłem. A jednak niech mi Pani wierzy, że z prawdziwem rozrzewnieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się o tę część smutku, którą wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tem ulżyć mogła.

»Ale wszystko próżno, Pani droga! przynajmniej w tych dniach takie jest przeświadczenie moje. Gorączki mię trawią, bicie serca powiększa się ciągle, a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc Pani o modlitwę i myśl dobrą, któraby wspólnie łącząc się z moją myślą, pomogła mi w tem weselu ostatecznem ducha, który półsenny widzi pęki otwierające się na drzewach

i coraz głębiej zasypia — aż do nowej wiosny i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nową radością.

»Żegnam Panią i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli.

Wierny sługa

Juliusz Słowacki«.

Odtąd choroba czyniła zatrważające postępy: ostatnia chwila zbliżała się z przeraźliwą szybkością. Zwłaszcza noce były ciężkie: poeta, dręczony kaszlem i dusznością, nie mógł sypiać. W dzień, trawiony gorączką był rzeźwiejszy; tak, że nie ustawał w pracy, z ręki nie wypuszczał pióra, pisał po parę godzin dziennie, zajęty przepisywaniem drugiego rapsodu *Króla Ducha,* który właśnie przygotowywał do druku. Kiedy był bardzo zmęczony, (a nic go tak nie męczyło, jak pisanie), prosił Felińskiego, ażeby pisał za niego, a on mu siedząc na kanapie, blady i wyczerpany, dyktował z brulionu. Tak upłynęło kilka dni. Słowacki, choć czuł wzrastający upadek sił, choć miewał coraz częstsze duszności, które z dniem każdym stawały się coraz dokuczliwszemi, mimoto nie zmieniał trybu życia, tak, iż nikt nie przypuszczał, ażeby ostateczna katastrofa mogła być tak blizką, jak była w istocie, jakkolwiek nikt nie wątpił, że jest źle.

Dnia 1-go kwietnia, kiedy Feliński przyszedł rano do Słowackiego, oświadczył tenże, iż w nocy było mu tak źle, iż dnia nie spodziewał się dożyć. Po chwili zapytał go, czy nie zna jakiego ubogiego rodaka, któryby chciał sypiać u niego, gdyż czuje iż śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak, niż obcy. Wtedy zaproponował mu Feliński, a była to raczej prośba, niż propozycya, żeby nie sprzeciwiał się, jeżeli on sprowadzi się do niego. Ale Słowacki nie chciał nadużywać jego poczciwości; a kiedy Feliński nalegał, poeta dodał: »później pomówimy o tem, a wreszcie, może mię Bóg tak jakoś przeniesie«.

Nazajutrz zdawało się Felińskiemu, kiedy przyszedł, że poeta ma się trochę lepiej. Choć była to dopiero 8-ma rano, Słowacki był już na nogach, ubrany, jak codzień. Jednak był niespokojny, a zapytany, jak się ma, wyznał, iż w nocy sądził, że go duszność zadławi. Potem zaczął mówić o *Królu Duchu,* którego znów zaczął przepisywać dalej, ale tak mało ma siły — mówił — że musiał zaprzestać. Usłyszawszy to Feliński, poprosił go, aby mu dyktował, na co poeta zgodził się. Jakoż zasiedli do pracy, Słowacki zaczął dyktować, Feliński pisał, i tak napisali jakiś fragment rapsodu, ale i to już męczyło Słowackiego za bardzo, więc resztę odłożyli na później. Kiedy się żegnali,

poprosił go Słowacki, aby się udał do księdza Praniewicza, z zapytaniem, czy może do niego przyjść z Sakramentami? zapytanie charakterystyczne, które świadczyło, że Słowacki, który się znów poczuwał do Towianizmu, nie był pewny, czy mu ksiądz katolicki udzieli św. Sakramentów. Ale Ks. Praniewicz nie sądził Towiańczyków tak surowo, jak to czynili OO. Zmartwychwstańcy np., którzy zacięcie walczyli z nową sektą, i dał odpowiedź przychylną.

Nazajutrz, około południa, d. 3 kwietnia, we wtorek, Feliński, już po widzeniu się z ks. Praniewiczem, kiedy przyszedł na Rue Pontieu, ażeby zapytać Juliusza, kiedy się chce wyspowiadać, zastał w pierwszym pokoju tylko Karola Pettiniaud; Słowacki był w drugim pokoiku. Na zapytanie, co słychać, odparł Pettiniaud, który, jak się okazało, ostatnią noc przy Juliuszu spędził, że poeta miał bardzo złą noc, a chociaż zrana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło 10-tej zemdlał, i zdawało się, że już skończył. To usłyszawszy, Feliński wszedł do drugiego pokoju, który był sypialnią poety, i zastał go w łóżku już przytomnego zupełnie. Po przywitaniu, Słowacki, zapytany o zdrowie, powiedział, że w tej chwili ma gorączkę, która go utrzymuje przy siłach. »Ale czuję się bardzo słabym«. Potem zapytał o księdza, a kiedy się dowiedział, że ten nie odmówił, prosił Felińskiego, ażeby go tenże natychmiast sprowadził.

W pół godziny potem, sprowadzony przez Felusia, przyszedł ks. Praniewicz, pomówił z poetą, a widząc, że jest źle, poszedł do kościoła po Sakramenta. Feliński i Pettiniaud zostali przy łóżku poety, obydwaj rozrzewnieni, ze łzami w oczach. Wtem wszedł portier Millet, niosąc list, zaadresowany do poety. Słowacki, spojrzawszy nań, odrazu poznał charakter pisma matki, i na ten widok, twarz jego, smutna i bolesna do tej chwili, rozjaśniła się nagle. Ale był zbyt osłabiony, ażeby samemu rozłamać pieczęć, więc prosił o to Felińskiego, zarówno, jak i o przeczytanie listu. Feliński zaczął czytać, a poeta przymknąwszy powieki, słuchał w skupieniu. Gdy Feluś skończył czytać, Słowacki otworzył oczy, wyciągnął ku Felusiowi swą chudą, delikatną, bladą — aż przeźroczystą prawie — i rozpaloną dłoń, ujął go za rękę, i ze spokojnem rozrzewnieniem, głosem przerywanym, ale wyraźnym i spokojnym, rzekł po polsku: »Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można: ale szczęśliwy jestem, że dziś, jakby na pożegnanie, list jej odebrałem i z myślą o niej umieram... Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze tę wielką pociechę: pożegnanie i błogosławieństwo

matki«. Tu umilkł, a po niejakiej chwili wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: »Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą, jest nowym darem Stwórcy, nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, ale nie pojmując Jego sprawiedliwości, przypuszczano istnienie mnóstwa różnych kółek, za których pomocą Bóg wynagrodzi kiedyś niesprawiedliwość i cierpienie tego żywota. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję; tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję go w ręce mego Stwórcy. Wszak prawda? Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi«.

Wtem dał się słyszeć głos dzwonka: szedł ksiądz z Panem Bogiem. Juliusz, na widok sługi Chrystusowego, uniósł się przy pomocy swych przyjaciół na poduszkach, usiadł i zaczął się spowiadać. W pokoju był tylko sam z księdzem: Feliński i Pettiniaud przeszli na ten czas, wzruszeni i rozrzewnieni, do saloniku. Kiedy, po niejakim czasie, na odgłos dzwonka, weszli do sypialni, zastali poetę rozpogodzonego i pokrzepionego na duchu: klęczał na łóżku (co pozwalało się domyślać, że powstał o własnej mocy) i w końcu, ciągle modląc się żarliwie, przyjął ostatnie namaszczenie.

Wkrótce potem ksiądz Praniewicz opuścił mieszkanie poety, a ten, osłabiony zbytnim wysiłkiem, upadł na poduszki. Po chwili przyszedł do siebie, oczy mu się rozjaśniły, twarz przyoblekła się wyrazem jakiejś nieziemskiej pogody, na usta wystąpił uśmiech, tak łagodny i ujmujący, że, jak zapewnia ks. Feliński, nie można było wzroku oderwać od tego oblicza, cudownie pięknego świętem zachwyceniem. Po niejakiej chwili wewnętrznego skupienia, wyciągając ręce do przyjaciół, rzekł: »Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta; często myślałem o tem, czy też tej łaski dostąpię«.

Tymczasem gorączka ustąpiła, a w serca Felińskiego i Pettiniaud wstępowała otucha, że Juliusz nie umrze jeszcze, że był to jeden ze zwykłych ataków, ale nie ostatni. Po chwili zażądał chory, aby my dano trochę gorącej herbaty. Wypiwszy ją, prosił, żeby go zostawiono samego, gdyż chciał spocząć. Feliński i Pettiniaud przeszli do saloniku, ale, wychodząc, zostawili drzwi otwarte. To im pozwalało

obserwować poetę, który, leżąc na wznak, raz po raz przymykał oczy, po krótkiej chwili jednak, jakby lękając się, żeby to nie był sen nieprzespany, otwierał je nagle. Oddech jego, jak zauważył Feliński, był trudny i chrapliwy, co mimowoli budziło obawę, ażali to nie jest już rzężenie konającego. Tak upłynął czas jakiś. Pettiniaud i Feliński czuwali nieustannie, co chwila zaglądając przeze drzwi, czy poeta śpi. Widząc jednak, że nie śpi, weszli znowu. Wtedy poprosił o trochę wina czerwonego, które już z trudnością połykał. Potem poprosił Felińskiego, ażeby przyniósł książkę, z której mu wczoraj dyktował, a kiedy Feluś przyniósł żądany kajet, zawierający brulion drugiego rapsodu *Króla Ducha,* pokazywał mu, w jakim porządku należy przepisywać dalej, ale nie doszedłszy końca, znużony, zamknął zeszyt, mówiąc z pobłażliwym uśmiechem: »Wszystko to głupstwo...« Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycyi, a kiedy Feliński i Pettiniaud uskutecznili to, rzekł, widocznie przeczuwając zbliżającą się chwilę zgonu, choć mówił to z łagodnym uśmiechem: »Może to w tem położeniu śmierć mię zastanie?« Wtedy oni przeczyli temu, albowiem nie przypuszczali istotnie, ażeby śmierć mogła być tak blizką, ażeby się już mogła unosić nad Juliuszem. Ale poeta już im nie odpowiadał: zamilkł, a leżąc nieruchomie, wciśnięty w poduszki, co moment spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć o której godzinie przenosi się do wieczności. Nastało długie milczenie, którego ani Feliński ani Pettiniaud przerwać nie śmieli. Nagle rzekł: »Rzeczy cenniejsze i rękopisy odesłać Teofilom, odzież i bieliznę rozdać ubogim, listy prywatne spalić«. W końcu poeta zrobił znak, że chce wstać, w chwili jednak, kiedy go przyjaciele unieśli na posłaniu, zaczął mocno drżeć na całem ciele, a z czoła formalnie popłynął nadzwyczaj obfity pot. Jednocześnie oddech stawał się coraz trudniejszy, chrapliwszy; umierający słabł coraz bardziej, oczy jego nawpół przymknięte, poczęły zachodzić mgłą. Tymczasem Feliński podtrzymywał mu głowę, a Pettiniaud nacierał skronie i puls. Ale już nic nie pomagało. Poeta im zwisał na ręku, głowa mu opadała na piersi, w końcu przechyliła się w tył, już bezwładna zupełnie. Puls słabł z każdą chwilą, oddech ustawał, serce nie biło. W końcu bić przestało całkiem, a oddech ustał. Życie uleciało, na łóżku leżał trup, z rozwartemi, zgasłemi oczyma.

Głuchą ciszę przerywało żałosne łkanie dwóch przyjaciół zmarłego poety, a na dworze świeciło słońce. Na zegarach biła godzina 4-ta.

Stłumiwszy pierwszy wybuch boleści, Feliński zamknął

oczy Juliusza, złożył mu ręce, potem zaczął się modlić za jego duszę, którą polecał Bogu, a potem wraz z Pettiniaud i Milletem, który Juliuszowi zaraz uciął pukiel włosów dla pani Bezu, zajął się przygotowaniami do pogrzebu. Przedewszystkiem otworzono komodę, w której znaleziono testament... W drugiej notatce były szczegółowe rozporządzenia, dotyczące rzeczy i pogrzebu. Potem Feliński został przy zmarłym, którego zaczęto myć i ubierać do trumny (w czem musiała być pomocną żona Milleta), Pettiniaud zaś wybiegł na miasto, ażeby w urzędzie zawiadomić o zaszłej śmierci, gdyż francuskie prawo wymagało, ażeby wnet po zgonie każdego, mieszkającego w Paryżu, zawiadamiano policyę, a we 24 godzin, po skonstatowaniu śmierci, żeby nieboszczyk już był pochowany.

Nazajutrz, raniutko, Pettinaud nim zaczął biegać po mieście, za kupnem trumny i miejsca na cmentarzu, narysował z natury portret pośmiertny Juliusza, który, już ubrany, leżał na łóżku. Jednocześnie Feliński rozsyłał zaproszenia, które kazał wydrukować, zawiadamiał, kogo mógł, o śmierci poety, a Millet czuwał nad ciałem.

Był to bardzo gorączkowy i kłopotliwy dzień dla obu przyjaciół Juliusza, ze względu, że fundusz, jaki poeta zostawił w gotówce, był stosunkowo niewielki, a koszta pogrzebu ogromne. Kiedy zakupiono wieczyste miejsce na cmentarzu Montmartre, co kosztowało 500 franków, okazało się, że pozostała suma, którą wypadało opędzić koszta pogrzebu, była tak skromna, że musiano poprzestać na bardzo skromnym kondukcie. I trumna, którą kupiono, była bardzo skromna: czarna, drewniana, z białym krzyżem na wieku. Możeby sprawili kosztowniejszą, ale obaj, i Feliński, i Pettiniaud, byli bez grosza, na to zaś, ażeby się odwołać do kogo, nie było czasu.

Tegoż dnia rano, nic nie wiedząc o śmierci Juliusza, przyszedł na ulicę Pontieu Cypryan Norwid w zamiarze odwiedzenia poety. Ale już w bramie, u portyera, dowiedział się, że *Monsieur Jules* umarł tej nocy... Wszedł na górę, a tam, wobec zimnego ciała Juliusza, doznał niezapomnianego wrażenia, z którego później w swych *Czarnych kwiatach*, tak zdał sprawę: »Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historyi polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił. Ptaszki zlatywały na niepielęgnowane doniczki z kwiatami... Krzątano się około pogrzebu«...

Nazajutrz rano, d. 5 kwietnia, przyszła płatna służba cmentarna, która zwłoki poety, już od wczoraj złożone

w trumnie, zniosła z piątego piętra na ulicę, gdzie przed bramą domu stał skromny dwukonny karawan 9-ej klasy, otoczony nielicznym orszakiem bliższych znajomych poety, między którymi widziano dwie kobiety (żonę i córkę portyera), ale nie widziano Mickiewicza... Po chwili ruszył karawan, zdążając ku kościołowi św. Filipa du Roule, w którym, zwłoki jako w kościele parafialnym, miały być — według prawa — wystawione. Tam, kiedy trumnę, zdjętą z karawanu, ustawiono na katafalku (na tym samym, na którym w równych 10 lat później spoczęły zwłoki Zygmunta Krasińskiego), odbyło się o godzinie 11-ej nabożeństwo żałobne, poczem ruszono na cmentarz Montmartre, gdzie naprzeciw grobu Sobańskiego, świeżo wykopany grób czekał na przyjęcie trumny.

U wrót cmentarza, kiedy przed nie zajechał karawan, oczekiwał nań — w żałobnej komży — ksiądz, który ciało nieśmiertelnego wieszcza pogrzebał w poświęconej mogile. »Żadna mowa pożegnalna — pisze ks. Arcybiskup Feliński — żaden jęk głośny lub niewieście łkanie, nawet rodzinny nasz *Anioł Pański* nie ozwał się na tem wzgórzu cmentarnem, tylko grudki ziemi, ręką życzliwych sypane, głuche echo wywoływały z trumny, mięszając się z ponurym śpiewem kapłana: *Requiescat in pace!*

II.

Tymczasem, kiedy się rozeszła wieść, że Słowacki umarł, prasa polska, zarówno emigracyjna, jak i krajowa, pospieszyła z krótszemi lub dłuższemi nekrologami.

Pierwszem pismem, w którym się pojawiła drukowana wiadomość o śmierci Słowackiego, była redagowana przez Mickiewicza *La Tribune des Peuples*, w której nazajutrz po śmierci poety, już d. 4 kwietnia, wieczorem, czytano, co następuje:

»La Republique universelle, l'émigration polonaise et l'art viennent de faire une perte douloureuse dans la personne de Jules Słowacki, décédé hier à 4 heures de l'après-midi. Le servis funèbre aura lieu à paroisse de Saint-Philippe du Roule et la réunion à son domicile Rue de Pontieu 34 (30 ancien), Jeudi 5 Avril, à 11 h. du matin. Le corps sera déposé au cimetière Montmartre.

Być może, że niektórzy z przyjaciół Słowackiego, jak Feliński np., byli przekonani, że redakcya *Trybuny*, nie poprzestanie na tej suchej dziennikarskiej wzmiance o śmierci wielkiego poety, ale wystąpi — w kilka dni po pogrzebie —

z obszerniejszym nekrologiem, jak to niebawem uczynią inne pisma. Nie byłoby dziwnem, gdyby się spodziewano, że taki nekrolog napisze Mickiewicz. Pamiętano przecież, że w swoim czasie, kiedy umarł Puszkin, Mickiewicz napisał prawdziwe arcydzieło nekrologu, a napisał je po francusku, dla Francuzów. Skoro przypuszczał wtedy, że Francuzów może zainteresować artykuł o wielkim poecie rosyjskim, choć była to epoka, gdzie Francya bynajmniej nie entuzyazmowała się dla Rosyi, to tembardziej mógł być pewnym, że teraz, kiedy Francya uważała się za »siostrę« Polski, kiedy *Vive la Pologne* raz po raz dawało się słyszeć w Paryżu, taki sam artykuł o Juliuszu Słowackim, jak ów o Puszkinie, potrafiłby obudzić nie mniejsze, ale nierównie większe zainteresowanie wśród Francuzów. Niestety, jeżeli takie było przewidywanie przyjaciół Juliusza, to się zawiedli: *La Tribune des Peuples* nie pomieściła żadnego nekrologu z powodu śmierci autora *Króla Ducha.*

Inaczej na tę sprawę zapatrywali się redaktorzy innych pism. W krakowskim *Czasie* np. w Nr. 111 z dnia 5 lipca 1849 r. tak pisano pod niedawnem wrażeniem śmierci Juliusza:

»Juliusz Słowacki zgasł przed kilku miesiącami w Paryżu. Oniemiał na zawsze najfantastyczniejszy z poetów naszych. Zgon poety, a jeszcze w sile wieku młodzieńca prawie, ma w sobie coś dziwnie rozrzewniającego. Słowik śpiewał w ogrodzie, ożywiał całą okolicę, poetyzował wieczory, naraz, czy jakiś lekkomyślny strzelec, czy ptasznik, czy wreszcie zwierz drapieżny zabija słowika i oniemiało wszystko, urok traci okolica, maj nie jest już majem, a z oka młodej dziewczyny, która lubiła marzyć przy jego śpiewie, płynie łza cicha i dziewczyna marzy samotnie, bo już nie ma po co wybieżyć do sadu. Czytaliśmy go w kole rodzinnem: on nam złotemi snami, czarodziejską fantazyą, muzyką wiersza umilał zimowe chwile i wyprowadzał z bólów i nędz rzeczywistych, między rajskie obrazy, w świat zaczarowany, gdzieśmy się spotykali z postaciami innego rozmiaru, niż ludzie zwyczajni, z myślami innego kroju, niż myśli codzienne. I nie być-że tu wdzięcznym poecie! I nie sypać-że mu całemi garściami wieńców na tę mogiłę wyżebraną na cudzej ziemi, gdzie prochy jego nie zmieszają się nawet z prochami ojców, gdzie może blizki przechodzień z rodzinnej ziemi nie znajdzie nawet jego grobowca?! Odsłużmy mu przynajmniej żywem wspomnieniem«.

Niemniej gorąco napisał w *Stadle* pod wrażeniem wieści o śmierci autora *Beniowskiego* Roman Zmorski.

»Naród i piśmiennictwo nasze poniosło świeżo nieporównaną stratę: Juliusz Słowacki, jeden z największych naszego wieku geniuszy Polski i Europy, zakończył życie. Pogrzeb jego odbył się w cichości. Z boleścią dowiadujemy się, że nad mogiłą zmarłego nikt z pozostałych nie podniósł głosu, aby Jego zasługi czci i pamięci braci polecić. Z szorstkiej mowy naszej utworzył on dziwnie metaliczne, szklanne, muzykalne narzędzie, z którego płynęły dźwięki wpierw niesłyszane... Przelewał kryształ i złoto, i lazur, płynąc, jak się wyraził o sobie, po błękitnej grocie Sorento. Nie

prędko on będzie zrozumianym i ocenionym. Smutno widzieć, jak często u nas najznakomitsi ludzie, jeśli, nie służąc szczególnym stronnictw widokom, jedynie dla ogólnego działają pożytku, przechodzą bez współczucia i odgłosu za życia i po śmierci, podczas gdy tyle karlich umysłów i zdolności na szczudłach partyi nabierają olbrzymich kształtów i rozgłosu«.

Innym tonem odznaczało się wspomnienie pośmiertne, które w miesiąc po zgonie Juliusza zamieścił *Przegląd poznański*, (ten sam, który tak ostro osądził wiersz *Do autora Trzech Psalmów*), wspomnienie, według wszelkiego prawdopodobieństwa wyszłe z pod pióra Jana Koźmiana.

»Umarł w Paryżu d. 3 kwietnia Juliusz Słowacki, umarł w całej sile wieku, w pełni wielkich zdolności swoich. Dwadzieścia lat blizko próbował Słowacki najrozmaitszych kierunków, wszędzie zostawiając świetne ślady po sobie; dwadzieścia lat nie mógł znaleść zaklęcia, któremby zdołał swój naród poruszyć. Tęsknota i niezadowolenie często walczyły z jego żelazną wytrwałością, nigdy jej nie pokonały. On wierzył w swoje powołanie i tylko dróg jego odszukać nie umiał. *Marya Stuart*, najczystszy z utworów poety *Anhelli*, tłómaczenie *Księcia Niezłomnego*, w końcu *Król Duch*, stanowią szereg najniezgodniejszych utworów, w których znać naśladownictwo Byrona, Szekspira, Dantego, Lope de Vegi, Mickiewicza, Zaleskiego, autora *Irydiona*, wpływ studyów słowiańskich, nawet politycznych zachceń, w których brak ideału, brak rzeczywistego interesu, ale w których sztuka wygórowała zawsze do niesłychanej potęgi. Artystą był Słowacki ogromnym. Kolorytu używał i nadużywał na wzór szkoły weneckiej; cieniował z niesłychaną biegłością; kochał się w wschodnim przepychu barw; wszędzie widział złoto i rubiny, wszędzie słyszał rajskie melodye i czuł wonie kwiatów majowych; najdrobniejsze pyłki poruszał i układał je w wir tęczowy. Językiem władał samowolnie, naginał go do wszystkich zwrotów, do wszystkich wtórów podnosił lub zniżał. Wiersze jego są ciągłą melodyą i śpiewać je raczej, albo przy muzyce skandować, jak deklamować należy. Sam porwany grą kolorów i ukołysany harmonią, często zapominał o powiązaniu swoich natchnień z tą wysoką rzeczywistością, która jest koniecznym warunkiem wcielenia dla poetycznych pomysłów. Z przeszłości najlepiej rozumiał zbroje stalowe, szyszaki z piórami i delie aksamitne. Czasem tylko zadrgała w sercu jego ta tęsknota, którą tak w Malczewskim cenił.

Smutne są okoliczności współzawodnictwa Słowackiego: najpierw z Mickiewiczem, potem z wieszczem *Psalmów*.

. . . .

Tak pisano w dziennikach współczesnych. A i poeci nie pozostali obojętni na śmierć Słowackiego. Krasiński, kiedy się dowiedział o zgonie swego przyjaciela z willi Mills, zapomniał o wzajemnych urazach, które ich dzieliły w ostatnich czasach, i tak, pod wrażeniem tej wieści, pisał do Małachowskiego: »Biedny Juliusz Słowacki umarł 3-go kwietnia z suchot. Praniewicza kazał zawołać, sakramenta przyjął, z wielkim spokojem odszedł, mówiąc: »Czas już ten łachman zrzucić i pójść tam!« Na pogrzebie Mickiewicz się nie pokazał, tylko ze trzydziestu ziomków; lecz żaden nie przemówił. Zresztą mów nie potrzeba człowiekowi, którego imię przetrwa, dopóki języka polskiego sta-

nie. Towianizm wyraźnie go dobił«. Jednocześnie prosił Gaszyńskiego, ażeby się dowiedział, czy Słowacki nie zostawił wiadomości co do nagrobku. »Jeżeli nie, to połóżcie mu napis: *Autorowi Anhellego*, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na przyszłe pokolenia«. Jeszcze piękniej, a nie mniej serdecznie, pisał pod wrażeniem śmierci Juliusza — na którego pogrzebie musiał być z pewnością — Seweryn Goszczyński: »Odchodzą jeden po drugim bracia nasi. Świeczniki, zapalone Duchem Pańskim, gasną jedne po drugich, jakby podmuchem gniewu Pańskiego, a droga długa, a noc gęsta, a do świtu jeszcze daleko. Nie tak miało być, nie o to Bóg się z nami umawiał, nie tego chciał, nie na to nas powołał, nie tego się od nas spodziewał. Uderzmy się w piersi: nasza wina! Wina tych, co pozostali. Błagajmy Boga, aby nas do szczętu nie wytracił« [1]).

---

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1895, t. I, 408. Kiedy wiadomość o śmierci Słowackiego doszła do Lwowa, gdzie wtedy przebywała pani Becu, odbyło się tamże w kościele OO. Karmelitów nabożeństwo żałobne za duszę jego, zamówione przez przyjaciół i wielbicieli poety, na którem ks. Karol Antoniewicz wygłosił wspaniałą mowę, jedną z najszczytniejszych podobno, jaką ten znakomity kaznodzieja wygłosił w ogóle (Zob. *Gazeta codzienna*, z roku 1859, Nr. 268, 270). Wkrótce potem, w kościele Akademickim św. Anny w Krakowie, w bocznej nawie po lewej stronie, wmurowano z polecenia pani Becu marmurowy nagrobek, z następującym napisem: »Pamięci | *Juliusza Słowackiego*, | syna *Euzebiusza*, | urodzonego w Krzemieńcu, | zmarłego w Paryżu, który walkę poezyi | ku odrodzeniu się ducha i | uczucia ludzkości | po chrześcijańsku | w dniu 3 kwietnia 1849 roku | zakończył | **w żalu nieutulona matka** | poświęca«. Pani Becu przeżyła Słowackiego o lat 6; zmarła na cholerę w Krzemieńcu w lipcu 1855 roku (zob, w *Dzienniku literackim*, Lwów, 1856 r. Nr. 29, *Życie matki Jul. Słowackiego* przez Bolesława D(unina) Rz...). Od chwili śmierci poety »otoczywszy się wszystkiemi pamiątkami po zmarłym synu, w nich tylko żyła, a przesiadując nad medalionem jego (roboty Oleszczyńskiego) zbierała i porządkowała jego listy i pisma, lecz nigdy o nim nie mówiła«. Pierwszy, który się tem zajął, zaraz po śmierci poety, był Szczęsny Feliński, który o tem tak pisze: »Rękopisma począłem przygotowywać do druku, przepisując jedne, doprowadzając do porządku drugie, aby matce i wujowi zmarłego ułatwić choć w części wydanie literackiej spuścizny zapoznanego przez współczesnych wieszcza. Zajętego tą pełną pociechy dla strapionego serca pracą, zastał mnie Cypryan Norwid, przybyły do Paryża z polecenia twórcy *Przedświtu*, który oświadczył się z gotowością wydania własnym kosztem pozostałych utworów Słowackiego. Świadom trudności, jakie nastręczało wówczas podobne wydawnictwo w kraju, nie wątpiłem, że krewni Juliusza radzi skorzystają z tak pożądanej zręczności, bez wahania przeto przyjąłem ofiarę Zygmunta i z podwojoną gorliwością zabrałem się do przygotowawczej pracy. Zanim jednak przyszło do praktycznego wykonania powziętego przez Krasińskiego zamiaru, rząd rosyjski wezwał go do niezwłocznego powrotu do kraju, ja zaś, doznawszy zawodu z tej strony, zmuszony się widziałem do odesłania rękopismów Januszewskiemu«.

Warszawa, d. 30 maja 1896 r.

K O N I E C.

SPIS RZECZY.

KSIĘGA SZÓSTA.

Pełnia twórczości i życia. 1839—1842.






Stanford University Libraries
3 6105 124 432 860

